

Przygody dobrego wojaka Szwejka podczas wojny światowej, tom I i II





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JAROSLAV HAŠEK

*Przygody dobrego wojaka Szwejka
podczas wojny światowej*

TŁUM. PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI

TOM PIERWSZY. SZWEJK NA TYŁACH

WSTĘP

Wielkie czasy wymagają wielkich ludzi. Istnieją bohaterowie nieznanymi, skromni, bez sławy i historii Napoleona. Analiza ich charakteru zaćmiłaby jednak sławę nawet Aleksandra Macedońskiego. Dzisiaj na ulicach praskich możecie spotkać steranego życiem człowieka, który sam nawet nie wie, jakie znaczenie ma w historii nowych wielkich czasów. Idzie sobie skromnie swoją drogą, nikomu się nie naprzykrza i jemu też nie naprzykrzają się dziennikarze, którzy domagaliby się od niego wywiadu. Gdybyście go zapytali, jak się nazywa, odpowiedziałby wam skromniutko i prosto: „Jestem Szwejk”.

Otóż ten cichy, skromny człowiek jest naprawdę tym starym, poczciwym wojakiem Szwejkem, mężnym i statecznym, który niegdyś za czasów Austrii był na ustach wszystkich obywateli królestwa czeskiego, a którego sława nie zagaśnie nawet w republice.

Bardzo kocham zanego wojaka Szwejka i opisując jego losy czasu wojny światowej, mam nadzieję, że wy wszyscy będziecie sympatyzowali z tym skromnym, nieznanym bohaterem. On nie podpalił świątyni bogini w Efezie, jak to uczynił ten cymbał Herostrates, aby się dostać do gazet i do czytanek szkolnych.

To wiele.

Autor

I. JAK DOBRY WOJAK SZWEJK WKROCZYŁ NA WIDOWNIĘ WOJNY ŚWIATOWEJ

— A to nam zabili Ferdynanda — rzekła posługaczka do pana Szwejka, który opuściwszy przed laty służbę w wojsku, gdy ostatecznie przez lekarską komisję wojskową uznany został za idiotę, utrzymywał się z handlu psami, pokracznymi, nierasowymi kundlami, których rodowody fałszował.

Prócz tego zajęcia dotknięty był reumatyzmem i właśnie nacierał sobie kolana opodeldokiem.

— Którego Ferdynanda, pani Müllerowo? — zapytał Szwejk nie przestając masować kolan. — Ja znam dwóch Ferdynandów: jeden jest posługaczem u drogisty Pruszy i przez pomyłkę wypił tam raz pewnego jakiegoś smarowania na porost włosów, a potem znam jeszcze Ferdynanda Kokoszke, tego, co zbiera psie gówienka. Obu nie ma co żałować.

— Ależ, proszę pana, pana arcyksięcia Ferdynanda, tego z Konopisztu, tego tłustego, pobożnego.

— Jezus Maria! — zawołał Szwejk. — A to dobre! A gdzie też się to się panu arcyksięciu przytrafiło?

— Kropnęli go w Sarajewie, proszę pana, z rewolweru, wie pan. Jechał tam ze swoją arcyksiężną w samochodzie.

— Patrzcie państwo, moja pani Müllerowo, w samochodzie. Już się, taki pan może sobie na to pozwolić i nawet nie pomyśli, jak taka jazda samochodem może się skończyć nieszczęśliwie. I jeszcze do tego w Sarajewie, to jest w Bośni, pani Müllerowo. To na pewno zrobili Turcy. Nie trza im było tej Bośni i Hercegowiny zabierać. Tak to, tak, pani Müllerowo. Więc pan arcyksiężę już na sądzie boskim. Długo też się męczył?

— Pan arcyksiężę był od razu trup, proszę pana. Sam pan wie, że z rewolwerem nie ma szpasów. Niedawno temu w naszej dzielnicy w Nuslach też się jeden bawił rewolwerem i powystrzelał całą rodzinę, a nawet stróża, który poszedł zobaczyć, kto też tam strzela na trzecim piętrze.

— Niektóry rewolwer, pani Müllerowo, nie wystrzeli, choćby się człek skręcił. Takich systemów jest dużo. Ale na pana arcyksięcia kupili sobie z pewnością taki z tych lepszych. No i założyłbym się z panią, pani Müllerowo, że ten człowiek, co mu to zrobił, był odświętnie ubrany. Miarkuje pani sama, że strzelanie do arcyksięcia to robota bardzo trudna, to nie to samo, jak kłusownik strzela do gajowego. Tutaj chodzi o to, jak się

do niego dobrać; na takiego pana nie można się wybierać w jakichś szmatach. Musisz, bratku, iść w cylindrze, żeby cię przedtem nie capnął policjant.

— Podobno więcej ich tam było, proszę pana.

— Ma się wiedzieć, pani Müllerowo — rzekł Szwejk kończąc nacieranie kolana. — Jakby pani chciała zastrzelić arcyksięcia albo pana cesarza, toby się pani na pewno z kimś naradziła. Co głowa, to rozum. Ten doradzi to, tamten owo i w ten sposób zbożne dzieło się powiedzie, jak o tym śpiewamy w naszym hymnie państwowym. Główna rzecz obliczyć sobie dokładnie, kiedy taki pan będzie przechodził. Tak samo, jak ten pan Luccheni, jeśli pani jeszcze pamięta, co to poszedł z naszą nieboszczką Elżbietą na spacer i przekuł ją pilnikiem. I wierz tu komu! Od tego czasu żadna cesarzowa nie wychodzi na spacer. A to samo czeka jeszcze wiele osób. Zobaczy pani Müllerowa, że się jeszcze dobiorą i do cara, i do carowej, a nie daj Boże i do naszego pana cesarza, kiedy tak obcesowo wzięli się do jego stryjaszka. Nasz starszy pan ma sporo nieprzyjaciół. Jeszcze więcej niż ten Ferdynand. Niedawno temu mówił jeden pan w piwiarni, że nastanie taki czas, że cesarze będą padali jeden po drugim i że nawet sam pan prokurator nic im nie poradzi. A potem nie miał czym zapłacić i gospodarz musiał go kazać aresztować. A ten go trzask w pysk, a policjanta dwa razy. Odwieźli go potem w pleciance, żeby wytrzeźwiał. Tak, tak, pani Müllerowo, takie to czasy. Ano dla Austrii znowu strata to niemała. Jakem służył w wojsku, to jeden piechur zastrzelił tam kapitana. Nabił flintę i włożył do kancelarii. Powiedzieli mu tam, żeby sobie poszedł, bo w kancelarii nie jego miejsce, a on wciąż swoje, że musi się rozmówić z panem kapitanem. Kapitan przyszedł i zaraz mu wlepił koszarniaka. A ten wziął karabin i kropnął go prosto w serce. Kula przeleciała panu kapitanowi przez plecy i jeszcze narobiła szkody w kancelarii. Rozbiła butelkę z atramentem, a ten atrament rozlał się po urzędowych aktach.

— A co się stało z tym żołnierzem? — zapytała po chwili pani Müllerowa, gdy Szwejk się ubierał.

— Powiesił się na szelkach — rzekł Szwejk czyszcząc melonik. — A te szelki nie były jego własnością. Musiał je sobie pożyczyć od strażnika, że niby to mu opadały spodnie. A co? Miał może czekać, aż go rozstrzelają? Nietrudno zmiarkować, moja pani Müllerowo, że w takich razach człowiekowi się we łbie mąci. Strażnika za to zdegradowali i dali mu sześć miesięcy. Ale nie siedział. Uciekł do Szwajcarii i dzisiaj jest tam ponoć kaznodzieją jakiegoś kościoła. Mało dziś dobrych ludzi, pani Müllerowo. Wyobrażam sobie, że i pan arcyksiążę Ferdynand w mieście Sarajewie też się grubo zawiódł na tym człowieku, co do niego strzelił. Widział jakiegoś pana i pomyślał sobie: „Jakiś porządny człowiek, kiedy wiwatuje na moją cześć”. A tymczasem ten pan trach! do niego. Kropnął go raz czy parę razy?

— W gazetach piszą, proszę pana, że pan arcyksiążę był podziurawiony jak sito. Wystrzelił do niego wszystkie naboje.

— To idzie bardzo szybko, pani Müllerowo, strasznie szybko. Ja bym sobie na coś takiego kupił browning. Wygląda to jak cacko, ale tym cackiem można przez dwie minuty powystrzelać dwudziestu arcyksiążąt, chudych albo tłustych. Chociaż, między nami mówiąc, pani Müllerowo, do tłustego arcyksięcia trafić daleko łatwiej niż do chudego. Pamięta pani, jak to wtedy w Portugalii ustrzelili sobie tego swego króla? Też był taki tłusty. Wiadomo, że król nie będzie chudeusz. Teraz idę do gospody „Pod Kielichem”, a jakby tu ktoś przyszedł po tego ratlerka, com za niego wziął zaliczkę, to trzeba powiedzieć, że mam go w swojej psiarni na prowincji, że mu niedawno przyciąłem uszy i że teraz nie można go przewozić, póki mu się uszy nie zagoją, żeby mu się nie zaziębiły. Klucz pani zostawi u stróżki.

W gospodzie „Pod Kielichem” siedział tylko jeden gość. Był to wywiadowca Bretschneider, będący na służbie policji państwowej. Gospodarz Palivec zmywał podstawki, a Bretschneider daremnie usiłował wyciągnąć go na poważną rozmowę.

Palivec był znany grubianin i co drugie jego słowo było „dupa” albo „gównno”. Ale jednocześnie był czytany i zalecał każdemu, aby sobie przeczytał, co o tym drugim przedmiocie napisał Wiktor Hugo, przytaczając ostatnią odpowiedź napoleońskiej starej gwardii, daną Anglikom w bitwie pod Waterloo.

— Ładne mamy lato — rozpoczął Bretschneider swoją poważną rozmowę.

— Wszystko to gówno warte — odpowiedział Palivec układając podstawki w kredensie.

— A to nam nawarzyli piwa w tym Sarajewie — ozwał się Bretschneider tracąc nadzieję.

— W jakim Sarajewie? — zapytał Palivec. — W nuselskiej winiarni? Tam się co dzieje za łby wodzą. Wiadomo, przedmieście.

— W bośniackim Sarajewie, panie gospodarzu. Zastrzelili tam pana arcyksięcia Ferdynanda. Co pan na to powie?

— Ja się do takich rzeczy nie mieszam, z tym niech mnie każdy pocałuje w dupę — grzecznie odpowiedział Palivec zapalając fajkę. — Do takich rzeczy mieszać się nie warto, bo można grubo oberwać. Mam swój handelek, i tyle. Gdy kto przychodzi i każe sobie podać piwa, to mu podam. Ale jakieś tam Sarajewy, polityka albo nieboszczyk pan arcyksiążę to nie dla nas, bo można się dostać za kraty na Pankrac.

Bretschneider zamilkł i pełen rozczarowania rozglądał się po pustym szynku.

— Tutaj wisiał niegdyś obraz najjaśniejszego pana — ozwał się znów po chwili — akurat tam gdzie teraz wisi lustro.

— A tak, ma pan rację — odpowiedział Palivec — wisiał tam, ale obsrywały go muchy, więc zaniósłem go na strych. Wiadomo, jak to bywa. Jeszcze by kto zrobił głupią uwagę i miałby człowiek kram. Potrzebne mi to?

— Ale w tym Sarajewie stała się rzecz paskudna, prawda, panie gospodarzu?

Na to pozornie proste, ale podstępne pytanie odpowiedział Palivec niezwykle ostrożnie:

— O tej porze bywa w Bośni i Hercegowinie strasznie gorąco. Jakem tam służył w wojsku, to naszemu oberlejtantowi musieli na głowę lód przykładać.

— W jakim pułku służył pan, panie gospodarzu?

— Takie głupstwa nie trzymają mi się w głowie. Nigdy się takimi bzdurami nie zajmowałem i nigdy mnie nic takiego nie obchodziło — odpowiedział Palivec. — Ciekawość pierwszy stopień do piekła.

Wywiadowca Bretschneider zamilkł ostatecznie, a jego ponura twarz pojaśniała dopiero wówczas, gdy do gospody wszedł Szejwk, który kazał sobie podać ciemne piwo, dodając znacząco:

— Bo w Wiedniu też dziś mają żalobę.

W oczach Bretschneidera błysnęła nadzieja. Dorzucił rzeczowo:

— Na zamku w Konopiszcie jest dziesięć czarnych chorągwi.

— A powinno być dwanaście — rzekł Szejwk popiwszy piwa.

— Dlaczego sądzi pan, że dwanaście? — zapytał Bretschneider.

— Żeby był równy rachunek, akurat tuzin. Łatwiej to zliczyć, no i na tuziny wszystko jest tańsze — odpowiedział Szejwk.

Zapanowała cisza, którą Szejwk przerwał westchnieniem:

— Więc już biedak ziemię gryzie, Panie, świeć nad jego duszą! Nie doczekał się nawet cesarzowania. Jak byłem w wojsku, to jeden generał spadł z konia i zabił się na dobre. Chcieli go podnieść i wsadzić na konia, a tu patrz, zupełnie martwy. A też miał dostać awans na feldmarszałka. Stało się to przy przeglądzie wojska. Wszystkie te przeglądy nigdy nie wychodziły na dobre. W Sarajewie też był jakiś przegląd. Pamiętam, że pewnego razu brakowało mi przy takim przeglądzie dwadzieścia guzików przy mundurze i że mnie za to wsadzili na dwa tygodnie do pojedynki, a przez dwa dni leżałem jak ten łazarz w kij związany. Ale w wojsku dyscyplina musi być, bo inaczej nikt by sobie z niczego nic nie robił. Nasz oberlejtant Makovec mawiał nam nieraz: „Dyscyplina musi być, wy łby zakute, bo bez niej to byście łazili po drzewach jak te małpy, ale wojsko zrobi z was ludzi, wy trąby powietrzne!” A czy nie miał racji? Przedstawmy sobie park na przykład na Placu Karola, a na każdym drzewie taki żołnierz bez dyscypliny. Tęgo się zawsze najbardziej obawiałem.

— W Sarajewie w całej tej sprawie maczali palce Serbowie — nawiązywał pan Bretschneider.

— Myli się pan — odpowiedział Szejwk. — To zrobili Turcy przez tę Bośnię i Hercegowinę.

I Szwejk rozwinął swoje poglądy na międzynarodową politykę Austrii na Bałkanach: Turcy przegrali wojnę w roku 1912 z Serbią, Bułgarią i Grecją. Chcieli, żeby ich Austria poratowała, a gdy Austria nie chciała, zastrzelili Ferdynanda.

— Lubisz Turków? — zwrócił się Szwejk do gospodarza Palivca. — Lubisz tych psów pogańskich? Prawda, że nie lubisz?

— Każdy gość jest dobry — odpowiedział Palivec — niech sobie będzie i Turek. Dla nas, kupców, polityka nie ma znaczenia. Zapłać za piwo, siedź sobie w knajpie i wygaduj, co ci ślina na język przyniesie. To moja zasada. Czy to zrobił temu naszemu Ferdynandowi Serb czy Turek, katolik czy mahometanin, anarchista czy młodoczech, mnie wszystko jedno.

— Dobrze, panie gospodarzu — ozwał się Bretschneider, który znowu stracił nadzieję, czy uda się przyłapać jednego z tych dwóch na jakimś słowie — ale zgadza się pan chyba, że to wielka strata dla Austrii.

Zamiast gospodarza odpowiedział Szwejk:

— Strata bo strata, przeczyć temu nie można. Okropna strata. Ferdynanda nie może zastąpić pierwszy lepszy cymbał. Tylko szkoda, że nie był jeszcze tłusciejszy.

— Niby dlaczego? — ożywił się Bretschneider.

— Niby dlaczego? — odpowiedział spokojnie Szwejk. — Niby dlatego że jakby był jeszcze tłusciejszy, to byłby go trafił szlag już dawniej, kiedy w Konopiszcie gonił babiny zbierające w jego lesie chrust i grzyby, i nie potrzebowałby umierać taką nieprzystojną śmiercią. W głowie się człowiekowi nie mieści: stryjasek najjaśniejszego pana, a siaki taki go zastrzelił. Przecież to wstyd, bo w gazetach o tym pełno. U nas w Budziejowicach przed paru laty w czasie jednej małej sprzeczki na targu bydłowym przebili niejakiego Brzeczysława Ludvika, handlarza bydła. Ten kupiec miał syna Bogusława i gdziekolwiek ten syn przyszedł ze świniami na sprzedaż, nikt od niego nie chciał nic kupić, a każdy mawiał: „To syn tego przebitego, to musi być też lotr niezgorszy”. Musiał w Krumlovie skoczyć z mostu do Wełtawy, musieli go wyciągać, musieli go cucić, musieli z niego wodę pompować, a on im musiał umrzeć w objęciach lekarza akurat wtedy, gdy ten mu coś zastrzykiwał pod skórę.

— Skąd pan bierze takie dziwne porównania? — rzekł Bretschneider z naciskiem. — Mówi pan najpierw o Ferdynandzie, a potem o handlarzu bydła.

— Znikąd nie biorę żadnych porównań — bronił się Szwejk. — Niech mnie Bóg broni, żebym ja miał kogoś do kogoś porównywać! Pan gospodarz mnie zna. No, powiedz sam, że nigdy nikogo do nikogo nie przyrównywałem. Tylko że nie chciałbym być w skórze tej wdowy po arcyksiężciu. Co ona teraz zrobi? Dzieci sieroty, dobra na Konopiszcie bez pana. A wydawać się znowu za jakiego nowego arcyksięcia?... Co by z tego miała? Pojechałaby z nim znowu do Sarajewa i zostałaby wdową po raz drugi. We Zliviu koło Hlubokiej był przed laty gajowy, a miał takie obrzydliwe nazwisko Kurdupel. Kłusownicy go zastrzelili, a została po nim wdowa z dwojgiem dzieci i po roku wyszła znowu za gajowego Pepika Szevtoviaka z Mydlovarów. I tego zastrzelili także. Wyszła za męża po raz trzeci i znowu za gajowego, mówiąc sobie: „Do trzech razy sztuka. Jeśli i to się nie uda, to już nie wiem, co zrobić”. Rzecz prosta, że i tego zastrzelili, a ona tymczasem miała z tymi gajowymi już sześćoro dzieci. Była nawet w kancelarii księcia pana w Hlubokiej i skarżyła się na swoje utrapienie z tymi gajowymi. Więc jej nastęrczyli dozorcę stawów, Jaresza, spod Ražickéj Baszty. I powiedzcie państwo: utopili jej chłopca przy połowie ryb, a miała z nim dwoje dzieci! Potem wydała się za trzebiciela nierogacizny z Vodnian, a ten pewnej nocy trzepnął ją siekierą i dobrowolnie poszedł się oskarżyć. Gdy go potem z wyroku sądu okręgowego w Pisku wieszali, ugryzł księdza w nos, powiedział, że niczego nie żałuje, a do tego powiedział jeszcze coś bardzo brzydkiego o najjaśniejszym panu.

— A nie wie pan czasem, co takiego powiedział? — zapytał Bretschneider głosem pełnym nadziei.

— Tego powiedzieć panu nie mogę, bo nikt się tego nie odważy powtórzyć. Ale było to podobno coś tak okropnego, że pewien radca sądowy, który był przy tym, oszalał od tego i jeszcze dzisiaj trzymany jest w izolacji, żeby się nie wydało. Nie była to zwyczajna obraza najjaśniejszego pana, jakiej się ludzie dopuszczają po pijanemu.

— A jakiej obrazy najjaśniejszego pana dopuszczają się ludzie po pijanemu? — zapytał Bretschneider.

— Proszę was, panowie, mówcie o innych sprawach — ozwał się Palivec. — Wiecie dobrze, że takich rzeczy nie lubię. Słówko z pyska wyleci, a potem bieda.

— Jakiej obrazy najjaśniejszego pana dopuszczają się ludzie po pijanemu? — powtórzył Szwejk. — Rozmaicie bywa. Upij się pan, każ sobie zagrać austriacki hymn, a zobaczysz, co będziesz mówił. Wymyśli pan sobie tyle różnych rzeczy o panu cesarzu, że gdyby choć połowa z tego była prawdą, to miałby biedak wstydu na całe życie. Ale ten starszy pan naprawdę nie zasługuje na takie traktowanie. Weź pan na przykład taką rzecz. Syna Rudolfa stracił w młodocianym wieku, w pełnej sile męskiej. Małżonkę Elżbietę mu przebili pilnikiem, potem zginął mu Jan Orth, brata jego, cesarza meksykańskiego, zastrzelili w jakiejś twierdzy przy jakimś murze, a teraz na stare lata zastrzelili mu stryjaszka. I raptem schła się jakiś pijanica i zacznie na niego wygadywać. Przecież takie rzeczy działają na nerwy. Gdyby się dzisiaj miało coś zdarzyć, to z dobrej woli pójdę i będę służył panu cesarzowi do ostatka sił.

Szwejk napił się dokumentnie i ciągnął dalej:

— Myślisz pan może, że najjaśniejszy pan puści to płazem? Nie znasz go pan w takim razie. Wojna z Turkami musi być. Zabiliście mi stryjaszka, to ja was też przez pysk dzielę. Wojna jest pewna. Serbia i Rosja dopomogą nam w tej wojnie. Ej, będzie rzeź, aż miło!

W tym proroczym natchnieniu Szwejk był piękny. Jego dobroduszną twarz, uśmiechnięta jak księżyc w pełni, promieniowała zapałem. Wszystko wydawało mu się bardzo jasne.

— Może się zdarzyć — wywodził dalej, mówiąc o przyszłości Austrii — że w razie wojny z Turcją napadną na nas Niemcy, bo Niemcy i Turcy trzymają z sobą. To takie dranie, że drugich takich nie ma na świecie. Ale możemy się sprzymierzyć z Francją, która od roku siedemdziesiątego pierwszego krzywo patrzy na Niemca. I damy sobie radę. Wojna będzie, więcej nie powiem.

Bretschneider wstał i rzekł uroczyście:

— Więcej pan mówić nie potrzebuje. Niech pan wyjdzie ze mną do sieni, to panu coś powiem.

Szwejk wyszedł za wywiadowcą do sieni, gdzie go oczekiwała mała niespodzianka, gdy jego kompan od stolika pokazał mu orzełka i rzekł, że go aresztuje i że natychmiast zaprowadzi go do dyrekcji policji. Szwejk starał się wytłumaczyć i wywodził, że ten pan się zapewne myli, bo on jest całkiem niewinny, jako że nie wymówił ani jednego słowa, które mogłoby kogokolwiek obrazić.

Bretschneider oświadczył jednak, iż Szwejk faktycznie dopuścił się kilku czynów karalnych, pośród których pewną rolę gra także zbrodnia zdrady stanu.

Potem powrócili do gospody i Szwejk rzekł do Palivca:

— Mam pięć piw i jeden rogalik z parówkami. Teraz daj mi jeszcze jedną śliwovicę, bo już muszę iść, jako że jestem aresztowany.

Bretschneider pokazał Palivcowi orzełka, przez chwilę spoglądał na niego, a potem zapytał:

— Czy pan żonaty?

— Żonaty.

— A czy pańska małżonka może prowadzić interes w czasie pańskiej nieobecności?

— Może.

— A więc wszystko w porządku, panie gospodarzu — wesoło rzekł Bretschneider.

— Zawoła pan swą żonę, przekaże jej wszystko, a wieczorem przyjdziemy po pana.

— Nie przejmuj się tym — pocieszał go Szwejk. — Mnie zabierają tylko z powodu zdrady stanu.

— Ale za co mnie? — biadał Palivec. — Ja byłem taki ostrożny!

Bretschneider uśmiechnął się i rzekł zwycięsko:

— Za to, że pan powiedział, że muchy srały na najjaśniejszego pana. Już tam panu najjaśniejszego pana z głowy wybiją.

Szwejk opuścił gospodę „Pod Kielichem” w towarzystwie wywiadowcy; gdy wyszli na ulicę, zapytał go nie przestając spoglądać z dobrotliwym uśmiechem na jego twarz:

— Czy każe mi pan zejść z trotuaru?

— Dlaczego?

— Sądzę, że jako aresztowany nie mam prawa chodzić po trotuarze.

Kiedy wchodzili do bramy dyrekcji policji, rzekł Szwejk:

— Tak mile zleciał nam czas. Czy często bywa pan „Pod Kielichem”?

Podczas gdy Szwejka prowadzono do kancelarii, w której przyjmowano aresztantów, Palivec przekazywał gospodę „Pod Kielichem” swojej płaczącej żonie pocieszając ją na swój sposób:

— Nie płacz, nie rycz, co mi mogą zrobić za zaszary obraz najjaśniejszego pana?

W taki to sposób dobry wojak Szwejk wkroczył na widownię wojny światowej, po swojemu mile i ujmująco. Historyków zainteresuje niezawodnie to, iż przewidywał daleką przyszłość. Jeśli sytuacja rozwinęła się potem nieco inaczej, niż on malował ją „Pod Kielichem”, musimy wziąć pod uwagę fakt, że brak mu było gruntownego wykształcenia dyplomatycznego.

II. DOBRY WOJAK SZWEJK W DYREKCJI POLICJI

Zamach w Sarajewie zapełnił dyрекcję policji licznymi ofiarami. Przyprawiali tu jednego po drugim, a stary inspektor w kancelarii powtarzał głosem dobrodusznego człowieka:

— Źle wyjdziecie na tym Ferdynandzie.

Gdy Szwejka zamknięto w jednej z licznych cel na pierwszym piętrze, znalazł tam towarzystwo sześciorga osób. Pięciu aresztantów siedziało przy stole, a w rogu na pryczy, jakby stroniąc od reszty, siedział mężczyzna w średnim wieku. Szwejk zaczął rozpytywać jednego po drugim, za co zostali aresztowani.

Od tych pięciu, którzy siedzieli przy stole, otrzymał niejako jednobrzmiącą odpowiedź:

— Za Sarajewo!

— Za Ferdynanda!

— Za zamordowanie pana arcyksięcia!

— Przez Ferdynanda!

— Za to, że pana arcyksięcia zastrzelili w Sarajewie!

Szósty, który stronił od tych pięciu, rzekł, że nie chce mieć z nimi nic wspólnego, żeby na niego nie padło jakieś podejrzenie, bo on został aresztowany jedynie za usiłowanie popełnienia morderstwa rabunkowego na pewnym gospodarzu z Holic.

Szwejk przyłączył się do towarzystwa spiskowców siedzących przy stole, którzy już po raz dziesiąty opowiadali sobie, w jaki sposób się tutaj dostali.

Wszyscy oprócz jednego zostali aresztowani bądź w gospodzie, bądź w winiarni albo w kawiarni. Wyjątkiem był niezwykle otyły pan w okularach, z oczyma zapłakanymi, którego aresztowano we własnym mieszkaniu; ten na dwa dni przez zamachem w Sarajewie w gospodzie „U Brejszki” płacił za dwóch serbskich studentów politechniki, a prócz tego widziano go pijanego w ich towarzystwie, w „Montmartrze” przy ulicy Łańcuchowej, gdzie jak to potwierdził w protokole własnym podpisem, także za nich płacił. Widział go tam wywiadowca Brixi.

Na wszystkie pytania podczas śledztwa wstępного kwilił stereotypowo:

— Ja mam handel papierem.

Na co otrzymywał podobnie stereotypową odpowiedź:

— To pana nie tłumaczy.

Pan małego wzrostu, którego spotkała ta przygoda w winiarni, był profesorem historii i wykładał właścicielowi winiarni dzieje różnych zamachów. Aresztowany został w chwili, kiedy kończył psychologiczną analizę zjawiska tymi słowami:

— Idea zamachu jest tak prosta jak jajko Kolumba.

— I taka jasna jak to, że pan się dostanie na Pankrac — uzupełnił jego zdanie komisarz policji przy badaniu.

Trzeci spiskowiec był prezesem dobroczynnego stowarzyszenia „Dobromil” w Hodkoviczkach. Tęgo dnia, w którym dokonano zamachu, „Dobromil” urządzał zabawę ogrodową połączoną z koncertem. Wachmistrz żandarmerii przybył do ogrodu i wezwał uczestników, żeby się rozeszli, bo Austria ma żalobę, na co prezes „Dobromila” odpowiedział dobrodusznie:

— Zaczekaj pan chwileczkę, niech dograją *Hej, Słowianie*.

Teraz siedział w areszcie z głową spuszczoną i narzekał:

— W sierpniu mamy nowe wybory zarządu. Jeśli do tego czasu nie będę w domu, to się może zdarzyć, że mnie nie wybiorą. Już po raz dziesiąty jestem prezesem. Ja tego wstydu nie przeżyję.

W osobliwy sposób poigrał sobie nieboszczyk Ferdynand z czwartym aresztantem, mężem czystego charakteru i nienagannej przeszłości. Przez całe dwa dni uchylał się on od jakiegokolwiek rozmowy o Ferdynandzie, aż wieczorem w kawiarni przy mariaszu, zabijając żółędnego króla atutową siódmką dzwonkową, rzekł:

— Siedem dzwonek jak siedem kul w Sarajewie.

Piąty z aresztowanych, jak się sam wyraził, siedział za morderstwo popełnione na arcyksięciu w Sarajewie; jeszcze teraz miał włosy i wąsy zjeżone z przerażenia, tak że głowa jego przypominała pinczera.

W restauracji, w której go aresztowano, nie odezwał się ani słowem, ba, nawet nie czytał gazet o zabiciu Ferdynanda i siedział przy stole zupełnie sam, gdy wtem podszedł do niego jakiś pan, usiadł naprzeciw i rzekł z pośpiechem:

— Czytał pan o tym?

— Nie czytałem.

— Wie pan o tym?

— Nie wiem.

— A wie pan, o co chodzi?

— Nie wiem, bo mnie to nie interesuje.

— A jednak powinno to pana interesować.

— Nie wiem, co by mnie miało interesować. Wypalę cygaro, wypiję parę kufli, zjem kolację, i dość. Gazet nie czytam. Gazety kłamią. Po co się denerwować?

— Więc pana nie interesuje nawet to morderstwo w Sarajewie?

— Mnie w ogóle żadne morderstwo nie interesuje, czy w Pradze, czy w Wiedniu, czy w Sarajewie, czy w Londynie. Od tego są urzędy, sądy i policja. Jeśli gdzieś kiedyś kogo zabiją, to dobrze mu tak, po co jest bałwan i taki nieostrożny, że się da zabić?

Były to jego ostatnie słowa w tej rozmowie. Od tej chwili powtarzał głośno w pięćminutowych pauzach te słowa:

— Ja jestem niewinny. Ja jestem niewinny.

Słowa te wykrzykiwał i w bramie dyrekcji policji, słowa te będzie powtarzał i przy przewożeniu go do sądu karnego w Pradze i z tymi słowy wkroczy do swej celi więziennej.

Gdy Szwajk wysłuchał wszystkich tych straszliwych opowieści spiskowych, uznał za właściwe pouczyć spiskowców o całkowitej beznadziejności ich sytuacji.

— Oj, źle z nami wszystkimi — zaczął swoje słowa pociechy. — Nie jest to prawda, jak mówicie, że wam czy nam wszystkim nie może stać się nic złego. Od czego mamy policję, jak nie od tego, żeby nas karała za nasze gadulstwo? Jeśli nastaly takie niebezpieczne czasy, że strzelają do arcyksiążąt, to nikt nie powinien się dziwić, że go przyprowadzą do dyrekcji policji. To wszystko robi się dla pompy, żeby Ferdynand miał reklamę przed swoim pogrzebem. Im więcej nas tu będzie, tym lepiej dla nas, bo nam będzie weselej. Kiedym służył w wojsku, to nieraz pół kompanii siedziało w pace. A ilu to niewinnych ludzi zostało skazanych! I nie tylko w wojsku, ale i przez inne sądy. Pamiętam, że raz jedna kobieta została skazana za to, że udusiła swoje nowo narodzone bliźnięta. Chociaż przysięgała, że nie mogła udusić bliźniąt, bo urodziła się jej tylko jedna dziewczynka, którą udało się udusić całkiem bez bólu, to jednak skazana została za podwójne morderstwo. Albo na przykład ten niewinny Cygan w Zabiehlicach, co się włamał do sklepiku w noc Bożego Narodzenia. Przysięgał, że chciał się tylko ogrzać, i nic mu to nie pomogło. Jak tylko sąd weźmie coś w swoje ręce, to już kłapa. Widocznie tak już musi być. Być może, że wszyscy ludzie nie są takimi draniami, jak o nich należy przypuszczać, ale w jaki sposób odróżnisz dzisiaj człowieka dobrego od gałgana, osobliwie teraz, w takich poważnych czasach, gdy zakatrupili tego Ferdynanda? Tam u nas, kiedym służył w wojsku w Budziejowicach, zastrzelili w lesie za placem ćwiczeń psa pana kapitana. Kiedy się o tym kapitan dowiedział, zwołał nas wszystkich, kazał nam stanąć w szeregu i powiada, żeby co dziesiąty wystąpił. Rzecz prosta, że i ja byłem dziesiąty, i tak staliśmy *habacht*, nawet nie mrugnawszy. Kapitan chodzi sobie koło nas i powiada: „Wy psubraty, podlecycy, świntuchy, hieny cętkowane, tak bym wam z przyjemnością wlepił pojedynkę za tego psa, posiekałbym was na makaron, porozstrzeliwał i zrobił karpia na niebiesko. Zebyście

wiedzieli, że się z wami nie będę bawił, daję wam wszystkim dwa tygodnie koszarniaka”. Widzicie, panowie, wtedy chodziło tylko o pieska, a teraz chodzi przecież o pana arcyksięcia. I dlatego trzeba wszystkim napędzić strachu, żeby żałoba była jak się patrzy.

— Ja jestem niewinny. Ja jestem niewinny — powtarzał człowiek o zjeżonych włosach.

— Chrystus Pan też był niewinny — rzekł Szwejk — i też go ukrzyżowali. Nigdy nikomu nie zależało na jakimś tam niewinnym człowieku. „*Maul halten und weiter dienen!*” — jak nam mawiali w wojsku. To najlepsze i najpiękniejsze.

Szwejk wyciągnął się na pryczy i usnął snem sprawiedliwego.

Tymczasem przybyło dwóch nowych aresztantów. Jeden z nich był Bośniakiem. Chodził po celi, zgrzytał zębami i co drugie jego słowo brzmiało: „*Jebem ti duszu!*”. Mężczyła go myślał, że w dyrekcji policji zginie mu jego koszyk.

Drugim gościem był Palivec, właściciel gospody, który zauważywszy swego znajomego, Szwejka, zbudził go i głosem pełnym tragizmu zawołał:

— A więc i ja tu jestem!

Szwejk uścisnął mu serdecznie rękę i rzekł:

— Cieszę się szczerze. Wiedziałem, że ten pan dotrzyma słowa, gdy zapewniał, że wieczorem po pana przyjdą. Taka punktualność to dobra rzecz.

Palivec zauważył wszakże, że taka punktualność gównie warta, i po cichu spytał Szwejka, czy ci inni aresztanci nie są aby złodziejaskami, bo to mogłoby mu zaszkodzić jako właścicielowi gospody.

Szwejk objaśnił go, że wszyscy oprócz jednego pana, który dostał się tu za usiłowanie popełnienia morderstwa rabunkowego na osobie gospodarza z Holic, należą do ich towarzystwa i siedzą przez pana arcyksięcia.

Palivec obraził się i rzekł, że nie został aresztowany dla jakiegoś głupiego arcyksięcia, ale z powodu samego najjaśniejszego pana. Ponieważ reszta towarzystwa zaczęła się tym interesować, opowiedział, jak to muchy zanieczyściły mu obraz cesarza.

— Zapaskudziły mi go, bestie — kończył opowiadanie swej przygody — a mnie zaprowadziły do kryminału. Ale ja tego tym muchom nie daruję — odgrażał się.

Szwejk udał się znowu na spoczynek, ale nie spał długo, bo przyszli po niego, aby go zaprowadzić na śledztwo.

Idąc schodami na przesłuchanie do trzeciego wydziału, Szwejk dźwigał swój krzyż na szczyt Golgoty nie zdając sobie sprawy z własnego męczeństwa.

Zauważywszy napis, że pluć na korytarzach nie wolno, poprosił strażnika, aby mu pozwolił splunąć do spluwaczki, i promieniejąc wielkością swojej prostoty wkroczył do kancelarii ze słowami:

— Dobry wieczór szanownym panom, wszystkim razem.

Zamiast odpowiedzi ktoś szturchnął go pod żebro i popchnął do stołu, za którym siedział pan o wyniosłym i urzędowym obliczu, o rysach twarzy pełnych zwierzęcego okrucieństwa, jakby właśnie wypadł z książki Lombrosa *Zbrodniarz urodzony*.

Krwiożerczo spojrział na Szwejka i rzekł:

— Nie udawaj pan takiego idioty.

— Bardzo mi przykro — odpowiedział Szwejk z wielką powagą — ale w wojsku byłem poddany superarbitracji z powodu idiotyzmu i urzędowo zostałem przez nadzwyczajną komisję lekarską uznany za idiotę. Ja jestem idiota z urzędu.

Pan o zbrodnicy wyglądzie zazgrzytał zębami.

— To, o co jesteś pan oskarżony i czegoś się pan dopuścił, świadczy, że masz wszystkie klepki w porządku.

I wymienił Szwejkowi długi szereg różnych zbrodni, poczynając od zdrady stanu, a kończąc na obrazie jego cesarskiej mości i członków domu cesarskiego. Pośród tych przestępstw wyróżniała się pochwała morderstwa arcyksięcia Ferdynanda, stąd zaś wywodziła się nowa gałąź przestępstw, wśród których najpełniej jaśniała zbrodnia podburzania do nieposłuszeństwa władzom, ponieważ wszystko to stało się w lokalu publicznym.

— Co pan na to? — zwycięsko zapytał pan o rysach znamionujących wielkie okrucieństwo.

— Ano, sporo się tego nazbierało — odpowiedział naiwnie Szwejk. — Co za dużo, to niezdrowo.

— No, widzi pan, sam się pan przyznaje.

— Ja się przyznaję do wszystkiego, proszę pana, dyscyplina musi być, bez dyscypliny ładnie byśmy wyglądali. Jeszcze kiedyś służyłem w wojsku...

— Stul pan gębę! — wrzasnął radca policji na Szwejka — i mów pan tylko to, o co się pytam. Rozumie pan?

— Jakżeby nie miał rozumieć? — rzekł Szwejk. — Posłusznie melduję, że rozumiem i że we wszystkim, co pan raczy do mnie mówić, potrafię się orientować.

— Z kim pan utrzymuje stosunki?

— Ze swoją posługaczką, proszę pana.

— A w miejscowych kołach politycznych nie ma pan znajomych?

— Mam, proszę pana, kupuję sobie południowe wydanie gazety „Narodni Politika”, tej, jak się to mówi, suki...

— Precz! — wrzasnął na Szwejka pan o zwierzęcym wyrazie twarzy.

Gdy Szwejka wyprowadzano z kancelarii, rzekł:

— Dobrej nocy, wielmożny panie.

Powróciwszy do izby aresztanckiej oznajmił Szwejk obecnym, że takie przesłuchiwanie to niezgorsza frajda.

— Trochę tam pokrzyczą, a w końcu czleka wypędzą. Dawniej — wywodził — bywało gorzej. Czytałem kiedyś taką książkę, że oskarżeni musieli chodzić po rozpalonym żelazie i pić roztopiony ołów, żeby się pokazało, kto jest niewinny. Albo wtykali takiemu nogi w buty hiszpańskie i rozciągali go na drabinie, jeśli nie chciał się przyznać, albo też przypalali mu boki strażackimi pochodniami, jak to robili na przykład świętemu Janowi z Nepomuka. Podobno ryczał przy tym, jakby go ze skóry łupili, i nie zamilkł, dopóki nie zrzucili go z mostu Eliszki do Wełtawy, i to w worku nieprzemakalnym. Takich wypadków było więcej, a jeszcze na dobitkę człowieka ćwiartowali albo wbijali go na pal gdzieś tam koło Muzeum. A jeśli wtrącili tylko takiego do wieży na śmierć głodową, to czuł się z uciechy jak nowo narodzony.

Dzisiaj to jedna wielka frajda dostać się do kryminału — pochwalał Szwejk nowe czasy — nie ma ćwiartowania, nie ma hiszpańskich butów. Prycze mamy, stół mamy, ławki mamy, nie potrzebujemy pchać się jeden na drugiego, zupę dostajemy, chleb też nam dają, dzban wody przyniosą, wychodek mamy pod nosem. We wszystkim widać postęp. Prawda, że na śledztwo trochę niby daleko, bo aż przez trzy korytarze i o piętro wyżej, ale za to na korytarzach jest czysto i jaki ruch! Tu prowadzą jednego, tam drugiego, młodego, starego, płci męskiej, płci żeńskiej. Człek się cieszy już i z tego, że nie siedzi tu sam. Każdy idzie spokojnie swoją drogą i nie potrzebuje się obawiać, że mu w kancelarii powiedzą: „Więc naradziliśmy się i jutro zostanie pan poćwiartowany albo spalony na stosie, wedle swego własnego wyboru”. Rozmyślanie o takich rzeczach byłoby z pewnością nielekkie, a ja sądzę, panowie, że niejeden z nas byłby w takim momencie całkiem zdetonowany. No, dzisiaj stosunki zmieniły się już na naszą korzyść.

Właśnie kończył apologię współczesnego więzienia, gdy dozorca otworzył drzwi i zawołał:

— Szwejk, ubrać się i dalej na śledztwo!

— Ja się ubiorę — odpowiedział Szwejk — przeciwko temu nie mam nic do powiedzenia, ale boję się, że to pewno pomyłka, bo już raz zostałem ze śledztwa wyrzucony. I jeszcze się boję, aby reszta tych panów, co tutaj są razem ze mną, nie pogniewała się na mnie, że ja chodzę dwa razy z kolei na śledztwo, a oni nie byli tam dzisiejszego wieczora jeszcze ani razu. Może to wzbudzić zawiść.

— Wyłazić i nie głądzić! — brzmiała odpowiedź na dżentelmeński wywód Szwejka.

Szwejk znalazł się znowu przed panem o zbrodniczym wyglądzie, który bez jakiegokolwiek wstępu zapytał go twardo i nieubłaganie:

— Przyznaje się pan do wszystkiego?

Szwejk zwrócił na nieubłaganego człowieka swoje dobre modre oczy i rzekł miękko:

— Jeśli pan sobie życzy, proszę pana, abym się przyznał, to się przyznaję, bo mnie to nic nie szkodzi. Ale gdyby pan powiedział: „Szwejk, nie przyznawajcie się do niczego” — to się będę wykręcał ze wszystkich sił.

Surowy pan pisał coś w aktach i podawszy Szwejkowi pióro kazał mu się podpisać.

I Szwejk podpisał oskarżenie Bretschneidera wraz z dodatkiem:

„Wszystkie wyżej wymienione oskarżenia przeciwko mnie opierają się na prawdzie.

Józef Szwejk”

Podpisawszy zwrócił się do surowego pana:

— Czy każe mi pan jeszcze coś podpisać? Czy może mam przyjść dopiero jutro rano?

— Z rana zostanie pan wywieziony do sądu karnego — usłyszał w odpowiedzi.

— O której godzinie, proszę pana? Żebym przecie, broń mnie Boże, nie zasnął!

— Precz! — zagrzmiało na Szwejka dzisiaj po raz drugi to słowo zza stołu, przy którym stał.

Powracając do swego nowego zakratowanego mieszkania Szwejk rzekł do dozorczy, który go przyprowadził:

— Wszystko tu jest akuratne jak w zegarku.

Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, współwięźniowie zasypali go mnóstwem pytań, na które Szwejk odpowiadał jasno:

— Dopiero co się przyznałem, że zabiłem arcyksięcia Ferdynanda.

Sześcioro ludzi skuliło się w przestrachu pod zawzszonymi kocami, tylko Bośniak rzekł:

— *Dobro doszli.*

Układając się na pryczy mówił Szwejk:

— Głupia sprawa, że nie mamy tutaj budzika.

Ale rano zbudzili go bez budzika i punktualnie o szóstej wywiózł Szwejka „zielony Anton” do krajowego sądu karnego.

— Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje — rzekł Szwejk do swoich towarzyszy podróży, gdy „zielony Anton” wyjeżdżał z bramy dyrekcji policji.

III. SZWEJK PRZED LEKARZAMI SĄDOWYMI

Czyste, przytulne pokoiki krajowego sądu karnego wywarły na Szwejkowi jak najlepsze wrażenie. Wybielone ściany, czarno malowane kraty i otyły pan Demartini, starszy dozorca aresztu śledczego, z fioletowymi lampasami i wypustkami na urzędowej czapce, wszystko mu się podobało. Barwa fioletowa przepisana jest nie tylko tutaj, lecz i przy obrzędach kościelnych w Środę Popielcową i w Wielki Piątek.

Powtarza się przesławna historia rzymskiego panowania nad Jerozolimą. Więźniów wyprowadzano i przedstawiano ich Piłatom z roku tysiąc dziewięćset czternastego, rezydującym na parterze. A sędziowie śledczy, nowocześni Piłaci, zamiast rzetelnie umyć ręce, posyłali sobie po paprykarz i piwo pilzneńskie do Teissiga, dostarczając coraz nowych oskarżeń prokuraturze.

Tutaj w większości wypadków zniknęła wszelka logika, a zwyciężał §, dusił §, bałwanil §, parskał §, śmiał się §, groził §, zabijał § i nie przepuszczał nikomu. Byli to żonglerzy praw, kapłani liter kodeksowych, pożeracze oskarżonych, tygrysy austriackiej dżungli, wymierzający skok na oskarżonego podług numerów paragrafów.

Wyjątek stanowiło kilku panów (tak samo jak i w dyrekcji policji), którzy kodeksem nie przejmowali się nadmiernie, bowiem wszędzie znajdzie się ziarno pszenicy wśród kąkolu.

Do jednego z takich panów przyprowadzono Szwejka na śledztwo. Starszy pan o wyglądzie dobrodusznym, ten sam, który niegdyś, badając znanego mordercę Valesza, nie zapominał nigdy rzec do niego: „Raczy pan usiąść, panie Valesz, akurat mamy tu wolne krzeselko”.

Gdy Szwejka przyprowadzono do niego, pan ten poprosił go z wrodzoną sobie uprzejmością, aby usiadł, i rzekł:

— A więc to pan jest ten Szwejk?

— Przypuszczam — odpowiedział Szwejk — że muszę nim być, bo mój ojciec był Szwejk, a matka pani Szwejkowa. Nie mogę zrobić im takiego wstydu, żebym się miał wypierać swego nazwiska.

Życzliwy uśmiech przeleciał po twarzy radcy sądowego prowadzącego dochodzenie.

— Nawarzył pan sobie ładnego piwa. Dużo sprawek ma pan na sumieniu.

— Ja mam zawsze dużo na sumieniu — rzekł Szwejk uśmiechając się jeszcze uprzejmiej niż pan radca sądu. — Może nawet mam na sumieniu więcej, niż raczy mieć pan, wielmożny panie.

— Widać to i w protokole, który pan podpisał — niemniej uprzejmym tonem rzekł radca sądu. — Czy nie wywierali na pana jakiego nacisku w dyrekcji policji?

— Broń Boże, wielmożny panie. Ja sam się ich pytałem, czy mam podpisać, a gdy powiedzieli, żebym podpisał, to usłuchałem. Przecież nie będę się z nimi wodził za łby dla własnego podpisu. Na dobre by mi taka rzecz nie wyszła. Porządek musi być.

— A czy pan się czuje zupełnie zdrowy, panie Szwejk?

— Zupełnie zdrowy to ja nie jestem, wielmożny panie radco. Mam reumatyzm, smaruję się opodeldokiem.

Starszy pan znowu uśmiechnął się uprzejmie.

— Co by pan powiedział na to, gdybyśmy pana polecili zbadać przez lekarzy sądowych?

— Ja sędzę, że nie jest tak źle, żeby ci panowie mieli na próżno tracić dla mnie czas. Mnie już badał jeden doktor w dyrekcji policji, czy nie mam trypra.

— Wie pan co, panie Szwejk, my jednak zrobimy próbę z tymi lekarzami sądowymi. Złożymy ładną komisijkę, przekażemy pana do aresztu śledczego, a tymczasem pan sobie dobrze odpocznie. Na razie jedno pytanie: podług protokołu miał pan się wyrażać i rozgłaszać, że teraz niedługo wybuchnie wojna.

— Proszę pana radcy, wojna wybuchnie w krótkim czasie.

— A czy nie miewa pan czasem jakich napadów?

— Napadów, proszę pana, nie mam, tylko raz byłbym o mały figiel wpadł pod samochód na Placu Karola. Ale to już ładnych parę lat temu.

Na tym przesłuchanie zostało zakończone. Szwejk podał panu radcy sądu rękę, a po powrocie do swego pokoiku rzekł sąsiadom:

— No więc przez to zamordowanie pana arcyksięcia Ferdynanda będą mnie badali lekarze sądowi.

— Ja też już byłem badany przez lekarzy sądowych — rzekł pewien młody człowiek.

— Było to wtedy, kiedy się z powodu dywanów dostał przed sąd przysięgłych. Uznali mnie za słabego na umyśle. Teraz przywłaszczyłem sobie parową młockarnię i nic mi nie mogą już zrobić. Wczoraj powiedział mi mój adwokat, że jeśli raz zostałem uznany za słabego na umyśle, to powinienem mieć z tego korzyść na całe życie.

— Ja tym lekarzom sądowym nic nie wierzę — zauważył człowiek o inteligentnym wyglądzie. — Kiedy razu pewnego sfalszowałem weksle, zacząłem na wszelki wypadek chodzić na wykłady psychiatryczne doktora Heverocha, a gdy mnie złapali, symulowałem paranoika akurat tak, jak wypadało podług tych wykładów doktora Heverocha. Jednego z lekarzy ugryzłem w nogę podczas komisji, wypilem atrament z kałamarza i wyknociłem się, z przeproszeniem, w kącie izby przed całą komisją. Ale za to, że jednego z tych panów ugryzł w łydkę, uznali mnie za zupełnie zdrowego i byłem zgubiony.

— Ja się badania tych panów nic a nic nie boję — oświadczył Szwejk. — Jakem służył w wojsku, to mnie badał jeden weterynarz i nic mi się nie stało.

— Lekarze sądowi to dranie — ozwał się mały, skulony człowiek. — Niedawno temu jakimś trafem wykopano na mojej łące szkielet, a lekarze sądowi powiedzieli, że ten szkielet był zamordowany jakimś tępym narzędziem w głowę, i to przed czterdziestu laty. Ja mam lat trzydzieści osiem i zostałem aresztowany, chociaż mam metrykę chrztu, wyciąg z ksiąg stanu cywilnego i paszport.

— Sędzę — rzekł Szwejk — że na wszystko powinniśmy spoglądać z tej drugiej, pogodniejszej strony. Każdy omylić się może, a musi się omylić tym bardziej, im bardziej o czymś rozmyśla. Lekarze sądowi to ludzie, a ludzie mają swoje wady. Raz trafiło mi się w Nuslach, że na moście na rzece Boticz podszedł do mnie w nocy pewien pan, kiedy powracał z gospody „U Banzetów”, i trzasnął mnie bykowcem przez głowę, a gdy leżałem na ziemi, przyjrzał mi się przy świetle latarki i powiada: „To pomyłka. To nie ten”. I tak go ta pomyłka rozzłościła, że mnie przeciągnął bykowcem jeszcze raz przez plecy. Taka to już jest natura ludzka, że człowiek myli się aż do śmierci. Był też taki jeden, który znalazł w nocy wściekłego psa na pół zmarzłego, zabrał go z sobą i wsunął żonię pod

pierzynę, jak się ten pies rozgrzał i okrzepl, to pogryzł całą rodzinę, a najmłodsze dziecko w kołysce rozszarpał i zeżarł. Albo dam wam przykład, jak w naszych stronach pomylił się pewien tokarz. Otworzył sobie kluczem kościółek Św. Michała w Pradze na Podolu, bo myślał, że to jego dom, w zakrystii zdjął buty, bo myślał, że to ich kuchnia, położył się na ołtarzu, bo myślał, że to jego łóżko, i przykrył się takimi zasłonami ze świętymi napisami, a żeby mu było wygodniej, pod głowę położył sobie Ewangelię i inne księgi święte. Rano kościelny znalazł go w kościele, a ten, gdy się już całkiem opamiętał, powiada całkiem dobroduszenie, że to pomyłka. „Ładna pomyłka — rzekł kościelny — kiedy przez tę pomyłkę będziemy musieli kościół na nowo wyświęcać”. Potem tego tokarza badali lekarze sądowi i dowiedli mu, że był zupełnie poczytalny i trzeźwy, ponieważ gdyby był schlany, toby nie trafił kluczem do zamku drzwi kościelnych. Potem ten tokarz umarł na Pankracu w więzieniu. Dam wam też przykład, jak na Kladnie pomylił się pewien pies policyjny, wilk tego znanego rotmistrza Rottera. Rotmistrz Rotter hodował takie psy i robił doświadczenia z wólcęgami, tak że wszystkie wędrujące psy zaczęły Kladno omijać. Więc wydał rozkaz, żeby żandarmi za wszelką cenę przyprowadzili jakiegoś podejrzanego. Przyprowadzili mu tedy dość przyzwoicie ubranego człowieka, którego znaleźli w lańskich lasach siedzącego na jakimś pniaku. Zaraz też kazał, aby mu odcięli kawałek poły od surduta, dał ten kawałek surduta obwąchać swoim żandarmskim psom, a potem zaprowadzili tego człowieka do jakiejś cegielni za miastem, a jego śladem puścili te wytresowane psy, które go też znalazły i przyprowadziły z powrotem. Potem ten człowiek musiał włączyć po drabinie na strych, skakać przez mur, wskoczyć do stawu, a psy za nim. W końcu pokazało się, że ten człowiek to był jeden czeski poseł radykalny, który wyjechał sobie na wycieczkę do lańskich lasów, bo go parlament już zmierził. Toteż mówię, że ludzie mają swoje wady i myślą się, czy to będzie uczony, czy też głupi, nieokrzesany idiota. Mylą się i ministrowie.

Komisja sądowo-lekarska, która miała decydować o tym, czy duchowy horyzont Szejka odpowiada, czy nie odpowiada wszystkim tym zbrodniom, o które został oskarżony, składała się z trzech niezwykle poważnych panów, o poglądach, którymi każdy z nich różnił się zasadniczo od poglądów obu pozostałych kolegów.

Panowie ci reprezentowali trzy różne szkoły psychiatryczne i różne poglądy naukowe.

Jeśli pomimo to w przypadku Szejka doszło do całkowitej zgody między trzema przeciwnymi sobie obozami, to da się to objaśnić jedynie oszalamiającym wrażeniem, jakie na całej komisji wywarł Szejek, gdy wszedłszy do sali, w której miał być badany jego stan umysłowy, i ujrawszy na ścianie obraz austriackiego monarchy, zawołał:

— Panowie, niech żyje cesarz Franciszek Józef I!

Sprawa była zupełnie jasna. Spontaniczna manifestacja Szejka usuwała cały szereg kwestii, pozostawiając tylko niektóre najważniejsze pytania; odpowiedź na nie miała potwierdzić pierwotny sąd o Szejku w oparciu o system doktora psychiatrii Kallersona, doktora Heverocha i Anglika Weikinga.

— Czy radium jest cięższe od ołowiu?

— Ja go, proszę panów, nie ważyłem — odpowiedział Szejek ze swoim miłym uśmiechem.

— Czy wierzysz pan w koniec świata?

— Naprzód musiałbym ten koniec zobaczyć — niedbale odpowiedział Szejek. — Ale z pewnością jeszcze nie jutro nastąpi.

— Czy potrafiłby pan obliczyć przekrój kuli ziemskiej?

— Nie umiałbym, proszę panów — odpowiedział Szejek — ale i ja bym panom też mógł zadać zagadkę. Jest dom o trzech piętrach, każde piętro ma osiem okien. Na dachu są dwa dymniki i dwa kominy. Na każdym piętrze mieszkają dwaj lokatorzy. A teraz powiedzcie, panowie, którego roku umarła babka stróża?

Lekarze sądowi spojrzeli po sobie wymownie, niemniej jednak jeden z nich zadał Szejkowi jeszcze takie pytanie:

— Czy zna pan największą głębię Oceanu Spokojnego?

— Nie znam, proszę panów — brzmiała odpowiedź — ale sądzę, że z pewnością jest większa niż w Węłtawie pod Skalą Vyszehradzką.

Przewodniczący komisji zapytał krótko:

— Wystarczy?

Ale mimo to jeden z członków zadał Szwejkowi jeszcze takie pytanie:

— Ile będzie, gdy dwadzieścia tysięcy osiemset dziewięćdziesiąt siedem pomnożymy przez trzynaście tysięcy osiemset sześćdziesiąt trzy?

— Siedemset dwadzieścia dziewięć — odpowiedział Szwejk bez wahania.

— Sądzę, że to zupełnie wystarczy — rzekł przewodniczący komisji, a zwracając się do strażnika rzekł: — Proszę odprowadzić tego oskarżonego na dawne miejsce.

— Dziękuję wam, panowie — grzecznie skłonił się Szwejk. — Mnie to też zupełnie wystarczy.

Po jego wyjściu kolegium trzech zgodziło się łatwo, że Szwejk jest notoryczny matolek i idiota według wszystkich praw przyrody, wynalezionych przez uczonych psychiatrów.

W relacji przesłanej sędziemu śledczemu było między innymi:

„Niżej podpisani lekarze sądowi ustalają całkowitą tępotę umysłową i wrodzony kretynizm przedstawionego wyżej wymienionej komisji Józefa Szwejka, która to tępota wyraża się takimi słowami, jak np.: »Niech żyje cesarz Franciszek Józef II!« — co samo przez się wystarcza do oświecenia stanu umysłowego Józefa Szwejka jako notorycznego matoleka. Niżej podpisana komisja proponuje, zatem: 1. Umorzyć dochodzenie przeciwko Józefowi Szwejkowi. 2. Odesłać Józefa Szwejka do kliniki psychiatrycznej dla ustalenia, jak dalece jego stan umysłowy może stać się niebezpieczny dla otoczenia”.

Podczas gdy redagowano powyższe orzeczenie, Szwejk opowiadał swoim współtowarzyszom:

— O Ferdynandzie nie było wcale mowy, ale rozmawiali ze mną o jeszcze większych cymbałstwach. Wreszcie powiedzieliśmy sobie, że to, o czym była mowa, zupełnie nam wystarcza, i rozeszliśmy się.

— Ja tam nikomu nie wierzę — zauważył mały, skulony człowieczek, na którego łące przypadkowo wykopano szkielet. — Złodziej na złodzieju.

— I złodziejstwo też musi być — rzekł Szwejk kładąc się na pryczy. — Gdyby wszyscy ludzie życzyli sobie nawzajem dobrze, toby sobie niedługo łby pourywali.

IV. SZWEJK WYPĘDZONY Z DOMU WARIATÓW

Gdy w czasach późniejszych Szwejk opowiadał o życiu w domu wariatów, nie znajdował słów na pochwałę tej instytucji.

— Doprawdy, że nie mogę zrozumieć, dlaczego wariaty gniewają się, że każą im tam siedzieć. Człowiek sobie może łazić nago po podłodze, wyć jak szakal, wściekać się i kąsać. Gdyby człek zrobił coś podobnego gdzieś na promenadzie, toby ludzie otwierali gęby, ale tam takie rzeczy należą do najzwyczajniejszych. Taka tam panuje wolność, o jakiej nawet socjalistom się nie śniło. Można się tam podawać za Pana Boga albo za Przenajświętszą Panienkę, za papieża, za angielskiego króla, za najjaśniejszego pana czy za świętego Wacława, aczkolwiek ten ostatni był ciągle wiązany i musiał nagi leżeć w izolatce. Był tam też jeden, który wykrzykiwał, że jest arcybiskupem, ale nic nie robił, tylko żarł, spał i jeszcze z przeproszeniem robił coś takiego, co można łatwo zrymować, ale tam się takich rzeczy nikt nie wstydzi. Jeden podawał się nawet za świętego Cyryla i Metodego, żeby mu dawali podwójne porcje. Inny znowu był w ciąży i każdego zapraszał na chrzciny. Siedziało tam pod kluczem bardzo dużo szachistów, polityków, rybaków i skautów, zbieraczy marek i fotografów-amatorów. Pewien człowiek siedział z powodu jakichś starych garnków, które nazywał popielnicami. Jednego trzymali tam stale w kafetanie bezpieczeństwa, żeby nie mógł wyliczyć, kiedy nastąpi koniec świata. Spotkałem tam też kilku profesorów. Jeden z nich stale chodził za mną i dowodził mi, że kolebka Cyganów jest w Karkonoszach, a ten drugi objaśniał mnie, że wewnątrz kuli ziemskiej znajduje się jeszcze jedna, daleko większa od zewnętrznej. Każdy mógł tam wygadywać, co mu ślina na język przyniosła, jakby był w parlamencie. Czasem opowiadali sobie tam bajki i bili się, gdy z jaką królowną źle się skończyło. Najbardziej opętany był jeden pan, który podawał się za szesnasty tom *Leksykonu Naukowego* Otty i każdego prosił, żeby go otworzył i odszukał hasło „Kartonażowa maszyna do szycia”, bo inaczej zginie. Uspokoił

się dopiero wówczas, gdy mu nałożono kaftan bezpieczeństwa. Chwalił to sobie, mówiąc, że się dostał do prasy introligatorskiej, i prosił, żeby mu zrobili modny sznyt. W ogóle żyło się tam jak w raju. Można tam wrzeszczeć, ryczeć, śpiewać, płakać, pobekiwać, jęczeć, skakać, modlić się, fikać kozły, chodzić na czworakach, podskakiwać na jednej nodze, kręcić się w kółko, tańczyć, hopsać, siedzieć przez cały dzień w kucki i wdrapywać się na ściany. Nikt do nikogo nie podejdzie i nie powie: „Tęgo robić nie wolno, to nie wypada, tego się trzeba wstydzić, jeśli chcesz uchodzić za człowieka dobrze wychowanego”. Ale trzeba dodać, że nie brak tam całkiem cichych wariatów. Był tam na przykład jeden wykształcony wynalazca, który ciągle dłubał w nosie i tylko raz na dzień mówił: „W tej chwili wynalazłem elektryczność”. Nie ma co gadać, bardzo ładnie tam było i te kilka dni, które spędziłem w domu wariatów, należą do najpiękniejszych chwil mego życia.

Istotnie, już samo przywitanie, jakie oczekiwało Szwejka w domu wariatów, gdy został tam przywieziony z sądu krajowego na obserwację, przeszło wszystkie jego najśmielsze oczekiwania. Najpierw rozebrali go do naga, ubrali w miękki szlafrok i zaprowadzili do kąpieli. Pielęgniarki ujęły go delikatnie pod ramię, a jeden z nich opowiadał mu wesołą anegdotę o Żydach. W łazience zanurzono go w wannie z ciepłą wodą, a potem zaprowadzono pod chłodny natrysk. Powtórzywszy to trzy razy, pytali go, jak mu się to podoba. Szwejk odpowiedział, że to daleko lepsze od łaźni przy Moście Karola i że bardzo lubi się kąpać.

— Jeśli jeszcze ostrzyżecie włosy i przytniecie paznokcie, to już niczego mi nie zabraknie do zupełnego szczęścia — dodał uśmiechając się przyjemnie.

I temu życzeniu uczynili zadość, a potem porządnie go umyli gąbką, owinęli w prześcieradło i zanieśli do pierwszego oddziału na łóżko, gdzie okryli go starannie kołdrą i poprosili, żeby zasnął. Jeszcze dzisiaj Szwejk opowiada o tym wszystkim z zachwytem:

— Wyobraźcie sobie, że mnie nieśli, naprawdę nieśli. Było mi w owej chwili tak błogo.

W łóżku z tej błogości zaraz zasnął. Potem go obudzili i postawili przed nim kubek mleka i bułkę. Bułka była już pokrajana na drobne kawałki i podczas gdy jeden z pielęgniarzy trzymał Szwejka za obie ręce, drugi maczał kawałki bułki w mleku i karmił go nimi, jak się karmi gęś kluskami. Gdy już był nakarmiony, wzięli go pod pachy i zaprowadzili do ustępu, gdzie poprosili go, aby wykonał małą i dużą potrzebę cielesną.

I o tej pięknej chwili wspomina Szwejk ze wzruszeniem, a nie potrzebując chyba powtarzać jego słów o tym, co mu potem zrobili. Nadmienię tu jedynie, iż Szwejk mawia:

— Wyobraźcie sobie, że jeden z nich trzymał mnie przy tym w objęciach.

Gdy go przyprowadzili na salę, położyli znowu do łóżka i znowu prosili, aby zasnął. A gdy zasnął, zbudzili go i zaprowadzili do gabinetu na badanie, gdzie Szwejk, stojąc zupełnie nagi przed dwoma lekarzami, przypomniał sobie sławne czasy poboru do wojska. Mimo woli z ust wyrwało mu się słowo:

— *Tauglich.*

— Co mówicie? — zapytał jeden z lekarzy. — Zróbcie pięć kroków naprzód i pięć w tył.

Szwejk zrobił od razu kroków dziesięć.

— Mówiłem przecie, że macie zrobić pięć kroków — mówił lekarz.

— Ja tam, proszę pana, paru kroków nie żałuję — odpowiedział Szwejk.

Potem wezwali go lekarze, aby usiadł na krześle, a jeden z nich stukał go w kolana. Rzekł wtedy do drugiego lekarza, że odruchy są całkiem prawidłowe, ale tamten pokręcił głową i sam zaczął stukać go w kolana, podczas gdy pierwszy przymykał i odchyłał powieki Szwejka i przyglądał się jego żrenicom. Potem oddalili się ku stołowi i wymienili kilka wyrazów łacińskich.

— Słuchajcie no, umiecie wy śpiewać? — zapytał Szwejka jeden z lekarzy. — Może nam zaśpiewacie jaką piosenkę.

— Naturalnie, proszę panów — odpowiedział Szwejk. — Co prawda, nie mam ani głosu, ani słuchu muzycznego, ale jeśli panowie chcą użyć przyjemności, to spróbuję spełnić wasze życzenie.

I Szwejk zaśpiewał:

Hej, ten młody mnich na ławie

Czoło nad prawicą skłonił
I na blade swe policzki
Dwie gorące łzy uronił...

— Dalej nie umiem — mówił Szwejk. — Jeśli panowie chcą, to zaśpiewam co innego:

O, jak mi ciężko dziś na sercu,
Jak ciężko piersi się oddycha,
Gdy cicho siedzę, z myślą się biedzę,
A pierś za dalą tęsknie wzdycha...

— I tego też dalej nie umiem — westchnął Szwejk. — Umiem jeszcze pierwszą strofę *Kde domov muj i Jenerał Windischgrätz i wojenne pany od samego wschodu słońca wojowały*, i jeszcze parę takich ludowych piosenek, jak np. *Boże, chroń cesarza, Jakeśmy szli do Jaromierza i Bądź tysiackroć pozdrowiona...*

Obaj panowie doktorzy spojrzeli po sobie i jeden z nich zadał Szwejkowi pytanie:

— Czy wasz stan umysłowy był już kiedy badany?

— W wojsku — odpowiedział Szwejk dumnie i uroczyście — byłem przez panów wojskowych lekarzy urzędowo uznany jako notoryczny idiota.

— Mnie się zdaje, że jesteście symulant! — krzyknął drugi lekarz na Szwejka.

— Ja, proszę panów — bronił się Szwejk — nie jestem żaden symulant, ja jestem naprawdę idiota, możecie się panowie spytać w kancelarii 91 pułku w Czeskich Budziejowicach albo w Komendzie Uzupelnień w Karlinie.

Starszy lekarz zrobił ręką beznadziejny gest, a wskazując na Szwejka rzekł do pielęgniarzy:

— Temu człowiekowi oddacie ubranie i przeniesiecie go na trzeci oddział do pierwszego korytarza, potem jeden z was wróci i zanieśe wszystkie jego papiery do kancelarii. I powiecie tam, niech się śpieszą i prędko sprawę załatwiają, żebyśmy go tu zbyt długo nie mieli na karku.

Lekarze rzucili jeszcze jedno miażdżące spojrzenie na Szwejka, który z szacunkiem cofał się ku drzwiom i grzecznie się kłaniał. Na pytanie jednego z pielęgniarzy, dlaczego robi takie głupstwa, odpowiedział:

— Ponieważ jestem nieubrany, czyli nagi, więc nie chcę na tych panów nic takiego wypinać, żeby nie powiedzieli, że jestem niegrzeczny albo cham.

Od chwili gdy dozorczy otrzymali rozkaz zwrócenia Szwejkowi ubrania, nie okazali mu żadnej troskliwości. Nakazali, aby się ubrał, a jeden z nich odprowadził go na trzeci oddział, gdzie przez tych kilka dni, zanim w kancelarii załatwiono urzędowo sprawę jego wylania ze szpitala, Szwejk miał sposobność poczynienia ciekawych spostrzeżeń. Rozczarowani lekarze wystawili mu świadectwo, że jest „symulantem upośledzonym na umyśle”, a ponieważ ze szpitala wydali go przed obiadem, doszło do drobnego zatargu.

Szwejk oświadczył, że jeśli go z domu wariatów wyrzucają, to powinni dać mu obiad.

Awanturze położył kres policjant wezwany przez odźwiernego. Szwejk został zaprowadzony do komisariatu przy ulicy Salma.

V. SZWEJK W KOMISARIACIE POLICJI PRZY ULICY SALMA

Po pięknych, słonecznych dniach spędzonych w domu wariatów zwały się na Szwejka godziny ciężkich prześladowań. Inspektor policji Braun zaaranżował scenę spotkania ze Szwejkem z okrucieństwem rzymskich żołdaków z czasów przemilego cesarza Nerona. Tak jak wtedy mawiano: „Rzućcie tego łajdaka chrześcijanina lwom!” — tak inspektor Braun rzekł twardo:

— Za kratę z nim!

Ani słówka więcej, ani mniej. Tylko w oczach inspektora policji Brauna pojawił się błysk perwersyjnej rozkoszy.

Szwejk skłonił się i rzekł z godnością:

— Jestem gotów, panowie. Mniemam, że krata znaczy to samo, co separacja, a to jeszcze nie najgorsze.

— Nie pytlujcie nam tu za wiele — odpowiedział policjant, na co Szwejk zareplikował:

— Jestem całkiem skromny i wdzięczny za wszystko, co panowie dla mnie uczynić raczą.

W celi siedział na pryczy mąż niejaki w głębokiej zadumie. Siedział apatycznie. Gdy klucz zazgrzytał w zamku, miał taką minę, jakby ani przez chwilę nie przypuszczał, że otwierają drzwi, aby go wypuścić na wolność.

— Moje uszanowanie wielmożnemu panu — rzekł Szwejk osiadając obok niego na pryczy. — Która też może być godzina?

— Ja na godzinę gwizdę — odpowiedział mąż zamyślony.

— Jest tu nie najgorzej — nawiązywał Szwejk rozmowę — na przykład ta prycha jest z drzewa heblowanego.

Poważny człowiek nie odpowiedział, ale wstał i zaczął chodzić po celi krokiem szybkim, przemierzając przestrzeń między pryczą a drzwiami, jakby się śpieszył i pragnął coś uratować.

Tymczasem Szwejk z dużym zainteresowaniem przyglądał się napisom nagryzmołonym na ścianach. Był tam na przykład jeden napis, którego autor przysięgał niebu toczyć z policją walkę na śmierć i życie. Tekst był taki:

„Dam ja wam, dranie”.

Inny więzień napisał:

„Całujcie mnie w nos, koguty”.

Inny stwierdzał prosty fakt:

„Siedziałem tu 5 czerwca 1913 i obchodzono się ze mną przyswoicie. Józef Mareczek, kupiec z Vrszovic”.

Ale był tu też jeden napis wstrząsający do głębi:

„Łaski, wielki Boże!” — a pod tym dopisek:

„Pocałujcie mnie w d.”

litera „d” była przekreślona, a na boku dużymi literami dopisano: „połę”. Jakaś dusza poetycka napisała obok tego wiersz:

Nad strumykiem zasmucony siedzę,
Góra słońko złote przesłoniła,
A ja tęsknym okiem w dal spoglądam,
Tam gdzie mieszka moja miła.

Człowiek, który biegł między drzwiami a pryczą tak szybko, jakby chciał zdobyć rekord w biegu maratońskim, zatrzymał się zdyszany, usiadł na dawnym swoim miejscu, wsparł głowę na dłoniach i ryknął nagle:

— Wypuście mnie na wolność!

— Nie, oni mnie nie wypuszczą — odpowiadał sam sobie — nie wypuszczą i nie wypuszczą. Jestem tutaj już od godziny szóstej rano.

Stał się nagle rozmowny, wyprostował się i zapytał Szwejka:

— Czy nie ma pan przypadkiem rzemiennego pasa, żebym mógł z tym skończyć?

— Z miłą chęcią mogę panu służyć — odpowiedział Szwejk odpinając pas. — Jeszcze nigdy nie widziałem, jak się ludzie w areszcie wieszają na rzemiennym pasie. Tylko z tym kłopot — mówił Szwejk rozglądając się dokoła — że tu nigdzie nie ma porządnego haka. Klamka okienna pana nie utrzyma. Chyba że powiesiłby się pan kłęcząc na pryczy, jak zrobił ten mnich w klasztorze emauskim, co się powiesił na krucyfiksie przez jedną młodą Żydówkę. Ja samobójców bardzo lubię. Dalej, a żwawo!

Ponury człowiek, któremu Szwejk wetknął pas w rękę, spojrzął na rzemień, rzucił go w kąt i wybuchnął płaczem, rozmazując brudnymi rękami łzy po całej twarzy. Skrzeszczącym głosem wyrzucił przy tym zdanie za zdaniem:

— Ja mam dzieci, ja się tu dostałem za pijaństwo i za niemoralne życie. Jezus Maria, moja biedna żona, co też powiedzą teraz w urzędzie? Ja mam dzieci, ja tu jestem za pijaństwo i życie niemoralne. — I tak dalej w kółko i bez końca.

Wreszcie uspokoił się trochę, podszedł ku drzwiom i zaczął w nie kopać i walić pięściami. Za drzwiami dały się słyszeć kroki i ozwał się głos:

— Czego tam?

— Wypuście mnie na wolność! — rzekł aresztant takim głosem, jakby wolność była do istnienia koniecznie potrzebna.

— Gdzie wam tak pilno? — pytano z drugiej strony drzwi.

— Do urzędu — odpowiedział nieszczęśliwy ojciec, małżonek, urzędnik, pijak i rozpustnik.

Ozwał się śmiech, upiorny śmiech wśród ciszy korytarza, i kroki się oddaliły.

— Jeśli się nie mylę, to ten pan nienawidzi pana, skoro się z pana tak śmieje — mówił Szwejk, podczas gdy złamany na duchu mąż usiadł znowu obok niego. — Taki dozorca jest zdolny do wszystkiego, gdy się rozżłości. Niech pan siedzi spokojnie, skoro nie chce się pan powiesić, i niech pan czeka, co będzie dalej. Jeśli pan jest urzędnikiem, żonatym i jeszcze do tego ma pan dzieci, to zgadzam się, że to jest straszne. Jeśli się nie mylę, to pan jest przekonany, że pana wydadzą z urzędu.

— Tego panu powiedzieć nie mogę — westchnął zapytany — ponieważ sam już nie pamiętam, co wyrabiałem. Wiem tylko tyle, że mnie skądś wyrzucili i miałem tam wrócić, aby zapalić sobie cygaro. Ale przedtem to wszystko tak się ładnie zaczęło. Naczelnik naszego wydziału obchodził imieniny i zaprosił nas do pewnej winiarni, potem poszliśmy do drugiej, do trzeciej, do czwartej, do piątej, do szóstej, do siódmej, do ósmej, do dziewiątej...

— Może pan sobie życzy, żeby mu pomóc liczyć? — zapytał Szwejk. — Ja się na tych rzeczach znam, bo pewnej nocy byłem w dwudziestu ośmiu lokalach. Ale muszę się pochwalić, że nigdzie nie zamawiałem więcej niż trzy piwa.

— Jednym słowem — mówił dalej nieszczęśliwy podwładny pana naczelnika, który tak wspaniale obchodził imieniny — gdybyśmy absolwowali z tuzin tych spelunczek, zauważyliśmy, że pan naczelnik nam się gdzieś zapodział, pomimo że uwiązaliśmy go na szpagacie i wodziliśmy z sobą jak pieska. Więc gdy nam zginął, poszliśmy go szukać, a przy tym szukaniu poginęliśmy sobie nawzajem, aż wreszcie sam jeden znalazłem się w nocnym lokalu na Vinohradach, a był to lokal przyzwoity, gdzie piłem jakiś likier prosto z butelki. Co później jeszcze robiłem, tego już nie pamiętam, wiem tylko tyle, że już w komisariacie, gdy zostałem tutaj przyprowadzony, obaj policjanci, co mnie przyprowadzili, składali raport, że się upiłem, że się zachowywałem niemoralnie, że pobitem pewną damę, że szczyrykiem porznąłem czyjś kapelusz, który zdjąłem z wieszaka, rozpedziłem damską kapelę, oskarżyłem publicznie oberkelnera, że ukradł mi dwadzieścia koron, przetrąciłem marmurową płytę stołu, przy którym siedziałem, i rozmyślnie naplułem w czarną kawę pewnemu panu, który siedział przy sąsiednim stole. Więcej nic nie zrobiłem, a przynajmniej nie mogę sobie przypomnieć, abym zrobił jeszcze coś takiego. I proszę mi wierzyć, że jestem taki porządny, inteligentny człowiek, który nie myśli o niczym innym, tylko o swojej rodzinie. Co pan na to wszystko powie? Przecież ja nie jestem żaden awanturnik.

— Dużo też pan miał roboty z przetrąceniem tej płyty marmurowej? — zapytał Szwejk okazując duże zainteresowanie. — Czy może przetrącił ją pan od jednego zamachu?

— Od jednego — odpowiedział inteligentny pan.

— W takim razie jest pan zgubiony — rzekł Szwejk w zamyśleniu. — Dowiodą panu, że pan się do tego przygotowywał pilnym ćwiczeniem. A ta kawa obcego pana, w którą pan napluł, czy była z rumem, czy bez rumu? — I nie czekając odpowiedzi wyjaśniał: — Jeśli była z rumem, to sprawa będzie gorsza, ponieważ taka kawa jest droższa. W sądzie oblicza się wszystko skrupulatnie, żeby można było doliczyć się przynajmniej grubej zbrodni.

— W sądzie — jęknął bezradnie sumienny ojciec rodziny i opuściwszy głowę popadł w niemily stan, w którym człowieka żrą wyrzuty sumienia¹.

— A czy w domu wiedzą już, że pan się dostał za kratę? — pytał Szwejk. — Czy też będą czekali, aż o tym będzie w gazetach?

— Pan sądzi, że to się dostanie do gazet? — naiwnie spytała ofiara imienin swego przełożonego.

— To więcej niż pewne — brzmiała surowa odpowiedź, bowiem Szwejk nigdy nie miał zwyczaju ukrywać coś przed ludźmi. — Wszystkie te rzeczy będą się czytelnikom gazet ogromnie podobały. Ja też bardzo lubię odczytywać rubrykę o pijanicach i o awanturach. Niedawno temu „Pod Kielichem” pewien gość nie zrobił nic takiego, tyle tylko, że sam sobie stukł kufel na głowie. Podrzucił go do góry i stanął pod nim. Odwieźli go z gospody, a rano już o tym czytaliśmy. Albo na przykład w „Bendlovce” dałem raz pewnego jednemu karawaniarzowi w pysk, a on mi oddał. Abyśmy się mogli pogodzić, musieli nas obu aresztować i zaraz było o tym w wieczornych gazetach. Albo gdy w kawiarni „Pod Trupem” stukł pan radca dwa talerzyki, to myśli pan, że mieli wzgląd na niego? Zaraz na drugi dzień był w gazetach. Może pan zrobić tylko tyle, że z aresztu pośle pan do gazet sprostowanie, iż wiadomości, które zostały zamieszczone, nie dotyczą pana, i że z tym panem, o którym mowa, nie jest pan ani spokrewniony, ani zaprzyjaźniony. Zaś do domu napisze pan, żeby panu to sprostowanie z gazety wycięli; przeczyta je pan sobie, jak odsiedzi karę.

Czy panu nie chłodno? — zapytał Szwejk ze współczuciem, gdy zauważył, że inteligentny pan się trzęsie. — W tym roku koniec lata jest trochę chłodnawy.

— Ja jestem skompromitowany — zapłakał towarzysz Szwejka. — Kariera moja skończona.

— A tak — najchętniej zgadzał się Szwejk. — Gdy po odsiedzeniu kary nie przyjmą pana na dawne stanowisko, to nie wiem, czy tak łatwo znajdzie pan inne miejsce, bo każdy pracodawca, choćby i hycel, żąda świadectwa moralności. Święta prawda, że taka chwilka rozkoszy, jakiej pan wtedy zażył, nie opłaca się. A czy małżonka pańska i dzieci mają środki utrzymania przez ten czas, kiedy pan tu będzie siedział? Czy też będzie musiała chodzić żebrać i uczyć dzieci różnych występków.

Ozwało się łkanie.

— Moje biedne dziatki! Moja biedna żona!

Skruszony grzesznik wstał i rozgadał się o swoich dziatkach: ma ich pięcioro, najstarszy ma lat dwanaście i należy do tych tam skautów. Pije tylko wodę, a ojciec powinien sobie brać przykład z niego, taki ojciec, który po raz pierwszy w życiu dopuścił się takich rzeczy.

— Do skautów należy? — zapytał Szwejk. — Bardzo lubię słuchać opowiadania o tych skautach. Pewnego razu w Mydlovarach koło Zlivia, obwód Hluboka, powiat Czeskie Budziejowice, akurat wtedy, jakeśmy tam — 91 pułk — mieli ćwiczenia, chłopci okoliczni zrobili oblężenie na skautów w lesie gminnym, bo im się tam bardzo rozplenili. Złapali trzech. Ten najmniejszy z nich, gdy go wiązali, kwilił, pisał i tak narzekał, że my, zahartowane wojaki, nie mogliśmy na to patrzeć i woleliśmy odejść. Przy tym wiązaniu ci trzej skauci pokąsali ośmiu chłopów. Potem na mękach u wójta, pod trzcina, zeznali, że w całej okolicy nie ma ani jednej łąki, której nie byliby wygnietli, gdy się wygrzewali na słońcu, dalej, że koło Ražic przed samymi żniwami jeden łan żyta na pniu spalił się tylko skutkiem nieszczęśliwego wypadku, kiedy sobie w życie na różnie piekli sarenkę, upolowaną za pomocą noża w lesie gminnym. W ich kryjówce leśnej znaleziono przeszło pół korca ogryzionych kości drobiu i dziczyzny, ogromne mnóstwo pestek czereśni, zatręśnienie ogryzków z niedojrzałych jabłek i inne dobre rzeczy.

Ale niefortunny ojciec skauta nie dał się pocieszyć.

— Co ja zrobiłem? — biadał. — Reputację mam zmarnowaną.

— Słusznie pan powiedział — rzekł Szwejk z wrodzoną szczerością. — Po tym, co się stało, musi pan mieć reputację zmarnowaną na całe życie, ponieważ znajomi pańscy dodadzą jeszcze to i owo do tego, co będą czytali w gazetach o panu. To się zawsze tak robi,

¹człowieka żrą wyrzuty sumienia — niektórzy pisarze używają wyrażenia: „Gryzą wyrzuty sumienia”. Uważam takie wyrażenie za nie dość ściśle. I tygrys żre człowieka, a nie gryzie. [przypis autorski]

ale niech pan się tym nie przejmuj. Takich ludzi, co mają zaszarganą albo zmarnowaną reputację, jest na świecie przynajmniej dziesięć razy tyle, ile jest ludzi z dobrą reputacją. To taka drobnostka, o której nie warto gadać.

Na korytarzu dały się słyszeć ciężkie kroki, klucz zazgrzytał w zamku, drzwi się otworzyły, a od progu policjant wywołał Szwejka po imieniu i nazwisku.

— Przepraszam pana — rzekł rycerski Szwejk — ja tu jestem dopiero od godziny dwunastej, a ten pan już od szóstej rano, więc mnie nie pilno.

Zamiast odpowiedzi krzepka ręka policjanta wyciągnęła Szwejka na korytarz i bez jednego słowa poprowadziła go po schodach na piętro.

W drugim pokoju przy stole siedział komisarz policji, otyły pan o dobrodusznym wyglądzie. Pan ten ozwał się uprzejmie:

— Aha, to pan jest ten Szwejk? A w jaki sposób pan się tu dostał?

— W sposób najwyczajniejszy — odpowiedział Szwejk. — Przyprowadził mnie tu jeden pan policjant, ponieważ nie chciałem się zgodzić na to, żeby mnie z domu wariatów wyrzucali na czczo. Bo tak jest tak, jakby mnie uważali za taką dziewczkę z ulicy, co to ją można kopnąć.

— Wie pan co, panie Szwejk — rzekł uprzejmie pan komisarz. — Na co nam tu, na Salmovcu, ten cały ambaras? Czy nie lepiej będzie, gdy pošlemy pana do dyrekcji policji?

— Pan jest, że się tak wyrażę, panem sytuacji — mówił Szwejk spokojnie. — Teraz pod wieczór taki spacerek będzie bardzo przyjemny.

— Bardzo mi miło, żeśmy się tak łatwo dogadali — rzekł wesoło komisarz policji. — Najlepiej żyć w zgodzie. Prawda, panie Szwejk?

— Ja też bardzo lubię zgodzić się z każdym — odpowiedział Szwejk. — Ja pańskiej dobroci nigdy nie zapomnę. Niech mi pan wierzy, panie komisarzu.

Skłoniwszy się grzecznie, wyszedł z policjantem i już po upływie kwadransa widać było Szwejka pod opieką tegoż policjanta na rogu ulicy Jęczmiennej i Placu Karola. Policjant miał pod pachą dużą księgę z niemieckim napisem: „*Arrestantenbuch*”.

Na rogu ulicy Spalonej Szwejk, idący ze swoim towarzyszem, zetknął się z tłumem ludzi tłoczących się dokoła wielkiego obwieszczenia.

— To manifest najjaśniejszego pana o wypowiedzeniu wojny — rzekł policjant do Szwejka.

— Ja to przewidziałem — rzekł Szwejk — ale u wariatów nic jeszcze o tym nie wiedz, chociaż powinni by to mieć z pierwszej ręki.

— Jak pan to rozumie? — zapytał policjant Szwejka.

— Ponieważ u wariatów siedzi pod kluczem dużo panów oficerów — tłumaczył Szwejk, a gdy zrównali się z tłumem stojącym przed manifestem, zawołał: — Cesarz Franciszek Józef niech żyje! Tę wojnę wygramy!

Ktoś z nadmiaru entuzjazmu wcisnął Szwejkowi kapelusz na uszy, po czym dobry wojak Szwejk, otoczony zbiegowiskiem ludzi, wkroczył po raz drugi w bramę dyrekcji policji.

— Tę wojnę wygramy z całą pewnością, powtarzam to jeszcze raz, panowie! — zawołał Szwejk rozstając się z tłumem, który mu towarzyszył.

A gdzieś z mrocznej otchłani wieków przybliżała się ku Europie prawda, że dzień jutrzejszy zniweczy plany teraźniejszości.

VI. SZWEJK PRZERYWA ZACZAROWANE KOŁO I WRACA DO DOMU

Gmach dyrekcji policji przenikał chłód obcego autorytetu, śledzącego pilnie, jak dalece ludność entuzjazmuje się wojną. Prócz garści ludzi, którzy się nie wyparli, że są synami narodu mającego przelewać krew za sprawy zgoła mu obce, dyrekcja policji była wspa- niałą kolekcją biurokratycznych drapieżników, których jedynym celem życia była obrona suchych i bezdusznych paragrafów przy pomocy więzienia i szubienicy.

Z ofiarami swymi ludzie ci obchodzili się z jadowitą uprzejmością, czyhając baczenie na każde ich słowo.

— Bardzo mi przykro — rzekł jeden z tych czarno-żółtych drapieżników, gdy prowadzono doń Szwejka — że pan znowu dostał się w nasze ręce. Myśleliśmy, że się pan poprawi, ale spotkał nas zawód.

Szwejk bez słowa potakiwał głową i miał minę tak niewinną, że czarno-żółta bestia spojrzęła na niego z dużym zaciekawieniem i rzekła z naciskiem:

— Nie rób pan takiej idiotycznej miny.

Ale natychmiast przeszła znowu na ton wielkiej uprzejmości i mówiła dalej:

— Dla nas jest rzeczą bardzo niemiłą trzymać pana w areszcie i mogę pana zapewnić, że zdaniem moim wina pańska nie jest tak wielka, bo przy małej pańskiej inteligencji nie można wątpić, że został pan oszukany. Niech pan mi powie, panie Szwejk, kto też pana namawia, aby pan wyprawiał takie głupstwa?

Szwejk zakaszłał i ozwał się:

— Ja, proszę pana, o żadnych głupstwach nic nie wiem.

— A czyż to nie jest głupstwo, panie Szwejk — wywodził urzędnik obłudnym, ojcowiskim tonem — gdy pan, według opowiadania policjanta, który pana tutaj przyprowadził, spowodował zbiegowisko przed manifestem o wojnie, wywieszonym na rogu ulicy, i gdy podburzałeś lud wołaniem: „Niech żyje cesarz Franciszek Józef! Ta wojna jest wygrana!”

— Nie mogłem być obojętny — wyjaśniał Szwejk spoglądając swymi zacnymi oczami w oczy inkwizytora. — Oburzyło mnie to, gdy widziałem, że wszyscy czytają ten manifest o wojnie, a nikt nie okazuje radości. Nikt nie wiwatuje, nikt nie woła „hura”, w ogóle nic, panie radco. To tak, jakby ich to wcale nie obchodziło. Więc ja, stary wojak z 91 regimentu, nie mogłem już na to patrzeć, krzyknąłem, co się należało, i myślę, że gdyby pan był na moim miejscu, toby pan postąpił tak samo jak ja. Jak jest wojna, to musi być wygrana i trzeba wołać: „Niech żyje najjaśniejszy pan!” — tego mnie nikt uczyć nie potrzebuje.

Przekonany i skruszony, czarno-żółty drapieżnik nie mógł znieść dłużej spojrzenia niewinnego baranka Szwejka, opuścił więc oczy na urzędowe akta i rzekł:

— Uznaję całkowicie pański zapal, ale powinien się on przejawiać w innych okolicznościach. Sam pan wie dobrze, że prowadził pana policjant, więc taki wybuch patriotyzmu musiał wyrzucić na publiczności wrażenie raczej ironiczne niż poważne.

— Gdy kogoś prowadzi policjant — odpowiedział Szwejk — to taki moment w życiu jest ciężki. Ale gdy człowiek nawet w takim momencie nie zapomina o tym, co należy robić, gdy jest wojna, to ja sądzę, że taki człowiek zły nie jest.

Czarno-żółta bestia zawarczała i jeszcze raz spojrzęła Szwejkowi w oczy.

Szwejk odpowiedział niewinnym, miękkim, skromnym i tkliwym ciepłem swego spojrzenia.

Przez chwilę patrzyli sobie uparcie w oczy.

— Pał pana diabli, panie Szwejk — rzekła wreszcie gęba urzędowa — ale jeśli dostanie się tu pan jeszcze raz, to w ogóle nie będę pana o nic pytał, ale odeślę pana bez jednego słowa do wojennego sądu na Hradczany. Zrozumiał pan?

Nim się pan radca spostrzegł, Szwejk podszedł do niego, pocałował w rękę i rzekł:

— Bóg zapłać za wszystko. Gdyby pan potrzebował czasem jakiego rasowego pieska, to niech pan się zwróci do mnie. Ja handluję psami.

W taki sposób Szwejk znalazł się znowu na wolności i mógł wrócić do domu.

Zaczął się zastanawiać, czy po drodze nie należałoby najpierw wstąpić do gospody „Pod Kielichem”. Skończyło się na tym, że otworzył drzwi, którymi wyszedł był swego czasu w towarzystwie wywiadowcy Bretschneidera.

W gospodzie panowała grobowa cisza. Siedziało tam kilku gości, a wśród nich kościelny z kościoła Św. Apolinarego. Wszyscy mieli miny ponure. Za szynkwasem siedziała gospodyni Palivcowa i tępo spoglądała na kurki od piwa.

— Otom i ja — rzekł Szwejk wesoło. — Proszę o szklankę piwa. A gdzież to pan Palivec? Czy też już w domu?

Zamiast odpowiedzi Palivcowa zaczęła płakać, wzdychać; każdym słowem wyrażała swoją rozpacz, akcentując osobliwie:

— Dostał... dziesięć... lat... przed... tygodniem.

— No, to już sobie tydzień odsiedział — rzekł Szwejk.

— On był taki ostrożny — płakała Palivcowa — sam to ciągle o sobie powtarzał.

Goście w gospodzie uparcie milczeli, jakby po izbie błądził duch Palivca i napominali ich do jeszcze większej ostrożności.

— Ostrożność to matka mądrości — rzekł Szwejk zasiadając do stołu nad szklanką piwa. W pianie tego piwa były dziurki od łez Palivcowej, która płakała podając Szwejkowi kufel do stołu. — Dzisiejsze czasy są takie, że zmuszają człowieka do ostrożności.

— Wczoraj mieliśmy dwa pogrzeby — zmienił temat rozmowy kościelny z kościoła Św. Apolinarego.

— Widać ktoś umarł — rzekł drugi gość, a trzeci spytał:

— Czy te pogrzeby były z katafalkiem?

— Chciałbym wiedzieć — rzekł Szwejk — jakie teraz, w czasie wojny, będą te wojskowe pogrzeby.

Goście wstali, zapłacili i bez słowa wyszli. Tylko Szwejk został sam na sam z Palivcową.

— Nawet nie byłbym pomyślał, żeby niewinnego człowieka skazywali na dziesięć lat — rzekł Szwejk. — Że jednego niewinnego skazali na pięć lat, o tym już słyszałem, ale na dziesięć, to trochę za dużo.

— Bo mój chłop się przyznał — płakała Palivcowa — do tego, co tutaj mówił o tych muchach i o tym obrazie, i powtórzył to w dyrekcji policji i w sądzie. Byłam w sądzie na sprawie jako świadek, ale cóż ja tam mogłam świadczyć, kiedy mi powiedzieli, że jestem w stosunku powinowactwa do mego męża i że mogę się zrzec zeznania. Ja się tak wystraszyłam tego stosunku powinowactwa, żeby z tego nie było jeszcze czego gorszego, i zrzekłam się świadczenia, a mój biedny stary tak na mnie spojrział, że do samej śmierci nie zapomnę tego spojrzenia. A potem, po wyroku, kiedy go odprowadzali, krzyknął tam na korytarzu, jakby zupełnie zwariował: „Niech żyje Związek Wolnej Myśli!”

— A pan Bretschneider już tu nie bywa? — spytał Szwejk.

— Był tu parę razy — odpowiedziała gospodyni — wypił piwo albo dwa, pytał, kto tu bywa, i przysłuchiwał się, jak goście rozmawiają o footballu. Oni, jak go tylko widzą, zawsze rozmawiają o footballu. A jego podrzucało, jakby go miało pokręcić, jakby miał dostać ataku furii. Przez ten cały czas nabrał tylko jednego tapicera z ulicy Poprzecznej.

— To rzecz wprawdy — rzekł Szwejk. — Czy ten tapicer był głupi człowiek?

— Taki jak mój mąż mniej więcej — odpowiedziała z płaczem. — Pytał się go, czy strzelałby do Serbów. A on odpowiedział, że nie umie strzelać, że był raz pewnego w strzelnicy i postrzelał tam całą koronę. Potem słyszeliśmy wszyscy, jak pan Bretschneider rzekł zapisując sobie w notatniku: „Patrzcie państwo, znowu taka ładna zdrada stanu” — i zabrał z sobą tego tapicera z ulicy Poprzecznej, który już nie wrócił.

— Dużo jest takich, co już nie powrócą — mówił Szwejk. — Proszę o rum.

Właśnie zamawiał sobie Szwejk drugą porcję rumu, gdy do gospody wszedł po cywilnemu policjant Bretschneider. Rozejrzał się po szynku, przysiadł się do Szwejka, kazał sobie podać piwa i czekał, co Szwejk powie.

A Szwejk, zdjąwszy z wieszaka jakąś gazetę i przeglądając ostatnią stronę ogłoszeń, odezwał się:

— Patrzcie państwo, niejaki pan Czimpera, Straszkov numer 5, poczta Raczinie-wieś, sprzedaje gospodarkę z trzynastoma morgami własnego pola. Szkoła i kolej na miejscu.

Bretschneider nerwowo bębnił palcami i zwracając się do Szwejka rzekł:

— Dziwię się, że pana takie gospodarstwo zajmuje, panie Szwejk.

— Ach, to pan — rzekł Szwejk wyciągając rękę na przywitanie. — Nie poznałem pana od razu, bo mam bardzo słabą pamięć. Ostatnio widzieliśmy się bodajże w kancelarii dyrekcji policji, prawda? Co pan porabiał w tym czasie? Czy zachodzi pan tu często?

— Dzisiaj przyszedłem tu, żeby się spotkać z panem — rzekł Bretschneider. — W dyrekcji policji powiedziano mi, że pan sprzedaje psy. Potrzebuję ładnego ratlerka albo szpica czy coś w tym rodzaju.

— Mogę panu służyć psami każdego gatunku — odpowiedział Szwejk. — Życzy pan sobie zwierzę rasowe czy też zwyczajne?

— Sądzę — odpowiedział Bretschneider — że lepiej od razu wziąć rasowe zwierzę.

— No, a psa policyjnego nie życzyłby pan sobie? — zapytał Szwejk. — Takiego mianowicie, który natychmiast wszystko wytropi i naprowadzi na ślad zbrodni? Ma takiego psa jeden rzeźnik we Vrszovicach, a ten pies ciągnie wózek, bo jak to się mówi, minął się ze swoim powołaniem.

— Chciałbym jednak szpica — ze spokojnym uporem mówił Bretschneider. — Szpica, który by nie kąsał.

— A więc życzy pan sobie szpica bez zębów? — zapytał Szwejk. — Wiem o takim szpicu. Ma go pewien właściciel gospody w Dejvicach.

— No, to już lepiej ratlerka — ozwał się zakłopotany pan Bretschneider, którego wiadomości o psach były bardzo nikłe i gdyby nie rozkaz dyrekcji policji, to nigdy by się psami nie interesował.

Ale rozkaz był jasny i wyraźny: zapoznać się bliżej ze Szwejkami, korzystając z tego, że handluje on psami; Bretschneider miał prawo dobrać sobie pomocników i rozporządzał pewnymi sumami na kupno psów.

— Ratlery są większe i mniejsze — rzekł Szwejk. — Wiem o dwóch małych i o trzech większych. Wszystkich pięcioro można sobie położyć na kolanach. Mogę je panu polecić jak najgoręcej.

— Taki ratler bardzo by mi się podobał — zdecydował się Bretschneider. — A ile też kosztuje taki piesek?

— To zależy od wielkości — odpowiedział Szwejk. — Wielkość gra tu ważną rolę. Bo ratlerki to nie cielę. U ratlerków odwrotnie: im mniejszy, tym droższy.

— Ja bym reflektował na większego, który by stróżował — odpowiedział Bretschneider w obawie, aby nie obciążyć nadmiernie tajnego funduszu policji państwowej.

— Dobrze — rzekł Szwejk — większego ratlerka mogę panu sprzedać za pięćdziesiąt koron, a jeszcze większego za czterdzieści pięć, ale zapomnieliśmy o jednej rzeczy: czy to mają być szczenięta, czy też stare psy, i czy chodzi o psy, czy o suki.

— Mnie wszystko jedno — odpowiedział Bretschneider, który zetknął się tu nagle z nie znanymi mu dotychczas zagadnieniami. — Niech pan mi się wystara o pieska, a ja jutro wieczorem o siódmej przyjdę po niego. Będzie?

— Niech pan przyjdzie — sucho odpowiedział Szwejk. — Pies będzie, ale w takim razie jestem zmuszony prosić o zaliczkę trzydziestu koron.

— Rzecz prosta — rzekł Bretschneider wyliczając Szwejkowi pieniądze. — A teraz zafundujemy sobie po ćwiartce wina na mój rachunek.

Kiedy wypili, z kolei Szwejk postawił ćwiartkę wina, potem Bretschneider, mówiąc do Szwejka, żeby się go nie obawiał, bo dzisiaj nie ma służby, i każdy śmiało może z nim rozmawiać o polityce.

Szwejk zauważył, że w szynku nigdy o polityce nie rozmawia, bo cała polityka to zabawka dla małych dzieci.

Bretschneider, przeciwnie, ujawniał wielce rewolucyjne poglądy i mówił, że każde słabe państwo skazane jest na zagładę. Przy sposobności zapytał Szwejka, jakie są jego poglądy w tej materii.

Szwejk zameldował mu, że jeszcze nigdy nie miał nic do czynienia z państwem, ale że kiedyś miał pod opieką słabe szczenię bernardyna, które karmił sucharami wojskowymi, i też zdechło.

Przy piątej ćwiartce Bretschneider oznajmił, że jest anarchista, i spytał Szwejka, do jakiej organizacji przystać najlepiej.

Szwejk odpowiedział, że raz pewnego jakiś anarchista kupił u niego psa leonbergera za sto koron i ostatniej raty mu nie dopłacił.

Przy szóstej ćwiartce Bretschneider mówił o rewolucji i występował ostro przeciwko mobilizacji, na co Szwejk odpowiedział mu szeptem, pochylając się nad jego uchem:

— Akurat przyszedł do lokalu jakiś gość, więc uważaj pan, żeby nic nie słyszał, bo mógłby pan z tego mieć przykrości. Widzi pan przecie, że Palivcowa już płacze.

Palivcowa naprawdę płakała siedząc na krześle przy szynkwacie.

— Czemu pani płacze, pani gospodyni? — zapytał Bretschneider. — Po trzech miesiącach wygramy wojnę, będzie amnestia, mąż pani wróci do domu i wtedy sobie popijemy. Czy może jest pan zdania, że tej wojny nie wygramy? — zwrócił się do Szwejka.

— Kto by tam ciągle wałkował takie rzeczy — rzekł Szwejk. — Wygrać musimy, i basta, ale teraz idę do domu, bo już czas na mnie.

Szwejk zapłacił, co był winien, i powrócił do swojej starej posługaczki, pani Müllero-wej, która się bardzo wystraszyła, gdy spostrzegła, że człowiekiem, który otwiera kluczem drzwi, jest pan Szwejk.

— Myślałam, proszę pana, że pan powróci dopiero za kilka lat — rzekła ze zwykłą swoją szczerością. — Ja tymczasem z żalu za panem wzięłam sobie na kwaterę portiera z nocnej kawiarni, bo u nas była już trzy razy rewizja, a gdy nic nie mogli znaleźć, powiedzieli, że pan jest zgubiony, bo widać, jaki pan wyrafinowany.

Szwejk zauważył natychmiast, że nieznany obcy człowiek urządził się w jego mieszkaniu jak najwygodniej. Spał na jego łóżku i okazał się nawet tak dalece szlachetny, że zadowolili się połową łóżka, a na drugiej połowie umieścił jakieś długowłose stworzenie, które spało objawszy go przez wdzięczność za szyję. Zaś przed łóżkiem leżały w nieładzie części garderoby męskiej i damskiej. Z tego chaosu można było łatwo wywnioskować, że portier nocnego lokalu powrócił do domu w dobrym usposobieniu.

— Panie — rzekł Szwejk potrząsając intruzem — bo pan się spóźni na obiad. Byłoby mi bardzo przykro, gdyby pan na mnie narzekał, że wyrzuciłem pana dopiero wtedy, jak już nigdzie nie było można dostać nic do zjedzenia.

Portier z nocnego lokalu był bardzo zaspany, więc trwało dość długo, zanim pojął, że właściciel łóżka powrócił do domu i ma do tego łóżka pretensje.

Obyczajem wszystkich portierów nocnych lokali i ten pan wyraził się, że spierze każdego, kto go będzie budził, i próbował spać dalej.

Szwejk pozbiierał tymczasem części jego garderoby, przyniósł mu je do łóżka i potrząsając śpiochem energicznie, rzekł:

— Jeżeli się pan nie ubierze, to spróbuję wyrzucić pana na ulicę tak, jak pan leży w łóżku. Będzie dla pana wielkim przywilejem, jeśli wyleci pan stąd ubrany.

— Chciałem spać do godziny ósmej wieczorem — odezwał się urażony portier wdziewając spodnie. — Płacę tu za łóżko dwie korony dziennie tej pani i mam prawo przypro- wadzać tu sobie panienki z lokalu. Wstawaj, Mańka.

Gdy zapinał kołnierzyk i zawiązywał krawat, opamiętał się już tak dalece, że zaczął zapewniać Szwejka, iż „Mimozą” jest jednym z najprzyzwoitszych nocnych lokali, do którego mają dostęp jedynie te damy, które mają książeczki policyjne w zupełnym porządku. Prosił też serdecznie Szwejka, aby zechciał odwiedzić jego kawiarnię.

Natomiast towarzysza jego nie była zadowolona z takiego obrotu rzeczy i zaczęła wymyślać Szwejkowi, używając bardzo przyzwoitych wyrazów, z których najprzyzwoitszy był:

— Ty smyku arcykapłański!

Po odejściu intruzów zabrał się Szwejk do zrobienia porządku ze swoją gospodynią, ale nie znalazł po niej żadnego śladu, prócz kawałka papieru, na którym były ołówkiem nagryzmołone słowa pani Müllero-wej, wypowiadającej się zazwyczaj z wielką łatwością. Tym razem chodziło o żalostną przygodę z odnajściem łóżka pana Szwejka portierowi nocnej kawiarni.

„Niech mi pan wielmożny wybaczy, że mnie pan już nigdy nie zobaczy, albowiem wyskoczę oknem”.

„Łgarstwo” — rzekł do siebie Szwejk i czekał.

Po upływie pół godziny pani Müllero- wa wsunęła się na palcach do kuchni, nieszcze- śliwa i skruszona, a na jej zgębnionej twarzy widać było, iż oczekuje od Szwejka słowa pociechy.

— Jak pani chce skakać oknem — rzekł Szwejk — to niech pani idzie do pokoju, okno otworzyłem. Skakanie z okna kuchennego odradzam pani, ponieważ spadnie pani do ogródka na róże, krzaki się pogniotą i musiałyby pani za nie płacić. Z okna w pokoju spadnie pani na trotuar, a jeśli dobrze pójdzie, to i skręci pani kark. Ale jeśli ma pani pecha, to połamię tylko wszystkie żebra, ręce i nogi, będzie tylko wydatek na doktora i na szpital.

Pani Müllero- wa wybuchnęła płaczem, oddaliła się po cichu do pokoju, zamknęła okno, a gdy wróciła, rzekła:

— Jest taki przeciąg, a to niedobrze przy pańskim reumatyzmie.

Potem poszła zasłać łóżko, z niezwykłą troskliwością doprowadziła wszystko do porządku i wróciwszy do Szwejka, który siedział w kuchni, mówiła roniąc łzy:

— Te dwa szczenięta, proszę pana, cośmy mieli na podwórku, zdechły. A ten bernardyn uciekł, jak tu robili rewizję.

— A, na miły Bóg! Biedny pies może się ładnie wsypać, bo teraz z pewnością szukać go będzie policja.

— Ugryzł jednego pana komisarza policji, gdy go przy rewizji wyciągał spod łóżka — mówiła dalej pani Müllerowa. — Najpierw jeden z tych panów rzekł, że ktoś siedzi pod łóżkiem, więc wezwali tego bernardyna w imieniu prawa, żeby wylażł spod łóżka, a ponieważ nie usłuchał, więc go wyciągnęli. A on ich chciał pogryźć, a potem rzucił się do drzwi i więcej nie wrócił. I mnie też przesłuchiwali, kto do nas chodzi i czy nie dostajemy jakich pieniędzy z obcych krajów, a potem robili uwagi, że jestem głupia, gdy im powiedziałam, że z obcych krajów przychodzą teraz pieniądze bardzo rzadko, że ostatnio przyszły pieniądze tylko od pana dyrektora z Brna, niby ta zaliczka sześćdziesiąt koron na kota angorskiego, którego pan ogłaszał w gazecie, a zamiast którego posłał mu pan w skrzynce od daktyli ślepe szcenię, foksteriera. Potem rozmawiali ze mną bardzo grzecznie i polecili mi tego portiera z nocnego lokalu, żebym się sama w mieszkaniu nie bała. O, tego portiera, którego pan raczył wyrzucić...

— Ja już mam z urzędami takiego pecha, pani Müllerowo. Teraz zobaczy pani, ilu tych panów będzie przychodziło kupować psy — westchnął Szwejk.

Nie wiem, czy ci panowie, którzy już w czasie niepodległości przeglądali archiwum policji, zdołali odszyfrować poszczególne pozycje tajnego funduszu dyspozycyjnego policji państwowej, wśród których znajdowały się takie: B... 40 K, F... 50 K, L... 80 K itd., ale mylili się stanowczo, jeśli przypuszczali, że B., F., L. to początkowe litery nazwisk takich panów, którzy za 40, 50 i 80 koron sprzedawali naród czeski czarno-żółtemu orłu.

„B” znaczyło bernardyn, „F” — foksterier, a „L” — leonberger. Wszystkie te psy sprowadzał Bretschneider od Szwejka do dyrekcji policji. Były to pokraczne kundle nie mające nic wspólnego z jakimikolwiek rasowymi psami, za jakie je Szwejk sprzedawał.

Bernardyn był mieszkańcem jakiegoś partackiego pudła i podwórzowego kundla, foksterier miał uszy jamnika, był duży jak pies rzeźnicki, a nogi miał takie pałakowate, jakby właśnie przebył angielską chorobę. Leonberger łbem przypominał kudłaty łeb stajennego pinczera, ogon miał ucięty, był niski jak jamnik, a zadek miał taki goły jak słynne amerykańskie pieski-naguski.

Potem przyszedł do Szwejka wywiadowca Kalous i kupił jakiegoś wystraszonego potworka przypominającego hienę cętkowaną, z grzywą szkockiego owczarka, a w rubryce tajnego funduszu dyspozycyjnego znalazła się pozycja: D... 90 K.

Ten potworek miał reprezentować doga.

Ale nawet Kalousowi nie udało się usłyszeć czegoś od Szwejka. Zyskał on akurat tyle, co i Bretschneider. Najręczniejsze dyskursy polityczne umiał Szwejk sprowadzić na temat leczenia nosaczny u szczeniąt, a najchytrzej i najpodstępniej zastawiane sidła miały tylko ten jeden skutek, że Bretschneider wracał do domu z coraz to nowym i coraz fantastyczniej skrzyżowanym kundlem.

I na tym skończyła się kariera sławnego wywiadowcy Bretschneidera. Kiedy w mieszkaniu swoim miał już siedem takich pokracznych kundli, zamknął się razem z nimi w pokoju i tak długo nie dawał im nic jeść, dopóki go nie pożarły.

Miał tyle honoru, że skarbowi zaoszczędził kosztów swego pogrzebu.

W jego służbowych papierach w dyrekcji policji w rubryce „Awanse służbowe” znalazła się taka uwaga, pełna tragizmu: „Pożarty przez własne psy”.

Gdy Szwejk dowiedział się o tym tragicznym wydarzeniu, rzekł tylko:

— Ciekawi mnie, jak takiego Bretschneidera złożył do kupy na Sądzie Ostatecznym?

VII. SZWEJK RUSZA NA WOJNĘ

W czasach gdy lasy nad Rabą w Galicji widziały uciekające przez Rabę wojska austriackie, a w Serbii austriackie dywizje jedna po drugiej dostawały w skórę, co im się zresztą daw-

no i rzetelnie należało, austriackie Ministerstwo Wojny przypomniało sobie o Szwejku i wezwało go, aby pośpieszył wyciągać mocarstwo z bryndzy.

Gdy Szwejkowi przynieśli wezwanie, że za tydzień ma się stawić na Strzeleckiej Wyspie do superrewizji wojskowej, leżał akurat w łóżku, dotknięty atakiem reumatyzmu.

Pani Müllerowa była w kuchni i gotowała mu kawę.

— Pani Müllerowo — ozwał się w pokoju cichy głos Szwejka — pani Müllerowo, proszę do mnie na chwilkę.

Gdy posługaczka stanęła przy łóżku, rzekł Szwejk znowu takim cichym głosem:

— Niech pani siada, pani Müllerowo.

W głosie jego drgało coś tajemniczego i uroczystego.

Gdy pani Müllerowa usiadła, Szwejk wyprostował się na łóżku i rzekł:

— Idę na wojnę.

— Przenajświętsza Panienko! — zawołała pani Müllerowa. — Co pan tam będzie robił?

— Walczyć będę — grobowym głosem odpowiedział Szwejk. — Z Austrią kłapa. U góry włączą nam już do Krakowa, a na dole pchają się do Węgier. Młócą nas jakby żyto jakie, gdzie spojrzeć lanie, i dlatego wołają mnie na wojnę. Przecież czytałem pani wczoraj gazetę, jako drogą ojczyznę naszą spowiły niejakie chmury.

— Ale przecież pan się ruszać nie może.

— To nic nie szkodzi, pani Müllerowo, pojedę na wojnę w wózku. Zna pani tego cukiernika na rogu, toż on ma taki wózek. Woził w nim przed laty swego chromego i złośliwego dziadunia na świeże powietrze. Na tym wózku, pani Müllerowo, zawiezie mnie pani na wojnę.

Pani Müllerowa wybuchnęła płaczem.

— Proszę pana, czy nie każe pan sprowadzić doktora?

— Nie trzeba. Prócz tych moich nóg to ja jestem całkiem zdrowy *kanonenfutter*, a w takich czasach, gdy z Austrią jest tak kiepsko, każdy kaleka musi być na swoim miejscu. Proszę spokojnie gotować kawę.

Podczas gdy pani Müllerowa, zapłakana i wzruszona, cedziła kawę, dobry wojak Szwejk śpiewał sobie w łóżku:

Jenerał Windischgrätz i wojenne pany
Od samego wschodu słońca wojowały.
Hop, hop, hop!
Wojnę rozpoczęli i tak zawołali:
„Pomóż nam Chrystus Pan z Przenajświętszą Panną”.
Hop, hop, hop!

Wystraszona pani Müllerowa pod wrażeniem straszliwego śpiewu wojennego zapomniała o kawie i drżąc na całym ciele przysłuchiwała się, jak dobry wojak Szwejk, siedząc w łóżku, dalej wyśpiewywał:

Z Panienką Maryją i te cztery mosty,
Hej, postaw, Piemencie, mocniejsze forposty!
Hop, hop, hop!
Była bitwa, była tam, pod Solferino,
Aż tam krew żołnierska potokami płynie,
Hop, hop, hop!
Krwi aż po kolana, trupów co niemiara,
Bo tam krzepko wojowała nasza wiara.
Hop, hop, hop!
Hej, ty dzielna wiaro, nie lękaj się nędzy,
Bo za tobą wiozą pełen wóz pieniędzy.
Hop, hop, hop!

— Ołaboga, proszę pana! — ozwał się w kuchni głos żalony, ale Szwejk kończył akurat swoją pieśń wojenną:

Pelen wóz pieniędzy, w powozie dziewczęta —
Nie masz świetniejszego nad nasz regimentu.
Hop, hop, hop!

Pani Müllerowa dopadła drzwi i pobiegła po lekarza. Powróciła za godzinę, kiedy Szwejk właśnie podrzemywał.

Zbudził go ze snu grubawy pan, który przez chwilę trzymał dłoń na jego czole i mówił:

— Niech pan się nie boi, ja jestem doktor Pavek z Vinohrad. Daj pan rękę. Ten termometr proszę włożyć pod pachę... Dobrze. Pokaż pan język, jeszcze, schowaj pan język. Na co umarł pański ojciec? Na co matka?

W chwili więc gdy Wiedeń życzył sobie, aby wszystkie narody Austro-Węgier składały najświetniejsze przykłady wierności i uległości, doktor Pavek zapisywał Szwejkowi brom, aby zmniejszyć jego zapal patriotyczny, i zalecał statecznemu i dobremu wojakowi Szwejkowi, aby nie myślał o wojnie.

— Niech pan leży spokojnie i nie denerwuje się, a ja jutro znowu przyjdę.

Gdy przyszedł nazajutrz, pytał w kuchni panią Müllerową, jak się ma chory.

— Coraz gorzej, panie doktorze — odpowiedziała z prawdziwym smutkiem. — W nocy, gdy go reumatyzm łamał, śpiewał, z przeproszeniem, hymn austriacki.

Doktor Pavek uważał, że na ten nowy wybuch lojalności pacjenta trzeba zareagować zwiększeniem dawki bromu.

Na trzeci dzień meldowała mu pani Müllerowa, że Szwejk ma się jeszcze gorzej.

— Po obiedzie, panie doktorze, posłał po mapę frontu, a w nocy majaczyło mu się, że Austria wygra tę wojnę.

— A czy bierze proszki według przepisu?

— Jeszcze nawet nie posłał po nie.

Doktor Pavek wybuchnął gniewem, nie szczedząc pacjentowi ostrych wyrzutów, i zanim odszedł, zapewnił Szwejka, że nigdy do niego nie przyjdzie i nie będzie leczył człowieka, który nie przyjmuje jego lekarskiej pomocy i bromu.

Pozostawały już tylko dwa dni do terminu, w którym Szwejk miał stanąć przed komisją poborową.

Tymczasem Szwejk poczynił należyte przygotowania. Najpierw wysłał panią Müllerową, aby mu kupiła czapkę wojskową, a następnie polecił jej, aby od cukiernika na rogu wypożyczyła wózek, na którym cukiernik woził swego chromego i złego dziadunia na świeże powietrze. Potem przypomniał sobie, że potrzebne mu są kule. Na szczęście cukiernik miał jeszcze i kule jako rodzinną pamiątkę po swoim dziaduniu.

Brakowało już tylko rekruckiego bukiecika. Postarała się o niego pani Müllerowa, która w ciągu tych kilku dni znacznie schudła i gdzie się ruszyła, tam płakała.

I oto pewnego pamiętnego dnia na ulicach praskich ukazał się żywy dowód wzruszającej lojalności.

Stara niewiasta popychała wózek, na którym siedział człowiek w czapce wojskowej z wyglansowanym „bączkiem”. Człowiek ten wymachiwał kulami, a na jego surducie jaśniał rekrucki bukiecik.

Mąż ów, nie przestając wymachiwać kulami, wołał po praskich ulicach:

— Na Białogród! Na Białogród!

Za nim kroczył tłum ludzi, który z małej gromadki rozrastał się coraz bardziej i szedł za Szwejkim wiernie od samego domu, z którego ten wyruszył na wojnę.

Szwejk zdołał zauważyć, że niektórzy policjanci, stojący na rogach ulic, salutowali mu.

Na Placu Wacławskim tłum otaczający wózek Szwejka wzrósł do kilkuset głów, a na rogu ulicy Krakowskiej tłum ten obił jakiegoś korporanta w dekle, który przechodząc wołał do Szwejka:

— *Heil! Nieder mit den Serben!*

Na rogu ulicy Vodiczki na tłum wpadła policja konna i rozpędziła go.

Gdy Szwejk przedstawił rewierowemu inspektorowi czarno na białym, że dzisiaj musi stanąć przed komisją poborową, inspektor był trochę rozczarowany, a chcąc zapobiec awanturze wysłał dwóch konnych policjantów, aby towarzyszyli Szwejkowi aż na Strzelecką Wyspę.

O całym tym wydarzeniu ukazał się w „Praskiej Gazecie Urzędowej” taki artykuł:

Patriotyzm kaleki

„Wczoraj przed południem przechodnie na ulicach praskich byli świadkami sceny, która wymownie świadczy o tym, że w tej wielkiej i poważnej dobie także i synowie narodu naszego składają najświetniejsze przykłady wierności i uległości dla tronu i dla sędziwego monarchy. Wydaje nam się, jakby powróciły czasy starożytnych Greków i Rzymian, kiedy to Mucius Scaevola podążył do boju, zapomniawszy o swej spalonej ręce. Najświętsze uczucia i interesy były wczoraj zademonstrowane przez kalekę o kulach, którego stara matuchna wiozła na wózku dla chorych. Ten syn narodu czeskiego z dobrej woli, nie bacząc na swoje cierpienie, zgłosił się do wojska, aby życie swoje i mienie oddać za cesarza. A jeśli wołanie jego: »Na Białogród!« znalazło takie żywe echo na ulicach praskich, jest to tylko dowodem, że prażanie są żywymi wzorami miłości ojczyzny i domu monarszego”.

Mniej więcej tak samo pisał „Prager Tagblatt”, kończąc artykuł swój słowami, iż kalece-ochotnikowi towarzyszył zastęp Niemców, którzy własnymi rękoma osłaniali go przed zlinczowaniem przez czeskich agentów sławetnej koalicji.

„Bohemia” zamieściła tę wiadomość, żądając, aby kaleka-patriota został nagrodzony, i dodała, że dla niego przyjmować będzie od niemieckich obywateli ofiary, które składać należy w administracji pisma.

Podług tych trzech pism ziemia czeska nie mogła wydać obywatela szlachetniejszego, niż był Szwejk, ale w komisji poborowej byli zgola odmiennego zdania.

Osobliwie nie zgadzał się z głosami pism główny lekarz wojskowy, Bautze. Był to mąż nieubłagany, który we wszystkim dopatrywał się próby oszukańczego uchylenia się od wojny, frontu, kuli i szrapnela.

Znane jest jego zdanie: „*Das ganze tschechische Volk ist eine Simulantenbande*”.

W ciągu dziesięciu tygodni swej działalności wśród jedenastu tysięcy cywilów zdemaskował dziesięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt i dziewięć symulantów i byłby zdemaskował także i jedenastotysięcznego, gdyby tego szczęściarza nie poraził paraliż akurat w chwili, gdy Bautze ryknął na niego:

— *Kebrt euch!*

— Zabrać tego symulanta! — rozkazał stwierdziwszy, że nie żyje.

Przed nim tedy stanął owego pamiętnego dnia Szwejk, tak jak inni całkiem nagi, skromnie osłaniając nagość swoją kulami, na których się opierał.

— *Das ist wirklich ein besonderes Feigenblatt* — rzekł Bautze. — Takich listków figowych w rajy nie było.

— Zwolniony z wojska z powodu idiotyzmu — zauważył sierżant zaglądając do papierów urzędowych.

— I co panu jeszcze brakuje? — zapytał Bautze.

— Posłusznie melduję, że mam reumatyzm, ale najjaśniejszemu panu będę służył do ostatniej kropli krwi — rzekł Szwejk. — Mam obrzękle kolana.

Bautze spojrział na dobrego wojaka Szwejka straszliwym spojrzeniem i ryknął:

— *Sie sind ein Simulant!* — a zwracając się do sierżanta, z lodowatym spokojem dodał:

— *Den Kerl sogleich einsperren!*

Dwaj żołnierze z bagnetami odprowadzili Szwejka do więzienia garnizonowego.

Szwejk siedł wspierając się na kulach i z przerażeniem spostrzegł, że jego reumatyzm zaczyna znikać.

Pani Müllerowa, która czekała na Szwejka na moście przy wózku, zapłakała ujrzawszy go idącego pod bagnetami żołnierzy i oddaliła się od wózka, aby już nigdy do niego nie powrócić.

Zaś dobry wojak Szwejk kroczył skromnie w asyście uzbrojonych obrońców państwa.

Bagnety błyszcząły w promieniach słońca, a na Małej Stranie obrócił się Szwejk przed pomnikiem Radetzkiego i zwracając się do tłumu, który mu towarzyszył, zawołał:

— Na Białogród! Na Białogród!

A marszałek Radetzky w zadumie spoglądał ze swego cokołu za oddalającym się dobrym wojakiem Szwejkem, którego surdut zdobił rekrucki bukiet, kulejącym i wspartym na starych kulach, podczas gdy jakiś poważny pan pouczał ludzi przechodzących obok, że prowadzą „desentera”.

VIII. SZWEJK SYMULANTEM

W owych wielkich czasach lekarze wojskowi czynili wszystko, co tylko mogli, aby z symulantów wypędzić szatana sabotażu i powrócić ich na łono armii.

Zaprowadzono kilka stopni tortur symulantów i ludzi podejrzanych o symulowanie, do których należeli: suchotnicy, reumatycy, ludzie dotknięci przepukliną, chorobą nerek, tyfusem, cukrzycą, zapaleniem płuc i innymi chorobami.

Tortury, jakim symulanci byli poddawani, tworzyły pewien system, a stopnie mąk przedstawiały się tak:

1. Dieta ścisła, rano i wieczorem po filiżance herbaty w ciągu trzech dni, przy czym bez względu na to, na co się kto skarżył, dawano aspirynę na poty.
2. Żeby ludzie nie myśleli, że wojna to miód, dawano im obfite porcje chininy w proszku, co nazywało się „lizaniem chininy”.
3. Płukanie żołądka dwa razy dziennie litrem ciepłej wody.
4. Lewatywa z wody mydlanej i gliceryny.
5. Zawijanie w prześcieradło zmoczone w zimnej wodzie.

Byli tacy dzielni ludzie, którzy przecierpieli wszystkie pięć stopni mąk i zostali wywiezieni w prostej trumnie na cmentarz wojskowy. Ale nie brakło też małodusznych, którzy gdy dochodziło do lewatywy, meldowali, iż już czują się dobrze i że nie życzą sobie niczego innego, tylko odejść na front z najbliższym batalionem marszowym.

W więzieniu garnizonowym umieszczono Szwejka w baraku szpitalnym, między takimi właśnie małodusznymi symulantami.

— Ja już nie wytrzymam — rzekł jego sąsiad, gdy go przyprowadzili z gabinetu lekarskiego, gdzie już po raz drugi przepłukano mu żołądek.

Człowiek ten symulował krótkowzroczność.

— Jutro pojedę do pułku — decydował się drugi sąsiad z lewej strony, który akurat dostał lewatywę, a symulował, że jest głuchy jak pień.

Na łóżku przy drzwiach umierał jakiś suchotnik zawinięty w prześcieradło zmoczone w zimnej wodzie.

— Już trzeci w tym tygodniu — rzekł sąsiad z prawej strony. — A tobie co dolega?

— Ja mam reumatyzm — odpowiedział Szwejk, co spowodowało wybuch śmiechu wszystkich dookoła. Śmiał się nawet umierający suchotnik, symulujący gruźlicę.

— Z reumatyzmem nie pchaj się między nas — poważnie napominał Szwejka grubawy mężczyzna. — Reumatyzm znaczy u nas akurat tyle co odciski. Ja mam anemię, brak mi połowy żołądka i pięciu żeber, a nikt mi nie wierzy. Był tu nawet jeden głuchoniemy, przez dwa tygodnie zawijali go co pół godziny w prześcieradło zmoczone w zimnej wodzie, co dzień robili mu lewatywę i płukali żołądek. Wszyscy sanitariusze byli przekonani, że już sprawę wygrał i że pójdzie do domu, a tu pan doktor przepisał mu coś na wymioty. O mało go te wymioty nie porozrywały i wtedy biedak upadł na duchu. „Nie mogę, powiada, nadal udawać głuchoniemego. Odzyskałem mowę i słuch”. Wszyscy go napominali, żeby nie gubił siebie, ale on swoje, że słyszy i mówi jak wszyscy ludzie. No i podczas rannej wizyty zameldował się jako zdrowy.

— Trzymał się dość długo — zauważył człowiek udający, że ma jedną nogę krótszą o cały decymetr — znacznie dłużej niż ten, który udawał, że go trafił szlag. Dość mu było trzech proszków chininy, jednej lewatywy i jednodniowego postu. Przyznał się i zanim doszło do płukania żołądka, po paraliżu nie zostało śladu. Najdłużej trzymał się ten, co był pokąsany przez wściekłego psa. Gryzł, wył i trzeba przyznać, że robił to znakomicie, ale w żaden sposób nie mógł się zdobyć na pianę koło ust. Pomagaliśmy mu, jak tylko mogliśmy. Łaskotaliśmy go czasem przez całą godzinę przed wizytą, aż dostawał kurczów i siniał, ale piany na ustach jak nie było, tak nie było. Było to okropne. Gdy pewnego razu w czasie porannej wizyty poddawał się, było nam go żal. Stanął przy łóżku, wyprostowany jak świeca, zasalutował i rzekł: „Posłusznie melduję, panie oberarzt, że ten pies, co mnie

pokąsał, pewno nie był wściekły”. Doktor spojrział na niego tak jakoś dziwnie, że pokąsany zaczął się trząść na całym ciele i mówił dalej: „Posłusznie melduję, panie oberarzt, że mnie żaden pies w ogóle nie pokąsał, tylko ja sam ugryzłem się w rękę”. Po tym przyznaniu się do winy wszczęto przeciwko niemu dochodzenie o rozmyślne okaleczenie się, o to, że chciał sobie odgryźć rękę, żeby nie iść na wojnę.

— Wszystkie te choroby, w których potrzebna jest piana na ustach — mówił grubawy symulant — symuluje się bardzo ciężko, jak na przykład epilepsja. Był tu jeden taki z padaczką i mawiał, że jeden atak mniej czy więcej, to mu wszystko jedno, więc gdy trzeba było, miał tych ataków do dziesięciu na dzień. Wił się w kurczach, zaciskał pięści, wytrzeszczał oczy, aż wylazły mu całkiem na wierzch, tłukł sobą o ziemię, wywalał język, jednym słowem, powiem wam, była to wielka choroba pierwszej klasy, taka wspaniała i rzetelna. Nagle zrobiły mu się wrzody, dwa na karku, dwa na plecach, i było po epilepsji, po zwijaniu się w kurczach, gdyż nie mógł głową poruszać ani leżeć, ani siedzieć. Dostał gorączki i w tej gorączce w czasie wizyty wszystko o sobie wygadał. A my mieliśmy krzyż pański z tymi jego wrzodami, ponieważ musiał u nas jeszcze przez trzy dni leżeć, zanim mu nie zebrały, i dostawał inną dietę, rano kawę z bułką, na obiad zupę, knedlik z sosem, wieczorem kaszę albo zupę, a my musieliśmy patrzeć z wypłukanymi żołądkami przy całkowitej diecie, jak ten drab żarł, mlaskał, chłęptał, sapał i bekał z przeżarcia. W ten sposób trzem spośród nas odebrał resztę odwagi, więc też się przyznali. Leżeli tu z wadami serca.

— Zdaje się — mówił jeden z symulantów — że najlepiej symulować wariację. Tutaj, w sąsiedniej izbie, są dwaj nauczyciele, z których jeden dniem i nocą powtarza: „Stos Giordana Bruna płonie jeszcze, zrewidujcie proces Galileusza”, a ten drugi szczeka, naprzód trzy razy powoli: „Hau-hau-hau”, a potem pięć razy szybko raz za razem: „Hau-hauhauhauhau”, i znowu powoli, i tak bez końca. Wytrzymali tak już trzy tygodnie. Ja zrazu też chciałem udawać wariata, a mianowicie szał religijny, i wygłaszać kazania o nieomyślności papieskiej, ale wreszcie wystarałem się o raka żołądka od jednego fryzjera na Małej Stranie. Dałem mu piętnaście koron.

— Ja znam jednego komisarza w Brzevnovie — wtrącił inny pacjent — który za dziesięć koron zrobi wam taką gorączkę, że wyskoczycie oknem.

— To jeszcze nic — rzekł inny. — We Vrszovicach jest jedna akuszerka, która za dwadzieścia koron umie wykręcić nogę tak ładnie, że się jest kaleką do samej śmierci.

— Mnie wykręcili nogę za pięć koron — dał się słyszeć głos gdzieś tam z rzędu łóżek stojących przy oknie. — Pięć koron i trzy piwa.

— Moja choroba kosztuje mnie już przeszło dwieście koron — rzekł jego sąsiad, człowiek suchy jak tyczka. — Wymieńcie truciznę, jaką tylko chcecie, ja zażywałem już wszystkich po trosze. Jestem żywym składem trucizn. Piłem sublimat, wdychałem parę rtęciową, gryzłem arsenik, paliłem i piłem opium, morfiną posypywałem sobie chleb, połykałem strychninę, piłem roztwór fosforu w siarkowodorze i kwas pikrynowy. Zmarnowałem sobie wątrobę, płuca, nerki, żółć, mózg, serce, kiszki. Nikt nie wie, na co jestem chory.

— Najlepiej — mówił jakiś głos od drzwi — zastryknąć sobie nafty pod skórę na rękę. Mój bratanek miał takie szczęście, że mu amputowali rękę po łokieć i teraz ma spokój z całą wojną.

— Widzicie więc — rzekł Szejnk — ile też każdy musi wycierpieć dla najjaśniejszego pana. I płukania żołądka, i lewatywy. Kiedym przed laty służył w pułku, bywało jeszcze gorzej. Takiego pacjenta wzięli w kij i wrzucali do lochu, żeby się wykurował. Gdzie tam było szukać łóżek z materacami, jak tutaj, albo spluwaczek. Gołe prycze i na takich gołych pryczach leżeli chorzy. Raz miał jeden chory prawdziwy tyfus, a drugi czarną ospę. Obu związano w kij, a doktor pułkowy kopał ich w brzuchy i mówił, że są symulanty. Potem, gdy obaj ci żołnierze pomarli, dostała się ta rzecz do parlamentu i było o tym w gazetach. Zakazali nam czytać pisma i robili rewizję kuferków, czy kto ma takie gazety. A ponieważ ja zawsze muszę mieć pecha, więc w całym pułku u nikogo takiej gazety nie znaleźli, tylko u mnie. Zaprowadzili mnie do raportu pułkowego, a nasz oberst, taka małpa, Panie świec nad jego duszą, zaczął na mnie ryczeć, żebym stał prosto i żebym powiedział, kto o tym do gazety napisał, bo jak nie, to mi głowę rozedrą od ucha do ucha i wsadzi mnie do paki, aż szernieję. Potem przyszedł doktor pułkowy, wymachiwał mi pięścią przed

nosem i krzyczał: „*Sie verfluchter Hund, sie schäbiges Wesen, sie unglückliches Mistvieh*, ty smyku socjalistyczny!” Spoglądam wszystkim rzetelnie w oczy, nawet nie mrugnę, i milczę, a jedną rękę trzymam przy czapce, drugą na szwie u portek. Latali koło mnie jak te psy, szczekali na mnie, a ja ciągle nic. Milczę, salutuję, a lewą rękę trzymam na szwie portek. Gdy się tak wściekali przez jakieś pół godziny, oberst przyskoczył do mnie i ryknął: „Jesteś idiota, czy nie jesteś idiota?” „Posłusznie melduję, panie oberst, że jestem idiota”. „Dwadzieścia i jeden dni więzienia za idiotyzm, dwa posty tygodniowo, miesiąc koszarniaka, czterdzieści osiem godzin słupka, natychmiast go zamknąć, nie dać mu żreć, związać go, pokazać mu, że państwo idiotów nie potrzebuje. Już my ci tutaj, łajdaku, wybijemy te gazetki z głowy” — zdecydował wreszcie po długim lataniu pan oberst. Podczas gdy siedziałem, w koszarach działy się istne cuda. Nasz oberst zakazał wszystkim żołnierzom czytać gazety, choćby nawet „Praską Gazetę Urzędową”, a w kantynie nie wolno było zawiązać w gazety nawet parówek czy gomólek. Od owego czasu żołnierze zaczęli właśnie czytać i nasz pułk należał do najbardziej wykształconych. Czytywaliśmy wszystkie gazety, a w każdej kompanii układano wierszyki i piosenki na pana obersta. A jak się w pułku coś takiego przytrafiło, to zawsze wśród szeregowców znalazł się taki dobrodziej, który przesłał do gazet opis tego pod tytułem: *Maltretowanie żołnierzy*. Ale nie dość na tym. Pisali do posłów w Wiedniu, żeby się za nimi wstawiali, a ci zaczęli wnosić interpelację jedną za drugą, że nasz pan oberst jest zwierzę itp. Jakiś minister wyprawił do nas komisję, żeby wszystko zbadała, a niejaki Franta Henczel z Hlubokiej dostał potem dwa lata, ponieważ to on zwrócił się do Wiednia do posłów z powodu policzka, który dostał na placu ćwiczeń od pana obersta. A gdy komisja odjechała, pan oberst kazał nam wszystkim stanąć w szeregach i przed całym pułkiem wywodził, że żołnierz to żołnierz, musi stulić pysk i służyć, a jeśli mu się coś nie podoba, to wyłamuje się spod subordynacji. „Takeście sobie, łajdaki, myśleli, że wam ta komisja coś pomoże — mówił pan oberst — *drek* wam pomogła. A teraz każda kompania będzie przede mną defilowała i będzie głośno powtarzała to, co właśnie powiedziałem”. Więc maszerowaliśmy, jedna kompania za drugą, *rechts schaut*, gdzie stał pan oberst, ręce trzymaliśmy na rzemieniu karabinów i ryczeliśmy na niego: „Takeśmy sobie, łajdaki, myśleli, że nam ta komisja coś pomoże, *drek* nam pomogła”. Pan oberst się śmiał, aż się za brzuch trzymał, ale wreszcie przyszła kolej na II kompanię. Idzie, wali nożyskami w ziemię, a gdy podchodzi do pana obersta, nic, milczy, ani słówka. Pan oberst się zaczerwienił jak kogut i zawrócił II kompanię, żeby powtórzyła. Defiluje i milczy, tylko szereg za szeregiem impertynencko patrzy panu oberstowi w oczy. „*Rubt!*” — powiada pan oberst, chodzi po dziedzińcu, bije się biczyskiem po cholewach, pluje, potem nagle staje i ryczy: „*Abtreten!*” Siada na swoją szkapinę i wyjeżdża za bramę. Czekaliśmy, co się stanie z II kompanią, a tymczasem nic i ciągle nic. Czekamy jeden dzień, dwa, cały tydzień, a tu ciągle nic i nic. Pan oberst już się w koszarach wcale nie pokazał, z czego szeregowcy, podoficerowie i oficerowie ogromnie się cieszyli. Potem dali nam nowego obersta, a o tym dawnym mówili, że jest w jakimś sanatorium, ponieważ napisał własnoręcznie list do najjaśniejszego pana, że II kompania się zbuntowała.

Nadeszła pora popołudniowej wizyty. Wojskowy lekarz Grünstein chodził od łóżka do łóżka, a za nim podoficer sanitariusz z księgą ordynacyjną.

— Macuna?!

— Jestem!

— Lewatywa i aspiryna! Pokorny?!

— Jestem!

— Płukanie żołądka i chinina! Kovarzik?!

— Jestem!

— Lewatywa i aspiryna! Kotiatko?!

— Jestem!

— Płukanie żołądka i chinina!

I w takim porządku szło jedno za drugim, mechanicznie, ostro, bez litości.

— Szwejk?!

— Jestem!

Doktor Grünstein popatrzył na nowego gościa.

— Co wam jest?

— Posłusznie melduję, że mam reumatyzm!

Doktor Grünstein podczas wykonywania swego zawodu przyswoił sobie dużo wyrażen łagodnie ironicznych, które działały nieraz daleko skuteczniej niż krzyk.

— Aha, reumatyzm — odpowiedział Szwejkowi. — Oczywiście, bardzo ciężka choroba. I jaki wyjątkowy przypadek, żeby dostać reumatyzmu akurat wtedy, gdy jest wojna światowa i gdy trzeba iść na wojnę. Przypuszczam, że wam bardzo przykro z tej racji.

— Posłusznie melduję, że mi jest, panie oberarzt, strasznie przykro z tej racji.

— Patrzcie, patrzcie, jest mu przykro. Bardzo to pięknie z waszej strony, żeście sobie reumatyzm zostawili właśnie na teraz i żeście sobie o nas przypomnieli. W czasie pokoju biega taki biedaczek jak koźlą, ale gdy wybuchnie wojna, zaraz dostaje reumatyzmu i kolana przestają mu służyć. Kolana was nie bolą?

— Posłusznie melduję, że bolą.

— I całymi nocami nie możecie sypiać, prawda? Reumatyzm to bardzo niebezpieczna, bolesna i ciężka choroba, ale myśmy tu poczynili duże doświadczenia z reumatykami i wiemy, jak się do nich zabrać. Ścisła dieta i inne nasze sposoby leczenia okazały się środkami bardzo skutecznymi. Wyzdrowiecie tu prędzej niż w Piszczanach, a na front pomaszerujecie tak żwawo, aż się za wami będzie kurzyło.

Zwracając się do podoficera-sanitariusza rzekł:

— Proszę pisać: Szwejk, ścisła dieta, dwa razy dziennie płukanie żołądka, raz na dzień lewatywa, a co dalej, to się pokaże. Tymczasem odprowadzić go do gabinetu, przepłukać mu żołądek, a jak trochę oprzytomnieje, zrobić mu lewatywę, ale porządną, żeby wołał wszystkich świętych. Zaraz się ten jego reumatyzm przestraszy i ucieknie.

Zwracając się potem do reszty swoich pacjentów wygłosił mowę, pełną pięknych i mądrych sentencji:

— Nie myślcie sobie, że macie do czynienia z jakimś cymbałem, który pozwoli wodzić się za nos. Mnie wasze postępowanie bynajmniej nie wytrąca z równowagi. Ja wiem, że wszyscy jesteście symulanci, że chcecie się wymigać od wojska. Odpowiednio więc z wami postępuję. Przepuściłem przez swoje ręce wiele setek takich żołnierzy jak wy. Na tych łóżkach leżały całe masy ludzi, którym nie brakło niczego, prócz ducha wojskowego. Podczas gdy ich towarzysze walczyli na froncie, ci myśleli sobie, że będą się wylegiwali w łóżku, że będą dostawali szpitalne jedzenie i poczekają sobie, aż się wojna skończy. Ale, psiakrew przeliczyli się, a i wy też się tak, psiakrew, przeliczycie. Jeszcze po dwudziestu latach będziecie krzyczeli przez sen, gdy wam się przyśni, jakeście to u mnie symulowali.

— Posłusznie melduję, panie oberarzt — ozwał się cichy głos z łóżka przy oknie — że już jestem zdrow. Już w nocy zauważyłem, że nie mam duszności.

— Nazwisko?

— Kowarzik, melduję posłusznie, mam dostać lewatywę.

— Doskonale, lewatywę dostaniecie jeszcze na drogę — zdecydował doktor Grünstein — żebyście się nie skarżyli, żeśmy was tu nie leczymy. Tak, a teraz wszyscy chorzy, których wymieniłem, marsz za podoficerem, żeby każdy dostał, co mu się należy.

I każdy dostał porcję rzetelną, według przepisu. Podczas gdy niektórzy starali się wpłynąć na wykonawcę rozkazów prośbami czy nawet wygrażaniem, że też pójda między sanitariuszy i że każdy może potem wpaść w ich ręce, Szwejk trzymał się dzielnie.

— Nie oszczędzaj mnie — mówił do swego kata dającego mu lewatywę — pamiętaj o swej przysiędze. Gdyby tu leżał nawet twój ojciec albo własny brat, dawaj im lewatywę bez mrugnięcia. Pomyśl, że na takich lewatywach spoczywa Austria, a zwycięstwo będzie nasze!

Nazajutrz przy wizycie zapytał doktor Grünstein Szwejką, jak mu się podoba w szpitalu wojskowym.

Szwejk odpowiedział, że to instytucja akuratna i wzniosła. W nagrodę dostał to samo, co i wczoraj, a nadto aspirynę i trzy proszki chininy, które wsypali mu do wody, żeby w natychmiast wypił.

Nawet Sokrates nie pił swej czaszy cykuty z takim spokojem, jak pił chininę Szwejk, na którym doktor Grünstein wypróbował wszystkie stopnie mąk.

Gdy Szwejką zawijali w mokre prześcieradło w obecności lekarza, na jego pytanie, jak mu się to podoba, Szwejk odpowiedział:

— Posłusznie melduję, panie oberarzt, że to mniej więcej tak jak na pływalni albo w kąpielni morskiej.

— A reumatyzm macie jeszcze?

— Posłusznie melduję, panie oberarzt, że zdrowie nie chce się poprawić.

Szwejka wzięto na nowe męki.

W tym czasie wdowa po generale piechoty, baronowa von Botzenheim, miała bardzo wiele kłopotów z odszukaniem tego żołnierza, o którym pisała niedawno „Bohemia”, iż na wózek dla chorych kazał się zawieźć do wojska i że on, kaleka, wołał: „Na Białogród! Na Białogród!” Na skutek takiego patriotyzmu „Bohemia” wezwała swoich czytelników, aby składali ofiary na rzecz lojalnego kaleki-bohatera.

Wreszcie po sprawdzeniu w dyrekcji policji ustalono, że tym dzielnym żołnierzem był Szwejk, a dalej sprawa poszła już gładko. Baronowa von Botzenheim zabrała z sobą swoją towarzyszkę i kamerdynera z koszem pełnym dobrych rzeczy i pojechała z tym na Hradczany.

Biedna pani baronowa nawet pojęcia nie miała, co to znaczy leżeć w wojskowym szpitalu więzienia garnizonowego. Jej bilet wizytowy otworzył przed nią bramę więzienia, w kancelarii okazywali jej ogromnie dużo grzeczności i po upływie pięciu minut wiedziała już, że „*der brave soldat Szwejk*”, o którego pytała, leży w trzecim baraku, łóżko numer siedemnasty. Do baraku udał się z nią sam doktor Grünstein, który z tego wszystkiego zbaraniał.

Szwejk siedział akurat na łóżku po zwykłych codziennych zabiegach przepisanych przez doktora Grünsteina, otoczony gromadką wychudzonych i zagłodzonych symulantów, którzy nie poddali się jeszcze i uparcie walczyli z doktorem Grünsteinem na gruncie diety ścisłej.

Kto przysłuchiwałby się ich rozmowie, miałby wrażenie, że znalazł się w towarzystwie żarłoków, w jakiejś akademii kulinarnej czy na kursach dla smakoszków.

— Nawet zwykłe skwarki ze słoniny są dobre do jedzenia — opowiadał właśnie jeden z pacjentów, który był tu leczony na „zastarzały katar żołądka” — ale muszą być ciepłe. Po wytopieniu słoniny trzeba je wycisnąć na sucho, osolic, opieprzyć, a ja wam mówię, że są lepsze od gęsich skwarków.

— Tylko już gęsim skwarkom nie przymawiaj — rzekł mąż dotknięty „rakiem żołądka”. — Nie ma nic lepszego od gęsich skwarków. Jak się z nimi mogą równać wieprzowe skwarki! Naturalnie, że muszą być usmażone na kolor złotawy, jak to robią Żydzi. Biorą tłustą gęś, ściągają na skwarki sadło razem ze skórą i smażą to.

— Mylisz się, bratku, jeśli chodzi o skwarki wieprzowe — zauważył sąsiad Szwejka. — Oczywiście, że mówię tylko o skwarkach ze słoniny domowej, o tych, co się je zwykle nazywa skwarkami domowymi. Nie powinny być brązowe, ale i żółte też nie, trzeba znaleźć właściwy odcień między tymi dwoma kolorami. Takie skwarki nie mogą być ani zbyt twarde, ani zbyt miękkie. Nie powinny chrupać, wtedy są zanadto wysmażone. Muszą rozplynać się na języku, a nie można przy tym mieć wrażenia, że po brodzie cieknie tłuszcz.

— Kto z was jadł skwarki z końskiego łaju? — ozwał się czyjś głos, na który nikt nie dał odpowiedzi, ponieważ do baraku wbiegł podoficer-sanitariusz.

— Wszyscy do łóżek, bo idzie tu jakaś arcyksiężna! Niech nikt nie wystawia brudnych nóg spod koca!

Nawet arcyksiężna nie mogła wejść na salę z taką powagą, z jaką weszła baronowa von Botzenheim. Za nią waliła cała świta, w której nie brakło nawet wachmistrza rachuby z kancelarii szpitala. Ten ostatni dopatrywał się w tym wszystkim jakiejś tajemniczej siły sprowadzającej rewizję, która oderwie go od obfitego żłobu na tyłach i rzuci przed zasięki z drutu kolczastego na pastwę szrapneli.

Był błady, ale jeszcze bledszy był doktor Grünstein. Przed oczami miał stale mały bilecik starej baronowej z tytułem: „wdowa po generale”, a z tytułem tym kojarzyło się niesłychanie wiele, jak na przykład: znajomości, protekcje, skargi, translokacje na front i inne okropności.

— Tutaj mamy Szwejka — rzekł zachowując sztuczny spokój i prowadząc panią baronową ku łóżku, na którym spoczywał Szwejk. — Jest bardzo cierpliwy.

Baronowa von Botzenheim usiadła na podanym jej krześle przy łóżku Szwejka i rzekła:

— Ceński solniesz topra solniesz, kalika być topry solniesz. Barso lubić ceński Austriak. Przy tych słowach głąskała Szwejkę po jego nie golonej twarzy i mówiła dalej:

— Ja citać wsistko w gazeta, ja psinosić jeść, papu, palić, pić. Ceński solniesz topra solniesz. *Johann, kommen Sie hier!*

Kamerdyner, przypominający swoimi bokobrodami zbójnika Babinskiego, przyciągnął ku łóżku olbrzymi kosz, podczas gdy towarzyska starej baronowej, wysoka dama o zapłakanej twarzy, przysiadła na łóżku i podpieraa Szwejkę słomianą poduszką, bo sobie uroiła, że tak właśnie trzeba dogadzać chorym bohaterom.

Tymczasem baronowa wyjmowała z kosza prezenty. Tuzin pieczonych kurcząt pozawijanych w różową bibułkę i poprzewiązywanych czarno-żółtą wstążką jedwabną, dwie butelki jakiegoś wojennego likieru z etykietą „*Gott strafe England!*”. Na drugiej stronie etykiety był obrazek Franciszka Józefa i Wilhelma, trzymających się za ręce, jakby bawili się w zajęczka. „Zajęczek w jamie siedzi sam, a co ci to, niebożatko, że już nie możesz skakać?”

Potem wydobyła z kosza trzy butelki wina dla rekonwalescentów i dwa pudełka papierosów. Wszystko elegancko ułożyła na pustym łóżku obok Szwejka, dodając do tego jeszcze pięknie oprawioną książkę: *Zdarzenia z życia naszego monarchy*, którą napisał obecny wielce zasłużony redaktor naczelny naszej urzędowej gazety „Republika Czechosłowacka”, bałwochwalczo uwielbiający starego Franciszka. Potem znalazły się na łóżku tabliczki czekolady z takim samym napisem: „*Gott strafe England!*”. I na nich były obrazki obu cesarzy: austriackiego i niemieckiego. Na czekoladzie już nie trzymali się za ręce, ale z jakimś despektem odwracali się od siebie. Ładna była dwurzędowa szczoteczka do zębów z napisem „*Viribus unitis*”, aby każdy, kto będzie czyścił zęby, wspomniał o Austrii. Eleganckim i dla żołnierza idącego na front do okopów bardzo stosownym prezentem był neseser z kompletem przyborów do czyszczenia paznokci. Na pudełku był obrazek przedstawiający szrapnel w chwili wybuchu i jakiegoś człowieka, który w szyszaku na głowie pędzi gdzieś z bagnetem w rękę. Pod tym był napis: „*Für Gott, Kaiser und Vaterland!*”. Bez obrazka była paczka suszonych owoców, ale za to był na niej wierszyk:

*Oesterreich, du edles Haus,
Steck deine Fahne aus,
Lass sie im Winde wehn,
Oesterreich muss ewig stehn!*

I jego przekład na drugiej stronie:

Austrio, ty domie szlachetny,
Wywieś chorągiew swoją,
Kaź jej na wietrze wiać,
Austria musi wiecznie trwać!

Ostatnim prezentem był biały hiacynt w doniczce.

Kiedy po rozpakowaniu wszystko to znalazło się już na łóżku, pani baronowa von Botzenheim nie mogła opanować łez wzruszenia. Kilku wygłodzonym symulantom pociekła ślina z ust. Towarzyska pani baronowej podpieraa siedzącego Szwejkę i także ronila łzy. Było cicho jak w kościele, gdy wtem Szwejk złożył ręce i przerwał uroczystą ciszę:

— Ojcie nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje... pardon, wielmożna pani, to nie tak, chciałem tylko powiedzieć: Panie Boże, Ojcie Niebieski, błogosław te dary, które z szczodroblewości Twojej spożywać będziemy. Amen.

Po tych słowach sięgnął po jedno z kurcząt i łapczywie zaczął je obgryzać, podczas gdy doktor Grünstein spoglądał na niego z przerażeniem.

— Ach, jak mu smakuje, żołnierzykowi — ze wzruszeniem szeptała stara baronowa doktorowi Grünsteinowi. — On jest niezawodnie już zdrow i może wyruszyć w pole. Bardzo się cieszę, że przyniosłam mu w porę te rzeczy.

Potem chodziła od łóżka do łóżka i rozdawała papierosy i czekoladki. Wreszcie zawróciła ku łóżku Szwejka, pogłąskała go po głowie, szepnęła: — *Behüt euch Gott!* — i z całą switwą wyszła z sali.

Zanim doktor Grünstein powrócił z dołu po odprowadzeniu baronowej, Szwejk porządował kurczęta, które zostały pożarte przez pacjentów z taką szybkością, że zamiast kurcząt znalazł doktor Grünstein tylko kupkę kości ogryzionych tak czyściutko, jakby kurczęta za życia wpadły do gniazda sępów, a ich ogryzione kości leżały parę miesięcy na spiekocie słonecznej.

Znikł też likier wojenny i trzy butelki wina. Poprzepadały w żołądkach tabliczki czekolady i sucharki. Ktoś wypił w pośpiechu nawet buteleczkę lakieru do paznokci, która znajdowała się w neseserze, i nadgryzł pastę do zębów, dołączoną do szczoteczki.

Doktor Grünstein, powróciwszy na salę, przybrał od razu postawę bojową i wygłosił długą mowę. Kamień spadł mu z serca, że pani baronowa już sobie poszła. Kupa ogryzionych kości utwierdziła go w mniemaniu, że wszyscy są niepoprawni.

— Żołnierze! — zaczął swoje przemówienie. — Gdybyście mieli trochę rozsądku, to byście wszystko zostawili i powiedzieli sobie, że jeśli to pożremy, to pan oberarzt nie będzie nam wierzył, iż jesteśmy ciężko chorzy. Sami wystawiliście sobie świadectwo, iż nic sobie nie robicie z mojej dobroci. Płuczę wam żołądki, robię wam lewatywy, staram się utrzymać was na bezwzględnej diecie, a wy przeładowujecie sobie brzuchy. Czy chcecie dostać kataru żołądka? Mylicie się! Zanim wasze żołądki spróbują strawić to wszystko, wyczyszczę wam je tak dokumentnie, że do końca życia o tym nie zapomnicie i jeszcze dzieciom swoim opowiecie, jakeście się raz pewnego poobżerali kurczętami i innymi smakołykami i jak to wszystko nie utrzymało się w was nawet przez kwadrans, bo wam wypompowano żołądki na poczekaniu. Dalej więc, jeden za drugim za mną, abyście nie zapomnieli, że nie jestem żaden osioł jak wy, ale jednak nieco sprytniejszy niż wy wszyscy razem. Prócz tego zapowiadam wam, że jutro sprowadzę na was komisję, bo wylegujecie się tu już zbyt długo, a żadnemu z was nic nie jest, jeśli potraficie w ciągu paru minut zapaskudzić sobie żołądki tak ładnie, jakeście to właśnie zrobili. Dalej, naprzód marsz!

Gdy przyszła kolej na Szwejką, doktor Grünstein spojrzął na niego i jakaś reminiscencja w związku z dzisiejszą tajemniczą wizytą zmusiła go do zapytania:

— Czy wy znacie panią baronową?

— To moja macocha — odpowiedział spokojnie Szwejk. — W niemowlęcym wieku porzuciła mnie, a teraz odnalazła...

Doktor Grünstein rzekł zwięźle:

— Potem dajcie Szwejkowi jeszcze lewatywę.

Wieczorem było w baraku smutno. Przed paru godzinami wszyscy mieli w żołądkach różne dobre i smakowite rzeczy, a teraz mają w nich tylko słabą herbatę i kromkę chleba.

Numer dwudziesty pierwszy ozwał się spod okna:

— Wierzyście, koledzy, że wolę raczej kurczę smażone niż pieczone?

Ktoś mruknął: — Dajcie mu koca! — ale wszyscy byli tak osłabieni po niefortunnej wyzerce, że nikt się nie chciał ruszyć. Doktor Grünstein dotrzymał słowa. Przed południem przyszło kilku lekarzy wojskowych z osławionej komisji.

Kroczyli poważnie wśród szeregów łóżek i nic nie było słyhać prócz tego:

— Pokażcie język!

Szwejk wysunął język tak daleko, że twarz jego wykrzywiła się w głupi grymas, a oczy się zamknęły.

— Posłusznie melduję, panie stabsarzt, że już więcej języka nie mam.

Zaczęła się interesująca fachowa dyskusja między Szwejką a komisją. Szwejk twierdził, że uwagę o języku zrobił tylko dlatego, aby na niego nie padło podejrzenie, iż ukrywa część języka. Natomiast członkowie komisji różnili się zasadniczo w swoich zdaniach o Szwejkę.

Połowa lekarzy była zdania, że Szwejk jest *ein blöder Kerl*, podczas gdy druga połowa uważała, iż jest to lotr, który sobie z wojska pokpiwa.

— Do stu tysięcy piorunów! — ryknął na Szwejką przewodniczący komisji. — Choćby sam diabeł ci pomagał i tak się na tobie poznamy.

Szwejk spoglądał na całą komisję z boskim spokojem niewinnego dziecięcia.

Naczelnym lekarz sztabowy podszedł jak najbliższy do Szwejka:

— Chciałbym ja wiedzieć, wy morska świnię, co wy teraz myślicie?

— Posłusznie melduję, że ja w ogóle nie myślę.

— *Himmeldonnerwetter!* — wrzeszczał jeden z członków komisji pobrząkując szablą.
— Patrzcie go, on nic nie myśli! A czemuż to nic nie myślicie, wy słoniu syjamski?

— Posłusznie melduję, że ja dlatego nic nie myślę, ponieważ żołnierzom w wojsku jest to zakazane. Kiedy przed laty służyłem w 91 pułku, to nasz pan kapitan zawsze mawiał: „Żołnierzowi nie wolno myśleć. Za niego myśli jego przełożony. Jak tylko żołnierz zacznie myśleć, to już nie jest żołnierzem, ale marnym, wszawym cywilem. Myślenie nie prowadzi...”

— Stulcie pysk! — przerwał Szwejkowi rozwścieczony przewodniczący komisji. — Już o was słyszeliśmy. *Der Kerl meint, man wird glauben, er sei ein wirklicher Idiot.* Nie jesteście idiota, Szwejku, ale przebiegły jesteście, sprytny gałgan, ulicznik jesteście, wszawy lajdak, rozumiecie?

— Posłusznie melduję, że rozumiem.

— Już wam mówiłem, żebyście stulili pysk. Słyszeliście?

— Posłusznie melduję, że słyszałem, że mam stulić pysk.

— *Himmelherrgott*, stulże wreszcie ten pysk, skoro ci kazałem! Wiecie dobrze, że nie macie mleć jęzorem!

— Posłusznie melduję, że wiem, że nie mam mleć jęzorem.

Wojskowi panowie spojrzeli po sobie i wezwali wachmistrza.

— Tęgo człowieka — rzekł naczelny lekarz sztabowy i przewodniczący komisji wskazując na Szwejka — zaprowadzicie na dół do kancelarii i poczekacie na naszą relację i raport. W garnizonie już mu wybiją z głowy to pyskowanie. Chłopisko zdrowe jak ryba, symuluje i jeszcze miele ozorem, a z przełożonych sobie pokpiwa. Zdaje mu się, że przełożeni są dla jego zabawy, że cała wojna jest uciechą i zabawką. W garnizonie wam, mój Szwejku, wyperswadują, że wojna to nie żadna heca.

Szwejk oddalał się z wachmistrem do kancelarii i w drodze przez dziedziniec podśpiewywał sobie:

Zawszem sobie myślał,
Że wojna to szpas,
Że pobędę na niej tydzień, dwa tygodnie
I powrócę znowu między was...

Podczas gdy w kancelarii dyżurny oficer ryczał na Szwejka, że takich drabów, jak Szwejk, powinno się rozstrzeliwać, komisja w barakach szpitalnych dziesiątkowała symulantów. Spośród siedemdziesięciu pacjentów ocalało tylko dwóch: jednemu granat urwał nogę, a drugi miał prawdziwą gruźlicę kości.

Tylko ci dwaj nie usłyszeli słówka „*tauglich*”, wszyscy inni, nie wyłączając trzech umierających suchotników, uznani zostali za zdatnych do pełnienia służby wojskowej na froncie. Przy sposobności naczelny lekarz sztabowy nie oparł się pokusie wygłoszenia przemowy.

Mowa jego była naszpikowana różnymi wyzwiskami, a w treści zwięzła. Wszyscy, jeden w drugiego, to bydłęta i gnój, i jedynie w tym wypadku, gdy będą dzielnie walczyli za najjaśniejszego pana, będą mogli powrócić do społeczności ludzkiej, a po wojnie będzie im odpuszczono, że się chcieli wykpić z wojska i symulowali. Ale on osobiście w to nie wierzy i jest przekonany, że wszystkich czeka stryczek.

Jakiś młodzieńcy lekarz wojskowy, dusza czysta dotąd i nie zepsuta, poprosił naczelnego lekarza sztabowego, aby mu pozwolono też przemówić. Mowa jego różniła się od słów przełożonego optymizmem i naiwnością. Mówił po niemiecku.

Dużo mówił o tym, że każdy z tych, którzy opuszczają szpital, aby odejść do swoich pułków w polu, musi być bohaterem i rycerzem. On sam jest przekonany, że będą dzielni we władaniu bronią na polu walki i szlachetni we wszystkich sprawach wojskowych i prywatnych, że będą niepokonanymi bojownikami, pomnymi na sławę Radetzkiego i księcia Eugeniusza Sabaudzkiego. Że użyźnią krwią swoją rozległe pola chwały monarchii i zwycięsko dokonają zadania, jakie wyznaczyła im historia. Z odwagą i męstwem, gardząc życiem swoim, runą naprzód pod podziurawionymi od kul sztandarami, ku nowej sławie i nowym zwycięstwom.

Potem na korytarzu naczelny lekarz sztabowy rzekł do tego naiwnego młodziana:

— Panie kolego, mogę pana zapewnić, że to wszystko na nic. Z tych łajdaków nie zrobiłby żołnierzy ani Radetzky, ani książę Eugeniusz Sabaudzki. Mówić do nich po anielsku czy po diabelsku to wszystko jedno. To hołota.

IX. SZWEJK W GARNIZONIE

Ostatnim schronieniem ludzi, którym nie chciało się wojować, był garnizon. Znałem pewnego suplenta, który jako matematyk nie chciał strzelać z armat i ukradł jakiemuś porucznikowi zegarek, żeby się tylko dostać do garnizonu. Zrobił to po gruntownym namyśle. Wojna mu nie imponowała i nie zachwycała go. Strzelanie do nieprzyjaciela i zabijanie takich samych nieszczęśliwych suplentów-matematyków po stronie przeciwnej uważał za idiotyzm.

— Nie chcę być znenawidzony za swoje czyny — powiedział sobie i z premedytacją ukradł zegarek.

Najpierw badali jego stan umysłowy, ale gdy oświadczył, że chciał się zбогacić, wyprowadzili go do garnizonu. Sporo było takich, którzy siedzieli w garnizonie za kradzieże i oszustwa, idealistów i nieidealistów. Byli tam ludzie uważający wojnę za źródło dochodów, różni podoficerowie z rachuby, zarówno z tyłów, jak z frontu, którzy dopuszczali się najróżniejszych manipulacji z prowiantami i z żołdem, a także różni drobni złodzieje, stokroć uczciwsi od tych łotrów, którzy ich tu przysłali. Następnie siedzieli w garnizonie żołnierze za różne inne wykroczenia czysto wojskowe, jak niesubordynacja, próby buntu, dezercja. Wreszcie typem osobliwym byli polityczni, wśród których osiemdziesiąt procent było zupełnie niewinnych, ale dziewięćdziesiąt dziewięć procent spośród nich skazywano.

Zespół audytorów był wspańiały. Właśnie taki aparat sądowy, jaki był tutaj, ma każde państwo przed powszechnym politycznym, gospodarczym i moralnym upadkiem. Takie państwo ochrania resztki swego spłowiałego nimbu przy pomocy sądów, policji, żandarmerii i sprzedajnej zgrai donosicieli.

W każdym oddziale wojskowym miała Austria szpiclów, którzy denuncjowali swoich towarzyszy, śpiających z nimi w tych samych pryczach i dzielących się z nimi kawałkiem chleba podczas marszów.

Także i policja państwowa dostarczała do garnizonu sporo materiału, osobliwie tacy panowie, jak Klima, Slaviczek i S-ka. Za sprawą cenzury wojskowej przyprowadzano tu autorów korespondencji, jaką prowadzili ludzie z frontu z tymi, których pozostawili w domu, zrozpaczonych, bezradnych. Tutaj sprowadzali żandarmi nawet starych dożywotników, którzy pisywali listy na front, a sąd wojskowy wlepił im po dwanaście lat więzienia za ich słowa pociechy i za opisy biedy domowej.

Stąd, z aresztu hradeckiego, prowadziła też droga przez Brzevnov na motolski plac ćwiczeń. Niejednokrotnie kroczył tędy pod bagnetem człowiek z łańcuchami na rękach, a za nim toczył się wóz z trumną. Potem na motolskim placu ćwiczeń padał krótki rozkaz: „An! Feuer!” Po czym po wszystkich pułkach i batalionach odczytywali rozkaz pułkowy, że znowu rozstrzelano jednego za bunt — i to jaki — podniesiony wtedy, gdy stawał do wojska i gdy kapitan ciął szablą jego żonę za to, że nie mogła się oderwać od męża.

A w garnizonie rządziła trójca: sztabowy profos Slavik, kapitan Linhart i sierżant Rzepa, przezywany katem. Ilu to ludzi zatłukli oni w separatkach! Być może, że kapitan Linhart i teraz, za republiki, jest dalej kapitanem. Życzyłbym sobie, żeby mu zaliczone były lata służby w więzieniu garnizonowym. Slaviczkowi i Klimie przez policję państwową lata te zostały zaliczone. Rzepa jest teraz cywilem i wykonuje dalej swój zawód majstra mularskiego. Być może, że jest członkiem patriotycznych stowarzyszeń w republice.

Sztabowy profos Slavik stał się za republiki złodziejem, jest dzisiaj pod kluczem. Nie zaczepił się biedak w republice jak inni wojskowi.

*

Jest rzeczą zgoła naturalną, że sztabowy profos Slavik, przyjmując Szwejka, rzucił na niego spojrzenie pełne niemego wyrzutu:

— I ty, bratku, masz tak dalece zaszarganą opinię, iż dostałeś się aż tutaj, między nas? My ci tu, kochanie, pobyt osłodziły jak wszystkim, którzy wpadli w nasze ręce, a te ręce nasze niczym nie przypominają delikatnych rączek damskich.

Aby zaś dodać sobie powagi, przytknął swoją muskularną i ciężką pięść do nosa Szwejka i powiedział:

— Powąchaj, łajdaku!

Szwejk powąchał i odrzekł:

— Nie chciałbym dostać nią w nos, bo to pachnie cmentarzem.

Spokojne, poważne słowa podobały się sztabowemu profosowi.

— He — rzekł trącając Szwejka pięścią w brzuch. — Stój prosto. Co masz w kieszeniach? Jeśli masz papieros, to go sobie możesz zostawić, ale pieniądze dawaj, żeby ci ich nie ukradli. Więcej nie masz? Naprawdę nie masz? Nie kłam, za kłamstwo karzemy.

— Gdzie go wsadzimy? — zapytał sierżant Rzepa.

— Wsadzimy go do szesnastki — zdecydował sztabowy profos — między tych, co chodzą w gaciach. Nie widzi pan, że w papierach pan kapitan Linhart dopisał: „*Streng behüten! Beobachten!*”. No tak, tak — zwrócił się uroczyście do Szwejka — z łajdakami postępuje się po łajdacku. Jak się kto opiera, to go prowadzimy do pojedynki i łamiemy mu tam wszystkie żebra, a potem zostawiamy go tam samego, dopóki nie zdechnie. Mamy swoje prawo. Poradziliśmy tu sobie z jednym rzeźnikiem, pamiętacie, Rzepa?

— No, co prawda, to prawda, napociliśmy się nad nim, panie profosie — marzycielsko odpowiedział sierżant Rzepa. — Co to było za ciało! Przez pięć minut musiałem po nim deptać, zanim zaczęły mu trzeszczeć żebra i puściła mu się krew ustami. I jeszcze dziesięć dni żył potem. Ale był silny.

— Widzisz więc, łajdaku, jak to się u nas robi, jeśli ktoś stawia opór — kończył swój pedagogiczny wykład sztabowy profos Slavik. — To samo, gdy ktoś chce uciec. To tak, jakby ktoś popełnił samobójstwo, za które u nas karze się tak samo. Albo niech cię ręka boska broni, ty gówniarzu, gdyby ci przyszło do głowy skarżyć się na coś, gdy będzie inspekcja. Gdy inspekcja przyjdzie i zapyta: „Czy macie jakie skargi?” — to masz, śmierdzielu, stać na baczność, salutować i odpowiadać: „Postusznie melduję, że nie mam, że jestem zupełnie zadowolony”. Jak powiesz, niedojdo? Powtórz!

— Postusznie melduję, że nie mam, że jestem zupełnie zadowolony — powtórzył Szwejk z takim miłym wyrazem twarzy, że sztabowy profos został oszukany, bo mu się wydało, że to jest rzetelne staranie i uczciwość.

— Rozbierz się do gatek i pójdziesz do szesnastki — rzekł grzecznie, nie dodając żadnego z tych pięknych słów, jak: łajdak, śmierdziel, niedojda, chociaż to było jego zwyczajem.

W szesnastce spotkał się Szwejk z dziewiętnastoma ludźmi w gatkach. Byli to tacy, którzy w papierach swoich mieli uwagę: „*Streng behüten! Beobachten!*”. Pilnowano ich też bardzo troskliwie, aby nie puciekali.

Gdyby te kalesony były czyste, a okna nie miały krat, to na pierwsze spojrzenie można by było mniemać, że się jest w szatni łaźni parowej.

Szwejka przyjął tzw. cimerkomendant — służbowy szesnastki, chłop zarośnięty, w rozchełstanej koszuli. Zapisał sobie jego nazwisko na skrawku papieru wiszącym na ścianie i powiedział:

— A jutro to ci będzie u nas dopiero przedstawienie. Zaprowadzą nas do kaplicy na kazanie. My, wszyscy w gaciach, stoimy zawsze pod amboną. To ci będzie frajda.

Kaplica domowa cieszyła się wielkim powodzeniem w garnizonie, jak zresztą cieszy się zawsze we wszystkich więzieniach i domach poprawczych. Wcale nie chodziło o to, aby przymusowe odwiedzanie kaplicy więziennej miało przybliżyć odwiedzających do Boga albo podnieść ich moralnie. O takich głupstwach nie mogło być mowy.

Nabożeństwa i kazania były jedynie wspaniałym urozmaiceniem nudy więzienia garnizonowego. Nie chodziło o to, żeby się znaleźć bliżej Boga, ale o to, że po drodze do kaplicy nadarzy się możliwość znalezienia niedopałka papierosa lub cygara. Boga całkowicie przesłonił mały niedopałek, beznadziejnie walający się w spluwacze lub w kurzu na ziemi. Ów maleńki woniejący przedmiot miał przewagę nad Bogiem i zbawieniem duszy.

A przy tym jeszcze to kazanie, istna frajda i zabawa! Kapelan wojskowy Otto Katz był jednakże przemiłym człowiekiem. Kazania jego były niezmiernie zajmujące, wesołe i odświeżające nudę garnizonową. Umiał cudownie głądzić o niezmiernej łasce bożej, podtrzymując na duchu opuszczonych więźniów i pohańbionych mężów. Umiał wspaniale perorować z kazalnicy czy od ołtarza. Bajecznie także ryczał przed ołtarzem swoje: „*Ite missa est*”. Całe nabożeństwo odprawiał w sposób wysoce oryginalny, odwracając cały porządek mszy świętej; a gdy był mocno pijany, wymyślał nowe modlitwy, nową mszę świętą i swój własny rytuał, w ogóle coś, czego tutaj jeszcze nie było.

I jeszcze ta uciecha, kiedy to czasami pośliznął się i upadł z kielichem, z monstrancją czy mszałem, a potem oskarżał głośno ministranta — brał ich spośród więźniów — że mu umyślnie podstawił nogę, i natychmiast, w obliczu przenajświętszego sakramentu, lajął go grożąc separatką i kajdankami.

A domniemany winowajca cieszy się, że bierze udział w tej całej frajdzie w kaplicy więziennej. Gra wielką rolę i z godnością się z niej wywiązuje.

Kapelan polowy Otto Katz, najdoskonalszy ksiądz wojskowy, był Żydem. Nie ma w tym zresztą nic osobliwego. Arcybiskup Kohn był też Żydem, i jeszcze do tego kolegą Machara.

Kapelan polowy Otto Katz miał jeszcze barwniejszą przeszłość niż sławny arcybiskup Kohn.

Odbывał studia w Akademii Handlowej i służył w wojsku jako jednoroczny ochotnik. Na wekslach i prawie wekslowym znalazł się tak świetnie, że w ciągu tej jednorocznej służby wojskowej doprowadził firmę Katz i S-ka do gruntownego bankructwa, w wyniku czego stary pan Katz, ugodziwszy się z wierzycielami, czmychnął do Ameryki Północnej bez ich wiedzy oraz bez wiedzy swego współnika, który wyjechał do Argentyny.

Gdy więc młody Otto Katz bezinteresownie obdarzył Amerykę Północną i Południową firmą Katz i S-ka, znalazł się w sytuacji człowieka, który nie mając żadnych widoków na spadek, nie wie, gdzie by głowę skłonił, a przeto musi zabiegać o przejście do służby czynnej.

Ale przedtem obmyślił sobie Otto Katz wielce uroczystą rzecz. Kazał się ochrzcić. Nawrócił się do Chrystusa, żeby mu pomógł zrobić karierę. Nawrócił się do Niego z zaufaniem bezwzględny, uważając to za sprawę czysto handlową między nim a Synem Bożym.

Chrzczili go uroczyście w klasztorze emauskim. Sam pater Alban polewał go wodą z chrzcielnicy. Widowisko było wspaniałe. Asystował przy nim pewien pobożny major z pułku, w którym Otto Katz służył, jakaś stara panna z Instytutu Szlachcianek na Hradczanach i pewien grubousty przedstawiciel konsystorza, który był chrzestnym ojcem.

Egzamin oficerski wypadł pomyślnie i nowy chrześcijanin Otto Katz pozostał w wojsku. Zrazu zdawało mu się, że wszystko pójdzie dobrze i chciał się nawet zapisać na kursy sztabowe.

Ale pewnego dnia upił się i poszedł do klasztoru: porzucił szablę i przywdział habit. Zwrócił się do arcybiskupa na Hradczanach i dostał się do seminarium. Przed swym wyświęceniem upił się jak bela w jednym bardzo przyzwoitym domu z obsługą damską w zaułku niedaleko ulicy Vejvody i prosto z wiru uciech i zabawy poszedł przyjąć święcenia. Po wyświęceniu udał się do swego pułku z prośbą o protekcję, a gdy go mianowano kapelanem wojskowym, kupił sobie konia, odbywał przejażdżki po Pradze i uczestniczył we wszystkich birbantkach oficerów swego pułku.

W sieni domu, gdzie mieszkał, bardzo często odzywały się przekleństwa niezaspokojonych wierzycieli. Przyprowadzał sobie do mieszkania dziewczyny z ulicy albo posyłał po nie swego ordynansa. Bardzo lubił grywać w ferbla, a chociaż istniały pewne uzasadnione przypuszczenia, że nie trzyma się zbyt pedantycznie reguł gry, to jednak nikt nie zdołał mu udowodnić, że w obszernym rękawie swego płaszcza trzymał w pogotowiu przydatnego asa. W kołach oficerskich nazywali go świętym ojcem.

Do kazania nigdy się nie przygotowywał, czym różnił się od swego poprzednika, który też odwiedzał garnizon. Tamten uroił sobie, że ludzi więzionych w garnizonie można poprawić napominaniem z kazalnicy. Czcigodny ten kapelan pobożnie wywracał oczyma i wykladał więźniom, że konieczna jest reforma prostytucji, reforma opieki nad nieza-

mężnymi matkami, a także mówił o wychowaniu dzieci nieprawego łoża. Kazania jego były bardzo oderwane, a jako pozbawione związku z sytuacją aktualną nudziły słuchaczy.

Natomiast kapelan wojskowy Otto Katz wygłaszał kazania, z których cieszyli się wszyscy.

Chwila to była uroczysta, gdy „szesnastkę” prowadzili do kaplicy w gaciach, ponieważ ubieranie tych więźniów połączone było z ryzykiem ich ucieczki. Ustawiano tych dwadzieścia par kalesonów, niby białych aniołów, tuż pod kazalnicą. Ci, którym dopisało szczęście, żuli niedopałki papierosów znalezione po drodze, ponieważ — jak wiadomo — nie mieli kieszeni, w których mogliby je ukryć.

Obok nich stali inni więźniowie garnizonu i cieszyli oczy swoje widokiem dwudziestu par kalesonów pod kazalnicą, na którą wchodził kapelan wojskowy pobrzękując ostrogami.

— *Habacht!* — wykrzyknął. — Modlitwa! Wszyscy powtarzają za mną, co będę mówił. A ty tam w końcu, łobuzie jeden, nie smarcz w garść, jesteś w świątyni Pańskiej, bo inaczej każę cię przymknąć. Wy łaziki jedne, czyście przypadkiem nie zapomnieli *Ojczenasz*? No, to spróbujemy... No tak, od razu wiedziałem, że to nie pójdzie. Gdzież wam tam do ojczenasza! Wtrząchnąć tak dwie porcje mięsa z fasolową sałatką, położyć się pepkiem do góry, dłużyć w nosie i nie myśleć nawet o Panu Bogu, to by się wam podobało! Czy nie mam racji?

Spojrzał z kazalnicy na dół, na dwudziestu białych aniołów w kalesonach, którzy, jak zresztą i wszyscy obecni, doskonale się bawili. W tyle żołnierze grali w „oko”.

— To wspaniale — szepnął Szwejk sąsiadowi, którego podejrzewano, że za trzy korony odrąbał swemu towarzyszowi wszystkie palce u ręki, aby w ten sposób pomóc mu wymigać się od wojaczki.

— To się dopiero zacznie — powiedziano mu. — Dziś znowu jest mocno wstawiony, więc będzie na pewno mówił o ciernistej drodze grzechu.

Kapelan był dziś rzeczywiście w doskonałym usposobieniu. Sam nie zdawał sobie sprawy, że ciągle wychyla się z kazalnicy; raz omal nie wypadł z niej, straciwszy równowagę.

— Chłopy, zaśpiewajcież coś! — krzyknął w dół. — A może chcecie, żebym was nauczył nowej piosenki? Śpiewajcie więc za mną!

Mam ja swoją ukochaną,
Z wszystkich panien wybieraną.
Nie chodzę też za nią sam,
Chodzi za nią innych więcej.
Kochanków ma na tysiące.
A ta moja najmilejsza
To Panienska Maryja!

— Ale wy, łobuzy, nigdy się tego nie nauczycie — mówił dalej kapelan. — Jestem za tym, aby was wszystkich powystrzelać. Czy dobrze mnie rozumiecie? Stwierdzam to z tego oto świętego miejsca, wy nikczemnicy, bo wahacie się nawrócić do Chrystusa, wolicie kroczyć ciernistą drogą grzechu. Ale Bóg to coś, co się was nie boi, zakręci wami tak, że aż zgłupiejecie.

— A więc już się zaczęło, jest porządnie wlany — szepnął radośnie sąsiad do Szwejka.

— Ciernista droga grzechu, wy głupcy jedni, jest walką z występkiem. Jesteście synami marnotrawnymi, którzy wolą raczej wylegiwać się w separatkach niż nawrócić się do Ojca Niebieskiego. Wznieście tylko wasz wzrok, wy ulicznicy, dalej i wyżej, aż pod niebiosy, a zwyciężycie i w duszach waszych zagości pokój. Wypraszam sobie, aby tam z tyłu ktoś parsknął. Nie jest koniem i nie stoi w stajni, ale jest w świątyni Pańskiej — zwracam wam na to uwagę, moi najmilszy. No tak, na czymże to ja skończyłem! *Ja, über den Seelenfrieden, sehr gut.* Pamiętajcie sobie, wy bydłata, że jesteście ludźmi i że musicie patrzeć nawet skroś ciemny mrok w daleką przestrzeń i pamiętać, że tu wszystko trwa do czasu, a Bóg jest na wieki. *Sehr gut, nicht wahr, meine Herren?* Musiałbym się za was modlić dniem i nocą, aby miłosierny Bóg, wy głupcy, wlał duszę swą w wasze zimne serca, a miłością swoją zmył grzechy wasze, abyście stali się Jego na wieki, wy gałgany

jedne, i żeby was zawsze miłował. Ale wy się mylicie. Ja was do tego raju wprowadzać nie będę! — Kapelan zaczął czkać. — Nie będę — powtarzał uparcie — nic dla was nie uczynię, ani mi się śni, bo jesteście niepoprawni nikczemnicy. Dobroć Pańska nie będzie was prowadziła po drogach waszych, nie przeniknie was tchnienie łaski bożej, ponieważ Panu Bogu nie będzie się śniło zajmować się takimi lotrami. Czy słyszycie to, wy tam na dole w tych gaciach?

Dwadzieścia par kalesonów spojrzało w górę i odrzekło jednym tchem:

— Meldujemy posłusznie, że słyszymy.

— Nie wystarczy tylko słyszeć — kazał w dalszym ciągu kapelan. — Ciemny jest mrok żywota, w którym żal nie zabierze wam uśmiechu bożego, wy głupcy, ale dobroć boża ma także swoje granice. A ty tam, ośle jeden, co stoisz z tyłu, nie chrząkaj, bo jak cię każę zamknąć, to aż ci bokiem wyjdzie. A wy tam na dole nie myślcie sobie, że jesteście w knajpie. Bóg jest wprawdzie najmiłosierniejszy, ale tylko dla porządných ludzi, a nie dla wyrzutków społeczeństwa, które nie spełniają Jego przykazań i nie trzymają się regulaminu służbowego. To właśnie chciałem wam powiedzieć. Nie umiecie się modlić, a myślicie sobie, że chodzenie do kaplicy jest rozrywką, że tutaj jest jakiś teatr czy kino. Ale ja wam to szybko wybiję z głowy, abyście sobie nie myśleli, że jestem tutaj po to, aby was bawić i dać wam radość życia. Porozsadam was po separatkach, to wam zrobię, wy łobuzy. Tracę dla was czas i widzę, że to wszystko idzie na marne. Żeby tu był sam pan polny marszałek albo nawet arcybiskup, to się i tak nie naprawicie i nie nawrócicie do Boga. A jednak kiedyś to sobie przypomnicie, żem wam dobrze życzył.

Wśród dwudziestu par gaci ozwało się łkanie. To Szwejk się rozbeczał. Kapelan spojrział na dół. Stał tam Szwejk i pięścią ocierał sobie oczy.

Wokół było widać radosne przytakiwanie.

Kapelan kazał dalej, wskazując na Szwejka:

— Niech sobie każdy weźmie przykład z tego oto człowieka. Co on czyni? Płacz. Nie płacz, powiadam ci, nie płacz. Chcesz się poprawić? To ci się, chłopaczku, tak łatwo nie uda. Teraz płaczesz, ale jak tylko wrócisz do *cymru*, będziesz znowu taki sam łobuz jak przedtem. Musisz jeszcze dużo myśleć o nieskończonej miłości i miłosierdziu bożym, bardzo się starać, aby twoja grzeszna dusza mogła znaleźć na świecie tę prawdziwą drogę, po której winna kroczyć. Dziś widzimy, że oto rozbeczał nam się jeden mąż, który chce się nawrócić, a cóż czynicie wy, pozostali? Zgoła nic. Tam oto ten żuje tytoń, tak jakby jego rodzice byli przeżuwcami; a znowu wy tam szukacie sobie w koszulach wszy w świątyni Pańskiej. Cóż to, nie możecie się drapać w domu i musicie sobie to pozostawiać akurat na nabożeństwo w kościele? Panie sztabowy profosie, pan także nic nie widzi. Jesteście przecież wszyscy żołnierzami, a nie głupimi cywilami. Musicie zachowywać się, jak przystało na żołnierzy, nawet kiedy jesteście w kościele. Psiakrew, rzućcie się na poszukiwanie Boga, a wszy szukajcie sobie w domu. Tymi słowami kończę, wy ulicznicy, i żądam, abyście zachowywali się przyzwoicie podczas mszy świętej, nie tak jak ostatnio, kiedy ci z ostatnich szeregów wymieniali sobie wojskową bieliznę na chleb i żarli go w czasie podniesienia.

Kapelan zszedł z ambony i udał się do zakrystii, dokąd podążył za nim sztabowy profos. Po chwili profos powrócił, a zwracając się wprost do Szwejka, wyciągnął go z grupy, z owej kalesonowej dwudziestki, i zaprowadził do zakrystii.

Kapelan rozsiadł się wygodnie na stole i skręcał sobie papierosa. Gdy Szwejk wszedł, kapelan powiedział:

— A więc mam cię tu. Wszystko już sobie rozważyłem i myślę, że cię przejrzałem, jak się należy, rozumiesz, chłopie! To mi się zdarza po raz pierwszy, żeby mi się ktoś w kościele rozbeczał.

Zeskoczył ze stołu i potrząsając ramieniem Szwejka krzyczał na niego pod wielkim, smutnym obrazem świętego Franciszka Salezego:

— Przyznaj się, ty lotrze, że beczaleś tylko tak sobie, dla kawału!

A święty Franciszek Salezy spoglądał pytająco z obrazu na Szwejka. Z drugiej strony, z innego obrazu patrzył na niego uporczywie jakiś męczennik; miał on wbite w pośladek zęby piły, którą pilowali go jacyś rzymscy żołdacy. Na twarzy męczennika nie było widać ani śladu cierpienia, nie malowała się też na niej ani radość, ani żar męczeński. Patrzył

tylko ze zdziwieniem, jakby chciał rzec: „Jak też do tego właściwie doszło? Co, panowie, ze mną robicie?”

— Posłusznie melduję, panie feldkurat — rzekł Szwejk z wielką powagą, stawiając wszystko na jedną kartę — że się spowiadam Bogu wszechmogącemu i Tobie, ojcie duchowny, który jesteś na miejscu bożym, że... że beczalem naprawdę tylko dla kawału. Widziałem, że do takiego kazania brak było jedynie jakiegoś nawróconego grzesznika, którego pan feldkurat daremnie szukał. Chciałem panu feldkuratowi sprawić przyjemność, żeby pan nie myślał, że już nie ma uczciwych ludzi, a sobie chciałem sprawić uciechę, żeby mi ulżyło.

Kapelan spojrział badawczo w prostoduszną twarz Szwejka. Promień słoneczny musnął ponury obraz św. Franciszka Salezego i ogrzał swym ciepłem wystraszonego męczennika na przeciwnej ścianie.

— Zaczynacie mi się podobać — rzekł siadając znowu na stole. — Do którego pułku należycie? — Dostał czkawki.

— Posłusznie melduję, panie feldkurat, że należę i nie należę do 91 pułku i że sam nawet nie wiem, jak to ze mną właściwie jest.

— A za co tu siedzicie? — pytał kapelan nie przestając czkać.

Z kaplicy dochodziły dźwięki fisharmonii, która zastępowała organy. Jeden z przy-
mkniętych za dezercję, nauczyciel muzyki, wyżalał się na tym instrumencie w tęsknych
melodiach kościelnych. Razem z czkawką feldkurata zlewały się te dźwięki w jakąś nową
gamę dorycką.

— Posłusznie melduję, panie feldkurat, że naprawdę nie wiem, za co tu siedzę, ale nie
skarzę się na swój los. Ja mam już takiego pecha. Zawsze chcę wszystko zrobić dobrze,
a w końcu wszystko obraca się ku złemu, jak temu męczennikowi na tym obrazie.

Kapelan spojrział na obraz, uśmiechnął się i rzekł:

— Podobacie mi się naprawdę, muszę się o was wypytać pana audytora i dalej gadać
z wami nie będę. Mam już dość tej dzisiejszej mszy. *Kebrt euch! Abtreten!*

Gdy Szwejk powrócił do swojej rodzimej gromady gatek pod kazalnicą, na wszystkie
stawiane mu pytania, czego chciał od niego kapelan, odpowiedział bardzo sucho i zwięźle:

— Jest wstawiony.

Nowy wyczyn kapelana — msza święta wysłuchana została przez wszystkich z wielkim
zainteresowaniem i szczerą sympatią. Jeden z tych spod ambony założył się w końcu, że
kapelanowi wypadnie monstrancja z rąk. Stawiał całą swoją porcję chleba przeciwko dwom
uderzeniom po głębie i zakład wygrał.

To, co przepeśniało dusze wszystkich obecnych w kaplicy, gdy patrzyli na spełnianie
obzędów przez kapelana polowego, nie było mistycyzmem wierzących ani pobożnością
szczerych katolików. Było to uczucie, jakiego doznajemy w teatrze, gdy nie znamy treści
sztuki, gdy akcja się wikła i z napięciem oczekujemy rozwiązania. Pograżyli się w podzi-
wianiu widowiska, którego im z tak wielką ofiarnością dostarczał ten pan feldkurat przy
ołtarzu. Oddawali się estetycznemu przeżywaniu piękna ornatu, który feldkurat włożył
na lewą stronę, i w cichym porozumieniu i podnieceniu obserwowali wszystko, co się
działo przy ołtarzu.

Rudy ministrant, dezertter z Kościoła, specjalista od drobnych kradzieży w 28 pułku,
uczciwie usiłował wywołać z pamięci cały porządek, technikę i treść mszy świętej. Był on
jednocześnie ministrantem i sufferem feldkurata, który z całą lekkomyślnością przerzucał
karty mszału i zamiast zwyczajnej mszy znalazł w mszale roraty, które zaczął odśpiewywać
ku uciesze wszystkich obecnych.

Nie miał on ani głosu, ani słuchu muzycznego i pod sklepieniem kaplicy ozwały się
okropne kwiki i jęki jak w świńskim chlewiku.

— Ten się dzisiaj spił — powtarzali zgromadzeni przed ołtarzem z pełnym zadowolen-
niem i radością. — Ale jest włany! A to go wzięło! Na pewno się schlał gdzieś u dziwek.

Już przynajmniej po raz trzeci ozwał się od ołtarza śpiew kapelana: „*Ite missa est!*” —
jak bojowy ryk Indian, aż szyby brzęczały.

Potem kapelan spojrział raz jeszcze do kielicha, czy nie została tam choćby kropelka
wina, uczynił ruch pełen złości i odwrócił się do słuchaczy.

— A więc możecie już iść do domu, łobuzy jedne, już się skończyło. Zauważyłem, wy
ulicznicy, że nie objawiacie tej prawdziwej pobożności, jaką winni byście mieć w kościele

w obliczu najświętszej świętości ołtarza. Twarzą w twarz z najwyższym Bogiem nie wstydzie się śmiać na głos, kaszlać, rechotać, szurać nogami, i to nawet wobec mnie, który tutaj zastępuję Przenajświętszą Panienkę, Chrystusa Pana i Boga Ojca. Jeśli się to będzie powtarzało na przyszłość, to wiedźcie, że ja z wami zatańczę jak należy i popamiętacie, że jest nie tylko to jedno piekło, o którym wam przedostatnim razem kazałem, ale że jest także piekło na ziemi. I nawet gdyby się wam udało wymigać przed tym pierwszym, to owo drugie piekło was nie minie. *Abtreten!*

Kapelan, który w praktyce tak pięknie wykladał tę diabelnie starą rzecz o nawiedzaniu więzionych, odszedł do zakrystii, przebrał się, kazał sobie nalać kielich mszalnego wina, wypił je i przy pomocy rudego ministranta wsiadł na swego wierzchowca przywiązanego na dworze. Przypomniawszy sobie jednak Szwejka, zszedł z konia i poszedł do kancelarii do audytora Bernisa.

Audytor śledczy Bernis był człowiekiem z towarzystwa, wytwornym tancerzem i rozpustnikiem, który w garnizonie nudził się straszliwie i pisywał niemieckie wiersze przeznaczone do pamiętników, żeby na wszelki wypadek mieć ich trochę pod ręką. Był on jednym z najważniejszych ogniw całego aparatu sądu wojennego, ponieważ miał takie mnóstwo zaległości i taką gmatwaninę w aktach, że cały sąd wojenny na Hradczanach musiał mieć dla niego wyjątkowy szacunek. Gubił materiał oskarżający i musiał zmyślać nowy. Płatał nazwiska, tracił wątek oskarżenia i snuł nowy, jak mu się akurat ubrdało. Dezerterów sądził za kradzież, a złodziei za dezercję. Wpływał do tego wszystkiego i polityczne procesy, kombinowane na poczekaniu. Robił najrozmaitsze hokus pokus, aby oskarżonym dowieść zbrodni, o jakich im się nawet nie śniło. Pomawiał oskarżonych o obrazę majestatu, a wymyślone przez siebie zbrodnie przypisywał zawsze komuś innemu, którego akta lub protokoły zagubił i zaprzepaścił w niezmiernym chaosie urzędowych akt i pism.

— Serwus — rzekł kapelan podając mu rękę. — Jak się masz?

— Nie bardzo — odpowiedział śledczy audytor Bernis. — Pomieszali mi materiał i teraz sam diabeł tego wszystkiego nie rozwikła. Wczoraj wysłałem do sądu opracowany materiał, dotyczący jednego draba oskarżonego o bunt, a wszystko odesłali mi z powrotem, twierdząc, że w tym wypadku nie chodzi o bunt, ale o kradzież puszek konserw. I jeszcze napisałem na fascykułe niewłaściwy numer, ale jak oni na to wpadli, Bóg raczy wiedzieć.

Audytor splunął.

— Chodzisz jeszcze na karty? — pytał kapelan.

— Zgrałem się do ostatniej nitki. Ostatnio graliśmy z tym łysym pułkownikiem w makao i przegrałem do niego wszystko, co miałem. Ale wiem o ładnej dziewczynce. A co ty porabiasz, święty ojczu?

— Potrzebuję służącego — rzekł kapelan. — Miałem dotychczas takiego starego buchaltera bez akademickiego wykształcenia, ale bydlę pierwszej klasy. Ciągłe tylko postękiwał i modlił się, żeby go Pan Bóg zachował, więc posłałem go z batalionem marszowym na front. Mówią, że ten batalion został rozbity na amen. Potem dali mi takiego figlarza, który nic innego nie robił, tylko przesiadywał w szynku i pił na mój rachunek. Był on nawet znośny, ale pociły mu się nogi. Więc także wyprawilem go na front. Dziś znalazłem podczas kazania takiego draba, który mi się dla kawału rozbeczał. Taki człowiek bardzo by mi się przydał. Nazywa się Szwejk i siedzi w szesnastce. Chciałbym wiedzieć, za co się dostał pod klucz i czy nie dałoby się coś zrobić, żebym go sobie mógł zabrać.

Audytor szukał po szufladach odnośnych akt dotyczących Szwejka, ale jak zwykle, nie mógł ich znaleźć.

— Będą niezawodnie u kapitana Linharta — rzekł po długim szukaniu. — Diabli wiedzą, gdzie mi się te wszystkie akta zapodziejają. Posłałem je niezawodnie Linhartowi. Zaraz zatelefonuję... Halo, tutaj porucznik audytor Bernis, panie kapitanie. Proszę pana, czy pan nie ma akt dotyczących niejakiego Szwejka... U mnie mają być? To dziwne... Sam miałem odbierać? Naprawdę, bardzo dziwne... Siedzi w szesnastce... Ja wiem, panie kapitanie, że szesnastka to moja rzecz. Ale myślałem, że akta dotyczące Szwejka poniewierają się u pana... Pan sobie wyprasza takie wyrażenia, bo u pana nic się nie poniewiera? Halo, halo...

Audytor Bernis usiadł i z goryczą potępiał nieporządki panujące w prowadzeniu śledztwa. Między nim a kapitanem Linhartem już od dawna panowały naprężone stosunki,

konsekwentnie podtrzymywane z obu stron. Jeśli do rąk Bernisa dostał się jakiś papier należący do Linharta, to Bernis zaprzepaszczal go tak doskonale, że nikt nie mógł go odszukać. Linhart robił to samo z papierami Bernisa. Wzajemnie gubili swoje załączniki².

(Papiery dotyczące Szwejka znaleziono w archiwum sądu wojennego dopiero po przewrocie, z taką relacją: „Zamierzał zrzucić maskę obłudnika i publicznie wystąpić przeciwko osobie naszego monarchy i naszego państwa”. Papiery te były wsunięte w akta dotyczące niejakiego Józefa Koudeli. Na okładce był krzyżyk, a pod nim data z adnotacją: „Załatwione”).

— Ten Szwejk mi się zgubił — rzekł audytor Bernis. — Każę go zawołać i jeśli się do niczego nie przyzna, to go wypuszczę i każę go zaprowadzić do ciebie, a ty już załatwisz sprawę z pułkiem.

Po odejściu kapelana polowego audytor Bernis wezwał Szwejka, któremu kazał stać przy drzwiach, ponieważ akurat dostał telefonogram z dyrekcji policji, że żądany materiał do aktu oskarżenia nr 7267, dotyczący piechura Maixnera, został odebrany w kancelarii numer 1 za podpisem kapitana Linharta.

W tej chwili właśnie Szwejk rozglądał się po kancelarii audytora.

Nie można było twierdzić, że wywierała ona wrażenie szczególnie miłe, a już wcale nie można powiedzieć tego o fotografiach, które ozdabiała jej ściany. Były to fotografie różnych egzekucji wykonywanych przez armię w Galicji i w Serbii. Fotografie artystyczne z popalonymi chałupami i z drzewami, których gałęzie uginały się pod ciężarem powieszonych. Osobliwie piękna była fotografia z Serbii, przedstawiająca powieszoną rodzinę. Mały chłopiec, ojciec i matka. Dwaj żołnierze z bagnetami pilnują drzewa z wisielcami, a jakiś oficer jako zwyczajca stoi opodal i pali papierosa. Po drugiej stronie, w tyle, widać kuchnię polową w czasie gotowania posiłku.

— No więc, jak to będzie, mój Szwejku? — zapytał audytor Bernis odłożywszy telefonogram *ad acta*. — Coście zrobili? Wolicie się przyznać, czy też będziecie czekali, aż zostanie napisany akt oskarżenia? Tak dalej nie można. Nie myślcie sobie, że staniecie przed sądem złożonym z jakichś głupich cywilów. My tu mamy sądy wojenne, *k. u. k. Militärgericht*. Jednym ratunkiem dla was i uniknięciem surowej i sprawiedliwej kary może być tylko szczerze przyznanie się do winy.

Gdy audytor Bernis zgubił materiał dotyczący jakiegoś oskarżonego, wówczas uciekał się do osobliwej metody badania. Nie było w niej nic osobliwego, ale też nie można się dziwić, że i wyniki takiego badania w każdym wypadku równały się zeru.

Audytor Bernis uważał się jednak za człowieka bardzo przebiegłego i przewidującego. Nie mając materiału i nie wiedząc, o co oskarżać danego aresztanta, bardzo uważnie śledził zachowanie się delikwenta i przez badanie jego fizjonomii starał się dociec, za co też tego człowieka trzymają w więzieniu garnizonowym.

Jego spostrzegawczość i znajomość ludzi była tak wielka, że pewnego Cygana, który dostał się do garnizonu za kradzież paru tuzinów bielizny dokonaną w swoim pułku (był pomocnikiem magazyniera), oskarżył o zbrodnie polityczne, o to, jakoby gdzieś w szynku mówił żołnierzom o samodzielnym państwie narodowym, złożonym z ziem korony św. Wacława i Słowaczyny, ze słowiańskim królem na czele.

— My mamy na to dokumenty — rzekł audytor do nieszczęśliwego Cygana. — Pozostaje wam tylko przyznanie się do winy i wskazanie, w którym szynku o tym mówiliście, z którego pułku byli ci żołnierze, którzy was słuchali, i kiedy to było.

Nieszczęśliwy Cygan wymyślił sobie datę i szynk, a także numer pułku żołnierzy, którzy mieli być jego słuchaczami, ale gdy wracał ze śledztwa, uciekł z garnizonu, i tyle go widzieli.

— Nie chcecie przyznać się do niczego — rzekł audytor Bernis, gdy Szwejk milczał jak grób. — Nie chcecie mi powiedzieć, za co tu siedzicie i za co was wzięli pod klucz? Mnie moglibyście o tym powiedzieć, bo jak nie, to powiem wam sam. Wzywam was jeszcze raz, żebyście się dobrowolnie przyznali. Dla was lepiej, bo to ułatwia śledztwo i łagodzi karę. Pod tym względem jest u nas tak samo jak u cywilów.

²Wzajemnie gubili swoje załączniki — trzydzieści procent ludzi, którzy siedzieli w garnizonie, spędziło tam wszystkie lata wojny bez jednego przesłuchania. [przypis autorski]

— Posłusznie melduję — rzekł Szwejk swoim pocziwym głosem — że w garnizonie jestem jako podrzutek.

— Co to ma znaczyć?

— Posłusznie melduję, że mogę to objaśnić bardzo prostym przykładem. Na naszej ulicy jest węglarz, a ten węglarz miał całkiem niewinnego dwuletniego chłopczyka, a ten chłopczyk poszedł sobie raz pewnego z Vinohrad piechotą aż do Libni, gdzie go policjant znalazł siedzącego na chodniku. Tęgo chłopczyka zaprowadził potem do komisariatu i tam zamknęli to dwuletnie niewinne dziecko. Jak pan widzi, ten dwuletni chłopczyk był zupełnie niewinny, a jednak został aresztowany. Gdyby umiał mówić i gdyby ktoś go zapytał, za co dostał się do aresztu, to też by nie wiedział. Mnie przytrafiło się coś podobnego. Ja jestem taki sam podrzutek.

Bystre spojrzenie audytora przeleciało przez twarz Szwejka, zmierzyło całą jego postać i rozbilo się o jej spokój. Taka doskonała obojętność i niewinność promieniowała z całej tej istoty stojącej przed audytorem, że Bernis zaczął nerwowo spacerować po kancelarii, i gdyby nie obiecał kapelanowi, że mu Szwejka przyśle, to diabli wiedzą, jak byłoby się to wszystko dla Szwejka skończyło.

Wreszcie przestał spacerować i zatrzymał się przy biurku.

— Słuchajcie — rzekł do Szwejka, który obojętnie spoglądał przed siebie — jeśli spotkam się z wami jeszcze raz, to mnie popamiętacie. Zabrać go!

Gdy Szwejka odprowadzono z powrotem do szesnastki, audytor Bernis kazał zawołać sztabowego profosa Slavika.

— Przed ostateczną decyzją — rzekł zwięźle — odsyła się Szwejka do dyspozycji kapelana połowego Katza. Przygotować mu papiery zwalniające i pod eskortą dwóch szeregowców odesłać go do kapelana.

— Czy dać mu kajdanki na drogę, panie poruczniku?

Audytor uderzył pięścią w stół.

— Jesteście głupi jak wół. Mówię wam wyraźnie, że macie przygotować papiery zwalniające.

I wszystko, co w ciągu całego dnia osiadło na duszy pana audytora, to jest kapitan Linhart i Szwejk, wylało się jak rwący potok na głowę profosa, a skończyło się słowami:

— Czy wreszcie rozumiecie, że jesteście koronowany osioł?

W ten sposób mówi się jedynie o królach i cesarzach, ale nawet prosty sztabowy profos, głowa niekoronowana, też nie był z tego zadowolony. Powracając od audytora skopał jakiegoś więźnia, który sprzątał korytarz.

Co do Szwejka, to profos postanowił, że aresztant musi przespać przynajmniej jeszcze jedną noc w garnizonie, żeby to lepiej popamiętał.

Noc spędzona w garnizonie należy zawsze do wspomnień miłych.

Obok szesnastki była pojedynka, ponura dziura, w której izolowano aresztantów. I tej nocy odzywało się z niej wycie jakiegoś więzionego żołnierza, któremu sierżant Rzepa za jakieś dyscyplinarne wykroczenie łamał żebra z rozkazu sztabowego profosa Slavika.

Gdy wycie przycichło, słychać było w szesnastce trzaskanie wszy, które więźniowie wiskali.

Nad drzwiami w małej niszcze w murze znajdowała się lampa naftowa, zabezpieczona żelazną kratą. Światła dawała mało, kopciu dużo. Smród nafty mieszał się z naturalnymi wyciewami nie mytych ludzkich ciał i ze smrodem kubła, który przy każdorazowym użyciu rozwierał swą czelusć i wyrzucał falę wstrętnej woni na całą szesnastkę.

Marne pożywienie powodowało u wszystkich zaburzenia w trawieniu i większość cierpiała na wiatry, wypuszczane w nocną ciszę, przy czym ludzie odpowiadali sobie tymi sygnałami z dodatkiem żartobliwych uwag.

Na korytarzach słychać było miarowy krok strażników. Od czasu do czasu dozorca otwierał okienko w drzwiach i zaglądał do wewnątrz.

Na środkowej pryczy ktoś z cicha opowiadał:

— Zanim próbowałem uciec i zanim potem dostałem się tutaj między was, byłem pod numerem dwunastym. Tam siedzą ci niby lżejsi. Pewnego razu przyprowadzono tam

do nas jakiegoś człowieka z prowincji. Dostał ten zacy człowiek dwa tygodnie, ponieważ nocował u siebie żołnierzy. Najpierw myślnano, że to jakies sprzysięzenie, ale potem się pokazało, że robił to dla pieniędzy. Areszt miał odsiadywać między najlżejszymi, ale ponieważ tam było przepelnienie, więc dostał się do nas. Czego ten człowiek nie przyniósł sobie z domu i czego mu jeszcze nie naprzysylnali! Bo mu pozwolili mieć własny prowiant i dożywiać się. Nawet palić miał prawo. Miał dwie szynki, olbrzymie dwa bochenki chleba, jajka, masło, papierosy, tytoń, słowem wszystko, czego dusza zapragnie, można było znaleźć w jego obydwu tobołach. I jeszcze mu się zdawało, że wszystko to musi zeżreć sam. Poprosiliśmy go o kawałek tego czy owego, ale mu nawet do głowy nie przyszło, że powinien dzielić się z nami, jak się dzielili inni, gdy coś dostali. Ten chciwy drab myślał tylko o sobie i wywodził, że przez dwa tygodnie będzie pod kluczem i że nie będzie jadł z nami zgnitych kartofli i kapusty, które nam dają na obiad, bo popsułby sobie żołądek. Może nam, powiada, oddać cały swój obiad i porcję chleba, na tym mu nie zależy, możemy się tym obdzielić albo brać sobie po kolei za niego, jak chcemy. Powiem wam, że to był taki elegancki człowiek, iż nawet na kiblu siadać nie chciał, ale czekał zawsze do następnego dnia i podczas spaceru załatwiał się w latrynie. Był taki rozpieszczony, że przywiózł sobie nawet zapas papieru klozetowego. Powiedzieliśmy mu, że gwizdźmy na jego porcję, i cierpieliśmy dzień jeden, drugi, trzeci. Chłop żarł szynkę, smarował chleb masłem, obierał jajka. Jednym słowem, używał. Palił papierosy, ale nikomu nie dał nawet się zaciągnąć. „Nam, powiada, palić nie wolno, więc gdyby dozorca widział, że nam daje papierosa, toby go ukarał”. Jak powiedziałem, cierpieliśmy przez trzy dni. Czwartego dnia w nocy zrobiliśmy, co należało. Chłopisko budzi się rano i... Zapomniałem wam powiedzieć, że zawsze z rana, w południe i wieczorem, zanim zaczął żreć, modlił się długo i gruntownie. Więc modlił się i wyciąga spod pryczy toboły. Toboły juścić były, ale płaskie, pomarszczone jak suszona śliwka. Zaczął krzyczeć, że został okradziony, że mu złodzieje zostawili tylko papier klozetowy. Potem przez jakies pięć minut myślał jeszcze, że zrobiliśmy tylko taki kawał i że te jego prowianty gdzieś pochowaliśmy. Więc mówi do nas tak sobie, na wesoło: „Ja wiem, że to tylko tak, dla kawału. Schowaliście, ale oddacie. Udało wam się”. Był tam między nami jakiś jeden z Libni i tak powiada: „Wiesz pan, co? Przykryj się pan kocem i licz do dziesięciu, a potem zajrzyj do tobołów”. Przykrył się jak posłuszny chłopaczek i liczy: „Raz, dwa, trzy”. A ten Libniak znówu swoje: „Tak prędko nie można, trzeba liczyć pomalutku”. Więc tamten liczy pomalutku, z przerwami: „Raz — dwa — trzy...” Kiedy naliczył do dziesięciu i wylazł spod koca, żeby zajrzeć do swoich tobołów, zaczął krzyczeć: „Jezus Maria, ludzie kochane, toboły puste jak przedtem!” A twarz jego miała wyraz taki głupi, że mało nie popekaliśmy od śmiechu. „Spróbuj pan jeszcze raz” — powiada ten Libniak. I dacie wiarę? Taki był zbaraniały, tak z tego wszystkiego zgłupiał, że spróbował jeszcze raz, a gdy zobaczył, że w tobołach nadal nie ma nic, prócz klozetowego papieru, zaczął walić do drzwi i wrzeszczeć: „Okradli mnie, ratujcie, otwórzcie, na Boga, otwórzcie!” Zaraz tam przylecieli, zawołali sztabowego profosa i sierżanta Rzepę. My wszyscy jak jeden mąż twierdziliśmy, że ten chłop oszalał, że wczoraj przez całą noc żarł i wszystko zeżarł. A on płakał i wciąż powtarzał. „Przecież muszą być gdzieś okruszyny”. Więc szukali okruszyn, ale nie znaleźli, bo i my byliśmy za mądrzy, żeby je pozostawiać. Czegośmy sami zjeść nie mogli, tośmy pocztą po sznurze posłali na drugie piętro. Nie mogli nam niczego dowieść, chociaż ten głupiec powtarzał ciągle swoje: „Przecież gdzieś muszą być okruszyny”. Przez cały dzień nic nie jadł i bacznie pilnował, czy ktoś czego nie je albo czy nie pali. Nazajutrz w południe jeszcze nie tknął więziennego wiktu, ale wieczorem już mu zasmakowały te zgnite kartofle i kapusta, tylko że już się nie modlił jak przedtem, gdy zabierał się do spożywania szynki i jajek. Potem jeden z nas w jakiś sposób dostał papierosów i wtedy tamten zaczął z nami rozmawiać i prosić, abyśmy mu pozwolili się choć zaciągnąć. Nie daliśmy mu nic.

— Już myślałem, żeście mu dali zapalić — odezwał się Szwejk. — Oczywiście, że całe opowiadanie byłoby zepsute. Taką szlachetność spotyka się tylko w opowieściach, ale w garnizonie w takich okolicznościach byłoby to głupotą.

— A nie daliście mu koca? — zapytał jakiś głos.

— Zapomnieliśmy.

Powstała cicha dyskusja, czy powinien być dostać koca czy nie. Większość wypowiedziała się za kocem.

Rozmowa powoli cichła. Ludzie zasypiali drapiąc się pod pachami, po piersiach i brzuchach, to jest po miejscach, gdzie w bieliźnie najczęściej trzymają się wszy. Ci, co byli seni, przykrywali głowy zawszonymi kocami, żeby im nie przeszkadzało światło naftowej lampki.

Rano o godzinie ósmej zawołano Szwejka, żeby poszedł do kancelarii.

— Z lewej strony drzwi koło kancelarii stoi spluwaczka. Bywają w niej niedopałki — puczał Szwejka jeden z towarzyszy niedoli. — Na pierwszym piętrze będziesz przechodził także obok spluwaczki. Korytarze zamiatają dopiero o dziewiątej, więc i tam coś będzie.

Ale Szwejk zawiódł ich oczekiwania. Nie wrócił już do szesnastki. Właściciele dziewiętnastu par gaci kombinowali i zgadywali, co się mogło stać.

Jakiś piegowaty żołnierz z landwery, który miał najbujniejszą wyobraźnię, rozgłosił, że Szwejk strzelił do swego kapitana, że więc dzisiaj odprowadzono go na motolski plac ćwiczeń na egzekucję.

X. SZWEJK ZOSTAJE PUCYBUTEM KAPELANA POŁOWEGO

I

Znowu zaczynała się odyseja pod honorową eskortą dwóch żołnierzy z bagnetami, którzy mieli odprowadzić Szwejka do kapelana połowego.

Eskortujący żołnierze uzupełniali się wzajemnie. Jeden był wysoki i chudy, drugi mały i tłusty. Wysoki utykał na prawą nogę, mały na lewą. Obaj służyli na tyłach, ponieważ jeszcze kiedyś tam przed wojną zostali na dobre zwolnieni od służby wojskowej.

Kroczyli z wielką powagą koło chodnika i od czasu do czasu zerkali ukradkiem na Szwejka, który szedł między nimi i salutował, komu popadło. Jego cywilne ubranie zginęło w magazynie garnizonowym razem z wojskową czapką, w której wybrał się do wojska, więc zanim został wypuszczony, ubrano go w stary wojskowy mundur, który nosił jakiś grubas o głowę wyższy od Szwejka.

W spodniach, które miał na sobie, zmieściłoby się jeszcze trzech Szwejków. Olbrzymie fałdy od nóg aż do piersi — bo aż do piersi sięgały spodnie — budziły w przechodniach mimowolny podziw. Ogromna bluza z latami na łokciach, zasmolona i brudna, powiewała na Szwejkę jak na jakimś straszędzie. Spodnie wisały na nim jak szarawary na kłownie w cyrku. Czapka wojskowa, którą w garnizonie też mu zamienili, opadała na uszy. Na uśmiechy przechodniów odpowiadał Szwejk miękkim uśmiechem, ciepłem i tkliwością swoich pocziwych oczu.

Tak wędrowali ku dzielnicy karlińskiej, gdzie mieszkał kapelan.

Pierwszy odezwał się do Szwejka mały grubas. Znajdowali się akurat na Małej Stranie i szli cienistą aleją.

— Skąd pochodzisz? — zapytał mały grubas.

— Z Pragi.

— Nie uciekniesz nam?

Do rozmowy przyłączył się wysoki, chudy. Osobliwe to i ciekawe zjawisko, że podczas gdy małe grubasy bywają przeważnie pocziwcami i optymistami, ludzie chudzi i wysocy wręcz przeciwnie — są sceptykami.

I dlatego wysoki chudziak rzekł do małego grubasa:

— Gdyby mógł, toby uciekł.

— Po co miałby uciekać — ozwał się grubasek. — Jest przecie na wolności, bo z garnizonu został zwolniony. Niosę właśnie papiery.

— A co jest w tych papierach? — pytał chudziak.

— Tego nie wiem.

— Widzisz. Nie wiesz, a gadasz.

Przez Most Karola szli w głębokim milczeniu. Na ulicy Karola odezwał się znowu mały grubas do Szwejka:

— Czy nie wiesz, po co cię prowadzimy do kapelana?

— Do spowiedzi — rzucił Szwejk od niechcienia. — Jutro będą mnie wieszali. To się zawsze tak robi i to się nazywa pociecha duchowa.

— A za co cię będą niby tego... — ostrożnie pytał chudziak, podczas gdy mały grubas ze współczuciem spoglądał na Szwejka.

Obaj byli rzemieślnikami z prowincji, ojcami rodzin.

— Nie wiem — odpowiedział Szwejk uśmiechając się pocziwie. — Ja o niczym nie wiem. Widać taki już los.

— Urodziłeś się widać pod nieszczęśliwą planetą — tonem znawcy i ze współczuciem zawyrokował grubasek. — U nas w Jasennej koło Josefova jeszcze w pruską wojnę też jednego tak samo powiesili. Przyszli po niego, nic mu nie powiedzieli i w Josefovie go powiesili.

— Myślę, że tak sobie bez przyczyny człowieka nie wieszają — rzekł sceptycznie chudziak. — Jakaś przyczyna musi być, żeby były powody i dowody.

— Jak nie ma wojny — rzekł Szwejk — to potrzebne są dowody, ale jak jest wojna, to się jednego człowieka nie liczy. Czy ma paść na froncie, czy ma zostać powieszony w domu, to wszystko jedno. Co ma wisieć, nie utonie.

— Słuchaj no, bratku, czyś ty aby nie z politycznych? — zapytał chudeusz. Z tonu jego pytania można było wnioskować, że zaczyna dla Szwejka nabierać sympatii.

— Jestem nawet bardzo polityczny — uśmiechnął się Szwejk.

— Czyś ty czasem nie narodowy socjalista?

Mały grubasek zaczął teraz mieć się na baczności i zabrał głos.

— Co nam do tego — rzekł. — Wszędzie pełno ludzi i patrzą na nas. Żeby można było przynajmniej zdjąć bagnety w jakiejś bramie, to byśmy nie zwracali na siebie takiej uwagi. Nie uciekniesz nam? Mielibyśmy za to. Dobrze mówię, Antoś? — zwrócił się do chudziaka, który szeptem odpowiedział:

— Bagnety zdjąć można. Przecież to swój człowiek.

Przestał być sceptykiem, a duszę jego napełniło współczucie dla Szwejka. Szukali więc sposobnej bramy, żeby zdjąć bagnety, a grubas pozwolił Szwejkowi iść obok siebie.

— Popaliłbyś, co? — zapytał. — Czy też ci... — Chciał zapytać: czy też ci dadzą popalić, zanim cię powieszają? Ale nie dokończył pytania czując, że byłby to nietakt.

Wszyscy zapalili papierosy, a towarzysze Szwejka zaczęli mu opowiadać o swoich rodzinach, mieszkających w okolicach Hradca Králové, o żonach, dzieciach, o kawałku ziemi, o krowie.

— Pić mi się chce — rzekł Szwejk.

Chudziak i grubas spojrzeli po sobie.

— Można by tu gdzieś wstąpić na jednego — rzekł mały wiedząc, że duży nie będzie oponował. — Ale trzeba wstąpić gdzieś na ustroniu.

— Chodźmy do „Kuklika” — zaproponował Szwejk. — Karabiny postawicie w kuchni, gospodarz Serabona jest Sokolem, więc bać się nie trzeba.

Grają tam na skrzypcach i na harmonii — namawiał Szwejk dalej — przesiadują tam uczynne dziewczynki i inne dobre towarzystwo, którego nie puszczają do „reprezentaku”.

Chudziak i tłścioch spojrzeli po sobie jeszcze raz, po czym chudziak rzekł:

— No to chodźmy. Do Karlina jeszcze daleko.

W drodze do szynku Szwejk opowiadał im różne anegdoty, więc w dobrym nastroju wstąpili do „Kuklika” i zrobili tak, jak im Szwejk radził. Karabiny schowali w kuchni i weszli do szynku, gdzie skrzypce i harmonia napełniały izbę dźwiękami ulubionej piosenki:

Na Pankovcu, na tym pagóreczku,
Jest alejka ładna i cienista...

Jakaś panienka, siedząca na kolanach sfatygowanego młodzieńca o włosach gładko zaczesanych, śpiewała głosem ochryplym:

Miałem dziewczynę jak malinę,
Inny mi ją wziął...

Przy jednym ze stołów spał pijany sprzedawca sardynek. Co chwila budził się, walił pięścią w stół i mruczał: — Nie można! — po czym spał dalej. Za bilardem pod lustrem siedziały trzy inne panienki i wołały na jakiegoś konduktora kolejowego:

— Panie kawalerze, zafunduj nam wermutu!

Koło muzykantów toczyła się sprzeczka o jakąś Marzenę, którą wczoraj zagarnęła policja. Jeden widział to na własne oczy, drugi twierdził, że szła tylko z jakimś żołnierzem na nocleg do hotelu, do Valszów.

Przy samych drzwiach siedział żołnierz z kilku cywilami i opowiadał im o tym, jak został raniony w Serbii. Rękę miał obandażowaną, a w kieszeniach pełno papierosów, którymi go obdarowano. Mówił, że już nie może pić, ale jeden z towarzystwa, łysy dziadek, zachęcał go bezustannie:

— Pij, bracie żołnierzyku, kto wie, czy się jeszcze kiedy spotkamy... Może chcesz, żeby ci kazać coś zagrać. Lubisz piosenkę o sierotce?

Była to ulubiona piosenka łysego dziadka i po chwili skrzypce i harmonia kwiliły żałośnie, a dziadek z oczyma pełnymi łez śpiewał drżącym głosem:

Gdy już rozum miało,
O matkę pytało,
O matkę pytało...

Z drugiego końca stołu ozwał się głos:

— Dajcie no spokój i każcie się wypchać albo się powieście. Do diabła z sierotką!

A wyciągając ostatni atut przeciw piosence o sierotce, towarzystwo z drugiego stołu zaczęło śpiewać:

Rozstanie, ach, rozstanie,
To smutek i płakanie...

— Te, Franek! — wołali do rannego żołnierza, gdy przestali śpiewać ową wrzaskliwą piosenkę o sierotce — puść ich kantem i przysiądź się do nas. Pluń ty na nich i rzuć nam papierosy. Będziesz tam z nimi gadał, z fujarami!

Szwejk i jego towarzysze przyglądali się temu wszystkiemu z dużym zainteresowaniem.

Przypomniały się Szwejkowi te dobre czasy przed wojną, kiedy przesiadzał tu niejedną godzinę. Pamiętał dobrze komisarza policji Drasznera, który bywał tu często z urzędu, rewidując lokal. prostytutki bały się go, ale układały o nim piosenki pełne kpiny i docinków. Nieraz chórem śpiewały:

Za pana Drasznera
Była awantura.
Mańka się upiła,
Z Drasznera sobie kpila.

Ale właśnie w takich chwilach zdarzało się, że Draszner pojawiał się nagle w towarzystwie policjantów, straszliwy i nieubłagany. W szynku kotłowało się wtedy, jakby ktoś strzelił w stado kuropatw. Tajniacy ustawiali całe towarzystwo w szeregi, aby je zaprowadzić do komisariatu. I Szwejk pechowiec znalazł się razu pewnego w takiej gromadzie, bo gdy Draszner wezwał go, aby się wylegitymował, zapytał komisarza: „A czy ma pan na to pozwolenie od dyrekcji policji?” Pamiętał też pewnego poetę, który siadywał w „Kukliku” pod zwierciadłem i w tym rozgardiaszu, przy śpiewie i dźwiękach harmonii, pisywał wiersze i czytywał je prostytutkom.

Natomiast towarzysze Szwejka nie mieli żadnych takich reminiscencji. Było to dla nich czymś zgoła nowym. Zaczynało się im tutaj podobać. Tłuścioch poczuł się tu od razu szczęśliwy i zadowolony, albowiem tacy ludzie prócz optymizmu mają jeszcze duże skłonności do epikureizmu. Chudeusz przez chwilę walczył ze swoimi skłonnościami, ale jak pozbył się swego sceptycyzmu, tak też pozbył się swej roztropności i rozwagi.

— Będę tańczył — rzekł po piątym kuflu piwa widząc, jak pary tańczą deptaka.

Grubasek oddał się zabawie bez reszty. Obok niego siedziała panienka i gadała same sprośności. W oczach zapalały mu się iskierki.

Szwejk pił. Chudeusz potańcował i usiadł ze swoją tancerką przy stole. Potem śpiewali, tańczyli, pili bezustannie i poklepywali swoje towarzyszki. I w tej atmosferze sprzedanej miłości, nikotyiny i alkoholu zdawało się wirować hasło stare jak świat: „Po nas niech będzie potop!”

Po południu przysiadł się do nich jakiś żołnierz i proponował im, że za pięć koron może zrobić flegmonę i zatrucie krwi. Ma przy sobie strzykawkę i może zastrzyknąć naftę w rękę albo w nogę³. Żołnierz zapewniał ich, że w szpitalu będą mogli przesiedzieć najmniej dwa miesiące, a jeśli będą jątrzyć ranę śliną, to sprawa może się wlec i przez pół roku i mogą zostać zwolnieni z wojska raz na zawsze.

Chudziak, który już zupełnie stracił równowagę ducha, kazał sobie zastrzyknąć naftę w nogę. Zabiegu dokonano w wychodku.

Gdy się miało ku wieczorowi, Szwejk zaproponował, aby ruszyli w drogę do kapelana. Grubasek, któremu słowa się już plątały, namawiał Szwejka, żeby poczekał jeszcze chwilę. Chudziak również był zdania, że kapelan może zaczekać.

Ale Szwejkowi już się w „Kukliku” nie podobało i dlatego zagroził swoim towarzyszom, że pójdzie sam.

Ruszyli tedy w drogę, ale musiał im Szwejk obiecać, że jeszcze gdzieś po drodze wstąpią.

Wstąpili do małej kawiarenki za Florencją, gdzie grubasek sprzedał swój srebrny zegarek, aby się mogli jeszcze trochę poweselić.

Stamtąd musiał Szwejk prowadzić obu swoich towarzyszy pod rękę. Kosztowało go to dużo wysiłku. Grubasek o mały figiel nie zgubił papierów przeznaczonych dla kapelana, wobec czego Szwejk zmuszony był nieść je sam.

Co chwila musiał Szwejk zwracać im uwagę, że idzie oficer czy podoficer. Po nadludzkich wysiłkach i trudach udało mu się dowlec ich do domu przy ulicy Królewskiej, gdzie mieszkał kapelan połowy.

Sam powsadzał im bagnety na karabiny i szturchańcami pod żebra przymuszał obu, żeby oni prowadzili jego, a nie on ich.

Na pierwszym piętrze był na drzwiach bilet wizytowy: „Otto Katz, feldkurat”. Drzwi otworzył im jakiś żołnierz. Z pokojów słychać było głosy, brzęk butelek i szklanek.

— *Wir... melden... gehorsam... Herr... Feldkurat* — mówił z wysiłkiem chudeusz salutując żołnierzowi — *ein... Paket... und ein Mann gebracht*.

— Właście dalej — rzekł żołnierz. — Gdzieście się tak urządzili? Bo pan feldkurat też sobie... — splunął z obrzydzeniem.

Żołnierz oddalił się z papierami. Czekali długo, zanim otworzyły się drzwi i do przedpokoju — nie wszedł — ale wpadł kapelan połowy. Był w kamizelce, w rękę trzymał cygaro.

— Więc jesteś, bratku — rzekł do Szwejka. — Przyprowadzili cię, aha. Macie zapalki?

— Posłusznie melduję, panie kapelanie, że nie mam.

— E, tak, a dlaczego nie macie zapalek? Każdy żołnierz powinien mieć zapalki, żeby mógł zapalić papierosa. Żołnierz, który nie ma zapalek, jest... No, co jest?

— Posłusznie melduję, jest bez zapalek — odpowiedział Szwejk.

— Bardzo dobrze, jest bez zapalek i nie może nikomu podać ognia. Tak, to jest po pierwsze, a po drugie, czy nie śmierdzą wam nogi, Szwejku?

— Posłusznie melduję, że nie śmierdzą.

— Tak, po drugie, a teraz trzecie. Pijecie wódkę?

— Posłusznie melduję, że wódki nie piję, ale arak.

— No, dobrze, popatrzcie na tego żołnierza. Pożyczyłem go sobie na dzisiejszy wieczór od oberlejtanta Feldhubera, to jego pucybut. Ale on nic nie pije, jest ab-ab-ab-sty-nent i dlatego pójdzie na front. Po-nieważ taki człowiek jest do niczego. To nie pucybut, ale krowa. Ta też pije tylko wodę i ryczy jak wół.

³zastrzyknąć naftę w rękę albo w nogę — był to niezawodny sposób dostania się do szpitala. Ale woń nafty, która pozostawała w obrzmienu, była zdradziecka. Benzyna okazała się lepszym środkiem, bo szybciej wietrzała. Później zastrzykiwano eter z benzyną, a jeszcze później proceder ten został bardziej udoskonalony. [przypis autorski]

— Ty jesteś abstynent — zwrócił się do żołnierza — i nie wstyd ci, fujaro! Po pysku należałoby cię sprać.

Kapelan zwrócił uwagę na tych, którzy Szwejka przyprowadzili i którzy dla utrzymania równowagi kiwali się na wszystkie strony, daremnie opierając się o karabiny.

— Jesteście pi-pi-pi-jani — rzekł kapelan. — Upiliście się na służbie i za to każę was wsadzić do pa-pa-pa-paki. Odbierzcie im, Szwejku, karabiny i zaprowadźcie ich do kuchni, i pilnujcie ich, dopóki nie przyjdzie patrol. Ja zaraz zatelefonu-nu-nuję do koszar.

Słowa Napoleona, że „na wojnie sytuacja zmienia się co chwila”, sprawdziły się w całej pełni i w tym wypadku.

Rano żołnierze ci prowadzili Szwejka pod bagnetami i bali się, żeby im nie uciekł, potem on sam przyprowadził ich tutaj, a wreszcie musi ich pilnować.

Zrazu nie zdawali sobie sprawy z takiego obrotu rzeczy, ale gdy siedzieli w kuchni i widzieli, że Szwejk stanął przy drzwiach z bagnetem na karabinie, zrozumieli, co się stało.

— Napiłbym się czegoś — westchnął grubasek optymista, a chudeusz popadł znowu w swój dawny sceptycyzm i rzekł, że to wszystko jest nędzna zdrada. Zaczął głośno oskarżać Szwejka, że to on wprowadził ich w taką sytuację, i gorzko mu wyrzucał, że im obiecał, iż jutro rano będzie powieszony, a teraz widać, że sobie z nich zakpił i z tą spowiedzią, i z tym wieszaniem.

Szwejk milczał i chodził przed drzwiami.

— Osły jesteście! — krzyczał wysoki chudy.

Wysłuchawszy wszystkich oskarżeń Szwejk ozwał się wreszcie:

— Teraz widzicie przynajmniej, że wojna to nie żaden miód. Ja spełniam swoją powinność. Dostałem się w to wszystko tak samo jak i wy, ale jak się to mówi, fortuna się do mnie uśmiechnęła.

— Napiłbym się czegoś — powtarzał zrozpaczony optymista.

Wysoki chudy wstał i krokiem chwiejnym podszedł ku drzwiom.

— Puść nas do domu — rzekł do Szwejka — i nie bałwań się, kolego.

— Odejdź ode mnie — odpowiedział Szwejk. — Muszę was pilnować. Nie znamy się.

We drzwiach ukazał się kapelan polowy.

— W żaden sposób nie mogę się dodzwonić do tych koszar, więc idźcie do domu i pa-pa-pamiętajcie, że na służbie chłać nie wo-wo-lno. Marsz!

Na dobro kapelana należy zapisać, że do koszar nie telefonował, bo nie miał w domu telefonu, ale przemawiał do podstawki lampki elektrycznej.

2

Już trzeci dzień był Szwejk, sługą kapelana polowego Ottona Katza i przez cały ten czas widział go tylko raz. Na trzeci dzień przyszedł służący porucznika Helmicha i kazał Szwejkowi przyjść po kapelana.

Po drodze powiedział Szwejkowi, że kapelan pokłócił się z porucznikiem, potłukł pianino, jest pijany jak bela i nie chce iść do domu.

Ponieważ porucznik Helmich jest także pijany, więc wyrzucił kapelana do sieni, a ten siedzi pod drzwiami i podrzemuje.

Po przybyciu na miejsce Szwejk potrząsnął feldkuratem, a gdy ten otworzył oczy i coś mruknął, Szwejk zasalutował i rzekł:

— Posłusznie melduję, panie feldkurat, że przyszedłem.

— A czego wy tu chcecie?

— Posłusznie melduję, że mi po pana feldkurata kazali przyjść.

— Kazali wam po mnie przyjść, a gdzie pójdziemy?

— Do mieszkania pana feldkurata.

— A dlaczego mam iść do swego mieszkania? Czy nie jestem w swoim mieszkaniu?

— Posłusznie melduję, panie feldkurat, że tu jest sień w obcym domu.

— A... jak... ja... się tu dostałem?

— Posłusznie melduję, że pan feldkurat był tu w gościnie.

— W go-go-gościnie nie-nie-nie byłem. My-my-licie się...

Szwejk podniósł kapelana i oparł o ścianę. Kapelan kiwał się na wszystkie strony, pokładał się na Szwejka i mówił:

— Ja się przewrócę. Przewrócę się — powtórzył jeszcze raz, uśmiechając się głupawo. Nareszcie udało się Szwejkowi przycisnąć go do muru, ale kapelan i w tej nowej pozycji zaczął drzemać. Szwejk zbudził go.

— Czego chcecie? — rzekł kapelan, daremnie usiłując osunąć się po ścianie na podłogę. — Co wy za jeden?

— Melduję posłusznie — odpowiedział Szwejk podtrzymując kapelana i przyciskając go do ściany — że jestem pucybutem pana feldkurata.

— Ja żadnego pucybuta nie mam — rzekł z wysiłkiem kapelan robiąc nową próbę przewrócenia się na Szwejka. — Ja nie jestem żaden feldkurat. Ja jestem prosię — dodał ze szczerością pijaka. — Puść mnie pan, ja pana nie znam.

Krótką walką skończyła się całkowitym zwycięstwem Szwejka, który przewagę swoją wykorzystał w ten sposób, że ściągnął kapelana na dół po schodach i stanął z nim w bramie, gdzie kapelan opierał się wszystkimi siłami, aby Szwejk nie mógł wyciągnąć go na ulicę.

— Ja pana nie znam, mój panie — powtarzał bezustannie, opierając się Szwejkowi. — Znasz pan Ottona Katza? To właśnie ja. Ja byłem u arcybiskupa, rozumiesz pan? — wykrzykiwał trzymając się kurczowo bramy. — Watykan się mną interesuje!

Szwejk przestał „posłusznie meldować” i zaczął rozmawiać z kapelanem tonem zgoła już poufałym.

— Puść bramę — perswadował — bo dam po łapach. Idziemy do domu, i basta. Bez gadania!

Feldkurat puścił bramę i zwałił się na Szwejka.

— No, to wstąpmy gdzieś, ale do „Szuhów” nie pójdę, bo mam tam długi.

Szwejk wypchnął go z bramy i chodnikiem włókł ku domowi.

— Co to za jeden ten pan? — zapytał jakiś przechodzień.

— To mój brat — odpowiedział Szwejk. — Dostał urlop, przyjechał do mnie w odwiedziny i z uciechy upił się, ponieważ myślał, że ja już nie żyję.

Feldkurat nucił sobie jakieś melodie operetkowe, które trudno było rozpoznać. Gdy zasłyszał ostatnie słowa, zwrócił się do przechodniów:

— Kto z was nie żyje, niech się zamelduje w komendzie korpusu w ciągu trzech dni, aby jego zwłoki mogły dostać pokropek.

Zamilkł i omal nie upadł nosem na chodnik, podczas gdy Szwejk włókł go do domu trzymając pod pachę.

Z głową wyciągniętą naprzód, wlokąc nogi za sobą, jak kot z przetrąconym grzbietem, feldkurat mruczał pod nosem: — *Dominus vobiscum et cum spiritu tuo. Dominus vobiscum.*

Koło postoju dorożek Szwejk posadził kapelana pod murem i poszedł układać się z dorożkarzem o kurs do domu.

Jeden z dorożkarzy oświadczył, że tego pana bardzo dobrze zna, że już go raz wiozł i więcej go nie powiezie.

— Porzygał mi wszystko w dorożce — wyraził się jak najpotoczniej — i nie zapłacił za kurs. Przeszło dwie godziny go wozilem, zanim przypomniał sobie wreszcie, gdzie mieszka. I dopiero po tygodniu, gdy zachodziłem do niego ze trzy razy, dał mi za to wszystko pięć koron.

Po długich targach zdecydował się jeden z dorożkarzy zawieźć kapelana do domu.

Szwejk powrócił do swego pana, który spał. Czarny melonik (ubierał się zazwyczaj po cywilnemu) zdjął mu tymczasem ktoś z głowy i zabrał sobie.

Szwejk zbudził go i przy pomocy dorożkarza usadowił w dorożce. Tymczasem kapelan popadł w zupełną prostrację i wziął Szwejka za pułkownika Justa z 75 pułku piechoty i raz za razem powtarzał:

— Wybacz, kolego, że cię tykam. Jestem prosię.

W pewnej chwili zdawało się, że skutkiem trzęsienia się dorożki odzyskuje przytomność. Usiadł prosto i zaczął śpiewać strofkę z nieznanej Szwejkowi piosenki. Być może, iż była to jego improwizacja:

Wspominam te złote czasy,

Gdy mnie darzył pieścizotami,
Mieszkaliśmy na Merklinie,
Ach, pod Domażlicami.

Po chwili popadł znowu w stan zamroczenia, a zwracając się do Szwejka i przymrużając jedno oko pytał uprzejmie:

— Jak się szanowna pani dziś miewa? Czy wyjeżdża pani dokąd na letnisko? — A ponieważ w oczach mu się dwoiło, dodał: — Szanowna pani ma już dorosłego syna? — Palcem wskazywał na Szwejka.

— Siedzieć! — krzyknął Szwejk, gdy kapelan usiłował stanąć na siedzeniu. — Nauczę ja cię moresu!

Kapelan uspokoił się i malutkimi świńskimi oczkami patrzył dokoła nie rozumiejąc, co się z nim dzieje.

Do reszty pomieszało mu się w głowie i zwracając się do Szwejka rzekł:

— Otwórzcie mi, kobietko, klozet pierwszej klasy. — Próbował spuścić spodnie.

— Zapniesz mi się zaraz, ty prosię! — krzyknął Szwejk. — Już cię znają wszyscy dorożkarze. Już się raz porzygałeś w dorożce, a teraz jeszcze takie rzeczy! Nie myśl, bratku, że znowu ci będą kredytowali jak kiedyś.

Kapelan melancholijnie wsparł głowę na dłoni i zaczął śpiewać:

Mnie już nikt nie kocha...

Przerwał wszakże tę piosenkę i rzekł:

— *Entschuldigen Sie, lieber Kamerad, Sie sind ein Trottel, ich kann singen, was ich will.*

Próbował gwizdać jakąś melodię, ale zamiast gwizdania zabrzmiało tak potężne „prrr” że aż konie stanęły.

Gdy na wezwanie Szwejka dorożkarz ruszył dalej, kapelan zaczął zapalać cygarniczkę.

— Nie chce się palić — rzekł zrozpaczony, gdy popsuł całe pudełko zapalek. — Wy mi gasicie zapalki.

Zgubił wątek myśli i zaczął się śmiać:

— To ci, bracie, szpas! Jesteśmy tylko my dwaj w tramwaju, prawda, panie kolego?

— Zaczął szukać po kieszeniach. — Zgubiłem bilet! — krzyczał. — Proszę stanąć, bo muszę szukać biletu.

Zrezygnowany machnął ręką:

— Niech jadą...

Potem mruczał pod nosem:

— W najliczniejszych przypadkach... Tak jest, w porządku. We wszystkich przypadkach... Pan się myli... Drugie piętro?... To wykręty... Nie o mnie chodzi, ale o szanowną panią... Płacić... Mam czarną kawę...

W półśnie zaczął się sprzeczać z jakimś domniemanym nieprzyjacielem, który odmawiał mu rzekomo prawa do siedzenia przy oknie w restauracji. Potem zaczął dorożkę uważać za pociąg, wychylał się i wykrzykiwał po czesku i po niemiecku na całą ulicę:

— Nymburg! Przesiadać się!

Szwejk pociągnął go ku sobie, a feldkurat, zapomniawszy o pociągu, zaczął z kolei naśladować różne głosy zwierząt. Najdłużej naśladował koguta, a jego zwycięskie kukuryku słychać było w całej okolicy.

Był w ogóle bardzo ruchliwy i niespokojny, usiłował wypaść z dorożki, wyzywając mijanych przechodniów od uliczników. Potem wyrzucił z dorożki chustkę do nosa i krzyczał, że trzeba stanąć, bo zgubił swoje toboły. Wreszcie zaczął opowiadać:

— W Budziejowicach był sobie jeden dobosz. Ożenił się. Po roku umarł. Czy to nie świetna anegdotka? — Wybuchnął śmiechem.

Przez cały ten czas Szwejk był dla kapelana surowy i bezwzględny.

Ilekoć kapelan usiłował spletać jakiegoś figla, jak na przykład wypaść z dorożki, rozdrzeć siedzenie, Szwejk dawał mu sójkę w bok, co kapelan przyjmował z zupełną obojętnością.

Tylko raz spróbował zbuntować się i wyskoczyć z dorożki, oświadczając, że dalej nie pojedzie, bo wie, że zamiast do Budziejowic, jadą do Podmokli. W ciągu minuty Szwejk zlikwidował ten bunt całkowicie i zmusił feldkurata, aby siedział przyzwoicie, a jednocześnie pilnował, aby pijany nie usnął. Napominał go też delikatnie:

— Nie śpij, ty zdechlaku!

Feldkurat popadł nagle w melancholię i ze łzami w oczach jął wypytywać Szwejka, czy miał matkę.

— Ja, ludzie kochani, jestem na tym świecie sam! — pokrzykiwał żałośnie. — Uli-tujcie się nade mną!

— Nie rób mi wstydu — napominał go Szwejk. — Przestań wyrabiać takie rzeczy, bo ludzie powiedzą, żeś się zalał.

— Ja nic nie piłem, kolego — odpowiedział kapelan. — Jestem całkiem trzeźwy.

Nagle zerwał się i zasalutował:

— *Ich melde geborsam, Herr Oberst, ich bin besoffen.* Jestem prosię — powtarzał dziesięć razy z rzędu ze szczerą, rozpaczliwą beznadziejnością.

A zwracając się do Szwejka prosił i żebrał natrętnie:

— Wyrzucicie mnie z samochodu. Dlaczego wieziecie mnie z sobą?

Po chwili usiadł i mruczał pod nosem:

Hej, miesiączku miły, czemuś taki smutny?

— Czy pan kapitan wierzy w nieśmiertelność duszy? Czy koń może się dostać do nieba?

Zaczął śmiać się na cały głos, ale po chwili posmutniał znowu i apatycznie spoglądał na Szwejka, mówiąc do niego:

— Pan pozwoli, ale ja pana już gdzieś widziałem. Czy nie był pan w Wiedniu? Pa-miętam pana z seminarium.

Przez chwilę bawiło go skandowanie wierszy łacińskich:

Aurea prima sata est aetas, quae vindice nullo.

— Dalej nie umiem! — rzekł. — Wyrzucicie mnie na ulicę. Dlaczego nie chcecie mnie wyrzucić? Chcę upaść na nos — oświadczył kategorycznie. — Panie — prosił głosem błagalnym — przyjacielu drogi, daj w łeb.

— Raz czy kilka razy? — pytał Szwejk. — Dwa razy? Służę...

Feldkurat liczył głośno szturchańce i uśmiechał się błogo.

— To bardzo przyjemne — rzekł. — To zdrowo na żołądek, bo poprawia trawienie. Proszę mi dać w pysk.

— Serdecznie dziękuję! — zawołał, gdy Szwejk szybko uczynił zadość jego życzeniu. — Jestem zupełnie zadowolony. Proszę pana, niech pan rozedrze moją kamizelkę.

Wyrażał najróżniejsze życzenia. Życzył sobie, aby mu Szwejk wykręcił nogę, aby go przyduśił troszeczkę, aby mu obciął paznokcie, wybił przednie zęby.

Budziło się w nim pragnienie męczeństwa, więc domagał się od Szwejka, aby mu urwał głowę i rzucił ją do Weltawy.

— Byłoby mi ładnie w gwiazdkach dokoła głowy. Przydałoby mi się ich dziesięć.

Potem zaczął mówić o wysścigach i szybko przeszedł do baletu, ale nie zatrzymał się przy nim zbyt długo.

— Czy tańczy pan czardasza? — pytał Szwejka. — A zna pan taniec niedźwiedzia? O, tak...

Chciał podskoczyć, ale zwałił się na Szwejka, który najpierw zboksował go, a potem ułożył na siedzeniu.

— Ja czegoś chcę! — krzyczał feldkurat. — Ale sam nie wiem czego. Może pan wie lepiej ode mnie? — Zwiesił głowę zupełnie zrezygnowany.

— Co mi zresztą do tego, czego chcę — rzekł poważnie. — I panu też nic do tego. Ja pana nie znam. Jak pan śmie spoglądać na mnie tak impertynencko? Zna się pan na fechtunku?

Przez chwilę był bardzo zaczepny i próbował zepchnąć Szwejka z siedzenia. Potem zaś, gdy Szwejk go uspokoił, bez wahania dając mu odczuć swoją przewagę fizyczną, feldkurat zapytał go:

— Czy dziś poniedziałek, czy piątek?

Zaciekawiało go też, czy to grudzień, czy czerwiec, przy czym wykazywał wielką zdolność w zadawaniu przeróżnych pytań:

— Czy pan żonaty? Czy lubi pan ser Gorgonzola? Czy ma pan w domu pluskwy? Jak się panu powodzi? Czy pies pański miał nosaciznę?

Stał się bardzo rozmowny. Opowiadał, że winien jest szewcowi za buty do jazdy konnej, pejcz i siodło, że przed laty miał rzeźączkę i leczył ją hipermanganem.

— O niczym innym nie było można nawet myśleć — rzekł czkając. — Być może, iż wydaje się to panu dość przykre, ale niech pan... ech, ech, sam powie, co ja mam robić? Musi mi pan wybaczyć.

Autoterm — rozwodził się dalej, zapomniawszy, o czym mówił przed chwilą — to takie naczynie, które utrzymuje napoje i pokarmy w stanie ciepłym. A co pan sądzi, panie kolego, która gra jest sprawiedliwsza: ferbel czy oko?

Ja cię naprawdę już gdzieś widziałem! — zawołał próbując objąć Szwejka i ucałować go zaślinionymi ustami. — Chodziliśmy razem do szkoły.

Ty pocziwcze zacny — wywodził tkliwie, głaszcząc swoją nogę — jakeś ty podrośł od czasu, gdy widziałem cię po raz ostatni. Zapominam o wszystkich udrękach z samej uciechy, że cię widzę.

Opanował go nastrój poetyczny, więc zaczął mówić o powrocie do blasków słonecznych, zadowolonych twarzy i gorących serc.

Potem ukląkł i zaczął odmawiać *Zdrowaś Mario*, śmiejąc się przy tym na całe gardło.

Gdy konie stanęły przed jego domem, było bardzo trudno wyciągnąć go z dorożki.

— Jeszcze nie jesteśmy na miejscu! — krzyczał. — Ratujcie! Porywają mnie! Ja chcę jechać dalej!

Wreszcie został dosłownie wyciągnięty z dorożki, jak gotowany ślimak z muszli. Przez chwilę zdawało się, że go rozerwą, bo nogi zaplątały mu się pod siedzeniem.

— Rozerwiecie mnie, panowie! — wołał ze śmiechem, ciesząc się, że dorożkarza i Szwejka wyprowadził w pole.

Potem wleczono go przez bramę i po schodach aż do mieszkania, gdzie Szwejk rzucił go na kanapę jak bezwładny tobół. Kapelan oświadczył, że nie myśli płacić za ten samochód, którego nie zamawiał, i przez kwadrans trzeba było tłumaczyć mu, że to była dorożka.

Ale i wówczas nie przestał się kłócić dowodząc, że jeździ tylko fiakrem.

— Chcecie mnie oszukać — mówił, wymownie mrugając na Szwejka i na dorożkarza. — Przecież szliśmy piechotą.

I nagle w przypływie wielkoduszności rzucił dorożkarzowi portmonetkę.

— Zabieraj wszystko! *Ich kann bezablen*. Ja się o parę grajcarów nie kłóć.

Gdyby chodziło o ścisłość, to powinien był powiedzieć, że mu nie zależy na trzydziestu sześciu grajcarach, bo w portmonetce było akurat tyle. Na szczęście dorożkarz poddał go ścisłej rewizji osobistej, mówiąc coś przy tym o dawaniu po łbie.

— No to wal — odpowiedział feldkurat. — To nic osobliwego. Jestem wytrzymały.

W kieszeni kamizelki znalazł dorożkarz piątaka. Wyszedł przeklinając swój los i feldkurata, że mu zabrał tyle czasu i tak mało zapłacił.

Kapelan zasypiał powoli, snując najrozmaitsze plany. Zamierzał czynić różne rzeczy, grać na fortepianie, brać lekcje tańca i smażyć rybki.

Potem obiecywał wydać za Szwejka swoją siostrę, której nie miał. Życzył sobie też, żeby go zanieśli na łóżko, i wreszcie zasnął oświadczając, że pragnie, aby w nim uszanowany był człowiek, czyli jednostka posiadająca wartość nie mniejszą od świni.

3

Gdy nazajutrz z rana Szwejk wszedł do pokoju, w którym feldkurat spał, znalazł go na kanapie rozmyślającego usilnie nad tym, jak i co się mogło stać, że został polany tak osobliwie, iż spodnie przylepiły się do skórzanej kanapy.

— Posłusznie melduję, panie feldkurat — rzekł Szwejk — że pan się w nocy...

W krótkich słowach wytłumaczył mu, jak straszliwie się myli, przypuszczając, że został polany. Kapelan miał głowę niezwykle ciężką i znajdował się w stanie wielkiej depresji.

— Nie mogę sobie przypomnieć — mówił — w jaki sposób z łóżka dostałem się na kanapę.

— Pan feldkurat wcale na łóżku nie był. Jak tylko przyjechaliśmy, to zaraz pana feldkurata ułożyłem na kanapie, bo dalej zaciągnąć go nie mogłem.

— A co ja wyrabiałem? Czy zrobiłem coś nieprzyzwoitego? Czy może byłem pijany?

— Jak bela — odpowiedział Szwejk. — Był pan zupełnie pijany i miał łagodne delirium. Przypuszczam, że będzie panu feldkuratowi lepiej, gdy się przebierze i umyje.

— Tak się czuję, jakby mnie kto zbił — narzekał pan feldkurat. — No i pragnienie mnie męczy. Czy nie biłem się wczoraj z kimkolwiek?

— Można było wytrzymać, panie feldkurat. Pragnienie jest następstwem wczorajszego pragnienia. Ugasić takie pragnienie nie tak łatwo. Znałem pewnego stolarza, który pierwszy raz upił się na Sylwestra roku tysiąc dziewięćset dziesiątego, a pierwszego stycznia miał takie pragnienie i czuł się tak niedobrze, że musiał kupić sobie śledzia, a potem pił znowu, i tak się to powtarza już codziennie od czterech lat, i nikt nie może mu na to poradzić, ponieważ zawsze w sobotę kupuje śledzie na cały tydzień. Taki ci to kołowrót, jak mawiał pewien starszy sierżant 91 pułku.

Kapelan miał dokumentny katzenjammer i znajdował się w ciężkiej depresji. Kto by się w tym momencie przysłuchiwał jego wywodom, miałby wrażenie, że słyszy słowa doktora Aleksandra Batka: „Wypowiedzmy wojnę na śmierć i życie demonowi alkoholu, który morduje naszych najlepszych ludzi”, i że kapelan czyta *Sto iskier etycznych* tegoż autora.

Trzeba przyznać, że kapelan zmienił nieco tekst i mówił tak:

— Gdyby człek trzymał się przynajmniej takich szlachetnych napojów, jak arak, morskino, koniak, ale ja piłem wczoraj borowiczkę. Dziwię się, że mogę ją tak chlać. Smak ma obrzydliwy. Żeby to przynajmniej Griotte. Ludzie wykombinują różne świństwa i piją je jak wodę. Taka jałowcówka nie ma smaku ani barwy i pali gardło. I żeby jeszcze była prawdziwa, jak bywają destylaty z jałowca, które pijałem na Morawach. Ale ta borowiczka była z jakiegoś drzewnego spirytusu i z olejów. Widzicie, jak mi się odbija. Wódka to trucizna — zdecydował. — Powinna być prawdziwa i oryginalna, a nie taka, jaką wyrabiają Żydzi po fabryczkach, na zimno. Tak samo jest z arakiem. Dobry arak to prawdziwy rarytas. Żeby teraz była w domu prawdziwa orzechówka — westchnął — toby mi doprowadziła żołądek do porządku. Taka orzechówka, jaką miewa pan kapitan Sznabl w Brusce.

Zaczął przetrząsać kieszenie i obliczać zawartość portmonetki.

— Mam wszystkiego trzydzieści sześć grajcarów. Czyby nie sprzedać kanapy? — zastanawiał się. — Co wy na to? Czy znalazłby się kupiec na kanapę? Gospodarzowi się powie, że ją wypożyczyłem komuś albo że nam ją ukradli. Nie, kanapę sobie zostawię. Poślę do pana kapitana Sznabla, żeby mi pożyczył sto koron. Onegdaj wygrał w karty. Jeśli wam się tam nie poszczęści, to pójdziecie do Vrszovic do koszar do porucznika Mahlera. Jeśli i tam się nie uda, to pójdziecie na Hradczany do kapitana Fiszera. Powiecie mu, że muszę zapłacić furaz dla konia, a pieniądze przepiłem. Gdyby się i to nie udało, to zastawimy fortepian, niech się dzieje, co chce. Na wszelki wypadek napiszę wam parę słów. Nie dawajcie się zbyć byle czym. Powiedzcie, że potrzebuję koniecznie, bo nie mam ani grosza. Wykombinujcie, co chcecie, ale nie wracajcie do domu z pustymi rękoma, bo was wyprawię na front. Spytajcie kapitana Sznabla, gdzie kupuje tę orzechówkę, i kupcie dwie butelki.

Szwejk wypełnił swoje zadanie świetnie. Jego dobroduszość i poczciwa twarz budziła wszędzie zaufanie i wiarę, że to, co mówi, jest prawdą.

Szwejk uznał za właściwe, aby kapitanowi Sznablowi, kapitanowi Fiszrowi i porucznikowi Mahlerowi mówić nie o tym, że feldkurat musi płacić furaz dla konia, ale umotywić prośbę tym, że kapelan musi płacić alimenty. Pieniądzy dali mu wszędzie.

Gdy po powrocie do domu pokazywał trzysta koron, dumny z wyprawy, feldkurat, który tymczasem umył się i ubrał, był bardzo zdziwiony.

— Załatwiłem wszystko za jednym zamachem — rzekł Szwejk — żebyśmy jutro albo pojutrze nie potrzebowali znowu troszczyć się o pieniądze. Poszło mi dość gładko, tylko

przed panem kapitanem Sznablem musiałem paść na kolana. Jakiś nieludzki człowiek. Ale jakem mu rzekł, że musimy płacić alimenty...

— Alimenty — powtórzył wystraszony feldkurat.

— A tak, alimenty, proszę pana feldkurata, niby na odczepne dla dziewczynek. Pan feldkurat kazał mi, żebym coś wykombinował, a mnie nic lepszego nie przyszło do głowy. Tam u nas jeden szewc płacił alimenty pięciu dziewczynom i był z tego wszystkiego zrozpaczony, też musiał na to pożyczać, ale każdy mu chętnie dawał, bo wiedział, że ten szewc jest w okropnym położeniu. Pytali się, co to za dziewczyna, a ja powiedziałem, że bardzo ładna i jeszcze nie skończyła piętnastu lat. Więc chcieli adres.

— Ładnych rzeczy nabroiliście, Szwejku — westchnął feldkurat i zaczął chodzić po pokoju. — Co za hańba! — powtarzał chwytając się za głowę. — Ale mnie boli głowa.

— Ja im dałem adres pewnej starej głuchej pani z naszej ulicy — tłumaczył się Szwejk. — Chciałem wszystko zrobić jak najlepiej, bo rozkaz to rozkaz. Nie pozwoliłem zbyć się byle czym i dlatego trzeba było coś wykombinować. Aha, w sieni czekają ludzie na fortepian. Przyprowadziłem ich, aby go zawieźli do lombardu, proszę pana feldkurata. Będzie niezłe, jak się pozbędziemy fortepianu. W mieszkaniu będzie więcej miejsca, a w kieszeni więcej pieniędzy. Przez parę dni będziemy mieli spokój. A jeśli pan gospodarz będzie się o ten fortepian dopytywał, to mu powiem, że się w nim poprzerywały struny i że trzeba było oddać go do fabryki do reperacji. Stróżce już o tym powiedziałem, żeby się niczemu nie dziwiła, gdy go będą wynosili i ładowali. Znalazłem też kupca na kanapę. Jest nim mój znajomy, handlarz starych mebli, a przyjdzie po południu. Teraz dobrze płacą za skórzane kanapy.

— Więcej już nic nie nabroiliście? — pytał kapelan trzymając się za głowę. Był zrozpaczony.

— Przyniosłem proszę pana feldkurata, zamiast dwóch butelek orzechówki takiej, jaką pije pan kapitan Sznabl, od razu pięć, żeby w domu był pewien zapas i żebyśmy mieli co pić. Czy ludzie mogą zabierać teraz ten fortepian? Bo lombard niedługo zamkna.

Kapelan zrezygnowany machnął ręką i po chwili fortepian układali na wózku.

Gdy Szwejk powrócił z lombardu, ujrzał feldkurata siedzącego przy otwartej butelce orzechówki i wymyślającego, że na obiad podano mu nie dosmażony kotlet.

Kapelan był znowu pijany. Oświadczył Szwejkowi, że od jutra rozpocznie nowe życie.

— Picie alkoholu to haniebnym materializm. Trzeba życie uduchowić.

Mówił filozoficznie przez jakieś pół godziny. Gdy otwierał trzecią butelkę, przyszedł handlarz skupujący stare meble. Kapelan sprzedał mu kanapę za bezcen i zaprosił go na pogawędkę. Bardzo był niezadowolony, gdy handlarz podziękował za zaproszenie tłumacząc, się, że idzie właśnie kupować nocny stolik.

— Szkoda, że nie mam nocnego stolika — rzekł kapelan z żalem. — Trudno pamiętać o wszystkim.

Po odejściu handlarza starych mebli feldkurat wdał się w przyjacielski dyskurs ze Szwejkim i wypił z nim następną butelkę. Część rozmowy poświęcona była zagadnieniom osobistego stosunku do kobiet i kart.

Siedzieli długo. Nadszedł wieczór, a przyjacielska rozmowa Szwejka z feldkuratem nie miała jeszcze końca.

Ale w nocy sytuacja się zmieniła. Feldkurat znalazł się w stanie podobnym do wczorajszego, brał Szwejka za kogoś innego i mówił:

— Bynajmniej. Niech pan nie odchodzi. A czy pamięta pan jeszcze tego rudego kadeta od taborów?

Sielanka trwała dość długo, aż wreszcie Szwejk rzekł do niego:

— Już mam tego dość. Teraz wleziesz do łóżka i będziesz gnil. Rozumiesz?

— Wleżę, kochanie, wleżę, jakże miałbym nie wleźć — mruzczał kapelan. — Pamiętaj, bratku, jak chodziliśmy razem do piątej klasy i jak ci robiłem wypracowania z greckiego? Pan ma willę na Zbraslaviu. Może pan jeździć parostatkiem po Weltawie. Wie pan, co to jest Weltawa?

Szwejk zmusił kapelana do zdjęcia ubrania i butów. Feldkurat poddał się przymusowi, ale zwrócił się z protestem do jakichś nieznanych osób.

— Widzicie, panowie — przemawiał do szafy i fikusy — jak obchodzą się ze mną moi krewni. Nie znam swoich krewnych — zdecydował nagle i położył się do łóżka. — Gdyby niebo i ziemia wystąpiły przeciwko mnie, nie znam ich...

Po chwili w pokoju słychać było jego chrapanie.

4

W tych dniach Szwejk odwiedził swoją starą posługaczkę, panią Müllerową. Został tam jej siostrzenicę, która z płaczem oznajmiła mu, że Müllerową została aresztowana tegoż samego dnia, gdy odwiozła Szwejka do wojska. Starą panią sądził sąd wojenny, a ponieważ nie mogli jej niczego dowieść, wywieźli ją do obozu koncentracyjnego w Steinhofie. Przyszła karta od niej.

Szwejk sięgnął po tę rodzinną relikwię i czytał:

„Kochana Anusiu! Mamy się tu wszyscy bardzo dobrze, wszyscy jesteśmy zdrowi. Sąsiadka, której łóżko stoi obok mojego, ma płamisty _____. Mamy tu też czarną _____. Ale poza tym wszystko w porządku _____. Jedzenia mamy dosyć i zbieramy _____ od kartofli na polewkę. Słyszałam, że pan Szwejk też już _____, więc się sprytnie dowiedź, gdzie leży, żebyśmy po wojnie mogli jego grób obłożyć. Zapomniałam ci powiedzieć, że na strychu w ciemnym kącie jest w skrzynce mały piesek, ratlerek, szczeniátko. Ale już parę tygodni nie dostał nic jeść, mianowicie od tego czasu, kiedy po mnie przyszli _____. Myślę więc, że już za późno i że ten piesek też już _____”.

Wzdłuż pocztówki była odbita czerwona pieczętka: „Zensuriert. K. u. k. Konzentrationslager, Steinhof”.

— I naprawdę ten piesek już zdechł — rozplakała się siostrzenica pani Müllerowej. — A mieszkania swego toby pan nawet nie poznał. Mieszkają w nim szwaczki, z pokoju zrobiły sobie damski salonik. Po ścianach damskie mody, a na oknach kwiatki.

Siostrzenica Müllerowej była nieutulona w żalu.

Nie przestając szlochać i narzekać, wyraziła wreszcie obawę, że Szwejk musiał pewnie uciec z wojska, chce ją zgubić i wtrącić w nieszczęście. Wreszcie rozmawiała z nim tak, jak się rozmawia z ostatnim łotrem i awanturnikiem.

— To bardzo zabawne — rzekł Szwejk — to mi się bajecznie podoba. Więc żeby pani wiedziała, pani Kejrzovo, ma pani rację, że uciekłem. Ale musiałem zabić piętnastu wachmistrzów i feldfeblów. Tylko niech pani nikomu nic nie mówi...

I Szwejk odszedł z domu swego, który go nie przyjął. Na odchodnym rzekł:

— W pralni mam parę kołnierzyków i półkoszulków, pani Kejrzovo, trzeba je odebrać, żebym się miał w co ubrać, jak wrócę z wojny. I trzeba przypilnować, żeby się do ubrania w szafie nie dostały mole. A te panienki, co spijają w moim łóżku, proszę pięknie pozdrowić ode mnie.

Potem poszedł Szwejk zajrzeć „Pod Kielich”. Widząc go Palivcowa oświadczyła, że mu nic nie poda, bo pewno uciekł z wojska.

— Mój mąż — zaczęła walcować od początku — był taki ostrożny i siedzi. Siedzi nieborak zamknięty, nie wiadomo za co i po co. A tacy ludzie chodzą sobie po świecie i uciekają z wojska. Już przeszłego tygodnia szukali tu pana. My jesteśmy ostrożniejsi od pana — kończyła swoje wywody — a wpadliśmy w biedę. Nie każdy ma takie szczęście jak pan.

Podczas tej rozmowy był w szynku pewien starszy pan, ślusarz ze Smichova. Pan ten podszedł do Szwejka i rzekł:

— Proszę, niech pan poczeka na mnie na dworze. Muszę z panem porozmawiać.

Na ulicy zwierzył się Szwejkowi, którego na skutek rekomendacji Palivcowej uważał, jak i ona, za dezterera.

Powiedział mu, że ma syna, który też uciekł z wojska i siedzi u babki w Jasennej pod Josefowem.

Ani słuchać nie chciał, gdy Szwejk go zapewniał, iż nie jest deztererem, i wsunął Szwejkowi w rękę dziesięć koron.

— To taka pomoc na pierwszy ogień — rzekł pociągając go z sobą do winiarni na rogu. — Ja pana rozumiem, mnie się obawiać nie trzeba.

Późną nocą wrócił Szwejk do mieszkania kapelana, którego jeszcze w domu nie było.

Przyszedł dopiero nad ranem, zbudził Szwejka i rzekł:

— Jutro jedziemy odprawiać mszę polową. Gotujcie czarną kawę i dajcie arak. Albo jeszcze lepiej, ugotujcie grogu.

XI. SZWEJK JEDZIE Z KAPELANEM ODPRAWIĆ MSZĘ POLOWĄ

I

Przygotowania do uśmiercania ludzi odbywały się zawsze w imię Boga czy też w ogóle w imię jakiejś domniemanej wyższej istoty, którą ludzkość sobie wyimaginowała i stworzyła w swej wyobraźni. Starożytni Fenicjanie, zanim poderznięli gardło jakiemuś jeńcowi, odprawiali tak samo uroczyste nabożeństwa, jak w kilka tysięcy lat później czyniły to nowe pokolenia ludzkości przed pójściem na wojnę, w której tępiły swoich wrogów ogniem i mieczem.

Ludożercy polinezyjscy przed pożarciem swoich jeńców lub ludzi niepotrzebnych, jak: misjonarzy, podróżników, agentów handlowych różnych firm czy też po prostu turystów, składają ich na ofiarę swoim bożkom spełniając przy tym najrozmaitsze religijne obrzędy. Ponieważ nie dotarła jeszcze do nich kultura ornatów, przeto ozdabiają swoje biodra pękami pstrokatych piór leśnych ptaków.

Nim święta inkwizycja spaliła swe ofiary, odprawiała uroczyste nabożeństwa, wielką mszę świętą ze śpiewami.

A przy wykonywaniu wyroków śmierci zawsze asystują duchowni, krępując swoją obecnością skazanego.

W Prusach pastor prowadził biedaka pod topór, w Austrii ksiądz katolicki na szubienicę, we Francji pod gilotynę, w Ameryce duchowny na krzesło elektryczne, w Hiszpanii na stołek, gdzie skazany był specjalnym narzędziem duszony, a w Rosji brodaty pop odprowadzał rewolucjonistę na miejsce stracenia itd., itd. Wszędzie też duchowni zmuszali skazańca do odbycia ostatniej pielgrzymki w towarzystwie Ukrzyżowanego, jak gdyby chcieli powiedzieć: „Tobie to tylko urąbią głowę, ciebie tylko powieszą, uduszą, puszcza na ciebie piętnaście tysięcy woltów, ale co ten biedak musiał przeczierać!...”

Wielkie jatki wojny światowej nie obeszły się bez błogosławieństwa duchownych. Kapelani wojskowi wszystkich armii modlili się i odprawiali msze święte o zwycięstwo dla tej armii, której chleb jedli. Przy egzekucjach zrewoltowanych żołnierzy zjawiał się ksiądz. Przy egzekucjach legionistów czeskich także widywało się duchownego. Nic się też nie zmieniło od owych czasów, kiedy to wielki łupieżca Wojciech, później świętym przezwany, brał udział w tępieniu i mordowaniu Słowian nadbałtyckich, dzierząc w jednym ręku miecz, a w drugim krzyż.

Ludzie całej Europy szli jak bydłeta na rzeź, dokąd obok rzeźników-cesarzy, królów, prezydentów i innych potentatów i wodzów prowadzili ich księża wszystkich wyznań, błogosławiąc im i pozwalając fałszywie przysięgać, że „na ziemi, w powietrzu, na morzu” itd.

Dwukrotnie odprawiano msze polowe. Raz, kiedy część oddziałów odchodziła na front, a drugi raz, na froncie, przed krwawą rzezią, przed zabijaniem. Pamiętam, jak pewnego razu podczas mszy polowej samolot nieprzyjacielski zrzucił bombę w sam ołtarz polowy, a z kapelana pozostało tylko parę krwawych strzępów. Potem pisało się o nim jako o męczenniku, ale w tym samym czasie nasze samoloty przysparzały podobnej sławy kapelanom po drugiej stronie frontu.

Mieliśmy, z tej racji niebywałą uciechę, a na prowizorycznym krzyżu, postawionym na miejscu, gdzie pochowano szczątki kapelana, pojawił się w nocy taki nagrobkowy napis:

To, co nas spotkać może, spadło już na ciebie.
Przyrzekłeś nam, brachu miły, śliczny pobyt w niebie,
Niebo samo spadło dziś na twą głowę biedną,
Zostawiając nam po tobie małą płamkę jedną.

Szwejk ugotował ów sławny grog, przewyższający swą jakością grogi starych marynarzy. Taki grog mogli byli pić piraci osiemnastego stulecia i byłiby na pewno zadowoleni.

Kapelan Otto Katz był zachwycony i zapytał:

— Kto was nauczył przyrządzać taki wspaniały napój?

— Kiedy przed laty wędrowałem po świecie — odpowiedział Szwejk — spotkałem w Bremie pewnego rozpustnego marynarza, który mówił, że grog musi być taki mocny, aby ten, kto by po jego wypiciu wpadł do morza, mógł przepłynąć cały kanał La Manche. Po słabym grogu utopi się jak szczenię.

— Po takim grogu, Szwejk, będzie się nam dobrze odprawiało mszę polową — zauważył kapelan — myślę, że najpierw będę musiał wygłosić kilka słów pożegnania. Msza polowa to nie jest taka zabawa jak odprawianie mszy świętej w garnizonie albo wygłaszanie kazania do tych tam łobuzów. W tym wypadku musi człowiek mieć naprawdę wszystkie klepki w porządku. Ołtarz polowy mamy. Wydanie kieszonkowe, składane. Jezus Maria, Szwejk! — chwycił się za głowę. — Ale też jesteśmy idioci! Wiecie, gdzie schowałem ołtarz polowy? Do otomany, którą sprzedaliśmy.

— Tak, to jest nieszczęście, panie feldkuracie — rzekł Szwejk — ja wprawdzie znam tego tandeciarza, przedwczoraj właśnie spotkałem jego żonę. On siedzi w ciupie z powodu jakiejś ukradzionej szafy, a nasza otomana jest u pewnego nauczyciela we Vrszovicach. To będzie heca z tym ontarzem polowym. Najlepiej będzie, jak się napijemy grogu i pójdziemy na poszukiwanie, ponieważ myślę, że jednak bez ontarza polowego nie będzie można odprawić mszy świętej.

— Brakuje nam rzeczywiście jeszcze tylko polowego ołtarza — rzekł melancholijnie kapelan. — Na poligonie wszystko już jest przygotowane. Cieśle już zrobili podium. Monstrancję pożyczą nam z Brzevnova, kielich powinienem mieć swój, ale gdzie on jest?...

Zamyślił się:

— Powiedzmy sobie, że go zgubiłem. Więc dostaniemy puchar sportowy od porucznika Witingera z 75 pułku. Kiedyś przed laty zdobył go w biegach, jako nagrodę „Sport Favorit”. Był to doskonały biegacz. Jak się sam zawsze chwalił, robił czterdzieści kilometrów Wiedeń–Mödling w godzinę i czterdzieści osiem minut. Już wczoraj omówiłem z nim tę sprawę. Jestem bydlę, że wszystko odkładam zawsze na ostatnią chwilę. Dlaczego ja, bałwan, nie zajrzałem do otomany?

Pod wpływem grogu, przyrządzonego podług przepisu rozwiązłego marynarza, zaczął sobie głupio wymyślać i oświadczał w najrozmaitszych sentencjach, gdzie właściwie powinien się znajdować.

— Może byśmy wreszcie poszli na poszukiwanie ontarza polowego — zapraszał Szwejk — już jest ranek. Muszę się jeszcze ubrać w mundur i napić trochę grogu.

Nareszcie wyszli. Idąc do żony handlarza starych mebli kapelan opowiadał Szwejkowi, że wczoraj z „błogosławieństwem bożym” wygrał dużo pieniędzy i jeśli dobrze pójdzie, to wykupi fortepian z lombardu.

Przypominało to śluby składane przez pogan swym bożkom. Od zaspanej żony handlarza starych mebli dowiedzieli się adresu nauczyciela we Vrszovicach, nowego właściciela otomany. Kapelan okazał się niezwykle łaskawy — uszczypnął żonę handlarza w obydwie policzki i połechtał pod brodą.

Do Vrszovic poszli piechotą, ponieważ kapelan oświadczył, że musi się przejść po świeżym powietrzu dla zmiany wrażeń.

We Vrszovicach, w mieszkaniu nauczyciela, starego, pobożnego pana, czekała ich niemila niespodzianka. Stary pan znalazłszy ołtarz polowy w otomanie uważał to za zrzą-dzenie boże i oddał go do zakrytii miejscowego kościoła, zastrzegając sobie umieszczenie napisu: „Ofiarowany ku czci i chwale bożej przez pana Kolarzika, nauczyciela w stanie spoczynku. Roku Pańskiego 1914”. Starszy pan był bardzo zakłopotany, gdyż zastali go w bieliźnie.

Z rozmowy z nim wynikało, że nieoczekiwane znalezienie ołtarza uważał za cud i znak boży. Gdy kupował otomanę, to jakiś głos wewnętrzny mówił mu: „Zobacz, co jest wewnątrz”. Widział też we śnie anioła, który mu wprost rozkazał: „Otwórz otomanę!” Usłuchał. A kiedy tam ujrzał miniaturowy, składany, trójdzielny ołtarz ze skrytką na taber-

nakulum, ukląkł przed otomaną i modlił się długo i gorąco, chwając Boga i uważając to za znak z nieba, aby przyozdobić tym kościół we Vrszovicach.

— To nas nie interesuje — rzekł kapelan — taką rzecz, która do pana nie należała, powinien być pan oddać w policji, a nie do jakiejś przeklętej zakrystii.

— Z powodu tego cudu — dodał Szwejk zwracając się do nauczyciela — może się jeszcze w coś wplątać. Kupił kanapę, a nie żaden ontarz, który jest własnością władz wojskowych. Taki znak boży może go drogo kosztować. Nie powinien być się przejmować aniołami. Pewien człowiek w Zhorzy też wyorał w polu jakiś kielich, który pochodził ze świętokradztwa i był tam schowany na lepsze czasy, kiedy sprawa pójdzie w zapomnienie. Uważał to także za cud i zamiast go sprzedać na złom, poszedł z tym kielichem do proboszcza, że chce go, mówi, ofiarować do kościoła. A proboszcz myślał, że on jest tym złodziejem i ma wyrzuty sumienia, posłał więc po wójta, a wójt po policję i znalazca został niewinnie skazany za świętokradztwo, tylko dlatego że ciągle coś gadał o cudzie. Bronił się, jak mógł, też gadał o jakimś aniele, nawet wplątał do tego Pannę Marię, ale w końcu i tak dostał dziesięć lat paki. Najlepiej zrobi, jak pójdzie z nami do tutejszego proboszcza, żeby nam zwrócił majątek państwowy. Ontarz polowy to nie jest ani kotka, ani onuca, którą może podarować, komu chce.

Stary pan trząsł się cały ze strachu i ubierając się szczykał zębami.

— Ja naprawdę nic złego i podłego nie myślałem i nic nie ukrywałem. Sądziłem, że tym zrzędzeniem bożym mogę się przyczynić do przyozdobienia naszej ubogiej świątyni Pańskiej we Vrszovicach.

— Rozumie się, na rachunek władz wojskowych — rzekł twardo i szorstko Szwejk. — Bóg zapłać za takie zrzędzenie boże. Niejaki Pivonka z Chocieborza uważał też razu pewnego za zrzędzenie boże, kiedy mu się do rąk przyplątał postronek z cudzą krową.

Starszy pan zgłupiał zupełnie od tego całego gadania i przestał się w ogóle bronić. Pragnął już tylko jak najprędzej ubrać się i załatwić sprawę.

Vrszovicki proboszcz jeszcze spał; obudzony hałasem, począł zrzędzić, bo rozespany myślał, że ma iść kogoś przygotować na śmierć.

— Też by już sobie dali spokój z tym ostatnim namaszczeniem — mamrotał ubierając się niechętnie. — Zachciewa im się umierać, kiedy się człowiekowi najlepiej śpi. I jeszcze trzeba się potem z nimi targować o pieniądze.

Spotkali się więc w przedpokoju, jeden, zastępca Pana Boga wśród vrszovickich cywilów, drugi, zastępca boży przy władzach wojskowych.

Rzeczywiście był to spór między cywilem a żołnierzem. Jeśli bowiem proboszcz twierdził, że ołtarz polowy w żadnym razie nie powinien być się znajdować w otomanie, to znowu kapelan utrzymywał, że tym bardziej nie powinien być w zakrystii kościelnej, dokąd chodzą sami cywile. Szwejk robił przy tym różne uwagi o wzbogacaniu ubogich kościołów na rachunek władz wojskowych. Ze specjalnym przekąsem wymawiał słowo „ubogi”.

W końcu poszli do zakrystii i proboszcz wydał ołtarz polowy za następującym pokwitowaniem:

„Przyjąłem ołtarz polowy, który się przypadkowo dostał do świątyni we Vrszovicach.

Kapelan wojskowy Otto Katz”

Ów sławny ołtarz polowy pochodził z żydowskiej firmy „Moritz Mahler” w Wiedniu, która wyrabiała wszelkie możliwe przedmioty kultu i dewocjonalia, jak różańce, obrazki świętych itp.

Składał się on z trzech części i był bogato złocony sztucznym złotem, słowem, z wierzchu tylko pozłacany, niczym chwala całego Kościoła świętego.

Bez bujnej fantazji nie można było odgadnąć, co przedstawiają obrazy namalowane na trzech częściach ołtarza. Pewne jest tylko, że był to ołtarz, którego mogliby używać równie dobrze poganie z dorzecza Zambezi jak i szamani Buriatów i Mongolów.

Namalowany krzyżącymi barwami wyglądał z daleka jak kolorowe tablice przeznaczone do badania daltonizmu u kandydatów do służby kolejowej.

Wyróżniała się tam jedna figura. Był to jakiś nagi człowiek z aureolą nad głową i ciałem koloru zielonkawego jak gęsi kuper, kiedy jest w rozkładzie i zalatuje.

Temu świętemu nikt krzywdy nie czynił. Przeciwnie, po obu stronach był otoczony jakimiś skrzydlatymi stworami, które miały przedstawiać aniołów. Widz miał wrażenie, że ten święty mąż ryczy ze zgrozy nad społeczeństwem, które go otacza. Anioły wyglądały na straszdyła z bajek, coś tak jak uskrzydłony kot czy też bestie apokaliptyczne.

Przeciwstawieniem tego obrazu był obraz mający przedstawiać Trójcę Świętą. Jeśli chodzi o gołębicę, to malarz nie mógł sprawy zanadto pokpić. Namalował jakiegoś ptaka, który mógł być równie dobrze gołębicą, jak też kwoką z rasy białych wyandottów.

Za to Bóg Ojciec wyglądał jak zbój z Dzikiego Zachodu, taki, jakich się widuje w filmach cowbojskich.

Syn Boży natomiast był przeciwstawieniem tamtego; młody wesół mężczyzna z pięknym brzuszkiem, przysłoniętym czymś w rodzaju majteczek kąpielowych. Robił wrażenie sportowca. Krzyż trzymał z taką gracją, jakby to była rakieta tenisowa.

Z daleka wszystko to zlewało się w jedną całość i miało się wrażenie, że obraz przedstawia pociąg wjeżdżający na stację.

Co miał przedstawiać trzeci obraz, nie można było w ogóle dociec. Żołnierze klócili się zawsze na ten temat i usiłowali rozwiązać ten rebus. Ktoś nawet twierdził, że jest to krajobraz znad Sadowy. Był wszakże pod tym napis: „*Heilige Maria, Mutter Gottes, erbarme Dich unser*”.

Szwejk ulokował szczęśliwie ołtarz polowy w dorożce, sam usiadł na koźle obok dorożkarza, a kapelan rozsiadł się wygodnie i wyciągnął nogi na ołtarzu, na Trójcy Świętej.

Szwejk rozmawiał z dorożkarzem o wojnie. Dorożkarz był rebeliantem. Robił różne uwagi o zwycięstwach broni austriackich w rodzaju: „Ale też wam napędzili strachu w tej Serbii”, i tym podobne. Kiedy przejeżdżali przez roгатki, zapytał ich mytnik, co wiozą. Szwejk odpowiedział:

— Trójcę Świętą i Przenajświętszą Panią z feldkuratą.

Tymczasem na placu ćwiczeń czekały niecierpliwie kompanie marszowe. Czekały długo. Trzeba było bowiem pojechać jeszcze po puchar sportowy do porucznika Witingera, potem aż do klasztoru brzeznowskiego po monstrancję, cyborium i inne potrzebne do mszy świętej rzeczy, nie wyłączając butelki mszalnego wina. Z tego widać, że to nie jest wcale takie proste odprawić mszę polową.

— My to odwalamy byle jak — mówił Szwejk do dorożkarza.

I miał rację. Gdy bowiem zajeżdżali już na plac ćwiczeń i gdy stanęli przy podium z balustradą i stołem, na którym miał być ustawiony ołtarz polowy, okazało się, że kapelan zapomniał o ministrancie.

Ministrował mu zwykle pewien żołnierz z piechoty, który wolał jednak służyć w łączności i odjechał na front.

— Nie szkodzi, panie feldkurat — mówił Szwejk — ja i to także mogę odstawić.

— A potrafisz ministrować?

— Nigdy tego nie robiłem — odpowiedział Szwejk — ale popróbować można wszystkiego. Teraz jest wojna, a na wojnie ludzie robią takie rzeczy, o których im się nawet nie śniło. Te jakieś tam „*et cum spiritu tuo*” na pana „*dominus vobiscum*” — także jakoś skłecę. Zresztą uważam, że to nic trudnego chodzić koło pana feldkurata jak kot koło gorącej kaszy, myć panu ręce i nalewać wino z ampulek...

— Dobrze — powiedział kapelan — ale wody mi nie nalewajcie. Najlepiej do tej drugiej ampułki nalejcie od razu wina. Zresztą zawsze wam powiem, Szwejku, czy macie iść na prawo, czy na lewo. Jeśli po cichutku zagwiżdżę raz, to znaczy na prawo, dwa razy — na lewo. Z mszałem także nie musicie zanadto się obnosić. A w ogóle wszystko razem to heca. Nie macie tremy?

— Ja się niczego nie boję, panie kapelanie, nawet ministrować.

Kapelan miał rację mówiąc, że to heca.

Wszystko poszło niezwykle gładko. Przemówienie kapelana było bardzo krótkie.

— Żołnierze! Zebrałiśmy się tutaj, aby przed odejściem na pole walki zwrócić serca do Boga i prosić Go o zwycięstwo i zachowanie nas przy zdrowiu. Nie będę was dłużej zatrzymywał i życzę wam wszystkiego najlepszego.

— Spocznij — zakomenderował stary pułkownik na lewym skrzydle.

Polową mszę świętą nazywamy dlatego polową, że podlega ona tym samym regułom co i taktyka wojskowa na wojnie. W czasie długich przemarszów w okresie wojny trzydziestoletniej msze polowe były również niezwykle długie. Przy współczesnej taktyce, kiedy ruchy wojsk są szybkie i zdecydowane, msza polowa musi być także szybka i zwawa.

Ta trwała zaledwie dziesięć minut i żołnierze, którzy stali bliżej, byli niezmiernie zdziwieni, że kapelan sobie w czasie mszy pogwizduje.

Szwejk szybko, orientował się w sygnałach, chodził to na prawą, to na lewą stronę ołtarza i nic innego nie mówił jak: „*et cum spiritu tuo*”.

Wyglądało to na indiański taniec wokół kamienia ofiarnego, ale robiło dobre wrażenie, rozpraszając nudę zakurzonego placu ćwiczeń z aleją drzew śliwkowych z tyłu i z latrynami, których zapach zastępował mistyczną woń kadzideł w świątyniach gotyckich.

Wszyscy bawili się nadzwyczajnie. Oficerowie zgromadzeni wokół pułkownika opowiadali sobie anegdoty i wszystko szło w pełnym porządku. Tu i ówdzie między żołnierzami słychać było: „Daj pociągnąć”.

I jak dym ofiarny wznosiły się nad kompanią niebieskie obłoczki dymu tytoniowego. Paliły wszystkie szarże, gdy zauważyły, że sam pułkownik sobie zapalił.

Nareszcie usłyszano:

— *Zum Gebet!*

Na placu ćwiczeń uniósł się tuman kurzu i szary czworobok mundurów zgiął kolana przed sportowym pucharem porucznika Witingera, który zdobył go jako nagrodę „Sport Favorit” w biegu Wiedeń–Mödling.

Puchar był pełen. Manipulacjom kapelana towarzyszyło uznanie wyrażające się słowami: „Ten to wtrąbił od razu!” — podawanymi z ust do ust. Wyczyn ten powtórzył kapelan jeszcze dwukrotnie. Potem raz jeszcze zawołał:

— Modlitwa!

Orkiestra zagrała dla animuszu *Gott erhalte* — i po uszeregowaniu się nastąpił odmarsz.

— Zbierzcie te manatki, Szwejku — mówił kapelan wskazując na ołtarz polowy — żebyśmy mogli wszystko porozwozić, co do kogo należy.

Pojechali więc ze swoim dorożkarzem i oddali wszystko uczciwie oprócz butelki wina mszalnego.

A gdy wrócili do domu i odesłali nieszczęśliwego dorożkarza do dowództwa w sprawie wynagrodzenia za te wszystkie długie jazdy, Szwejk zwrócił się do kapelana tymi słowami:

— Posłusznie melduję, panie feldkurat, czy ministrant musi być tego samego wyznania co i ten, któremu służy do mszy?

— Zapewne — odpowiedział kapelan — inaczej msza nie byłaby ważna.

— W takim razie panie feldkurat stała się wielka pomyłka — powiedział Szwejk — bo ja jestem bezwyznaniowy. Mam już takiego pecha.

Kapelana popatrzył na Szwejka i zamilkł na chwilę, potem poklepał go po ramieniu i powiedział:

— Możecie sobie wypić resztę wina mszalnego, które zostało w butelce, i pomyślcie sobie, Szwejku, żeście na nowo wrócili na łono Kościoła.

XII. DYSPUTA RELIGIJNA

Zdarzało się, że Szwejk po kilka dni z rzędu nie widywał kapelana, który obowiązki swe często przeplatał przyjemnościami i rzadko przychodził do domu. Zjawiał się zwykle umorusany, nie umyty, niczym lubieżny kocur włóczący się po dachach.

Po powrocie do domu, jeśli w ogóle mógł mówić, to przed zaśnięciem rozmawiał jeszcze ze Szwejkiem o wzniosłych celach życia, o entuzjazmie i przyjemnościach rozmyślenia.

Czasem próbował mówić wiersze, cytował Heinego.

Szwejk i kapelan odprawili jeszcze jedną mszę polową, tym razem u saperów. Przez pomyłkę poproszono tam jeszcze jednego kapelana, byłego katechetę i człowieka wielce pobożnego. Spoglądał on na swego kolegę z wielkim zdziwieniem, gdy Katz zaproponował

mu lyk koniaku z manierki Szwejka, którą ten zawsze nosił z sobą, ilekroć towarzyszył kapelanowi.

— Dobra marka — rzekł feldkurat Katz. — Napijcie się, kolego, i idźcie do domu, a ja załatwię tu już wszystko, co potrzeba, bo muszę pobyć na świeżym powietrzu. Głowa mnie dziś boli.

Pobożny kapelan oddalił się kręcąc głową, a Katz świetnie jak zwykle spełnił swe zadanie.

Wino miał tym razem mocniejsze, a kazanie dłuższe. Co trzecie słowo mówił: „I tam dalej” lub „że tak powiem”.

— Dzisiaj, żołnierze, odchodzicie na front, i tam dalej. Zwracajcie się tedy ku Bogu, i tam dalej, że tak powiem. Nie wiecie, że tak powiem, co was spotka, i tam dalej.

I tak bezustannie grzmiało od ołtarza: „i tam dalej”, „że tak powiem” — przeplatane słowami o Bogu i wszystkich świętych.

W zapale krasomówczym wymienił kapelan także i księcia Eugeniusza Sabaudzkiego, jako świętego, który czuwać będzie nad saperami, gdy będą budowali mosty.

Pomimo wszystko msza polowa zakończyła się dobrze ku powszechnemu zadowoleniu. Saperzy ubawili się doskonale.

W drodze powrotnej nie chciano ich wpuścić z polowym ołtarzem do tramwaju.

— Czekaj no, dam ja ci po łbie tą świętością — zagroził Szwejk motorniczemu.

Gdy wreszcie dotarli do domu, stwierdzili, że gdzieś w drodze zgubili tabernakulum.

— To nic nie szkodzi — pocieszał Szwejk. — Pierwsi chrześcijanie też odprawiali mszę świętą bez tabernakulum. Gdybyśmy zamieścili w pismach ogłoszenie o zgubie, to uczciwy znalazca żądałby od nas nagrody. Gdyby chodziło o pieniądze, to może nie znalazłby się taki uczciwy znalazca, aczkolwiek trafiają się i tacy ludzie. U nas w Budziejowicach służył w pułku pewien żołnierz, taki poczciwy idiota, który razu pewnego znalazł na ulicy sześćset koron i oddał je w komisariacie policji, a gazety pisały o nim jako o uczciwym znalazcy, więc nażarł się niemało wstydu. Nikt nie chciał z nim gadać i każdy mówił: „Ty mało jedna, co za głupstwa wyrabiasz? Przecież teraz będziesz się musiał wstydzić do samej śmierci, jeśli masz choć trochę honoru”. Miał dziewczynę, ale ona przestała z nim rozmawiać. Gdy przyjechał do domu na urlop i poszedł do karczmy na tańce, to go koledzy wyrzucili za drzwi. Zaczął schnąć, bo sobie to wszystko nadmierne brał do serca, i wreszcie rzucił się pod pociąg. Jeden znowuż krawiec z naszej ulicy znalazł złoty pierścień. Ludzie go napominali, żeby go nie oddawał policji, ale on się nie dał przekonać. Policja przyjęła go bardzo uprzejmie, bo już meldowano o zgubie złotego pierścienia z brylantem. Ale potem patrzą na kamień i powiadają: „He-he, bratku, przecież to szkło, a nie brylant. Wiele też panu za ten brylant dali? Znamy takich uczciwych znalazców”. Wreszcie wyjaśniło się, że jeszcze jeden człowiek zgubił złoty pierścień z fałszywym brylantem, jakoby pamiątkę rodzinną, ale krawiec i tak przesiedział trzy dni, ponieważ w rozdrażnieniu dopuścił się obrazy policji. Dostał prawem przepisaną nagrodę, dziesięć procent, to znaczy koronę i dwadzieścia halerzy, bo cały ten pierścień wart był dwanaście koron. Mój krawiec rzucił tę przepisową nagrodę właścicielowi pierścienia w twarz, a ten zaskarżył go o obrazę, więc krawiec musiał jeszcze zapłacić dziesięć koron grzywny. Potem mawiał zawsze, że każdy uczciwy znalazca wart jest dwudziestu pięciu batów i że trzeba takiego rznąć mocno, aż zsinieje, i to publicznie, żeby sobie ludzie zapamiętali, jak należy postępować. Sądzę, że naszego tabernakulum nikt nam nie odniesie, chociaż jest na nim znaczek administracji wojskowej, bo z wojskowymi rzeczami też nikt nie lubi mieć do czynienia. Woli wrzucić w wodę niż narażać się na różne kłopoty. Wczoraj w gospodzie „Pod Złotym Wieńcem” rozmawiałem z jednym człowiekiem ze wsi. Ma już pięćdziesiąt sześć lat i przyszedł do starostwa w Nowej Pące, żeby się zapytać, dlaczego zarekwirowali mu bryczkę. Gdy wyrzucono go stamtąd, zaczął przyglądać się taborom, które akurat przyjechały i stały na rynku. Jakiś młody człowiek poprosił go, żeby przez chwilę popiłnował jego koni, bo on wiezie konserwy wojskowe. Jak poszedł, tak przepadł.

Kiedy tabory ruszyły, ten człowiek, co pilnował koni, musiał iść razem z nimi i dostał się aż na Węgry, gdzie też poprosił kogoś, żeby mu popiłnował koni, i tylko w ten sposób się wymigał, bo byliby go zapędzili aż do Serbii. Przyjechał do domu zastrachany i od tego czasu nie chce mieć do czynienia z rzeczami wojskowymi.

Wieczorem przyszedł z wizytą do feldkurata nabożny kapelan, który rano również pragnął odprawić mszę świętą dla saperów. Był to fanatyk, który chciał każdego zbliżyć do Boga. Kiedy był jeszcze prefektem, krzawił wśród dzieci kult religii przy pomocy bicia po głowie, tak że od czasu do czasu ukazywały się w pismach notatki: *Brutalny katecheta, Prefekt, który bije dzieci po głowach*, i tym podobne. Był przekonany, że dzieci najlepiej nauczą się katechizmu systemem różeczkowym.

Utykał trochę na jedną nogę, co było następstwem spotkania z ojcem pewnego ucznia, którego wytłukł po głowie za to, że śmiał powątpiewać w istnienie Trójcy Świętej. Dostał więc od księdza trzykroć po łbie: raz za Boga Ojca, raz za Syna Bożego i raz za Ducha Świętego.

Dzisiaj prefekt przyszedł sprowadzić na drogę cnoty swego kolegę Katza i przemówić mu do sumienia. Zaczął od uwagi:

— Jestem zdziwiony, że nie widzę u was krzyża! Gdzie odmawiacie brewiarz? Ani jednego obrazu świętego nie widać na ścianach waszego pokoju! A co wisi u was nad łóżkiem?

Katz uśmiechnął się.

— To Zuzanna w kąpielni, a ta naga kobieta poniżej to moja dawna znajoma. Na prawo widzicie prawdziwą japońszczyznę; obrazek przedstawia akt płciowy gejszy i starego samuraja. Coś niezwykle oryginalnego, prawda? Brewiarz mam w kuchni. Szwejku, przyniescie mi brewiarz i otwórzcie go na trzeciej stronie.

Szwejk wyszedł i z kuchni słychać było odkorkowywanie trzech butelek. Pobożny kapelan był przerażony, gdy na stole rzeczywiście pojawiły się trzy butelki wina.

— Proszę, panie kolego, to jest lekkie wino mszalne — mówił Katz — wysokiego gatunku riesling. Przypomina w smaku mozelskie.

— Nie będę pił — zapowiedział z uporem nabożny kapelan. — Przyszedłem tutaj, żeby wam przemówić do sumienia.

— Ale bez tego wyschnie wam w gardle, panie kolego — powiedział Katz. — Napijcie się, a ja będę słuchał tego, co mi chcecie powiedzieć. Jestem zgodny i chętnie wysłucham waszych przekonywań.

Nabożny kapelan napił się trochę i wytrzeszczył oczy.

— Diabelnie dobre wino, nieprawda, panie kolego?

Fanatyk powiedział twardo:

— Stwierdzam, że klniecie!

— To tylko przyzwyczajenie — odpowiedział Katz — nieraz się przyłapuję na tym, że nawet bluźnię. Należycie, Szwejku, księdzu kapelanowi. Mogę was też zapewnić, że mówię również: „*Himmelherrgott, Krucyfix, sacra*”. Myślę, że gdy posłużycie w wojsku tak długo jak ja, to się także wprawicie. To nic trudnego, nic uciążliwego, a nam, duchownym, bardzo bliskie: niebo, Bóg, krzyż, święty sakrament. Czyż nie brzmi to pięknie i zawodowo? Pijcie, panie kolego!

Były katecheta napił się odruchowo. Widać było, że chce coś powiedzieć, ale nie może. Zbierał myśli.

— Panie kolego — mówił dalej Katz — głowa do góry. Jesteście tacy smutni, jakby was mieli wieszać za pięć minut. Słyszałem, że kiedyś zjedliście w restauracji w piątek kotlet wieprzowy, sądząc, że to jest czwartek. Potem poszliście do ustępu, włożyliście palec do gardła, żeby wszystko zwrócić, boście myśleli, że Bóg was zgładzi. Ja tam się nie boję jeść w poście mięsa, nawet piekła się nie boję. Przepraszam, napijcie się! Czy już wam lepiej? Czy macie postępowy pogląd na piekło i czy w ogóle idziecie z duchem czasu, z reformistami? Jest to miejsce dla ubogich grzeszników; kotły z siarką, kotły Papina, kotły wysokiego ciśnienia, grzesznicy wysmażają się w nich na margarynę, różny elektryczne, wielkie walce drogowe walczą przez miliony lat grzeszników, zgrzytanie zębów naśladują dentyści za pomocą specjalnych narzędzi, biadania i narzekania nagrywa się na płyty, które się potem odsyła na górę do nieba, ku rozweseleniu sprawiedliwych. Zaś w raju są czynne rozpylacze z wodą kolońską, a filharmonia niebieska tak długo gra Brahmsa, że na pewno dacie pierwszeństwo piekłu i czyścowi. Aniolki mają w zadeczkach śmigła samolotowe, żeby nie musiały się tak namachać skrzydełkami. Pijcie, panie kolego! Szwejku, nalejcie mu trochę koniaku, bo mam wrażenie, że się źle czuje.

Nabożny kapelan opamiętawszy się szepnął:

— Religia jest to pojęcie oderwane. Kto nie wierzy w istnienie Trójcy Świętej...

— Szwejku, nalejcie panu kapelanowi jeszcze trochę koniaku, żeby się mógł opamiętać. Szwejku, opowiedzcie mu coś.

— Pod Vlaszimiem, posłusznie melduję, panie feldkurat — zaczął Szwejk — był dziekan, który miał tylko posługaczkę, od czasu gdy mu stara gospodyni uciekła z jakimś młodym chłopcem i pieniędzmi. Ten dziekan na stare lata zabrał się do studiowania pism świętego Augustyna, o którym się mówi, że należy do ojców Kościoła, i wyczytał tam, że kto wierzy w antypody, winien być przeklęty. Więc przywołał posługaczkę do siebie i powiada:

„Słuchajcie, mówiliście mi kiedyś, że syn wasz jest mechanikiem i że wyjechał do Australii. To byłby wśród antypodów, a święty Augustyn pisze, że każdy, kto wierzy w antypody, jest przeklęty”.

„Ależ, dobrodzieju — odpowiada kobieta — przecież mój syn pisuje do mnie i przysłał mi pieniądze z Australii”.

„To jest złuda diabelska — odpowiada jej dziekan — żadna Australia nie istnieje, to antychryst was zwodzi”.

A w niedzielę wyklął ją publicznie i krzyczał, że Australia nie istnieje. Więc go wprost z kościoła odwieźli do domu obłąkanych. Należałoby ich tam odwieźć więcej. W klasztorze urszulanek mają buteleczkę z mlekiem Panny Marii, którym karmiła małego Jezusa, a jak do sierocińca pod Beneszovem przywieźli wodę z Lourdes, to się po niej sierotki pochorowały na taką biegunkę, jakiej świat nie widział.

Nabożnego kapelana aż zamroczyło i opamiętał się dopiero po nowym łyku koniaku, który mu uderzył do głowy.

Mrużąc oczy zapytał Katza:

— Wy pewno nie wierzycie w niepokalane poczęcie Przenajświętszej Pani. Czy w ogóle wierzycie w Boga? A jeżeli nie wierzycie, to dlaczego jesteście kapelanem?

— Panie kolego — odpowiedział Katz, klepiąc go poufale po plecach — dopóki państwo będzie uważało, że żołnierze, idąc na śmierć na pola bitew potrzebują błogosławieństwa bożego, to kapelaństwo polowe będzie dobrze płatnym zajęciem, przy którym się człowiek nie przepracuje. Poza tym byłem zdania, że to lepsze zajęcie niż bieganie po placu ćwiczeń i chodzenie na manewry. Wówczas otrzymywałem rozkazy od przełożonych, a dzisiaj robię sobie, co chcę. Zastępuję kogoś, kto nie istnieje, i sam gram rolę bożą. A jak komuś nie chcę dać rozgrzeszenia, to mu nie dam, choćby mnie na kolanach prosił. Zresztą, takich jest cholernie mało.

— Ja kocham Pana Boga — odezwał się pobożny kapelan zaczynając czkać — bardzo Go kocham. Dajcie mi trochę wina.

Ja Pana Boga szanuję — mówił potem dalej — bardzo Go szanuję i czczę. Nikogo tak nie poważam jak właśnie Jego.

Uderzył pięścią w stół, aż podskoczyły butelki.

— Bóg jest uosobieniem czegoś wzniosłego, czegoś niezmiernie. Jest honorowy w swych sprawach. Jest to słoneczna zjawa, tego mi nikt nie zabierze. Ja świętego Józefa szanuję i wszystkich świętych poważam, wyłączając świętego Serapiona. Ma takie obrzydliwe imię.

— Powinien wystąpić o zmianę imienia — wtrącił Szwejk.

— Świętą Ludmiłę kocham i świętego Bernarda — mówił dalej były prefekt — uratował moc pielgrzymów na Św. Gotardzie. Ma na szyi butelkę koniaku i odgrzebuje zasypanych śniegiem.

Zabawa zesła na inne tory. Nabożny kapelan zaczął pleść od rzeczy.

— Młodzieniaszków czczę. Mają imieniny dwudziestego ósmego grudnia. Heroda nienawidzę. Jak kury śpią, to nie można dostać świeżych jajek.

Śmiał się i zaczął śpiewać: *Święty Boże, święty mocny...*

Przerwał wszakże od razu i zwracając się do Katza zapytał ostro:

— Wy nie wierzycie, że piętnastego sierpnia jest święto Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny?

Bawili się doskonale. Zjawilo się jeszcze więcej butelek. Chwilami odzywał się Katz:

— Powiedz, że nie wierzysz w Pana Boga, bo inaczej ci nie naleję...

Zdawało się, że wracają czasy prześladowania pierwszych chrześcijan. Były prefekt śpiewał jakąś pieśń męczennika z rzymskiej areny i ryczał:

— Wierzę w Pana Boga, nie wyprę się Go. Wypchaj się ze swoim winem. Mogę sobie sam po wino posłać.

W końcu ułożyli go spać. Nim usnął, wznosił prawicę jak do przysięgi i wygłosił:

— Wierzę w Boga Ojca i Syna i Ducha Świętego. Przynieście mi brewiarz.

Szwejk włożył mu do rąk jakąś książkę leżącą na nocnej szafce i w ten sposób kapelan usnął z *Dekameronem* G. Boccaccia w ręce.

XIII. SZWEJK IDZIE NAMASZCZAĆ

Feldkurat Otto Katz siedział w zamyśleniu nad okólnikiem, który właśnie przyniósł sobie z koszar. Było to poufne zarządzenie Ministerstwa Wojny.

„Ministerstwo Wojny kasuje na czas wojny obowiązujące dotąd przepisy, dotyczące ostatniego namaszczenia dla żołnierzy armii, i ustanawia dla kapelanów wojskowych przepisy następujące:

§ 1. Na froncie ostatnie namaszczenie zostaje zniesione.

§ 2. Ciężko rannym i chorym żołnierzom nie wolno udawać się na tyły dla otrzymania ostatniego namaszczenia. Duszpasterze wojskowi obowiązani są oddawać takich szeregowców natychmiast władzom wojskowym celem dalszego dochodzenia.

§ 3. W szpitalach wojskowych na tyłach wolno udzielać ostatniego namaszczenia zbiorowo na podstawie orzeczenia lekarzy wojskowych w takim tylko wypadku, o ile ostatnie namaszczenie nie jest uciążliwe dla danej instytucji wojskowej.

§ 4. W wypadkach wyjątkowych dowództwa szpitali wojskowych na tyłach mogą zezwolić na przyjęcie ostatniego namaszczenia.

§ 5. Na wezwanie dowództw szpitali wojskowych duszpasterze wojskowi obowiązani są udzielać ostatniego namaszczenia tym, których dowództwa polecają”.

Potem feldkurat jeszcze raz przeczytał pismo, którym został powiadomiony, że jutro ma się udać na Plac Karola do szpitala wojskowego, aby udzielić ostatniego namaszczenia ciężko rannym.

— Słuchajcie, Szwejk — zawołał kapelan — czy to nie świństwo? Jak gdyby w całej Pradze nie było innego feldkurata prócz mnie. Czemu nie posłać do szpitala tego pobożnego kapelana, co to niedawno spał u nas? Ja już nawet nie pamiętam, jak to się robi.

— Kupimy sobie katechizm, panie feldkuracie, w katechizmie piszą o takich rzeczach — rzekł Szwejk. — Katechizm to dobry przewodnik dla duszpasterzy. W klasztorze emauskim pracował pewien pomocnik ogrodnika. Gdy postanowił wstąpić do zakonu jako nowicjusz i dostać habit, żeby nie zdzierać własnego ubrania, musiał kupić sobie katechizm, aby się dowiedzieć, jak się robi znak krzyża, kto jedynie nie podpada pod prawo grzechu pierworodnego, co to znaczy mieć czyste sumienie, i tak dalej. Potem sprzedał sekretnie połowę ogórków z ogrodu klasztorowego i ze wstydem wyleciał z klasztoru. Kiedy się z nim spotkałem, powiedział mi: „Ogórki mogłem sprzedawać i bez katechizmu”.

Szwejk kupił katechizm, a feldkurat odwracając kartki rzekł:

— Ostatniego namaszczenia może udzielać tylko ksiądz, i to olejem poświęcanym przez biskupa. Więc widzicie, Szwejk, wy sam ostatniego namaszczenia udzielić nie możecie. Przeczytajcie mi, jak się udziela ostatniego namaszczenia.

Szwejk czytał:

„Czyni się to tak: ksiądz namaszcza poszczególne zmysły chorego modląc się przy tym:

»Przez to święte namaszczenie niechaj ci Bóg w swoim nieograniczonym miłosierdziu odpuści, cokolwiek zgrzeszyłeś wzrokiem, słuchem, powonieniem, smakiem, językiem, dotykaniem, chodem«”.

— Ciekaw jestem, Szwejku — odezwał się kapelan — jak też człowiek może nagrzeszyć dotykami, możecie mi to wyjaśnić?

— Wiele może nagrzeszyć, panie feldkurat, na przykład sięgnie choćby do cudzej kieszeni, albo i na zabawie tanecznej, wszak mnie ksiądz kapelan rozumie, jakie tam bywa przedstawienie.

— A chodem Szwejku?

— Kiedy zacznie utykać, żeby wzbudzić litość.

— A powonieniem?

— Kiedy mu się jakiś smród nie podoba.

— A smakiem, Szwejku?

— Kiedy ma się na kogoś apetyt.

— A mową?

— To już idzie razem ze słuchem, panie feldkurat. Jak jeden dużo gada, a drugi słucha. Po tych filozoficznych uwagach kapelan zamilkł i po chwili powiedział:

— Potrzeba nam więc oleju poświęconego przez biskupa. Daję wam dziesięć koron na butelkę takiego oleju. W intendenturze wojskowej go nie mają.

Szwejk wybrał się więc na poszukiwanie oleju poświęconego przez biskupa. Poszukiwanie takiej rzeczy jest daleko trudniejsze od szukania żywej wody w baśniach Bożeny Niemcowej.

Szwejk był w kilku drogeriach, ale gdy wyrażał życzenie: „Proszę buteleczkę oleju poświęconego przez biskupa” — jedni wybuchali śmiechem, inni ze strachu chowali się pod kontuarem. Szwejk zachowywał przy tym wielką powagę.

Postanowił próbować szczęścia w aptekach. Z pierwszej kazano laborantowi wyrzucić go za drzwi. W drugiej chciano telefonować po pogotowie ratunkowe, w trzeciej zaś powiedział mu prowizor, że firma „Polak” przy ulicy Długiej, handel olejami i farbami, z pewnością będzie miała żądany olej na składzie.

Firma „Polak” przy ulicy Długiej była naprawdę bardzo ruchliwa. Nie pozwoliła odejść żadnemu klientowi nie zaspokoiwszy w pełni jego życzeń. Jeśli ktoś życzył sobie balsamu kopaiwowego, nalali mu do butelki terpentyny i też było dobrze.

Gdy Szwejk wszedł do sklepu i zażądał za dziesięć koron oleju poświęconego przez biskupa, szef rzekł do subiekta:

— Niech pan mu naleje, panie Tauchen, dziesięć deka oleju konopnego, numer trzeci.

A subiekt zawijając butelkę w papier rzekł do Szwejka czysto po kupiecku:

— Pierwszy gatunek. Gdyby pan potrzebował pędzli, lakieru, pokostu, prosimy zwrócić się do nas. Obsłużymy pana rzetelnie.

Tymczasem kapelan powtarzał sobie z katechizmu to, co w seminarium nie utkwilo mu zbyt dobrze w pamięci. Bardzo mu się podobało to niezwykle uduchowione zdanie, z którego się szczerze uśmieł: „Nazwa »ostatnie olejem świętym namaszczenie« pochodzi stąd, że to namaszczenie bywa zazwyczaj ostatnim ze wszystkich namaszczeń, jakie Kościół święty udziela człowiekowi”.

Albo inne: „Ostatnie namaszczenie może przyjąć każdy chrześcijanin wyznania rzymskokatolickiego, który ciężko zachorował, ale wrócił już do przytomności!”

„Chory powinien przyjąć ostatnie namaszczenie, o ile to tylko możliwe, dopóki jest przytomny”.

Wtem przyszedł goniec z koszar i przyniósł mu list, w którym kapelan został powiadomiony, że jutro przy jego posługach religijnych w szpitalu asystować będzie Stowarzyszenie Szlachcianek Religijnego Wychowania Żołnierzy.

Stowarzyszenie to składało się z histerycznych bab i rozdawało żołnierzom po szpitalach obrazki świętych i opowiadki o żołnierzu katoliku umierającym za najjaśniejszego pana. Do tych opowiadań dołączano barwny obrazek przedstawiający pobożowisko. Dookoła leżą trupy ludzi i koni, powywracane wozy z amunicją i armaty lawetami do góry. Na horyzoncie pali się wieś i pękają szrapnele, a na przedzie leży umierający żołnierz bez nogi, nad nim zaś pochyla się anioł i podaje mu wieniec ze wstęgą, na której jest napis: „Jeszcze dziś będziesz ze mną w raju”. Umierający zaś uśmiecha się tak błogo, jakby mu podawali lody śmietankowe.

Przeczytawszy list Otto Katz splunął i pomyślał: „Będę miał jutro ładny dzień”.

Znał tę hołotę — jak je nazywał — z kościoła Św. Ignacego, gdy przed laty miał tam kazania dla żołnierzy. Wtedy pracował jeszcze nad kazaniami bardzo starannie, a Stowarzyszenie siadało tuż za pułkownikiem. Dwie chude gidie w czarnych sukniach, z różańcami, które razu pewnego przyczepiły się do niego po kazaniu i przez dwie godziny gadały o religijnym wychowaniu żołnierzy, aż wreszcie rozgniewał się i rzekł im: „Szanowne panie raczą wybaczyć, ale pan kapitan czeka na mnie z kartami”.

— Olej już mamy — rzekł uroczyście Szwejk, gdy powrócił ze sklepu firmy „Polak”. — Konopny olej, numer trzeci, pierwszy sort, bardzo dobry, możemy nim namaścić cały batalion. Solidna firma. Sprzedaje także pokost, lakier i pędzle. Potrzeba jeszcze dzwonka.

— Na co dzwonek, Szwejku?

— Trzeba po drodze dzwonić, żeby ludzie zdejmowali czapki, jak będziemy szli z Panem Bogiem, panie kapelanie, z tym olejem konopnym, numer trzy. To się tak robi. Już wielu ludzi, których to w ogóle nic nie obchodziło, zostało przymkniętych za to, że czapek nie zdjęli. Raz na Żiżkowie ksiądz sprzął niewidomego za to, że przy takiej okazji nie zdjął czapki, i jeszcze tego ślepcę zamknęli, bo dowiedli mu na sądzie, że nie jest głuchoniemy, a tylko ślepy, i musiał słyszeć dźwięk dzwonka, a więc był powodem zgorzenia, chociaż to była noc. To coś tak jak w Boże Ciało. Inaczej by nas ludzie nawet nie zauważyli, a tak będą się nam kłaniali. Jeśli pan feldkurat się zgadza, to zaraz go przyniosę.

Otrzymałszy pozwolenie Szwejk wrócił za pół godziny z dzwonkiem.

— Wziąłem go z bramy zajazdu „Pod Krzyżkami” — rzekł. — Kosztował mnie pięć minut strachu i musiałem długo czekać, bo się ciągle ludzie kręcili.

— Idę do kawiarni, Szwejku; gdyby ktoś przyszedł, to niech poczeka.

Mniej więcej po godzinie przyszedł stary siwy pan, prostej postawy i o surowym spojrzeniu.

Cała jego postać była wyrazem uporu i złości. Patrzył przed siebie tak, jakby go losy wysłały, aby zniszczyć naszą nędzną planetę i zatrzeć jej ślady we wszechświecie. Mowa jego była szorstka, sucha i surowa:

— W domu? Do kawiarni poszedł? Mam czekać? Dobrze, będę czekał do samego rana. Na kawiarnię to ma, ale długów płacić mu się nie chce. To ci ksiądz, tfu, do diabła! Splunął na podłogę.

— Proszę pana, niech pan tu nie pluje — rzekł Szwejk spoglądając na obcego pana z dużym zainteresowaniem.

— Jeszcze raz splunę, o tak — rzekł z naciskiem uparty surowy pan spluwając po raz drugi na podłogę. — Że też mu nie wstyd! Wojskowy kapelan! Hańba!

— Jeśli pan jesteś człowiekiem wykształconym — napominał go Szwejk — to niech się pan odzwyczai pluć w cudzym mieszkaniu. Czy może zdaje się panu, że jak jest wojna światowa, to już zaraz może pan sobie pozwalać na wszystko? Powinien pan zachowywać się przyzwoicie, a nie jak jakiś obwieś. Trzeba postępować delikatnie, mówić przyzwoicie i nie poczynać sobie jak jaki drab. Widzicie go, zgłupiałego cywila!

Surowy pan powstał z krzesła, zaczął się trząść z oburzenia i krzyczał:

— Jakim prawem ośmielasz się pan mówić, że nie jestem przyzwoitym człowiekiem? Cóż więc jestem w takim razie? Mów pan...

— Jesteś pan gówniarz — odpowiedział Szwejk patrząc mu prosto w oczy. — Plusz pan na podłogę, jakbyś pan siedział w tramwaju, w pociągu albo w innym lokalu publicznym. Zawsze się dziwiłem, na co są te karteczki z napisami, że na podłogę pluć nie wolno, a teraz widzę, że to dla pana. Pewno muszą pana już wszędzie dobrze znać.

Surowy pan czerwienił się i bladł na przemian, i starał się odpowiedzieć potokiem wyzwisk pod adresem Szwejka i feldkurata.

— Skończyłeś pan? — zapytał Szwejk spokojnie (gdy z ust gościa padły ostatnie słowa: „Obydwasz jesteście galgany!”, „Jaki pan, taki kram!”). — Czy może chce pan jeszcze jakoś uzupełnić swoje słowa, zanim spadnie pan ze schodów?

Ponieważ surowy pan był już tak dalece wyczerpany, że na myśl nie przyszło mu żadne obelżywe przewisko, więc milczał. Szwejk zrozumiał to milczenie po swojemu, że na uzupełnienie wyzwisk nie ma co czekać.

Otworzył więc drzwi, ustawił w nich surowego pana twarzą ku sieni i — takiego *shoota* nie byłby się powstydział najlepszy gracz najlepszego międzynarodowego zespołu piłki nożnej.

Za surowym panem spadającym ze schodów leciały słowa Szwejka:
— Na drugi raz, jak się pójdzie z wizytą do porządných ludzi, to trzeba zachowywać się przyzwoicie.
Surowy pan długo chodził pod oknami, czekał na kapelana.
Szwejk otworzył okno i przyglądał mu się.
Wreszcie gość doczekał się powrotu gospodarza, który wprowadził go do pokoju i wskazał mu krzesło obok siebie.
Szwejk bez słowa przyniósł spluwaczkę i postawił ją koło gościa.
— Co wy robicie, Szwejku?
— Posłusznie melduję, panie feldkurat, że już miałem z tym panem nieporozumienie z powodu płucia na podłogę.
— Opuśćcie nas, Szwejku; mamy do załatwienia sprawę osobistę.
Szwejk zasalutował i rzekł:
— Posłusznie melduję, że pana feldkurata opuszczam.
Poszedł do kuchni, a w pokoju toczyła się tymczasem bardzo interesująca rozmowa.
— Przyszedł pan po pieniądze dane mi na weksel, jeśli się nie mylę? — zapytał feldkurat swego gościa.
— Tak jest, mam nadzieję...
Kapelan westchnął.
— Człowiek znajduje się niekiedy w takiej sytuacji, że nie pozostaje mu nic innego, tylko mieć nadzieję. Co za piękne słowo: „Ufaj!”. Najpiękniejsze z trojga słów, które wznoszą człowieka ponad chaos życia: „Wiara, nadzieja i miłość”.
— Mam nadzieję, panie kapelanie, że suma...
— Ma pan rację, szanowny panie — przerwał mu kapelan. — Mogę panu jeszcze raz powtórzyć, że ufność krzepi człowieka w walce z życiem. Niech i pan nie traci nadziei. Bardzo to pięknie mieć pewien ideał, być niewinną, czystą istotą, która pożycza pieniądze na weksle i ma nadzieję, że należność otrzyma. Niech pan nie traci nadziei i ufa stale, że spłacę panu tysiąc dwieście koron, gdy w kieszeni mam niecałych sto.
— A więc pan... — wykrztusił gość.
— A więc ja istotnie — odpowiedział kapelan.
Twarz gościa przybrała znowu wyraz uporu i złości.
— Panie, to jest oszustwo — rzekł wstając.
— Niech pan się uspokoi, szanowny panie...
— To oszustwo! — krzyczał gość z uporem. — Nadużył pan mego zaufania!
— Mój panie — rzekł kapelan — panu jest koniecznie potrzebna zmiana powietrza. Tu jest zbyt duszno.
Szwejku! — zawołał w kierunku kuchni. — Ten pan życzy sobie wyjść na świeże powietrze.
— Posłusznie melduję, panie feldkurat — dobiegł głos z kuchni — że już go raz wyrzuciłem.
— Powtórzyc! — brzmiał rozkaz, który został wykonany szybko, sprawnie i bezwzględnie.
— Bardzo dobrze, panie feldkurat — rzekł Szwejk powracając z sieni — że załatwiliśmy się z tym panem, zanim dopuścił się tu jakiej awantury. W Maleszicach był karczmarsz znający dobrze Pismo święte i gdy czasem loił jakiego gościa bykowcem, to zawsze mawiał: „Kto żałuje różgi, nienawidzi syna swego, ale kto go miłuje, w czas go karze. Ja ci dam bić się w gospodzie!”
— Widzicie, mój Szwejku, co spotyka człowieka, który nie szanuje kapłana — uśmiechnął się feldkurat. — Święty Jan Złotousty powiedział: „Kto czci księdza, czci Chrystusa, kto robi przykrości księdzu, czyni też przykrości Chrystusowi, którego zastępcą jest właśnie ksiądz”. Na jutro musimy się doskonale przygotować. Usmażcie jajka z szynką, ugotujcie poncz na winie bordeaux, a resztę czasu poświęćmy na rozmyślania, tak jak to jest w modlitwie wieczornej: „Niechaj łaska boża odwróci wszelkie układy nieprzyjaciół o ten przybytek”.

Są na świecie ludzie ogromnie wytrwali i do takich należał mąż po dwakroć już wyrzucony z mieszkania feldkurata. W chwili gdy kolacja była gotowa, ktoś zadzwonił. Szwejk pośpieszył otworzyć drzwi i po chwili zameldował:

— Już znowu przyszedł, proszę pana feldkurata. Zamknąłem go tymczasem w łazience, żebyśmy mogli spokojnie zjeść kolację.

— Postąpiliście niedobrze, mój Szwejk — rzekł kapelan. — Gość w dom, Bóg w dom. Za dawnych czasów biesiadnicy kazali różnym potworkom, by ich zabawiali. Przyprowadźcie go, niech nas bawi.

Szwejk wrócił po chwili z mężem wytrwałym, który spoglądał ponuro przed siebie.

— Niech pan siada — uprzejmie zaprosił go kapelan. — Akurat kończymy kolację. Mieliśmy homary, łososia, a teraz jeszcze zjemy trochę jajecznicy z szynką. Można sobie pozwalać, gdy dobrzy ludzie pożyczają pieniądze.

— Zdaje mi się, że nie przyszedłem tutaj dla żartów — rzekł mąż ponuro. — Już trzeci raz tu dzisiaj jestem. Mam nadzieję, że teraz wszystko się wyjaśni.

— Posłusznie melduję, panie feldkurat — wtrącił Szwejk — że ten pan jest taki wytrwały jak niejaki Bouszek z Libni. Osiemnaście razy w ciągu jednego wieczora wyrzucili go u „Extnerów”, a on po każdym wyrzuceniu wracał, że niby zapomniał tam fajkę. Właził oknem, drzwiami, przez kuchnię, wlaźł do lokalu przez mur ogrodu, przez piwnicę i wlaźłby może nawet kominem, gdyby go strażacy nie zdjęli z dachu. Był taki wytrwały, że mógłby zostać ministrem albo i posłem.

Wytrwały człowiek, nie zwracając uwagi na to, o czym mówiono, powtarzał z uporem:

— Chcę, żeby wszystko było jasne, i proszę mnie wysłuchać.

— Może szanowny pan mówić — rzekł feldkurat — pozwalam panu. Niech pan mówi tak długo, jak się panu podoba, a my tymczasem będziemy biesiadowali dalej. Mam nadzieję, że panu to nie będzie przeszkadzało. Szwejk, podawajcie.

— Jak panu wiadomo — mówił wytrwały wierzyciel — szaleje wojna. Pieniądze pożyczyłem panu feldkuratowi przed wojną i gdyby nie wojna, nie domagałbym się tak bardzo ich zwrotu. Ale mam pewne doświadczenia.

Wyjął z kieszeni notatnik i mówił dalej:

— Wszystko mam pozapisywane. Porucznik Janata był mi winien siedemset koron i ośmielił się paść nad Driną. Porucznik Praszek dostał się na rosyjskim froncie do niewoli, a winien mi dwa tysiące koron. Kapitan Wichterle jest mi winien taką samą sumę i został zabity pod Rawą Ruską przez własnych żołnierzy. Porucznik Machek dostał się do niewoli w Serbii, a jest mi winien tysiąc pięćset koron. Ale są jeszcze inni podobni. Ten padł w Karpatach nie zapłaciwszy weksła, tamten poszedł do niewoli, ów utonął w Serbii, jeszcze inny umarł w szpitalu na Węgrzech. Czy pan feldkurat rozumie teraz mój niepokój? Przecie ta wojna zrukuje mnie ostatecznie, jeśli nie będę energiczny i nieubłagany. Może mi pan powie, że feldkuratowi nie zagraża żadne niebezpieczeństwo? Niech pan patrzy.

Podsunał kapelanowi notatnik pod nos.

— Proszę: feldkurat Matiasz w Brnie zmarł w szpitalu izolacyjnym zeszłego tygodnia. Włosy rwać z rozpacz! Nie oddał mi tysiąca ośmiuset koron; poszedł z wiatykiem do baraku cholerycznego, do jakiegoś człowieka, który go przecież i tak nic nie obchodził.

— Było to jego obowiązkiem, szanowny panie — rzekł kapelan. — Ja także idę jutro do chorych...

— I także do cholerycznego baraku — wtrącił Szwejk. — Może pan pójść z nami, żeby pan widział, co znaczy poświęcenie.

— Panie kapelanie — rzekł mąż wytrwały — proszę mi wierzyć, że jestem w sytuacji rozpaczliwej. Czyż na to wybuchła wojna, aby zgładziła wszystkich moich dłużników?

— Jak pana wezmą do wojska i wyślą pana w pole — ponownie wtrącił się do rozmowy Szwejk — odprawimy z panem feldkuratem mszę świętą, aby Bóg Niebieski dał, iżby pierwszy granat pana przetrącił raczył.

— Panie feldkuracie, to sprawa poważna — rzekł człowiek wytrwały do kapelana — więc proszę, aby ordynans pański nie wtrącał się do naszej rozmowy. Trzeba koniecznie z tym skończyć.

— Posłusznie proszę pana feldkurata — odezwał się Szwejk — aby mi naprawdę raczył zakazać wtrącania się do rozmowy, bo w przeciwnym razie będę dalej bronił interesów

pana feldkurata, jak na porządnego żołnierza przystało. Ten pan ma rację, że chce odejść stąd sam, bo ja też nie lubię awantur i jestem człowiekiem towarzyskim.

— Mój Szwejku, mnie to wszystko zaczyna już nudzić — rzekł feldkurat, jakby nie dostrzegając gościa. — Myślałem, że nas ten człowiek zabawi, że opowie nam jakieś anegdotki, a on chce, żebym wam rozkazał nie wtrącać się do tej sprawy, chociaż mieliście z nim już dwa razy do czynienia. Wieczorem w wigilię dnia tak ważnego, gdy trzeba skupić wszystkie myśli i uczucia wokół Boga, zamęcza mnie jakąś idiotyczną historią o nędznych tysiąc dwieście koron. Odwraca myśl moją od spraw wyższych i chce, abym mu jeszcze raz powiedział, że mu teraz nic nie dam. Nie będę z nim więcej rozmawiał, aby mi nie zepsuł reszty tego świętego wieczoru. Powiedźcie wy mu, Szwejku: „Pan feldkurat nic panu nie da”.

Szwejk wypełnił rozkaz, wrzaskliwie powtórzywszy te słowa nad uchem gościa.

Ale wytrwały gość nie ruszył się z miejsca.

— Zapytajcie, Szwejku — nalegał kapelan — jak długo ten jegomość zamierza rozsiadywać się tutaj.

— Nie ruszę się stąd, dopóki nie otrzymam swej należności — twierdził z uporem wytrwały człowiek.

Kapelan wstał, podszedł do okna i rzekł:

— W takim razie oddaję go wam, Szwejku; róbcie sobie z nim, co się wam podoba.

— Niech no pan idzie — rzekł Szwejk uchwyciwszy niemilego gościa za ramię. — Do trzech razy sztuka.

I powtórzył swoją sztukę szybko i elegancko, podczas gdy kapelan wybębniał palcami po szybie marsza pogrzebowego.

Wieczór poświęcony rozmyślaniu miał kilka faz. Rozmyślania feldkurata były tak głębokie, że jeszcze o dwunastej godzinie w nocy słyhać było w jego mieszkaniu śpiew:

A gdyśmy maszerowali,
Wszystkie dziewczęta płakały...

Dobry wojak Szwejk śpiewał także.

*

Na ostatnie namaszczenie czekali w szpitalu dwaj ranni: pewien stary major i pewien prokurent banku, oficer rezerwy. Obaj byli zranieni w brzuch podczas walk w Karpatach i leżeli koło siebie. Oficer rezerwy uważał za swoją powinność przyjąć ostatnie sakramenty dlatego głównie, że i jego przełożony zażądał ostatniego namaszczenia. Przeciwnie postępowanie uważałby sam za naruszenie subordynacji. Pobożny major miał nadzieję, że może poprawi mu się po tym zdrowie. Ale w nocy obaj zmarli i gdy nazajutrz feldkurat ze Szwejkiem przybyli do szpitala, nieboszczycy leżeli przykryci prześcieradłami, z twarzami szerniałymi, jak wszyscy ci, co umierają skutkiem uduszenia.

— Taki szacunek wzbudzaliśmy po drodze, panie kapelanie, a oni nam wszystko populi — dąsał się Szwejk, gdy w kancelarii powiedziano im, że ranni oficerowie już ich nie potrzebują.

Szwejk miał rację — istotnie wzbudzali po drodze powszechny szacunek. Jechali dorożką, Szwejk dzwonił, a feldkurat trzymał w ręku zawiniętą w serwetkę buteleczkę z olejem, którą błogosławił z niezwykłą powagą przechodniów zdejmujących przed nim czapki.

Za dorożką biegło kilka niewinnych pacholąt; jedno z nich przysiadło się na resorach, a inne wrzeszczały unisono:

— Batem go, batem!

Szwejk dzwonił, dorożkarz chlastał biczem do tyłu. Na ulicy Vodickowej jakaś dorozczyni domu, członkini kongregacji mariańskiej, klusem dogoniła dorożkę i kazała się pobłogosławić. Przeżegnała się, splunęła i powiedziała:

— Jadą z tym Panem Bogiem jak wszyscy diabli. Można dostać suchot — i zadyszana zawróciła do domu.

Najbardziej irytował dzwonek szkapinę dorożkarską, której musiał widać coś przypominać, bo stale oglądała się za siebie i próbowała zatańczyć na jezdni.

Na tym więc polegał ów wielki szacunek, o którym mówił Szwejk.

Tymczasem kapelan poszedł do kancelarii, aby wystawić rachunek za ostatnie namaszczenie. Sierżantowi rachuby wyliczył dokładnie, że władze wojskowe winny mu sto i pięćdziesiąt koron za oleje święte i za przejazd.

Potem powstał spór między komendantem szpitala a feldkuratem, przy czym ten ostatni uderzył kilka razy pięścią w stół i zawołał:

— Niech pan nie myśli, panie kapitanie, że ostatnie namaszczenie może być za darmo. Gdy oficer dragonów zostaje odkomenderowany do stadniny, żeby kupić konie, to też dostaje diety. Jest mi bardzo przykro, że ci dwaj chorzy nie doczekali się ostatniego namaszczenia. Kosztowałyby to pięćdziesiąt koron drożej.

Szwejk czekał tymczasem na dole na odwachu, trzymając buteleczkę z olejem, która wśród żołnierzy budziła duże zainteresowanie.

Ktoś mówił, że tym olejem można by doskonale czyścić karabiny i bagnety.

Jakiś zacny żołnierz pochodzący z wyżyny czeskomorawskiej, który wierzył jeszcze w Boga, prosił, aby o rzeczach świętych odzywano się delikatnie, aby nie debatowano nad świętymi sakramentami.

— Cała nadzieja w Bogu — mówił.

Stary rezerwista spojrział na żółtodzioba i rzekł:

— Ładna nadzieja, że szrapnel urwie ci głowę. Wodzą nas za nos. Pewnego razu przyjechał do nas jakiś poseł klerykalny i gadał o pokoju bożym, który unosi się nad ziemią; dowodził, że Bóg nie chce wojny i że trzeba, abyśmy żyli w pokoju i kochali się jak bracia. A teraz patrzcie. Jak tylko wybuchła wojna, we wszystkich kościołach modlą się o zwycięstwo, a o Bogu mówi się jak o jakim szefie sztabu generalnego, który wojną kieruje. Z tego szpitala wojskowego wywieźli co niemiara nieboszczyków i pełne wozy urzędników rąk i nóg.

— A żołnierzy chowają bez ubrania — rzekł inny żołnierz — bo w mundury nieboszczyków ubierają ludzi żywych, i tak w kółko.

— Dopóki nie zwyciężymy — zauważył Szwejk.

— Takiej fujarzy zachciewa się zwycięstwa — odezwał się z kąta kapral. — Na front was zapędzić, do okopów, i pognać was na bagnety, na druty kolczaste, na miny i wilcze doły, i o nic nie pytać. Wylegiwać się na tyłach to każdy potrafi, ale zginąć nie chce się nikomu.

— Ja też myślę, że musi to być bardzo pięknie dać się przebić bagnetem — rzekł Szwejk. — Kula w brzuchu też niebrzydka rzecz, ale jeszcze ładniejsza sprawa, gdy człeka przetrąci granat; człek dziwuje się wtedy, że nogi i brzuch oddaliły się poniekąd od niego i wydaje mu się to tak zabawne, że już z tego samego umiera, i to dużo wcześniej, nim mu to ktoś zdoła wytłumaczyć.

Młodziutki żołnierz westchnął serdecznie. Sam żałował swego młodego życia; żałował, że urodził się w takim głupim stuleciu — chyba po to, żeby zostać zarżniętym jak wół w jatce. I na co to wszystko?

Pewien żołnierz, nauczyciel z zawodu, rzekł, jakby czytał w jego myślach:

— Niektórzy uczeni objaśniają wojnę pojawieniem się plam na słońcu. Jak tylko pokaże się taka plama, dzieje się zawsze coś okropnego. Zdobycie Kartaginy...

— Zostaw pan sobie swoją uczoność — przerwał mu kapral — i idź pan zamieść izbę, bo dzisiaj kolej na pana. A nam diabli do jakichś tam bałwańskich plam na słońcu. Choćby ich tam było te dwadzieścia, to i tak za nie nic nie dostanę.

— Ale te plamy na słońcu mają jednak wielkie znaczenie — wtrącił się do rozmowy Szwejk. — Razu jednego pokazała się taka jedna plama i jeszcze tego samego dnia zostałem obity „U Banzetów” w Nuslach. Od tego czasu, gdy się gdzie wybierałem, zawsze zaglądałem do gazet, czy nie pokazała się jaka plama. A jeśli się pokazała, to adiu Fruziu, nigdzie nie chodź i przesiedziałem plamę w domu. Jak wtedy wulkan Mont-Pelle zgładził całą wyspę Martynikę, to jeden profesor pisał w gazecie „Narodni Politika”, że już od dawna ostrzegał swoich czytelników przed wielką plamą na słońcu. A ta „Narodni Politika” nie trafiła na wyspę i biedni ludzie grubo przez to ucierpieli.

Tymczasem kapelan spotkał się na górze w kancelarii szpitala z jedną damą ze Stowarzyszenia Szlachcianek Religijnego Wychowania Żołnierzy, ze starą, wstrętną megierą, już od samego rana chodzącą po szpitalu i wszędzie rozdającą obrazki świętych, które ranni i chorzy żołnierze wyrzucali do słuwnaczek.

Łącząc tak po szpitalu denerwowała wszystkich swoim głupim gadulstwem i napominaniem, żeby szczerze żalowali za grzechy i prawdziwie się poprawili, iżby po śmierci Bóg Niebieski dał im wiekuiste zbawienie.

Była blada, gdy rozmawiała z feldkuratem, i wdychała, jaka ta wojna straszna, bo zamiast uszlachetniać ludzi, robi z nich zwierzęta. Na przykład na dole ranni żołnierze wywalali na nią języki i powiedzieli jej, że jest pokraką i kozą niebiańską.

— *Das ist wirklich schrecklich, Herr Feldkurat, das Volk ist verdorben.*

I rozgadała się o tym, jak sobie wyobraża religijne wychowanie żołnierza. Albowiem tylko wtedy walczy żołnierz dzielnie za swego najjaśniejszego pana, gdy wierzy w Boga i ma uczucia religijne, bo nie boi się śmierci, wiedząc, iż czeka na niego raj.

Gadatliwa megiera wygłosiła jeszcze kilka podobnych komunałów, a widać po niej było, że jest zdecydowana nie wypuścić kapelana ze swoich pazurów; on jednak odczepił się bardzo nieelegancko.

— Jedziemy do domu, Szwejku! — zawołał zwracając się w stronę odwachu.

W drodze powrotnej nie zwracali już na siebie niczyjej uwagi.

— Niech na przyszłość posyłają do szpitala, kogo chcą — rzekł kapelan. — Do czego to podobne, ażeby człowiek targował się z nimi o pieniądze za każdą duszę, którą chce zbawić. Same buchaltery i rachmistrze! Hołota!

Widząc w rękę Szwejka buteleczkę z „poświęcanym” olejem, nachmurzył się i powiedział:

— Najlepiej zrobimy, Szwejku, jeśli tym olejem nasmarujecie mnie i sobie buty.

— Spróbuję także naoliwić zamek — dodał Szwejk. — Ogromnie skrzypi, gdy ksiądz kapelan wraca nocą do domu.

Tak skończyło się ostatnie namaszczenie, do którego w ogóle nie doszło.

XIV. SZWEJK ZOSTAJE PUCYBUTEM PORUCZNIKA LUKASZA

I

Szczęście Szwejka było nietrwałe. Nieubłagany los przerwał przyjaźń, jaka istniała między nim a feldkuratem. Aczkolwiek kapelan przedstawiał się dotychczas jako postać na ogół sympatyczna, to jednak po tym, czego dopuścił się obecnie, tracimy dla niego wszelką sympatię.

Feldkurat sprzedał Szwejka porucznikowi Lukaszowi, a raczej przegrał go w karty. Tak samo dawnymi czasy sprzedawano w Rosji chłopów pańszczyźnianych. Rzecz stała się zgoła nieoczekiwane. U porucznika Lukasa zebrano się doborowe towarzystwo i grało w oko.

Kapelan przegrał wszystko, co miał, i wreszcie rzekł:

— Ile pożyczycie mi na mego pucybuta? Ogromny idiota, ale interesująca postać. Coś *non plus ultra*. Jeszcze nikt i nigdy nie miał takiego służącego.

— Pożyczę ci sto koron — zaproponował porucznik Lukasz. — Jeśli nie oddasz do trzeciego dnia, to mi ten rarytas przyslesz. Mój pucybut to wstrętny człowiek. Ciągłe wdycha, pisze listy do domu i kradnie, co mu w rękę wpadnie. Biłem go nawet; na nic się nie zdało. Wybiłem mu parę przednich zębów, ale chłop się nie poprawił.

— Zgoda — rzekł lekkomyślny feldkurat. — Pojutrze sto koron albo Szwejk.

Przegrał i tych sto koron i smutny wracał do domu. Wiedział z całą pewnością i nie oddawał się żadnym złudzeniom, że do pojutrze nie zdobędzie tych stu koron i że właściwie sprzedał Szwejka nikczemnie i podle.

„Powiniem był zażądać dwieście koron” — gniewał się na siebie, a przesiadając się z jednego tramwaju do drugiego, aby za chwilę dotrzeć do domu, stał się nagle tkliwy i sentymentalny.

„Nieładnie to z mojej strony — pomyślał dzwoniąc do drzwi swego mieszkania. — Jak ja teraz spojrzę w jego idiotyczne, pocziwe oczy”.

— Kochany Szwejku — rzekł znalazłszy się w domu. — Stała się rzecz niezwykła. Prześladował mnie pech w kartach. Zaryzykowałem, bo miałem pod ręką asa, a potem dostałem dziesiątkę, a bankier, chociaż miał waleta, dociągnął także do dwudziestu jeden. Ryzykowałem parę razy na asa albo na dziesiątkę i zawsze miałem tyle, co i bankier. Przegrałem wszystkie pieniądze.

Chwilę milczał.

— W końcu przegrałem i was. Zastawiłem was za sto koron i jeśli nie oddam ich pojutrze, to już nie będziecie mój, ale pana porucznika Lukasa. Bardzo mi przykro. Naprawdę.

— Sto koron jeszcze mam — rzekł Szwejk — mogę panu feldkuratowi pożyczyć.

— Dawajcie! — ożywił się feldkurat. — Natychmiast zaniosę je Lukaszowi. Prawdę mówię, że nie chciałbym się z wami rozstać.

Lukasz był bardzo zdziwiony, gdy znowu zobaczył kapelana.

— Idę ci oddać dług — rzekł kapelan rozglądając się zwycięsko dokoła. — Dajcie i mnie kartę.

— *Va banque* — zawołał, gdy kolej przysłała na niego. — O jedno oczko przewóz. Przegrałem.

Jeszcze raz *va banque* na ciemno — odezwał się przy drugiej kolejce.

— Dwadzieścia bierze — wołał bankier.

— Mam akurat dziewiętnaście — cicho bąknął kapelan składając na stole ostatnie czterdzieści koron z setki, którą pożyczył mu Szwejk, aby się wykupić z niewoli.

Wracając do domu wiedział feldkurat z całą pewnością, że to już koniec, że Szwejka nic już ocalić nie może i że sązione mu służyć u porucznika Lukasa. Gdy Szwejk otworzył drzwi, kapelan rzekł:

— Wszystko na próżno, Szwejku. Trudno walczyć z przeznaczeniem. Przegrałem was i te wasze sto koron. Robiłem wszystko, co było w mojej mocy, ale los jest mocniejszy ode mnie. Rzucił was w szpony porucznika Lukasa; nastanie czas, że będziemy musieli rozstać się.

— A dużo było w banku? — zapytał Szwejk spokojnie. — Czy puszczał się pan feldkurat na ciemno? Gdy karta nie idzie, nic się nie da zrobić, ale czasem bywa też niedobrze, gdy się karta pcha bezwstydnie. Na Zderazie mieszkał niejaki Vejvoda, blacharz, który grywał w mariasza w pewnym szynku za „Stuletnią Kawiarnią”. Raz go diabeł skusił i mój blacharz powiada: „Zagrajmy sobie w oczko o piątaka”. Grali więc taniutko, a on miał bank. Wszyscy się przyłączyli i bank urósł do dziesięciu koron. Stary Vejvoda chciał, żeby i inni grali, więc robił, co mógł, żeby przegrać, ale mu się to nie udawało, a w banku była już setka. Spośród graczy nikt nie miał tyle pieniędzy przy sobie, żeby móc zagrać *va banque*, a na Vejvodę były już siódme poty. Było tak cicho, że słyhać było tylko szeslest kart i głos Vejvody, który od czasu do czasu przywoływał małą kiepską blotkę, żeby przegrać. Stawiali po pięć koron i wpadali jeden po drugim. Jeden majster kominiarski rozłożył się, poszedł do domu po pieniądze i zagrał *va banque*, gdy w banku było już półtorej setki. Vejvoda chciał się tego pozbyć i jak potem mówił, chciał ciągnąć choćby do trzydziestu, żeby mieć przewóz, ale dostał dwa asy. Udawał, że nic nie ma, i rozmyślnie wołał: „Szesnaście bierze”. A ten majster kominiarski miał wszystkiego piętnaście. Czy to nie pech? Stary Vejvoda był błądy i zgnębiony, bo dokoła już sobie szeptali i urągali, że robi machlojki, ktoś nawet powiedział, że już go raz zbili za oszustwa w grze, chociaż był to najzaczniejszy gracz. Dokładali więc dalej, aż było w banku pięćset koron. Szynkarz nie wytrzymał. Miał akurat przyszykowane pieniądze dla browaru za piwo, wziął je do ręki, przysiadł się, postawił dwa razy po dwie setki, a potem zamknął oczy, zakręcił krzesłem na szczęście i oświadczył, że bije wszystko *va banque*.

„Ale, powiada, gramy w otwarte karty”. Stary Vejvoda byłby nie wiem co dał za to, żeby przegrać. Wszyscy się dziwili, gdy wyrzucił kartę i pokazała się siódemka, a on ją zatrzymał. Szynkarz śmiał się pod wąsem, bo miał dwadzieścia jeden. Vejvoda dostał drugą siódemkę, zatrzymał ją, a szynkarz powiada na to złośliwie: „Teraz będzie as albo dziesiątka. Głowę daję, panie Vejvodo, że będzie przewóz”. Zapanowała wielka cisza. Vejvoda wyrzuca trzecią kartę: siódemka. Szynkarz zrobił się błądy jak kreda, bo to były jego ostatnie pieniądze, poszedł do kuchni, a po chwili przyleciał chłopak, który w gospodzie terminował, i woła, żebyśmy poszli pana gospodarza oderżnąć, bo się powiesił na

okiennym haku. Oderżnęliśmy go, ocucili i grało się dalej. Nikt już nie miał pieniędzy, bo wszystko było w banku Vejdody, który wołał stale o jakąś małą kiepską blotkę, żeby przegrać, ale w żaden sposób nie mógł zrobić machlojki, bo grał w otwarte karty. Wszyscy zgłupieli wobec takiego wielkiego szczęścia, a ponieważ nie mieli pieniędzy, więc dawali rewersy. Po paru godzinach przed starym Vejdodą leżały tysiące, setki tysięcy, miliony. Majster kominiarski był już bankowi winien przeszło półtora miliona, węglarz ze Zderaza około miliona, stróż ze „Stuletniej Kawiarni” osiemset tysięcy, jeden medyk ponad dwa miliony. A w miseczce z pieniędzmi dla szynkarza leżało już samych rewersów na trzysta tysięcy. Jednym słowem, ogromne pieniądze. Stary Vejdoda próbował i tak, i siak. Ciągłe wychodził niby za potrzebą i za każdym razem oddawał bank komu innemu, żeby grał za niego, a gdy wracał, mówili mu, że wygrał, że miał oko. Posłali po nowe karty, ale i to się na nic nie zdało. Gdy Vejdoda stanął na piętnastu, to partner miał wtedy pewno czternaście. Wszyscy spoglądali na starego blacharza z wielką wściekłością, a najgłośniej urągał pewien brukarz, który miał w banku jakichś marnych osiem koron. Oświadczył otwarcie, że tacy ludzie jak Vejdoda nie powinni chodzić po świecie, że należałoby go skopać, wyrzucić za drzwi i utopić jak szczenię. Rozpacz starego Vejdody trudno sobie wyobrazić. Wreszcie wpadł na dobry koncept. „Ja muszę wyjść, powiada do kominiarza, niech pan gra za mnie, panie majstrze”. Wyleciał bez kapelusza prosto w ulicę Myslika po policję. Spotkał patrol i powiedział, że w tej gospodzie grają na pieniądze. Policjanci kazali mu iść naprzód i powiedzieli, że zaraz przyjdą za nim. Wrócił więc między graczy i dowiedział się, że tymczasem medyk przegrał przeszło dwa miliony, a stróż przeszło trzy. A w miseczce z pieniędzmi dla szynkarza przybyło rewersów na pół miliona. Po chwili do szynku weszli policjanci. Brukarz krzyknął: „Uciekajcie, sąsiedzi!” Ale nie zdało się to na nic. Bank został skonfiskowany, wszystkich zabrano do komisariatu. Ponieważ węglarz ze Zderaza sprzeciwił się, więc zawieźli go w plecionce. W banku rewersów na przeszło pół miliarda, a w gotówce tysiąc pięćset.

„Takiego hazardu jeszcze, jak żyję, nie widziałem — rzekł inspektor policji widząc rewersy na takie zawrotne sumy. — Przecież to gorsze od Monte Carlo”.

W areszcie zostali do rana wszyscy z wyjątkiem Vejdody, który za doniesienie został uwolniony i miał przyrzeczoną trzecią część skonfiskowanego banku, czyli przeszło sto sześćdziesiąt milionów, ale biedak w nocy zwariował i od samego rana chodził po Pradze i na tuziny zamawiał kasy ogniotrwałe. To się nazywa szczęście w kartach.

Potem zabrał się Szwejk do gotowania grogu; skończyło się na tym, że kapelan, którego z trudem udało się Szwejkowi zaciągnąć późną nocą do łóżka, rozplakał się rzewnymi łzami i lkał:

— Sprzedałem cię, kolego, haniebnie cię sprzedałem. Przeklinaj mnie, bij, nic nie powiem. Rzuciłem cię na pastwę losu. W oczy ci spojrzeć nie mogę. Drap mnie, gryz, zgładź! Nie zasługuję na nic lepszego. Wiesz, co ja jestem?

I zanurzając zapłakaną twarz w poduszkę, rzekł cichym, delikatnym, miękkim głosem:

— Jestem łotr bez charakteru.

I zaraz zasnął snem sprawiedliwego.

Nazajutrz kapelan unikał spojrzenia Szwejka, wyszedł z domu bardzo wcześnie i porwócił dopiero w nocy z jakimś grubym piechurem.

— Pokażcie mu, Szwejk — mówił unikając jego spojrzenia — gdzie co leży, i powiedzcie mu, jak się gotuje grog. Rano zameldujecie się u porucznika Lukasa.

Szwejk i nowy sługa kapelana spędzili noc bardzo przyjemnie na gotowaniu grogu. Nad ranem gruby piechur ledwo trzymał się na nogach i nucił sobie pod nosem dziwną mieszaninę różnych piosenek ludowych: „Czemuś oczki zapłakała, szynkareczko, szafareczko, cztery lata pije Kuba, hej, gwiazdeczko, coś błyszczała, stoi ułan na pikiecie, uciekla mi przepióreczka...”

— Będzie ci, bratku, dobrze na świecie — rzekł Szwejk do niego. — Przy takich zdolnościach utrzymasz się u feldkurata długo.

Takim sposobem stało się, że tegoż samego przedpołudnia porucznik Lukasz po raz pierwszy ujrzał poczciwą i szczerą twarz dobrego wojaka Szwejka, który mu się meldował:

— Posłusznie melduję panie oberlejtant, że jestem ten Szwejk, co go pan feldkurat przegrał w karty.

Instytucja oficerskich służących jest stara jak świat. Zdaje się, że już Aleksander Macedoński miał swego pucybuta, ale pewne jest tylko to, że w czasach feudalnych zadanie to spełniali giermkowie rycerzy. Czym był Sancho Pansa dla don Kichota? Dziwię się, że nikt dotąd nie napisał historii oficerskich służących. W historii takiej znaleźlibyśmy wieść o tym, że książę de Almavira podczas oblężenia miasta Toledo spożył swego służącego bez soli, o czym sam pisze w swoim pamiętniku. Opowiada w nim, że sługa jego miał mięso delikatne, miękkie, smakiem przypominające coś pośredniego między mięsem kurczęcia a mięsem oślim.

W starej kronice szwabskiej o sztuce wojennej znajdujemy także wskazania dla sług wojskowych. Pucybut dawnych czasów powinien być pobożnością, cnotliwością, prawdomównością, musiał być skromny, odważny, mężny, uczciwy, pracowity. Słowem — miał to być wzór człowieka. Czasy nasze zmieniły się pod tym względem bardzo. Współczesny totumfacki zazwyczaj nie bywa ani pobożny, ani cnotliwy, ani prawdomówny. Łże, oszukuje, jak się da, i często gęsto życie swego pana przemienia w prawdziwe piekło. Jest to przebiegły niewolnik, który wymyśla najróżniejsze podstępne kawały, aby zatruć życie swego pana.

W nowym pokoleniu pucybutów nie ma już takich ofiarnych istot, które pozwoliłyby swemu panu zjeść się bez soli, jak szlachetny Fernando księcia de Almavira. Z drugiej strony widzimy, że dowódcy, walcząc na śmierć i życie ze swoimi współczesnymi służącymi, stosują najróżniejsze środki dla utrzymania swego autorytetu. Niekiedy bywa to rodzaj terroru. W 1912 roku odbywał się w Gratzu proces sądowy, w którym rolę główną odegrał pewien kapitan: skopał na śmierć swego pucybuta. Został niewinniony, ponieważ uczynił to dopiero po raz drugi. W mniemaniu tych panów życie pucybuta nie przedstawia żadnej wartości. Uważają go za jakąś rzecz; pucybut to w wielu wypadkach pajac od brania w pysk, niewolnik, sługa do wszystkiego. Oczywiście, nic dziwnego, że taka sytuacja zmusza niewolnika, aby był przebiegły i podstępny. Sytuację jego na naszej planecie przyrównać można jedynie do cierpienia pikolaków dawnych czasów, którym pięścią i udawkami wpajano uczciwość.

Zdarza się wszakże, że pucybut awansuje na faworyta, a wówczas staje się postrachem całej kompanii czy batalionu. Cała podoficerska starszyzna stara się go przekupić. On decyduje o urlopie, on może się wstawić, za kim chce, żeby przy raporcie wszystko dobrze wypadło.

Tacy faworyci bywali podczas wojny nagradzani wielkimi i małymi medalami srebrnymi za odwagę i męstwo.

W 91 pułku znałem takich kilku. Jeden pucybut dostał wielki srebrny medal za to, że umiał bajecznie piec gęsi, które kradł. Drugi dostał mały srebrny medal za to, że z domu otrzymywał wspaniałe paczki żywnościowe, dzięki którym jego pan w czasach powszechnego głodu wojennego tak się przeżył, iż nie mógł lazić.

Wniosek o odznaczenie tego człowieka medalem motywował jego pan następująco:

— Za to, że w walkach okazywał niezwykłą odwagę i męstwo, że gardził życiem i nie opuszczał swego oficera na krok pod silnym ogniem nieprzyjacielskim.

A on tymczasem gdzieś na tyłach plądrował kurniki. Wojna zmieniła stosunek pucybuta do pana i uczyniła z niego istotę najbardziej zniechęconą przez wszystkich szeregowców. Pucybut zawsze dostawał całą puszkę konserw, nawet wtedy, gdy jedna puszka wydawana była na pięciu szeregowców. Jego manierka zawsze napelniona była rumem albo koniakiem. Przez cały dzień taki pokraka żuł czekoladę i objadał się słodkimi sucharami oficerskimi, palił papierosy swego pana, kuchcił, gotował całymi godzinami i nosił odświętną bluzę.

Służący oficera był z ordynansem kompanijnym na stopie najbardziej poufałej i obdarzał go obficie odpadkami swego stołu i wszystkich tych przywilejów, z jakich korzystał. Do triumwiratu przybierał sobie nadto sierżanta rachuby. Cała ta trójka, mająca bezpośrednie stosunki z oficerem, znała wszystkie operacje i plany wojenne.

Kiedy się coś zacznie, wiedział zawsze najlepiej ten pluton, którego kapral przyjaźnił się ze służącym oficera.

Gdy taki powiedział: „o drugiej trzydziści pięć dajemy dęba”, to ściśle o drugiej trzydziści pięć żołnierze austriaccy zrywali kontakt z nieprzyjacielem.

Służący oficera utrzymywał najpoufalsze stosunki z kuchnią polową, lubił się kręcić koło kotła i rozkazywał tak, jakby siedział w restauracji i odczytywał jadłospis:

— Ja chcę żebro — mówił do kucharza — wczoraj dałeś mi ogon. Dodaj mi też kawałek wątroby do zupy; wiesz przecie, że śledziony nie lubię.

Ale najwspanialej umiał pucybut robić panikę. Podczas ostrzeliwania okopów dusza uciekała mu w pięty. W takich chwilach siedział z tobołami swego pana i swoimi w najbezpieczniejszym schronie i nakrywał głowę kołdrą, aby granat go nie trafił. Nie pragnął niczego innego, jak tylko tego, aby jego pan został ranny i aby razem z nim można było dostać się daleko na tyły.

Panikę podtrzymywał systematycznie, stwarzając nastrój tajemniczości.

— Zdaje mi się, że składają telefon — rozpowiadał sekretnie po plutonach. Był szczęśliwy nad wyraz, gdy mógł rzec: — Już go złożyli.

Nikt tak bardzo nie lubił odwrotów jak on. W takich chwilach zapominał, że nad głową świszcza mu granaty i szrapnele, ale z uporem i niestrudzenie przebijał się, objuczony tobołami, ku sztabowi, gdzie stały tabory. Cenił austriackie tabory i bardzo lubił jeździć wozem. W najgorszym razie korzystał z sanitarnych dwukółek. Gdy musiał iść pieszo, robił wrażenie najbardziej zgnębnego człowieka. W takich razach pozostawiał toboły swego pana w okopach i zabierał jedynie swoje mienie.

Jeśli się złożyło tak, że oficer uniknął niewoli, a pucybut dostał się do niej, to nie zdarzyło się ani razu, aby zapomniał zabrać z sobą do niewoli także i tobołów swego pana. Stawały się one po prostu jego własnością, do której przywiązywał się całym sercem.

Widziałem pewnego sługę oficera, który od samego Dubna szedł piechotą razem z innymi aż do Darnicy za Kijowem. Oprócz swego tobołka i tobołu swego oficera, który uniknął niewoli, miał ze sobą pięć walizek różnej wielkości, dwie kołdry i poduszkę, nie mówiąc o bagażyku, który niósł na głowie. Skarżył się, że Kozacy skradli mu dwie walizki.

Nigdy nie zapomnę tego człowieka, który włókł te toboły przez całą Ukrainę. Był to żywy wóz spedytora i nie mogę sobie wyobrazić, w jaki sposób mógł to wszystko dźwigać i wlec na przestrzeni setek kilometrów, a potem jechać z tym aż do Taszkientu, pilnować i strzec wszystkiego, aby wreszcie umrzeć na swoich tobołach w obozie jeńców na tyfus plamisty.

Obecnie dawni służący oficerów rozproszeni są po całej republice i opowiadają o swoich czynach bohaterskich. Oni szturmowali Sokal, Dubno, Nisz, Piawę. Każdy z nich był Napoleonem:

— Powiedziałem swemu pułkownikowi, żeby telefonował do sztabu, że już można zaczynać.

Przeważnie byli to reakcyjniści, a szeregowcy nienawidzili ich. Niektórzy byli donosicielami i doznawali osobliwej przyjemności, widząc, że kogoś przywiązują do słupka.

Była to osobliwa kasta. Ich egoizm nie znał granic.

3

Porucznik Lukasz był typowym oficerem służby czynnej w armii steranej monarchii austriackiej. W szkole wojskowej wyuczył się obłudy: w towarzystwie mówił po niemiecku i pisał po niemiecku, ale czytywał czeskie książki, a gdy nauczał w szkole jednorocznych ochotników, samych Czechów, mawiał do nich w zaufaniu:

— Bądźmy Czechami, ale nie afiszujmy się. Ja też jestem Czech.

Czeskość uważał za jakąś tajną organizację, od której lepiej trzymać się z dala.

Poza tym był to człowiek dobry, nie bał się przełożonych, a podczas manewrów dbał o swój oddział, jak się należy, zawsze znajdował dla niego wygodne noclegi po stodołach, a często gęsto ze swej skromnej gaży kazał wytoczyć żołnierzom beczkę piwa.

Lubił, gdy żołnierze śpiewali podczas marszu. Kazał im śpiewać, gdy szli na ćwiczenia i gdy wracali z ćwiczeń. Sam zaś, krocząc obok swego oddziału, śpiewał razem z żołnierzami:

A jak było po północy,
Owies z worka wyskoczył —
Zumtarija bum!

Żołnierze lubili go, ponieważ był niezwykle sprawiedliwy i nikogo nie szykanował.

Subalterni bali się go jak ognia, bo z najbrutalniejszego kaprała w ciągu miesiąca potrafił zrobić istnego baranka.

Umiał, rzecz prosta, krzyżeć, ale nigdy nie wyzywał żołnierzy. Używał wybranych słów i stylizowanych zdań.

— Widzicie — mawiał — że ja naprawdę nie lubię karać żołnierzy, ale, mój chłopcze, nie ma rady, bo na dyscyplinie opiera się zdatność wojska, a bez dyscypliny armia byłaby trzcina chwiejącą się na wietrze. Jeśli munduru nie macie w porządku, a guziki są źle przyszyte albo ich brak, to widać, że zapominacie o swoich obowiązkach względem armii. Być może, iż wydaje się wam to niepojęte, że zostaniecie wsadzony do paki za to, że wczoraj przy przeglądzie brakło wam jednego guzika przy bluzie. Taka to malutka, marna rzecz, na jaką cywil nawet uwagi nie zwraca. Ale w wojsku takie przeoczenie musi być karane. A dlaczego? Nie o to chodzi, że brak wam jednego guzika, ale o to, że musicie przyzwyczajając się do porządku. Dzisiaj nie przyszyjecie sobie guzika i zaczynacie sobie folgować, a jutro wyda się już wam, że szkoda fatygi na rozbieranie i czyszczenie karabinu, pojutrze zapomnicie gdzieś w szynku bagnetu i wreszcie zaśniec na warcie, a to wszystko dlatego, że od tego nieszczęsnego guzika zaczęliście życie łajdackie. Tak to, kochany chłopcze. Karzę was dlatego, aby was ustrzec od rzeczy gorszych, jakich moglibyście się dopuścić, zapominając powoli, ale stale o swoich obowiązkach. Skazuję was na pięć dni i życzę sobie, abyście o chlebie i wodzie pomyśleli o tym, że kara nie jest zemstą, ale wyłącznie środkiem wychowawczym, mającym na celu poprawę karanego żołnierza.

Już dawno powinien był zostać kapitanem, ale ponieważ z przełożonymi był otwarty i szczerzy, nie uznając w stosunkach służbowych żadnego lizusostwa, więc nie zdała mu się na nic jego ostrożność w sprawach narodowościowych.

Tyle pozostało mu z charakteru południowoczeskiego chłopca. Urodził się bowiem na wsi, na południu, wśród czarnych borów i stawów.

Chociaż dla żołnierzy był bardzo sprawiedliwy i nie dręczył ich, to jednak miał pewien osobliwy rys charakteru. Nienawidził swoich służących, ponieważ zawsze się tak składało, że dostawał najniegodziwszego z pucybutów.

Prał ich po twarzy i po głowie i starał się ich wychować słowem i czynem, chociaż nie uważał ich za żołnierzy. Walczył z nimi beznadziejnie przez szereg lat, zmieniał ich bardzo często, ale w końcu zawsze machał ręką i wzdychał: „Znowu dostałem podłe bydło”. Służących swoich uważał za niższy gatunek istot żywych.

Bardzo lubił zwierzęta. Miał herceńskiego kanarka, angorskiego kota i pinczera. Wszyscy służący Lukasa — których tak często zmieniał — obchodzili się z tymi zwierzętami nie gorzej, niż ich pan obchodził się z nimi, gdy dopuścili się względem niego jakiejś podłości.

Kanarka morzyli głodem, angorze jeden ze służących wybił oko, pinczera bił każdy z nich, ile weszło, aż w końcu jeden z poprzedników Szwejka zaprowadził biedaka na Pankrac do hycła i kazał go zabić, nie żałując na to dziesięciu koron z własnej kieszeni. Porucznikowi zameldował potem po prostu, że pies mu się wyrwał i uciekł podczas spaceru. Ale już nazajutrz pucybut ten pomaszerował z oddziałem na poligon.

Gdy Szwejk przyszedł do porucznika zameldować się jako jego nowy służący, Lukasz zaprowadził go do pokoju i rzekł:

— Poleciał mi was feldkurat Katz, więc życzę sobie, żebyście się okazali godni tego polecenia. Miałem już tuzin służących, ale żaden u mnie miejsca nie zagrzał. Zwracam wam uwagę na to, że jestem bardzo surowy i że ostro karzę każdą podłość i każde kłamstwo. Życzę sobie, abyście mówili zawsze prawdę i bez szemrania wykonywali wszystkie moje rozkazy. Gdy rozkaże: „Skaczcie w ogień!”, to musicie skoczyć w ogień, choćby się wam nie chciało. Gdzież się gapiacie?

Szwejk z zainteresowaniem spoglądał na ścianę, na której wisiała klatka z kanarkiem, a zapytany, gdzie się gapi, zwrócił swoje poczciwe oczy na porucznika i odpowiedział miłym, uprzejmym tonem:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że tam jest harceński kanarek.

Przerwany został w ten sposób potok wymowy oficerskiej, Szwejk stał na baczność i bez mrugnienia spoglądał w oczy swego pana.

Lukasz chciał powiedzieć coś ostrego, ale rozbroił go niewinny wyraz twarzy Szwejka. Rzekł więc tylko:

— Pan feldkurat polecił mi was jako wielkiego głuptaka i zdaje się, że miał rację.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że pan feldkurat naprawdę miał rację. Kiedym służył w wojsku, to zostałem zwolniony przez idiotyzm, i jeszcze do tego notoryczny. Z tego powodu zwolnili wtedy z pułku dwóch: mnie i jeszcze jednego, pana kapitana von Kaunitza. Ten pan kapitan, z przeproszeniem pana porucznika, gdy szedł ulicą, to jednocześnie palcem lewej ręki dłubał w lewej dziurce nosa, a palcem drugiej ręki dłubał w drugiej dziurce. A jak nas wyprowadzał na ćwiczenia, to nas ustawiał tak, jak się ustawia żołnierzy do defilady, i mówił: „Żołnierze, eh, pamiętajcie dobrze, eh, że dzisiaj środa, eh, ponieważ jutro będzie czwartek, eh”.

Porucznik Lukasz wzruszył ramionami jak człowiek, który nie wie, co rzec, i nie znajduje na poczekaniu słów dla wyrażenia pewnej myśli.

Przeszedł się od drzwi ku przeciwnemu oknu i z powrotem, przy czym Szwejk sumiennie śledził jego kroki i tak dokumentnie podrzucał głową „w prawo patrz” i „w lewo patrz”, że porucznik spuścił oczy i spoglądając na dywan powiedział coś, co nie pozostawało w żadnym związku z uwagami Szwejka o głupawym kapitanie.

— Tak jest, u mnie musi być porządek, czystość, nie wolno mnie oszukiwać. Lubię uczciwość. Nienawidzę kłamstwa i karzę je bez miłosierdzia. Czy dobrze rozumiecie?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że rozumiem. Nie ma nic gorszego od kłamiącego człowieka. Jak tylko zacznie się plątać, to zgubiony. W jednej wsi za Pelhrzimmovem był nauczyciel, niejaki Marek, i zalecał się do córki gajowego Szpery, a ten gajowy kazał mu powiedzieć, że jeśli będzie się widywał w lesie z dziewczyną, to jak go napotka, to mu z fuzji wlepi w zadek szczeciny z solą. Nauczyciel kazał mu odpowiedzieć, że to nieprawda, ale razu pewnego, kiedy właśnie miał się zobaczyć z córką gajowego, spotkał go ów gajowy i już chciał mu zrobić tę operację, ale nauczyciel tłumaczył się, że zbiera jakieś kwiatuszki, potem, mówił znowuż na odmiannę, że łapie jakieś robaczki, i plątał się coraz bardziej, aż wreszcie z samego strachu zaprzysiął się, że zastawiał sidła na zające. Więc mój gajowy złapał go za kołnierz i zaprowadził prosto z lasu na posterunek żandarmerii. Rzecz poszła do sądu i nauczyciel o mały figiel byłby się dostał do kozy. Gdyby powiedział szczerą prawdę, to najwyżej byłby miał w zadku te szczeciny z solą. Ja jestem tego zdania, że najlepiej zawsze przyznać się, być szczerym, a jeśli się już i coś splątało, to iść i powiedzieć: „Posłusznie melduję, że popełniłem to a to”. Co zaś do uczciwości, to jest to rzecz bardzo piękna, ponieważ człowiek zajdzie z nią zawsze najdalej. Jak na przykład przy zawodach szybkiego chodu. Jak tylko zacznie taki cyganić i podskakiwać, zaraz go zdystansują. Zdarzyła się taka rzecz mojemu bratankowi. Uczciwego człowieka wszędzie szanują i poważają i sam też jest z siebie zadowolony, bo się czuje jak nowo narodzone dziecko, gdy udaje się na spoczynek, i może sobie powiedzieć: „Dzisiaj znowuż byłem uczciwy”.

Podczas tego przemówienia porucznik Lukasz już dawno siedział na krześle i spoglądając na buty Szwejka myślał: „Miły Boże, przecie i ja wygaduję czasem takie bałwanstwa, a cała różnica tkwi tylko w formie zewnętrznej wypowiedzi”.

Ale nie chcąc tracić na powadze, rzekł do Szwejka, gdy ten kończył:

— U mnie musicie mieć buty czyste, uniform w porządku, guziki poprząszone, jak się należy, i musicie robić wrażenie żołnierza, a nie jakiegoś cywila-niezdary. Dziwi mnie to, że żaden was nie potrafi trzymać się po wojskowemu. Tylko jeden miał postawę wojskową, ale w końcu skradł mi paradny uniform i sprzedał „na żydach”.

Zamilkł na chwilę, a potem mówił dalej, wyliczając Szwejkowi wszystkie jego obojętne, przy czym nie zapomniał położyć nacisku na to, że Szwejk musi być wierny i nigdzie nie mówić o tym, co się dzieje w domu.

— Czasem odwiedzają mnie damy — rzekł między innymi. — Zdarza się, że któraś zostaje u mnie na noc, jeśli nazajutrz nie mam służby. W takim razie podajecie kawę do łóżka, gdy zadzwonię rozumiecie?

— Posłusznie melduję, że rozumiem, panie oberlejtant. Gdybym się bez dzwonięcia zbliżył do łóżka, to niektórej damie mogłoby to być niemiłe. Ja też razu pewnego przyprowadziłem sobie do domu panienkę, a rano moja posługaczka podała nam kawę do łóżka akurat wtedy, gdyśmy się bardzo wesoło bawili. Wystraszyła się i polala mi całe

plecy, i jeszcze rzekła: „Dzień dobry państwu”. Ja wiem, co wypada, a co nie wypada, gdy gdzieś nocuje dama.

— Dobrze, Szwejku, względem dam musimy zawsze zachowywać się z wielkim taktem — rzekł porucznik, którego humor poprawiał się, bo rozmowa przechodziła na sprawy, które wypełniały wszystek jego wolny czas poza koszarami, placem ćwiczeń i grą w karty.

Kobiety były duszą jego mieszkania. One tworzyły jego ognisko domowe. Było ich parę tuzinów, a prawie każda z nich podczas swego pobytu u niego starała się ozdobić mieszkanie różnymi cackami.

Jedna z tych pań, żona właściciela kawiarni, która spędziła u niego całe dwa tygodnie, zanim pan małżonek po nią przyjechał, wyszyła mu bardzo miłutki laufer na stół, a całą jego osobistą bieliznę poznała monogramami. Ukończyłaby niezawodnie wyszywanie dużej makaty na ścianę, gdyby pan małżonek nie przerwał tej sielanki.

Inna dama, po którą po trzech tygodniach przyjechali jej rodzice, chciała z jego sypialni zrobić damski buduar i porozstawiała wszędzie różne caczuszki i wazoniki, a nad łóżkiem zawiesiła mu Anioła Stróża.

W każdym kąciку sypialni i jadalni widać było ślady ręki kobiecej. Kobiety wtargnęły nawet do jego kuchni, gdzie można było oglądać najprzeróżniejsze naczynia i narzędzia kuchenne, będące wspaniałym prezentem jednej zakochanej pani fabrykantowej, która prócz namiętności swojej przywiozła z sobą przyrząd do krajania wszelkich jarzyn i kapusty, przyrządy do tarcia bułeczki, do mielenia wątróbki, rondelki, brytfanny, kociołki, warząchewki i Bóg raczy wiedzieć co tam jeszcze.

Wyjechała wszakże już po tygodniu, ponieważ nie mogła pogodzić się z myślą, że porucznik oprócz niej ma jeszcze około dwudziestu innych kochanek, co pozostawiało niezawodne ślady na fizycznej aktywności tego samca w uniformie.

Porucznik Lukasz prowadził też obszerną korespondencję, miał album swoich kochanek i zbiór różnych relikwii, bo w ciągu ostatnich dwóch lat przejawiał coraz większą skłonność do fetyszyzmu. Miał więc kilka odmiennych podwiązek damskich, cztery pary przemyśłych majtek ozdobionych haftem i trzy przezroczyste, delikatne, cienkie damskie koszulki, batystowe chusteczki do nosa, a nawet jeden gorset i kilka pończoszek.

— Dzisiaj mam służbę — rzekł — przyjdę dopiero w nocy. Dopilnujcie wszystkiego i zróbcie porządek w mieszkaniu. Ostatni mój pucybut za swoją nikczemność odjechał dzisiaj z kompanią marszową na front.

Wydawszy jeszcze kilka rozkazów, dotyczących kanarka i kota angorskiego, porucznik wyszedł, ale w drzwiach odwrócił się jeszcze do Szwejka i rzucił mu kilka słów o uczciwości i porządku.

Po jego odejściu Szwejk zrobił w mieszkaniu gruntowny porządek, tak że gdy Lukasz wrócił w nocy do domu, jego służący mógł mu zameldować:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że wszystko jest w porządku, tylko kot jest gałgan i zeżał kanarka.

— Jak to? — zagrzmiął porucznik.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że tak: Ja wiedziałem, że koty nie lubią kanarków i że je krzywdzą, więc chciałem tych dwoje zapoznać ze sobą i gdyby ta bestia kot chciał coś przedsięwziąć, to byłbym mu przetrzepał skórę, żeby do samej śmierci nie zapomniał, jak się ma obchodzić z kanarkami. Bo ja bardzo lubię zwierzęta. W naszym domu jest kapelusznik, który tak wyuczył kota, że chociaż mu ten kot zjadł trzy kanarki, to teraz nie zje ani jednego, choćby kanarek na nim usiadł. Więc chciałem też spróbować, czy się nie uda. Wyjąłem kanarka z klatki i podsunąłem mu go pod nos, żeby powąchał, a on, podlec, zanim się spostrzegłem, odgryzł mu głowę. Doprawdy, nie spodziewałem się takiego gałgaństwa ze strony tego kota. Gdyby to był, proszę pana oberlejtanta, wróbel, to bym nic nie mówił, ale taki ładny kanarek, i jeszcze harceński. I jak chciwie go żarł! Nawet pierza nie zostawił i mruczał, bestia, z wielkiej uciechy. Podobno koty nie mają słuchu muzycznego i nie znoszą śpiewu kanarka, bo się na tym śpiewaniu te bestie nie znają. Wyzwałem tego kota, jak się patrzy, ale, broń Boże, złego mu nic nie zrobiłem. Czekałem na rozkaz pana oberlejtanta, co trzeba będzie zrobić temu parszywcowi za jego gałgański postępek.

Opowiadając o tym zdarzeniu Szwejk spoglądał tak szczerze w oczy porucznika, że Lukasz opuścił rękę i usiadł na krześle, chociaż zrazu podszedł do Szwejka z bardzo wyraźnym brutalnym zamiarem.

— Słuchajcie, Szwejk — rzekł — czy naprawdę jesteście takim skończonym osłem?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant — uroczyście odpowiedział Szwejk — że jestem. Od małości mam takiego pecha. Zawsze chcę coś naprawić, zrobić dobrze i zawsze stanie się z tego jakaś nieprzyjemność dla mnie i dla otoczenia. Ja naprawdę chciałem tych dwoje zapoznać z sobą, żeby się zaprzyjaźnili, i nie jestem temu winien, że kot go zeżał i że już jest po przyjaźni. Jednego razu „U Sztupartów” kot zażał nawet papugę, bo go przedrzeźniała i miauczała jak on. Ale te koty to twarde bestie, nie dają się zabić. Jeśli pan każe go zgładzić, to trzeba będzie wsadzić mu łeb między drzwi i mocno szarpnąć za ogon, bo inaczej to nie pójdzie.

I Szwejk z najniewinniejszym wyrazem twarzy i z miłym, pocziwym uśmiechem wykladał porucznikowi, jak się zabija koty. Wykład jego był tego rodzaju, że mógł zapędzić do domu wariatów całe Stowarzyszenie Opieki nad Zwierzętami.

Wykazał przy tym sporo wiadomości tak dalece fachowych, że porucznik Lukasz zapominając o swoim gniewie zapytał:

— Umiecie obchodzić się ze zwierzętami? Żywiec dobre uczucia i życzliwość dla zwierząt?

— Najbardziej lubię psy — odpowiedział Szwejk — ponieważ na handlu psami można dobrze zarabiać, gdy się je umie sprzedawać. Ja nie umiałem, ponieważ zawsze byłem uczciwy, a i tak przychodzili do mnie ludzie z pretensjami, że niby sprzedałem im jakiegoś zdechlaka zamiast rasowego, zdrowego psa, jakby wszystkie psy musiały być zdrowe i rasowe. I każdy kupiec chciał od razu rodowód, więc musiałem zaopatrzyć się w druki i z ulicznych kundli, co się legły w cegielni, robić najczystsza rasową szlachetną pieską z bawarskiej psiarni Armina von Barheim. A ludzie naprawdę byli radzi, że wszystko wypadło według ich życzenia i że mają w domu rasowe zwierzę. Można im było zaproponować wsrzovickiego szpica jako jamnika, a ludziska dziwili się tylko temu, że taki szlachetny pies, który pochodzi aż z Niemiec, jest kudłaty i nie ma krzywych nóg. Takie rzeczy robi się we wszystkich psiarniach i pan oberlejtnant zdziwiłby się bardzo, gdyby widział, jak w wielkich psiarniach fabrykują rodowody. Mało jest takich psów, które mogłyby rzec o sobie, że są rasowe i czystej krwi. Albo się mama takiego pieska zapomniała z jakimś kundlem, albo babcia, albo też miał sporo ojców i po każdym coś odziedziczył. Od jednego wziął uszy, od drugiego ogon, od trzeciego pysk i kudły na pysku, od czwartego kusztykające łapy, od piątego wielkość itd. Jeśli ojców było dwunastu, to pan oberlejtnant łatwo sobie może wyobrazić, jak taki pies potem wygląda. Kupiłem kiedyś takie wielkie psisko, a było po swoich ojcach takie szpetne, że wszystkie psy od niego uciekały. Kupiłem go, bom się nad nim litowałem, że taki jest opuszczony. Siadywał w domu w kąciuku i był taki smutny, że musiałem go sprzedać jako pinczera. Najwięcej kłopotu miałem z przemalowaniem jego sierści, żeby kolorem przypominał pieprz i sól. Dostał się ten piesek ze swoim panem aż na Morawy i od tego czasu nie widziałem go ani razu.

Porucznika bardzo zainteresował ten fachowy wykład o psach, więc Szwejk mógł mówić bez przeszkód ze strony swego pana.

— Psy same nie mogą sobie farbować włosów, jak to robią damy; o takie rzeczy musi się kłopotać ten, kto je sprzedaje. Gdy pies jest na przykład taki stary, że jest cały siwy, a pan go chce sprzedać jako jednoroczne szczenię albo nawet chce takiego dziadka przemienić w dziewięciomiesięczne dzieciątko, to kupuje się „piorunku” rtęci, rozpuszcza się i farbuje psa na czarno, że wygląda jak młodzieńki. Żeby okrzepł, trzeba mu dawać, jak koniowi, strychninę, a zęby wyczyścić szmerglem, takim samym, jakim czyści się zardzewiałe noże. A zanim zaprowadzi się go do klienta, który chce go nabyć, trzeba mu nalać w pysk trochę śliwownicy, żeby się psina schłala, to zaraz jest wesoła, ruchliwa, szczeka ucieszenie i zaprzyjaźnia się z każdym jak pijany radny miejski. Ale najważniejsza rzecz, panie oberlejtnant, to gadanie. Trzeba do ludzi gadać i gadać, aż z takiego gadania zbaranieją. Jeśli ktoś chce kupić sobie ratlerka, a pan nie ma w domu innych psów prócz myśliwskich, to trzeba umieć przekonać tego klienta, żeby sobie zamiast ratlerka kupił psa myśliwskiego. Albo jeśli ktoś chce złego niemieckiego doga do pilnowania domu, a pan ma tylko małego ratlerka, to trzeba tego kupującego tak ogłupić, żeby sobie

poszedł do domu z tym ratlerkiem w kieszeni zamiast z dogiem. Kiedym jeszcze dawniej handlował zwierzętami, przyszła do mnie jakaś dama i powiada, że jej papuga wyleciała do ogrodu, a ponieważ bawiły się tam jakieś dzieciaki w Indian, więc powyrywały papudze wszystkie pióra z ogona i przystroiliły się nimi, jako policjanci. Papuga rozchorowała się ze wstydu, że nie miała ogona, a weterynarz dobił ją jakimiś proszkami. Chciała więc ta pani kupić nową papugę, ale przyzwoitą, nie taką, która umie tylko pyskować. Cóż było robić, kiedy w domu papugi nie miałem i o żadnej nie wiedziałem! Miałem w domu tylko buldoga, złego i ślepego. Więc musiałem, proszę pana oberlejtanta, przemawiać do tej pani od czwartej po południu do siódmej wieczorem, dopóki zamiast papugi nie kupiła tego buldoga. Była to sprawa gorsza od intrygi dyplomatycznej, ale kiedy już odchodziła, mogłem rzec do niej: „Teraz niech jemu chłopcy spróbują wyrwać ogon!” Więcej z tą panią nie rozmawiałem, bo musiała wyprowadzić się z Pragi przez tegoż buldoga, który pogryzł cały dom. Czy pan oberlejtant uwierzy, jak trudno znaleźć porządne zwierzę?

— Ja bardzo lubię psy — rzekł porucznik. — Niektórzy koledzy na froncie mają przy sobie psy i pisali nieraz, że w towarzystwie takiego dobrego i wiernego zwierzęcia wojna szybciej upływa. Znacie dobrze wszystkie rasy i mam nadzieję, że gdybym miał psa, to byście się nim dobrze opiekowali. Która rasa jest waszym zdaniem najlepsza? Mianowicie chciałbym mieć psa do towarzystwa. Niegdyś miałem pinczera, ale nie wiem...

— Zdaniem moim, proszę pana oberlejtanta, pinczer to bardzo miły pies. Prawda, że nie każdemu się podoba, ponieważ jest szczeciasty, a na pysku ma takie ostre wąsy, że przypomina przestępcę wypuszczonego z kryminału. Jest taki brzydki, aż z tej brzydoty jest ładny, a do tego jest przebiegły. Ani się umywa do niego głupawy bernardyn. Jest jeszcze sprytniejszy niż foksterier. Znałem jednego...

Porucznik Lukasz spojrział na zegarek i przerwał wywody Szwejka:

— Już późno, muszę iść spać. Jutro mam znowu służbę, więc przez cały dzień będziecie mogli szukać dla mnie ładnego pinczera.

Porucznik poszedł spać, zaś Szwejk wyciągnął się na kanapie w kuchni i czytał gazety, które pan jego przyniósł z koszar.

— No, przecież, państwo — rzekł Szwejk do siebie, śledząc w gazetach przebieg najważniejszych wydarzeń — sułtan odznaczył cesarza Wilhelma medalem wojennym, a ja nie mam nawet małego srebrnego.

Zamyślił się nad czymś, a potem zerwał się na równe nogi.

— O mały figiel byłbym zapomniał...

Wszedł do pokoju, w którym porucznik spał twardym snem, i zbudził go:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że nie mam żadnych rozkazów co do tego kota.

Zaspany porucznik przewrócił się na drugi bok i przez sen mrucał:

— Trzy dni koszarniaka — i spał dalej.

Szwejk po cichu wyszedł z pokoju, wyciągnął nieszczęsnego spod kanapy i rzekł do niego:

— Masz trzy dni koszarniaka. *Abtreten!*

Angorski kot znowu wlaź pod kanapę.

4

Szwejk szykował się do wyjścia na miasto, by się rozejrzeć za jakimś pinczerem, gdy do drzwi zadzwoniła młoda dama i zapytała o porucznika Lukasz. Obok niej stały dwa ciężkie kufry, a na schodach dojrzał Szwejk jeszcze czapkę posłańca, który chodził na dół.

— Nie ma go w domu — rzekł Szwejk twardo, ale młoda dama weszła tymczasem do przedpokoju i wydała Szwejkowi kategoryczny rozkaz:

— Wnieście kufry do pokoju.

— Bez pozwolenia pana porucznika nie można — rzekł Szwejk. — Pan porucznik nakazał mi, abym bez jego pozwolenia nigdy nic nie robił.

— Zwariowaliście czy co? — zawołała młoda dama. — Przyjechałam do pana porucznika w gościnę.

— Nic o tym nie wiem — odpowiedział Szwejk. — Pan porucznik jest na służbie i wróci do domu dopiero w nocy, a ja otrzymałem rozkaz wyszukania dla niego pinczera. O żadnych kufkach ani o żadnej damie nic nie wiem. Teraz zamykam mieszkanie, więc

proszę, aby pani wyszła. Mnie nikt nic nie powiedział, a żadnej obcej osoby, której nie znam, nie mogę pozostawić tutaj w mieszkaniu. Tak jak na naszej ulicy u cukiernika Bielczyckiego zostawili w mieszkaniu jakiegoś człowieka, a on sobie otworzył szafę, zabrał, co mu się podobało, i poszedł.

Ja nic złego o pani nie myślę — mówił Szwejk dalej, widząc, że młoda dama zalamuje ręce i płacze — ale zostawić pani tutaj nie mogę. Sama to pani rozumie, ponieważ mieszkanie zostało oddane pod moją opiekę, a ja jestem odpowiedzialny za każdy drobiazg. Dlatego jeszcze raz grzecznie panią proszę, żeby się pani wcale nie fatygowała mnie przekonywać. Dopóki nie otrzymam rozkazu, ani brat, ani swat nic mi nie może rozkazać. Bardzo mi przykro, że muszę z panią w taki sposób rozmawiać, ale w wojsku musi być porządek.

Tymczasem młoda dama uspokoiła się trochę. Z torebki wyjęła bilecik, napisała na nim kilka słów ołówkiem, włożyła go do milutkiej małej koperty i tłumiąc łkanie rzekła:

— Zanieście to panu porucznikowi, ja tu poczekam tymczasem. Macie pięć koron za fatygę.

— Nic z tego nie będzie — odpowiedział Szwejk, dotknięty nieustępliwością niespodziewanego gościa. — Niech pani zabierze swoje pięć koron, ma je tu pani na krzeselku, i jeśli pani chce, to niech pani idzie razem ze mną do koszar. Poczekaj pani chwilę, a ja ten liścik oddam i przyniosę odpowiedź. Ale żeby pani miała tymczasem tutaj siedzieć, to o tym nie ma mowy.

Po tych słowach wciągnął kufry do przedpokoju i szcękając kluczami, jak jakiś klucznik na zamku, rzekł z naciskiem:

— Zamykamy!

Młoda dama, zupełnie bezradna, wyszła do sieni, Szwejk zamknął drzwi i ruszył na przód, a ona jak piesek dreptała za nim i dogoniła go dopiero wtedy, gdy Szwejk wstąpił do trafiki po papierosy.

Szła teraz obok niego i starała się nawiązać rozmowę.

— Czy oddacie list z pewnością?

— Kiedy mówię, że oddam, to oddam.

— A czy pan porucznik będzie w koszarach?

— Tego nie wiem.

Szli znowu obok w milczeniu i dopiero po długiej chwili towarzysza Szwejka zaczęła mówić:

— Przypuszczacie więc, że pana porucznika nie ma w koszarach?

— Nie przypuszczam.

— A jak sądzicie, gdzie mógłby być?

— Tego nie wiem.

Rozmowa znowu została przerwana na długo i dopiero pytanie młodej damy wznowiło ją:

— Czy nie zgubiliście mego listu?

— Jak dotąd jeszcze nie.

— A więc na pewno oddacie go panu porucznikowi?

— Tak.

— A czy aby jest w koszarach?

— Mówiłem już, że nie wiem — odpowiedział Szwejk. — Dziwię się, że są na świecie ludzie tak ciekawi i wciąż pytają o tę samą rzecz. To tak samo, jakbym ja zatrzymywał na ulicy co drugiego człowieka i zapytywał go, którego dzisiaj mamy.

Na tym się skończyła próba nawiązania rozmowy ze Szwejkim, a dalsza droga w stronę koszar upłynęła obojgu w zupełnym milczeniu. Dopiero gdy zatrzymali się koło koszar, Szwejk poprosił damę, aby na niego poczekała, a sam wdał się w rozmowę o wojnie z stojącymi w bramie żołnierzami, z czego młoda dama musiała mieć osobliwą uciechę, gdyż przechadzała się nerwowo i wyglądała jak wcielenie rozpacz, widząc, że Szwejk zabiera się do gruntownych wywodów o wojnie z tak głupim wyrazem twarzy, jaki można było widzieć onego czasu w „Kronice wojny światowej”, gdzie była fotografia z podpisem: „Austriacki następca tronu rozmawia z dwoma lotnikami, którzy zestrzelili aeroplan rosyjski”.

Szwejk usiadł na ławie w bramie i wywodził, że na froncie karpackim ataki załamały się, że dowódca Przemyśla, generał Kusmanek, przybył do Kijowa, że w Serbii pozostało za nami już jedenaście punktów oparcia i że Serbowie nie wytrzymają zbyt długo takiego pędzenia za naszymi żołnierzami.

Następnie zabrał się do krytyki poszczególnych znanych bitew i objawił światu wielką prawdę, że oddział wojska, otoczony ze wszystkich stron, musi się poddać.

Gdy się już dość nagadał, uznał za właściwe wyjść przed bramę i rzec rozpaczającej damie, żeby nigdzie nie chodziła, bo on zaraz wróci. Poszedł na górę do kancelarii, gdzie zastał porucznika Lukasz, który objaśniał akurat jakiemuś podporucznikowi budowę rowów strzeleckich i wyrzucał mu, że nie umie rysować i nie ma pojęcia o geometrii.

— Patrzcie, kolego, rysuje się tak. Jeśli do danej poziomej mamy dorysować prostopadłą, to trzeba nakreślić taką, aby tworzyła z tamtą kąt prosty. Rozumiecie? Tylko w taki sposób prowadzi się rowy strzeleckie we właściwym kierunku i nie doprowadza się ich do nieprzyjaciela. Pozostajecie w odległości sześciuset metrów od niego. Ale tak, jak wy kreślicie, to wpakujecie nasze pozycje w linię nieprzyjacielską i staniecie prostopadle do nieprzyjaciela, podczas gdy wy musicie uzyskać pozycję bojową mocno wysuniętą do przodu. Przecież to zupełnie proste, nieprawda?

A podporucznik rezerwy, kasjer jakiegoś banku, stał zrozpaczony nad planem, nie rozumiał z niego nic i odetchnął z ulgą, gdy Szwejk podszedł do porucznika:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że jakaś pani posyła panu ten list i czeka na odpowiedź.

Mówiąc to mrugnął bardzo wymownie i poufale.

Treść listu nie wywarła na poruczniku przyjemnego wrażenia:

„Lieber Heinrich! Mein Mann verfolgt mich. Ich muss unbedingt bei Dir ein paar Tage gastieren. Dein Bursch ist ein grosses Mistvieh. Ich bin unglücklich.

Deine Katy”.

Porucznik Lukasz westchnął, pociągnął ze sobą Szwejka do pustej bocznej kancelarii, zamknął drzwi i zaczął przechadzać się między stołami. Gdy wreszcie stanął obok Szwejka, rzekł do niego:

— Ta dama pisze, że jesteście bydlę. Co jej zrobiliście?

— Nic jej nie zrobiłem, melduję posłusznie. Zachowałem się wobec niej bardzo przyzwoicie, proszę pana oberlejtanta, ale ona chciała się od razu usadowić w mieszkaniu. A ponieważ nie otrzymałem od pana żadnego rozkazu, więc jej w mieszkaniu nie zostałem. I jeszcze do tego przyjechała z dwoma kuframi, jak do siebie.

Porucznik westchnął głośno jeszcze raz, co Szwejk powtórzył za nim.

— Co to ma znaczyć? — krzyknął groźnie porucznik.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że to ciężka sprawa. Przy ulicy Św. Wojciecha wprowadziła się do mieszkania tapicera jakaś panienska, a on nie mógł jej wypędzić od siebie i musiał otruć gazem świetlnym siebie i ją. I było po frajdzie. Z kobietami jest krzyż pański. Wiem, ja wiem.

— Ciężka sprawa — powtórzył porucznik za Szwejkiem i nigdy bodaj nie powiedział czegoś bardziej szczerzego. Kochany Henryk znajdował się istotnie w sytuacji fatalnej. Małżonka prześladowana przez swego męża przyjeżdża na kilka dni akurat wtedy, gdy ma zjechać do niego pani Mickowa z Trzebonia, aby z nim w ciągu trzech dni wyszaleć się tak, jak robiła to regularnie co kwartał, gdy przyjeżdżała do Pragi po zakupy. Następnie pojutrze miała przyjść do niego pewna panna, która po całotygodniowym namyśle solennie obiecała mu, że pozwoli się uwieść, ponieważ dopiero za miesiąc wychodzi za mąż za pewnego inżyniera.

Porucznik siedział teraz na stole z głową pochyloną i rozmyślał, ale nie wymyślił nic mądrego. Tyle tylko, że wreszcie siadł na krześle, sięgnął po papier i kopertę, po czym napisał na urzędowym formularzu:

„Kochana Katy. Służba do dziewiątej wieczorem. Przyjdę o dziesiątej.

Proszę, abys się rozgościła u mnie jak u siebie w domu. Co do Szwejka, mego służącego, to wydałem mu rozkazy, aby spełniał wszystkie twoje życzenia.

Twój Henryk

— List ten oddajcie przyjezdnej pani — rzekł porucznik. — Rozkazuję wam, abyście się względem niej zachowywali z szacunkiem i taktem i żebyście spełniali wszystkie jej życzenia, które muszą być dla was rozkazem. Musicie zachowywać się elegancko i służyć jej rzetelnie. Macie sto koron do wyliczenia, bo może się zdarzyć, że ta pani was pośle po to lub owo, zamówicie dla niej obiad, kolację i tak dalej. Następnie kupcie trzy butelki wina i pudełko papierosów „Memfis”. Tak. Tymczasem nic więcej. Możecie odejść, ale jeszcze raz napominam was, że trzeba odgadywać wszystkie jej życzenia i spełniać je.

Przyjezdna pani straciła już wszelką nadzieję, że zobaczy Szwejka, i była bardzo zdziwiona, gdy ujrzała go wychodzącego z koszar i zmierzającego ku niej z listem.

Szwejk zasalutował, oddał jej list i meldował:

— Według rozkazu pana oberlejtanta mam się względem szanownej pani zachowywać z szacunkiem i taktem, obsługiwać panią rzetelnie, odgadywać życzenia pani i spełniać je. Pan oberlejtant kazał, żebym pani zamówił jedzenie i żebym kupił wszystko, co pani każe. Dostałem od pana oberlejtanta sto koron, ale muszę z tego kupić trzy butelki wina i pudełko papierosów.

Gdy przeczytała list, odzyskała pewność siebie, która wyraziła się w tym, że Szwejk został wysłany po dorożkę. Gdy wrócił z dorożką, kazała mu sięść na koźle obok dorożkarza.

Pojechali do domu. W mieszkaniu odegrała znakomicie rolę pani domu. Kufry kazała Szwejkowi zanieść do sypialni, dywany wytrześć na podwórzu, a jakieś drobne pasemko pajęczyny za lustrem bardzo ją rozgniewało.

Wszystko zdawało się przemawiać za tym, że przyjezdna pani pragnie się okopać na tej linii bojowej na bardzo długo.

Szwejk się pocił. Gdy wytrześć dywany, przypomniała sobie, że trzeba zdjąć franki z okien i okurzyć je. Potem otrzymał rozkaz umycia okien w kuchni i w pokoju. Potem zaczęła przestawiać sprzęty; czyniła to bardzo nerwowo, a gdy Szwejk przesuwał meble z kąta w kąt, nie podobało się jej to, znowu kombinowała i znowu kazała ustawiać na nowo. Powywracała w mieszkaniu wszystko do góry nogami, aż stopniowo jej energia w urządzaniu gniazda zaczęła się wyczerpywać i plądrowanie się skończyło.

Z bielizniarki wyjęła jeszcze czystą bieliznę pościelową, sama powlekła poduszki i kołdrę, a widać było, że czyniła to z uczuciem życzliwości dla łóżka, który to sprzęt wprawiał jej nozdrza w zmysłowe drżenie.

Potem posłała Szwejka po obiad i wino. Zanim wrócił, przebrała się w zwiewną mantinkę, która czyniła ją niezwykle powabną i kuszącą.

Przy obiedzie wypila butelkę wina, wypaliła dużo papierosów i położyła się do łóżka, podczas gdy Szwejk zajadał chleb fasowany, maczając go w szklance jakiejś słodkiej wódki.

— Szwejku! — ozwało się wołanie z sypialni. — Szwejku!

Szwejk otworzył drzwi i ujrzął młodą kobietę rozłożoną na poduszkach w powabnej pozycji.

— Chodźcie no tu!

Szwejk zbliżył się, ona zaś z osobliwym uśmiechem obrzucała spojrzeniem jego krępa postać i krzepkie biodra.

Zgarniając z siebie delikatną materię, która osłaniała jej wdzięki, rzekła surowo:

— Zrzućcie buty i spodnie! Pokażcie no...

Stało się tedy, że dobry wojak Szwejk mógł zameldować porucznikowi, gdy ten powrócił z koszar:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że wypełniłem wszystkie życzenia wielmożnej pani i obsłużyłem ją uczciwie według pana rozkazu.

— Dziękuję wam, Szwejku — rzekł porucznik — A dużo miała życzeń?

— Ze sześć — odpowiedział Szwejk. — Teraz śpi jak zabita z tej jazdy. Odgadywałem i spełniałem rzetelnie jej życzenia.

Podczas gdy masy wojsk, rozłożonych w lasach nad Dunajcem i Rabą, znajdowały się stale pod deszczem granatów, a działa grubego kalibru rozszarpały całe kompanie i grzebały je w Karpatach, zaś na horyzoncie wszystkich pobojuwisk paliły się wsie i miasta, porucznik Lukasz i Szwejk przeżywali niemiłą sielankę z damą, która uciekła od swego męża i stała się panią ich domu.

Gdy wyszła na spacer, porucznik Lukasz odbył ze Szwejkiem naradę wojenną, w jaki sposób można by się jej pozbyć.

— Najlepiej byłoby, panie oberlejtnant — rzekł Szwejk — gdyby ten jej mąż, od którego uciekła, a który jej szuka, jak pan oberlejtnant powiada, że było w tym liście, który przyniosłem do koszar, dowiedział się, gdzie ona jest, i gdyby po nią przyjechał. Trzeba mu posłać telegram, że jest u pana oberlejtanta i że może ją sobie odebrać. We Vszenorach zdarzyła się zeszłego roku taka sprawa w jednej willi. Ale telegram wysłała sama ta niewiasta do swego męża, który przyjechał i sprzął po gębie ją i jego. Obaj byli cywile, ale w naszym wypadku będzie miał respekt przed oficerem. Zresztą pan oberlejt-
nant nic nie zawinił, ponieważ nikogo pan nie zapraszał, a ta pani uciekła na własną rękę. Zobacz pan oberlejt-
nant, że taka depesza zrobi swoje. Choćby tam sobie dali nawet po pysku...

— On jest bardzo inteligentny — przerwał mu porucznik Lukasz. — Ja go znam, on handluje chmielem *en gros*. Stanowczo muszę się z nim rozmówić. Depeszę poślę.

Telegram, który został wysłany, był bardzo lapidarny, kupiecki:

„Obecny adres małżonki pańskiej” — dopisany był adres mieszkania porucznika Lukasz.

Zdarzyło się tedy, że pani Katy była bardzo niemile zaskoczona, gdy drzwi się rozwarły, a w nich ukazał się handlarz chmielem. Miał minę bardzo wyczekującą i zatroskaną, gdy pani Katy, nie tracąc ani na chwilę głowy, zapoznawała z sobą obu panów:

— Mój mąż. Pan porucznik Lukasz. — Nic lepszego nie przyszło jej do głowy.

— Niech pan siada, panie Wendler — odezwał się uprzejmie porucznik Lukasz wyjmując z kieszeni papierośnicę. — Czy mogę panu służyć?

Inteligentny kupiec, handlujący chmielem, grzecznie przyjął papierosa, a wypuszczając ustami dym, rzekł z namysłem:

— Pewno niedługo pojedzie pan na front, panie poruczniku?

— Złożyłem podanie, aby mnie translokowano do 91 pułku do Budziejowic. Pojadę tam niezawodnie, jak tylko skończę robotę w szkole jednorocznych ochotników. Potrzebujemy masę oficerów, a dzisiaj spotykamy się często ze smutnym objawem, że młodzież mająca prawo do odbywania służby jednorocznej rezygnuje z tego prawa. Woli taki zostać zwyczajnym piechurkiem niż stać się kadetem.

— Wojna wyrządziła wielkie szkody w handlu chmielem, ale sądzę, że nie będzie trwała zbyt długo — zauważył kupiec spoglądając na przemian to na żonę, to na porucznika.

— Sytuacja nasza jest bardzo dobra — rzekł porucznik Lukasz. — Dzisiaj już nikt nie wątpi, że wojna skończy się zwycięstwem państw centralnych. Francja, Anglia i Rosja są zbyt słabe w porównaniu z potęgą austriacko-turecko-niemiecką. Prawda, że mieliśmy drobne niepowodzenia na niektórych frontach, ale jak tylko przerwiemy front rosyjski między Karpatami a środkowym Dunajcem, to bez najmniejszej wątpliwości będzie to koniec wojny. Tak samo Francuzom zagraża w najbliższym czasie utrata całej wschodniej Francji i wtargnięcie wojsk niemieckich do Paryża. To jest absolutnie pewne. Prócz tego przegrupowanie naszych wojsk w Serbii przebiega bardzo sprawnie, a odwrót naszych oddziałów, który faktycznie jest wyłącznie tylko przegrupowaniem, niesłusznie tłumaczą sobie niektórzy zgoła inaczej, niż tego wymaga w czasie wojny zdrowy rozsądek. Niebawem zobaczymy, że nasze z góry zamierzone przegrupowanie na południowym froncie zacznie wydawać owoce. Niech pan spojrzy...

Porucznik Lukasz ujął kupca delikatnie za ramię, pociągnął go ku mapie terenów wojennych, wiszącej na ścianie, i wskazując na poszczególne punkty, mówił:

— Wschodnie Beskidy są dla nas znakomitym punktem oparcia. Na odcinkach karpackich, jak pan widzi, mamy także mocne pozycje. Solidne uderzenie na tej linii —

nie zatrzymamy się, dopóki nie staniemy w Moskwie. Wojna skończy się prędzej, niż przypuszczamy.

— A jak tam z Turcją? — zapytał kupiec handlujący chmielem, zastanawiając się przy tym, w jaki sposób przejść do sedna sprawy, która go tu sprowadziła.

— Turcy trzymają się dobrze — odpowiedział porucznik prowadząc gościa z powrotem do stołu. — Przewodniczący parlamentu tureckiego, Hali bej i Ali bej przyjechali do Wiednia. Naczelnym wodzem dardaneelskiej armii tureckiej mianowany został marszałek Liman von Sanders. Goltz-pasza przyjechał z Konstantynopola do Berlina, a nasz cesarz odznaczył Enver-paszę, wiceadmirala Usedomą-paszę i generała Dzewata-paszę. Jest to stosunkowo dużo odznaczeń w tak krótkim czasie.

Przez chwilę wszyscy siedzieli obok siebie w milczeniu, aż wreszcie porucznik uznał za stosowne przerwać niemiłą sytuację pytaniem:

— Kiedy pan przyjechał, panie Wendler?

— Dzisiaj rano.

— Bardzo mi przyjemnie, że mnie pan odszukał i zastał w domu, ponieważ po południu udaję się zawsze do koszar i mam nocną służbę. Mieszkanie moje jest właściwie całymi dniami puste i dlatego mogłem ofiarować szanownej małżonce pańskiej gościnę. Ma tu zupełną swobodę przez czas swego pobytu w Pradze. Ponieważ jesteśmy starzy znajomi...

Kupiec handlujący chmielem zakaszał.

— Katy jest doprawdy dziwną kobietą. Panie poruczniku, niech pan przyjmie moje serdeczne podziękowania za wszystko, co pan dla niej uczynił. Wpadnie jej do głowy ni z tego, ni z owego pojechać do Pragi, żeby jak powiada, leczyć się na nerwy. Ja byłem w podróży, wracam do domu, a dom pusty, Katy nie ma.

Przybierając jak najmilszy wyraz twarzy, pogroził jej palcem i z wymuszonym uśmiechem zapytał:

— Tyś zapewne myślała, że jeśli ja podróżuję, to i ty możesz sobie na to pozwolić. Nie pomyślałaś oczywiście...

Porucznik Lukasz, widząc, że rozmowa zaczyna nabierać niemiłych akcentów, doprowadził inteligentnego kupca handlującego chmielem ku mapie i wskazując na podkreślone punkty mówił:

— Zapomniałem zwrócić uwagę pańską na pewną bardzo ważną okoliczność. Na ten wielki łuk, zwrócony ku południowemu zachodowi, gdzie ta grupa gór tworzy jakby wielki przyczółek. W tę stronę skierowana jest ofensywa sprzymierzeńców. Przez zamknięcie tej drogi, która łączy przyczółek z główną linią obronną nieprzyjaciela, musiałoby zostać przerwane połączenie między skrzydłem prawym a armią północną nad Wisłą. Teraz pan zapewne rozumie?

Kupiec odpowiedział, że rozumie wszystko bardzo dobrze, a obawiając się przy swoim wrodzonym takcie, aby to, co powiedział, nie było uważane za dwuznacznik, zawrócił do stołu i zaczął znowu o chmielu:

— Nasz chmiel stracił przez wojnę zagraniczny rynek zbytu. Przepadła dla chmielu Francja, Anglia, Rosja, Bałkany. Wysyłamy go jeszcze trochę do Włoch, ale obawiam się, że i Włochy wmszają się do wojny. No, za to po zwycięskiej wojnie ceny za towar wyznaczać będziemy sami.

— Włochy zachowują ścisłą neutralność — pocieszał go porucznik. — To jest...

— To czemu nie oświadczą wyraźnie, że są związane umową trójprzymierza, zawartą między Austro-Węgrami a Niemcami? — rozzłościł się nagle kupiec, któremu raptem uderzyło do głowy wszystko razem: chmiel, żona, wojna. — Spodziewałem się, że Włochy ruszą razem z nami przeciwko Francji i Serbii. Wojna byłaby już skończona. Chmiel mi w magazynach gnije, transakcje krajowe są marne, eksportu nie ma, a Włochy zachowują neutralność! Dlaczegoż to jeszcze w roku 1912 odnowiły umowę trójprzymierza? Gdzie się podział włoski minister spraw zagranicznych, markiz di San Giuliano? Co ten pan robi? Śpi czy co? Czy ten pan wie, jakie miałem obroty przed wojną, a jakie dzisiaj?

Spoglądał wściekle na porucznika, który siedząc, spokojnie puszczał kółka dymu, rozplywające się jedno za drugim, co z zaciekawieniem obserwowała Katy. Potem mówił dalej:

— Niech pan nie myśli, że nie śledzę wypadków wojennych. Dlaczego Niemcy cofnęli się znowu ku granicy, skoro byli już pod Paryżem? Dlaczego między Mozą a Mozelą toczą się znowu ostre walki artyleryjskie? Czy pan wie, że w Combres i Woewre w pobliżu Marche spłonęły trzy wielkie browary, którym przed wojną dostarczałem rocznie przeszło pięćset worków chmielu? Podobnie i w Wogezach spalił się browar w Hartmansweiler, z ziemią zrównany został browar w Niedeaispach koło Miluzy. To znaczy o tysiąc dwieście worków chmielu mniejszy obrót roczny. Sześć razy walczyli Niemcy z Belgami o browar w Klosterhoek, to jest, proszę pana, trzysta pięćdziesiąt worków chmielu rocznie.

Był tak wzburzony, że nie mógł mówić. Wstał, podszedł do żony i rzekł:

— Katy, natychmiast pojedziesz ze mną do domu. Ubieraj się.

Wszystkie te wydarzenia denerwują mnie — rzekł po chwili, jakby się tłumaczył. — Byłem dawniej zupełnie spokojny.

Gdy Katy wyszła, aby się ubrać, rzekł szeptem do porucznika:

— To nie pierwszy jej kawalek. W roku zeszłym wyjechała sobie z jakimś suplentem i znalazłem ją dopiero w Zagrzebiu. Przy tej sposobności zawarłem z miejskim browarem w Zagrzebiu umowę na 600 worków chmielu. Południe w ogóle było dla nas kopalnią złota. Nasz chmiel szedł aż do Konstantynopola. Dzisiaj jestem na poły zrujnowany. Jeśli rząd ograniczy wyrób piwa w kraju, to zada mi cios ostatni.

Zapalając podanego mu papierosa mówił z rozpaczą w głosie.

— Sama Warszawa brała od nas dwa tysiące trzysta siedemdziesiąt worków chmielu. Są tam wielkie browary. Największy z nich to augustiański. Przedstawiciel jego bywał u mnie corocznie gościem. Po prostu rozpacz. Jeszcze dobrze, że nie mam dzieci.

Ten logiczny wniosek, wysnuty z corocznej gościny przedstawiciela wielkiego browaru warszawskiego, sprawił, że porucznik uśmiechnął się łagodnie, co kupiec handlujący chmielem zauważył, i dlatego wywodził dalej:

— Węgierskie browary w Sopron i w Wielkiej Kaniży brały ode mnie chmiel na swoje piwo eksportowe, które wywoziły aż do Aleksandrii. Przeciętnie tysiąc worków chmielu. Dzisiaj odrzucają wszelkie oferty skutkiem blokady. Oferuję im chmiel o trzydzieści procent taniej, ale nie zamawiają nawet jednego worka. Stagnacja, upadek, bieda, a do tego jeszcze kłopoty domowe.

Kupiec zamilkł i dopiero pani Katy, ubrana w kostium podróży, przerwała jego milczenie pytaniem:

— Co zrobimy z moimi kuframi?

— Pośle się po nie tragarza — rzekł kupiec, kontent, że wszystko skończyło się bez awantur i gorszących scen. — Jeśli chcesz jeszcze kupić sobie to i owo, to czas najwyższy, bo pociąg odchodzi o drugiej dwadzieścia.

Państwo pożegnali porucznika bardzo przyjaźnie, a kupiec tak był rad, że wszystko załatwione, iż na odchodnym w przedpokoju rzekł do niego:

— Gdyby pan, broń Boże, został raniony, niech pan przyjedzie do nas na wypoczynek. Będziemy opiekować się panem jak najtroskliwiej.

Powróciwszy do sypialni, gdzie pani Katy ubierała się przed podróżą, ujrzał porucznik na umywalni czterysta koron i bilet tej treści:

„Panie poruczniku! Nie wziął mnie pan w obronę wobec tej małpy, mego męża, idiota pierwszej klasy. Pozwolił pan, aby zabrał mnie z sobą niby jaką rzecz znalezioną przypadkowo. Przy tym pozwolił pan sobie zrobić uwagę, że zaproponował mi pan gościnę. Mam nadzieję, że nie spowodowała panu wydatków większych niż załączone czterysta koron, którymi raczy się pan podzielić ze swoim służącym”.

Porucznik Lukasz stał przez chwilę z tym biletem w ręku, potem podarł go powoli, z uśmiechem spojrzął na pieniądze leżące na umywalni, a widząc, że zdenerwowana pani zapomniała grzebyk na stoliku przed lustrem, złożył go między inne swoje fetyszystyczne relikwie.

Szwejk wrócił do domu po południu. Szukał pinczera dla porucznika.

— Szwejku — rzekł porucznik — macie szczęście. Ta dama, która mieszkała u mnie, już odjechała. Zabrał ją pan małżonek. Za wszystkie wasze usługi zostawiła dla was na

umywalni czterysta koron. Musicie podziękować jej grzecznie albo jej panu małżonkowi, ponieważ to są jego pieniądze, które zabrała ze sobą. Ja wam list podyktuję.

Porucznik Lukasz dyktował:

„Wielce Szanowny Panie! Raczy pan przyjąć najserdeczniejsze podziękowanie za czterysta koron, które ofiarowała mi Pańska małżonka za usługi wyświadczone jej podczas pobytu w Pradze. Wszystko, co dla niej uczyniłem, pochodziło z dobrego serca i dlatego nie mogę przyjąć tej sumy i odsyłam ją...”

- No, no, piszcie dalej, Szwejku. Czemu się tak kręcicie? Coście napisali?
- I odsyłam ją... — rzekł tragicznie drżącym głosem Szwejk.
- Więc dobrze:

„...odsyłam ją Pani z wyrazami najwyższego szacunku. Uniżone pozdrowienie i ucałowanie rąk dla Szanownej Pani. Józef Szwejk, służący porucznika Lukasz”.

- Napisane?
- Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że jeszcze brak daty.
- Dwudziestego grudnia 1914. Tak, a teraz napiszcie adres na kopercie, weźcie tych czterysta koron, zamieście je na pocztę i wyślijcie je pod tym adresem.
- I porucznik Lukasz zaczął wesoło pogwizdywać arię z operetki *Rozwódka*.
- Jeszcze jedno, mój Szwejku — zawołał porucznik, gdy Szwejk wybierał się na pocztę. — Czy znaleźliście jakiegoś psa dla mnie?
- Mam jednego na oku, panie oberlejtant. Bardzo ładne zwierzę. Ale trudno będzie go nabyć. Mam wszakże nadzieję, że go jutro przyprowadzę. Gryzie.

6

Porucznik Lukasz nie dosłyszał już ostatniego słowa, chociaż było takie ważne.

„Gryzie ten gałgan jak wszyscy diabli — chciał Szwejk powtórzyć głośniejszy, ale dał spokój, pomyślawszy: — Co porucznikowi do tego. Chce psa, będzie miał psa”.

Łatwo to powiedzieć: „Przyprowadźcie mi psa!” Właściciele psów są bardzo ostrożni i pilnują ich, choćby psiska nie miały z rasą nic wspólnego. Nawet właścicielka zwyczajnego Medorka, który nic innego nie robi, tylko ogrzewa nogi staruszce, też go lubi i nie da mu zrobić krzywdy.

Każdy pies, osobliwie rasowy, sam musi mieć na tyle instynktu, aby wiedzieć, że pewnego pięknego poranku zostanie zabrany swemu panu. Toteż każdy taki pies żyje w bezustannym strachu, że będzie skradziony, że musi być skradziony. Na przykład podczas spaceru pies odbiega od swego pana, jest zrazu wesoły i zbytkuje. Bawi się z innymi psami, wchodzi na nie niezdarnie, a one na niego, obwąchuje kamienie przydrożne, zadziera łapkę na każdym rogu i przy każdym koszu handlarki ulicznej, jednym słowem, cieszy się z życia, a świat wydaje mu się taki piękny jak młodzieńcowi po maturze.

Raptem wszakże daje się zauważyć, że jego wesołość znika, pies spostrzega, że się zgubił. I nagle wpada w wielką rozpacz. Biega tam i sam po ulicy, skowyczy w swojej bezradności, ogon wciąga między nogi, uszy kładzie po sobie i jak oszalały pędzi, sam nie wiedząc gdzie. Gdyby umiał mówić, toby z pewnością powiedział:

— Ludzie kochani, zaraz mnie ktoś ukradnie!

Czy byliście kiedykolwiek w psiarni i widzieliście takie wystraszone stworzenia? To wszystkie psy kradzione. Wielkie miasto posiada specjalny typ złodzieja, który zajmuje się wyłącznie kradzieżą psów. Istnieją malutkie pieski salonowe, karłowate ratlerki wielkości rękawiczki; łatwo zmieści się taki piesek w kieszeni palta albo w mufce damskiej, ale i tam go złodziej znajdzie. Skradną też w nocy złego niemieckiego doga cętkowanego, który pilnuje willi na przedmieściu. Psa policyjnego capną wywiadowcy sprzed nosa. Prowadzicie sobie pieska na łańcuszku, przetną smycz i znikają z psem jak kamfora, a wy głupkowato spoglądacie na pusty sznurek. Pięćdziesiąt procent psów, które widuje się na ulicy, zmieniało kilkakrotnie właścicieli, a nieraz trafia się, że po latach kupicie własnego psa, którego skradziono wam podczas spaceru, gdy był jeszcze szczeniakiem. Największe niebezpieczeństwo zagraża psom, gdy wyprowadzone na dwór, załatwiają małą czy dużą

potrzebę. Osobliwie przy załatwianiu dużej potrzeby ginie bardzo dużo psów. Dlatego każdy pies rozgląda się podczas tej czynności tak uważnie dokoła siebie.

Istnieje kilka systemów kradzenia psów. Robi się to wprost, sposobem kradzieży kieszonkowej, lub też pośrednio, przez podstęp i oszukanie biednego stworzenia. Pies jest zwierzęciem wiernym, ale tylko w czytankach szkolnych lub w podręcznikach zoologii. Dajcie wszakże najwierniejszemu psu do powąchania kawałek smażonej końskiej wędzonki, a będzie zgubiony. Zapomni o panu, obok którego idzie, odwróci się i pobiegnie za wami. Z pyska cieknie mu ślina, a w przeczuciu wielkiej uciechy przy spożywaniu wędzonki przyjaźnie merda ogonem i rozwiera nozdrza jak najbujniejszy ogier, gdy zwietrzy klacz.

*

Koło schodów zamkowych na Małej Stranie znajduje się mała piwiarenka. Pewnego dnia w mrocznym jej kąciku siedzieli dwaj mężczyźni: żołnierz i cywil. Pochyleni ku sobie rozmawiali szeptem, tajemniczo. Podobni byli do spiskowców z czasów republiki weneckiej.

— Co dzień o ósmej — szeptał cywil do ucha żołnierzowi — prowadzi go służąca na róg Placu Havliczka do parku. Ale to drań, gryzie jak wściekły. Nie da się pogłaskać.

I pochylając się jeszcze niżej nad uchem żołnierza dodał:

— Nawet serdelka nie żre.

— Smażonego? — zapytał Szwejk.

— Nawet smażonego.

Obaj splunęli.

— Więc co ten drań żre?

— Kto go tam wie! Niejeden pies jest rozpieszczony jak arcybiskup.

Żołnierz i cywil trącili się kufłami, a cywil szeptał dalej:

— Pewnego razu jeden czarny szpic, który był mi potrzebny dla psiarni nad Klamovką, też nie chciał serdelka. Chodziłem koło niego trzy dni, aż wreszcie nie wytrzymałem i zapytałem tę panią, co prowadziła na smyczy, czym go karmi, że jest taki ładny. Pytanie pochlebilo niewieście, więc mi odpowiedziała, że najbardziej lubi kotlety. Więc kupiłem dla niego sznycel. Pomyślałem sobie, że to jeszcze lepsze. A widzisz, ten drań ani spojrzął na cielęcinę. Nałogowo żarł wieprzowinę. Trzeba było kupić kotlet wieprzowy. Dałem mu go powąchać i uciekłem. Pies za mną. Pani wołała: „Kropeczka! Kropeczka!” Ale gadaj zdrow! Kropeczka ani myślał słuchać. Za kotлетem poleciał aż za róg, tam założyłem mu łańcuszek na kark, a nazajutrz znajdował się już w psiarni nad Klamovką. Na szyi miał parę białych kłaczek, przemaalowali je na czarno i nikt go nie poznał. Ale dużo było takich psów, które poleciały na koński smażony serdelek. Zrobiłbyś najlepiej, gdybyś ją zapytał, co ten pies najbardziej lubi. Jesteś żołnierz, masz fajną postawę, to ci kobieta prędzej powie. Ja już się pytałem, ale ona spojrzęła na mnie, jakby mnie chciała przebić spojrzeniem, i powiada: „Co komu do tego?” Nie bardzo ładna, taki małpizyon, ale z żołnierzem gadać będzie.

— Czy aby prawdziwy pinczer? Mój oberlejtant innego nie chce.

— Jak malowanie. Pieprz i sól, prawdziwa rasa, tak jak ty Szwejk, a ja Błahnik. Chodzi o to, żeby się dowiedzieć, co on żre. Dam mu wtedy pojeść i przyprowadzę ci go.

Obaj przyjaciele znowu się trącili. Jeszcze przed wojną, gdy Szwejk zajmował się handlem psami, Błahnik mu je dostarczał. Był to mąż doświadczonej. Opowiadano sobie o nim, że kupował psy od hycła, nawet podejrzone, i sprzedawał je za dobre pieniądze. Miał już nawet raz wścieklicznę, a w Instytucie Pasteurowskim w Wiedniu czuł się jak u siebie w domu. Teraz uważał za swój obowiązek bezinteresownie dopomóc wojakowi Szwejkowi. Znał wszystkie psy w Pradze i w okolicy, a szeptem mówił dlatego, nie chciał zdradzić się wobec właściciela piwiarni, któremu przed paru miesiącami wyniósł z szynku pod kapotą szczenię jamnika. Dał pieskowi possać mleka z butelki ze smoczką, głupie szczenię wzięło go widać za mamę i ani pisnęło pod kapotą. Zasadniczo kradł tylko psy rasowe i znał się tak dobrze na rzeczy, że mógłby występować jako ekspert sądowy. Dostarczał psy wszystkim psiarniom i osobom prywatnym, jak popadło. Gdy szedł ulicą, warczały na niego wszystkie psy, które kiedyś ukradł, a jeśli zatrzymał się przed wystawą

sklepową, to często gęsto poza jego plecami jakiś mściwy psiak podniósł łapkę i pokropił mu spodnie.

*

Nazajutrz o godzinie ósmej rano dobry wojak Szwejk przechadzał się na rogu Placu Havliczka koło parku. Czekał na służącą z rasowym pieskiem. Nareszcie doczekał się: tuż koło niego przebiegł pies z mądrymi oczami i najeżoną sierścią. Był wesoły i zadowolony jak wszystkie psy po załatwieniu swej potrzeby i uganiał się za wróblami spożywającymi śniadanie na kupie końskiego nawozu.

Potem przeszła obok niego ta, która psa pilnowała. Była to niewiasta nie pierwszej młodości, z warkoczami zgrabnie upiętymi dokoła głowy. Pogwizdywała na psa i bawiła się łańcuszkiem oraz eleganckim biczykiem.

Szwejk przemówił do niej:

— Przepraszam, panienko, którądy idzie się na Žižkov?

Przystanęła i spojrzała na niego, czy to aby nie kpiarz jaki, ale pocziwa twarz Szwejka przekonała ją, że ten żołnierz naprawdę chce iść na Žižkov. Wyraz jej twarzy zmiękł i chętnie zaczęła mu tłumaczyć, jak to się idzie na ten Žižkov.

— Bo ja dopiero niedawno zostałem przeniesiony do Pragi — mówił Szwejk. — Ja nietutejszy. Jestem z prowincji, a panienska też widać nie z Pragi.

— Ja z Vodnian — odpowiedziała.

— No to pochodzimy z tych samych stron — odpowiedział Szwejk. — Ja z Protivina.

Znajomość geografii czeskiego południa, którą Szwejk przyswoił sobie kiedyś podczas manewrów, napelniła serce dziewczyny regionalnym ciepłem.

— To zna pan w Protivinie na rynku rzeźnika Pejchara?

— Jakże go nie znać? To mój kuzyn. Bardzo go tam u nas wszyscy lubią — mówił Szwejk — to człowiek dobry, usłużny, ma dobre mięso i dobrze waży.

— Czy pan przypadkiem nie Jaresz? — zapytała dziewczyna, zaczynając odczuwać sympatię dla nieznanego żołnierza.

— Jaresz.

— A z których Jareszów? Z tych z Krcza koło Protivina czy z Ražic?

— Z Ražic.

— A stary jeszcze rozwozi piwo?

— Ciągłe.

— Ten już będzie miał więcej jak sześćdziesiąt.

— Sześćdziesiąt osiem skończył na wiosnę — odpowiedział spokojnie Szwejk. — Teraz kupił sobie psa, i jazda, panie gazda. Pies siedzi na wozie i pilnuje. Akurat taki pies jak ten, co goni wróble. Ładny piesek, bardzo ładny.

— To nasz — pouczała go nowa znajoma. — Ja jestem w obowiązku u pana pułkownika. Pan nie zna naszego pułkownika?

— Znam go, to bardzo inteligentny pan — rzekł Szwejk. — U nas w Budziejowicach też był taki jeden oberst.

— Nasz pan jest bardzo surowy, a gdy niedawno mówili, że nas w Serbii sprali, to przyszedł do domu wściekły, potłukł w kuchni wszystkie talerze i chciał mnie wyrzucić.

— A więc to pana obersta piesek? — przerwał jej Szwejk. — Szkoda, że mój oberlejtant psów nie znosi, bo ja bardzo psy lubię. — Milczał przez chwilę, a potem rzekł: — Psy są wybredne, nie każdy pies żre wszystko, co mu dają.

— Nasz Fox też bardzo wybredny. Przez jakiś czas w ogóle nie chciał żreć mięsa, ale teraz żre znowu.

— A co mu najlepiej smakuje?

— Wątroba, gotowana wątroba.

— Cieleńca czy wieprzowa?

— Wszystko jedno — roześmiała się „krajanka” Szwejka, uważając jego pytanie za lichy dowcip.

Spacerowali jeszcze przez chwilę, potem przyłączył się do nich pinczer, którego służąca wzięła na łańcuszek. Wobec Szwejka zachowywał się bardzo poufale i próbował rozdrzeć mu spodnie, choćby przez kaganiec. Co chwilę skakał na Szwejka, ale nagle, jakby

wyczuwszy jego złe względem siebie zamiary, przestał skakać, szedł przygnębiony obok niego i spoglądał na obcego człowieka spode łba, jakby chciał rzec: „A więc i mnie czeka to samo?”

Nowa znajoma powiedziała mu jeszcze, że wychodzi tu z psem także wieczorami, zawsze o szóstej, że żadnemu praskiemu mężczyźnie nie ufa, bo raz dała ogłoszenie do gazety, zjawił się na to jakiś ślusarz oświadczając, że będzie się z nią żenił, wycygał od niej osiemset koron na jakiś tam wynalazek i przepadł. Na prowincji ludzie są stanowczo uczciwsi. Gdyby miała wychodzić za męża, to tylko za człowieka z prowincji, ale dopiero po wojnie. Wojenne małżeństwa uważa za głupstwo, ponieważ zazwyczaj każda taka niewiasta zostaje wdową.

Szwejk zapewnił ją uroczyście, że wieczorem przyjdzie, i zawrócił do piwiarni, aby powiedzieć przyjacielowi Blahnikowi, że ten pies żre wątrobę, wszystko jedno jaką.

— Poczęstuję go wołową — postanowił Blahnik. — Wziąłem już na nią raz bernardyna fabrykanta Vydry, stworzenie ogromnie wierne. Jutro przyprowadzę ci psa w porządku.

Blahnik dotrzymał słowa. Gdy Szwejk kończył przedpołudniowe sprzątnięcie, ozwało się za drzwiami szczeknięcie i Blahnik wciągnął do mieszkania opierającego się pinczera, który był w tej chwili jeszcze bardziej zjeżony niż zazwyczaj. Dziko wywraçał oczy i spoglądał przed siebie tak ponuro, że przypominał głodnego tygrysa, zamkniętego w klatce, przed którą stoi wypasiony gość ogrodu zoologicznego. Szczękał zębami i warczał, jakby chciał rzec: „Rozszarpie wszystko i zeżre”.

Przywiązali psa przy stole kuchennym i Blahnik opowiedział, jak się wszystko odbyło.

— Umyślnie szedłem przy nim, a w papierze niosłem gotowaną wątrobę. Zaczął węszyć i podskakiwać ku mnie. Nie dałem mu nic i szedłem dalej; pies za mną. Koło parku skręciłem w ulicę Bredova i tam dałem mu pierwszy kawałek. Pożerał wątrobę nie zatrzymując się, żeby mnie z oczu nie stracić. Skręciłem w ulicę Jindrżiską i dałem mu nową porcję. Potem, gdy się nażarł, wziąłem go na smycz i ciągnąłem go przez Plac Wacława na Vinorady aż do Vrszovic. Po drodze wyrabiał mój piesek istne cuda. Kiedy przechodziłem przez tor tramwajowy, położył się i ani rusz. Chciał widać, żeby go tramwaj przejechał. Przyniosłem ci też czysty formularzyk rodowodu, który kupiłem u papiernika Fuchsa. Musisz zmajestrować rodowód, Szwejk.

— Rodowód musi być wypisany twoją ręką. Napisz, że pochodzi z Lipska, z psiarni von Bülow. Ojciec Arnheim von Kahlsberg, matka Emma von Trautensdorf, po ojcu Zygfrydzie von Busenthal. Ojciec otrzymał pierwszą nagrodę na berlińskiej wystawie pinczerów w roku tysiąc dziewięćset dwunastym. Matka odznaczona złotym medalem norymberskich stowarzyszeń hodowców psów szlachetnych. Wiele lat może mieć, jak ci się zdaje?

— Podług zębów, dwa lata.

— Napisz półtora roku.

— Kiepsko ma uszy przycięte. Widzisz, Szwejk?

— Jest na to rada. Jeśli będzie trzeba, przytniemy mu uszy, ale dopiero wtedy, gdy się do nas przyzwyczai. Teraz byłby jeszcze bardziej zły.

Porwany piesek warczał jak wściekły, sapał, rzucał się, aż wreszcie położył z wywieszonym językiem, zmęczony, i czekał, co będzie z nim dalej.

Uspokajał się powoli i tylko od czasu do czasu żałośnie skowycał.

Szwejk położył przed nim resztę wątroby, otrzymaną od Blahnika. Ale pies odwrócił się od niej i rzucił na obu wściekle spojrzenie, jakby mówił: „Już raz wpadłem, sami sobie to zeżryjcie”.

Leżał zrezygnowany i udawał, że drzemie. Potem strzeliło mu raptem coś do głowy, wstał, zaczął służyć i prosić przednimi łapami. Poddawał się.

Ta wzruszająca scena nie wywarła na Szwejkowi najmniejszego wrażenia.

— Leżeć! — krzyknął na biedaka, który znowu położył się na podłodze skomląc żałośnie.

— Jakie imię wpiszemy mu do rodowodu? — zapytał Blahnik. — Wabił się Fox, więc trzeba mu dać imię podobne, żeby się szybko przyzwyczaił.

— To go nazwiemy na przykład „Max”. Widziałeś, jak nadstawia uszy? Pójdź tu, Max!

Nieszczęśliwy rasowy pies, któremu zabrano dom, pana i imię, wstał i oczekiwał dalszych rozkazów.

— Myślę, że można go odwiązać — rzekł Szwejk. — Zobaczymy, co będzie robił.

Gdy go odwiązano, pies od razu puścił się do drzwi. Szczeknął trzy razy na klamkę, licząc zapewne na wspaniałomyślność tych złych ludzi. Widząc wszakże, że nie mają zrozumienia dla jego pragnień wydostania się na dwór, zrobił przy drzwiach kałużę, w przekonaniu, że zostanie wyrzucony za drzwi, jak się to działo niegdyś, gdy był młody, a pułkownik uczył go ostro, po wojskowemu, jak się ma zachowywać w mieszkaniu.

Zamiast tego Szwejk rzekł:

— Sprytna bestia! Jezuita z niego!

Rzekłszy to przeciągnął go pasem i tak dokładnie unurzał mu pysk w kałużę, że pies nie nadążył się oblizywać.

Skomlił, pohańbiony, i zaczął biegać po kuchni, węsząc własne ślady, następnie podbiegł szybko do stołu, pożarł resztę wątroby zostawionej dla niego na podłodze, położył się koło pieca i zasnął po całej tej awanturze.

— Wiele jestem ci winien? — zapytał Szwejk Blahnika, gdy się z nim żegnał.

— Nie mów o tym, Szwejk — rzekł Blahnik miękko. — Dla starego kamrata zrobię wszystko, tym bardziej gdy służy w wojsku. Zostań z Bogiem, chłopie, i nie prowadź go nigdy przez Plac Havliczka, żeby się nie stało jakie nieszczęście. Gdyby ci był potrzebny jeszcze jaki piesek, to wiesz, gdzie mieszkam.

Szwejk pozwolił Maxowi wyspać się porządnie, tymczasem zaś kupił u rzeźnika ćwierć kilograma wątroby, ugotował ją i czekał, aż się pies przebudzi. Pod nos położył mu kawałek ciepłej wątroby.

Max zaczął oblizywać się przez sen, potem przeciągnął się, obwąchał wątrobę i pożarł ją. Następnie podszedł ku drzwiom i powtórzył próbę wydostania się na dwór.

— Pójdź tu, Max! — zawołał Szwejk.

Pies zbliżył się do niego nieufnie. Szwejk wziął go na kolana, pogłaskał i Max po raz pierwszy zamerdzał szczątkiem swego przyciętego ogona. Delikatnie złapał rękę Szwejka zębami i spojrzał na niego tak mądrze, jakby chciał rzec: „Tu się nie da nic zrobić. Już wiem, że sprawę przegrałem”.

Szwejk głaskał go dalej i zaczął mu opowiadać głosem tklwym:

— Był sobie jeden piesek, nazywał się Fox i mieszkał u niejakiego obersta. Służąca prowadziła go na spacer, aż przyszedł jeden pan i Foxa ukradł. Fox dostał się do wojska do jednego oberlejtanta i dali mu imię Max. Daj łapę, Max! No, widzisz, bydlę jedno, że będziemy dobrymi przyjaciółmi, jeśli będziesz grzeczny i posłuszny. Bo jak nie, to lanie.

Max zeskoczył z kolan Szwejka i zaczął dokazywać. Wieczorem, gdy porucznik wrócił z koszar, Szwejk i Max byli już najlepszymi przyjaciółmi.

Spoglądając na Maxa Szwejk filozofował:

— Jak pomyśleć akuratnie, to właściwie każdy żołnierz jest też wykradziony ze swego domu jak ten pies.

Porucznik Lukasz był bardzo mile zaskoczony widokiem Maxa, który też ucieszył się szczerze, znowu zobaczywszy człowieka z szablą.

Na pytanie, skąd pies pochodzi i ile kosztuje, odpowiedział Szwejk z pełnym spokojem, że dostał go w podarunku od jednego przyjaciela, który akurat musiał stanąć do wojska.

— Dobrze, Szwejk — rzekł porucznik bawiąc się z Maxem — na pierwszego dostaniecie ode mnie pięćdziesiąt koron za psa.

— Nie mogę przyjąć, panie oberlejtant.

— Szwejk — rzekł surowo porucznik — kiedyście się meldowali na służbę u mnie, powiedziałem wam, że musicie spełniać każdy mój rozkaz. Gdy wam mówię, że dostaniecie pięćdziesiąt koron, to musicie je przyjąć i przepić. Co zrobicie, Szwejk z tymi pięćdziesięcioma koronami?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że je przepiję według rozkazu.

— A gdybym czasem zapomniał o tym, to rozkazuję wam abyscie mi meldowali, że wam się należy pięćdziesiąt koron. Rozumiecie? A pcheł ten pies nie ma? Lepiej go od razu wykapać i wyczesać. Jutro mam służbę, ale pojutrze pójde z nim na spacer.

Podczas gdy Szwejk kąpał Maxa, pułkownik, były jego właściciel, strasznie awanturował się w domu i groził, że odda pod sąd polowy tego, kto mu psa ukradł, że go każe rozstrzelać, powiesić, zamknąć w więzieniu na dwadzieścia lat i rozsiekać na kawałki.

— *Der Teufel soll den Kerl buserieren!* — krzyczał pułkownik aż szyby brzęczały — *Mit solchen Meuchelmörden werde ich bald fertig.*

Nad Szwejkiem i nad Lukaszem unosiła się w powietrzu katastrofa.

XV. KATASTROFA

Pułkownik Fryderyk Kraus, mający też przydomek von Zillergut, jako pamiątkę po jakiejś wioszczynie w Salzburgu, którą przodkowie jego przepili jeszcze w osiemnastym wieku, był czcigodnym bałwanem. Gdy coś opowiadał, to mówił o rzeczach wszystkim dobrze znanych, a jeszcze pytał przy tym słuchaczy, czy dobrze rozumieją najbardziej elementarne pojęcia.

— A więc okno, panowie. Wiecie, co to jest okno?

Albo na przykład:

— Droga, która po obu stronach ma rowy, nazywa się szosą. Tak, panowie. Wiecie, co to jest rów? Rów to wykop, nad którym pracuje sporo ludzi. Jest to zagłębienie. Tak. Kopie się rydlami. Wiecie, co to jest rydel?

Miał manię objaśniania wszystkiego, a czynił to z takim zapalem, jak jaki wynalazca opowiadający o swoim dziele.

— Książka, proszę panów, to pewna ilość rozmaicie pociętych ćwiartek papieru różnego formatu, który jest zadrukowany, ułożony, zeszyty i zlepiony. Tak. Wiecie, panowie, co to jest klej? Klejem się lepi.

Był tak potwornie głupi, że oficerowie uciekali od niego i omijali go z dala, aby nie słuchać jego wykładu, że trotuar oddzielony jest od jezdni, że jest to podwyższony pas bruku przed frontem domu, zaś front domu to ta część, którą widzimy z ulicy lub z chodnika. Tylnej części domu z trotuaru zobaczyć nie można, o czym łatwo się przekonać, gdy się stanie na jezdni.

Gotów był zademonstrować tę interesującą rzecz na poczekaniu, ale na szczęście przejechało go. Od tego czasu zgłupiał jeszcze bardziej. Zatrzymywał oficerów i wdawał się z nimi w nieskończenie długie rozmowy o omletach, słońcu, termometrach, pączkach, oknach i znaczkach pocztowych.

Było naprawdę dziwne, że ten idiota mógł stosunkowo szybko awansować i że posiadał poparcie ludzi wpływowych, jak na przykład dowodzącego generała, który popierał go pomimo jego absolutnej niezdatności.

Podczas manewrów dokazywał ze swoim pułkiem istnych cudów. Nigdy nie dotarł do oznaczonego celu na czas, prowadził żołnierzy kolumnami pod karabiny maszynowe, a kiedyś przed laty podczas manewrów cesarskich na południu Czech zdarzyło się, że razem ze swoim pułkiem zabłąkał się, dostał się aż na Morawy i włóczył się z nim jeszcze parę dni po ukończonych manewrach, gdy żołnierze innych pułków już dawno siedzieli w koszarach. Uszło mu i to.

Jego przyjacielskie stosunki z generałem dowodzącym i z innymi, niemniej idiotycznymi dygnitarzami wojskowymi starej Austrii, przyniosły mu szereg odznaczeń i orderów. Czuł się ogromnie wyróżniony i uważał się za najlepszego żołnierza pod słońcem oraz za teoretyka strategii i wszystkich nauk wojskowych.

Podczas przeglądu pułku wdawał się w rozmowę z żołnierzami i pytał ich zawsze o to samo:

— Dlaczego karabin, jakiego używa wojsko, nazywa się manlicher?

W pułku przezywali go z tej racji „*Manlichertrattel*”. Był niezwykle mściwy, gubił podwładnych oficerów, jeśli mu się nie podobali, a gdy który z nich chciał się żenić, to władzom wyższym wydawał o nim jak najgorszą opinię.

Brakowało mu połowy lewego ucha, którą w młodości odciął mu w pojedynku jego przeciwnik, wyzwany przez niego za proste stwierdzenie faktu, że Fryderyk Kraus von Zillergut jest skończonym bałwanem.

Po analizie jego przymiotów umysłowych łatwo doszlibyśmy do wniosku, że przymioty te nie były wcale lepsze od tych, które wstawiły gburowatego Habsburga, Franciszka Józefa, jako notorycznego idiotę.

Jego mowa miała te same akcenty, w jego głowie mieścił się taki sam zasób naiwności. Podczas pewnego bankietu w kasynie oficerskim, gdy rozmawiano o Schillerze, pułkownik Kraus von Zillergut wyrwał się ni w pięć, ni w dziewięć:

— Widziałem wczoraj, moi panowie, pług parowy pędzony przez lokomotywę. Przedstawcie sobie, panowie, przez lokomotywę, ale nie przez jedną, lecz przez dwie lokomotywy. Patrzę: dym, podchodzę bliżej, a to lokomotywa, a z drugiej strony druga. Powiedzcie, panowie, czy to nie śmieszne? Dwie lokomotywy, jakby nie dość było jednej.

Przez chwilę milczał, a potem dorzucił:

— Gdy się benzyna wyczerpie, to automobil musi się zatrzymać. To też wczoraj widziałem. A potem głądzi się o zachowaniu energii! Nie jedzie, stoi, nie ruszy się, bo nie ma benzyny. Czy to nie śmieszne?

Przy swojej tępotce był niezwykle pobożny. W mieszkaniu miał ołtarz domowy. Często chodził do kościoła Św. Ignacego do spowiedzi i do komunii, a od początku wojny modlił się o powodzenie wojsk austriackich i niemieckich. Chrześcijaństwo mieszał z mazeniami o hegemonii germańskiej. Bóg miał dopomóc zwycięzcom do wydarcia pokonanym ziemi i bogactw.

Wpadał zawsze w istny szał, gdy przeczytał w gazetach, że przywieziono jeńców.

— Po co brać jeńców? — mawiał. — Powystrzelać ich wszystkich bez miłosierdzia! Tańczyć po trupach! Wszystkich cywilów w Serbii spalić co do jednego! Dzieci pozakławać bagnietami!

Nie był wcale gorszy od niemieckiego poety Vierordta, który podczas wojny wydrukował wiersze wzywające ojczyznę niemiecką, aby duszą z żelaza nienawidziła i mordowała miliony diabłów francuskich.

Niech aż pod obłoki, ponad góry,
Gromadzą się kości ludzkie i dymiące ciała...

*

Skończywszy wykład w szkole jednorocznych ochotników, porucznik Lukasz wyszedł z Maxem na spacer.

— Pozwalam sobie zwrócić uwagę pana oberlejtanta — rzekł zatroskany Szwejk — że z tym psem trzeba bardzo ostrożnie, żeby nie uciekł. Może zatęsknić na przykład za dawnym panem i mógłby dać dęba, gdyby go pan spuścił ze smyczy. Nie radziłbym też chodzić z nim przez Plac Havliczka, bo tam włóczy się jeden zły pies rzeźnicki spod „Mariańskiego Obrazu”. To strasznie zły pies; jak tylko zobaczy w swoim rewirze obcego psa, to zaraz robi się strasznie zazdrosny, żeby mu tamten czego nie zeżarł. Takie to psisko jak i ten żebrak od Świętego Hasztala.

Max podskakiwał wesoło i plątał się między nogami, okręcił łańcuszek dokoła szabli porucznika i wyrażał wielką radość, że pójdzie na spacer.

Wyszedszy na ulicę porucznik Lukasz skierował się w stronę Przikopów. Miał się spotkać z pewną damą na rogu ulicy Pańskiej. Pograżony był w myślach urzędowych. O czym ma jutro wykladać jednorocznym ochotnikom w szkole? Jak określamy wysokość danego wzniesienia? Dlaczego określamy wysokość licząc zawsze od poziomu morza? Jak w stosunku do poziomu morza obliczamy wysokość wzniesienia, licząc od jego podnóża? Po co, do diabła, Ministerstwo Wojny włącza takie sprawy do programów szkolnych! To przecie rzecz artylerii. Istnieją też mapy sztabu generalnego. Gdy nieprzyjacieli znajdować się będzie na wzgórzu 312, to nie będzie czasu rozmyślać o tym, dlaczego wysokość wzgórzka podana jest licząc od poziomu morza, ani nie będzie czasu, aby zabrać się do określenia jego własnej wysokości. Spogląda się na mapę, i basta.

Z rozmyślań tych wyrwało porucznika ostre wezwanie: „Halt!” Ozwało się ono nad jego uchem akurat w chwili, gdy zbliżał się do ulicy Pańskiej.

Jednocześnie z ozwaniem się tego głosu pies szarpnął się na łańcuszku i z radosnym ujadaniem rzucił się w stronę człowieka, który krzyknął: „Halt!”

Przed porucznikiem stał pułkownik Kraus von Zillergut. Porucznik Lukasz salutował tłumacząc się pułkownikowi, że go nie zauważył.

Pułkownik znany był z tego, że namiętnie lubił zatrzymywać podwładnych.

Salutowanie uważał za coś, od czego zawisły losy wojny i na czym oparta jest potęga armii.

„W salutowanie żołnierz powinien wkładać duszę”, mawiał. Był to wyraz najpiękniejszego kaprałskiego mistycyzmu.

Pilnował i uważał, aby salutujący oddał ukłon wojskowy ściśle według przepisów do najsubtelniejszych szczegółów włącznie, precyzyjnie, z powagą.

Czyhał na wszystkich, którzy go omijali: od piechura aż do podpułkownika. Takich szeregowców, którzy salutowali mimochodem, ledwie dotykając daszka czapki, jakby chcieli rzec: „Jak się masz?”, zatrzymywał i sam prowadził ich do koszar dla ukarania.

Nie można było tłumaczyć się przed nim słowem: „Nie widziałem”.

„Żołnierz, mawiał, winien szukać swego przełożonego w tłumie i nie wolno mu myśleć o niczym innym, tylko o tym, aby spełnić swój obowiązek przepisany przez regulamin służbowy. Gdy pada na pobojowisku, winien przed skonaniem zasalutować. Kto nie umie salutować, udaje, że nie widzi, albo salutuje niedbale, jest dla mnie bydlakiem”.

— Panie poruczniku — straszliwym głosem mówił pułkownik Kraus — niższe stopnie obowiązane są oddawać cześć wyższym. To nie jest zniesione. A po drugie: od kiedy to panowie oficerowie przyzwyczaili się chodzić na spacer z kradzionymi psami? Tak jest: z kradzionymi. Pies, który jest własnością kogoś innego, jest psem kradzionym.

— Ten pies, panie pułkowniku... — zaczął się tłumaczyć Lukasz.

— Jest moim psem, panie poruczniku — szorstko przerwał mu pułkownik. — To mój Fox.

A Fox czy Max przypomniał sobie dawnego pana, nowego zaś wyгнаł z serca i wyrwawszy się porucznikowi obskakiwał pułkownika z takim nadmiarem radości, na jaką zdobyć się może tylko gimnazista wysłuchany przez ukochaną.

— Chodzenie na spacer z kradzionymi psami nie daje się pogodzić z honorem oficerskim. Pan nie wiedział? Oficer nie może kupować psa nie przekonawszy się, że może go kupić bez przykrych dla siebie następstw! — grzmiał pułkownik Kraus głaszcząc Foxa-Maxa, który z psią podłością zaczął warczeć na porucznika i wyszczerzać na niego zęby, jakby pułkownik poszczuł go na swoją ofiarę: „Weź go!”

— Panie poruczniku — mówił pułkownik dalej — czy uważałby pan za właściwe jeździć na kradzionym koniu? Nie czytał pan ogłoszenia w „Bohemii” i „Tagblacie”, że zginął mi rasowy pinczer? Jak to, nie czytał pan ogłoszenia swego przełożonego?

Pułkownik załamał ręce ze zdumienia.

— Udali się ci młodzi oficerowie! A gdzie dyscyplina? Pułkownik posyła do gazety ogłoszenie, a porucznik nie czyta go!

„Gdybym ci, dziadu stary, mógł dać parę razy w pysk...” — myślał porucznik Lukasz spoglądając na bokobrody pułkownika przypominające orangutana.

— Niech pan idzie ze mną kawalek — rzekł pułkownik.

Porucznik szedł obok przełożonego prowadząc z nim miłą rozmowę.

— Na froncie panie poruczniku, taka rzecz przynajmniej nie będzie się wam mogła już więcej przytrafić. Spacerować sobie na tyłach z kradzionymi psami to rzecz istotnie wielce nieprzyjemna. Tak. Spacerować z psem swego przełożonego. I to w czasach, gdy na polach bitew co dzień tracimy setki najlepszych oficerów. A ogłoszeń się nie czyta. Przecież w taki sposób przez sto lat mógłbym zamieszczać ogłoszenia, że mi zginął pies. Dwieście lat, trzysta lat!

Pułkownik głośno się wysmarkał, co zawsze oznaczało u niego wysoki stopień wzburzenia, i rzekł:

— Może pan spacerować dalej.

Odwrócił się i poszedł chłoscząc gniewnie szpicrutą poły swego oficerskiego płaszcza.

Porucznik Lukasz przeszedł na drugi chodnik, ale i tam usłyszał surowe: „Halt!” Pułkownik zatrzymał właśnie jakiegoś nieszczęśliwego piechura, rezerwistę, który myślał o swojej mamie siedzącej w domu i przeoczył zwierzchnika.

Pułkownik własnoręcznie ciągnął go do koszar dla ukarania i wyzywał go od morskich świń.

„Co ja z tym Szwejkem zrobię? — myślał porucznik. — Rozpłatom mu głowę, ale to mało. Pasy drzewc z tego lotra, i tego nie dość”.

Zapominając, że miał się spotkać z pewną damą, wzburzony skierował się w stronę swego mieszkania.

— Zabiję tego drania! — rzekł wsiadając do tramwaju.

*

Tymczasem dobry wojak Szwejk zajęty był interesującą rozmową z żołnierzem z koszar, który przyniósł porucznikowi jakieś papiery do podpisania i czekał na niego.

Szwejk podejmował go kawą i przy tym napoju opowiadali sobie, że Austria się przejedzie.

Rozmawiali tak, jakby nic lepszego i pewniejszego nie mieli sobie do powiedzenia. Był to niekończący się potok słów, które z wszelką pewnością byłyby przez sąd określone jako zdrada stanu i za które byliby powieszani.

— Najjaśniejszy pan musiał z tego wszystkiego do reszty zidiociec — oświadczył Szwejk. — Nigdy nie był sprytny, ale ta wojna go z pewnością dobije.

— Już zidiociał — z całą pewnością zadeklarował żołnierz z koszar. — Głupi jak nogi stołowe. Może nawet nie wie, że jest wojna. Być może, że wstydzi się powiedzieć mu o tym. Ten podpis na manifestie do jego narodów to też pewno szachrajstwo. Kazali wydrukować bez jego wiedzy, bo on już o niczym myśleć nie może.

— Gotów jest, i tyle — tonem znawcy zawyrokował Szwejk. — Robi pod siebie i muszą go karmić jak małe dziecko. Niedawno opowiadał w szynku jeden pan, że ma dwie mamki i że trzy razy dziennie dają cesarzowi ssać.

— Żeby nam wreszcie porządnie skórę złoili — westchnął żołnierz z koszar — byłby wreszcie z tą Austrią spokój.

Obaj rozmawiali w ten sposób dalej, aż wreszcie Szwejk potępił Austrię ostatecznie:

— Takiej idiotycznej monarchii nie powinno być na świecie.

Słowa te uzupełnił drugi żołnierz zdaniem, które było niejako wnioskiem praktycznym:

— Jak mnie pošlą na front, to im zwieję.

Gdy obaj żołnierze w dalszym ciągu wyrażali pogląd czeskiego człowieka na wojnę, żołnierz z koszar powtórzył, o czym słyszał dzisiaj na mieście, że koło Nachoda słychać armaty i że w najbliższym czasie car będzie w Krakowie.

Potem opowiadali sobie o tym, że zboże z całego kraju wywozi się do Niemiec, że niemieccy żołnierze dostają papierosy i czekoladę.

Następnie przypominali sobie wzajemnie czasy dawnych wojen, a Szwejk poważnie wywodził, że wtedy, kiedy za mury oblężonego miasta rzucono garnki, pełne smrodliwych rzeczy, wojowanie w takim smrodzie też nie było osobliwą przyjemnością. Opowiadał koledze, iż czytał, że jakiś zamek oblegany był przez całe trzy lata, a nieprzyjaciel nic innego nie robił, tylko dzień w dzień bawił się w taki właśnie sposób z oblężonymi.

Byłby niezawodnie powiedział jeszcze coś interesującego i pouczającego zarazem, ale rozmowę ich przerwał powrót porucznika Lukasa.

Rzuciwszy straszliwe, miazdzące spojrzenie na Szwejka, podpisał papiery, odesłał żołnierza i skinął na Szwejka, aby poszedł za nim do pokoju.

Oczy porucznika miotały straszliwe błyskawice. Siadłszy na krześle zastanawiał się spoglądając na Szwejka, kiedy zacząć masakrę.

„Najpierw dam mu parę razy w pysk — myślał — potem rozpłatom mu nos i pobrykam uszy, a dalej się zobaczy”.

Tymczasem spoglądała na niego szczerze i tkliwie para poczciwych, niewinnych oczu Szwejka, który odważył się przerwać ciszę przed burzą tymi słowami:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że kota już pan nie ma. Zeżarł pastę do butów i pozwolił sobie zdechnąć. Wrzuciłem go do piwnicy, ale do sąsiedniej. Takiego porządnego i ładnego kota angorskiego już pan nie znajdzie.

„Co ja z nim zrobię? — przemknęło porucznikowi przez myśl. — Na miłość boską, przecież ma taki idiotyczny wyraz twarzy!”

Zaś poczciwe, niewinne oczy Szwejka dalej promieniały tkliwością i dobrocią, połączoną z wyrazem absolutnej równowagi ducha, jakby mówił, że wszystko jest w porządku i nic się nie stało, a jeśli się nawet stało, to i to jest w porządku, że w ogóle coś się dzieje.

Porucznik Lukasz podskoczył ku Szwejkowi, ale go nie uderzył, jak pierwotnie zamierzał. Machnął mu pięścią pod nosem i ryknął:

— Wyście, Szwejk, ukradli psa!

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że o żadnym takim wypadku nie wiem, i pozwalam sobie, panie oberlejtant, zauważyć, że z Maxem wyszedł pan po południu na spacer, więc go ukraść nie mogłem. Mnie zaraz to zastanowiło, że pan wrócił do domu bez psa. Pomyślałem, że musiało się coś stać. To się nazywa sytuacja. Przy ulicy Spalonej mieszkał rymarz Kunesz, to on też nie mógł wybrać się z psem na spacer, bo go zaraz zgubił. Zazwyczaj zapominał go gdzieś w szynku albo mu go kto kradł, czy też pożyczył go sobie i nie oddał...

— Szwejk, bydlę jedno, *Himmellaudon*, stulcie pysk! Albo jesteście taki wyrafinowany nikczemnik, albo też jesteście taki bałwan i idiota, który nic nie rozumie. Ciągłe przytaczacie przykłady, ale ostrzegam was, że ze mną żartów nie ma! Skąd wzięliście tego psa? Kto wam go dał? Czy wiecie, że to pies naszego pułkownika, który odebrał mi go, gdyśmy się z nim przypadkowo spotkali? Czy rozumiecie, że to okropny wstyd dla mnie? Gadajcie prawdę: ukradliście go czy nie?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że go nie ukradłem.

— Wiedzieliście o tym, że ten pies jest kradziony!

— Posłusznie melduję, że wiedziałem, że ten pies jest kradziony.

— Szwejk, Jezus Maria, *Himmelberrgott*, ja was zastrzele, wy bydlę jedno, wy ośle, wy wole, wy gówniarzu jeden! Czy można być takim bałwanem?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że można.

— Czemuście mi przyprowadzili kradzionego psa? Czemuście mi tę bestię wprowadzili do mieszkania?

— Żeby sprawić panu przyjemność, panie oberlejtant.

Oczy Szwejka łagodnie i tkliwie spoglądały na twarz porucznika, który usiadł i jęknął:

— Czemu Bóg mnie karze takim bydlakiem!

W cichej rezygnacji siedział porucznik na krześle, doznając uczucia, że nie ma siły, aby Szwejka huknąć w łeb, a nawet nie ma jej tyle, aby skrócić papierosa. Sam nie wiedząc dlaczego to czyni, posłał Szwejka po „Bohemię” i po „Tagblatt”, żeby ten sobie przeczytał ogłoszenie pułkownika o skradzionym psie.

Szwejk powrócił rozpromieniony z gazetami rozłożonymi na stronie, na której znajdowały się ogłoszenia, i z radością meldował:

— Jest ogłoszenie, proszę pana oberlejtanta. Tak ładnie opisał pan oberst tego skradzionego rasowego pinczera, aż miło czytać. I jeszcze obiecał sto koron nagrody temu, kto psa przyprowadzi. To bardzo przyzwoite wynagrodzenie. Zwykle daje się pięćdziesiąt koron nagrody. Niejaki Bożetech z Konsirzów utrzymywał się w taki sposób. Zawsze kradł jakiego psa, a potem czytał w ogłoszeniach, czy go poszukują, i zaraz go tam odprowadzał. Pewnego razu ukradł ładnego czarnego szpica, a ponieważ właściciel nie poszukiwał psa przez ogłoszenia, zrobił próbę i sam ogłosił o szpicu w gazecie. Zapłacił za to całych pięć koron, po czym zgłosił się jeden pan, że to jego pies, że mu zginął i że myślał ten pan, iż szukanie nie zdałoby się na nic, bo nie wierzy w istnienie ludzi uczciwych. Ale że teraz widzi, że jeszcze są poczciwi ludzie, co go ogromnie cieszy. Zasadniczo, powiada, przeciwny jest wynagradzaniu uczciwości, ale na pamiątkę podaruje mu swoją książkę o hodowli kwiatów w domu i w ogródku. Mój zacny Bożetech złapał tego czarnego szpica za zadnie łapy i dał nim po łbie temu panu. Przysiągł sobie, że od tej chwili nigdy nie będzie zamieszczał ogłoszeń o znalezionych psach. Woli sprzedać psa hyclowi, gdy się o niego nikt nie troszczy i nie poszukuje go przez ogłoszenia.

— Idźcie spać, Szwejk — rozkazał porucznik. — Gotowi jesteście wyglupiać się tu do samego rana.

Sam też poszedł spać, a w nocy śniło mu się, że Szwejk skradł konia następcy tronu, przyprowadził mu go, a podczas przeglądu następcy tronu poznał tego konia, gdy on, nieszczęśliwy porucznik Lukasz, jechał na nim przed swoim oddziałem.

Rano porucznik czuł się tak, jakby przez całą noc hulał i jeszcze do tego został obity. Gnębiła go jakaś niezwykle ciężka zмора. Nad ranem zasnął jeszcze raz, zmęczony straszliwym snem, ale zbudziło go pukanie do drzwi, a zza nich wychyliła się pocziwa twarz Szwejka i ozwało się pytanie, kiedy pan porucznik każe się zbudzić.

Porucznik jęknął na łóżku:

— Precz, bydlaku! To coś straszego!

Gdy wstał i gdy Szwejk przyniósł mu śniadanie, porucznik został zaskoczony nieoczekiwanym pytaniem swego służącego:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, czy nie życzyłby pan sobie żebym się postarał o jakiego pieska?

— Wiecie, Szwejku, że mam wielką ochotę oddać was pod sąd polowy — mówił porucznik wzdychając — ale sąd uniewinniłby was, bo czegoś tak kolosalnie idiotycznego, jak wy, jeszcze świat nie widział. Spójrzcie na siebie w zwierciadle. Czy nie mdli was na sam widok waszego cymbalskiego wyrazu? Jesteście przecie najidiotyczniejszą igraszką przyrody, jakiej drugiej nie ma. No, powiedzcie sam, Szwejku, czy podobacie się sobie?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że się sobie nie podobam. Jestem w tym zwierciadle taki jakiś, jakby mi ktoś guzów ponabijał. To szkło nie jest szlifowane. U tego Chińczyka Stańka, co handluje herbatą, mieli kiedyś takie wypukłe lustro i jak ktoś spojrział w nie, to mu się chciało rzygać. Pysk taki, głowa jak ceber do pomyj, brzuch jak u pijanego kanonika, jednym słowem, kreatura. Przechodził tam kiedyś pan namiestnik, spojrzął na siebie i zaraz musieli to lustro zdjąć.

Porucznik odwrócił się, westchnął i uznał za słuszne zająć się raczej kawą ze śmietanką niż Szwejkem.

Szwejk gospodarował w kuchni; porucznik Lukasz słyszał, jak śpiewa:

Maszeruje Grenevîl przez Prochową bramę.

Szable mu się błyszczą, a dziewczuchy piszczą...

Potem słychać było inną piosenkę:

My, żołnierze, mamy święta,
Karty, wódka i dziewczęta,
I pieniędzy pełen trzos,
To ci los, to ci lo-ho-ho-hos...

„Takiemu bydlakowi wszędzie dobrze” — pomyślał porucznik i splunął.

We drzwiach ukazała się głowa Szwejka.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że przyszedł żołnierz z koszar, żeby pan się zaraz stawił u pana pułkownika.

I poufnie dodał:

— To pewno z powodu tego pieska.

— Już wiem — rzekł porucznik, gdy w sieni goniec chciał mu się meldować.

Rzekł to głosem stłumionym, a wychodząc rzucił na Szwejka miażdżące spojrzenie.

Nie chodziło o raport, ale o coś gorszego. Pułkownik siedział w fotelu ponury i zachmurzony, gdy porucznik wszedł do jego kancelarii.

— Przed dwoma laty, panie poruczniku, życzył pan sobie dostać się do Budziejowic do 91 pułku — mówił pułkownik. — Wie pan, gdzie są Budziejowice? Nad Wełtawą, tak, nad Wełtawą, tam gdzie wpada do niej rzeka Ohrza czy coś takiego. Miasto jest duże, że tak powiem, przyjemne, i jeśli się nie mylę, ma ono nadbrzeże. Wie pan, co to jest nadbrzeże? Jest to mur zbudowany nad wodą. Tak. Zresztą nie o to chodzi. Mieliśmy tam manewry.

Pułkownik zamilkł i spoglądając na kałamarz przeszedł do innego tematu:

— Ten mój pies zepsuł się u pana. Nie chce nic zjeść. Patrzcie, w kałamarzu jest mucha. Dziwna rzecz, że w zimie wpadają muchy do kałamarza. Nieporządek.

„Gadaj, stary safandulo” — myślał porucznik.

Pułkownik wstał i przeszedł się kilka razy po kancelarii.

— Długo myślałem nad tym, panie poruczniku, co właściwie mam zrobić z panem, żeby się taka rzecz powtórzyć nie mogła, i przypomniałem sobie, że życzył pan sobie zostać przeniesiony do 91 pułku. Naczelne dowództwo donosi nam, że w pułku tym bardzo daje się odczuwać brak oficerów, ponieważ Serbowie nam ich wybili. Daję panu słowo honoru, że przed upływem trzech dni będzie pan w 91 pułku w Budziejowicach, gdzie formują się marszbataliony. Nie musi pan dziękować. Wojsko potrzebuje oficerów, którzy...

Po czym, nie wiedząc, co ma jeszcze powiedzieć, spojrzął na zegarek i dodał:

— Już pół do jedenastej. Najwyższy czas iść do raportu pułkowego.

Na tym urwała się przyjemna rozmowa i porucznik odetchnął, gdy wyszedł z kancelarii pułkownika i znalazł się w szkole jednorocznych ochotników, którym oznajmił, że za kilka dni udaje się na front i że urządza wieczorek pożegnalny w „Nekazance”.

Po powrocie do domu rzekł do Szwejka z naciskiem:

— Wiecie wy, Szwejku, co to jest marszbatalion?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że marszbatalion to jest marszbaciar, a marszkompania to marszkuma. My zawsze wszystko skracamy.

— Więc wam, Szwejku, powiem — rzekł porucznik uroczystym głosem — że pojedziecie ze mną do takiego właśnie marszbaciara, kiedy tak lubicie skrót. Ale nie myślcie sobie, że na froncie będziecie wyprawiali takie idiotyczne kawały jak tutaj. Cieszyście się?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że bardzo się cieszę — odpowiedział dobry wojak Szwejk. — Będzie to wspaniałe, gdy obaj polegniemy za najjaśniejszego pana i jego rodzinę...

EPILOG

Kończąc pierwszą część książki mojej *Przygody dobrego wojaka Szwejka (Na tyłach)*, zawiadamiam, że wyjdą w szybkim tempie jedna za drugą dwie części: *Na froncie* i *W niewoli*. I w tych następnych częściach żołnierze i obywatele cywilni będą mówili i postępowali tak, jak jest w rzeczywistości.

Życie nie jest szkołą dobrych manier. Każdy mówi tak, jak potrafi. Mistrz ceremonii dr Guth wyraża się inaczej niż Palivec, właściciel gospody „Pod Kielichem”, a powieść ta nie uczy oglądy towarzyskiej ani też nie jest podręcznikiem do nauki wyrazów używanych w towarzystwie. Jest to historyczny dokument pewnej epoki.

Jeśli trzeba użyć jakiegoś dosadnego wyrazu, który naprawdę został wypowiedziany, nie wahać się go podać. Stylizowanie lub wykropkowanie czegoś jest dla mnie najgłupszą obłudą. Słów takich używa się i w parlamentach.

Słusznie powiedziano kiedyś, że dobrze wychowany człowiek może czytać wszystko. Nad tym, co jest naturalne, zastanawiają się tylko największe świntuchy i wyrafinowani rozpustnicy, którzy w swej zakłamej moralności nie biorą pod uwagę treści, ale ze złością rzucają się na poszczególne słowa.

Przed laty czytałem krytykę jakiejś nowelki, w której krytyk oburzał się, że autor napisał: „Wysmarkał się i utarł nos”. Sprzeciwia się to rzekomo wszystkiemu, co estetyczne, wzniosłe, co narodowi dać powinna literatura.

Oto mały przykład, jacy głupcy chodzą po ziemi.

Ludzie, którzy lękają się mocniejszych wyrażań, są tchórzami, bo naga rzeczywistość ich przeraża, a tacy właśnie słabi ludzie są największymi szkodnikami kultury i charakteru. Tacy wychowaliby naród jako gromadę przeczulonych człowieczków, masturbantów fałszywej kultury w rodzaju św. Alojzego, o którym powiedziano w księdze mnicha Eustachego, że gdy św. Alojzy usłyszał, jak mąż jeden z wielkim hukiem wypuścił swoje wiatry, rozplakał się i w modlitwie dopiero znalazł ukojenie.

Tacy ludzie ujawniają publicznie swoje oburzenie, ale z niezwykłym upodobaniem chodzą po publicznych szaletach dla odczytywania nieprzyzwoitych napisów na ścianach.

Używając w książce swej kilku mocnych wyrażań, zaznaczyłem za ledwie, jak się w życiu mówi.

Od szynkarza Palivca nie możemy wymagać, aby mówił tak wykwintnie jak pani Laudowa, dr Guth, pani Olga Fastrowa i całe zastępy tych, którzy najchętniej uczyni-

liby z całej Republiki Czechosłowackiej jeden wielki salon z parkietami, gdzie wszyscy chodziliby we frakach, w rękawiczkach, mówiliby w sposób wielce wyszukany i gdzie kwitłyby dobre maniery, a pod pięknymi pozorami wytworne lwy salonowe oddawałyby się najnikczemniejszym występkom.

*

Przy tej sposobności zwracam uwagę, że właściciel gospody Palivec żyje. Przetrwiał wojnę, którą przesiedział w więzieniu, i pozostał nadal tym, kim był wówczas, gdy miał znaną aferę z portretem cesarza Franciszka Józefa.

Przyszedł do mnie w odwiedziny, gdy dowiedział się, że jest w książce, i nabył przeszło dwadzieścia egzemplarzy pierwszego zeszytu, które rozdał swoim znajomym, czym przyczynił się do rozpowszechnienia mojej książki.

Szczerze cieszył się, że o nim pisałem i że przedstawiłem go jako znanego prostaka.

„Mnie już nikt nie przerobi — rzekł do mnie — bo ja przez całe życie mówiłem po prostaku, jak myślałem, i tak będę mówił dalej. Dla przypodobania się jakiejś tam krowie nie będę sobie zasłaniał gęby serwetką. Dzisiaj jestem sławny”.

Jego samowiedza rzeczywiście wzrosła. Sława jego oparta jest na kilku krzepkich wyrażeniach. Wystarcza mu to i daje zadowolenie, a gdybym chciał przez wierne i dokładne reprodukcje jego wyrażen zwrócić mu uwagę, że nie powinien tak mówić, jak mówi, co oczywiście nie było moim zamiarem, to niezawodnie obraziłbym tego dobrego człowieka.

Niewyszukanymi słowami, prosto i uczciwie wyraził wstręt czeskiego człowieka do wszelkiego bizantyzmu, sam o tym nie wiedząc. To było w jego krwi, ten brak szacunku dla cesarza i przyzwoitych wyrażen.

*

Otto Katz też żyje. Jest to postać kapelana polowego wzięta z rzeczywistości. Po przewrocie cisnął wszystko w ką, wystąpił z Kościoła i jest dzisiaj prokurentem pewnej fabryki brązu i farb w Czechach północnych.

Napisał do mnie długi list, w którym grozi mi, że mnie nauczy moresu. Pewna gazeta niemiecka zamieściła mianowicie tłumaczenie rozdziału, w którym przedstawiony jest takim, jakim był rzeczywiście. Odwiedziłem go wtedy i wszystko zostało załatwione pomyślnie. O drugiej w nocy nie mógł utrzymać się na nogach, ale przemawiał jak kaznodzieja: „Ja jestem Otto Katz, kapelan polowy, wy lby gipsowe”.

*

Ludzi typu nieboszczyka Bretschneidera, rządowego detektywa starej Austrii, jeszcze dzisiaj włóczy się dużo po Republice. Ogromnie interesują się tym, co kto mówi.

*

Nie wiem, czy udało mi się wyrazić w tej książce to, co zamierzałem. Już sam fakt, iż słyszałem, jak jeden człowiek wymyślał drugiemu: „Jesteś głupi jak Szwejk” — zdaje się świadczyć o czymś przeciwnym. Jeśli wszakże słowo „Szwejk” stanie się nowym wyzwiskiem w kwiecistym wieńcu obelżywych epitetów, będę musiał zadowolić się takim wzbogaceniem języka czeskiego.

Jaroslav Hašek

TOM DRUGI. SZWEJK NA FRONCIE

I. PRZYGODY SZWEJKA W POCIĄGU

W przedziale drugiej klasy pociągu pośpiesznego Praga–Czeskie Budziejowice siedziało trzech pasażerów: porucznik Lukasz, naprzeciwko którego siedział starszy, zupełnie łysy pan, i Szwejk, który stał skromnie przy drzwiach wiodących na korytarz i szykował się akurat do wysłuchania nowego wybuchu gniewu swego porucznika. Ten, nie zwracając uwagi na obecność łysego cywila, dawał upust swej złości na Szwejka, wywodząc mu przez cały czas podróży, że jest bydlęciem Pana Boga itp.

Chodziło właściwie o drobnostkę, o liczbę tobołów, którymi Szwejk się opiekował.

— Skradli nam kufer — przedrzeźniał porucznik Szwejka. — Łatwo ci powiedzieć takie słowo, ty drabie!

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant — głosem cichym odezwał się Szwejk — że naprawdę go skradli. Po dworcach zawsze się włóczy dużo takich indywiduów, a ja wyobrażam sobie, że jednemu z nich musiał się bezwarunkowo spodobać pański kufer i że ten człowiek bezwarunkowo skorzystał z okazji, kiedy oddaliłem się od bagażu, żeby panu zameldować, że z bagażem naszym wszystko jest w porządku. Mógł on ten nasz kufer skraść tylko w takim pomyślnym momencie. Na taki moment oni tylko czekają. Przed dwoma laty na Północno-Zachodnim Dworcu skradli pewnej pani wózek dziecienny razem z dziewczynką w poduszkach, ale byli tacy szlachetni, że dziewczynkę oddali w komisariacie policji na naszej ulicy; niby to znaleźli ją podrzuconą w bramie. Potem gazety zrobiły z tej nieszczęsnej pani wyrodną matkę.

Po czym Szwejk oświadczył z całym naciskiem:

— Na dworcach kradło się zawsze i będzie się kradło dalej. Inaczej nie można.

— Jestem przekonany, mój Szwejku — zabrał głos porucznik — że skończycie kiedyś najpaskudniej w świecie. Ciągłe jeszcze nie wiem, czy udajecie wielkiego bałwana, czy też urodziliście się już takim bałwanem. Co w tym kufrze było?

— Prawie że nic, panie oberlejtant — odpowiedział Szwejk nie spuszczać oka z łysiny cywila siedzącego naprzeciwko Lukasz, a jak się zdawało zgoła obojętnego wobec kradzieży kufra. Czytał spokojnie „Neue Freie Presse”. — W całym tym kufrze było tylko lustro z naszego pokoju i żelazny wieszak z przedpokoju, tak że właściwie nie ponieśliśmy żadnej straty, ponieważ lustro i wieszak należały do gospodarza.

Widząc groźny gest porucznika mówił dalej Szwejk głosem jak najłagodniejszym:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że przedtem nic o tym nie wiedziałem, że ten kufer będzie skradziony, a co do lustra i wieszaka, to powiedziałem panu gospodarzowi, że mu te rzeczy oddamy, jak wrócimy z wojny. W krajach nieprzyjacielskich jest dużo luster i wieszaków, tak że i pan gospodarz nie może ponieść żadnej straty. Jak tylko zdobędziemy jakie miasto...

— Stulić głę! — straszliwym głosem przerwał mu porucznik. — Zobaczycie, że oddam was kiedy pod sąd polowy. Pomyślcie o tym dobrze, jeśli nie jesteście największym bałwanem na świecie. Inny, choćby żył tysiąc lat, nie narobiłby tyle błazeństw, ile wy narobiliście w ciągu paru tygodni. Mam nadzieję, że sami to zauważyliście.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że zauważyłem, bo ja mam, jak to mówią, bardzo rozwinięty zmysł obserwacyjny i zawsze zauważę, gdy już za późno i gdy się stanie coś niemiłego. Mam takiego pecha jak niejaki Nechleba z Nekazanki, który chodził do szynku „Suczy Gaik”. Zawsze chciał postępować dobrze i od soboty prowadzić nowe życie, a na drugi dzień po takim postanowieniu mawiał zawsze: „Nad ranem zauważyłem, przyjaciele drodzy, że leżę na pryczy”. I zawsze spotkała go taka rzecz, kiedy postanawiał, że do domu pójdzie w porządku, a w końcu pokazywało się, że wyrzucił gdzieś jakiś płot albo wyprzął konia dorożkarzowi, albo też chciał sobie przeciągnąć cybuch od fajki kogucim piórem z kapelusza patrolującego policjanta. Ogarniała go rozpacz z tego powodu, a najwięcej smuciło go to, że pech ten prześladowa ich przez pokolenia. Jego dziadek wybrał się raz na wędrowanie...

— Nie zwracajcie mi głowy głupimi opowiadaniem!

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że wszystko, co mówię, jest najświętszą prawdą. Jego dziadek poszedł na wędrowanie...

— Szwejku! — krzyknął rozszłoszczony porucznik — jeszcze raz rozkazuję wam, abyście mi nic nie opowiadali. Nie chcę nic słyszeć. Jak tylko przyjedziemy do Budziejowic, to się z wami rozprawię. Wiecie, że was każę wsadzić do paki?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że o tym nic nie wiem — miękko odpowiedział Szwejk — bo jeszcze pan o tym nie wspomniał.

Porucznik mimo woli zazgrzytał zębami. Westchnął, wyjął z płaszcza „Bohemię” i zaczął czytać o wielkich zwycięstwach i o czynach niemieckiej łodzi podwodnej „E”, grającej na Morzu Śródziemnym, ale gdy doszedł do miejsca o nowym niemieckim wynalazku wysadzania miast w powietrze przy pomocy specjalnych bomb, rzucanych z samolotów i wybuchających trzy razy z rzędu, przerwał mu głos Szwejka, który zwracał się do łysogo pana:

— Przepraszam szanownego pana, czy pan nie jest panem Purkrabkiem, przedstawicielem banku „Slavia”?

Gdy łysy pan nie odpowiadał, Szwejk zwrócił się do porucznika:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że razu pewnego czytałem w gazecie, że człowiek normalny powinien mieć przeciętnie od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu tysięcy włosów i że czarne włosy bywają rzadsze, co można zauważyć w wielu wypadkach.

I nieubłaganie wywodził dalej:

— A jeden medyk w kawiarni „U Szpirków” mówił, że najczęściej wypadają włosy skutkiem wstrząsu umysłowego przy połogu.

Ale w tej chwili stała się rzecz straszliwa. Łysy pan zerwał się i zaryczał na Szwejka:

— *Marsch heraus, Sie Schweinkerl!* — Kopniakiem wyrzucił go za drzwi i powróciwszy na swoje miejsce przedstawił się, czym zgotował porucznikowi małą niespodziankę.

Chodziło o drobne nieporozumienie, bo łyse indywiduum nie było panem Purkrabkiem, przedstawicielem banku „Slavia”, lecz generał-majorem von Schwarzburg. Pan generał odbywał właśnie w cywilnym ubraniu podróż w celu przeprowadzenia inspekcji w garnizonach i jechał do Budziejowic, aby niespodzianie zaskoczyć tamtejszy garnizon.

Był to najstraszliwszy ze wszystkich generałów inspekcyjnych, jacy zrodzili się kiedykolwiek na tym padole, a jeśli znalazł coś nie w porządku, to z dowódcą garnizonu przeprowadzał rozmowę bardzo zwięzłą:

— Czy pan ma rewolwer?

— Mam.

— Doskonale. Na pańskim miejscu wiedziałbym, jak z niego skorzystać, bo to, co tutaj widzę, to nie garnizon, ale stado świń.

I rzeczywiście po jego podróży inspekcyjnej zawsze się gdzieś ktoś zastrzelił, co pan generał von Schwarzburg przyjmował do wiadomości z zadowoleniem:

— Tak być powinno! Żołnierz jak się patrzy!

Zdaje się, że nie lubił, gdy po jego inspekcji wszyscy pozostawali przy życiu. Miał manię przenoszenia oficerów na najgorsze miejsce. Wystarczył drobiazg, aby oficer żegnał się ze swoją załogą i wędrował na pogranicze czarnogórskie albo do jakiego zapijaczego, beznadziejnego garnizonu w zapomnianym zakątku Galicji.

— Panie poruczniku — zapytał — gdzie pan kończył szkołę wojskową?

— W Pradze.

— A więc otrzymał pan wykształcenie w szkole wojskowej i nie wie pan, że oficer jest odpowiedzialny za swego podwładnego? Bardzo ładnie. Po drugie, gawędzi pan ze swoim służącym jak z jakim bliskim przyjacielem. Pozwala mu pan, aby mówił nie zapytany. Po trzecie, pozwala mu pan obrażać swoich przełożonych. I to jest właśnie najlepsze. Z tego wszystkiego wyciągnę odpowiednie konsekwencje. Jak się pan nazywa, panie poruczniku?

— Lukasz.

— A w którym pułku pan służy?

— Byłem...

— Dziękuję. O tym, gdzie pan był, nie ma mowy, chcę wiedzieć, gdzie pan jest teraz.

— W 91 pułku piechoty, panie generale. Zostałem przeniesiony...

— A, przeniesiony... Bardzo dobrze zrobili. Nie zaszkodzi panu, gdy w czasie najbliższym przespaceruje się pan razem z 91 pułkiem gdzieś na front.

— Co do tego decyzja już zapadła, panie generale.

Generał zaczął obszerny wykład o tym, iż oficerowie, jak to zauważył w ostatnich latach, rozmawiają ze swoimi podwładnymi w tonie bardzo poufałym i że widzi w tym krzewienie niebezpiecznych zasad demokratycznych. Żołnierza trzeba trzymać w strachu przed przełożonymi, żołnierz musi drżeć przed swoim oficerem, bać się go. Oficerowie muszą trzymać żołnierzy dziesięć kroków od siebie i nie powinni im pozwalać, aby myśleli samodzielnie, w ogóle nie powinni tolerować myślenia, bo na tym polega tragiczny błąd ostatnich lat. Dawniej szeregowcy bali się oficerów jak ognia, ale dzisiaj...

Generał machnął ręką, jakby tracił wszelką nadzieję.

— Dzisiaj prawie wszyscy oficerowie pieszczą się z żołnierzami, to chciałem powiedzieć.

Generał rozłożył znowu gazetę i zabrał się do czytania. Porucznik Lukasz, błądy, wyszedł na korytarz, żeby rozprawić się ze Szwejkiem.

Ujrzał go stojącego przy oknie z tak błogim i zadowolonym wyrazem twarzy, jaki może mieć tylko miesięczne dzieciątko, które się nassało i lula spokojnie.

Porucznik stanął, skinął na Szwejka i wskazał mu pusty przedział. Wszedł do niego za Szwejkiem i zamknął drzwi.

— Szwejku — rzekł uroczyście — nareszcie nadeszła chwila, w której dostaniecie parę razy w pysk, jak jeszcze nikt nie dostał. Dlaczego zaczepiliście tego łysego pana? Czy wiecie, że to jest generał von Schwarzburg?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant — odezwał się Szwejk z miną męczennika — że ja nigdy w życiu nie miałem najmniejszego zamiaru obrazić kogokolwiek i że w ogóle nie miałem wyobrażenia ani pojęcia, że taki pan generał istnieje na świecie. On naprawdę jest jak wykapany pan Purkrabek, przedstawiciel banku „Slavia”. Ten pan chodził do naszego szynku i gdy pewnego razu przy stole zasnął, to jakiś dobrodziej wypisał mu na jego łysinie ołówkiem atramentowym:

„Niniejszym pozwalamy sobie w myśl załączonej taryfy III c. uprzejmie zaproponować panu uciulanie posagu i zaopatrzenie pańskich dzieci za pomocą ubezpieczenia na życie”.

Naturalnie, że wszyscy sobie poszli, a ja tam z nim zostałem sam, a ponieważ mam zawsze pecha, więc gdy się ten pan przebudził, to spojrzął w lustro i rozżłościł się, bo myślał, że ja mu to zrobiłem, i chciał mi też dać parę razy w pysk.

Słowo „też”, spłynęło z ust Szwejka tak tkliwie i w tonie takiej żalostnej skargi, że porucznikowi opadły ręce.

Szwejk zaś mówił dalej:

— O taką drobną pomyłkę to się ten pan nie potrzebuje złościć. On powinien naprawdę mieć od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu tysięcy włosów, jak czytałem w artykule o tym, co powinien mieć człowiek normalny. Mnie nawet na myśl nie przyszło, że jest na świecie jakiś łysy pan generał. To jest, jak się mówi, tragiczna pomyłka, jaka trafić się może każdemu, gdy jeden coś powie, a drugi zaraz się tego czepi. Kiedyś przed laty opowiadał nam krawiec Hyvel, jak z miasta Styrii, w którym pracował, jechał do Pragi przez Leoben, a miał przy sobie szynkę, którą kupił sobie w Mariborze. Jedzie sobie pociągiem i nic, myślał, że jest jedynym Czechem między pasażerami, a jak koło St. Moritz zaczął sobie krajać platy z tej szynki, to ten pan, co siedział naprzeciwko niego, spoglądał na nią pożądliwymi oczami, a w gębie miał pełno śliny. Gdy krawiec Hyvel to zobaczył, rzekł do siebie na głos: „Żarłbyś, drabie jeden?” A tamten mu po czesku na to odpowiedział: „Južci, žarłbym, gdybyś dał”. Więc tę szynkę zeżarli do spółki, zanim dojechali do Budziejowic, a ten pan nazywał się Wojciech Rous.

Porucznik spojrzął na Szwejka i wyszedł z przedziału. Gdy znowu siedział na swoim miejscu naprzeciwko generała, po chwili we drzwiach przedziału ukazała się pocziwa twarz Szwejka.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że za pięć minut będziemy w Taborze. Pociąg stoi tam pięć minut. Czy nie każe pan przynieść coś do zjedzenia? Przed laty miewali tutaj bardzo dobrą...

Porucznik zerwał się na równe nogi i wyrzuciwszy Szwejka za drzwi mówił do niego w korytarzu:

— Jeszcze raz wam powtarzam, że im dalej jesteście ode mnie, tym lepiej dla was. Najszczęśliwszy byłbym, gdybyście w ogóle znikli z moich oczu, i bądźcie pewni, że postaram się o to. Nie zbliżajcie się do mnie w ogóle. Zniknijcie, przepadnijcie, wy bydlę cymbalskie!

— Rozkaz, panie oberlejtant.

Szwejk zasalutował, odwrócił się i krokiem wojskowym oddalił się na koniec korytarza, gdzie usiadł w kącie na ławeczce służbowej konduktora i nawiązał rozmowę z jakimś funkcjonariuszem kolejowym:

— Czy mi pan pozwoli zapytać się o coś?

Kolejarz, nie mający widać ochoty do wdawania się w rozmowę, skinął głową z lekka i apatycznie.

— Przychodził do mnie — zaczął Szwejk obszernie — pewien dobry człowiek, niejaki Hofmann, i ten Hofmann zawsze twierdził, że sygnały alarmowe w pociągach nigdy nie funkcjonują, jednym słowem, że to na nic, choć się i pociągnie za taką rączkę. Ja, prawdę powiedziawszy, nigdy się takimi rzeczami nie interesowałem, ale skorom już na ten sygnał alarmowy zwrócił tutaj uwagę, to chciałbym wiedzieć, jak się rzeczy mają, bo może się zdarzyć, że trzeba będzie pociągnąć.

Szwejk wstał i razem z funkcjonariuszem kolejowym podszedł do hamulca alarmowego z napisem: „W razie niebezpieczeństwa...”.

Kolejarz uważał za swój obowiązek objaśnić Szwejka, na czym polega cały mechanizm aparatu alarmowego.

— Słusznie panu powiedzieli, że trzeba pociągnąć za tę rączkę, ale ołgali pana, że to nie funkcjonuje. Pociąg zawsze zatrzyma się, ponieważ to idzie przez wszystkie wagony i jest połączone z lokomotywą. Hamulec alarmowy musi funkcjonować.

Przy tym wykładzie obaj trzymali ręce na rączce hamulca i nie wiadomo, jak to się właściwie stało, że rączka się osunęła, a pociąg stanął.

Nie mogli się zgodzić z sobą, kto to zrobił, kto z nich właściwie dał sygnał alarmowy.

Szwejk twierdził, że to nie on, że nie mógł zrobić takiej rzeczy, bo nie jest przecie ulicznikiem.

— Mnie samemu dziwno — rzekł pocziwie do konduktora — dlaczego właściwie pociąg stanął tak od razu. Jedzie, jedzie i od razu stoi. Mnie to jeszcze bardziej irytuje niż pana.

Jakiś poważny pan stanął w obronie kolejarza i twierdził, że słyszał, jak ten żołnierz pierwszy zaczął rozmawiać o sygnałach alarmowych.

Natomiast Szwejk stale coś mówił o swojej uczciwości i o tym, że wcale nie jest zainteresowany w opóźnianiu pociągu, ponieważ jedzie na wojnę.

— Pan zawiadowca stacji wytłumaczy to panu — zadecydował konduktor. — Zapłacicie za to dwadzieścia koron.

Tymczasem widać było, jak podróżni wychodzą z wagonów, kierownik pociągu gwizdże, a jakaś pani biegnie wystraszona z walizką podróżną przez tory prosto w pole.

— To naprawdę warte dwadzieścia koron — rzekł roztropnie Szwejk nie tracąc ani na chwilę spokoju. — To jeszcze, powiem panu, tanio. Pewnego razu, jak najjaśniejszy pan zwiedzał Žižkov, to niejaki Franek Sznor zatrzymał jego powóz w ten sposób, że przed najjaśniejszym panem ukląkł na obu kolanach na środku jezdni. Potem komisarz policji z tego rewiru rzekł do Franka Sznora z płaczem, że nie powinien był robić mu tego w jego rewirze, ale o jedną ulicę dalej, która już należy do rewiru radcy policyjnego Krausego. Tam powinien był złożyć hołd. No i tego pana Sznora wpakowali do ula.

Szwejk rozglądał się właśnie dokoła, kiedy do słuchaczy jego przyłączył się kierownik pociągu.

— Zdaje się — rzekł Szwejk — że czas jechać dalej. To nic przyjemnego, gdy pociąg się spóźnia. Żeby to jeszcze w czasie pokoju, to bym nic nie mówił, ale jak jest wojna, to wszyscy powinni wiedzieć, że każdym pociągiem jeżdżą osoby wojskowe, generałowie, oberlejtanty, pucybuty. Każde takie spóźnienie to rzecz paskudna. Napoleon spóźnił się pod Waterloo o pięć minut i zapaskudził sobie całą swoją sławę...

W tej chwili przez gromadkę słuchaczy Szwejka przedarł się porucznik Lukasz. Był upiornie błądy i nie zdobył się na nic innego, tylko na jedno słowo:

— Szwejk...

Szwejk zasalutował i odezwał się:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że na mnie spychają, że to ja zatrzymałem pociąg. Administracja kolei żelaznej ma bardzo dziwne plomby przy hamulcach alarmowych. Człowiek nie powinien nawet zbliżyć się do tego, bo może mieć przygodę i potem mogą chcieć od niego dwadzieścia koron, jak na przykład chcą ode mnie.

Kierownik pociągu wyskoczył z wagonu, dał sygnał i pociąg ruszył dalej.

Słuchacze Szwejka porozchodzili się do przedziałów, a porucznik Lukasz bez słowa wrócił na swoje miejsce.

Na korytarzu pozostał tylko konduktor ze Szwejkiem i kolejarzem. Konduktor wyjął z kieszeni książkę służbową i zapisywał relację o wypadku. Kolejarz spoglądał na Szwejka okiem nieprzyjaznym, ale Szwejk zapytał go życzliwie:

— Dawno pan służy na kolei?

Ponieważ kolejarz nie odpowiadał, przeto Szwejk oświadczył, że znał niejakiego Franciszka Mliczko z Uhrzinievsí koło Pragi, który raz pewnego też pociągnął za rączkę takiego hamulca alarmowego i tak się przestraszył, że przez dwa tygodnie nie mógł mówić i odzyskał mowę dopiero wówczas, gdy przyszedł w odwiedzinach do ogrodnika Vaňka w Hostivarzu, gdzie się z kimś przemówił, a tamten aż złamał na nim bykowiec.

— To się stało — dodał Szwejk — w roku tysiąc dziewięćset dwunastym, w maju.

Kolejarz wszedł do klozetu i zamknął się w nim.

Ze Szwejkiem pozostał tylko konduktor i dopominał się dwudziestu koron grzywny podkreślając, że w razie przeciwnym będzie musiał zaprowadzić go w Taborze do zawiadowcy stacji.

— Bardzo dobrze — rzekł Szwejk — ja bardzo lubię porozmawiać z ludźmi wykształconymi i bardzo mi będzie przyjemnie poznać zawiadowcę stacji Tabor.

Wyjął z bluzy fajkę, zapalił i puszczając obłoki dymu z ostrego wojennego tytoniu, mówił dalej:

— Przed laty w Svitavie był zawiadowcą stacji pan Wagner. Dla podwładnych swoich był skończonym draniem i szykanował ich, gdzie tylko mógł, a najwięcej zawziął się na niejakiego Jungwirta, zwrotniczego, aż ten biedak z rozpaczyny poszedł i utopił się w rzece. Ale zanim się utopił, napisał list do zawiadowcy stacji, że po nocach będzie go straszyl. Prawdę mówię, straszyl go. Siedzi mój zawiadowca w nocy przy aparacie telegraficznym, a tu dzwonek dyń-dyń i zawiadowca przyjmuje depeszę: „Jak się masz, łotrze? Jungwirt”. Cały tydzień to trwało. W odpowiedzi duchowi zawiadowca zaczął posyłać takie oto telegramy służbowe: „Przebac mi, Jungwirt”. A nocy następnej aparat na to stuk-puk: „Powiesz się na semaforze koło mostu. Jungwirt”. I pan zawiadowca go usłuchał. Potem przez to samobójstwo zawiadowcy zaarrestowali telegrafistę ze stacji przed Svitavą. Widzi pan, że między niebem i ziemią dzieją się rzeczy, o jakich nie mamy pojęcia.

Pociąg wjechał na dworzec taborski, a Szwejk, zanim w towarzystwie konduktora wysiadł z pociągu, zameldował się, jak przystało, u porucznika Lukasza:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że mnie prowadzą do zawiadowcy stacji.

Porucznik Lukasz nie odpowiedział. Opanowała go zupełna apatia. Pomyślał, że najlepiej pluć na wszystko, a mianowicie tak samo na Szwejka, jak i na łysego generała. Siedzieć spokojnie w wagonie, wysiąść w Budziejowicach, zameldować się w koszarach i pomaszerować na front z jakimś oddziałem marszowym. Na froncie zginąć, jeśli już nie można inaczej, i uciec z tego świata, po którym włóczy się taka pokraka jak Szwejk.

Gdy pociąg ruszył, porucznik Lukasz wyjrzał oknem i na peronie zauważył Szwejka zajętego jakimś poważnym wykładem, którego słuchał zawiadowca stacji. Szwejk otoczony był tłumem ludzi, wśród których widać było także kilka uniformów kolejarzskich.

Porucznik westchnął, ale westchnienie jego nie oznaczało żalu. Zrobiło mu się lżej na sercu, że Szwejk pozostał na peronie. Nawet i ten łysy generał nie wydawał mu się już teraz takim wstrętnym potworem.

*

Pociąg już dawno pędził ku Czeskim Budziejowicom, ale na peronie koło Szwejka ludzi nie ubywało.

Szwejk przemawiał o swojej niewinności i przekonał zebranych tak dalece, że jakaś pani wyraziła się:

— Znowu szykanują tu jakiegoś żołnierzyka.

Tłum przyznał jej rację, a jakiś pan zwrócił się do zawiadowcy stacji i wyraził gotowość zapłacenia za Szwejka dwudziestu koron kary. Powiedział przy tej sposobności, iż jest przekonany, że ten żołnierz tego nie uczynił.

— Spójrzcie na niego — wywodził wskazując na niewinną twarz Szwejka, który zwracając się do tłumu, mówił:

— Ja, ludzie kochani jestem niewinny.

Potem zjawił się wachmistrz żandarmerii i wyprowadził z tłumu pewnego obywatela, którego zaarrestował i pociągnął z sobą przemawiając do niego:

— Za to pan odpowie. Ja panu pokażę podburzać ludzi i wygadywać, że jeśli w taki sposób postępuje się z żołnierzami, to nikt nie ma prawa oczekiwać od nich, aby Austria zwyciężyła.

Nieszczęśliwy obywatel nie zdobył się na nic innego, tylko na szczere zapewnienie, że jest majstrem rzeźnickim i ma sklep koło Starej Bramy, a słów swoich użył w całkiem innym znaczeniu.

Tymczasem dobry człowiek, wierzący w niewinność Szwejka, zapłacił za niego w kancelarii zawiadowcy karę i zaprowadził Szwejka do restauracji trzeciej klasy, gdzie go poczęstował piwem, a dowiedziawszy się, że wojskowy bilet kolejowy i wszystkie inne dokumenty Szwejka zostały u porucznika Lukasa, dał Szwejkowi wspianałomyślnie jeszcze pięć koron na bilet do Budziejowic i na inne wydatki.

Kiedy się z nim żegnał, szepnął mu poufnie na ucho:

— Uważajcie żołnierzyku, jak będziecie w Rosji, w niewoli, to kłaniajcie się ode mnie piwowarowi Zemanowi ze Zdobunowa. Nazwisko moje macie wypisane na kwicie kolejowym. Tylko bądźcie sprytni, żebyście zbyt długo nie siedzieli na froncie.

— Niech się pan nie boi — odpowiedział Szwejk. — Zawsze to bardzo interesujące, gdy można zwiedzić za darmo jakieś obce kraje.

Szwejk pozostał przy stole sam i podczas gdy przepijał pięć koron otrzymanych od szlachetnego dobroczyńcy, ludzie na peronie, którzy nie byli świadkami rozmowy Szwejka z zawiadowcą stacji, a tylko z daleka widzieli zbiegowisko, opowiadali sobie, że złapali tu szpiega, który fotografował dworzec, czemu energicznie przeczyła jakaś pani mówiąc, że nie złapali żadnego szpiega, ale słyszała, że dragon zarąbał oficera koło ustępu damskiego, ponieważ oficer ten pchał się tam za narzeczoną dragona, która go odprowadzała.

Tym romantycznym kombinacjom, charakteryzującym nerwowość czasów wojennych, położyła kres żandarmeria usuwając tłum z peronu. A Szwejk pił sobie dalej w spokoju ducha tkliwie wspominając swego porucznika. Co też on pocnie, gdy sam przyjedzie do Czeskich Budziejowic, a w całym pociągu nie znajdzie sługi swego?

Przed przybyciem pociągu osobowego restauracja klasy trzeciej napelniła się żołnierzami i cywilami. Najwięcej było żołnierzy, a należeli oni do różnych pułków i różnych narodowości; zawierucha wojenna zapędziła ich do lazaretów polowych. Odjeżdżali teraz ponownie na front po nowe rany, kalectwa i cierpienia, aby za nie zasłużyć sobie na prosty drewniany krzyż nad grobem. Na krzyżu tym jeszcze po latach wśród smutnych równin wschodniej Galicji trzepotać będą na wietrze strzępy austriackiej czapki żołnierskiej z zardzewiałym bączkiem, zaś od czasu do czasu usiądzie na niej smutny i postarzały już kruk, wspominający dawne czasy obfitych biesiad, kiedy to przygotowywano dla niego smacznie zastawiony, bezkresny stół, pełen ludzkich trupów i końskiej padliny, kiedy to pod taką właśnie czapką, na której siedzi, znajdowały się najsmaczniejsze kęski — oczy ludzkie.

Jeden z takich kandydatów do nowych udręk, wypuszczony po operacji z wojskowego lazaretu, ubrany w bluzę brudną i zamazaną krwią i błotem, przysiadł się do Szwejka. Był to człeczyna chuderławy, zabiedzony, smutny. Na stole położył małe zawiniątko, wyjął z kieszeni podartą portmonetkę i przeliczał pieniądze.

Potem spojrzął na Szwejka i zapytał:

— *Magyarul?*

— Ja jestem, kolego, Czech — odpowiedział Szwejk. — Chcesz się napić?

— *Nem tudom, barátom.*

— Nic nie szkodzi, kolego — zachęcał go Szwejk przysuwając pełny kufel przed smutnego żołnierza. — Pij, bracie, zdrowo.

Tamten zrozumiał, napił się, podziękował: — *Köszönöm szivesen* — i dalej przeglądał zawartość swej portmonetki, aż wreszcie ciężko westchnął. Szwejk zrozumiał, że ten Węgier chętnie zafundowałby sobie piwa, ale nie ma pieniędzy, więc kazał mu je podać. Węgier podziękował i zaczął opowiadać Szwejkowi o czymś za pomocą gestów. Pokazywał swoją przestrzeloną rękę i mówił językiem międzynarodowym: „Pif, paf, puf!”

Szwejk ze współzuciem kiwał głową, a chuderlawy rekonwalescent, opuszczając lewicę na pół metra od ziemi, a potem podnosząc trzy palce do góry, pokazywał Szwejkowi, że ma troje małych dzieci.

— *Nincs ham, nincs ham* — mówił dalej, pragnąc powiedzieć, że w domu nie mają co jeść. Brudnym rękawem swego płaszcza wojskowego ocierał oczy, z których trysnęły łzy. Rękaw był rozszarpany przez kulę, która zraniła chuderlawego człeczynę walczącego za króla węgierskiego.

Nic dziwnego, że przy takiej rozmowie nie pozostało Szwejkowi prawie nic z owych pięciu koron i że coraz bardziej oddalał się od Czech Budziejowic tracąc przy każdym nowym kuflu piwa, zamawianym dla siebie i węgierskiego rekonwalescenta, możliwość wykupienia wojskowego biletu na przejazd.

Przez stację znowu przejechał pociąg zdążający do Budziejowic, a Szwejk ciągle jeszcze siedział przy stole i słuchał, jak Węgier opowiada swoje:

— Pif, paf, puf! *Három gyermek, nincs ham, éljen!*

Tego ostatniego wyrazu używał trącając się ze Szwejkami.

— Pij, chudzino węgierska — odpowiadał Szwejk. — Chlaj! U was toby naszego tak nie częstowali...

Przy sąsiednim stole jakiś żołnierz opowiadał, że kiedy jego 28 pułk zajechał do Szegedynu, to Węgrzy pokazywali sobie ich palcami i wymownie podnosili ręce do góry.

Węgrzy mówili oczywiście świętą prawdę, ale opowiadający żołnierz czuł się tym najwidoczniej dotknięty, aczkolwiek wśród żołnierzy czeskich było to zjawiskiem bardzo powszednim, a wreszcie zaczęli naśladować ich Węgrzy, gdy im się sprzykrzyła bijatyka w interesie króla węgierskiego.

Potem ten opowiadający żołnierz przysiadł się do Szwejka i mówił o tym, jak zwawo zabrali się w Szegedynie do Węgrów, jak ich sprali i powyrzucali z kilku szynków. Ale z uznaniem podkreślił fakt, że Węgrzy też się bić umieją i że tak wtedy dostał nożem w plecy, iż trzeba było odesłać go na tyły na kurację.

Ale teraz, gdy wróci do pułku, to kapitan każe go niezawodnie wsadzić do paki za to, że już nie starczyło mu czasu temu Węgrowi odplacić jak się patrzy, tak, by on też to dobrze pamiętał, i w ten sposób uratować honor pułku.

— *Ihre Dokumenten*, wasi tokument? — odezwał się do Szwejka bardzo uprzejmie dowódca kontroli wojskowej, sierżant, w asyście czterech żołnierzy z bagnetami na karabinach. — Ja fidzieć, jak siedzieć *nicht fahren*, tylko siedzieć, pić, furt pić, *Bursch!*

— Dokument? Nie mam, kochanie — odpowiedział Szwejk. — Pan oberlejtnant Lukasz, pułk numer 91, zabrał wszystkie dokumenty z sobą, a ja zostałem na dworcu.

— *Was ist das Wort* „kochanie”? — zwrócił się sierżant do jednego ze swoich żołnierzy, starego landwerzysty, który jak się zdaje, wszystko robił swemu przełożonemu na opak, bo spokojnie odpowiedział:

— *Kochanie, das ist wie: Herr Feldwebel.*

Sierżant prowadził dalej rozmowę ze Szwejkami:

— Tokument kaszty solnierz, pes tokument zamikacz *auf Bahnhofs-Militärkommando, den lausigen Bursch, wie einen tollen Hund.*

Szwejka zaprowadzono do komendy dworca, gdzie na odwachu siedzieli szeregowcy bardzo podobni do landwerzysty, który tak ładnie umiał tłumaczyć słowo „kochanie” swemu naturalnemu wrogowi, zwierchności sierżanckiej.

Odwach był ozdobiony litografiami, jakie w owym czasie Ministerstwo Wojny rozsyłało po wszystkich kancelariach wojskowych, po szkołach i koszarach.

Dobrego wojaka Szwajka przywitał obraz, który według podpisu przedstawiał scenę, jak plutonowy Franciszek Hammel i kaprale Paulhart i Bachmayer z 21 c. i k. pułku strzelców zachęcają oddział do wytrwania. Na drugiej stronie wisiał obraz z napisem: „Plutonowy Jan Danko z 5 honwedzkiego pułku huzarów wykrywa stanowisko baterii nieprzyjacielskiej”.

Po prawej stronie nieco niżej wisiał plakat z napisem: „Piękne przykłady odwagi”.

Takimi to plakatami, których tekst ze zmyślonymi przykładami osobliwej odwagi układali w kancelariach ministerstwa różni niemieccy dziennikarze, powołani do służby wojskowej, chciała stara, zglupiała Austria wzbudzić zapał wojenny w żołnierzach, którzy takich rzeczy nigdy nie czytali, a nawet gdy im takie wzory męstwa posyłano na front w postaci broszurek, to używali ich papieru do skręcania papierosów albo też korzystali z niego jeszcze bardziej bezpośrednio, aby pożytek odpowiadał duchowi i wartości pozmyślanych szlachetnych wzorów męstwa.

Podczas gdy sierżant szukał oficera dyżurnego, Szwajk przeczytał treść plakatu:

„Józef Bong, szeregowiec taborów

Sanitariusze przenosili ciężko rannych żołnierzy na wozy przygotowane w ukrytym wąwozie. Każdy z wozów po ułożeniu na nim rannych odjeżdżał na punkt opatrunkowy. Rosjanie wytropili je i zaczęli ostrzeliwać granatami. Koń szeregowca taborów Józefa Bonga z c. i k. 3 szwadronu taborowego został uśmiercony odłamkiem granatu. Bong narzekał: »Mój biedny siwku, już po tobie!« W tej chwili i jego ranił odłamek granatu. Pomimo to wyprzągł zabitego konia, a pozostałą trójkę koni zaprowadzał w bezpieczne miejsce. Potem wrócił po uprząż swego zabitego konia. Rosjanie strzelali bezustannie. »Strzelajcie sobie, wściekli opętańcy, ja wam tu uprzęży nie zostawię«. I mrużąc te słowa pod nosem dalej zdejmował z konia uprząż. Wreszcie skończył robotę i włókł się ze zdjętą uprzężą ku wozom, gdzie musiał wysłuchać sporo ostrych wymówek sanitariuszy za długą nieobecność. »Nie chciałem zostawić tam uprzęży, bo jest prawie nowa. Pomyślałem sobie, że byłoby jej szkoda. Nie mamy takich rzeczy za wiele« — tłumaczył się dzielny żołnierz udając się na punkt opatrunkowy, gdzie dopiero zameldował się jako ranny. Rotmistrz ozdobił następnie pierś jego srebrnym medalem za męstwo”.

Gdy Szwajk skończył czytanie, a sierżant nadal nie wracał, rzekł do landwerzystów siedzących na odwachu:

— To jest bardzo piękny przykład męstwa. W taki sposób będziemy mieli w armii samą nową uprząż. Ale gdy byłem w Pradze, to w „Praskiej Gazecie Urzędowej” przeczytałem jeszcze piękniejszy przykład o niejakim doktorze Józefie Vojnie, jednorocznym ochotniku. Służył w Galicji w 7 batalionie strzelców polowych, a gdy doszło do walki na bagnety, został ranny kulą w głowę. Kiedy sanitariusze nieśli go na punkt opatrunkowy, sfukał ich brzydko i krzychał, że z powodu takiego bagatelnego zadrapania nie pozwoli nakładać sobie opatrunku. I znowuż chciał ze swoim plutonem ruszyć naprzód, ale granat urwał mu stopę. Znowu chcieli go zanieść na punkt opatrunkowy, ale on kuszył na linii bojowej, opierając się na kijku i tym kijkiem bronił się przed nieprzyjacielem, aż przyleciał nowy granat i urwał mu tę rękę, w której trzymał kijek. Przełożył kijek do drugiej ręki, ryknął wściekle, że im nie daruje, i Bóg wie, jakby się to wszystko skończyło, gdyby go po chwili nie rozszarpał na drobne kawałki szrapnel. Bardzo możliwe, że gdyby go nie wykończyli, to byłby też dostał wielki srebrny medal za męstwo. Kiedy urwało mu głowę, to głowa ta, tocząc się niby kula, krzychała jeszcze: „Niechaj wszyscy żołnierze zawsze myślą o tym, że najpierw obowiązek, a przyjemność potem!”

— Napiszą też psiekrwie różnych głupstw w tych gazetach — rzekł jeden szeregowiec — ale gdyby wysłać takiego redaktora na godzinę na front, to zbaranieje do cna.

Landwerzysta splunął.

— U nas w Czaslawiu był jakiś redaktor z Wiednia, Niemiec. Służył jako podchorąży. Do nas ani słowem nie chciał się odezwać po czesku, ale kiedy go przydzielili do kompanii marszowej, w której byli sami Czesi, od razu nauczył się po czesku.

We drzwiach ukazał się sierżant, zły jak wszyscy diabli, i krzychał:

— *Wenn man byc drei Minuten weg, da hort man nichts anderes als ceski, Cesi.*

Wychodząc z kancelarii, zapewne do restauracji, rzekł do kaprała landwerzysty, wskazując na Szwejka, żeby tego wszawego łotra zaprowadził natychmiast do podporucznika, jak ten tylko przyjdzie.

— Pan lejtnant romansuje sobie znowu z telegrafistką na stacji — rzekł kapral po wyjściu sierżanta. — Łazi za nią już dwa tygodnie i jest zawsze potwornie wściekły, ile razy wraca z urzędu telegraficznego. Ciągłe powtarza o niej: „*Das ist aber eine Hure, sie will nicht mit mir schlafen*”.

I tym razem był widocznie w takim wściekłym usposobieniu, ponieważ w chwilę po jego powrocie słychać było, jak wali jakimiś księgami w stół.

— Trudna rada, bracie, musisz iść do niego — rzekł ze współczuciem kapral do Szwejka. — Przez jego ręce przeszło już bardzo wielu ludzi, młodych i starych.

Prowadził Szwejka do kancelarii, gdzie za stołem zawalonym papierami siedział młody podporucznik, rozłoszczony jak furiat.

Zobaczywszy Szwejka w towarzystwie kaprała, odezwał się wielce obiecująco: „Aha!” — po czym wysłuchał raportu kaprała:

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że ten szeregowiec został znaleziony na dworcu bez dokumentów.

Podporucznik pokiywał głową, jakby chciał rzec, że już przed laty był pewien, iż tego dnia i o tej godzinie Szwejk zostanie znaleziony na dworcu bez dokumentów, bo kto w tej chwili spoglądał na Szwejka, ten musiał mieć wrażenie, że jest absolutnie wykluczone, aby człowiek o takiej minie i takiej postawie jak Szwejk mógł w ogóle posiadać jakiegokolwiek dokumenty. Szwejk wyglądał w tej chwili, jakby właśnie spadł z jakiejś nieznanej planety, a teraz rozgląda się dokoła siebie po nieznanym, obcym świecie i dziwi się, że od niego żądają takich jakichś nie znanych mu dotychczas głupstw, jak dokumenty.

Podporucznik, spoglądając na Szwejka, zastanawiał się przez chwilę, co ma rzec. Wreszcie zapytał:

— Coście robili na dworcu?

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że czekałem na pociąg odchodzący do Czeskich Budziejowic, abym się mógł dostać do swego 91 pułku piechoty, gdzie jestem służącym u pana oberlejtnanta Lukasa, którego zmuszony byłem opuścić, kiedy zostałem zaprowadzony do zawiadowcy stacji z powodu kary pieniężnej, dlatego że byłem podejrzany, że zatrzymałem kurier, którym jechaliśmy, przy pomocy hamulca ochronnego i alarmowego.

— Tego sam diabeł nie zrozumie! — wrzasnął podporucznik. — Mówcie krótko i zwięźle i nie wygadujcie mi tu żadnych błazeństw.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że już od pierwszej chwili, jak tylko wsiedliśmy z panem oberlejtnantem Lukaszem do tego kuriera, który miał nas zawieźć i dostarczyć jak najszybciej do naszego 91 ce i ka pułku piechoty, mieliśmy pecha. Najprzód zginął nam jeden kufer, potem znowu — będę mówił wszystko po kolei — jakiś pan generał-major, całkiem łysy...

— *Himmelherrgott!* — westchnął podporucznik.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że trzeba, żeby ze mnie wszystko zszło jak z psa liniejącego, żeby sytuacja była całkiem przejrzysta. To samo mówił zawsze niejaki Petrlik, szewc, gdy zabierał się do sprania swego chłopaka i kazał mu zdjąć spodnie.

I podczas gdy podporucznik sapał ze złości, Szwejk mówił dalej:

— Jakoś tak się stało, że nie podobałem się temu łysemu panu generałowi i pan Lukasz, którego jestem służącym, kazał mi wyjść na korytarz. Na korytarzu zostałem następnie oskarżony, że zrobiłem to, co już panu mówiłem. Zanim ta sprawa została załatwiona, zostałem na peronie sam. Pociąg odjechał, pan oberlejtnant z kuframi i ze wszystkimi dowodami moimi i swoimi też odjechał, a ja sterczałem na peronie jak ta sierota bez dokumentów.

Szwejk spojrział na podporucznika tak wruszająco i tklawie, że ten utwierdził się w przekonaniu, iż wszystko to, co słyszy z ust tego draba, wywierającego wrażenie idioty od urodzenia, jest najświętszą prawdą.

Podporucznik wymienił Szwejkowi wszystkie pociągi, jakie po kurierze odeszły do Budziejowic, i zapytał go, dlaczego żadnym z nich nie pojechał.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant — odpowiedział Szwejk z poczciwym uśmiechem — że podczas gdy czekałem na pociąg, spotkała mnie ta przygoda, że siedziałem przy stole i piłem jeden kufel piwa za drugim.

„Takiego bałwana jeszcze nie widziałem — pomyślał podporucznik. — Przyznaje się do wszystkiego. Ile ich tu miałem, takich jak on, każdy się wypierał, a ten jak najspokojniej powiada: »Przegapiłem wszystkie pociągi, bo piłem jeden kufel piwa za drugim«”.

Myśli te zebrał w jedno zdanie i zdanie to rzucił Szwejkowi:

— Mój chłopie, wy jesteście degenerat. Wiecie, co to znaczy, gdy o kimś mówią, że jest degenerat?

— U nas na rogu Boiska i ulicy Katarzyny, posłusznie melduję, panie lejtnant, był też taki jeden zdegenerowany człowiek. Jego ojcem był jakiś polski hrabia, a matką akuszerka. Zamiatał ulice i w szynku nie pozwolił się nazywać inaczej tylko panem hrabią.

Podporucznik uważał, że trzeba tę sprawę skończyć tak lub owak, więc rzekł z naciśkiem:

— Słuchajcie więc, wy idioto, bałwanie, co wam mówię. Pójdziecie do kasy biletowej, kupicie sobie bilet i pojedziecie do Budziejowic. Jeśli zobaczę was tu jeszcze raz, to zabiorę się do was jako do dezertera. *Abtreten!*

Ponieważ Szwejk się nie ruszał i wciąż trzymał rękę przy daszku czapki, podporucznik wrzasnął na niego:

— *Marsch hinaus!* Nie słyszycie, że mówię: *Abtreten?* Korporal Palanek, zabierzcie tego bałwana do kasy, kupcie mu bilet i wyprawcie go do Czeskich Budziejowic.

Kapral Palanek po chwili pokazał się znowu w kancelarii. Przez uchylone drzwi widać było za jego plecami poczciwą twarz Szwejka.

— Czego znowu?

— Posłusznie melduję, panie lejtnant — z tajemniczą miną szeptał Palanek — on nie ma pieniędzy na kolej i ja też nie mam. Darmo nie będą go wieźli, ponieważ nie posiada tych wojskowych dokumentów, że jedzie do pułku.

Podporucznik, niczym Salomon, szybko rozstrzygnął tę zawiłą sprawę.

— Niech idzie pieszo — zdecydował. — Niech się w pułku dostanie do paki za to, że się spóźnił. Dość tu mamy własnych kłopotów.

— Trudna rada, kolego — rzekł kapral Palanek do Szwejka, gdy wyszli z odwachu. — Musisz, bratku, iść piechotą do tych Budziejowic. Mamy w izbie bocheneczek komiśniaka, to go sobie zabierzesz na drogę.

W pół godziny później, gdy Szwejka napoili czarną kawą i prócz chleba dali mu jeszcze na drogę do pułku paczuszkę wojskowego tytoniu, wyruszył Szwejk z Taboru w ciemną noc ze śpiewem na ustach.

Śpiewał sobie starą piosenkę żołnierską:

Jak przyszliśmy do Jaromierza,
Czekała nas tam wieczerza...

Diabli wiedzą, jak to się stało, że dobry wojak Szwejk, zamiast na południe ku Budziejowicom, szedł prościutko na zachód.

Szedł zaśnieżoną szosą, chroniąc się przed mrozem swoim płaszczem wojskowym, niby niedobitek gwardii Napoleona powracający z wyprawy na Moskwę, z tą jedynie różnicą, że śpiewał sobie wesoło:

Wyszędłem sobie na spacer
Do gaju zielonego...

Po zaśnieżonych lasach w ciszy nocnej odzywało się takie rozgłośne echo, aż się po okolicznych wsiach psy rozszczękały.

Gdy mu się śpiew naprzykrzył, usiadł Szwejk na kupce tłuczonego kamienia, zapalił fajkę i po krótkim odpoczynku ruszył dalej, na nowe przygody budziejowickiej anabasis.

II. BUDZIEJOWICKA ANABISIS SZWEJKA

Starożytny wojownik Ksenofont przewędrował bez mapy całą Azję Mniejszą i Bóg go raczy wiedzieć, gdzie nie był. Starzy Gotowie odbywali bardzo dalekie wyprawy także bez wiadomości topograficznych. Maszerować wciąż naprzód, to się nazywa anabasis. Jest to przedzieranie się przez nieznaną krainę, wymykanie się czyhającym dokoła nieprzyjaciółom, którzy czekają tylko na to, żeby przy pierwszej nadarzającej się sposobności skrócić ci kark. Gdy ktoś ma taką dobrą głowę, jak na przykład Ksenofont lub wszystkie te zbójcekie plemiona, które przywędrowały do Europy Bóg wie z jakich stron i okolic Kaspijskiego czy też Azowskiego Morza, to maszerując może dokonywać istnych cudów.

Rzymskie legiony Cezara zawędrowały bez mapy aż gdzieś tam na północ, nad Morze Gallijskie, a następnie postanowiły wracać do domu innymi drogami, żeby użyć świata jak się patrzy. I też trafiły do Rzymu. Widać od tamtych czasów mówi się, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu.

Tak samo wszystkie drogi prowadzą do Czeskich Budziejowic, o czym głęboko był przekonany dobry wojak Szwejk, gdy zamiast okolic budziejowickich ujrzał przed sobą Milevsko.

Szedł wszakże bez odchylenia dalej, bowiem żadnemu dobremu żołnierzowi nie może Milevsko zagrozić drogi tak dalece, aby się wreszcie nie dostał do Budziejowic.

Tak więc znalazł się Szwejk na zachodzie Milevska w Kvietovie, a ponieważ prześpiewał tymczasem wszystkie znane mu pieśni żołnierskie o maszerowaniu, więc przed Kvietovem zmuszony już był zacząć je od nowa:

A gdyśmy maszerowali,
Wszystkie dziewczęta płakały...

Jakaś stara babunia powracająca z kościoła spotkała Szwejka na drodze z Kvietova do Vraza, biegnącej niezmiennie właśnie w kierunku zachodnim, i rozpoczęła z nim rozmowę pozdrowieniem chrześcijańskim:

— Dobre południe, żołnierzyku! Dokąd też Bóg prowadzi?

— Ano idę, mameczko, do Budziejowic, do pułku — odpowiedział Szwejk. — Niby na wojnę.

— Jak tak, to, mój chłopcze, kiepsko idziesz — zawołała babunia z przerażeniem. — Tędy, przez Vraž, nigdy się do Budziejowic nie dostaniecie; gdybyście szli ciągle prosto, to wyjdziecie na Klatov.

— Ja znowuż myślę — rzekł Szwejk z determinacją — że i z Klatova dostanie się człek do Budziejowic. Spacer juścić galanty, gdy człowiekowi pilno do swego pułku, i jeszcze do tego wszystkiego bać się trzeba, żeby za swoją dobrą wolę nie spotkała go jakaś przykrość, gdyby się nie znalazł w czas na miejscu.

— U nas był też taki jeden figlarz. Miał pojechać do Pilzna do landwery, niejaki Toniczek od Maszków — westchnęła babunia — mojej siostrzenicy krewniak, i odjechał. A jak tydzień minął, to go już szukali żandarmi, że niby nie przyjechał do swego pułku. A jak minął drugi tydzień, to przyszedł w cywilu do domu, że, powiada, puszczony na urlop. Poszedł sołtys do żandarmów, a ci żandarmi zabrali go z tego urlopu. Pisał już z frontu, że jest ranny i że już jest bez nogi.

Babunia zapatrzyła się na Szwejka ze współczuciem.

— Tam, w tym lasku, mój chłopcze, poczekajcie na mnie. Ja przyniosę trochę kartoflanki, to się rozgrzejecie. Chałupę naszą widać stąd dobrze, zaraz za tym laskiem, trochę na prawo. Przez tę naszą wieś, niby Vraž, nie trzeba chodzić, bo tam żandarmy jak zbiki. Pójdziecie potem z tego lasku na Malczin, ominiecie Czizovą, ale koniecznie, bo żandarmy tam hycle i łapią desenterów. Trzeba iść prosto przez las na Siedlec koło Horaždiovic. Tam jest bardzo porządny żandarm i każdego przez wieś przepuści. Macie przy sobie jakie papiery?

— Nie mam, matuchno.

— To lepiej i tam nie chodzić i ruszyć od razu na Radomyśl, ale tak wymiarkować, żeby nadejść pod wieczór, jak wszyscy żandarmi siedzą w karczmie. Na ulicy Dolnej za Floriankiem znajdziecie tam taki domek niebiesko malowany, to trzeba się zapytać

o gospodarza Melicharka. To mój brat. Że mu niby posyłam ukłony, to on wam pokaże, którądy idzie się do Budziejowic.

W lasku czekał Szwejk na babunię przeszło pół godziny, a gdy się rozgrzał kartoflanką, przyniesioną mu przez poczciwą starowinę w garnku otulonym poduszką, żeby nie ostygła, babunia wyjęła spod chustki kawał chleba i słoniny, wsadziła Szwejkowi jedno i drugie do kieszeni, zrobiła mu krzyżyk na czole i rzekła, że na wojnie ma dwóch wnuków.

Następnie jeszcze raz powtórzyła mu z naciskiem, którądy trzeba iść, co trzeba ominąć. Wreszcie z kieszeni sukienki wyjęła koronę, żeby sobie Szwejk kupił w Malczynie trochę wódki na drogę, bo do Radomyśla jest długa mila.

Od Cziżovej szedł Szwejk według rady babuni na Radomyśl w kierunku wschodnim, myśląc, że przecie do Budziejowic musi człowiek dotrzeć z każdej strony świata, z takiej czy innej.

Z Malczina szedł z nim stary muzykant grywający na harmonii. Szwejk poznał go z nim w szynku malczyńskim, gdy sobie kupował wódkę na tę długą milę do Radomyśla.

Muzykant uważał Szwejka za dezertera i radził mu, żeby z nim poszedł do Horaźdiowic, bo tam ma córkę zamężną, której mąż też jest dezerterem. Muzykant podpiał sobie w Malczynie niezgorzej.

— Już dwa miesiące chowa córka swego męża w chlewie — mówił Szwejkowi. — Ciebie też schowa i przesiedzie tam sobie aż do końca wojny. We dwójkę nie będzie wam się przykrzyło.

Gdy Szwejk grzecznie odrzucił tę propozycję, muzykant bardzo się rozżłościł i ruszył w lewo przez pole grożąc Szwejkowi, że idzie do Cziżovej do żandarmów oskarżyć go.

W Radomyślu na ulicy Dolnej znalazł Szwejk pod wieczór domek gospodarza Melicharka za Floriankiem. Gdy mu przekazał ukłony od siostry, wcale to gospodarza nie wzruszyło.

Ciągle domagał się od Szwejka papierów. Był to jakiś starodawny człowiek, bo mówił ciągle o rozbójnikach, rzeźmieszkach i złodziejach, których jakoby siła się włości po krainie piseckiej.

— Ucieknie taki z wojny, służyć mu się tam nie chce, włości się po całej okolicy i gdzie się da, to kradnie — mówił z naciskiem, spoglądając Szwejkowi w oczy. — A każdy z nich wygląda jak niewiniątko.

Tak to, tak, o prawdę gniewają się ludzie najbardziej — dodał, gdy Szwejk powstał z ławy. — Gdyby taki człowiek miał czyste sumienie, to będzie siedział spokojnie i pokaże papiery. Ale jak papierów nie ma...

— No, to dobranoc, dziadziu.

— A dobranoc i z Bogiem. Innym razem trzeba sobie poszukać głupszego.

Gdy Szwejk wyszedł z izby, dziadek mruczał jeszcze dość długo:

— Idzie, powiada, do Budziejowic, do swego pułku. Z Taboru. I idzie huncwot na przód do Horaźdiowic, a potem dopiero na Pisek. Przecież to jest podróż dokoła świata.

Szwejk maszerował znów niemal całą noc i dopiero koło Putimia znalazł w polu stóg. Rozgrzebał nieco słomę i z bliska usłyszał głos:

— Z którego pułku? Gdzie idziesz?

— Z 91. Do Budziejowic.

— Gdzie cię tam diabli niosą!

— Ja tam mam swojego oberlejtanta.

Słysząc było, że śmieje się nie jeden głos, ale głosy trzy. Gdy śmiech przycichł, Szwejk zapytał, z jakiego pułku są oni. Dowiedział się, że dwaj są z 35, a jeden z artylerii, też z Budziejowic.

Ci z 35 uciekli przed miesiącem, gdy się formowała kompania marszowa, artylerzysta zaś wędruje od samej mobilizacji. Pochodzi z Putimia, a stóg należy do niego. Noce spędza zawsze w stogu. Kolegów znalazł wczoraj w lesie, więc ich zabrał do siebie do stogu.

Wszyscy mieli nadzieję, że wojna musi się skończyć za miesiąc, za dwa. Zdawało im się, że Rosjanie już są za Budapesztem i na Morawach. Tak sobie w Putimiu wszyscy opowiadali. Nad ranem, przed świtem, matka dragona przynosi śniadanie. Ci z 35 pójdą do Strakonic, ponieważ jeden z nich ma tam ciotkę, a ta znowu ma w górach za Suszicą jakiegoś znajomego właściciela tartaku. W tym tartaku będą dobrze ukryci.

— A ty, z 91, jeśli chcesz, to możesz iść z nami — zapraszali Szwejk. — Sraj na oberlejtanta.

— To nie tak łatwo — odpowiedział Szwejk i zakopał się głęboko w stogu.

Gdy się rano przebudził, nikogo już nie było. Któryś z nich, widać dragon, położył mu u nóg kawał chleba na drogę.

Szwejk szedł przez las i koło Sztiekna spotkał się z włóczęgą, starym wygą, który lykiem gorzałki przywitał się ze Szwejkiem jak ze starym kamratem.

— W takich szmatach nie łaź, bracie — pouczał Szwejka. — Taki mundur wojskowy to się dzisiaj nic a nic nie oplaca. Teraz wszędzie pełno żandarmów, a żebrać w takich gałganach też niewygodnie. Na nas żandarmi już dzisiaj nie zwracają takiej uwagi jak dawniej. Teraz szukają tylko was. Tylko was szukają — powtórzył z takim przekonaniem, że Szwejk postanowił nic mu raczej nie mówić o 91 pułku. Niech go sobie uważa, za kogo chce. Po co psuć złudzenia zacnemu staremu włóczędze?

— A gdzie idziesz? — zapytał włóczęga po chwili, gdy obaj zapalili fajki i nie śpiesząc się okrążali wioskę.

— Do Budziejowic.

— Jezus Maria, Józefie święty! — przestraszył się włóczęga. — Tam cię, bratku, capną za minutę. Ani się ogrzejesz! Cywilne szmaty musisz zdobyć, musisz łazić cały obszarpany i zrobić z siebie pokrakę. Ale nie martw się — mówił dalej. — Teraz pójdziemy na Strakonice, Volin, Dub i sam diabeł musiałby się w to wdać, żeby nam się nie udało zbębnić dla ciebie jakich łachów cywilnych. Koło Strakonice jest jeszcze sporo takich pocziwych bałwanów, co to na noc nie zamykają domu, a we dnie w ogóle wszystko otwarte. Teraz w zimie idzie sobie sąsiad do sąsiada na pogawędkę, więc o łach nie trudno. Czego tobie potrzeba? Buty masz, więc tylko tak coś na plecy. Ten wojskowy płaszcz stary?

— Stary.

— To go sobie zostawisz. Po wsiach noszą takie płaszcze. Potrzebujesz spodnie i kapotę. Jak tylko zbębniemy dla ciebie te cywilne łachy, to mundur i spodnie sprzedamy Żydowi Herrmanowi w Vodnianach. On skupuje takie skarbowe rzeczy i rozprzedaje je potem po wsiach.

Dzisiaj pójdziemy na Strakonice — rozwijał dalej swój plan. — Cztery milki stąd znajduje się stara owczarnia Schwarzenbergów. Tam jest pewien mój znajomy, owczarz, też już dziadyga starawy, przenocujemy u niego, a rano pójdziemy na Strakonice, żeby ci w tamtych okolicach wyszukać łachy cywilne.

W owczarni zastał Szwejk milego dziadka, który pamiętał, jak to znowu jego dziadek opowiadał o wojnach francuskich. Owczarz był może o dwadzieścia lat starszy od włóczęgi i dlatego do jednego i drugiego ze swoich gości mówił: chłopcze.

— Widzicie, chłopcy — zaczął owczarz opowiadać, gdy wszyscy usadowili się dokoła kuchenki, na której gotowały się kartofle w mundurkach — onego czasu dziadek mój też zdesenterował, jak ty na przykład. Ale capnęli go w Vodnianach i tak mu dupę zrąbali, że z niej strzepy leciały. I jeszcze mógł być rad, że miał takie szczęście. Syn Jaresza z Rażic za Protivinem, dziadek starego Jaresza, dozorca stawów, dostał za ucieczkę kulę w łeb w Pisku. Ale zanim go rozstrzelali na piseckich szańcach, musiał biec między rzędami żołnierzy i dostał sześćset kijów, tak że śmierć była dla niego ulgą i odkupieniem. A ty kiedy uciekłeś? — zwrócił spojrzenie wyblakłych oczu ku Szwejkowi.

— Po mobilizacji, kiedy nas zaprowadzili do koszar — odpowiedział Szwejk rozumiejąc, że opowieść prawdziwa wyda się dziadkowi cygaństwem.

— Przez mur przelazłeś? — pytał ciekawy owczarz pamiętając niezawodnie opowiadanie dziadka, który z koszar też przez mur uciekał.

— Inaczej się nie dało, dziadziu.

— A warta duża była? Strzelali?

— Tak, dziadziu.

— A teraz, gdzie zamyślasz pójść?

— E, we łbie mu się zamąciło — odpowiedział za Szwejka włóczęga. — Upiera się pójść do Budziejowic. Wiadomo, człowiek młody, głupi, sam się pcha w nieszczęście. Muszę ją go trochę wziąć w obroty. Aby tylko zbębnić jakie łachy cywilne dla niego, to już wszystko będzie dobrze. Do wiosny jakoś przebiduje, a potem pójdzie do roboty

do jakiego chłopca. Tęgo roku mało będzie ludzi do roboty i już mówią, że będą zabierali do pracy w polu wszystkich włóczęgów, więc myślę, że lepiej pójść z dobrej woli. Ludzi będzie mało, bo ich na wojnie wytłuką.

— Jak to? Myślisz, że się wojna tego roku nie skończy? — pytał owczarz. — Może masz rację, mój chłopcze. Były już długie wojny. Ta napoliońska na przykład, co nam o niej opowiadali, szwedzkie wojny, siedmioletnie wojny. Ano, zasłużyli sobie ludzie na wojny. Przecież i miłosiernemu Panu Bogu niemiło było patrzeć, jak wszyscy spysznieli. Już i baraninka zaczęła ich kłuć w zęby, już jej, moi drodzy, żreć nie chcieli. Dawniej chadzali tu procesjami, żeby im sekretnie sprzedać jednego czy drugiego baranka, ale w ostatnich latach to już im się zachciewało samej wieprzowiny, drobiu, wszystko masłem albo smalcem podlewane. Więc się Pan Bóg na nich pogniewał za tę ich pychę. Ale się opamiętają, gdy zaczną znowu gotować lebiodę, jak bywało za wojny napoliońskiej. Sama zwierchność nie wiedziała już, co z tymi wałkoniami. Stary książę, pan Schwarzenberg, jeździł jeszcze zwyczajnym powozem, a ten młody smarkacz książęcy śmierdzi już automobilem. Ale pan Bóg tą benzyną też mu pysk przetrze.

Woda z gotującymi się kartoflami bulgotała, a stary owczarz po krótkim milczeniu rzekł tonem proroczym:

— I nasz najjaśniejszy pan tej wojny też nie wygra. Nie ma żadnego zapasu dla tej wojny, bo jak mawia pan bakałarz ze Strakonic, najjaśniejszy pan nie kazał się koronować na króla czeskiego. Niech teraz obiecuje, komu chce, złote góry, nikt mu nie uwierzy. Kiedyś, stary gałanie, obiecał, że się będziesz koronował, toś powinien był dotrzymać słowa.

— Ano, może teraz się weźmie do tego — wtrącił stary włóczęga.

— Teraz mu, chłopcze, każdy plunie na to — mówił podrażniony owczarz. — Żebyś słyszał, jak z sobą rozmawiają sąsiedzi w Skoczicach, gdy się zejdą na pogawędkę. Każdy ma kogoś w wojsku, więc rozmowy prowadzą aż miło. Po tej wojnie będzie wolność, nie będzie ani pańskich dworów, ani cesarzy, a dobra książęce zostaną zabrane. Niejakiego Korzinka też już żandarmi za takie gadanie zabrali, że niby buntuje naród. Juścić, dzisiaj prawo mają żandarmi.

— Żandarmi mieli prawo i dawniej — odezwał się włóczęga. — Pamiętam, że w Kladnie rotmistrzem żandarmów był niejaki pan Rotter. Ni stąd, ni zowąd zaczął on hodować te, jakże im tam, psy policyjne, z wilków się wywodzące, co to wszystko wytropią, jak je przyuczyć. I miał ten pan rotmistrz z Kladna tych pieskich swoich urzędników więcej, niż potrzeba. Trzymał ich w osobnym domku i dogadzał im jakby jakim hrabiom. Strzeliło mu raptem do głowy, żeby z tymi psami robić doświadczenia na biednych ludziach wędrownych, niby na nas. I wydał rozkaz, żeby żandarmi po całej okolicy Kladna starannie zbierali wszystkich wędrownych i dostarczali ich do jego własnych rąk. Wyciągam ja razu pewnego kulasy drogą z Lan i migam się dość głęboko borem-lasem, ale wszystko na nic. Do leśniczówki, do której się wybrałem, już się nie dostałem, bo już mnie mieli i odstawili prosto do pana rotmistrza. Ludzie kochane, nawet sobie tego akuratnie rozważyć nie możecie, czegom ja u tego pana rotmistrza z tymi psami nie wycierpiał. Najprzód kazał mnie tym psom obwąchać, potem musiałem włączyć na drabinę, a kiedym był już dość wysoko, to puścili za mną jedną taką bestię, ta jucha ściągnęła mnie z drabiny na dół, powaliła na ziemię, stanęła na mnie i prosto w oczy wyszczerzyła na mnie zęby. Potem tego psa zabrali, a mnie powiedzieli, żebym się niby schował, gdzie mi się podoba. Puściłem się w dolinę Kaczaku na lasy, wlałem w szczelinę skalną, a za pół godziny przyleciały za mną dwie takie bestie, powaliły mnie i podczas gdy jedna trzymała mnie zębami za kark, druga poleciała do Kladna, a za godzinę przyszedł do mnie sam ten pan rotmistrz z żandarmami. Psa przywołał, dał mi pięć koron i pozwolił mi przez całe dwa dni żebrac swobodnie po całym Kladnie. Ale ja od razu nóżki za pas i z miejsca truchtem do Berouna i już nigdy noga moja w Kladnie nie powstała. Omijali tamte strony wszyscy ludzie wędrowni, bo na wszystkich chciał pan rotmistrz robić te swoje próby. Te mądre psy okropnie lubił. Po posterunkach żandarmskich sobie opowiadali, że jak przybył gdzie na inspekcję i zobaczył tam wilka, to żadnej inspekcji nie robił, tylko z wielkiej uciechy chlął przez cały dzień z wachmistrzem.

Podczas gdy owczarz zlewał wodę z kartofli i napelniał misę zsiadłym owczym mlekiem, włóczęga opowiadał dalej, co wiedział o prawie żandarmów.

— W Lipnicy był niegdyś jeden wachmistrz żandarmski w dole przed zamkiem. Mieszkał tam, gdzie był posterunek, a ja, stary poczwiwiec, myślałem zawsze, że posterunek musi być na jakimś widocznym miejscu, w rynku czy na jakim placu, a nie w ciasnej, ustronnej uliczce. Więc idę do przedmieścia, obchodzę domek za domkiem, nie patrząc na napisy i w jednej takiej chałupie otwieram drzwi na pierwszym piętrze i melduję się: „Upraszam pokornie ubogi wędrowny”. Ech, mój Boże, nogi mi odjęło! Wlazłem prosto na posterunek żandarmski. Karabiny pod ścianami, krucyfiks na stole, rejestry na szafce, najjaśniejszy pan z obrazu nad stołem patrzy prosto na mnie. Zanim zdołałem coś wykrztusić, pan wachmajster przyskoczył do mnie i dał mi tak zdrowo w pysk, że od drzwi zleciałem po schodach na sam dół i nie zatrzymałem się aż w Kejźlicach. Takie jest prawo żandarmów.

Zabrali się do jedzenia i niebawem poukładali się do snu w ciepłej izbie na ławach.

W nocy Szwejk ubrał się po cichu i wyszedł na dwór. Na wschodzie pokazywał się księżyc i w jego nikłych blaskach ruszył Szwejk ku wschodowi, powtarzając sobie: „Przecież to jest niemożliwe, żebym wreszcie do tych Budziejowic jakoś się dostał”.

Ponieważ z prawej strony po wyjściu z lasów widać było jakieś miasto, więc Szwejk skierował się trochę ku północy, po czym zawrócił ku południowi, ale znów pokazało mu się jakieś miasto. (Były to Vodniany). Okrążył je zrećźnie drogą przez łąki, a poranne słońce powitało go na zaśnieżonych zboczach nad Protivinem.

— Stale naprzód — rzekł sobie dobry wojak Szwejk. — Obowiązek wzywa. Do Budziejowic dostać się muszę.

Zbiegiem nieszczęśliwych okoliczności, zamiast od Protivina na południe ku Budziejowicom, zwróciły się kroki Szwejka ku północy, na Pisek.

Około południa ujrzał Szwejk jakąś wieś w pobliżu. Schodząc z niewielkiego wzgórza pomyślał sobie dobry wojak: „Dalej tak nie można. Przepytam się tu, którądy się idzie do tych Budziejowic”.

Wkraczając do wsi był ogromnie zdziwiony, gdy na tablicy około pierwszego domku przeczytał: „Wieś Putim”.

— Na miłość boską! — westchnął Szwejk. — Znowu więc jestem w Putimiu, gdzie spałem w stogu.

Nie dziwił się też bynajmniej, gdy zza sadzawki z domku czysto wybielonego, na którym wisiała kokoszka (jak miejscami nazywano orla państwowego), wyszedł żandarm, podobny do pająka czyhającego wśród pajęczyny.

Żandarm zmierzał prosto do Szwejka i zbliżywszy się doń wyrzekł tylko jedno jedyne słowo:

— Dokąd?

— Do Budziejowic, do swego pułku.

Żandarm się uśmiechnął:

— Idzie pan przecie od Budziejowic. Ma pan te swoje Budziejowice już za sobą — i wciągnął Szwejka na posterunek żandarmerii.

Wachmistrz żandarmerii w Putimiu znany był w całej okolicy z tego, że postępuje bardzo taktownie i bardzo sprytnie. Ludziom zatrzymanym lub aresztowanym nigdy nie rzekł marnego słowa, nie wymyślał i nie wzywał, ale poddawał wszystkich takiemu krzyżowemu badaniu, że i niewinny przyznałby się do wszystkiego.

Obaj żandarmi posterunku przystosowali się do niego, a badanie krzyżowe odbywało się zawsze przy uśmiechach całego personelu żandarmerii.

„Kryminalistyka opiera się na uprzejmości i sprycie — mawiał często wachmistrz w Putimiu do swoich podwładnych. — Wrzeszczeć na kogoś to nie ma najmniejszego sensu. Do delikwentów i ludzi podejrzanych trzeba zabierać się delikatnie, a przy tym trzeba się starać, żeby ich utopić w powodzi pytań”.

— Uprzejmie pana witam, panie żołnierzu — rzekł wachmistrz. — Niech pan siada, bo pan jest wędrowną strudzony, i niech pan powie, dokąd pan się wybrał.

Szwejk powtórzył, że idzie do Czeskich Budziejowic, do swego pułku.

— W takim razie zmylił pan drogę — rzekł z uśmiechem wachmistrz — ponieważ idzie pan właśnie od Czeskich Budziejowic, o czym mogę pana przekonać. Oto tutaj wisi mapa Czech. Niech pan popatrzy. Na południe od nas jest Protivin, dalej na południe

jest Hluboka, a jeszcze dalej są Czeskie Budziejowice. No, sam pan widzi, że nie do Budziejowic pan idzie, ale z Budziejowic.

Wachmistrz spojrział na Szwejka uprzejmie, ten zaś odpowiedział spokojnie i z wielką godnością:

— A jednak ja idę do Budziejowic!

Było to coś więcej niż słowa Galileusza: „*Epur si muove*” — ponieważ tamten wypowiedział je na pewno w złości.

— Wie pan co? — mówił wachmistrz z niezmierną uprzejmością. — Ja to panu wyprzeszuję, a pan sam dojdzie do przekonania, że wszelkie kłamstwo utrudnia zeznanie.

— Ma pan zupełną rację — rzekł Szwejk — że każde zapieranie się utrudnia zeznanie i na odwrót.

— No, widzi pan, że jesteśmy jednego zdania w tej kwestii. Proszę mi powiedzieć całkiem rzetelnie, skąd pan wyszedł wybierając się do tych swoich Budziejowic. Mówię umyślnie „swoich”, ponieważ widocznie muszą być jakieś inne Budziejowice, leżące na północ od Putimia, ale dotychczas nie ma ich na mapie.

— Wyszedłem z Taboru.

— A co pan robił w Taborze?

— Czekałem na pociąg odchodzący do Budziejowic.

— A dlaczego nie pojechał pan do Budziejowic koleją?

— Bo nie miałem pieniędzy na bilet.

— A dlaczego panu, jako żołnierzowi, nie dali bezpłatnego biletu wojskowego?

— Ponieważ przy sobie nie miałem żadnych dokumentów.

— Otóż to — zatriumfował wachmistrz żandarmerii zwracając się do jednego z żandarmów. — Nie jest taki głupi, jak udaje, i zaczyna się bardzo ładnie plątać.

Wachmistrz zaczął na nowo, jak gdyby nie dosłyszał ostatniej odpowiedzi o dokumentach.

— Wyszedł więc pan z Taboru. I dokąd pan szedł?

— Do Czeskich Budziejowic.

Twarcz wachmistrza nabrała wyrazu nieco surowszego, a oczy jego zwróciły się ku mapie.

— Czy może nam pan pokazać na mapie, którędy szedł pan do Budziejowic?

— Wszystkich tych miejsc nie pamiętam, wiem tylko to jedno, że tutaj w Putimiu już raz byłem.

Cały personel posterunku żandarmerii spojrział po sobie badawczo, a wachmistrz mówił dalej:

— A więc w Taborze był pan na dworcu. Czy pan ma coś przy sobie? Proszę wszystko wyjąć.

Szwejk został bardzo dokładnie zrewidowany, ale nic u niego nie znaleziono, prócz fajki i zapalek.

— Niech no pan powie — zapytał wachmistrz — dlaczego też nie ma pan przy sobie nic, ale to nic?

— Bo ja niczego nie potrzebuję.

— Ech, mój Boże — westchnął wachmistrz — ciężka sprawa z panem! Powiada pan, że w Putimiu był pan już raz. Co pan tu robił?

— Przechodziłem koło Putimia idąc do Budziejowic.

— Teraz sam pan widzi, jak pan się płacze. Według słów pańskich szedł pan do Budziejowic, ale już pan chyba jest przekonany, że idzie pan z Budziejowic.

— Musiałem widać zrobić takie koło.

Wachmistrz znów wymienił z całym personelem wymowne spojrzenie.

— Te pańskie koła wyglądają na to, że pan się tu włóczy po okolicy. Czy długo pan siedział w Taborze na dworcu?

— Aż do odejścia ostatniego pociągu do Budziejowic.

— I cóż pan tam robił?

— Rozmawiałem z żołnierzami.

Nowe, wielce wymowne spojrzenie wachmistrza na personel.

— O czym też pan na przykład rozmawiał z żołnierzami i o co pan ich wypytywał?

— Pytałem się ich, z jakiego są pułku i dokąd jadą.

— Doskonale. A czy nie pytał pan ich, na przykład, ilu szeregowców ma taki pułk i na jakie części się dzieli?

— O to się nie pytałem, ponieważ już dawno znam to na pamięć.

— A więc jest pan dobrze poinformowany o formacjach naszego wojska?

— Tak jest, panie wachmistrzu.

Wachmistrz rozejrzał się triumfująco dokoła, rzucając na szalę ostatni atut:

— Po rosyjsku pan umie?

— Nie umiem.

Wachmistrz skinął na młodszego żandarma, a gdy obaj wyszli do przyległego pokoju, rzekł w uniesieniu, przekonany o niechybnym zwycięstwie:

— Słyszał pan? — zacierał ręce. — Nie umie po rosyjsku! Spryciarz nad spryciarze! Do wszystkiego się przyznał, tylko najważniejszego się wypiera! Jutro odstawimy go do Pisku do sądu okręgowego. Kryminalistyka to spryt i delikatność. Widzieliście, jak go pograżyliśmy w powodzi pytań? Kto by to był pomyślał! Wygląda tak jakos żałośnie i idiotycznie, ale do takich spryciarzy trzeba zabierać się jeszcze sprytniej. Proszę go teraz gdzieś usadowić, a ja pójdę spisać protokół.

Było już dobrze pod wieczór, a wachmistrz żandarmerii z miłym uśmiechem wciąż jeszcze pisał swój protokół, którego każde zdanie zawierało słówko: „*Spionageverdächtig*”.

Wachmistrzowi Flanderce sytuacja wydawała się coraz jaśniejsza, w miarę jak coraz więcej rozpisывał się dziwną niemiecką urzędową, aż wreszcie zakończył swój *bericht* takimi słowy:

„*So melde ich gehorsam, wird den feindlichen Offizier heutigen Tages nach Bezirksgendarmierekommando Pisek überliefert*”.

Uśmiechnął się z zadowoleniem do swego dzieła i zawołał swego frajtra:

— Czy dalszcie temu nieprzyjacielskiemu oficerowi coś do zjedzenia?

— Według pańskiego rozporządzenia, panie wachmajster, dajemy pożywienie tylko tym, którzy zostają ujęci i przesłuchiwni przed godziną dwunastą.

— Mamy do czynienia z wielkim wyjątkiem — rzekł z godnością wachmistrz. — Jest to jakiś wyższy oficer, widać sztabowy. Sami chyba rozumiecie, że Rosjanie nie przyślą tu na szpiegowanie jakiegoś frajtra. Poślijcie do gospody „Pod Kocurkiem” po obiad, a gdyby tam nic nie mieli, niech gotują. Następnie niech zrobią herbaty z arakiem i niech to wszystko tutaj przyślą. Ale nie mówić dla kogo. W ogóle nic nie mówić, kogo tutaj mamy. To tajemnica wojskowa. Co też teraz robi?

— Prosił o trochę tytoniu, siedzi na odwachu i jest taki zadowolony, jakby siedział u siebie w domu. „Macie tu, powiada, ciepłutko, aż miło. A piec nie dymi? Bardzo tu u was przyjemnie. Gdyby piec dymił, to najlepiej kazać go kominiarzowi przeciągnąć. Ale dopiero po obiedzie, nie wtedy, jak słońce stoi nad kominem”.

— Co to za wyrafinowany człowiek! — głosem pełnym podziwu wołał wachmistrz. — Zachowuje się tak, jakby nie o niego chodziło. A sam wie przecie, że będzie rozstrzelany. Takiego człowieka trzeba szanować, chociaż to i nieprzyjaciel. Bo przecie taki idzie na pewną śmierć. Nie wiem, czy zdobylibyśmy się na coś podobnego. Moglibyśmy się zachwiać, pofolgować sobie. A ten siedzi spokojnie i nic. „Ciepłutko tu u was, powiada, i czy wam piec nie dymi”. Są na świecie, panie frajter, i takie charaktery. Na to potrzebne są nerwy stalowe, samozaparcie, hart i zapal. Gdyby w Austrii był taki zapal... ale lepiej o tym nie mówmy. Chociaż i u nas trafiają się tacy zapaleńcy. Czytał pan w gazecie „*Narodni Politika*” o tym oberlejtnciancie Bergerze z artylerii, co to wlażł na wysoką sosnę i zrobił sobie tam na gałęzi *beobachtungspunkt*? Gdy nasi ustąpili, nie mógł już zleźć na dół, bo byłby się dostał do niewoli. Cekał więc tak długo, aż nasi znowuż nieprzyjaciela przepędzą i musiał czekać całe dwa tygodnie, nim się ich wreszcie doczekał. Czternaście dni siedział na sośnie, poogryzał cały wierzchołek drzewa i żywił się igliwiami i gałązkami, żeby nie umrzeć z głodu. A gdy nasi wrócili, to był taki osłabiony, że już nie mógł się na drzewie utrzymać, spadł i zabił się. Po śmierci został nagrodzony złotym krzyżem zasługi za dzielność.

I wachmistrz dodał z wielką powagą:

— To jest poświęcenie, panie frajter, bohaterstwo, że tak powiem! No, ale my tu znowu gadu, gadu, a tamten czeka. Skoczcie więc zamówić teraz ten obiad, a jego tymczasem przyslijcie do mnie.

Frajter przyprowadził Szwejka, wachmistrz uprzejmie wskazał mu krzesło i rozpoczął rozmowę od pytania, czy ma rodziców.

— Nie mam.

Wachmistrz pomyślał, że to i lepiej nawet, bo przynajmniej nikt nie będzie tego biedaka oplakiwał. Zapatrzył się w pocziwą twarz Szwejka i w przystępie życzliwości poklepał go po ramieniu, pochylił się ku niemu i zapytał go tonem ojcowskim:

— No, a jak się panu w Czechach podoba?

— Mnie się wszędzie w Czechach podoba — odpowiedział Szwejk. — Po drodze spotykałem wszędzie dobrych ludzi.

Wachmistrz kiwał głową potakująco.

— Nasz lud jest bardzo dobry i miły. Że tam czasem ktoś komuś coś ukradnie albo że się ludzie poczubią, to jest bez znaczenia. Jestem tu już lat piętnaście i gdyby wszystko dokładnie obliczyć, co się tu stało, to na rok wypadnie akurat trzy ćwierci morderstwa.

— Pan mówi o morderstwach nie dokonanych? — zapytał Szwejk.

— E, nie. O dokonanych, tylko że przez lat piętnaście badaliśmy tu zaledwie jedenaście morderstw. Rabunkowych było pięć, a sześć takich zwyczajnych, niewartych gadania.

Wachmistrz milczał przez chwilę, a potem znowu przeszedł do swojej metody badania:

— Co właściwie chciał pan robić w Budziejowicach?

— Wstąpić do służby w 91 pułku.

Wachmistrz wezwał Szwejka, aby udał się na odwach, i śpiesząc się, aby nie zapomniał tego, co właśnie usłyszał, dodał do swego raportu, przeznaczonego dla dowództwa żandarmerii w Pisku:

„Znając wybornie język czeski, zamierzał w Czeskich Budziejowicach podjąć próbę dostania się do 91 pułku piechoty”.

Zatarł ręce z zadowolenia, że udało mu się zebrać taki bogaty materiał śledczy, pełen precyzyjnych wyników jego metody badania. Przypomniawszy sobie swego poprzednika, wachmistrza Burgera, który z zatrzymanymi w ogóle nie rozmawiał, o nic nie pytał i natychmiast odsyłał ich do sądu okręgowego z krótkim raportem:

„Według raportu frajtra został zatrzymany za włóczęgostwo i żebranie”.

Czy można nazwać to przesłuchiwaniem? I wachmistrz, spoglądając na stronie raportu, uśmiechnął się z zadowoleniem. Z biurka swego wyjął tajną instrukcję krajowego dowództwa żandarmerii w Pradze ze zwykłym zastrzeżeniem: „Ścisłe tajne!” — i przeczytał ją sobie jeszcze raz:

„Wszystkim posterunkom żandarmerii poleca się surowo, aby z uwagą jak najczujniejszą śledziły wszystkie osoby przechodzące przez ich rewiry. Przesunięcia naszych wojsk w Galicji wschodniej spowodowały to, że pewne oddziały rosyjskie, przekroczywszy Karpaty, zajęły stanowiska wewnątrz granic naszej monarchii. Ta nowa sytuacja spowodowała przesunięcie frontu w głąb terytorium naszego mocarstwa ku zachodowi. Ona też umożliwiła szpiegom rosyjskim przedostanie się przy ruchliwości frontu w głąb terytorium naszego mocarstwa, osobliwie na Śląsk i na Morawy, skąd według poufnych wiadomości bardzo wielu rosyjskich szpiegów udało się do Czech. Zostało stwierdzone, że wśród nich jest dużo Czechów rosyjskich, wychowanych w wysokich wojskowych szkołach sztabowych w Rosji. Znając doskonale język czeski, stają się oni osobliwie niebezpiecznymi szpiegami, albowiem mogą przeprowadzić i na pewno przeprowadzają wśród ludności czeskiej propagandę antypaństwową. Dowództwo krajowe poleca przeto zatrzymywać wszystkich podejrzanych i zaostrzyć czujność osobliwie w tych miejscowościach, w pobliżu których znajdują się jednostki wojskowe, składy wojskowe i stacje kolejowe, przez które przechodzą pociągi wojskowe.

Zatrzymanych należy natychmiast poddać rewizji i odstawić do wyższej instancji”.

Wachmistrz żandarmerii Flanderka znów uśmiechnął się z zadowoleniem i włożył tajną instrukcję, „*Sekretreservaten*”, między inne instrukcje do teki z napisem: „Rozporządzenia tajne”.

Było ich dużo, bo Ministerstwo Spraw Wewnętrznych przy współudziale Ministerstwa Obrony Krajowej, którego władzy podlegała żandarmeria, wydawało ich tyle, że w dowództwie żandarmerii w Pradze nie nadążano z ich powielaniem i rozsyłaniem.

Żandarmi otrzymywali papiery, jak np.:

Rozporządzenie o kontroli lojalności ludności miejscowej.

Instrukcja, jak w rozmowach z miejscową ludnością badać należy wpływ, jaki na ludność wywierają wiadomości z terenów wojny.

Kwestionariusz dotyczący stosunku miejscowej ludności do rozpisanych pożyczek wojennych i składek.

Kwestionariusz o nastrojach wśród wezwanych do wojska i wśród tych, którzy mają zostać wezwani.

Kwestionariusz o nastrojach wśród członków samorządów miejscowych i wśród inteligencji.

Rozkaz natychmiastowego ustalenia, do jakich partii politycznych należy ludność miejscowa i jaka jest siła poszczególnych partii.

Rozporządzenie o kontroli działalności przywódców miejscowych partii i stwierdzenie stopnia lojalności tych właśnie partii, do których należy ludność danego terenu.

Kwestionariusz co do tego, jakie gazety, czasopisma i broszury przychodzą do rewiru danego posterunku żandarmerii.

Instrukcja nakazująca sprawdzenie, z kim obcują osoby podejrzane o nielojalność i jak przejawia się ich nielojalność.

Instrukcja, jak pozyskiwać spośród ludności miejscowej płatnych konfidentów i donosicieli.

Instrukcja dla oplacanych donosicieli, rekrutujących się z miejscowej ludności, którzy są na służbie danego posterunku żandarmerii.

Dzień w dzień przybywały nowe instrukcje, pouczenia, kwestionariusze i rozporządzenia. Zasypany tym mnóstwem wynalazków austriackiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, wachmistrz Flanderka miał masę zaległości i na kwestionariusze odpowiadał stereotypowo, że w jego rewirze wszystko w porządku, a lojalność wśród miejscowej ludności odpowiada stopniowi I a.

Austriackie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wynalazło do mierzenia lojalności i wierności względem monarchii taką to skalę stopni: I a, I b, I c; II a, II b, II c; III a, III b, III c; IV a, IV b, IV c. Ta ostatnia czwórka rzymska w połączeniu z „a” oznaczała zdradę stanu i stryczek, z literą „b” internowanie, z literą „c” obserwację i więzienie.

W szufladzie wachmistrza żandarmerii znajdowały się wszelkie możliwe druki i rejestry. Rząd chciał wiedzieć o każdym obywatelu wszystko, co ten obywatel o nim myśli.

Ileż to razy wachmistrz Flanderka, zrozpaczony, załamywał ręce nad drukami, które nieubłaganie przychodziły każdą pocztą. Jak tylko ujrzał znane koperty z pieczętką „*Portofrei-dienstlich*”, serce uderzało mu mocniej, a w nocy, gdy rozmyślał nad tym wszystkim, dochodził do przekonania, że końca wojny się nie doczeka i że krajowe dowództwo żandarmerii przyprawi go w ostatniej chwili o utratę rozumu, i że nie będzie już mógł cieszyć się ze zwycięstwa armii austriackiej, bo zgłupieje do cna. Zaś dowództwo okręgowe bombardowało go dzień w dzień zapytaniem, dlaczego nie odpowiedział jeszcze na kwestionariusz numer 72345/(721 g/f) d, jak załatwiona została instrukcja za numerem 88992/(882 gfch) z, jakie praktyczne rezultaty wydała instrukcja pod numerem 123456/(1292 b/r) v, itd.

Najwięcej kłopotów miał z instrukcją, w jaki sposób wśród ludności miejscowej wybierać należy płatnych donosicieli, aż wreszcie, uznawszy za niemożliwe pozyskanie kogoś z tych miejscowości, gdzie zaczynają się Błata i gdzie wszyscy jeden w drugiego mają twarde, uparte lby, wpadł na koncept wyforowania na to stanowisko pastucha gminnego, którego wszyscy nazywali: „Pepiku, skocz no!”. Był to kretyn, który na takie wezwanie zawsze podskoczył. Jedną z tych nieszczęśliwych, przez przyrodę i ludzi upośledzonych istot, kaleka, który za kilka złotych rocznie i za trochę pożywienia pasał bydło wsiowe.

Tego więc Pepika kazał wachmistrz wezwać i rzekł do niego:

— Wiesz ty, Pepiku, kto to jest stary Prochazka?

— Beee...

— Nie bec i pamiętaj, że tak nazywają najjaśniejszego pana. Wiesz, kto to jest najjaśniejszy pan?

— To pan cisiaś.

— Doskonale, Pepiku! Więc pamiętaj, gdy chodząc po domach na obiady usłyszysz, że pan cesarz jest bydlę, albo co innego, to przyjdź do mnie i powiedz mi o tym. Dostaniesz dziesiątkę, a jeśli będzie ktoś mówił, że wojny nie wygramy, to tak samo przyjdiesz do mnie i powiesz mi, kto to mówił, i znowu dostaniesz dziesiątkę. Ale gdybym się dowiedział, że przede mną coś ukrywasz, to źle z tobą będzie. Zabiorę cię i odstawię do Pisku. A teraz, Pepiku, skocz no!

Pepik podskoczył, wachmistrz dał mu dwie dziesiątki i zadowolony z siebie napisał raport do okręgowego dowództwa żandarmerii, że już znalazł osobę, która będzie dostarczała informacji.

Nazajutrz przyszedł do wachmistrza ksiądz proboszcz i donosił mu w głębokim sekrecie, że dzisiaj rano spotkał pastucha gminnego, Pepika, który mu opowiadał:

— Panie pjobosc, a pan wachmajstel wciolaj mówił, że pan cisiaś jest bydle i że wojny nie wyglamy. Beee, hop!

Po dłuższym roztrząsaniu sprawy i po rozmowie z księdzem proboszczem kazał wachmistrz żandarmerii, Flanderka, zaarrestować pastucha gminnego, który następnie przez sąd wojenny na Hradczanach skazany został na dwanaście lat więzienia za knowania antypaństwowe, za podburzanie do nieposłuszeństwa władzom, za obrazę najjaśniejszego pana i za kilka innych zbrodni i przestępstw.

Pepik zachowywał się wobec sądu jak na pastwisku albo wśród sąsiadów. Na wszystkie pytania pobekiwał jak koza, a po ogłoszeniu wyroku podskoczył i wrzasnął: „Beee, hop!”. Za to został ukarany dyscyplinarnie twardym łóżem w osobnej celi i trzema postami.

Odtąd wachmistrz żandarmerii nie miał już informatora i musiał zadowolić się tym, że go sobie wymyślił i podawszy fikcyjne nazwisko powiększył dochód swój o pięćdziesiąt koron miesięcznie, które przepijał w gospodzie „Pod Kocurkiem”. Pijąc dziesiąty kufel dostawał napadu sumienia, piwo przestawało mu smakować, a sąsiedzi zwracali się do niego zawsze z tym samym zdaniem:

— Pan wachmistrz jest dzisiaj taki jakiś smutny, jakby nieswój.

Przy tych słowach wachmistrz udawał się do domu, a po jego odejściu zawsze ktoś mawiał:

— Nasi widać znowu dostali w Serbii po dupie, bo wachmajster zaniemował.

Zaś wachmistrz zabierał się w domu do pracy i wypełniał przynajmniej jeden z wielu kwestionariuszów:

„Nastrój wśród miejscowej ludności: I a”.

Pan wachmistrz miewał ciężkie, bezsenne noce. Bezustannie wyczekiwał inspekcji i dochodzenia. Śnił mu się nieraz stryzyk, widział, jak go prowadzą pod szubienicę, gdzie sam pan minister Obrony Krajowej pyta się go po raz ostatni:

„*Wachtmeister, wo ist die Antwort des Zirkulars nr 1789678/23792 X. Y. Z?*”

Ale teraz! Jest jakoś tak, jakby ze wszystkich zakątków posterunku żandarmerii odzywały się fanfary triumfalne. Wachmistrz żandarmerii Flanderka nie wątpił, że dowódca okręgu poklepie go po ramieniu i powie:

„*Ich gratuliere Ihnen, Herr Wachtmeister*”.

W duchu widział wachmistrz żandarmerii i inne wspaniałe obrazy, jakie tały się w jednym ze zwojów jego urzędowego mózgu: odznaczenia, szybki awans i przeniesienie do wyższej rangi służbowej, ocena jego zdolności kryminalistycznych, świetna kariera. Wezwał frajtra i zapytał:

— Dostał obiad?

— Przynieśli mu wędzonkę z kapustą i knedlami, ale zupy już nie było. Wypił herbatę i prosi o jeszcze.

— Nie żałować mu! — wspaniałomyślnie zdecydował wachmistrz. — Jak tylko herbatę wypije, to proszę przyprowadzić go do mnie.

— No i jakże tam? Smakowało panu? — zapytał wachmistrz, gdy młodszy żandarm po upływie pół godziny przyprowadził Szwejka, sytego i zadowolonego jak zawsze.

— Można wytrzymać, panie wachmajster, tylko kapusty było trochę za mało. Ale cóż robić? Wiem, że pan nie był na to przygotowany. Wędzonka była dobrze przewędzona. Przypuszczam, że było to mięso domowe ze świni swojego chowu. Herbata z arakiem też zrobiła mi dobrze.

Wachmistrz spojrzął na Szwejka i zaczął:

— W Rosji pija się dużo herbaty, nieprawdaż? Czy mają także i arak?

— Arak mają na całym świecie.

„Tylko się, bratku, nie wykręcaj — pomyślał wachmistrz. — Trzeba się było pilnować dawniej i nie gadać wszystkiego”.

— No, a ładnych dziewcząt dużo w Rosji? — zapytał pochylając się ku Szwejkowi poufale.

— Ładne dziewczęta są na całym świecie, panie wachmajster.

„Figlarz z ciebie — pomyślał znowu wachmistrz. — Teraz chciałbyś się z tego wszystkiego wykręcić”.

Wytoczył na Szwejka najcięższy kaliber i zapytał:

— Co chciał pan robić w 91 pułku?

— Chciałem udać się na front.

Wachmistrz z zadowoleniem popatrzył na Szwejka i rzekł jakby do siebie:

— Całkiem słusznie. Jest to najlepszy sposób dostania się do Rosji.

„Rzecz jest naprawdę świetnie obmyślana” — promieniał wachmistrz uważając, jakie też wrażenie wywrą na Szwejkowi jego słowa.

Ale w oczach jego nie mógł się doczytać niczego, prócz bezwzględnej spokoju.

„Ani brew nie drgnie — podziwiał wachmistrz Szwejka. — Takie świetne mają wychowanie wojskowe. Gdybym się znalazł w jego sytuacji i ktoś odezwałby się do mnie w taki sposób, to kolana roztrzęsłyby się pode mną...”

— Rano odwieziemy pana do Pisku — rzucił jakby od niechcienia. — Był pan już w Pisku?

— Roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego na manewrach cesarskich.

Uśmiech wachmistrza stał się po tej odpowiedzi jeszcze uprzejmiejszy i bardziej triumfujący. Doznawał uczucia, że swoim systemem zapytań prześcignął samego siebie.

— Brał pan udział w manewrach?

— Tak jest, panie wachmajster, jako szeregowiec.

I znów tak spokojnie, jak przedtem, spoglądał Szwejk na wachmistrza, który z uciechy siedział jak na szpilkach i nie mógł się już doczekać, kiedy wstawi to wreszcie do raportu. Zawołał frajtra, żeby Szwejka odprowadził, a sam uzupełnił swój raport:

„Plan jego był taki: wkradłszy się do szeregów 91 pułku piechoty, chciał natychmiast zameldować się jako ochotnik na front i przy najbliższej sposobności dostać się do Rosji, zauważył bowiem, że przy czujności organów inna droga powrotu jest niemożliwa. Że w 91 pułku byłby mógł świetnie prosperować, jest bardzo prawdopodobne, gdyż po dłuższym krzyżowym badaniu przyznał się, że w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym brał udział w manewrach cesarskich w okolicy Pisku jako szeregowiec. Z tego widać, że w specjalności swojej posiada wielkie zdolności. Zaznaczam jeszcze, że zebrane oskarżenia są rezultatem mego systemu krzyżowego badania”.

We drzwiach ukazał się młodszy żandarm.

— Panie wachmajster, on chce iść do wychodka.

— *Bajonett auf!* — zdecydował wachmistrz. — Albo lepiej niech go pan przyprowadzi tutaj.

— Chce pan iść do wychodka? — uprzejmie zapytał wachmistrz. — Czy nie ma pan jakich innych zamiarów?

Badawczo patrzył w twarz Szwejka.

— Nie mam żadnych innych zamiarów, panie wachmistrzu, tylko pilną potrzebę — odpowiedział Szwejk.

— No, no, żeby się tylko nie okazało co innego — napominał go wachmistrz przynajmniej służbowy rewolwer. — Pójdę z panem.

— To bardzo dobry rewolwer — mówił do Szwejka po drodze — siedmiostrzałowy i strzela bardzo precyzyjnie.

Zanim wyszli na dwór, wachmistrz zawołał frajtra i rzekł mu sekretnie:

— *Bajonett auf*, jak już będzie w środku, staniecie za wychodkiem, żeby nam się nie przekopał przez gnojowisko.

Wychodek był to mały, zwyczajny szalecik drewniany, sterczący rozpaczliwie na środku podwórza nad gnojowiskiem i sąsiadujący z pobliską kupą nawozu.

Był to już stary weteran, w którym załatwiały swoje potrzeby całe pokolenia. Teraz siedział w nim Szwejk przytrzymując jedną ręką drzwi za sznurek, podczas gdy od tyłu frajter spoglądał mu na zadek, żeby się aresztant nie przekopał przez gnojowisko.

Zaś jastrzębie oczy wachmistrza żandarmerii nie odwracały się ani na chwilę od drzwi; wachmistrz rozmyślał nad tym, w którą nogę należałoby postrzelić Szwejka, gdyby próbował uciec.

Ale drzwi otwarły się spokojnie, z szaletu wyszedł zadowolony Szwejk i zwracając się do wachmistrza pytał:

— Czy nie siedziałem zbyt długo? Może pan nie ma czasu?

— O, bynajmniej, bynajmniej — odpowiedział wachmistrz, a w duchu pomyślał: „Co za delikatny, wytworny człowiek. Wie, co go czeka, ale trzeba przyznać, że do ostatniej chwili jest przyzwoity. Czy ktoś z naszych na jego miejscu umiałby się tak zachować?”

Wachmistrz usiadł obok Szwejka na materacu na pustym łóżku żandarma Rampy, który miał nocą służbę i obchodził wsie, a który w tej chwili siedział spokojnie „Pod Czarnym Koniem” w Portivinie i grał z majstrem szewskim w mariasza, wywodząc w przerwach, że Austria musi wojnę wygrać.

Wachmistrz zapalił fajkę, podał tytoń Szwejkowi, frajter dorzucił węgla do pieca i posterunek żandarmerii przemienił się w najmiłsze miejsce na kuli ziemskiej, w przytulny zakątek, w ciepłe gniazdo, omotywane pajęczynami szarej godziny zmierzchu.

Wszyscy milczeli. Wachmistrz myślał nad czymś uporczywie, aż wreszcie, zwracając się do frajtra, powiedział:

— Zdaniem moim, niesprawiedliwie jest wieszać szpiegów. Człowiek poświęcający się dla obowiązku za swoją, że tak powiem, ojczyznę powinien być stracony z honorem, przy pomocy prochu i ołowiu. Co pan o tym sądzi?

— Stanowczo rozstrzelać takiego, a nie wieszać — zgadzał się młody żandarm. — Dajmy na to, że i nas mogliby dokądś wysłać i rozkazaliby: „Musicie wyszpiegować, ile karabinów maszynowych mają Rosjanie w swoim *maschinengewehrabteilung*”. Przebrałbym się i poszedłbym. I za to mieliby mnie wieszać jak jakiego mordercę i rabusia?

Frajter żandarmerii tak się rozżościł, że wstał i zawołał:

— Żądam rozstrzelania i pogrzebu z honorami wojskowymi.

— W tym sęk — odezwał się Szwejk — żeby człowiek był przebiegły, wtedy mu nigdy nic nie dowiodą.

— Oho, dowiodą! — z naciskiem zawołał wachmistrz. — Jeśli oczywiście i oni są tak przebiegły i mają *swoją metodę*. Pan sam się o tym przekona.

Przekona się pan — powtórzył tonem już nieco łagodniejszym, okraszając słowa swe uprzejmym uśmiechem. — Nam się tu nikt nie wykręci, prawda, panie kolego?

Frajter skinął głową, że się zgadza, i dodał, że niektórzy ludzie przegrywają sprawę z góry i że maska zupełnego spokoju nic im nie pomoże, bo im spokojniejszy jest człowiek, tym bardziej sam siebie zasypuje.

— Macie moją szkołę, panie frajter — rzekł dumnie wachmistrz. — Spokój to bańka mydlana, sztuczny spokój to *corpus delicti*.

Przerwał swój wykład i zwracając się do młodszego kolegi zapytał:

— Co będziemy dziś jedli na kolację?

— A do gospody pan wachmajster dzisiaj nie pójdzie?

Pytanie to wyłoniło przed wachmistrzem nowy ciężki problem, który należało natychmiast rozstrzygnąć.

Co by to było, gdyby ten tu skorzystał z jego nieobecności i uciekł w nocy? Frajter jest wprawdzie człowiekiem zasługującym na zaufanie, przezornym, ale uciekło mu już dwóch

włóczegów. W rzeczywistości sprawa miała się nieco inaczej: nie miał frajter ochoty wlec się z nimi po śniegu — było to zimą — aż do Pisku, więc w polu koło Rażic puścił ich i dla formy strzelił w powietrze.

— Poślemy po kolację naszą babę, a piwo będzie nam nosiła w dzbanku — rozstrzygnął wachmistrz ciężki problem. — Niech się babina trochę przewietrzy.

I baba Pejzlerka, która im usługiwała, przewietrzyła się istotnie. Od samej kolacji łączność między posterunkiem żandarmerii a karczmą „Pod Kocurkiem” była stale utrzymywana. Niezliczone ślady ciężkich, dużych trzewików baby Pejzlerki na tej linii łączności świadczyły o tym, że wachmistrz w pełnej mierze wynagradzał sobie swą nieobecność „Pod Kocurkiem”.

Kiedy wreszcie po wielu kolejkach baba Pejzlerka przyleciała do szynku powiadając, że pan wachmistrz kłania się grzecznie i prosi o butelkę kontuszówki, ciekawość szynkarza wzięła górę nad dyskrecją. Zaczął pytać.

— Kogo tam niby mają? — powtórzyła pytanie baba Pejzlerka. — Jakiegoś podejrzanego człowieka. Właśnie jak tutaj szłam, to go obaj ściskali za szyję, a pan wachmistrz głaskał go po głowie i mówił: „Ach, ty mój miły smyku słowiański, szpieguniu mój kochany”.

Kiedy już było dobrze po północy, frajter zwałił się na swoje łóżko w pełnym umundurowaniu i zaraz zasnął chrapiąc, aż szyby brzęczały.

Przy stole siedział wachmistrz z resztą kontuszówki w butelce, trzymał Szwejka za szyję, łzy spływały mu po ogorzalej twarzy, wąsy miał zlepione kontuszówką, a usta z wielkim wysiłkiem wymawiały słowa:

— Powiedz, bracie, szczerze, że w Rosji nie mają takiej dobrej kontuszówki, powiedz, żebym mógł spokojnie spać. Wyznaj to jako uczciwy człowiek.

— Nie mają.

Wachmistrz zwałił się na Szwejka.

— Uradowałeś mnie, przyznałeś się. Tak być powinno przy badaniu. Jeśliś winny, to czemu się wypierać?

Wstał i zataczając się z pustą butelką do swego pokoju, mamrotał:

— Gdybym nie wkroczył na drrogość niewłaściwą, to wszystko mogło wy-wypaść całkiem inaczej.

Zanim zwałił się w uniformie na łóżko, dobyteł z szuflady biurka swój raport i próbował uzupełnić go takim materiałem:

„Ich muss noch dazu beizufügen, dass die russische kontuszówka na podstawie § 56...”

Zrobił kleksa, zlizął go i uśmiechając się głupowato, zwałił się na łóżko i zasnął jak kamień.

Nad ranem frajter żandarmerii, leżący na łóżku naprzeciwko Szwejka, zaczął tak mocno chrapać i gwizdać przez nos, że Szwejk się ocknął. Wstał, potrząsnął frajtrzem i znów się położył. Tymczasem poczęły pisać koguty, a kiedy już wzeszło słońce, baba Pejzlerka, która także spała dzisiaj nieco dłużej, żeby sobie powetować nocną bieganinę, przyszła zapalić w piecu. Zastała drzwi otwarte, a wszyscy spali jak zarżnięci. Lampka naftowa na odwachu jeszcze kopciła. Baba Pejzlerka zrobiła alarm i ściągnęła frajtra i Szwejka z łóżek. Do frajtra rzekła:

— Że też panu nie wstyd spać w ubraniu jak nieboskie stworzenie.

Do Szwejka zwróciła się z napomnieniem, żeby sobie przynajmniej zapiął rozporek, gdy widzi kobietę.

Wreszcie energicznie rozkazała zaspanemu frajtrowi, żeby poszedł zbudzić pana wachmistrza, bo to nie żaden porządek, gdy ludzie gniją tak długo w łóżku.

— W ładne ręce pan się dostał — mamrotała baba zwracając się do Szwejka, gdy frajter budził wachmistrza. — Jeden wielki pijak, a drugi jeszcze większy. Przepiliby nos spomiędzy oczu. Mnie już trzeci rok winni za usługiwanie, a gdy się upominam, to mi wachmistrz zawsze mówi: „Milczcie, babo, bo was każę aresztować. My wiemy, że wasz syn jest kłusownikiem i kradnie drzewo na pańskim”. Więc się z nimi tak morduję już czwarty rok.

Baba westchnęła głęboko i mamrotała dalej:

— Osobliwie niech się pan ma na baczości przed wachmistrzem. Słodki jak cukierek, a tymczasem jest to psubrat pierwszej klasy. Każdego tylko zasypać i aresztować.

Wachmistrza nie można było dobudzić. Frajter musiał go bardzo wymownie przekonywać, że trzeba wstać, bo już dzień.

Wreszcie otworzył oczy, tarł czoło i niewyraźnie zaczął sobie przypominać szczegóły wczorajszego dnia. Nagle przez głowę przemknęła mu myśl straszliwa, którą wyraził spoglądając na frajtra z uczuciem niepewności:

— Uciekł?

— Gdzie tam! To porządny człowiek.

Frajter zaczął chodzić po pokoju, wyjrzał oknem, zawrócił, urwał kawałek gazety leżącej na stole, ugniatał z papieru kulkę, jednym słowem widać było, że chce coś rzec.

Wachmistrz spoglądał na niego z uczuciem niepewności, aż wreszcie chcąc usłyszeć całą prawdę, którą zaledwie przeczuł, odezwał się:

— Ja panu wszystko ułatwię, panie frajter. Musiałem widać wyrabiać wczoraj ładne rzeczy.

Frajter spojrzął na swego przełożonego z wyrzutem i odpowiedział:

— Gdyby pan wiedział, panie wachmajster, czego pan wczoraj nie wygadywał! Jakie rozmowy pan z nim prowadził!

Nachylając się nad uchem wachmistrza szeptał:

— Mówił pan, że wszyscy Czesi i Rosjanie to jedna krew słowiańska, że Mikołaj Mikołajewicz na przyszyły tydzień będzie w Przerowie, że Austria się nie utrzyma, żeby się tylko wszystkiego wypierał przy dalszym badaniu i żeby plótl piąte przez dziesiąte, to się utrzyma tak długo, dopóki nie uwolnią go Kozacy. Bo już niedługo to wszystko weźmie w łeb i będzie tak jak za czasów wojen husyckich, chłopci pójdą z cepami na Wiedeń. Że cesarz jest schorzały dziadyga, że rychło patrzeć, trzaśnie kopytami, że cesarz Wilhelm jest zwierzę, że temu aresztowanemu będzie pan posyłał pieniądze do więzienia, żeby nie zaznał biedy, i dużo innych podobnych rzeczy...

Frajter cofnął się od wachmistrza.

— O tym wszystkim dobrze pamiętam, bo z początku byłem tylko troszkę zawiany. Ale potem też się schlałem i nie wiem, co było dalej.

Wachmistrz popatrzył na frajtra.

— A ja pamiętam — oświadczył wachmistrz — że pan mówił, iż w porównaniu z Rosją jesteśmy karzełkami, i że ryczał pan przed tą babą: „Niech żyje Rosja!”

Frajter zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

— Ryczał pan jak ten byk — rzekł wachmistrz. — Potem zwał się pan na łóżko i zaczął chrapać.

Frajter zatrzymał się przy oknie i bębniąc w nie palcami oświadczył:

— Pan też wody w gębę nie nabierał przed tą naszą babą i pamiętam, panie wachmajster, że pan rzekł do niej: „Pamiętajcie, babo, że cesarz czy król myśli tylko o swojej kieszeni i dlatego toczy wojnę, choćby był takim dziadygą jak nasz stary Prochazka, którego nie mogą wypuszczać z klozetu, żeby nie zapaskudził całego Schönbrunnu”.

— Takie rzeczy mówiłem?

— Tak jest, panie wachmajster, takie rzeczy pan wygadywał, zanim wyszedł pan na dwór rzygać, i jeszcze pan wołał: „Wsadźcie mi, babo, palec w gardziel!”

— Pan się też niezgorzej wyrażał — przerwał mu wachmistrz. — Skąd panu się na przykład ubrdało, że Mikołaj Mikołajewicz będzie królem czeskim?

— Tego nie pamiętam — nieśmiało odpowiedział frajter.

— Jeszcze by też. Jak pan ma pamiętać, kiedy pan był pijany, miał pan malutkie świnińskie oczka, a jak wypadło wyjść na dwór, to zamiast do drzwi włąził pan na piec.

Obaj zamilkli i zamyślił się. Długie milczenie przerwał wachmistrz:

— Zawsze panu mówiłem, że alkohol to zguba. Nie służy panu wódka, a pan pije. Co by to było, gdyby nam ten nasz był zwał? Jak byśmy się tłumaczyli? Boże mój, jak mi we łbie trzeszczy.

— Powiadam panu, panie frajter — mówił dalej wachmistrz — iż właśnie dlatego, że nie uciekł, sprawa jest całkiem jasna. Musi to być jakiś niesłychanie wyrafinowany człowiek. Jak go będą badali w wyższych instancjach, to powie, że przez całą noc drzwi

były otwarte i że byliśmy pijani, więc mógł uciec, gdyby się czuł winnym. Całe szczęście, że takiemu człowiekowi nie wierzą, a jeszcze jak my pod służbową przysięgą powiemy, że to zmyślane i zuchwałe kłamstwo ze strony tego człowieka, to mu święty Boże nie pomoże i będzie miał o jeden paragraf na karku więcej. Chociaż przy takiej sprawie jak jego podobne szczegóły są bez znaczenia. Żeby mnie tylko ta głowa tak nie bolała...

Przez chwilę było cicho, po czym znów odezwał się wachmistrz:

— Niech pan zawoła naszą babę.

— Słuchajcie no, babo — rzekł wachmistrz do Pejzlerki spoglądając jej surowo w oczy. — Proszę się wystarać o krucyfiks z postumentem i przynieść go tu.

Na pytające spojrzenie Pejzlerki wachmistrz ryknął:

— Ruszać mi zaraz i nie gapić się!

Z szuflady wyjął wachmistrz dwie świece, na których były ślady laku od pieczętowania urzędowych papierów, a gdy Pejzlerka przykuszykała wreszcie, ustawił krzyż między dwiema świecami na skraju stołu, zapalił świece i rzekł z wielką powagą:

— Siadajcie, babo.

Wystraszona Pejzlerka usiadła na kanapie i wytrzeszczyła oczy na wachmistrza, świece i krucyfiks. Ogarnęło ją przerażenie. Widać było, że jej ręce, złożone na fartuchu, trzęsą się razem z kolanami.

Wachmistrz z powagą przeszedł koło niej raz i drugi, po czym rzekł uroczyście:

— Wczoraj wieczorem byliście świadkiem wielkiego wydarzenia, moja babo. Być może, że wasz głupi rozum tego pojąć nie zdoła. Ten żołnierz to wywiadowca, szpieg. Rozumiecie?

— Jezus Maria! — krzyknęła Pejzlerka — O Najświętsza Panienko Skoczicka!

— Cicho, babo. Żeby z niego coś wyciągnąć, musieliśmy gadać z nim tak i owak. Słyszeliście przecie, jak dziwnie tu rozmawialiśmy, tak czy nie?

— Słyszeć słyszałam — odezwała się Pejzlerka drżącym głosem.

— Ale całe to gadanie, moja babo, było tylko na to, żeby nam zaufał i żeby się przed nami wygadał. No i udało nam się. Wyśpiewał wszystko. Capnęliśmy ptaszka.

Wachmistrz przerwał na chwilę, oczyścił knoty świec, a potem mówił z wielką powagą dalej, nie przestając surowo spoglądać na Pejzlerkę:

— Byliście tutaj, moja babo, i jesteście wtajemniczona w całą sprawę. Jest to tajemnica urzędowa. O tym nie wolno wam ani pisać. Nawet na łożu śmiertelnym trzeba trzymać język za zębami, bo was nie pochowają na cmentarzu.

— Jezus Maria, Józefie święty! — biadała Pejzlerka. — Po com ja tu, nieszczęśliwa, wlaźła.

— Nie ryczcie, babo, wstańcie, przystąpcie do krzyża, podnieście dwa palce prawicy do góry. Będziecie przysięgać. Mówcie za mną.

Pejzlerka, zataczając się jak pijana, podeszła do stołu, nie przestając biadać:

— Przenajświętsza Panienko Skoczicka, że też ja tu wlaźłam.

Z krzyża spoglądała na nią umęczona twarz Chrystusa, świeczki kopciły, a wszystko to wydawało się Pejzlerce czymś upiornie niezemskim. Tonęła w jakichś straszliwych mrokach grozy, kolana się pod nią ugięły, ręce się trzęsły.

Podniosła dwa palce, a wachmistrz żandarmerii uroczyście i z naciskiem podpowiadał jej:

— Przysięgam Bogu Wszechmogącemu i wam, panie wachmistrzu, że o tym, co tutaj słyszałam i widziałam, nie powiem nikomu ani słowa do samej śmierci swojej, choćbym nawet była pytana. Tak mi dopomóż Bóg!

— Ucałujcie jeszcze krzyż, babo — rozkazał wachmistrz, gdy Pejzlerka, okrutnie szlochając, przysięgała i przeżegnała się pobożnie.

— Dobrze, a teraz odnieście krucyfiks temu, kto wam go pożyczył, i powiedzcie, że potrzebowałem go do badania.

Zgnębiona Pejzlerka na paluszkach wyszła z krucyfiksem, a przez okno widać było, że bezustannie ogląda się w stronę posterunku, jakby się chciała przekonać, że to, co się właśnie zdarzyło, nie było snem, ale najstraszliwszą rzeczywistością jej żywota.

Tymczasem wachmistrz przepisywał swój raport, który w nocy powalał kleksami; zlizując je rozmazał cały rękopis, jakby weń była zawinięta marmolada.

Cały raport przerobił na nowo i przypomniał sobie, że aresztowanego nie zapytał jeszcze o jedną ważną rzecz. Kazał więc zawołać Szwejka i rzekł:

— Fotografować pan umie?

— Umiem.

— A dlaczego nie ma pan przy sobie aparatu?

— Bo go nie posiadam — brzmiała jasna i rzetelna odpowiedź.

— A gdyby pan miał aparat, toby pan fotografował? — pytał wachmistrz.

— Gdyby ciocia miała wąsy, toby była wujaszkiem — dobrodusznie odpowiedział Szwejk, spokojnie wytrzymał badawcze spojrzenie wachmistrza, którego w tej chwili tak mocno rozboleła głowa, że nie zdołał wymyślić żadnego innego pytania, prócz tego:

— Czy dworzec kolejowy trudno fotografować?

— Lżej niż cokolwiek innego — odpowiedział Szwejk — bo dworzec się nie rusza i ciągle stoi na jednym miejscu, a fotograf nie potrzebuje go napominać, żeby zrobił przyjemny wyraz twarzy.

Wachmistrz mógł uzupełnić swój raport:

„Zu dem Bericht, Nr 2172, melde ich... — i pisał zamasyżycie: — Między innymi podczas mego krzyżowego badania przyznał się, że umie fotografować, a najchętniej fotografuje dworce kolejowe. Aparatu fotograficznego wprawdzie przy nim nie znaleziono, ale istnieje przypuszczenie, że go gdzieś ukrył i nie nosi przy sobie dla odwrócenia uwagi, co potwierdza jego własne przyznanie się, że fotografowałby, gdyby miał aparat przy sobie”.

Wachmistrz, który miał głowę ociążałą po wczorajszym wieczorze, zapalał się coraz bardziej do wiadomości o fotografowaniu i pisał dalej:

„Nie ulega wątpliwości, co wynika z jego własnych zeznań, iż tylko dlatego, że nie posiada aparatu fotograficznego przy sobie, nie mógł fotografować dworców kolejowych i miejsc ważnych pod względem strategicznym. Pewne jest, że byłby fotografował, gdyby miał wyżej wzmiankowany przyrząd fotograficzny przy sobie i nie ukrywał go. Tylko tej okoliczności, iż aparatu fotograficznego nie miał pod ręką, można zawdzięczać, iż nie znaleziono u niego żadnych fotografii”.

— Dosyć będzie — rzekł wreszcie i podpisał się.

Był ogromnie zadowolony ze swego dzieła i z wielką dumą przeczytał raport frajtrowi.

— Udało mi się — mówił. — Tak się pisze *berichty*. W nich musi być wszystko. Badanie, proszę pana, to nie taka sobie byle jaka rzecz. Głównie chodzi o to, żeby wszystko było ładnie skomponowane. Niech teraz władze otwierają gęby. Proszę przyprowadzić tego naszego, bo trzeba zrobić z nim koniec.

— Więc pan frajter odprowadzi pana teraz do *Bezirksgendarmeriekommando*. Według przepisów powinien pan dostać kajdanki, ale ponieważ przypuszczam, że pan przyzwoity człowiek, więc pójdzie pan bez kajdanek. Jestem przekonany, że i w drodze nie będzie pan próbował uciekać.

Wachmistrz był wyraźnie wzruszony widokiem pocziwej twarzy Szwejka i dlatego dodał:

— Niech pan nam nie pamięta nic złego. Niech pan go zabierze, panie frajter. A tutaj jest *bericht*.

— Zostańcie, państwo, z Bogiem — rzekł miękko Szwejk. — Dziękuję panu, panie wachmajster, za wszystko, co pan dla mnie uczynił. Jeśli zdarzy się okazja, to do pana napiszę, a gdybym tędy przechodził, to do pana wstąpię.

Szwejk wyszedł z frajtresem na szosę i obaj wdali się z sobą w taką przyjacielską rozmowę, że każdy, kto by ich spotkał, uważałby ich za starych znajomych, którzy, spotkawszy się przypadkowo, idą razem do miasta albo, powiedzmy, do kościoła.

— Nigdy bym nie przypuszczał — rzekł Szwejk — że taka podróż do Budziejowic połączona jest z tylu trudnościami. Taka sama historia jak z tym rzeźnikiem Chaurą z Kobylis, który pewnej nocy dostał się na Morań pod pomnik Palackiego i do samego rana chodził dokoła niego, bo mu się zdawało, że ten postument, który on ciągle okrążał, jest

murem bez końca. Był zrozpaczony, a o świcie był już tak zmęczony, że zaczął wzywać policję; gdy pozbiegali się policjanci, to się pytał, którądy idzie się do Kobylis, bo już pięć godzin idzie wzdłuż jakiegoś muru i końca nie widać. Zabrali go więc z sobą, a on w areszcie wszystko potłukł i połamał.

Frajter nie odpowiedział na to ani słowa i myślał sobie: „Gadaj sobie zdrów. Znowu zaczynasz jakieś bajeczki o Budziejowicach”.

Przechodzili koło stawu i Szejwk z dużym zainteresowaniem wypytywał frajtra, czy w okolicy jest dużo kłusowników.

— Tutaj kłusownicy jeden w drugiego — odpowiedział frajter. — Dawnego wachmistrza chcieli utopić. Dozorca stawów strzela im w zady szczecinami, ale to nic nie pomaga, bo każdy nosi w spodniach kawał blachy.

Frajter rozgadał się o postępie i wynalazkach ludzkich na wszystkie potrzeby, a także o tym, jak jeden oszukuje drugiego. Potem rozwinął teorię, że ta wojna jest wielkim szczęściem dla ludzkości, ponieważ w bitwach ginąć będą nie tylko ludzie porządni, ale także psubraty i hycle.

— I tak już za dużo ludzi na świecie — mówił z zastanowieniem — jeden pcha się na drugiego, a ludzie rozplenili się aż strach.

Zbliżali się do zajazdu.

— Wiatr dzisiaj dmucha jak wszyscy diabli — rzekł frajter. — Sądzę, że nie zaszkodziłoby wypić jednego. Nie mów pan nikomu, że pana prowadzę do Pisku. To tajemnica państwowa.

Przed oczyma frajtra zatańczyła instrukcja władz centralnych, dotycząca ludzi podejrzanym oraz obowiązków każdego posterunku żandarmerii: „Wyłączyć takowych z obcowania z ludnością miejscową i pilnie przestrzegać, aby przy transportowaniu ich do wyższych instancji nie było okazji do niepotrzebnej gadaniny w okolicy”.

— Nikt nie powinien wiedzieć, co pan za jeden — mówił dalej frajter. — Coś pan zrobił, toś pan zrobił, to nasza sprawa. Nie trzeba szerzyć paniki. W takich czasach wojennych panika jest rzeczą bardzo złą — mówił dalej. — Powie się słówko i już po całej okolicy niepokój i wzburzenie. Rozumie pan?

— No to nie będę szerzył paniki — rzekł Szejwk i postępował zgodnie z tym zapewnieniem, bo gdy szynkarz się z nim rozgadał, on powtarzał z naciskiem: „A mój brat powiada, że za godzinę będziemy w Pisku”.

— To niby brat pański ma urlop? — zapytał ciekawski szynkarz frajtra, który bez drgnienia powiek zuchwale odpowiedział:

— Dziś mu się kończy.

— Nabraliśmy faceta — rzekł z uśmiechem do Szejwka, gdy szynkarz oddalił się na chwilę. — Broń Boże, szerzyć panikę. Czasy mamy wojenne.

Wchodząc do zajazdu frajter wyraził się, że nie zaszkodziłoby wypić jednego, ale co do liczby okazał się kiepskim rachmistrzem. Gdy wypił dwunastego, oświadczył z wielką stanowczością, że dowódca rejonu żandarmerii wojskowej jest do trzeciej godziny na obiedzie, że więc nie trzeba się spieszyć, prócz tego zaczyna się zadymka. Gdy się do Pisku zajdzie na czwartą, to czasu będzie aż nadto. Do szóstej sprawę załatwią. I tak pomaszują już po ciemku, bo pogoda dzisiejsza marna. A w ogóle to wszystko jedno: czy się pójdzie teraz, czy później. Pisek przecie nie zając.

— Bądźmy kontenci, że siedzimy w ciepłej izbie — dodał w końcu. — Tam w okopach przy takiej niepogodzie nie ma takiej wygody jak tutaj przy piecu.

Wielki piec kaflowy grzał aż miło, a frajter na nowo stwierdzał powszechnie znany fakt, że ciepło zewnętrzne łatwo można uzupełnić ciepłem wewnętrznym przy pomocy różnych wódek słodkich i mocnych, jak mówią w Galicji.

Właściciel tego szynku na ustroniu miał osiem gatunków takich wódek, nudził się i pił przy skowycie wichury, która wyla przy każdym rogu domu.

Frajter ciągle zachęcał szynkarza, żeby mu w picu dotrzymywał placu, i oskarżał go, że pije za mało, co było oczywistą krzywdą, bo szynkarz ledwie trzymał się na nogach, chciał bezustannie grać w ferbla i twierdził, że w nocy słyszał huk armat od strony wschodniej, na co frajter odpowiadał czkając:

— Aby tylko nie szszszerzyć paniki. Od tego są ininstrukcje.

I zaczął wywodzić, że instrukcje to zbiór najnowszych rozporządzeń. Przy sposobności wydał sekret kilku rozporządzeń ściśle tajnych. Gospodarz rozumiał z tego wszystkiego bardzo niewiele i zdobył się jedynie na uwagę, że instrukcjami wojny się nie wygra.

Ciemno już było, gdy się frajter zdecydował ruszyć ze Szwejkiem w dalszą drogę ku Piskowi. W zawiei śnieżnej nie widział pan frajter własnego nosa i bezustannie powtarzał:

— Trzeba iść ciągle prosto przed siebie, aż do Pisku.

Kiedy sentencję tę wygłosił po raz trzeci, głos jego nie rozległ się już na szosie, ale dochodził skądś z dołu. Pan frajter stoczył się po miękkim śniegu do rowu. Wspierając się na karabinie, wdrapał się z wielkim wysiłkiem znów na szosę. Szwejk słyszał, jak żandarm śmieje się zduszonym śmiechem:

— Śli-i-zgawica...

Po chwili głos jego raptem się urwał, bo pan frajter znowu stoczył się do rowu rycząc tak, że zagłuszył wicherę:

— Zlecę na łeb! Panika!

Frajter przemienił się w pracowitą mrówkę, która gdy skądś spadnie, wdrapuje się pracowicie i uparcie z powrotem.

Pięć razy staczał się do rowu, a gdy po ostatnim upadku stał obok Szwejka, rzekł z poczuciem zupełnej bezradności:

— Wiesz pan co? Bardzo łatwo mógłbym pana zgubić po drodze.

— Niech się pan nie boi, panie frajter — rzekł Szwejk. — Najlepiej będzie, gdy się do siebie przywiążemy, to jeden drugiemu nie zginiemy. Czy ma pan przy sobie kajdanki?

— Każdy żandarm winien zawsze mieć przy sobie kajdanki — z naciskiem odpowiedział frajter slaniając się koło Szwejka. — To nasz chleb powszedni.

— No to przypnijmy się do siebie kajdankami — zachęcał Szwejk żandarma. — Niech pan spróbuje.

Mistrzowskim ruchem przypiął frajter kajdanki do ręki Szwejka, a drugim końcem opiął swoją własną prawicę, tak iż byli z sobą złączeni jak bliźnięta. Zataczając się szosą, nie mogli oderwać się od siebie, a frajter, który prowadził Szwejka przez kupy kamieni, pociągał go za sobą, gdy się przewracał. Przy tej sposobności kajdanki wrzynały im się w ręce, aż frajter zadeklarował, że dalej tak iść nie podobna, że trzeba zdjąć kajdanki. Po długim i daremnym wysiłku wyzwolenia się z żelaznych pęt frajter westchnął:

— Jesteśmy z sobą złączeni na wieki wieków.

— Amen! — dodał Szwejk i obaj z wielkim wysiłkiem nadal pokonywali trudności terenu.

Frajter popadł w absolutne przygnębienie, a gdy po niewypowiedzianych udrękach marszu późnym wieczorem dotarli do Pisku, do miejscowego dowództwa żandarmerii, odezwał się do Szwejka z bezradną małodusznością:

— Teraz będą się działy rzeczy okropne. Nie możemy się oderwać od siebie.

I rzeczywiście działy się rzeczy okropne, gdy wachmistrz posłał po dowódcę, rotmistrza Königa.

— Chuchnijcie na mnie! — rzekł rotmistrz na wstępie.

— Teraz rozumiem — rzekł surowo, gdy doświadczonym i bystrym wędchem zorientował się w sytuacji. — Arak, kontuszówka, jarzębinówka, orzechówka, wiśniówka, waniliówka i diabli wiedzą, co tam jeszcze.

— Panie wachmistrzu — zwrócił się do swego podwładnego — tutaj ma pan przykład, jakim żandarm być nie powinien. Takie postępowanie to przestępstwo, którym zajmie się sąd wojenny. Związać się z delikwentem kajdankami. I przychodzi tutaj pijany, *total besoffen*. Przyłazi do mnie jak zwierzę. Niech pan im zdejmie kajdanki.

— Co to ma być? — zwrócił się do frajtra, który wolną ręką salutował niezgodnie z przepisem.

— Posłusznie melduję, panie rotmistrzu, że przynoszę panu *bericht*.

— O was pójdzie *bericht* do sądu — szorstko rzekł rotmistrz. — Panie wachmistrzu, niech pan weźmie do aresztu obu tych ludzi, a rano proszę przyprowadzić ich do przesłuchania. Ten *bericht* z Putimia przejrzy pan i przyśle mi do mieszkania.

Pisecki rotmistrz był mężem sumienności urzędowej i konsekwentnie gnębił swoich podwładnych wszystkimi sposobami wytrawnego biurokratyzmu.

Na posterunkach żandarmerii w jego okręgu bezustannie odczuwano rękę pana rotmistrza, który całymi dniami załatwiał różne sprawy, udzielał napomnień, ostrzegał i groził, nie zapominając o żadnym z podwładnych.

Od chwili wybuchu wojny nad posterunkami żandarmerii w okręgu piseckim wisiały ciężkie chmury.

Nastrój był prawdziwie upiorny. Pioruny biurokratyzmu huczały i biły w lewo i w prawo, w wachmistrzów, frajtrów, szeregowców, urzędników. Za byle głupstwo groziło śledztwo dyscyplinarne.

— Jeśli mamy wygrać wojnę — mawiał podczas swoich objazdów inspekcyjnych — to „a” musi być „a”, „b” powinno być „b”. Nad „i” wszędzie musi być kropka.

Wszędzie węszył zdracę i wyobrażał sobie każdego żandarma jako człowieka obciążonego tajnymi grzechami, zrodzonymi z wojny. Był przekonany, że każdy z nich zaniedbuje się w służbie.

A władze przełożone bombardowały go pismami, w których Ministerstwo Obrony Krajowej bezustannie zwracało uwagę na fakt, że żołnierze pochodzący z okręgu piseckiego — według raportów Ministerstwa Wojny — przechodzą do nieprzyjaciela.

Zmuszali go do ciągłych objazdów i tropienia niełojalności w okręgu. Pan rotmistrz widywał, jak żony odprowadzały mężów wezwanych do wojska, i z góry już wiedział, że ci mężowie obiecywali żonom jak najuroczyściej, iż nie dadzą się zabić dla najjaśniejszego pana.

Czarnożółty horyzont jęły przesłaniać chmury rewolucji. W Serbii, w Karpatach całe bataliony przechodziły na stronę nieprzyjaciela. Pułk 28, pułk 11. W tym ostatnim służyli żołnierze z okręgu piseckiego i z okolicy. W takim przedrewolucyjnym nastroju przyjechali rekruci z Vodnian z goździkami z czarnej organdy. Przez dworzec pisecki przejeżdżali żołnierze spod Pragi i odrzucali czekoladę i papierosy, którymi obdarowywały ich panie z piseckiego towarzystwa.

Później przejeżdżał jakiś marszbatallion, a kilku piseckich Żydów ryczało:

— *Heil! Nieder mit den Serben!*

Dostali za to tak zdrowo po karku, że przez tydzień nie mogli pokazywać się na ulicy.

Podczas gdy działy się takie rzeczy, które jasno dowodziły, że chociaż po kościołach organy grały hymn austriacki, to jednak lojalność była tylko maską zewnętrzną i obłudą, z posterunków żandarmerii wędrowały do władz wyższych znane nam już odpowiedzi na kwestionariusze, w rodzaju tych z Putimia, że wszystko jest w najlepszym porządku, że nigdzie nie widać agitacji przeciw wojnie, że nastrój mieszkańców równa się I a, zapal wojenny — I a b.

— Wy nie żandarmi jesteście, ale policyjne piecuchy — mawiał rotmistrz w czasie swoich objazdów. — Zamiast podnieść swoją czujność o tysiąc procent, stajecie się powoli bydlętem.

Po dokonaniu tego zoologicznego odkrycia dodawał:

— Siedzicie w domu za piecem i myślicie sobie: „*Mit ganzem Krieg kann man uns Arsch lecken*”.

Po czym następowało wyliczanie wszystkich obowiązków nieszczęśliwych żandarmów i wykład o całokształcie sytuacji oraz napomnienie, że trzeba wziąć wszystko mocno w garść, żeby zapanował należyty porządek. Po takich wykładach o doskonałości żandarmskiej, mającej podpieierać mocarstwo austriackie, następowały groźby, śledztwa dyscyplinarne, przeniesienia służbowe i wyzwiska.

Rotmistrz był niezachwianie przekonany, że stoi na straży czegoś, że coś ocala i ratuje i że wszyscy żandarmi jego okręgu to banda gnuśnych piecuchów, egoistów, podłych drabów, oszustów, którzy w ogóle na niczym innym się nie znają, tylko na wódce, piwie i winie. A ponieważ mają dochody niewielkie, więc aby mogli oddawać się pijaństwu, biorą łapówki i niszczą Austrię powoli, ale dokładnie. Jedynym człowiekiem, którego pan rotmistrz darzył zaufaniem, był podległy mu wachmistrz w dowództwie okręgu, który, siadając w szynku, mawiał o swoim przełożonym bardzo często:

— Znowuż miałem bujnąć na resorach ze swoim starym fujarą...

*

Rotmistrz studiował *bericht* żandarmskiego wachmistrza z Putimia. Przed nim stał wachmistrz Matiejka i myślał sobie, że cały pan rotmistrz — razem ze swoimi *berichtami* — może go pocałować w nos, ponieważ w szynku około Otawy czekali na niego z partyjką sznopsa.

— Mówiłem już panu — odezwał się rotmistrz — że największym idiotą, jakiego poznałem kiedykolwiek, jest wachmistrz z Protivina, ale z tego *berichtu* widać, że go przewyższył wachmistrz z Putimia. Żołnierz, którego przyprowadził ten moczygęba frajter, sprzęgnięty z nim jak pies z psem, to przecie nie żaden szpieg. Jest to niezawodnie najzwyczajniejszy dezerterski. Pisze mi tu takie bałwaństwa, że każde dziecko na pierwsze spojrzenie poznać by musiało, że pan wachmistrz był schlany jak nie przymierzając prałat papieski.

Niech pan przyprowadzi tego żołnierza — rozkazał po chwili, gdy doczytał do końca raport z Putimia. — Nigdy w życiu nie widziałem takiej kolekcji idiotyzmów jak w tym raporcie i jeszcze posyła mi tego podejrzanego draba pod konwojem takiego bydlaka, jakim jest jego frajter. Moi ludzie nie znają mnie widać jeszcze dość dobrze i nie wiedzą, że ja potrafię być draniem. Dopóki nie doprowadzę do tego, że trzy razy dziennie będą robili w portki ze strachu przede mną, będzie im się zdawało, że pozwalam sobie ciosać kolki na łbie.

Rotmistrz rozgadał się o tym, jak to dzisiejsi żandarmi lekceważą sobie rozkazy, układając *berichte* w taki sposób, iż zaraz widać, że taki wachmistrz z niczego sobie nic nie robi i stara się każdą sprawę zaplątać jeszcze więcej.

Gdy władze zwracają uwagę, że nie jest wykluczone, iż po okolicy płaczą się szpie-dzy, to żandarmscy wachmistrze zaczynają fabrykować szpiegów masowo, i jeśli wojna potrwa jeszcze lat kilka, to cały świat przemieni się w jeden wielki dom wariatów. Niech z kancelarii wyślą depezę do Putimia, żeby wachmistrz przyjechał jutro do Pisku. Trzeba będzie wybić mu ze łba to wielkie wydarzenie, o którym pisze.

— Z którego pułku uciekliście? — zapytał rotmistrz Szwejk.

— Z żadnego pułku.

Rotmistrz spojrział na Szwejkę i ujrzał w jego spokojnej twarzy tyle beztrudnej obojętności, że zapytał:

— Skąd wzięliście mundur?

— Każdy żołnierz, gdy go biorą do wojska, dostaje mundur — odpowiedział Szwejk z łagodnym uśmiechem. — Ja służę w 91 pułku i nie tylko że ze swego pułku nie uciekłem, ale *przeciwnie*.

Słowo „przeciwnie” zaakcentował Szwejk tak jakoś osobliwie, że rotmistrz zbaraniał i zapytał:

— Co to znaczy: przeciwnie?

— Sprawa to bardzo prosta — zwierzał się Szwejk. — Ja idę do swego pułku, nie uciekam od niego, ale go szukam. Niczego sobie tak nie życzę, jak dostać się co rychlej do swego pułku. Już jestem z tego wszystkiego cały zdenerwowany, bo mi się zdaje, że się oddalam od Czeskich Budziejowic. A tam przecie czeka na mnie cały pułk. Pomyśleć strach. Pan wachmistrz w Putimiu pokazywał mi na mapie, że Czeskie Budziejowice są na południu, a on tymczasem posyła mnie na północ.

Rotmistrz machnął ręką, jakby chciał rzec:

„Ten cały wachmistrz robi jeszcze lepsze kawały niż kierowanie ludzi na północ”.

— Więc wy szukacie swego pułku i nie możecie go znaleźć?

Szwejk opowiedział wszystko szczegółowo. Wymienił Tabor i wszystkie miejscowości, przez które zdążył do Budziejowic: Milevsko, Kietov, Vraž, Malczin, Czizova, Sedlec, Horaždovice, Radomyšl, Putim, Sztiekno, Strakonice, Volyń, Dub, Vodniany, Protivin i znowuż Putim.

Z ogromnym zapalem malował Szwejk swoją walkę z losem, opowiadając, jakimi nadludzkimi wysiłkami starał się dotrzeć do Budziejowic, do swego 91 pułku, i jak wszystkie jego wysiłki pozostawały daremne.

Przemawiał z żarem, a rotmistrz tymczasem rysował mechanicznie ołówkiem na papierze błędne koło, z którego dobry wojak Szwejk nie mógł się wyrwać, choć tak bardzo pragnął dostać się do swego pułku.

— Była to praca herkulesowa — rzekł wreszcie, gdy z upodobaniem wysłuchał opowiadania Szwejka o tym, jak strasznie mu przykro, że tak długo błądził i nie mógł dotrzeć do swego pułku. — Musiał to być ładny widok, jak tak kręciliście się wkoło tego Putimia.

— Może byłbym wreszcie znalazł drogę — wtrącił Szwejk — gdyby nie ten wachmistrz w tej nieszczęsnej dziurze. Nie zapytał mnie ani o nazwisko, ani o pułk, tylko od razu wszystko zaczął uważać za jakieś osobliwe zdarzenie. Powinien był odesłać mnie do Budziejowic, a w koszarach byłoby już powiedzieli, czy jestem ten Szwejk, co szuka swego pułku, czy też jestem jakimś podejrzanym człowiekiem. Mogłem już od dwóch dni być w swoim pułku i pełnić swoje obowiązki wojskowe.

— Dlaczego nie zwróciliście uwagi wachmistrzowi w Putimiu, że to omyłka?

— Bo wiedziałem, że gadanie z nim na nic się nie zda. To samo mawiał już stary szynkarz Rampa na Królewskich Vinohradach, gdy ktoś chciał pić na kredyt, że przychodzą takie chwile w życiu człowieka, iż jest wobec wszystkiego głuchy jak pień.

Rotmistrz, nie namyślał się długo. Był pewien, że taka okrężna droga człowieka, który za wszelką cenę chce się dostać do swego pułku, jest oznaką najwyższego zwyrodnienia. Na maszynie w kancelarii kazał wystukać dokument, w którym nie brakło stylistycznych ozdóbek przepisanych prawidłami urzędowego stylu:

„Dowództwo c. i k. pułku piechoty nr 91

w Czeskich Budziejowicach

W załączeniu sprowadza się Józefa Szwejka, który według odnośnego twierdzenia ma być szeregowcem tegoż pułku, a zatrzymany został na podstawie swego oświadczenia w Putimiu, powiat Pisek, przez posterunek żandarmerii, jako podejrzany o dezercję. Tenże dowodzi, że udaje się do swego wyżej wymienionego pułku. Zatrzymany jest wzrostu niewysokiego, krępowy, twarz i nos ma proporcjonalne, oczy niebieskie. Znaków szczególnych nie ma. W załączniku B 1 przesyła się rachunek za żywienie wyżej wymienionego z prośbą o łaskawe spowodowanie przelewu na konto Ministerstwa Obrony Krajowej. Uprasza się o pokwitowanie odbioru zatrzymanego. W załączniku C 1 przesyła się dla potwierdzenia spis rzeczy skarbowych, jakie zatrzymany miał na sobie w chwili jego ujęcia”.

Podróż z Pisku do Budziejowic pociągami osobowym upłynęła Szwejkowi szybko i mile. Towarzyszył mu młody żandarm, nowicjusz, który nie spuszczał ze Szwejka oczu i strasznie się bał, żeby mu Szwejk nie uciekł. Przez całą drogę rozstrzygał ciężkie zagadnienie:

„Co bym zrobił, gdyby mi teraz wypadło wyjść z małą albo i z dużą potrzebą?”

Rozstrzygnął sprawę w ten sposób, że zabrał Szwejka ze sobą.

Przez całą drogę od dworca kolejowego do Koszar Mariańskich w Budziejowicach uporczywie spoglądał na swego aresztanta, a gdy zbliżali się do jakiegoś rogu lub ruchliwszego skrzyżowania ulic, zaczynał opowiadać Szwejkowi jakby od niechcenia, po ile ostrych naboju otrzymują do eskortowania aresztantów, na co Szwejk odpowiadał, że jest przekonany, iż żaden żandarm nie strzelałby na ulicy za uciekającym, żeby nie narobić nieszczęścia.

Żandarm spierał się z nim o to i tak dotarli do koszar.

Służbę w koszarach już drugi dzień pełnił porucznik Lukasz. Siedział w kancelarii nie przeczuwając nic złego, gdy właśnie przyprowadzono do niego Szwejka z papierami.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że znowu jestem — salutował Szwejk przybierając minę bardzo uroczystą.

Świadkiem tej sceny był podchorąży Kotiatko, który opowiadał później, że po tym zameldowaniu się Szwejka porucznik Lukasz podskoczył, schwycił się za głowę i przewrócił na wznak na Kotiatkę, a gdy go ocucono, to Szwejk, który przez cały ten czas przepisowo salutował, powtórzył swój meldunek:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że znowuż jestem.

I wtedy porucznik Lukasz, blady i drżący, przyjął papiery dotyczące Szwejka, podpisał, co było trzeba, poprosił wszystkich, aby wyszli, żandarmowi powiedział, że wszystko w porządku, i sam zamknął się ze Szwejkiem w kancelarii.

Tak skończyła się budziejowicka anabasis Szwejka. Pewne jest, że gdyby Szwejkowi pozostawiono swobodę ruchów, to sam byłby dotarł do Budziejowic. Jeśli władze chępiły się, że to one przytransportowały Szwejka na miejsce służby, to myliły się grubo. Przy energii Szwejka i przy jego niepokonanej ochocie uczestniczenia w wojnie, interwencja władz była po prostu rzucaniem kamieni pod jego nogi.

*

Szwejk i porucznik Lukasz spoglądali sobie w oczy.

W oczach porucznika błyszczało coś strasznego, groźnego i rozpaczliwego, podczas gdy Szwejk patrzył na niego tkliwie, serdecznie, z miłością, jak na straconą i odnalezioną kochankę.

W kancelarii było cicho jak w kościele. Na korytarzu słychać było kroki. Jakiś sumienny jednoroczny ochotnik, który z powodu kataru pozostał w koszarach, laził po korytarzu i przez zakatarzony nos przepowiadał sobie, jak należy w fortcach przyjmować członków domu cesarskiego. Wyraźnie słychać było słowa:

— *Sobald die höchste Herrschaft in der Nähe der Festung anlangt, ist das Geschütz auf allen Bastionen und Werken abzufeuern, der Platzmajor empfängt dieselben mit dem Degen in der Hand zu Pferde, und reitet sodann vor.*

— Stulicie tam pysk, do diabła! — ryknął porucznik. — Idźcie na zбитy łeb, jeśli macie gorączkę, i połóżcie się do łóżka!

Słychać było, że pilny jednoroczny ochotnik oddała się powoli i tylko z końca korytarza dolatywał przycichający tubalny głos:

— *In dem Augenblicke, als der Kommandant salutiert, ist das Abfeuern des Geschützes zu wiederholen, welches bei dem Absteigen der höchsten Herrschaft zum drittenmale zu geschehen hat.*

I znowu porucznik Lukasz i Szwejk spoglądali na siebie w milczeniu, aż wreszcie porucznik rzekł z zabójczą ironią:

— Uprzejmie was witam, Szwejku, w Czeskich Budziejowicach. Co ma wisieć, nie utonie. Już wysłali za wami listy gończe, a jutro staniecie do *regimentsraportu*. Ja się z wami mordować nie myślę. Dość się już namęczyłem i cierpliwość moja się skończyła. Nawet pojąć nie mogę, że tak długo wytrzymałem z takim idiotą jak wy...

Zaczął chodzić po kancelarii.

— Przecież to jest okropne — mówił dalej. — Dziwię się, że was nie zastrzeliłem. Co by mi zrobili? Nic. Zostałbym uniewinniony. Pojmujecie czy nie?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że doskonale pojmuję.

— Nie zaczynajcie tylko, mój Szwejku, z tymi swoimi błazeństwami, bo naprawdę coś się stanie. Trafi kosa na kamień. Popelnialiście bez końca coraz to większe głupstwa, aż przyszła katastrofa.

Porucznik Lukasz zatarł rękę.

— Teraz, mój Szwejku, amen z wami.

Podszedł do biurka, napisał na kawałku papieru kilka słów, zawołał wartownika sprzed kancelarii, kazał odprowadzić Szwejka do profosa i oddać mu kartkę.

Szwejka prowadzono przez dziedziniec i porucznik z nieukrywaną radością spoglądał, jak profos otwiera drzwi, na których widniała czarno-żółta tabliczka „*Regimentsarrest*”. Za tymi drzwiami zniknął Szwejk z profosem, a po chwili profos wyszedł nimi — sam.

— Chwałaż Bogu, już siedzi! — zawołał porucznik z uczuciem ulgi.

W mrocznym areszcie Koszar Mariańskich bardzo serdecznie przywitał Szwejka jednoroczny ochotnik leżący na sienniku. Był jedynym więźniem i nudził się już drugi dzień. Na pytanie Szwejka, za co siedzi, odpowiedział, że za drobiazg. Przez pomyłkę dał po łbie pewnemu podporucznikowi artylerii. Stało się to w nocy na rynku pod arkadami, i w stanie pijanym. Właściwie nawet nie dał mu po łbie, ale zrzucił mu jedynie czapkę z głowy. Stało się to dlatego, że ten podporucznik artylerii stał w nocy pod arkadami i czekał

widać na jakąś prostytutkę. Stał odwrócony do niego tyłem i bardzo mu przypominał pewnego znajomego jednorocznego ochotnika, Franka Maternę.

— Tamten też taki szczeniak — opowiadał Szwejkowi towarzysz więzienny — więc podszedłem do niego z tyłu po cichu, zrzuciłem mu czapkę i rzekłem: „Serwus, Franek!” A ta małpa zaczęła zaraz gwizdać na patrol i zabrali mnie.

Ostatecznie być może — opowiadał jednoroczny ochotnik — że przy tej awanturze w zamęcie dostał facet w łeb, ale ten fakt nic w sytuacji nie zmienia, ponieważ mamy do czynienia z najwyraźniejszą pomyłką. On sam przyznaje, że zawołałem: „Serwus, Franek!”. A jego imię chrzestne jest Antoni. To chyba jasne. Zaszкодzić może mi chyba tylko to, że uciekłem ze szpitala i jak się jeszcze wyda ta rzecz z *krankenbuchem*...

Bo było to tak — opowiadał dalej jednoroczny ochotnik. — Kiedy zostałem powołany do wojska, to wynająłem pokój w mieście i starałem się dostać reumatyzmu. Trzy razy z rzędu wysmarowałem się czym trzeba, a potem położyłem się w rowie za miastem w czasie deszczu i zdjąłem buty. Wszystko na nic. Więc zacząłem się kąpać zimą po nocach w Malszy i przez cały tydzień się kąpałem, ale zamiast się zaziębić, tak się, kolego, zahartowałem, że przez całą noc mogłem się wylegiwać na podwórzu w śniegu, a gdy mnie rano budzili, to nogi miewałem tak ciepłe, jakbym nosił filcowe buty. Żeby choć zapalenie gardła: nic i nic! Nawet głupiego trypra dostać nie mogłem. Co dzień chodziłem do „Port-Artura”, niektórzy koledzy podostawali już zapalenia jąder, musieli im jąja wycinać, a ja ciągle nic. Pech, kolego, niechrześcijański. Aż razu pewnego zaznajomiłem się „Pod Różą” z jakimś inwalidą z Hlubokiej. Zaprosił mnie, żebym do niego zaszedł któregoś niedzieli, to na drugi dzień będę miał nogi jak konewki. Miał w domu igielkę i strzykawkę i rzeczywiście ledwo dowlokłem się od niego do domu. Nie zawiodła mnie ta złota dusza. Nareszcie więc jednak zbębniłem ten reumatyzm. Zabrali mnie, bratku, do szpitala i zaczęło się używanie na cały regulator. A następnie szczęście uśmiechnęło się do mnie po raz drugi. Do Budziejowic został przetranslokowany jakiś mój pociotek, doktor Masak z Žižkova, i jemu mogłem dziękować za to, że tak długo utrzymałem się w szpitalu. Byłby mnie szczęśliwie doprowadził aż do superarbitracji, gdybym sobie nie był zepsuł całej sprawy tym nieszczęsnym *krankenbuchem*. Sama myśl była oczywiście kapitalna, wyborna. Kupiłem dużą księgę, przyklepiłem do niej kartkę i wymalowałem na kartce: „*Krankenbuch des 91 Reg*”. Rubryki i wszystko inne było w porządku. Nawypisywałem, ile wlazło, nazwisk fikcyjnych, powyznaczałem stopnie gorączki, powymieniałem choroby i dzień w dzień po wizycie poobiedniej zuchwale wychodziłem na miasto z księgą pod pachą. W bramie stali na warcie landwerzyści, tak że i z tej strony nie było niebezpieczeństwa. Pokazałem księgę, zasalutowali, i basta. Następnie szedłem sobie do pewnego znajomego urzędnika skarbowego, przebierałem się w cywila i siadywałem w miłym szyncku, gdzie w kole znajomych zdradzaliśmy monarchię myślą, wolą i słowem. Wreszcie tak się rozzuchwaliłem, że nawet się nie przebierałem i włóczyłem się w mundurze po szynkach i po mieście. Na łóżko do szpitala powracałem dopiero nad ranem, a jeśli zatrzymywał mnie patrol, to pokazywałem *krankenbuch* 91 pułku i już mnie nikt o nic nie pytał. W bramie szpitala też pokazywałem swoją księgę i jakoś szczęśliwie dostawałem się zawsze do łóżka. Zuchwałość moja rosła coraz bardziej, zdawało mi się, że już nikt mi nic zrobić nie może, aż doszło do fatalnej pomyłki w nocy na rynku pod arkadami. Okazuje się, że żadne dostojęństwo nie zabezpiecza człowieka przed upadkiem. Pycha poprzedza zagładę, kolego. Komu pierwsza chwalka, temu pierwsza pałka. Ikar opalił sobie skrzydła. Człowiek myśli, że jest gigantem, a jest gówniarzem, kolego. Nie trzeba wierzyć w szczęśliwe przypadki, prać się co dzień z rana i wieczorem po pysku i przypominać sobie, że ostrożność nigdy nie zawadzi i że co za dużo, to niezdrowo. Po bachanaliach i orgiach zawsze przychodzi katzenjammer moralny. To jest jedno z praw przyrody, drogi przyjacielu. I pomyśleć, że popsulem sobie superarbitrację, że mogłem przecie zostać uznany jako *felddienstunfähig*! Taka ogromna protekcja! Mogłem sobie, bracie, żyć i tyć w jakiej kancelarii komendy uzupełnień, ale nieostrożność moja podcięła mi nogi.

Spowiedź swoją zakończył jednoroczny ochotnik bardzo uroczyście:

— Przyszła kolej i na Kartago, z Niniwy pozostały ruiny. Ale uszy do góry, przyjacielu! Niech sobie nie myślą, że gdy poślą mnie na front, to będę strzelał. *Regimentsraport*! Wyrzucenie ze szkoły! Niech żyje c. i k. kretynizm! Jeszcze czego! Będę siedział w szkole

i zdawał egzaminy! Kadet, fenrych, lejtnant, oberlejtnant! Sram na wszystko! *Offizierschule. Behandlung jener Schüler derselben, welche einen Jahrgang repetieren müssen!* Paraliż wojskowy. Czy karabin nosi się na prawym ramieniu czy na lewym? Ile gwiazdek ma kapral? *Evidenzhaltung der Militärreservemänner! Himmelberrgott*, nic nie ma do palenia, kolego! A może chcesz pan się nauczyć pluć na sufit? Patrz pan, to się robi tak. Gdy się przy tym wypowiada jakie życzenie, to także życzenie się spełni. Jeśli kolega lubi piwo, to mogę mu polecić wyborną wodę w tym oto dzbanie. Jeśli jesteście głodni i chcecie dobrze podjeść, to polecam „Mieszczaną Besedę”. Dobrze też jest pisywać wiersze dla odpędzenia nudy. Ja już ułożyłem tu epopeję:

Co robi profos? Drzemka poobiednia
Spadła na świetnej armii środowisko,
Aż nowy befel przyjdzie potem z Wiednia,
Że diabli wzięli znów pobożowisko.
Przeciw napaściom czarnej zdrady
Z prycz wznosi profos barykady,
A z ust mu pieśń rozgłośna płynie,
Serce się w jurny puszcza tan:
Austria nigdy nam nie zginie,
Niech żyje najjaśniejszy pan!

— Widzicie, kolego — mówił dalej tłusty jednorocznik — ludzie wygadują, że w narodzie zanika miłość i szacunek dla naszej najmilszej monarchii. Oto więzień, który nie ma co palić i na którego czeka *regimentsraport*, składa najgłębszy dowód przywiązania do tronu. W pieśniach swoich wyraża hołd swojej rozległej ojczyźnie, której ze wszystkich stron zagraża lanie. Pozbawiono go wolności, ale z ust jego płyną wiersze niezachwianej wierności. *Morituri te salutant, caesar!* Umierający pozdrawiają cię, cesarzu! Ale profos to drab. Ładnych grandziarzy podobierałeś sobie, cesarzu, na swoje usługi! Onegdaj dałem mu pięć koron, żeby mi kupił papierosów, a on, podlec, powiada mi dzisiaj rano, że tu palić nie wolno, że miałby z tego powodu przykrości i że tych pięć koron odda mi, jak tylko dostanie żołąd. Tak to, przyjacielu. Dzisiaj nie wierzę nikomu. Najszczytniejsze zasady zachwiały się. Okradać więźniów, co za ohyda! I jeszcze do tego wszystkiego ten drab śpiewa przez cały dzień:

*Wo man singt, da leg dich sicher nieder,
Böse Leute haben keine Lieder.*

Nikczemnik, łobuz, łotr, zdrajca!

Jednoroczny ochotnik zapytał z kolei Szwejka, co ten przeszkrobał.

— Szukałeś pułku? — rzekł. — Ładny kawał drogi! Tabor, Milevsko, Kvietov, Vraž, Malczin, Cziżova, Sedlec, Horaždovice, Radomyśl, Putim, Pisek, Budziejowice. Ciernista droga. I macie z tego jutro *regimentsraport*? A więc na szafocie się spotkamy, miły bracie. Jakąż to uciechę musi mieć z tego wszystkiego nasz oberst Schröder. Nie macie nawet pojęcia, jak działają na niego wszystkie afery pułkowe. Biega po dziedzińcu jak wściekły brytan i wywiesza jęzor jak zgoniona kobyła. A jak on umie gadać, napominać! Przy takiej sposobności pluje dokoła siebie jak uśliniony wielbłąd. I nie ma końca temu gadaniu, chociaż zdaje się, że za chwilę muszą się zawalić całe Koszary Mariańskie. Znam go dobrze, bo już raz miałem taki miły *regimentsraport*. Stawiłem się do wojska w butach z cholewami, a na głowie miałem cylinder, ponieważ krawiec nie uszył mi uniformu na czas, więc razem ze szkołą jednorocznych ochotników poszedłem na plac ćwiczeń w butach z cholewami i w cylindrze, stanąłem w szeregu i maszerowałem razem ze wszystkimi na lewym skrzydle. Oberst Schröder podjechał do mnie na koniu i mało co mnie nie przewrócił. „*Donnerwetter!*” — wrzasnął tak głośno, że chyba dosłyszeli aż na Szumawie. „*Was machen Sie hier, Sie Zivilist?*” Odpowiedziałem mu grzecznie, że jestem jednorocznym ochotnikiem i że biorę udział w ćwiczeniach. Pojęcia nie macie, co się wtedy działo. Gadał przez pół godziny i dopiero potem zauważył, że salutuję w cylindrze. Krzyknął już tylko, że jutro mam się stawić do *regimentsraportu*, i popędził na koniu,

Bóg raczej wiedzieć dokąd, jak jaki zdziczały cowboy. Ale zawrócił i znowu wrzeszczał, szalał, bił się w piersi i kazał zabrać mnie natychmiast z placu ćwiczeń i zaprowadzić na odwach. Przy *regimentsraporcie* wlepił mi dwa tygodnie koszarniaka, kazał mnie ubrać w jakieś niemożliwe szmaty ze składu, groził, że każe mi odpruć naszywki.

„Jednoroczny ochotnik — bałwanil się ten idiota — to jest coś wzniosłego! Jest to embriom sławy, dostojęństw wojskowych, bohaterstwa. Jednoroczny ochotnik Wohltat został mianowany kapralem, zameldował się natychmiast na front i wziął do niewoli piętnastu nieprzyjaciół, a przy oddawaniu ich został rozszarpany przez granat. W pięć minut nadszedł rozkaz, że jednoroczny ochotnik Wohltat został mianowany kadetem. I pan miałby możliwość dokonania takich czynów, które otwierają drogę ku świetnej przyszłości, ku awansom, odznaczeniom, a imię pańskie mogłoby zostać wpisane do złotej księgi pułku”.

Jednoroczny ochotnik splunął.

— Widzicie, kolego, jakie to bydłatka rodzą się pod słońcem. Ja pluję na wszystko i na wszystkie przywileje. „Panie jednoroczny ochotniku, pan jest bydłem!” Jak to cudnie brzmi: „Pan jest bydłem!” A nie tak po prostaku: „Jesteś bydłem!” A po śmierci dostaniesz, bratku, *signum laudis* albo wielki srebrny medal c. i k. dostawcy trupów z gwiazdkami i bez gwiazdek. O ileż szczęśliwszy jest każdy wół! Zabiją go w szlachtuzie i nie pędzą po placu ćwiczeń i na *feldschiessen*.

Tłusty jednoroczny ochotnik przewalił się na drugi siennik i mówił dalej:

— Nie ulega wątpliwości, że to wszystko musi się kiedyś zawalić, bo takie rzeczy nie mogą trwać wiecznie. Spróbujcie świnie nadać sławę, to pęknie. Gdybym został wyprawiony na front, wypisałbym:

Ludzkimi kośćmi użyźniamy łąn.
Acht Pferde oder achtundvierzig Mann.

Otworzyły się drzwi, a w nich ukazał się profos przynosząc ćwiartkę komiśniaka i świeżą wodę.

Leżąc na sienniku jednoroczny ochotnik powitał profosa taką przemową:

— Jakie to piękne i wzniosłe zadanie: więźniów nawiedzać! O święta Agnieszko 91 pułku! Witaj nam, aniele dobroczynności, którego serce pełne jest współczucia! Obciążona jesteś kosztami jadła i napojów, abyś złagodziła niedolę naszą. Nigdy nie zapomnimy tych dobrodziejstw, jakie nam wyświadczasz. Jesteś promiennym zjawiskiem w mrokach więzienia naszego.

— Przy *regimentsraporcie* odechce się panu żartować — mamrotał profos.

— Nie nadymaj się, żabo — odpowiedział jednoroczny ochotnik. — Przyznaj się raczej, jakbyś sobie używał, gdyby ci tak pozwolili zamknąć z dziesięciu jednorocznych ochotników. Nie gap się na nas tak głupio, kluczniku Koszar Mariańskich! Zamknąłbyś ich wtedy dwudziestu, ale wypuściłbyś tylko dziesięciu. Jezus Maria, żeby ja był ministrem wojny, nauczyłbym ja was moresu! A czy ty wiesz, że kąt padania równa się kątowi odbicia? O jedno cię tylko proszę: wskaż mi jeden punkt stały we wszechświecie, a dźwignę całą ziemię razem z tobą, pokrako!

Profos wybałuszył oczy, otrząsnął się i zatrzasnął drzwi.

— Stowarzyszenie wzajemnej pomocy dla wytępienia profosów — rzekł jednoroczny ochotnik łamiąc chleb sprawiedliwie na dwie części. — Podług paragrafu szesnastego przepisów więziennych więźniowie w koszarach aż do wyroku powinni otrzymywać menaż wojskową, ale tutaj panuje prawo prerii: kto się pierwszy dorwie, ten pierwszy zeżre.

Siedzieli ze Szwejkiem na pryczy i żuli komiśniak.

— Na przykładzie profosa widać wyraźnie — wywodził dalej jednoroczny ochotnik — jak wojna brutalizuje każdego. Człowiek ten, zanim wstąpił do wojska, był młodym, zacnym idealistą, płowowłosym cherubinem, tkliwym i czułym dla każdego, obrońcą nieszczęśliwych, który zawsze stawał do rzetelnych bijatyk, gdy mu ktoś chciał wziąć dziewczynę sprzed nosa podczas kiermaszu w stronach ojczystych. Niezawodnie wszyscy otaczali go szacunkiem, a dzisiaj?... Miły Boże, przecież chce mu się dać w pysk, tłuc jego łeb o pryczę, zrzucić go na ten łeb do latryny. Ale i to, co mówię, jest, przyjacielu, dowodem zdziczenia uczuć i myśli w czasie wykonywania tego rzemiosła wojennego.

Zaczął śpiewać:

Ani diabła się nie bała,
Aż ci spotkał ją kanonier...

— Drogi przyjacielu — wywodził dalej — gdy się rozglądamy w tym wszystkim z punktu widzenia naszej kochanej monarchii, to niezmiennie dochodzimy do wniosku, że z tą monarchią jest tak samo jak ze stryjaszkiem Puszkina, o którym ten poeta napisał, że ponieważ stryjaszek jest zdechlak, więc nie pozostaje nic innego, tylko:

...wzdychać i myśleć, wciąż to jedno,
Kiedyż cię wreszcie diabli wezmą...

Klucz zachrobotał w zamku ponownie; profos stojąc na korytarzu zapalał lampkę naftową.

— Promyczek światła w mrokach nocy! — wołał jednoroczny ochotnik. — Światłość ogarnia armię! Dobranoc, panie profosie! Niech pan się kłania wszystkim szarżom. Przyjemnych marzeń! Śnij, dobry człowieku, choćby o tym, że już oddałeś mi tych pięć koron, które dałem ci na papierosy, a które przepiłeś za moje zdrowie. Lulaj słodko, bestio!

Słychać było tylko, jak profos mamrotał coś o jutrzejszym *regimentsraporcie*.

— Znów jesteśmy sami — rzekł jednoroczny ochotnik. — Teraz kilka chwil przed zaśnięciem poświęcę rozmyśleniom o tym, jak z każdym dniem stają się coraz bogatsze zoologiczne wiadomości szarż podoficerskich i oficerskich. Aby poprzerabiać ludzi na nowy i cenny materiał wojenny, na smakowite kąski do armat, na to potrzeba obszernych studiów przyrodniczych, a przynajmniej książki wydanej nakładem Koczego pod tytułem: *Źródła dobrobytu gospodarczego*, w którym to dziele na każdej stronicy spotyka się słowa takie jak: bydlę, prosię, świnia. Ale w czasach ostatnich daje się zauważyć, że nasze postępowe koła wojskowe zaprowadzają nowe nazwy dla rekrutów. W kompanii II kapral Althof używa takich słów, jak koza engadyńska, frajter Müller, niemiecki nauczyciel z Gór Kasperskich nazywa rekrutów czeskimi śmierdzielami, sierżant Sondernummer — nadętymi żabami i yorkshirskimi kierdakami i stale obiecuje, że każdego rekruta wypcha. Używa przy tym takich fachowych zwrotów, jakby się wywodził z rodu zawodowych wypychaczy zwierząt. Wszyscy przełożeni wojskowi starają się zaszczepić miłość dla ojczyzny takimi środkami, jak ryk i taniec dokoła rekrutów, wrzask wojenny, przypominający dzikusów afrykańskich, zabierających się do ściągania skóry z niewinnej antylopy albo do pieczenia udźca misjonarza przygotowanego do zjedzenia. Oczywiście, że taka pedagogia nie dotyczy Niemców. Gdy sierżant Sondernummer mówi coś pięknego o *saubandzie*, to zaraz dodaje do tego: *die tschechische*, żeby się Niemcy nie obrazili i nie wzięli tych słów do serca jako skierowanych do nich. A do tego jeszcze wszystkie szarże II kompanii wywracają oczy jak jaki biedny pies, który przez żarłoczność połknie gąbkę namoczoną w oleju i nie może jej zwymiotować. Pewnego razu słyszałem rozmowę frajtra Müllera z kapralem Althofem na temat wojskowego wyćwiczenia landwerzystów. W rozmowie tej wyróżniały się osobliwie takie słowa, jak *paar Ohrfeigen*. Zrazu myślałem, że między nimi doszło do zatargu i że rwie się niemiecka jedność wojskowa, ale myliłem się oczywiście. Chodziło jedynie o żołnierzy.

„Kiedy taka czeska świnia — wywodził roztropnie kapral Althof — nawet po trzydziestu „*nieder*” nie nauczy się stać równo jak świeca, to nie dość sprać ją po pysku. Grzmotnij go grzecznie jedną pięścią pod żebra, a drugą wpakuj mu czapkę na uszy i daj rozkaz: »*Kehrt euch!*«. Gdy się odwróci, to go kopnij w zadek, a zobaczysz, jak się taki rozciągnie na ziemi i jak się będzie śmiał chorąży Dauerling”.

Ale muszę wam, kolego, powiedzieć coś o Dauerlingu — mówił jednoroczny ochotnik dalej. — Rekruci II kompanii opowiadają sobie o nim takie rzeczy, jakie opowiadać musi samotna staruszka, mieszkająca na fermie w pobliżu granicy meksykańskiej, o jakimś sławnym bandycie. Dauerling ma opinię ludożercy jednego ze szczepów australijskich pożerających członków innych szczepów, gdy który z nich dostanie się w ich ręce.

Jego kariera życiowa jest wspaniała. Wkrótce po jego urodzeniu niania przewróciła się i mały Konrad Dauerling uderzył się w główkę tak mocno, iż jeszcze dzisiaj na głowie jego widać splaszczanie, jakby kometa zderzyła się z północnym biegunem ziemi. Wszyscy wątpili, czy z niego coś będzie, jeśli nawet przetrzyma to mocne wstrząśnienie mózgu. Tylko ojciec jego, pułkownik, nie tracił nadziei i twierdził, że bynajmniej szkodzić mu to nie może, ponieważ, rzecz prosta, młody Dauerling, jak tylko podrośnie, poświęci się służbie wojskowej. Po strasliwej walce z czterema klasami niższego gimnazjum realnego, które przeszedł trybem domowym, przy czym przedwcześnie posiwał i zidiociał pierwszy jego nauczyciel domowy, a drugi, zrozpaczony, chciał popełnić samobójstwo przez zeskoczenie z wieży kościoła Św. Szczepana w Wiedniu, dostał się młody Dauerling do hainburskiej szkoły kadetów. W szkole tej nigdy nie zwracano uwagi na ogólne wykształcenie, bo takie wykształcenie może austriackiemu oficerowi służby czynnej najwyżej przeszkadzać. Ideału wojskowego dopatrywano się jedynie w zabawie w żołnierzyków. Wykształcenie uszlachetnia duszę, a tego w wojsku nikomu nie potrzeba. Im oficer brutalniejszy, tym lepszy.

Wychowanek szkoły wojskowej, Dauerling, nie wyróżniał się nawet w tych przedmiotach, które najgorsi uczniowie opanowywali jako tako. I w szkole wojskowej widoczne były ślady tego, że Dauerling w dzieciństwie upadł na główkę.

Jego odpowiedzi podczas egzaminów wyraźnie mówiły o skutkach tego nieszczęścia i odznaczały się taką głupotą, że uważane były wprost za klasyczne dla swojej głębokiej idiotyczności i tępoty. Profesorowie szkoły nie nazywali go inaczej, jak *unser braver Trottel*. Jego głuptactwo było tak olśniewające, iż istniała uzasadniona nadzieja, że po kilku dziesiątkach lat zostanie się do Terezjańskiej Akademii Wojskowej czy może nawet do Ministerstwa Wojny.

Po wybuchu wojny, gdy wszyscy młodzi kadeci awansowali na podchorążych, na hainburską listę świeżo mianowanych dostał się także Konrad Dauerling i w ten sposób znalazł się w 91 pułku.

Jednoroczny ochotnik odsapnął i opowiadał dalej:

— Nakładem Ministerstwa Wojny wyszła książka *Drill oder Erziehung*, a w tej książce doczytał się Dauerling, że żołnierzy należy terroryzować. Im więcej strachu napędza się żołnierzom, tym lepsze rezultaty. W pracy tej osiągnął duże wyniki. Żołnierze, aby uniknąć słuchania jego ryku, całymi plutonami zgłaszali się jako chorzy, co oczywiście nie na wiele im się zdało, bo kto meldował się jako chory, dostawał trzy dni *verschärft*. Czy wiecie, kolego, co to znaczy *verschärft*? Przez cały dzień pędzają czteka po placu ćwiczeń, a na noc go jeszcze wsadzają do paki. Toteż w oddziale Dauerlinga chorych nie było: siedzieli po prostu w pace. Dauerling na placu ćwiczeń stale zachowuje ten swój niewymuszony koszarowy styl wyrażania się, który zaczyna się zwykle wyrazem „świnia”, a kończy się dziwną mieszaliną zoologiczną: „świńskim psem”. Przy tym jest wszakże bardzo liberalny i pozostawia żołnierzom swobodę wyboru. „Co chcesz, słoniu, mawia, parę razy w ryj czy trzy dni *verschärft*?” Jeśli ktoś wybiera *verschärft*, to i tak dostaje dwa razy kulakiem w nos, do czego Dauerling dodaje zwykle takie wyjaśnienie: „Ach, ty nędzny tchórz, boisz się o swój ryj, a cóż będziesz robił, gdy zaczniesz grać ciężka artyleria?”

Pewnego razu, gdy rekrutowi jakimś wybił oko, wyraził się:

„*Pab, was für Geschichten mit einem Kerl muss so wie so krepieren.*” To samo mawiał feldmarszałek Konrad von Hötzendorf: „*Die Soldaten müssen so wie so krepieren.*”

Bardzo skutecznym i ulubionym środkiem pedagogicznym Dauerlinga jest ten, że przed wykładami swymi zwołuje czeskich szeregowców i mówi im o wojskowych zadaniach Austrii, przy czym ogólne zasady wychowania wojskowego ilustruje przykładami, poczynając od kija, a kończąc na szubienicy albo rozstrzelaniu. Na początku zimy, zanim dostałem się do szpitala, miewaliśmy ćwiczenia na placu ćwiczeń obok 11 kompanii, a kiedy był odpoczynek, Dauerling wygłosił przemówienie do swoich czeskich rekrutów:

„Ja wiem, powiada, że jesteście łobuzy i że trzeba wam powybić z głowy wszelkie błazeństwa. Z językiem czeskim nie dostaniecie się nawet pod szubienicę. Nasz najwyższy wódz i pan też jest Niemiec. Słyszeliście? *Himmellaudon, nieder!*”

Wszyscy padają na komendę, a podczas gdy leżą na ziemi, Dauerling przechadza się przed nimi i przemawia:

„Jak mówię *nieder*, to *nieder*, wy hołoto, choćbyście w tym błocie zgnić mieli. *Nieder* było już w starożytnym Rzymie. Wtedy wszyscy musieli służyć od roku siedemnastego do sześćdziesiątego, a w polu służono przez lat trzydzieści. Nikt nie piecuchował po koszarach jak te świnie dzisiejsze. I wtedy też był jednolity język wojskowy i rzymska komenda. Panowie oficerowie nauczyliby żołnierzy moresu, gdyby ci próbowali mówić *etrurisch*. Ja też żądam, żebyście wszyscy odpowiadali po niemiecku, a nie takim swoim cygańskim żargonem. No, widzicie, jak ładnie leży się w błocie. Wyobraźcie sobie, co by to było, gdyby któremu z was nie chciało się leżeć dalej i wstałby. Co bym z takim zrobił? Rozdarłbym mu pysk od ucha do ucha, ponieważ byłoby to naruszeniem subordynacji, buntem, rokoszem, wykroczeniem przeciwko obowiązkowi porządnego żołnierza, naruszeniem rygoru i dyscypliny, okazaniem pogardy dla wszelkich przepisów w ogóle, z czego wynika, że na takiego draba czeka stryczek i *Verwirkung des Anspruches auf die Achtung der Standesgenossen*”.

Jednoroczny ochotnik zamilkł, a po chwili, kiedy niezawodnie ułożył sobie schemat dalszego wykładu o życiu koszarowym, mówił dalej:

— Był taki jeden kapitan Adamiczka, człowiek zupełnie apatyczny. Kiedy siedział w kancelarii, to zazwyczaj spoglądał w przestrzeń, jak jakiś łagodny wariat, i miał taki wyraz twarzy, jakby chciał rzec: „Zezrzyjcie mnie, muchy”. Przy *batalionsraporcie* myślał widać o niebieskich migdałach. Pewnego razu zameldował się do *batalionsraportu* żołnierz z kompanii 11 ze skargą, że podchorąży Dauerling na ulicy nazwał go czeską świnia. Żołnierz ten był w cywilu introligatorem, a nadto uświadomionym działaczem narodowym.

„A więc tak się rzeczy mają — rzekł kapitan Adamiczka głosem cichym, bo on zawsze mówił bardzo cicho. — Tak się o was wyraził na ulicy. Trzeba sprawdzić, czy mieliście prawo opuszczać koszary. *Abtreten!*”

Po pewnym czasie kapitan Adamiczka przywołał do siebie żołnierza, który wniósł skargę.

„Zostało ustalone — rzekł i tym razem tak cicho jak zazwyczaj — że owego dnia mieliście prawo opuścić koszary i bawić na mieście do godziny dziesiątej. I dlatego karany nie będziecie. *Abtreten!*”

O tym kapitanie Adamiczce mawiano później, że to człowiek sprawiedliwy, więc, kochany kolego, wyprawiono go na front, i zamiast niego przybył tutaj major Wenzl. A ten major Wenzl to był pieski syn i dobrze umiał sobie radzić z różnymi szykanami narodowościowymi. Otóż ten major zabrał się do Dauerlinga. Ożeniony jest z Czeszką i niczego się tak nie boi jak sporów narodowościowych. Kiedy przed laty służył w Kutnej Horze jako kapitan, zwymyślał po pijanemu starszego kelnera i nazwał go czeską hołotą. Zwracam uwagę kolegi, że w towarzystwie, tak jak i w domu, major Wenzl mówił wyłącznie po czesku i że synowie jego kształcili się w szkołach czeskich. Słowo wyleciało wróblem, a do gazet dostało się wołem, a jakiś poseł wniósł w wiedeńskim parlamencie interpelację z powodu niewłaściwego zachowania się kapitana Wenzla w hotelu. Wenzl miał z tego powodu grube nieprzyjemności, ponieważ było to akurat w czasie uchwalania budżetu wojskowego przez parlament, a tu spada mu nagle na kark tak głupia sprawa z jakimś tam pijanym kapitanem z Kutnej Hory.

Później kapitan Wenzl dowiedział się, że wszystkie te przykrości zawdzięcza pewnemu jednorocznemu ochotnikowi, kadetowi Zitko. To on podał o wszystkim do gazet, bo między nim a kapitanem Wenzlem panowały naprężone stosunki od czasu, gdy ten jednoroczny ochotnik zaczął pewnego razu w jakimś towarzystwie w obecności kapitana Wenzla zachwycać się wspaniałością przyrody stworzonej przez Boga i wywodzić, jaka to przyjemność przyglądać się chmurom przesłaniającym horyzont, górą wspinającym się ku niebu i wsłuchiwać się w huk wodospadów w lasach i w śpiew ptasząt.

„Wystarczy tylko — mówił ów kadet Zitko — zastanowić się nad tym wszystkim, a wtedy widać jasno, czym jest każdy kapitan w porównaniu ze wspaniałością przyrody. Jest to takie samo zero jak każdy kadet”.

Ponieważ wszyscy panowie wojskowi byli wtedy wstawieni jak się patrzy, więc kapitan Wenzl chciał nieszczęśliwego filozofa zbić jak psa. Nie zbił go jednak, ale zapamiętał sobie jego wykład filozoficzny i szykanował go, gdzie tylko mógł i jak mógł, i to tym bardziej, że sentencja kadeta stała się przysłowiem: „Czym jest kapitan Wenzl wobec wspaniałości przyrody?”. Te słowa powtarzano sobie po całej Kutnej Horze.

„Ja tego łobuza doprowadzę do samobójstwa” — mawiał kapitan Wenzl, ale Zitko wystąpił z wojska i w dalszym ciągu studiował filozofię. Od tego czasu wściekłość majora Wenzla zwracała się przeciwko młodym oficerom, nawet podporucznik nie uchroni się przed jego szykanami. O kadetach i podchorążych nawet mówić nie warto.

„Wygnotę ich jak pluskwy!” — mówi major Wenzl i biada temu podchorążemu, który za jakieś drobne wykroczenie pociągałby żołnierza do *batalionsraportu*. Dla majora Wenzla miarodajne jest tylko wielkie i straszliwe wykroczenie, jak na przykład, gdy żołnierz zaśnie na warcie przy prochowni albo dopuści się jeszcze czegoś okropniejszego, to jest, gdy przelazi w nocy przez mur Koszar Mariańskich i zaśnie na murze u góry, pozwoli się złapać landwerzystom lub artylerzystom patrolującym w nocy, jednym słowem, gdy dopuści się czegoś takiego, co jest hańbą dla całego pułku.

„Na miłość boską! — wrzeszczał pewnego razu na żołnierza przechodząc przez korytarz — więc już po raz trzeci złapał go patrol landwerzystów. Wsadzić mi zaraz tego drania do paki, trzeba go przepędzić z pułku. Niech sobie idzie do taborów i niech wozi gnój. I nawet się nie pobił z nimi! To nie żołnierz, ale śmieciarz. Zreć dajcie mu dopiero pojutrze, zabierzcie mu siennik, wpakujcie go do pojedynki, zabierzcie mu koc, takim synowi!”

A teraz wyobraźcie sobie, przyjacielu, że zaraz po jego translokacji tutaj do nas, ten idiotyczny podchorąży Dauerling pociągnął do *batalionsraportu* pewnego szeregowca za to, że ten jakoby rozmyślnie nie salutował go, gdy on przejeżdżał z jakąś panienką w dorożce przez plac w niedzielę po południu. Opowiadali podoficerowie, że wtedy przy raporcie był prawdziwy dopust boży. Sierżant kancelarii batalionu uciekł z papierami, a major Wenzl ryczał na Dauerlinga:

„Ja to sobie wypraszam, *Himmeldonnerwetter*, ja tego zakazuję! Wiesz pan, panie fenrych, co to jest *batalionsraport*? *Batalionsraport* to nie żaden *schweinfest*! Jakże mógł pana widzieć żołnierz, gdy pan przejeżdżał przez plac miejski! Zapomniał pan o tym, że sam pan uczył żołnierzy, iż cześć oddaje się szarżom, gdy się je spotyka, co nie znaczy wcale, aby żołnierz miał się gapić dookoła, żeby przecie wypatrzeć pana fenrycha przejeżdżającego dryndą po mieście. Niech pan nic nie mówi. *Batalionsraport* to instytucja bardzo poważna. Jeśli żołnierz mówi, że pana nie widział, ponieważ w tej samej chwili oddawał cześć mnie, zwrócony ku mnie, rozumie pan, ku majorowi Wenzlowi, więc nie mógł spoglądać za siebie na dorożkę, w której pan jechał, to jemu trzeba wierzyć, jak mi się zdaje. Na przyszłość proszę pana, aby pan nie zawracał mi głowy takimi drobiazgami”.

Od tego czasu Dauerling zmienił się bardzo.

A teraz trzeba się wyspać, bo jutro *regimentsraport*! — Jednoroczny ochotnik ziewnął. — Chciałem wam, kolego, tylko coś niecoś powiedzieć, co się dzieje w naszym pułku. Pułkownik Schröder nie lubi majora Wenzla, który w ogóle jest dziwadłem niezgorszym. Kapitan Sagner, który prowadzi szkołę jednorocznych ochotników, dopatruje się w Schröderze wzoru doskonałego żołnierza, aczkolwiek pułkownik Schröder niczego się tak nie boi, jak samej myśli, że miałby wyruszyć w pole. Sagner to chłop chytry i przebiegły i tak samo jak Schröder nie lubi oficerów rezerwowych. Nazywa ich cywilnymi śmierzdelami. Na jednorocznych ochotników spogląda jak na dzikie zwierzęta, z których trzeba porobić maszyny wojenne, ponaszywać im gwiazdek i powysyłać ich na front, aby ich wytłukli zamiast szlachetnych oficerów służby czynnej, potrzebnych na zarybek.

W ogóle wszystko w całej armii gnije i śmierdzi — mówił jednoroczny ochotnik nakrywając się kocem. — Ale dotychczas wystraszone masy jeszcze się nie zorientowały. Z wytrzeszczonymi gałami pozwalają się siec na makaron, a jak którego kulka trafi, to zaskomli: „Mamusiu”. Ale to nie może trwać wiecznie i kiedyś pęknie. Jak się ludziska zbuntują, to dopiero będzie kotłowanina! Niech żyje armia! Dobranoc!

Jednoroczny ochotnik zamilkł, ale po chwili zaczął się kręcić pod kocem i zapytał:

— Śpicie kolego?

— Nie śpię — odpowiedział Szejwk z drugiej pryczy. — Rozmyślam.

— O czym też rozmyślacie, kolego?

— O wielkim srebrnym medalu za męstwo. Medal taki otrzymał pewien stolarz z ulicy Vavry na Królewskich Vinohradach, niejaki Mliczko, ponieważ był pierwszym w pułku, któremu na początku wojny granat urwał nogę. Dostał protezę i zaczął się wszędzie

chępić swoim medalem i tym, że jest najpierwszym wojennym kaleką pułku. Razu pewnego przyszedł sobie do „Apolla” na Vinohradach i wdał się w awanturę z rzeźnikami z rzeźni, którzy oderwali mu w końcu tę sztuczną nogę i sprali go nią po głowie. Ten, co mu ją oderwał, nie wiedział, że to jest sztuczna noga, i tak się przeraził, że zemdlął. Na posterunku policji przypięli Mliczkowi nogę jak się patrzy, ale pierwszy kaleka pułkowy tak się rozzłościł na swój medal, że poszedł do lombardu, żeby go zastawić, a tam go za to zatrzymali. Miał korowody. Istnieje taki jakiś sąd honorowy do sądenia inwalidów wojennych i ten sąd zdecydował, że Mliczko nie jest godzien nosić srebrnego medalu, i kazał odebrać mu także nogę...

— Jak to i nogę?

— A tak. Pewnego dnia przybyła do niego komisja, oświadczyła mu, że nie jest godzien korzystać ze sztucznej nogi, więc protezę odpięli i zabrali. Albo i to jest wielki szpas — mów Szwejk dalej — gdy krewni jakiego poległego dostają raptem tak medal i list, w którym jest napisane, że udziela się im odznaczenia i zaleca się, żeby ten medal zawiesili na honorowym miejscu. Przy ulicy Božetiecha na Vyszehradzie rozzłościł się pewien ojciec, bo mu się wydawało, że władze kpią sobie z niego, i medal otrzymany w taki sposób zawiesił w wychodku, a policjant, który mieszkał w tym samym domu i korzystał z tego samego wychodka, oskarżył rozłoszczonego ojca o zdradę stanu, no i ucierpiał biedak swoje rozłoszczenie.

— Z tego wynika — rzekł jednoroczny ochotnik — że komu pierwsza chwalka, temu pierwsza pałka. Niedawno wydano w Wiedniu *Pamiętnik jednorocznego ochotnika*, a w tym pamiętniku są takie ładne wiersze:

Poległ w walce ochotnik dzielny,
Lecz piękna o nim pieśń powtarza,
Że przykład dał nam nieśmiertelny,
Jak się umiera za cesarza.
Już zwłoki wiozą na lawecie,
Na pierś kapitan medal mu przypina,
Chwała po całym leci świecie,
Monarchia czci swojego syna...

— Czasem zdaje mi się — rzekł jednoroczny ochotnik po krótkim milczeniu — że zamiera w nas duch wojenny. Proponuję więc, drogi przyjacielu, abyśmy w mrokach nocy i w ciszy naszego więzienia zaśpiewali pieśń o kanonierze Jaburku. Podniesie to ducha wojennego. Ale trzeba dobywać głosu, żeby pieśń była słyszana po całych Koszarach Mariańskich. Z tej racji proponuję, abyśmy stanęli w pobliżu drzwi.

Po chwili w areszcie rozbrzmiewał śpiew, od którego w korytarzu aż szyby brzęczały:

Przy armacie stał,
I wciąż, i wciąż, i wciąż...
Przy armacie stał
I wciąż ją nabijał.
Leci kula jak szalona,
Oberwała mu ramiona,
A ten ciągle stał,
I wciąż, i wciąż, i wciąż...
Przy armacie stał
I wciąż ją nabijał...

Na dziedzińcu odezwały się kroki i głosy.

— To profos idzie — rzekł jednoroczny ochotnik. — Idzie z nim lejtnant Pelikan, który dzisiaj ma służbę. Jest to oficer rezerwy, mój znajomy z „Czeskiej Besedy”. W cywilu jest rachmistrzem pewnego stowarzyszenia ubezpieczeń. Dostaniemy od niego papierosów, ale trzeba ryczeć dalej.

I znowu odezwała się pieśń:

Przy armacie stał...

Profos był widocznie wzburzony obecnością oficera pełniącego służbę, więc otworzywszy drzwi zawołał:

— Tu nie żadna menażeria!

— Pardon — odpowiedział jednoroczny ochotnik — tu jest filia Rudolfinum. Odbywa się koncert na korzyść uwięzionych. Właśnie skończyliśmy numer pierwszy programu: *Symfonia wojenna*.

— Niech pan zachowa spokój, panie jednoroczny ochotniku — rzekł podporucznik Pelikan z udaną surowością. — Wie pan chyba, że o dziewiątej idzie się na spoczynek i nie wolno robić hałasu. Ten koncert słyhać aż na rynku.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant — rzekł jednoroczny ochotnik — że nie jesteśmy należycie przygotowani, więc jeśli raz pan dysharmonia...

— Takie rzeczy wyrabia co wieczór — oskarżał profos swego wroga — i w ogóle zachowuje się bardzo nieinteligentnie.

— Melduję posłusznie, panie lejtnant. — odezwał się jednoroczny ochotnik — że chciałbym powiedzieć panu coś w cztery oczy. Niech profos poczeka za drzwiami.

Gdy życzenie jego zostało spełnione, jednoroczny ochotnik rzekł poufale:

— Dawaj, Franto, papierosy!

Co? Takie lichutkie palisz? Jako lejtnant nie masz nic lepszego? — pytał ochotnik widząc, że podporucznik daje mu papierosy „Sport”. — No, trudna rada. Zostaw nam zapalki i idź z Bogiem.

Marne papierosiny — rzekł po odejściu podporucznika z wielką pogardą ochotnik. — Ale dobra głodnemu psu i mucha. Kurz, bracie, na dobranoc. Jutro czeka nas sąd ostateczny.

Zanim jednoroczny ochotnik ułożył się do snu, zaśpiewał sobie jeszcze melancholijną piosenkę:

Góry, doliny i skały wysokie

To moi przyjaciele,

A smutki, moja miła dziewczyno,

Nie zdadzą się na wiele...

Jednoroczny ochotnik, przedstawiający pułkownika Schrödera jako potwora, nie miał bezwzględnej racji, bowiem pułkownik Schröder miał szacunek dla sprawiedliwości, a szacunek ten ujawniał się osobliwie po wesołych nocach, które spędzał w hotelu w stałym towarzystwie. Gdy go taka noc zadowoliła, bywał nazajutrz najmiłszym człowiekiem. Inaczej bywało, gdy się towarzystwo nie udało.

Podczas gdy jednoroczny ochotnik poddawał życie pułku miazdzącej krytyce, pułkownik Schröder siedział w hotelu w towarzystwie oficerów i słuchał opowieści porucznika Kretschmanna, który wrócił z Serbii z chorą nogą (pobodła go krowa). Porucznik opowiadał, jak razem z całym sztabem przyglądał się atakowi na pozycje serbskie:

— Tak jest, wybiegli z rowów strzeleckich. Na całej długości dwóch kilometrów przelażą przez przeszkody z drutów kolczastych i rzucają się na nieprzyjaciela. Ręczne granaty za pasem, maski, pod pachą karabiny gotowe do strzału, do ataku. Kule gwizdzą. Pada jeden żołnierz, w chwili gdy wylazi z rowu strzeleckiego, drugi pada na szańcu, trzeci pada nieco dalej, ale ich towarzysze pędzą naprzód i krzyczą: „Hura!” Dym i kurz dokoła. A nieprzyjaciel strzela ze wszystkich stron, z rowów, z lejów od granatów i wali z karabinów maszynowych. Znowu padają żołnierze. Gromadka ludzi rzuca się na nieprzyjacielski karabin maszynowy. Padają wszyscy. Ale towarzysze pędzą naprzód. „Hura!” Pada oficer... Nie słyhać już karabinów piechoty. Szykuje się coś okropnego. Znowu pada cały jeden pluton. Słyhać nieprzyjacielskie karabiny maszynowe: ratatatata... Pada... Ja... przepraszam panów, ja... dalej mówić nie mogę, bo jestem pijany...

I oficer z bolącą nogą milknie nagle, kiwa się na krześle i tępo spogląda przed siebie. Pułkownik Schröder uśmiecha się łaskawie i przysłuchuje się, jak kapitan Spira, siedzący

w pobliżu, grzmoci pięścią w stół, jakby się chciał klócić, i powtarza coś, co jest bez znaczenia i czego w żaden sposób nie można zrozumieć. Nikt nie wie, o co temu człowiekowi chodzi i co znaczą jego słowa:

— Proszę dobrze uważać. Mamy pod bronią austriackich ułanów landwery, austriackich landwerzystów, bośniackich strzelców, austriackich strzelców, austriacką piechotę, węgierską piechotę, tyrolskich strzelców cesarskich, bośniacką piechotę, węgierskich honwedów pieszych, węgierskich huzarów, huzarów landwery, strzelców konnych, dragonów, ułanów, artylerię, tabory, saperów, sanitariuszy, marynarzy. Rozumiecie, panowie? A Belgia? Pierwsze i drugie powołanie tworzy armię operacyjną, trzecie powołanie pełni służbę na tyłach armii...

Kapitan Spira huknął pięścią w stół.

— Landwera pełni służbę w kraju podczas pokoju!

Pewien młody oficer, siedzący obok, starał się ze wszystkich sił przekonać pułkownika o swojej wojskowej bezwzględności i głośno pouczał sąsiada:

— Suchotnicy powinni być wysłani na front, to im tylko dobrze zrobi, a prócz tego lepiej przecież, gdy giną chorzy, a zdrowi zostają.

Pułkownik uśmiechał się, lecz nagle spochmurniał i zwracając się do majora Wenzla rzekł:

— Dziwię się, że porucznik Lukasz nas unika. Od chwili swego przyjazdu ani razu jeszcze nie był między nami.

— Pisz wierszyki — ironicznie odezwał się kapitan Sagner. — Natychmiast po przyjeździe zakochał się w pani inżynierowej Schreiterowej, z którą spotkał się w teatrze.

Pułkownik okiem ponurym spoglądał przed siebie.

— Podobno umie śpiewać kuplety.

— Już w szkole wojskowej wyśpiewywał ładne kuplety — odpowiedział kapitan Sagner — a co za anegdoty zna! Paluszki lizać. Dlaczego nie bywa między nami, nie wiem.

Pułkownik smutnie potrząsnął głową.

— Dzisiaj nie ma już między nami tego prawdziwego koleżeństwa. Pamiętam, że dawniej każdy z oficerów starał się w miarę możliwości, żeby w kasynie było wesoło. Jeden z kolegów, niejaki porucznik Dankl, rozbierał się do naga, kładł się na podłodze, wtykał sobie w zadek ogon śledzia i przedstawiał syrenę. Inny znowu porucznik, Schleisner, umiał strzyc uszami i rzeć jak ogier, potrafił naśladować miauczenie kotów i bzykanie trzmieli. Pamiętam także kapitana Skodaya. Ile razy zażądaliśmy, zawsze przyprowadzał do kasyna dziewczyny, trzy siostry, a były wytresowane jak psy. Ustawiał je na stole, a one zaczynały przed nami rozbierać się do naga, i to w takt batuty. Skoday miał taką małą batutkę i trzeba przyznać, że kapelmistrzem był świetnym. A czego on z nimi nie wyrabiał na kanapie! Kiedyś kazał sprowadzić wannę z ciepłą wodą, ustawić na środku lokalu, a my musieliśmy jeden po drugim kąpać się z tymi dziewczynami, on zaś nas fotografował.

Przy tym wspomnieniu pułkownik Schröder uśmiechał się obleśnie.

— A jakie zakłady robiliśmy w wannie! — mówił dalej mlaszcząc wstrętnie językiem i kręcąc się na krześle. — A dzisiaj? Czy to jest rozrywka? Nawet marnego kuplecisty nie ma. I pić młodzi oficerowie też już nie umieją. Do północy jeszcze daleko, a przy stole już pięciu pijanych, jak sam pan widzi. Bywało tak, że siedzieliśmy razem po dwa dni z rzędu, a im więcej piliśmy, tym byliśmy trzeźwiejsi. A żłopało się wszystko, co popadło: piwo, wino, likiery. Dzisiaj nie ma już tego dawnego prawdziwego ducha wojennego. Diabli wiedzą, co się porobiło. Nie ma dowcipu, tylko takie głupie głędzenie bez końca. Niech pan słucha, co tam na końcu stołu opowiadają sobie o Ameryce.

Z końca stołu odzywał się czyjś poważny głos:

— Ameryka nie może rozpoczynać wojny. Amerykanie i Anglicy to najwięksi wrogowie. Ameryka nie jest przygotowana do wojny.

Pułkownik Schröder westchnął:

— Tak mogą głądzić tylko oficerowie rezerwy. Diabli nam tu ich nadali. Jeszcze wczoraj taki czleczyzna pisał w jakimś banku albo zawijał w papierek pieprz, angielskie ziele, cynamon i pastę do obuwia, a w najlepszym razie opowiadał dzieciom w szkole, że głód wypędza wilka z lasu, a dzisiaj chce być podobny do oficera służby czynnej, udaje, że na wszystkim się zna, i we wszystko wtyka nos. A chociaż mamy dość oficerów służby czynnej, to taki na przykład Lukasz unika naszego towarzystwa.

Pułkownik Schröder wrócił do domu w usposobieniu jak najgorszym, a gdy się rano przebudził, nastrój jego pogorszył się jeszcze, bo w gazetach, które podano do łóżka, przeczytał wiadomości z frontu, w których kilkakrotnie powtarzało się zdanie, że wojska nasze znowu cofnęły się na pozycje z góry upatrzone. Były to pełne chwały dni armii austriackiej, jak dwie krople wody podobne do tych dni, w których brała ona generalne łanie w Serbii.

I z takimi właśnie pomieszanymi uczuciami przystąpił pułkownik Schröder o godzinie dziesiątej rano do rozpatrzenia sprawy, którą jednoroczny ochotnik nazwał dość trafnie sądem ostatecznym.

Szwejk i jednoroczny ochotnik stali na dziedzińcu i czekali na pułkownika. Znajdowali się tam już wszyscy podoficerowie, oficer pełniący służbę, adiutant pułku i sierżant, szef kancelarii pułkowej z papierami winowajców, na których głowy spaść miał topór sprawiedliwości — *regimentsraport*.

Wreszcie ukazał się ponury pułkownik w towarzystwie kapitana Sagnera ze szkoły jednorocznych ochotników, nerwowo chłuszczący szpicrutą cholewy butów.

Przyjął raport i wśród grobowej ciszy przeszedł kilka razy obok Szwejka i jednorocznego ochotnika, którzy podrzucali głowami „*rechtsschaut*” i „*linksschaut*” zależnie od tego, czy pułkownik znajdował się po ich prawej czy lewej stronie. Czynili to bardzo dokładnie i omal że karków nie poskręcali, bo spacer pułkownika trwał dość długo. Wreszcie zatrzymał się pułkownik przed jednorocznym ochotnikiem, który zaczął meldować:

— Jednoroczny ochotnik...

— Wiem — rzekł ostro pułkownik. — Wyrzutek jednorocznych ochotników. Czym pan jest w cywilu? Studentem filologii klasycznej? A więc zapity inteligent...

— Panie kapitanie — zwrócił się do Sagnera — niech pan przyprowadzi całą szkołę jednorocznych ochotników.

— Naturalnie — przemawiał dalej do swojej ofiary — tak jaśnie pan student filologii klasycznej, którego my tu musimy uczyć moresu. *Kebrt euch!* Oczywiście fałdy płaszczka nie w porządku. Jakby wyszedł od dziewczki albo tarzał się w bajzlu. Ja wielmożnego pana ochotnika nauczę moresu.

Szkoła jednorocznych ochotników weszła *in corpore* na dziedziniec.

— Ustawić się w czworobok! — rozkazał pułkownik. Sędzia i podsądni zostali otoczeni.

— Popatrzcie na tego żołnierza! — ryczał pułkownik wskazując szpicrutą na jednorocznego ochotnika. — Przechlał wasz honor jednorocznych ochotników, z których wychowywać się winny kadry porządnych oficerów, wiodących żołnierzy na pole chwały po zwycięstwo. Ale gdzie poprowadziłby żołnierzy taki pijaczyna, jak ten tutaj? Z knajpy do knajpy wiódłby ich chyba. Cały fasunek rumu wychlałby szeregowcom. Czy może pan powiedzieć coś na swoje usprawiedliwienie? Nie może pan. Patrzcie na niego. Nic nie ma do powiedzenia na swoje usprawiedliwienie i jeszcze do tego studiuje w cywilu filologię klasyczną. Prawdziwy klasyczny przypadek.

Pułkownik wymówił te ostatnie wyrazy powoli i z naciskiem, po czym splunął.

— Filolog klasyczny, który zalany łązi po nocy i zrzuca oficerom czapki z głowy. *Mensch!* Jeszcze całe szczęście, że to był tylko taki sobie oficer artylerii.

W słowach tych wyraziła się cała nienawiść 91 pułku do artylerii stojącej w Budziejowicach. Biada artylerzyście, który w nocy wpadł w ręce patrolu piechoty i odwrotnie! Nienawiść była okropna, nieprzejednana, vendetta, krwawa zemsta przekazywana z rocznika na rocznik, ilustrowana z obu stron anegdotami i legendami o tym, jak to piechurzy powrzucali artylerzystów w Wełtawę lub odwrotnie. Jakie bitwy stoczono w „Port Arturze”, „Pod Białą Różą” i w innych licznych lokalach południowo-czeskiej metropolii, przeznaczonych na uciechy i radości.

— Tym niemniej — mówił dalej pułkownik — rzecz taka musi zostać przykładowo ukarana, tego draba należy usunąć ze szkoły jednorocznych ochotników i zniszczyć go moralnie. Dość już mamy w armii takich inteligentów. *Regimentskanzellei!*

Sierżant zbliżył się do pułkownika z papierami i ołówkiem. Był bardzo poważny i skupiony.

Cisza panowała głęboka jak w sądzie, gdy na ławie oskarżonych siedzi morderca, a przewodniczący zaczyna odczytywać wyrok.

Takim samym głosem wyrokującym rzekł pułkownik:

— Jednorocznego ochotnika Marka skazuje się na dwadzieścia i jeden dni *verschärft*, po odbyciu kary zostanie przeniesiony do kuchni do skrobania kartofli.

Zwracając się w stronę jednorocznych ochotników, wydał pułkownik rozkaz odmaszerowania. Słychać było, jak ochotnicy sprawnie tworzą czwórki i oddalają się. Ale pułkownik był niezadowolony i rzekł do kapitana Sagnera, że w ruchach tego oddziału nie ma rytmu i że po obiedzie trzeba z nim przerabiać kroki.

— Kroki maszerującego wojska muszą grzmieć, panie kapitanie. I jeszcze jedno. Byłbym bez mała zapomniął. Niech pan im powie, że cała szkoła jednorocznych ochotników ma pięć dni koszarniaka, żeby żaden z nich nie zapomniął swego byłego kolegi, tego łobuza Marka.

A łobuz Marek stał sobie koło Szwejka i miał minę człowieka zupełnie zadowolonego. Niczego lepszego nie mógł oczekiwać.

Daleko lepiej przecie siedzieć w kuchni i skrobać kartofle czy też modelować pyzy albo ogryzać żeberko niż z gatkami pełnymi strachu szwendać się pod huraganowym ogniem nieprzyjacielskim i wrzeszczeć na całe gardło: „*Einzelabfallen! Bajonett auf!*”

Załatwiwszy rzecz z kapitanem Sagnerem, pułkownik Schröder zatrzymał się przed Szwejkiem i popatrzył na niego bardzo uważnie. Szwejk w tej chwili reprezentował siebie swoją okrągłą uśmiechniętą twarzą, ozdobioną po bokach parą wielkich uszu, sterczących zawiadliwie spod włoczonej na głowę czapki. Całość wywierała wrażenie bezwzględnej spokoju i nieświadomości jakiegokolwiek winy. Jego oczy pytały:

„Czy zrobiłem coś złego, proszę pana? Czy dopuściłem się czegoś niestosownego?”

Rezultat swych obserwacji zawarł pułkownik w jednym pytaniu, z którym zwrócił się do sierżanta:

— Idiota?

— Posłusznie melduję, panie oberst, idiota — odpowiedział za sierżanta Szwejk.

Pułkownik Schröder skinął na adiutanta i odszedł z nim na bok. Potem zawołał na sierżanta i zabrał się do przeglądania papierów Szwejka.

— Aha — rzekł pułkownik Schröder — to jest ten okrzyczany służący porucznika Lukasa, który według jego raportu zginął w Taborze. Jestem zdania, że panowie oficerowie sami powinni wychowywać sobie swoich pucybutów. Gdy pan porucznik wybrał już sobie takiego notorycznego idiotę, to niech się nim kłopotuje sam. Ma dosyć czasu, skoro nie bywa między nami. Bo i pan nie widuje go przecie w naszym towarzystwie, panie kapitanie? A więc. Ma dosyć czasu i może sobie swego służącego wychowywać na człowieka.

Pułkownik Schröder podszedł do Szwejka i patrząc w jego pocziwą, zacną twarz rzekł do niego:

— Trzy dni *verschärft*, wy bydlę idiotyczne, a po odbyciu kary zameldujcie się porucznikowi Lukaszowi.

Szwejk spotkał się więc ponownie z jednorocznym ochotnikiem Markiem w areszcie pułkowym. Porucznik Lukasz nie wybuchnął radością, gdy pułkownik kazał go wezwać do siebie i rzekł do niego:

— Panie poruczniku, przed tygodniem mniej więcej, po przybyciu do pułku, złożył mi pan podanie o przydzielenie panu nowego służącego zamiast tego, który zginął panu w drodze. Ponieważ ten powrócił...

— Panie pułkowniku!... — prosząc jęknął porucznik Lukasz.

— Postanowiłem — mówił pułkownik z naciskiem — wsadzić go na trzy dni do paki, po czym odeślę go do pana.

Porucznik Lukasz, zmiażdżony tą decyzją, wyszedł z kancelarii pułkownika zataczając się jak pijany.

*

W ciągu trzech dni, które Szwejk spędził w towarzystwie jednorocznego ochotnika Marka, było mu bardzo dobrze i wesoło na świecie. Dzień w dzień wieczorem urządzali obaj patriotyczne manifestacje na przyczach.

Najpierw rozlegały się słowa hymnu austriackiego, potem *Prinz Eugen der edle Ritter* i wiele innych pieśni żołnierskich, a gdy przychodził do nich profos, to witali go pieśnią najstosowniejszą:

A nasz stary pan profos
Będzie żył lat sporo,
Dopóki go wszyscy diabli
Do piekła nie zabiorą.
Przyjdą po niego
Z ogromną paradą:
„Pójdźże teraz w ciepłej smole
Posmażyć się, dziadu...”

Nad pryczą jednoroczny ochotnik wyrysował profosa, a pod rysunkiem wypisał tekst starej, znanej piosenki:

Kiedym szedł do Pragi, moja kochana,
Napotkałem w drodze starego Cygana.
Nie był to ci Cygan, jeno profosina,
Uciekajcie, ludzie, od takiego syna.

Podczas zaś gdy obaj drażnili profosa takimi śpiewkami i rysunkami, jak w Sewilli drażnią byków czerwonymi płachtami, porucznik Lukasz ze strachem oczekiwał Szwejka, który lada chwila miał się u niego zameldować.

III. PRZYGODY SZWEJKA W KIRALY HIDZIE

91 pułk translokowano do Brucku nad Litawą — Kiraly Hidy.

Upływał trzeci dzień kary Szwejka, który za trzy godziny miał być wypuszczony z aresztu, gdy właśnie przysła eskorta i razem z jednorocznym ochotnikiem został Szwejk odtransportowany na dworzec kolejowy.

— Już dawno było wiadomo — rzekł w drodze jednoroczny ochotnik — że zostaniemy przeniesieni do Węgier. Tam będą formowane marszbataliony, żołnierze wyćwiczą się w strzelaniu, pobiją się z Madziarami i wesoło pojadą w Karpaty. Tu, do Budziejowic, przybędzie załoga madziarska i szczepy będą się mieszały aż miło. Istnieje taka teoria, że gwałcenie kobiet innej narodowości to najlepszy środek przeciwko degeneracji. To samo robili Szwedzi i Hiszpanie podczas wojny trzydziestoletniej, Francuzi za czasów Napoleona, a teraz w okolicach Budziejowic to samo robić będą Madziarzy nie dopuszczając się nawet zbyt brutalnego gwałcenia. Z czasem wyrówna się wszystko. Chodzi tu o prostą wymianę. Żołnierz czeski prześpi się z Madziarką, a biedna czeska dziewczeczka przytuli się do węgierskiego honweda. Zaś po stuleciach niejednen antropolog łamać będzie głowę, skąd się wzięły na brzegach Malszy mongolskie kości policzkowe u ludu.

— Co do mieszania się różnych szczepów — wtrącił Szwejk — to dzieją się ciekawe rzeczy. W Pradze jest jeden kelner z Murzynów, Krystian, którego ojciec był królem abisyńskim i pokazywał się za pieniądze w Pradze na Sztvanicy w jakimś cyrku. Zakochała się w nim pewna nauczycielka, która pisała wierszyki o pasterzach i strumykach leśnych i drukowała je w czasopiśmie „Lada”, przeznaczonym dla ognisk rodzinnych, więc poszła z nim do hotelu i cudzołożyła, jak stoi w Piśmie świętym, a następnie strasznie się dziwiła, gdy urodził się chłopczyk całkiem biały. No tak, ale po dwóch tygodniach dzieciątko zaczęło czerwienić, a po miesiącu zrobiło się ciemne. Po upływie pół roku chłopczyk był tak czarny jak jego ojciec, król abisyński. Moja nauczycielka poszła ze swoim dzieckiem do kliniki chorób skórnych, żeby jej synka odbarwili, ale tam jej powiedzieli, że ma on na sobie akuratną i rzetelną skórę murzyńską i że nic na to poradzić nie można. Więc jej się od tego wszystkiego pomieszało w głowie i zaczęła listownie rozpytywać się po gazetach, co się robi przeciwko murzyństwu. Dostała się ostatecznie do Katarzynek, a Murzynka zabrano do sierocińca, gdzie wszyscy mieli z niego ogromną uciechę. Ten Murzyn wyuczył się kelnerstwa i chodził po kawiarniach nocnych jako tancerz. Jeszcze dzisiaj rodzą się

po nim czeszy Mulaci z wielkim powroźeniem i dobrze im z tym, bo już nie są tacy kolorowi jak on. Pewien medyk, który był często „Pod Kielichem”, mówił nam, że ta sprawa bynajmniej nie jest taka prosta. Taki mieszaniec płodzi dalej mieszaićów, którzy są już we wszystkim podobni do białych, aż raptem w jakimś tam pokoleniu zjawi się nieoczekiwanie Murzyn. Niech pan sobie wyobrazi, co to za miła niespodzianka. Żeni się pan z miłą panienką okropnie białą i bęc, rodzi panu Murzyna! Jeśli przypadkiem przed dziewięćcioma miesiącami zdarzyło się jej być w jakim „Variété”, gdzie odbywały się walki zapaśnicze, w których brał udział na przykład jakiś Murzyn, to przypuszczam, że w umyśle pańskim zakiełkowałyby nieufność.

— Na sprawę pańskiego Murzyna Krystiana — rzekł jednoroczny ochotnik — trzeba spojrzeć także ze stanowiska wojskowego. Przypuśćmy, że ten Murzyn został wzięty do wojska. Jako prażanin służy w 28 pułku. Słyszał pan już, że pułk 28 przeszedł do Rosjan. Jakże dziwiliby się Rosjanie, gdyby zabrali do niewoli także Murzyna Krystiana! Gazety rosyjskie pisałyby niezawodnie, że Austria wysłała już na front swoje wojska kolonialne, których zresztą nie posiada, że musiała zmobilizować swoje rezerwy murzyńskie.

— Mówili, że Austria ma jakieś kolonie na północy — wtrącił Szwejk. — Jakąś tam Ziemię Cesarza Franciszka Józefa czy coś takiego...

— Tylko bez polityki, moi panowie — rzekł żołnierz z eskorty. — Bardzo ryzykowne mówić dzisiaj o jakiejś ziemi cesarza Franciszka Józefa. Nie wymieniacie nikogo, to będzie lepiej...

— No to popatrzcie na mapę — odezwał się jednoroczny ochotnik — a przekonacie się, że naprawdę istnieje ziemia naszego najmiłościwszego monarchy Franciszka Józefa. Według statystyki jest tam wyłącznie lód, ale rozwożą go po świecie łamacze lodów, należące do praskich lodowni. Ten przemysł lodowy cieszy się na całym świecie wielkim szacunkiem, ponieważ przedsiębiorstwo to jest bardzo korzystne, aczkolwiek trochę niebezpieczne. Największe niebezpieczeństwa trzeba pokonywać przy transporcie lodu z Ziemi Franciszka Józefa przez koło polarne. Nietrudno to sobie wyobrazić.

Żołnierz eskorty mamrotał coś niewyraźnie, a kapral prowadzący eskortę podszedł bliżej i przysłuchiwał się dalszemu wykładowi jednorocznego ochotnika, który z wielką powagą wywodził:

— Ta jedyna kolonia austriacka może dostarczyć lodu wszystkim lodowniom europejskim, jest więc znakomitym czynnikiem polityczno-gospodarczym. Kolonizacja czyni tam oczywiście postępy bardzo słabe, ponieważ koloniści po części nie zgłaszają się wcale, po części zaś marzną. Tym niemniej istnieje nadzieja, że przez uporządkowanie stosunków klimatycznych, czym interesuje się Ministerstwo Handlu, a także Ministerstwo Spraw Zagranicznych, zostaną należycie wyzyskane wielkie płaszczyzny lodowcowe. Przez zbudowanie kilku hoteli przyciągnie się wielkie masy turystów. Tylko że trzeba będzie uporządkować drogi i ścieżki między krami lodowymi i pooznaczać lodowce znakami orientacyjnymi dla turystów. Jedyną przeszkodą są Eskimosi, którzy uniemożliwiają pracę naszym organom miejscowym...

Galgany te Eskimosy, nie chcą się uczyć języka niemieckiego — mówił dalej jednoroczny ochotnik widząc, że kapral przysłuchuje się jego wywodom uważnie. Wojak ten w cywilu był parobkiem, głupi i gburowaty, chciwie pochłaniał wszystko, o czym nie miał najmniejszego pojęcia, a ideałem jego było wierne wystugiwanie się za łyżkę strawy.

— Ministerstwo Oświaty, panie kapralu, zbudowało dla nich kosztem wielkich ofiar szkołę, a przy budowaniu jej zmarło pięć architektów.

— Murarze ocaleli — wtrącił Szwejk — gdyż mogli ogrzać się od zapalonych fajek.

— Nie wszyscy jednak — rzekł jednoroczny ochotnik. — Dwom z nich wydarzyła się niemiła przygoda: zapomnieli ciągnąć i fajki pogasły. Musieli nieboraków zakopać w lodzie. Ale w końcu szkoła jednak została zbudowana z cegieł lodowych i żelazobetonu. Jedno z drugim trzyma się świetnie kupy, ale Eskimosi rozpalili ogień dokoła gmachu używszy do tego drzewa z rozebranych statków handlowych, które zamarzyły w pobliżu. Osiągnęli wszystko, o co im chodziło: lód, na którym szkoła była zbudowana, stopniał i cała budowla razem z kierownikiem i przedstawicielem rządu, który miał asystować przy uroczystym poświęceniu szkoły, zwała się w morze. Usłyszano tylko okrzyk: „*Gott strafe England!*” — wzniesiony przez przedstawiciela rządu, gdy już tkwił po brodzie w wodzie. Teraz poślą tam niezawodnie wojsko, żeby Eskimosów nauczyło moresu. Rzecz prosta,

że walka z nimi będzie bardzo trudna. Najbardziej przeszkadzać będą naszemu wojsku tresowane białe niedźwiedzie.

— Jeszcze tego brakło! — roztropnie zauważył kapral. — I tak już jest za dużo wynalazków wojskowych. Na przykład maski do zatrucia gazami. Naciągniesz sobie taką maskę na głowę i jesteś zatruty, jak nam wykładali w *Unteroffiziersschule*.

— Straszliwy tylko — odezwał się Szwejk. — Żołnierz nie powinien się bać nigdy i niczego. Gdyby w zapale walki wpadł nawet do latryny, to się tylko obliże i dalej pędzi do *gefechtu*. A co do gazów trujących, to każdy łatwo przyzwyczaja się do nich w koszarach, gdy dają groch z kaszą i świeży komiśniak. Ale teraz wynaleźli Rosjanie podobno jakiś specjalny sposób na podoficerów...

— A tak, specjalny prąd elektryczny — uzupełnił słowa Szwejka jednoroczny ochotnik. — Prąd ten łączy się z gwiazdkami na kołnierzu i gwiazdki te wybuchają, ponieważ są z celulozoidu. Dopieroż będzie ofiar!

Chociaż kapral jako parobek miał w cywilu do czynienia przeważnie z wołami, to jednak zrozumiał, że kpią sobie z niego, i oddalił się od kpiarzy na czoło patrolu.

Zresztą zbliżano się już do dworca, gdzie obywatele Budziejowic zebrali się, aby pożegnać swój pułk. W pożegnaniu tym nie było nic urzędowego, ale plac przed dworcem był przepelniony publicznością, wyczekującą na wojsko.

Ciekawość Szwejka skupiła się na szpalerze publiczności. I jak to już zawsze bywa, tak było i tym razem, że porządni żołnierze pozostali na szarym końcu, a ci, których trzeba było prowadzić pod bagnietami, szli pierwsi. Porządni żołnierze zostaną następnie powpychani do wagonów bydłowych, a Szwejk z jednorocznym ochotnikiem pojedą sobie wygodnie wagonem aresztanckim, który bywa przyczepiany tuż za wagonami sztabowymi. W takim wagonie aresztanckim miejsca jest aż nadto.

Szwejk nie mógł się powstrzymać, aby nie krzyknąć do publiczności: „*Na zdar!*”, i nie pomachać czapką. Podziało to tak zaraźliwie na wszystkich, że cały tłum powtarzał głośno jego wołanie, słowa „*Na zdar!*” biegly coraz dalej i grzmiały przed dworcem, a z ust do ust podawano sobie: „Już idą!”

Kapral z eskorty czuł się wprost nieszczęśliwy i wrzasnął na Szwejka, aby zamknął gębę. Ale okrzyk leciał dalej jak wichura. Żandarmi spychali tłum na chodniki, aby zrobić drogę dla eskorty, lecz tłum wołał dalej: „*Na zdar!*”, wymachując czapkami i kapeluszami.

Była to manifestacja jak się patrzy. W hotelu naprzeciwko dworca stały w oknach jakieś dwie panie, powiewały chusteczkami i wołały: „*Heil!*” Oba okrzyki: „*Na zdar!*” i „*Heil!*”, mieszały się z sobą coraz bardziej, ale gdy jakiś entuzjasta skorzystał ze sposobności, aby zawołać: „*Nieder mit den Serben!*” — ktoś podstawił mu zgrabnie nogę, a publiczność podeptała go zdrowo w sztucznym zamieszaniu.

Niby iskra elektryczna z ust do ust leciała wieść:

— Już idą.

Ale na razie szedł tylko Szwejk, przesyłający publiczności dłonią całusy na lewo i na prawo, oraz jednoroczny ochotnik, salutujący z wielką powagą.

Weszli na dworzec i skierowali się ku przeznaczonemu pociągowi wojskowemu, i w tej właśnie chwili orkiestra artylerii, zdeorientowana nieoczekiwaną manifestacją, o mały figiel nie zagrała hymnu państwowego. Na szczęście, bardzo w porę, ukazał się starszy kapelan wojskowy, pater Lacina, z 7 dywizji kawalerii i zaczął robić porządek, chociaż ubrany był po cywilnemu i miał na głowie sztywny, czarny kapelusz, melonik.

Historia jego jest bardzo prosta. Przyjechał wczoraj wieczorem do Budziejowic, on, postrach i pogromca wszystkich jadłodajni oficerskich, nienasycony żarłok i smakosz, i jakby nigdy nic, przyplątał się na oficerski bankiet odjeżdżającego pułku. Jadł, pił za dziesięć i w stanie mniej więcej nietrzeźwym szwendał się po kuchni oficerskiej restauracji, aby wycygnąć od kucharzy jaki smaczny kąsek. Pożerał resztki sosów z knedlami, jak drapieżnik gryzał kości i dobrał się wreszcie w kuchni do rumu, a gdy się go nażłopał więcej, niż trzeba, znowu wrócił na pożegnalny wieczorek, urządzony przez oficerów odjeżdżającego pułku, gdzie spił się jak bela. Miał w tej dziedzinie bardzo bogate doświadczenie, a w 7 dywizji kawalerii oficerowie dopłacali do jego rachunków za picie i jedzenie. Rano strzeliło mu do głowy, że musi robić porządek przy odjeździe pierwszych pociągów z wojskiem, i dlatego szwendał się wzdłuż całego szpaleru publiczności, a na dworcu rzą-

dził i głądził tak natrętnie, że oficerowie kierujący transportem pułku zamknęli się przed nim w kancelarii zawiadowcy stacji.

Ukazał się znów przed dworcem i akurat w porę złapał za batutę kapelmistrza orkiestry strzelców kurkowych, który dawał właśnie znak do zagrania hymnu austriackiego.

— *Halt!* — zawołał. — Jeszcze nie, dopiero jak dam znak. Teraz: spocznij! Ja za chwilę wrócę.

Poszedł na dworzec i ruszył za eskortą, którą zatrzymał energicznym: — *Halt!*...

Dokąd to? — surowo zapytał kaprała, który nie wiedział, co ma robić w nowej sytuacji.

Zamiast niego odpowiedział poczciwie i zacie Szwejk:

— Do Brucku nas wiozą. Jeśli pan feldkurat raczy, to może pojechać razem z nami.

— Żebyś wiedział, że pojedę — oświadczył pater Lacina i obracając się do eskorty dodał: — Kto tam mówi, że nie mogą pojechać z wami? *Vorwärts! Marsch!*

Gdy oberfeldkurat znalazł się w wagonie aresztanckim i wyciągnął się na ławie, poczciwy, jak zawsze, Szwejk zdjął z siebie płaszcz i podłożył go patrowi pod głowę. Kaprał przyglądał się temu okiem wystraszonego, ale jednoroczny ochotnik uspokoił go słowy:

— Oberfeldkuratami należy opiekować się troskliwie.

Pater Lacina, wygodnie wyciągnięty na ławie, zaczął wywodzić:

— *Ragoût* na grzybkach, moi panowie, jest tym lepsze, im więcej jest grzybków, ale grzybki należy przedtem usmażyć z cebulką i dopiero potem dodaje się listek bobkowy i cebulę...

— Cebulę raczył pan feldkurat wymienić już przedtem — odezwał się jednoroczny ochotnik ku wielkiemu przerażeniu kaprała, który w kapelanie widział swego zwierzchnika, chociaż ten zwierzchnik był mocno pijany.

Położenie kaprała było doprawdy rozpaczliwe.

— Tak jest — wtrącił Szwejk — pan oberfeldkurat ma zupełną rację. Im więcej cebuli, tym lepiej wszystko smakuje. W Pakomierzicach był taki piwowar, który do piwa dodawał cebulę, ponieważ cebula, jak mawiał, wzbudza pragnienie. Cebula to w ogóle rzecz bardzo pożyteczna. Pieczona cebula jest dobra nawet na wrzody...

Pater Lacina, leżąc na ławie, mówił tymczasem cicho, jakby w półśnie:

— Wszystko zależy od korzeni, od tego, jakie korzenie się bierze i do czego się bierze, i ile się bierze. Nie wolno nic przepieprzyć, przepaprykować...

Mówił coraz wolniej i coraz ciszej:

— Prze... cy... na... mo... no... wać, prze... cy... try... no... wać, prze... an... giel... sko... zie... lić, prze... musz... kat...

Nie dokończył słowa, zasnął i zaczął chrapać, a gdy przestawał chrapać, to pogwizdywał przez nos.

Kaprał spoglądał na niego zdrętwiały ze strachu, podczas gdy szeregowcy z eskorty uśmiechali się pod wąsem, sadowiąc się na ławach jak najwygodniej.

— Pośni sobie ładnych parę godzin — rzekł Szwejk po chwili — bo schlał się jak nieboskie stworzenie.

Kaprał dawał Szwejkowi znaki, aby milczał, ale Szwejk go uspokajał:

— To wszystko jedno, czy się milczy, czy się mówi. Zmienić tego faktu nie można, bo pan oberfeldkurat spił się zdrowo. Ma rangę kapitana. Każdy z tych feldkuratów, niższej albo wyższej rangi, ma już taki talent od Boga, że schla się przy każdej sposobności, jak nie przymierzając nieme stworzenie. Byłem służącym feldkurata Katza, który też zdrowo umiał pić. To, co ten tutaj wyprawia, jest głupstwem w porównaniu z kawałami tamtego pana. Przepiliśmy do spółki monstrancję, a przepilibyśmy i samego Pana Boga, gdyby nam się udało dać Go komukolwiek w zastaw.

Szwejk podszedł do patra Laciny, obrócił go do ściany i powiedział tonem znawcy:

— Będzie gnął aż do samego Brucku. — Co rzekłszy wrócił na swoje miejsce, odprowadzany spojrzeniem zrozpaczonego kaprała, który w bezradności swojej nie wiedział, co ma robić.

— Zameldować chyba czy jak? — rzekł do siebie.

— O tym nie może być gadania — rzekł jednoroczny ochotnik — bo pan jest *eskortkommandant*. Panu nie wolno oddalać się od nas. A według przepisu nie ma pan też prawa wysłać z meldunkiem nikogo z eskorty, dopóki nie ma pan zastępcy dla takiego posłańca. Jak pan widzi, ten orzech, jaki ma pan do zgryzienia, jest twardy. A jeśli

chce pan, panie kapralu, strzelać na znak, aby tu ktoś przyszedł, to też jest rzeczą niedopuszczalną. Bo nic się tu właściwie nie stało takiego osobliwego, żeby strzelać. Z drugiej znowu strony istnieje przepis, że prócz aresztowanych i eskorty nikogo z postronnych wpuszczają do wagonów nie wolno. Postronnym wejście wzbronione. Nie może pan też marzyć o tym, żeby ślady swego wykroczenia zatrzeć przez wyrzucenie oberfeldkurata cichaczem z wagonu, bo są tacy, którzy widzieli, jak pan go wpuszczał do wagonu, chociaż nie wolno było go wpuszczać. Powiem panu, panie kapral, że degradacja jest murowana.

Kapral tłumaczył się, że do wagonu nikogo nie wpuszczał, bo oberfeldkurat sam się do nich przyłączył, a jest to przecie jego przełożony.

— Tutaj przełożonym jest wyłącznie pan, panie kapralu — z całym naciskiem rzekł jednoroczny ochotnik, a jego słowa potwierdził Szwejk:

— Nawet gdyby sam najjaśniejszy pan chciał przyłączyć się do aresztantów, to pan nie ma prawa pozwolić mu na to. Jest tu tak samo jak na warcie. Podchodzi do wartownika oficer inspekcyjny i prosi grzecznie, żeby mu wartownik skoczył po papierosy, a ten jeszcze pyta, jaki gatunek pan oficer każe przynieść. Za takie rzeczy siedzi się w twierdzy.

Na to kapral zauważył nieśmiało, że Szwejk sam powiedział oberfeldkuratowi, iż może pojechać z nimi.

— Ja, panie kapral, mogę sobie na takie rzeczy pozwolić — odpowiedział Szwejk — ponieważ jestem idiotą, ale po panu nikt by się takich rzeczy nie spodziewał.

— Czy dawno jest pan w służbie czynnej? — zapytał jednoroczny ochotnik jakby od niechcenia.

— Już trzeci rok. Obecnie mam awansować na *zugsführera*.

— No, to postaw pan krzyżyk nad tym awansem — rzekł cynicznie jednoroczny ochotnik. — Mówię panu, że degradacja jest murowana.

— Zresztą wszystko jedno — rzekł Szwejk — czy się padnie w bitwie jako szarża, czy jako szeregowiec. Tyle tylko, że degradowanych wypychają naprzód.

Oberfeldkurat poruszył się na ławie.

— Gnije fest — rzekł Szwejk skontrolowawszy, czy wszystko jest w należyтым porządku. — Śni mu się pewno o jakimś nowym żarciu. Boję się tylko, żeby mu się tu co nie przytrafiło. Mój feldkurat Katz jak się dobrze wstawił, to we śnie ani nie wiedział, kiedy się... Pewnego razu...

I Szwejk zaczął opowiadać o swoich doświadczeniach, jakie poczynił w służbie feldkurata Ottona Katza. Opowiadał tak szczegółowo i interesująco, iż nikt nie zauważył, że pociąg ruszył.

Dopiero oghuszający ryk żołnierzy jadących w ostatnich wagonach, przerwał opowiadanie Szwejka. 12 kompania, w której służyli sami Niemcy z okolic Krumlova z Gór Kasperskich, ryczała:

*Wann ich kumm, wann ich kumm,
Wann ich wiewa, wiewa kumm...*

Jednocześnie z innego wagonu jakiś desperat ryczał w kierunku Budziejowic:

*Und du, mein Schatz,
Bleibst hier.
Holiario, holiario, holo!*

Było to takie straszliwe jodłowanie i porykiwanie, że koledzy musieli siłą odciągnąć śpiewaka od otwartych drzwi wagonu bydłowego.

— Aż mi dziwno — rzekł jednoroczny ochotnik do kaprała — że dotychczas nie pokazała się u nas inspekcja. Według przepisów powinien pan być zameldować komendantowi pociągu na dworcu, a nie zajmować się jakimś pijanym oberfeldkuratem.

Nieszczęśliwy kapral milczał uporczywie i z wyrazem wściekłości spoglądał na słupy telegraficzne, mijane po drodze.

— Na samą myśl o tym, że nie jesteśmy nikomu zameldowani — mówił dalej jednoroczny ochotnik — i że na najbliższej stacji wlezie do nas z pewnością komendant pociągu, burzy się we mnie krew żołnierza. Przecie w taki sposób jesteśmy jak te...

— Cygany — wtrącił Szwejk — albo włóczęgi. Wygląda na to, jakbyśmy się bali światła dziennego i nie chcieli nikomu pokazywać się na oczy, żeby nas nie aresztowali.

— Prócz tego — rzekł jednoroczny ochotnik — na podstawie rozporządzenia z dnia dwudziestego pierwszego listopada roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego dziewiątego, przy transportowaniu aresztantów pociągami należy zachowywać przepisy następujące:

Po pierwsze, wagon aresztancki winien posiadać kraty ochronne. To jest takie jasne jak słońce i wagon nasz kraty przepisane posiada. Siedzimy za doskonałymi kratami. Co do tego, wszystko jest w porządku; po drugie, w uzupełnieniu c. i k. rozporządzenia z dnia dwudziestego pierwszego listopada roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego dziewiątego, każdy wagon aresztancki powinien posiadać wychodek. Jeśli takowego nie ma, to w wagonie znajdować się winno naczynie przykrywane do wykonywania małej i dużej potrzeby aresztantów oraz straży im towarzyszącej. Tutaj właściwie nie może być mowy o wagonie aresztanckim, bo nie ma owego wychodka; znajdujemy się w zwykłym przepierzonym wagonie, oddzieleni od reszty świata. Nie ma tu także owego naczynia krytego, które by...

— Możesz pan robić oknem — rzekł zrozpaczony kapral.

— Pan kapral zapomina — rzekł Szwejk — że żadnemu aresztantowi nie wolno zbliżać się do okna.

— Po trzecie — wywodził dalej jednoroczny ochotnik — powinno znajdować się tu naczynie z wodą do picia. I o tym także pan nie pomyślał. A propos! Czy wiesz pan, na której stacji rozdawany będzie menaż? Nie wiesz pan? Naturalnie, wiedziałem, że pan się nie poinformował.

— Więc widzi pan, panie kapral — odezwał się Szwejk — że wożenie aresztantów to nie żaden szpas. Nas trzeba otaczać troskliwą opieką. My nie jesteśmy takimi zwyczajnymi żołnierzami, którzy o wszystko muszą kłopotać się sami. Nam trzeba przynosić wszystko, wszystko pod sam nos, ponieważ są na to takie rozporządzenia i paragrafy, których każdy musi się trzymać, bo inaczej nie byłoby porządku. „Człowiek aresztowany to taka bezradna istota jak dzieciątko w poduszce, mawiał jeden mój znajomy włóczykij, o niego trzeba się kłopotać, żeby się nie zaziębił, żeby się nie irytował, żeby był zadowolony ze swego losu, żeby nieboraczkowi nikt krzywdy nie czynił”.

Zresztą — rzekł w końcu Szwejk spoglądając przyjaźnie na kaprała — musi pan jeszcze pamiętać o tym, że jak będzie jedenasta, to mi pan powie.

Kapral spojrział pytająco na Szwejka.

— Pan chce niezawodnie zapytać, panie kapral, dlaczego ma mi pan powiedzieć, gdy będzie godzina jedenasta. Otóż od godziny jedenastej będę przynależny do wagonu bydlęcego, panie kapral — z całym naciskiem mówił Szwejk i uroczyście prawił dalej: — Przy *regimentsraportie* zostałem skazany na trzy dni. O godzinie jedenastej zacząłem odsiadywać karę i dzisiaj o jedenastej muszę zostać zwolniony. O jedenastej nie mam już tu co robić. Żadnego żołnierza nie wolno trzymać w pace dłużej, niż mu się należy, bo w wojsku trzeba zachowywać porządek dyscyplinę, panie kapral.

Zrozpaczony kapral długo nie mógł oprzytomnieć po tym nowym ciosie, aż wreszcie wpadł na koncept, że nie dostał żadnych papierów.

— Szanowny panie kapral — odezwał się jednoroczny ochotnik — papiery nie latają same za dowódcami eskorty. Gdy góra nie chce przyjść do Mahometa, to Mahomet musi pofatygować się do góry, czyli że dowódca eskorty sam winien starać się o papiery. Oczywiście, że w ten sposób sytuacja pańska komplikuje się ponownie. Stanowczo nie może pan w areszcie przetrzymywać nikogo, kto ma być wypuszczony na wolność. Z drugiej znowu strony nikomu nie wolno opuszczać wagonu aresztanckiego. Doprawdy, że nie wiem, jak pan wybrnie z takiej fatalnej sytuacji. Im dalej, tym lepiej. Mamy już pół do jedenastej.

Jednoroczny ochotnik spojrział na zegarek, a chowając go do kieszeni, rzekł:

— Ciekaw jestem, co pan zrobi za pół godziny?

— Za pół godziny powinienem być w wagonie bydlęcym — marzycielsko powtórzył Szwejk, po których to słowach kapral zmieszany i zgębiony zwrócił się do niego pojednawczo:

— Sądzę, że nie będzie to dla pana żadną przykrością jechać tym wagonem, który jest przecie daleko wygodniejszy od wagonu bydlęcego. Przypuszczam...

Przerwał mu głos oberfeldkurata, który przez sen wołał:

— Więcej sosu!

— Śpij, śpij, bratku — rzekł poczciwy Szwejk podsuwając mu pod głowę połę płaszcz, która zsunęła się na podłogę — i niech ci się śni o dobrym żarciu.

Zaś jednoroczny ochotnik zaczął śpiewać:

Śpij, dzieciątko, już, siwe oczka zmruż.

Dobry Pan Bóg będzie blisko,

Aniołkowie nad kołyską, śpij, dzieciątko, już...

Zrozpaczony kapral nie reagował już na nic. Tępym okiem spoglądał na świat za oknem wagonu i pogodził się zupełnie z anarchią panującą w wagonie aresztanckim.

Za przepierzeniem żołnierze z eskorty grali w „salonowca” i na wystawione zady spadały raz za razem młasczące i rzetelne klapsy. Gdy kapral spojrział w tamtą stronę, oko jego spotkało się z wystawionym zadem szeregowca. Kapral westchnął i wyglądał dalej oknem.

Jednoroczny ochotnik rozmyślał o czymś przez chwilę, a potem zwrócił się do zgnębionego kaprala z pytaniem:

— Czy zna pan czasopismo „Świat Zwierząt”?

— Czasopismo to prenumerował niegdyś nasz wiejski karczmarz — odpowiedział kapral z dostrzegalną radością, że rozmowa przechodzi na inny temat. — Lubił ogromnie rasowe kozy, a wszystkie mu pozdychały. Dlatego prosił redakcję tego czasopisma o poradę.

— Drogi kolego — rzekł jednoroczny ochotnik — to, o czym teraz mówić będę, wykaże panu z całą możliwą dokładnością, że nikt nie jest wolny od pomyłek i błędów! Jestem przekonany, że i wy, panowie, którzy gracie w „salonowca”, przerwiecie tę piękną grę, bo to, co mam do opowiedzenia, będzie interesujące i dlatego między innymi, iż wielu fachowych wyrażenń wcale nie zrozumiecie. Opowiem wam rzeczy ciekawe o „Świecie Zwierząt”, abyśmy zapomnieli o troskach i kłopotach wojny.

W jaki sposób stałem się niegdyś redaktorem „Świata Zwierząt”, czasopisma wysoce interesującego, tego sam powiedzieć nie umiem. Było to dla mnie zagadką nierozwiązalną aż do chwili, w której doszedłem do wniosku, iż mogłem być stać się nim jedynie w stanie całkowicie niepczytelnym. Do stanu takiego doprowadziła mnie przyjaźń i życzliwość dla kolegi Hajka, który dość długo redagował to czasopismo bardzo przyzwoicie, ale zakochał się w córce właściciela tego czasopisma, pana Fuchsa, który wywalił go z miejsca i jeszcze zażądał, by Hajek postarał się mu o porządnego redaktora.

Jak panowie widzicie, były onego czasu zgoła dziwne stosunki pracownicze.

Właściciel czasopisma, któremu przedstawił mnie kolega Hajek, przyjął mnie bardzo grzecznie i zapytał, czy mam jakie takie wiadomości o zwierzętach, i bardzo był zadowolony z mojej odpowiedzi, iż zwierzęta bardzo szanuję i widzę w nich ogniwo przechodnie ku człowiekowi, a osobliwie ucieszył się, że ze stanowiska ochrony zwierząt czynię wszystko, co tylko można, aby zwierzęta były zadowolone. Każde zwierzę pragnie przede wszystkim tylko tego, aby było uśmiercone możliwie bezboleśnie, zanim człowiek przystąpi do zjedzenia tegoż zwierzęcia.

Karpia już od urodzenia prześladowuje natrętna myśl, że to bardzo nieładnie ze strony kucharki, gdy mu za życia rozpruwa brzuch. Zwyczaj ścinania koguta to początek szlachetnych usiłowań stowarzyszeń ochrony zwierząt, aby zarzynanie drobiu w ogóle nie było wykonywane ręką niefachową.

Poskręcane postaci piskorzów świadczą o tym, iż zwierzęta te umierając protestują przeciw smażeniu ich na margarynie żywcem. Co do indyka...

Tak przemawiałem do tego pana, dopóki nie przerwał mi zapytaniem, czy znam się na drobiu, psach, królikach, pszczołach i na rozmaitościach z życia zwierząt, czy potrafię wycinać obrazki z obcych czasopism dla reprodukowania i tłumaczyć fachowe artykuły o zwierzętach z czasopism zagranicznych. Dalej, czy orientuję się w dziele Brehma i czy umiałbym pisywać razem z nim, to jest z panem Fuchsem, artykuły wstępne o życiu zwierząt z uwzględnieniem świąt katolickich, pogody i pór roku, wyścigów i łowów, tresury

psów policyjnych, uroczystości narodowych i kościelnych. Jednym słowem, chodziło mu o to, abym się we wszystkim należycie orientował i abym umiał wyzyskać wszystko jako materiał do artykułów wstępnych.

Powiedziałem, że o racjonalnym redagowaniu takiego czasopisma, jak „Świat Zwierząt”, myślałem już bardzo dużo, że więc wszystkie rubryki i punkty będę umiał należycie wypełnić, bo materiał opanowuję całkowicie. Dodałem jeszcze, że usiłowaniem moim będzie podniesienie czasopisma na niebywałe wyżyny, że zorganizuję je i w treści, i w formie.

Obiecałem wprowadzić nowe działy, między innymi: „Wesoły kącik zwierząt”, „Zwierzęta o zwierzętach”, a w nich uwzględnić należycie sytuację polityczną.

Postanowiłem dawać czytelnikom rzeczy interesujące, jedną niespodziankę za drugą, żeby ich zupełnie zdezorientować mnóstwem materiału i zwierząt. Rubryki: „Z dnia zwierząt”, „Nowy program rozwiązania kwestii bydła gospodarczego” i „Ruch w świecie nierogacizny”, będą podawane na zmianę.

Znowu mi przerwał i rzekł, że wystarczy mu to zupełnie i że jeżeli uda mi się spełnić choć połowę z tego, co obiecuję, to ofiaruje mi parę rasowych kur karłowatych z ostatniej berlińskiej wystawy drobiu. Kury te dostały pierwszą nagrodę, a ich właściciel został odznaczony złotym medalem za wyborny dobór tej parki.

Śmiało rzec mogę, że pracowałem uczciwie i realizowałem w czasopiśmie swój program rządowy, jak dalece siły moje starczały. Dodam nawet, iż niekiedy spostrzegalem, że artykuły moje przekraczają moje zdolności.

Pragnąc dać czytelnikom coś zupełnie nowego, wykombinowałem nowe zwierzęta.

Zdawałem sobie sprawę z tego faktu, że na przykład słoń, tygrys, lew, małpa, kret, koń, prosię itp. to zwierzęta znane bardzo dobrze każdemu czytelnikowi „Świata Zwierząt”.

Trzeba więc poruszyć czytelników czymś zgoła nowym, niebywałymi odkryciami i dlatego zrobiłem próbę z wielorybem sybrozycyckim. Nowy ten gatunek wieloryba nie przekraczał rozmiarami dorsza i miał pęcherz napełniony kwasem mrówkowym i osobną kloakę, z której wypuszczał narkotyzujący kwas na małe rybki, gdy chciał je pożreć. Kwas ten został nazwany kwasem wielorybim przez pewnego uczonego angielskiego, ale już nie pamiętam, jak tego uczonego nazwałem. Tłuszcz wielorybi znany był wszystkim aż nadto dobrze, ale nowy kwas wzbudził zainteresowanie kilku czytelników, którzy dopytywali się o firmę wyrabiającą taki kwas.

Trzeba dodać, że czytelnicy „Świata Zwierząt” są ludźmi bardzo ciekawymi.

Niebawem po wielorybie sybrozycyckim odkryłem szereg innych zwierząt. Wymieniam między innymi: bałagulę chytrego, ssaka z gatunku nabierców, wołu jadalnego, proaicę krowy, wymoczka sepiowego, którego włączyłem do gatunku szczurów wędrownych.

Co dzień przybywały jakieś nowe zwierzęta. Mnie samego dziwiło wielkie powodzenie w tej dziedzinie. Nigdy przedtem nie pomyślałem, że zachodzi tak wielka potrzeba uzupełnienia zwierząt i że Brehm opuścił ich tyle w swoim dziele *Życie zwierząt*. Czy na przykład wiedział Brehm i jego następcy cośkolwiek o moim nietoperzu islandzkim, nietoperzu dalekim, o moim kocie domowym z wierzchołka góry Kilimandżaro, nazywanym „paczuchą jelenią, drażliwą”.

Albo czy uczeni wiedzieli coś niecoś o pchle inżyniera Khuna, którą odkryłem w bursztynie, a która była zupełnie ślepa, ponieważ pasożytowała na podziemnym i przedhistorycznym krecie, także ślepym, a to dlatego, że prababka jego skoligaciła się, jak pisałem, ze ślepym macaratem jaskiniowym z Jaskini Postojeńskiej, która w owych czasach sięgała aż do wybrzeży dzisiejszego Morza Bałtyckiego?

Na tle tego drobnego wydarzenia rozwinęła się wielka polemika między „Czasem” a „Czechem”, ponieważ „Czech”, przedrukowując mój artykuł o pchle przeze mnie odkrytej, dodał od siebie: „Wszystko, co Bóg czyni, jest dobre”. Oczywiście, że „Czas” podszedł do całej sprawy z właściwym sobie realizmem i starł na proch całą moją pchłę razem z wielebnym „Czechem” i od tego czasu zaczęło mnie opuszczać szczęście wynalazcy i odkrywcy nowych stworzeń. Prenumeratory „Świata Zwierząt” zaczęli się niepokoić.

Powodem tego zaniepokojenia były różne moje wiadomości z dziedziny pszczelnictwa i hodowli drobiu, w których rozwijałem nowe teorie. Wywołały one istny popłoch, ponie-

waż po moich prostych radach trafił szlag znanego pszczelarza, pana Pazourka, a pszczelnictwo na Szumawie i Podkarkonoszu uległo zagładzie. Na drób zwała się zaraza generalna: zdychało wszystko. Prenumeratory pisywali do mnie listy z pogrozkami i odsyłali czasopismo.

Przerzuciłem się na ptaki polne i leśne i jeszcze dzisiaj pamiętam szczegóły mej afery z redaktorem „Przeglądu Wiejskiego”, klerykalnym posłem i dyrektorem, Józefem M. Kadlczakiem.

Z czasopisma angielskiego „Country Life” wyciąłem obrazek jakiegoś ptaszka siedzącego na leszczynie. Nazwałem go orzechówką, tak samo, jak byłbym nazwał ptaszka siedzącego na jałowcu — jałowcówką albo nawet jałówką.

I masz tobie! Pan Kadlczak przysłał do mnie zwyczajną pocztówkę, w której zaatakował mnie, że ten ptak to sójka, a nie żadna orzechówka, i że nazwa moja to kiepski przekład niemieckiej nazwy *Eichelhäber*.

Napisałem list do niego, w którym to liście wyłożyłem mu całą teorię o orzechówce przeplatając zdania licznymi inwektywami i zmyślonymi zdaniami z dzieła Brehma.

Poseł Kadlczak odpowiedział w „Przeglądzie Wiejskim” artykułem wstępnym.

Mój wydawca, pan Fuchs, siedział, jak zwykle, w kawiarni i czytał gazety prowincjonalne, ponieważ ostatnimi czasy bardzo dużo pisywano o moich interesujących artykułach zamieszczanych w „Świecie Zwierząt”. Kiedym podszedł do niego, wskazał mi bez słowa „Przegląd Wiejski” leżący na stole i spojrzał na mnie swymi smutnymi oczyma. Ostatnimi czasy oczy jego miały stale wyraz smutny.

Czytałem na głos przed całą publicznością kawiarnianą:

„Szanowna Redakcjo!

Zwracałem już uwagę, że wasz »Świat Zwierząt« wprowadza terminologię niezwykłą i nieuzasadnioną, że nie troszczy się o czystość języka czeskiego i zmyśla różne nowe zwierzęta. Jako przykład przytoczyłem, że zamiast powszechnie używanej i starodawnej nazwy »sójka«, co ma niezawodnie uzasadnienie w tłumaczeniu z niemieckiego *Eichelhäber*, redaktor używa nazwy »orzechówka«.

Sójka — powtórzył za mną zrozpaczony właściciel czasopisma.

Spokojnie czytałem dalej:

„Prócz tego od redaktora otrzymałem list wyjątkowo ordynarny, pełen osobistych napaści i grubiaństw, w którym to liście zostałem karygodnie nazwany ignoranckim bydlakiem, co zasługuje na doraźną naganę. Tak nie odpowiada się na rzeczowe uwagi w polemice toczonej przez ludzi przyzwolonych. Pragnąłbym tylko wiedzieć, który z nas obu jest większym bydlakiem. Prawda, że nie należało może wszczynać polemiki na pocztówce, ale napisać list, lecz z braku czasu nie zwróciłem uwagi na ten drobiazg, obecnie wszakże po ordynarnej napaści redaktora »Świata Zwierząt« stawiam go pod pręgierz opinii publicznej.

Pan redaktor myli się ogromnie, przypuszczając, że jestem niedouczone osłem, który nawet pojęcia nie ma o tym, jak się który ptak nazywa. Ornitologię uprawiam już od szeregu lat, i to nie po książkowemu, ale przez osobiste obserwowanie przyrody, bo w klatce mam więcej ptaków, niż redaktor »Świata Zwierząt« widział ich w ciągu całego swego życia, będąc niezawodnie stałym gościem praskich szynków i spelunek.

Atoli sprawy te są uboczne, aczkolwiek nie zaszkodziłoby takiemu redaktorowi, aby się najpierw przekonał, kogo wyzywa od bydlaków, zanim sięgnie po pióro i zacznie pisać takie grubiaństwa. Nie trzeba lekceważyć czytelników, choćby nawet mieszkali na Morawach we Frydlandzie pod Mistkiem, gdzie przed pojawieniem się tego artykułu też prenumerowano »Świat Zwierząt«.

Nie chodzi tu zresztą o polemikę osobistą z pierwszym lepszym idiotą, lecz o sprawę ogólną, i dlatego jeszcze raz powtarzam, że zmyślanie nazw

podług języków obcych jest niedopuszczalne, kiedy mamy piękne słowo ojczyste, znane powszechnie: »sójka«.

— Tak jest, sójka — jeszcze smutniejszym głosem przemówił mój pracodawca. Czytam wszakże spokojnie dalej i nie pozwalam sobie przerywać:

„Rzecz prosta, że takie wycieczki osobiste są gałganiem, gdy się ich dopuszczają niefachowcy i brutalnie. Któż bowiem kiedykolwiek mówił o jakiejś tam orzechówce? W dziele *Nasze ptaki* na stronie sto czterdziestej i ósmej jest nazwa łacińska: *Ganulus glandarius B. A.* I to jest właśnie mój ptak: sójka.

Redaktor »Świata Zwierząt« przyzna chyba, że lepiej znam swego ptaka, niż znać go może niefachowiec. Orzechówka nazywa się według dra Bayera *Mucifraga carycates B.*, a ta litera nie znaczy bynajmniej, jak pan redaktor raczył do mnie napisać, iż jest to początkowa litera słowa bałwan. Czescy ornitologowie znają w ogóle tylko sówkę zwyczajną, a nie jakąś tam orzechówkę, zmyśloną właśnie przez tego pana, którego można by określić słowem zachynającym się na »b«, według jego własnej teorii. Jest to lobuzerska napaść osobista, która w niczym nie zmienia istoty rzeczy.

Sójka pozostanie sówką, choćby redaktor »Świata Zwierząt« z tego wszystkiego zesrał się w portki. Mamy tu jedynie dowód, jak lekkomyślnie pisuje się niekiedy, chociaż i on powołuje się na Brehma, czyniąc to oczywiście bardzo wulgarnie. Ten brutal pisze, że sójka należy do podgatunku krokodylowatych i powołuje się na stronie czterysta pięćdziesiąt dwa, chociaż na tej stronie jest mowa o srokoszu zwyczajnym (*Lanius minor L.*). I jeszcze ten ignorant, że tak go delikatnie nazwę, powołuje się ponownie na Brehma, że sójka należy do grupy piętnastej, a tymczasem krukowate Brehma zalicza do siedemnastej, należą do niej kruki i kawki. Taki jest ordynarny, że i mnie nazwał gawronem (*colacus*) z wytartym dziobem, wroną niebieską, podgatunkiem srok cymbałowatych, aczkolwiek na wspomnianej stronie jest mowa o sówkach gajówkach i o srokokach pstrych...”

— O sówkach gajówkach — westchnął mój wydawca łapiąc się za głowę — ja sam doczytałem do końca. Niech pan da.

Wystraszyłem się słysząc jego zachrypły głos, gdy czytał dalej:

„Drozd, czyli kos turecki, będzie i nadal w języku naszym nazywany drozdem, a kwiczoł pozostanie zawsze kwiczołem...”

— Co do kwiczoła — wtrąciłem — to należy nazywać go jałowczykiem albo jałowczką, proszę pana, ponieważ żywi się jałowcem.

Pan Fuchs rzucił gazetę na stół i włożył pod bilard, skąd głosem zachrypłym wykrzykiwał:

— *Turdus* — drozd. Nie sójka — ryczał spod bilardu — ale orzechówka! Będę gryzł, szanowni panowie!

Wyciągnięto go spod bilardu i na trzeci dzień skonał, otoczony rodziną, na gripę mózgową.

Ostatnie jego słowa, gdy odzyskał na chwilę świadomość, były następujące:

„Nie chodzi tu o moją osobę, ale o pomyślność ogółu. Na tej podstawie raczy pan przyjąć moje zdanie tak spokojnie, jak...” — i czknął.

Jednoroczny ochotnik milczał przez chwilę, a potem rzekł z jadowitą ironią do kaprała:

— Chciałem przez to tylko powiedzieć, że każdy człowiek może się znaleźć w ciężkiej sytuacji i dopuścić do błędów.

Na ogół kaprał zrozumiał z tego wszystkiego tylko tyle, że jest człowiekiem błądzącym. Toteż odwrócił się ku oknu i okiem pośepnym spoglądał na krajobraz.

Nieco żywsze zainteresowanie wzbudziła opowieść jednorocznego ochotnika w Szwecji. Szeregowcy z eskorty spoglądali po sobie głupawymi, wytrzeszczonymi oczami.

Szwajk zaczął mówić:

— Na tym świecie nic się nie ukryje i wszystko się wyda. Jakeście wszyscy słyszeli, nawet taka idiotyczna sójka nie jest orzechówką. Rzecz to ogromnie interesująca, że w ogóle da się ktoś nabrać na takie kawały. Prawda, że zmyślać nowe zwierzęta to rzecz trudna, ale jeszcze trudniejsza pokazywać je ludziom. Był sobie przed laty w Pradze niejaki Mestek, który znalazł morską dziewczę, czyli syrenę, i pokazywał ją za pieniądze w lokalu przy ulicy Havliczka na Królewskich Vinohradach przez parawan. W parawanie była dziura i każdy mógł widzieć przez tę dziurę najzwyczajniejszą kanapę, a na niej tarzała się w półmroku jakaś zwyczajna kobieta z Žižkova. Nogi miała omotane zieloną gazą, co miało przedstawiać ogon rybi, zaś włosy miała pomalowane na zielono, a na dłoniach miała pletwy z tekturek też na zielono pomalowane. Do krzyża przywiązali jej jakieś pletwy czy co. Młodzieży do lat szesnastu wstęp był zakazany, ale za to wszyscy, co już mieli lat szesnaście i pieniądze na bilet, bardzo byli zadowoleni, że ta morska dziewczyna ma bardzo szeroki zad, na którym był napis: „Do widzenia!” Co do piersi, to inna sprawa, bo spływały jej na pępek jak stara sforsowana guma. O godzinie siódmej wieczorem pan Mestek zamykał panoramę i mówił: „Dziewico morska, możesz iść do domu”. Więc ona się przebierała w inne ubranie, a o godzinie dziesiątej można było spotkać ją na ulicy Taborskiej i usłyszeć, jak po cichu zaczepiała każdego napotkanego mężczyznę: „Panie cacany, niech pan się pofatyguje ze mną”. Ponieważ nie miała książeczki w porządku, więc przy jakiejś tam okazji capnęli ją i pan Draszner z policji wsadził ją do ula. Znikła morska dziewczyna i pan Mestek nie miał już nic do pokazywania za pieniądze.

Oberfeldkurat spadł tymczasem z ławki i spał dalej na podłodze. Kapral spoglądał na niego przez chwilę zgłupiałymi oczami, a potem bez niczyjej pomocy dźwigał go i układał z powrotem na ławie. Widać było, że kapral stracił wszelki autorytet.

— Mógłby mi ktoś pomóc chyba czy nie? — rzekł cichym i zrezygnowanym głosem, ale szeregowcy eskorty spoglądali po sobie i ani jeden się nie ruszył.

— Niechby sobiegnił na podłodze — rzekł Szwejk. — Ja też miałem swego feldkurata i nie przeszkadzałem mu spać, gdy się czasem zawziął. Raz zostawiłem go na noc w wychodku, innym razem wdrapał się na komodę, sypiał czasem w nieckach, i to jeszcze w obcym domu. Jeden Pan Bóg wie, gdzie on nie sypiał.

Kapral stał się raptem bardzo energiczny i zdecydowany. Chciał pokazać, że on rządzi w wagonie, i dlatego rzekł szorstko:

— Zamknij pan gębę i nie gładź od rzeczy. Wszystkie pucybuty za dużo gadają. I wciskają się wszędzie jak te pluskwy.

— Ma się wiedzieć, że pucybut to pucybut, ale kapral to jak sam Pan Bóg, panie kapralu — odpowiedział Szwejk zachowując równowagę ducha niby filozof, który na całym świecie chce zaprowadzić spokój i puszcza się przy tym na bardzo ryzykowną polemikę. — Pan kapral to macierz miłująca i życzliwa.

— Panie Boże — zawołał jednoroczny ochotnik składając ręce jak do modlitwy — napełnij serca nasze miłością dla wszelkiego kapralstwa, abyśmy na nie spoglądali bez obrzydzenia. I niechaj panuje pokój w tej dziurze aresztanckiej na szynach!

Kapral zaczerwienił się i krzyknął:

— Wypraszam sobie wszelkie uwagi, panie jednoroczny! Zrozumiano?

— Pan kapral przecie niczemu nie winien — mówił dalej tonem pojednawczym jednoroczny ochotnik. — Są przecie na świecie takie stworzenia, którym przyroda odmówiła wszelkiej inteligencji. Przecież słyszał pan już niejedno opowiadanie o głupocie ludzkiej. Dla pana byłoby lepiej, gdyby pan się urodził jako inny gatunek ssaka i nie nosił tej głupiej nazwy człowieka, i jeszcze do tego kaprala. Jest pan w błędzie, jeśli pan sobie wyobraża, że jest stworzeniem najdoskonalszym i najbardziej rozwiniętym. Jak panu odprują gwiazdki, to będzie pan zerem, masowo rozstrzeliwanym po wszystkich rowach strzeleckich i wszystkich frontach, i co najważniejsze, nikt się tym nie przejmie. Jeśli przyszyją panu jeszcze jedną gwiazdkę i zrobią z pana stworzenie, które nazywa się fenrych, to i tak jeszcze nie wszystko będzie jasne. Duchowy horyzont pański zacieśni się jeszcze bardziej, a gdy na jednym z pobojowisk złożysz pan swoje gnaty, skarłale pod względem kulturalnym, to w całej Europie nikt pana oplakiwać nie będzie.

— Każę pana zamknąć! — wrzasnął zrozpaczony kapral.

Jednoroczny ochotnik roześmiał się:

— Pan przypuszcza, jak mi się, zdaje, że można kazać mnie aresztować za to, że wymyślałem na pana. Oczywiście, kłamałby pan, ponieważ pański rozwój duchowy w ogóle niedostępny jest dla jakichkolwiek obraźliwych słów, a prócz tego założę się z panem, o co pan chce, że z całej naszej rozmowy nie zapamiętał pan zgoła nic. Gdybym powiedział panu, że pan jest embrion, to zapomni pan o tym nie tylko przed przybyciem naszego pociągu na najbliższą stację, ale przed mignięciem najbliższego słupa telegraficznego. Pan jest zamarym zwojem mózgowym. W ogóle nie mogę sobie wyobrazić, aby pan zdołał jako tako zwięźle powtórzyć to, co tu mówiłem. Poza tym może pan zapytać kogokolwiek z obecnych, czy w słowach moich była jakaś najdrobniejsza obraza czy też przytyk do pańskiego horyzontu umysłowego.

— Oczywiście — potwierdził Szwejk — nikt nie rzekł tu panu ani jednego słowa, które mógłby pan sobie niewłaściwie tłumaczyć. Zawsze jest w tym coś dziwnego, gdy ktoś czuje się obrażony. Pewnego razu siedziałem w nocnej kawiarni „Tunel” i prowadziliśmy żywą rozmowę o orangutangach. Siedział tam jakiś marynarz i zaczął wywodzić, że takiego orangutanga trudno odróżnić od niejednego brodatego obywatela, ponieważ i ta małpa też ma pysk zarośnięty kudłami jak... „Jak, powiada, na przykład tamten pan przy trzecim stoliku”. Obejrzelśmy się na brodatego pana, a ten pan wstał, podszedł do marynarza i dał mu w pysk, a znowuż tamten rozwalił mu głowę butelką od piwa. Brodaty pan zwał się na podłogę, a z marynarzem pożegnaliśmy się, bo zaraz poszedł sobie widząc, że gość leży jak zabity. Potem zabraliśmy się do cucenia tego pana, ale nie powinniśmy byli czynić tego, gdyż natychmiast po ocuceniu wezwał policję, a policja odprowadziła nas Bogu ducha winnych do komisariatu. I ciągle powtarzał w kółko, że traktowaliśmy go jako orangutanga i że o niczym nie mówiliśmy, tylko o nim. Uparł się i nie chciał słuchać żadnych wyjaśnień. My mu powiadamy, że nie jest orangutangiem, a on powiada, że jest, bo słyszał dobrze. Więc prosiliśmy pana komisarza, żeby mu tę rzecz wytłumaczył. Pan komisarz tłumaczył mu bardzo grzecznie, co i jak, ale i to na nic się nie zdało. Powiedział panu komisarzowi, że się na tych rzeczach nie zna, że widocznie zwąchał się z nami. Więc pan komisarz kazał go wsadzić do ula, żeby otrzeźwiał, a my nie mogliśmy już wrócić do „Tunelu”, ponieważ nas także wsadzili za kratę. Widzi pan sam, panie kapral, co może wyniknąć z marnego nieporozumienia, które nawet gadania niewarte. W Okrouhlicach był znowuż jeden obywatel, który obraził się, gdy ktoś w Niemieckim Brodzie powiedział na niego „tygrysowata gadzino”. Dużo jest takich słów, za które kary nie ma. Na przykład, gdybym rzekł, że pan jest magnolia, czy mógłby się pan o to gniewać?

Kapral ryknął. Nie tyle ryknął, co zawył. Gniew, wściekłość, rozpacz, wszystko to złączyło się w jeden potężny ton, rozbrzmiewający przy akompaniamencie chrapania i poswistywania śpiącego oberfeldkurata.

Po tym wybuchu kapral popadł w depresję. Usiadł na ławce, a jego wodniste oczy, pozbawione wszelkiego wyrazu, zapatrzyły się na dalekie lasy i góry.

— Panie kapralu — rzekł jednoroczny ochotnik — gdy obserwuję pana, zapatrzonego na wysokie góry i szumiące gaje, przypomina mi się postać Dantego. Takie samo oblicze poety, męża o sercu delikatnym i duchu subtelnym, wrażliwym na wszystko, co piękne i wzniosłe. Proszę pana, niech pan się nie rusza! Tak panu w tej zadumie do twarzy. Z jakimże uduchowieniem wytrzeszcza pan oczy na krajobraz, unikając wszelkiej pozy i afektacji. Jestem pewien, iż myśli pan o tym, jak pięknie będzie tu na wiosnę, gdy zamiast pustki dzisiejszej zazielenięją i rozkwieć się kobierce łąk rozległych...

— Po których to kobiercach płynie szemrzący strumyczek — wtrącił Szwejk. — I zdaje mi się, że nad tym strumyczkiem siedzi pan kapral, ślini ołówek i pisze wierszyki do „Małego Czytelnika”.

Kapral stał zobojętniały na wszystko, a tymczasem jednoroczny ochotnik dowodził z całą pewnością, że widział głowę kaprała wśród wystawionych prac pewnego rzeźbiarza.

— Przepraszam pana kaprala, czy nie pozował pan rzeźbiarzowi Sztursowi?

Kapral spojrział na jednorocznego ochotnika ze smutkiem i odpowiedział:

— Nie.

Jednoroczny ochotnik zamilkł i wyciągnął się na ławce.

Szeregowcy eskorty grali w karty ze Szwejkem, zrozpaczony kapral kibicował i nawet pozwolił sobie zaznaczyć, że Szwejk popełnił błąd wychodząc w asa winnego. Nie należało przebijając, a siódemką wzięłaby ostatnią lewę.

— Dawniej po szynkach bywały takie ładne napisy przeciw kibicom — mówił Szwejk. — Zapamiętałem sobie taki jeden napis. „Stul, kibicu, paszczę, bo ci w nią naszczę”.

I pociąg wojskowy wjeżdżał na stację, na której inspekcja wojskowa miała przeglądać wagony. Pociąg zatrzymał się.

— Naturalnie — rzekł nieubłagany jednoroczny ochotnik, wymownie spoglądając na kaprała — inspekcja depcze nam po piętach...

Do wagonu istotnie wkroczyła inspekcja.

*

Dowódcą pociągu wojskowego był oficer rezerwy doktor Mraz, wyznaczony przez sztab.

Do takich głupich czynności wyznaczano zawsze oficerów rezerwy. Doktor Mraz zgłupiał z tego wszystkiego. Ciągłe nie mógł doliczyć się jednego wagonu, aczkolwiek był w cywilu profesorem matematyki w gimnazjum realnym. Prócz tego liczebny stan wojska meldowany na ostatniej stacji nie zgadzał się z liczbami podanymi po zawagonowaniu pułku na stacji w Budziejowicach. Wydawało mu się przy przeglądaniu papierów, że ma o dwie kuchnie polowe więcej, niż mieć powinien. Po krzyżach przeszły mu jakieś dziwne dreszczyki, gdy stwierdził, że konie rozmnożyły mu się w drodze, diabli wiedzą jakim sposobem. Natomiast w żaden sposób nie mógł się doszukać dwóch kadetów, którzy gdzieś się zapodzieli. W kancelarii pułkowej w jednym z pierwszych wagonów szukano bezustannie jakiejś maszyny do pisania. Z tego zamętu rozboleła go głowa, polknął już trzy proszki aspiryny i teraz rewidował pociąg z bolesnym wyrazem twarzy.

Wszedłszy do wagonu aresztanckiego razem ze swoim pomocnikiem, zajrzał w papiery i odebrawszy raport od zgnębnego kaprała, który meldował, że wiezie dwóch aresztantów i że ma tylu a tylu szeregowców, porównał meldunek z notatkami w papierach i rozejrzał się dokoła.

— A kogoż to macie tutaj? — zapytał surowo, wskazując na oberfeldkurata, który leżał na brzuchu i zadnie policzki wystawił prowokacyjnie na inspekcję.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant — jękał się kapral — że my tego ten...

— Co za tego ten? — warknął doktor Mraz. — Mówcie jasno!

— Posłusznie melduję, panie lejtnant — odezwał się zamiast kaprała Szwejk — że ten pan, który tu śpi na brzuchu, to jakiś pijany oberfeldkurat. Przyłączył się do nas i sam włączył do wagonu, a ponieważ jest on naszym przełożonym, przeto nie mogliśmy go wyrzucić, gdyż byłoby to naruszenie subordynacji. On się niezawodnie pomylił i zamiast do sztabowego wagonu włączył do aresztanckiego.

Doktor Mraz westchnął i zajrzał w swoje papiery. O jakimkolwiek oberfeldkuracie, który pociągiem wojskowym miałby jechać do Brucku, nie było w spisie ani wzmianeczki. Zamrugał nerwowo i rozglądał się bezradnie dokoła. Na ostatniej stacji przybyło mu raptem koni, a tu ni stąd, ni zowąd w wagonie aresztanckim znalazł się niespodziewany oberfeldkurat.

Nie zdobył się na nic innego, tylko wezwał kaprała, aby śpiącego na brzuchu oberfeldkurata obrócił, ponieważ w inny sposób trudno sprawdzić jego tożsamość.

Po długim wysiłku udało się kapralowi obrócić oberfeldkurata na wznak, który obudził się przy tej sposobności, a widząc oficera, rzekł:

— Eh, serwus, Fredy, *was gibt's neues? Abendessen schon fertig?*

Zamknął oczy i obróciwszy się ku ścianie, spał dalej.

Doktor Mraz spostrzegł od razu, że to ten sam żarłok, który od wczoraj grasował po kasynie oficerskim, osławiony wyżeracz wszystkich oficerskich jadłodajni i pieczeniarsz. Na ten widok westchnął.

— Za to — rzekł do kaprała — pójdziecie do raportu.

I oddalał się już, gdy wtem zatrzymał go Szwejk.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że ja już do aresztanckiego wagonu nie należę. Miałem być w areszcie tylko do jedenastej, ponieważ dzisiaj kończy się moja kara. Skazany

byłem na trzy dni, a teraz już mi się należy miejsce w wagonie bydłęcym. Już dawno po jedenastej, więc proszę pana lejtnanta, aby rozkazał mi wysiąść na tor albo przejść do wagonu bydłęcego, gdzie mam prawo przebywać, albo też abym został przekazany porucznikowi Lukaszowi.

— Jak się nazywacie? — zapytał doktor Mraz zaglądając do swoich papierów.

— Szwejk Józef, melduję posłusznie, panie lejtnant.

— Mhm, to wy jesteście ten sławetny Szwejk — rzekł doktor Mraz. — Rzeczywiście, należało wam się przeniesienie do innego wagonu już o jedenastej, ale porucznik Lukasz prosił mnie, abym was wypuścił dopiero w Brucku. Uważa, że tak będzie bezpieczniej, bo przynajmniej w drodze nic nie splatacie.

Po odejściu inspekcji maltretowany kapral nie mógł się powstrzymać od jadawitej uwagi:

— Widzicie więc, mój Szwejku, że zwracanie się do wyższej instancji na gówno się zdało. Gdybym chciał, to bym wam obu narobił kramu.

— Panie kapral — odezwał się jednoroczny ochotnik — argumentowanie gównami jest zawsze i wszędzie bardzo przekonujące, ale człowiek inteligentny nie powinien używać takich słów, gdy jest zdenerwowany lub gdy chce kogo szykanować. I na co zdały się pańskie śmieszne pogrożki, że mógł nam pan narobić kramu? Dlaczego, do wszystkich diabłów, nie narobił pan nam tego kramu, skoro była okazja? Czy dlatego, że jest pan taki wielkoduszny i tak niezwykle delikatny?

— Już mam tego dosyć! — krzyknął kapral. — Jednego i drugiego mogę zaprowadzić do kryminału.

— Ale za co, gołąbku? — zapytał z miną niewinną jednoroczny ochotnik.

— To moja rzecz! — dodawał sobie animuszu pan kapral.

— Nie tylko pańska rzecz, ale i nasza — odpowiedział jednoroczny ochotnik. — To tak samo jak w grze w karty: moja ciotka — twoja ciotka. Zdaje mi się raczej, że podziałała na pana wzmianka o raporcie i dlatego zaczyna pan na nas wrzeszczyć, aczkolwiek czyni pan to w drodze pozasłużbowej.

— Jesteście grubianie — rzekł kapral starając się za wszelką cenę wzbudzić w nich strach.

— Powiem panu, panie kapral — wtrącił Szwejk — że jestem starym żołnierzem, służyłem jak wszyscy już przed wojną i wiem, że wyzwiska nie zawsze się oplacają. Kiedyś służyłem przed laty w wojsku, to był u nas taki jakiś kapral Schreiter. Służył w wojsku dobrowolnie, wysługiwał się za łyżkę stawy. Już dawno mógł być pójść do domu jako kapral, ale był, jak się mówi, w ciemni bity. Otóż ten człowiek jeździł po nas, żołnierzach, ile tylko wlaźło, przylepiał się do nas jak gówno do koszuli, a to mu się nie podobało, a to znowu tamto było przeciwko *vorschriftom*, szykanował nas, jak tylko mógł, i mawiał: „Wy nie żołnierze, ale stróże nocne”. Mnie się to przestało podobać i pewnego dnia poszedłem do raportu. „Czego ci tam?” — pyta kapitan. „Mam, posłusznie melduję, panie kapitanie, skargę na kaprala Schreitera. My nie żadne stróże nocne, ale cesarscy żołnierze. My służyliśmy najjaśniejszemu panu, a nie jesteśmy od łazikowania i pilnowania”.

„Uważaj no, kundlu jeden, żebyś się nie wziął za siebie” — odpowiedział kapitan. A ja na to, że posłusznie proszę o przekazanie mnie do *batalionsraportu*.

Przy *batalionsraporcie*, kiedyś wszystko powiedział oberlejtantowi i zaprotestował, że nie jesteśmy żadne stróże nocne, ale żołnierze cesarscy, oberlejtant kazał mnie wsadzić do paki na dwa dni, ale ja zażądałem przekazania mnie do *regimentsraportu*. Przy *regimentsraporcie* po moim objaśnieniu pan oberst ryknął na mnie, że jestem idiota i że bym sobie poszedł do wszystkich diabłów, a ja na to: „Posłusznie melduję, panie oberst, że chcę być przekazany do *brigaderaportu*”. Tego się pan oberst zląkł i natychmiast kazał wezwać do kancelarii tego kaprala Schreitera, który musiał mnie przeprosić przed wszystkimi oficerami za to słowo „stróż nocny”. Potem dogonił mnie ten kapral na dziedzińcu i powiedział mi, że odtąd nie będzie mnie wyzywał, ale za to na pewno będę siedział w kryminale. Od tego czasu bardzo się pilnowałem, ale nie upilnowałem się. Stałem na warcie koło magazynu, a na murze każdy wartownik zawsze coś takiego wypisał. Albo wyrysował kobiece przyrodzenie, albo napisał jaki ładny wierszyk. Mnie nic nie przyszło do głowy, więc z nudów podpisałem się pod napisem:

„Kapral Schreiter jest drab”.

A ten pies Schreiter zaraz mnie oskarżył, ponieważ śledził mnie i tropił na każdym kroku. Na nieszczęście nad tym napisem był jeszcze inny napis:

„My o wojnę nie dbamy, my na wojnę nasramy”.

Było to w roku tysiąc dziewięćset dwunastym, kiedy mieliśmy wyruszyć do Serbii z powodu tego konsula Prochazki. Więc też wysłali mnie natychmiast do Terezina do *landgerichtu*. Chyba z piętnaście razy fotografowali panowie z sądu wojskowego ten mur z napisami i z moim podpisem, a dla zbadania mego charakteru pisma kazali mi dziesięć razy napisać:

„My o wojnę nie dbamy, my na wojnę nasramy” — i piętnaście razy: „Kapral Schreiter jest drab”.

Wreszcie zjechał jakiś znawca pisma i kazał mi napisać:

„Było to 29 lipca 1897, gdy dwór królowej nad Łabą poznał grozę bystrej i wezbranej rzeki”.

„To nie wystarczy — mówił audytor — bo nam głównie chodzi o to wysranie. Niech pan dyktuje coś takiego, w czym jest dużo »s« i »r«”. Więc dyktował: „Serb, serwetka, srebro, sroka, cherubin, rubin, hołota”. Bo ten pan znawca pisma zgłupiał z tego wszystkiego niezgorzej i ciągle oglądał się za siebie, gdzie stał żołnierz z bagnetem, i wreszcie rzekł, że wszystko trzeba odesłać do Wiednia, i jeszcze raz kazał mi trzy razy napisać:

„Zaczyna też już słońko przypiekać, ciepło jest znakomite”.

Cały materiał wyprawili do Wiednia i wreszcie skończyło się na tym, iż powiedzieli, że co do tych napisów, to zostały one napisane inną ręką, ale podpis jest mój, bo też sam się do niego przyznałem, i za to zostałem skazany na sześć tygodni, bo jak się wartownik podpisuje na murze, to przez ten czas podpisywania nie może dobrze wartować.

— Dobre i to — rzekł kapral z zadowoleniem — że wykroczenie nie pozostało bez kary. Widać z tego jasno, że jesteś pan dobry kajdaniarz. Żebym ja był na miejscu tego *landgerichtu*, to bym panu wlepił nie sześć tygodni, ale sześć lat.

— Niech pan nie udaje takiego straszego — wtrącił się do rozmowy jednoroczny ochotnik — niech pan raczej pomyśli o własnym końcu. Dopiero co inspekcja powiedziała panu, że trzeba będzie stanąć do raportu. Do takiej rzeczy należałoby przygotować się bardzo poważnie i głęboko zastanowić nad marnością tego żywota kaprałskiego. Czym jest pan zresztą w porównaniu ze wszechświatem, gdy pan zważy, że do najbliższego słońca jest od tego pociągu wojskowego 275 000 razy dalej niż do naszego słońca własnego, a taka odległość potrzebna jest, aby jej paralaksa tworzyła jedną sekundę. Gdyby się pan znajdował we wszechświecie jako słońce, byłby pan zbyt drobnym pyłem, aby pana mogli dostrzec gwiazdziarze przez najlepsze teleskopy. Dla pańskiej znikomości we wszechświecie nie ma odpowiedniego pojęcia. Przez pół roku wykonałby pan na firmamencie taki nieznaczny łuk, przez rok taką malutką elipsę, że dla ich wyrażenia przy pomocy liczb brak w ogóle pojęć. Paralaksa pańska byłaby zupełnie niewymierna.

— W takim razie mógłby pan kapral być dumny z tego, że nikt nie może go zmierzyć — odezwał się Szwejk. — Niech się dzieje przy raporcie, co chce, denerwować się nie trzeba, bo każde zdenerwowanie szkodzi zdrowiu, a teraz w czasie wojny każdy winien dbać o zdrowie, ponieważ trudy wojenne wymagają od każdego obywatela, żeby nie był zdechlakiem.

Gdyby pana wsadzili do paki, panie kapral — mówił Szwejk dalej z bardzo miłym uśmiechem — gdyby pana spotkała jaka gruba przykrość, to niech pan nie traci ducha. Niech oni sobie myślą swoje, a pan będzie myślał swoje. Znałem pewnego węglarza, z którym siedziałem w areszcie dyrekcji policji w Pradze jeszcze na początku wojny, nazywał się Franciszek Szkvor i był oskarżony o zdradę stanu, a następnie, przypuszczam, stracony z powodu niejakiej sankcji pragmatycznej. Człowiek ten przy badaniu był zapytywany, czy ma jakie zastrzeżenia co do protokołu, ale odpowiadał zawsze jedno:

„Jak tam było, tak tam było, zawsze jakoś było. Jeszcze nigdy tak nie było, żeby jakoś nie było”.

Następnie za to właśnie zamknięto go w ciemnej komórcie na dwa dni bez jedzenia i bez picia, a gdy go zaprowadzali do sędziego śledczego, to powtórzył swoje głębokie przekonanie, że jak tam było, tak tam było, zawsze jakoś było, jeszcze nigdy tak nie było, żeby jakoś nie było. Może być, że z takim przekonaniem poszedł na szubienicę, bo przekazano go sądowi wojskowemu.

— Teraz podobno sporo wieszają i rozstrzelują — rzekł jeden z szeregowców eskorty. — Niedawno odczytali nam na placu ćwiczeń *befel*, że w Motolu rozstrzelali rezerwistę Kudmę, ponieważ kapitan ciął szablą jego chłopczyka, którego trzymała na ręku jego żona, gdy się z mężem chciała w Beneszovie pożegnać. No i ten Kudrna się uniósł z tego powodu. A politycznych wsadzają co do jednego do ula. A na Morawach rozstrzelali już też podobno jednego redaktora. Nasz pan kapitan mówi, że i na resztę przyjdzie kolej.

— Wszystko ma swoje granice — rzekł jednoroczny ochotnik dwuznacznie.

— Ma pan rację — odezwał się kapral. — Za dużo sobie taki redaktor jeden z drugim pozwala. Tylko ludzi buntują. Zaprzeszłego roku, gdy byłem dopiero frajtrzem, to miałem pod sobą też jednego redaktora, który nie nazywał mnie inaczej, tylko zakalał armii, ale kiedym go uczył *gelenksübungów*, aż się pocił, to zawsze mawiał do mnie: „Proszę szanować we mnie człowieka”. No, pokazałem ja mu, jak się tego człowieka szanuje w kałużach i błocie. Po komendzie: „Padnij!” — zaprowadziłem go przed kałużę i musiał jaśnie pan przewracać się w nią, aż woda bryzgała jak na plaży. A po południu wszystko musiało być wyczyszczone do glansu, mundur musiał być czysty jak szkło. Czyścił, smyczył i stękał, robił nawet jakieś uwagi, a nazajutrz musiał się znowuż tarzać jak ta świnia w błocie, a ja stałem nad nim i mówiłem: „No i cóż, panie redaktorze, co jest więcej: zakalał armii czy też tam ten pański człowiek?” Taki był z niego prawdziwy i akuratny inteligent.

Kapral triumfująco spojrzął na jednorocznego ochotnika i mówił dalej:

— On utracił prawa jednorocznego ochotnika przez swoją inteligencję, bo pisywał do gazet o szykanowaniu żołnierzy. Ale jak go nie szykanować, kiedy taki uczony człowiek, a nie umie rozebrać przy karabinie *verschlussu*, choć by mu się dziesięć razy pokazywało, jak to się robi. Komenderuje się na ten przykład: „*Links schaut!*” — a ten jakby naumyślnie kręci łbem na prawo i gapi się przy tym jak wół na malowane wrota, a przy chwytach nie wie, jak wziąć się do rzeczy, czy za ramię złapać, czy za patrontasz, i wytrzeszcza ślepią tak jakoś, że nie wiadomo, kpi czy o drogę pyta, a nie potrafi powtórzyć ruchu, przy którym ręka ma zjechać po rzemieniu na dół. On nie wiedział nawet, na którym ramieniu nosi się karabin i salutował jak małpa, a gdy go uczono maszerować, to nie daj Boże, co za obroty wyrabiał. Gdy mu się kazano odwrócić, to było mu wszystko jedno, którym kulasem ruszy naprzód, lewym czy prawym. Cap, cap, cap, ze sześć kroków zrobił nieraz po komendzie, a potem, jak ci się odwróci, niczym fryga. A przy maszerowaniu to się włócił jak stary podagryk albo podskakiwał jak stara dziwka w tańcu na kiermaszu.

Kapral splunął i mówił dalej:

— Wyfasował umyślnie karabin bardzo zardzewiały, żeby się nauczyć czyścić go akuracie, szorował go jak pies sukę, ale żeby kupić jeszcze ze dwa kilo kądzieli, to i tak nie byłby się niczego doczyścił. Im więcej go czyścił, tym karabin był bardziej zardzewiały, a przy raporcie wędrował z ręki do ręki i każdy dziwił się, że w ogóle karabin może być taki zardzewiały. Nasz kapitan mówił mu często, że z niego nigdy żołnierz nie będzie, żeby się lepiej powiesił, bo darmo żre komiśniak. A ten tylko pomrukiwał oczkami pod okularami. Wielkie to było święto dla niego, jeśli nie miał akurat *verschärftu* albo kosharniaka. W takie dni pisywał zwykle artykuły do gazet o szykanowaniu żołnierzy, aż razu pewnego zrobiono rewizję w jego kuferku. Książek to sobie tam uzbierał całą kupę, w dodatku miał same książki o rozbrojeniu i o pokoju międzynarodowym. Za to powędrował na garnizon i od tego czasu mieliśmy z nim spokój, aż pewnego poranku pojawił się raptem w kancelarii i wypisywał fasunki. Był osobno, żeby nie mógł rozmawiać z szeregowcami. Taki to był smutny koniec tego inteligenta. A mógł być panem całą gębą, żeby przez swoją głupotę nie utracił praw jednorocznego ochotnika. Mógł zostać nawet lejtnantem.

Kapral westchnął głęboko.

— Nawet fałd na płaszczu ułożyć nie umiał. Do czyszczenia guzików sprowadzał sobie jakieś pasty i maście aż z Pragi, ale wszystko to na nic, bo każdy jego guzik był zardzewiały jak diabli. Ale bajtlować umiał za dziesięciu, a gdy dostał się do kancelarii, to nic innego

nie robił, tylko filozofował. Do filozofowania czuł powołanie już od dawna. Ciągłe tylko gadał o prawach człowieka. Pewnego razu, kiedy sobie filozofował w kałuży, do której musiał się zwalić na komendę: „*Nieder!*” — mówię do niego: „Kiedy pan ciągle gada o człowieku i o błocie, to zapamiętaj pan sobie, że człowiek został stworzony z błota” — i musiał stulić pysk.

Kapral wygadawszy się był zadowolony z siebie i czekał, co też na to wszystko odpowie jednoroczny ochotnik. Odezwał się wszakże Szwejk:

— Za takie same rzeczy, za takie maltretowanie, przebił niejaki Koniczek w 35 pułku siebie i kaprała. Było o tym w „*Kuryru*”. Kapral miał w ciele ze trzydzieści ran klutych, z czego przeszło tuzin śmiertelnych. Ten żołnierz usiadł potem na tym zabitym kapralu i siedząc przebił się. Inny wypadek zdarzył się przed laty w Dalmacji, gdzie kaprała zarżnęli i do dzisiaj nikt nie wie, kto to zrobił. Morderstwo otoczyła nagle mgła tajemnicy, tyle tylko wiadomo, że ten zarżnięty kapral nazywał się Fiala i pochodził z Drabovny koło Turnova. Wiem też jeszcze o jednym kapralu z 75 pułku piechoty, nazywał się Rejmanek...

Miła ta opowieść przerwana została wielkim stękanieniem śpiącego na ławie oberfeldkurata Laciny.

Pater budził się w całej swej dostojności i krasie. Przebudzeniu jego towarzyszyły te same zjawiska, które były nieodłączne od przebudzeń młodego olbrzyma Gargantui, którego ładnie opisał stary wesoly Rabelais.

Oberfeldkurat pierdział i bekał na ławie, i ziewał hałaśliwie na cały wagon. Wreszcie usiadł i spytał zdziwiony:

— Do stu tysięcy fur beczech, gdzie ja jestem?

Kapral widząc, że jego zwierzchnik się budzi, stanął na baczność i uniżenie odpowiedział:

— Posłusznie melduję, panie oberfeldkurat, że raczy się pan znajdować w areштancim wagonie.

Błysk zdziwienia przeleciał po twarzy oberfeldkurata. Przez chwilę siedział bez słowa i usilnie nad czymś rozmyślał. Daremnie. Między tym, co przeżył w nocy i rano, a przebudzeniem się w wagonie, którego okna były zakratowane, istniało całe morze mroku.

Wreszcie zwrócił się zapytaniem do kaprała, który ciągle jeszcze stał przed nim na baczność:

— A na czyj niby rozkaz ja tego...

— Posłusznie melduję, że bez rozkazu, panie oberfeldkurat.

Pater wstał i zaczął przechadzać się między ławkami, mamrocząc pod nosem, że nic z tego wszystkiego nie rozumie. Usiadł znowu i zapytał:

— A dokąd właściwie jedziemy?

— Do Brucku, melduję posłusznie.

— A dlaczego jedziemy do Brucku?

— Posłusznie melduję, że został tam przeniesiony cały nasz 91 pułk.

Pater zaczął znowu bardzo usilnie rozmyślać nad tym, co się właściwie stało i w jaki sposób dostał się do takiego wagonu. Nie wiedział też, dlaczego jedzie do Brucku, i akurat razem z 91 pułkiem, a do tego jeszcze pod eskortą. Opamiętał się i otrzeźwiał tak dalece, że rozpoznał nawet jednorocznego ochotnika i zwrócił się do niego zapytaniem:

— Pan jest inteligentnym człowiekiem, czy mógłby mi pan powiedzieć całą prawdę, niczego nie ukrywając, jak się tu dostałem?

— Bardzo chętnie — odpowiedział tonem koleżeńskiej gotowości jednoroczny ochotnik. — Rano przysiadł się pan oberfeldkurat do nas na dworcu w Budziejowicach, bo pan miał trochę w czubie.

Kapral spojrział na niego surowo.

— Wlaź pan sobie do wagonu, do nas — mówił dalej jednoroczny ochotnik — i nic więcej. Wyciągnął się pan na ławie, a ten oto żołnierz, Szwejk, podłożył panu oberfeldkuratowi swój płaszcz pod głowę. Podczas kontroli pociągu na poprzedniej stacji został pan zapisany w poczet oficerów znajdujących się w pociągu. Został pan, że się tak wyrażę, urzędowo odkryty, a nasz kapral pójdzie za to do raportu.

— Tak, tak — wzdychał pater — trzeba będzie na najbliższej stacji przejść do wagonu sztabowego. Czy obiad już wydany?

— Obiad będzie dopiero w Wiedniu, panie oberfeldkurat — zameldował kapral.

— A więc to wy podłożyliście mi pod głowę mantel? — zwrócił się pater do Szwejka.
— Serdecznie wam dziękuję.

— Żadna wdzięczność mi się nie należy — odpowiedział Szwejk — bo postępowałem tylko, jak winien postępować każdy żołnierz wobec swego zwierzchnika, gdy widzi, że ten zwierzchnik nie ma nic pod głową, a wypił troszeczkę. Każdy żołnierz winien szanować swego zwierzchnika, choćby ten zwierzchnik był w stanie odmiennym. Ja mam bogate doświadczenie z feldkuratami, ponieważ byłem służącym u pana feldkurata Ottona Katza. Feldkuraty to naród wesoły i poczciwy.

Oberfeldkurat dostał ostrego ataku demokracji na skutek swego katzenjammeru po wczorajszej pijatyce, wyjął z kieszeni papierosa i podał go Szwejkowi:

— Masz, bracie, i kurz, ile wlezie. A ty — zwrócił się do kaprała — masz podobno stawać do raportu z mojej przyczyny. Nie bój się, nic ci nie będzie, bo ja wszystko wytłumaczę. A ciebie — rzekł do Szwejka — zabiorę z sobą. Będzie ci u mnie jak w raj.

Dostał nowego napadu wielkoduszności i zaczął wszystkich zapewniać, że każdemu coś dobrego zrobi. Jednorocznemu ochotnikowi kupi czekolady, szeregowcom eskorty zafunduje araku, kaprała każe przenieść do oddziału fotograficznego przy sztabie 7 dywizji kawalerii, wszystkich w ogóle uwolni i o nikim nie zapomni.

Zaczął rozdawać papierosy, częstując nie tylko Szwejka, ale wszystkich; oświadczył, że wszystkim aresztantom pozwala palić, i zapewniał ich, że wstawi się za nimi, aby kara ich była złagodzona i aby niedługo mogli powrócić do normalnego życia wojskowego.

— Nie chcę, abyście źle myśleli o mnie. Mam rozległe stosunki, więc przy mnie dobrze wam będzie. Wywieracie na mnie wrażenie ludzi przyzwoitych, których Bóg miłuje. Jeśli zgrzeszyliście, to pokutujecie teraz, a ja widzę, że chętnie i pokornie znosicie wszystko, co Bóg na was zesłał.

Za co zostaliście ukarani? — zwrócił się do Szwejka.

— Bóg zesłał na mnie karę — pobożnie odpowiedział Szwejk — z powodu *regiment-sraportu*, panie oberfeldkurat, z przyczyny niezawinionego spóźnienia się na pociąg.

— Bóg jest niewypowiedzianie miłosierny i sprawiedliwy — uroczyście rzekł oberfeldkurat. — On wie, kogo karać trzeba, albowiem w ten sposób ujawnia swoje przewidywanie i swoją wszechmoc. A za co siedzi pan, panie jednoroczny ochotniku?

— Ponieważ — odpowiedział zapytany — Bóg miłosierny raczył zesłać mi reumatyzm, a ja stałem się z tej racji pyszny i dufny. Po odbyciu kary zostaną odesłany do kuchni.

— Co Bóg czyni, dobre jest — zawołał pater w zachwycie, słysząc o kuchni. — Nawet w kuchni może człowiek porządny zrobić karierę. Właśnie do kuchni powinni wysyłać jak najwięcej ludzi inteligentnych, już dla samego kombinowania różnych potraw, ponieważ chodzi nie tylko o to, co się gotuje, ale jak się gotuje i z jaką miłością dodaje się jedno do drugiego, estetyka pokarmu i tak dalej. Weźmy na przykład sosy. Gdy inteligentny człowiek zrobi sos cebulowy, to bierze do niego wszystkie rodzaje jarzyn i dusi je na maśle, potem dodaje korzenie, pieprz, angielskie ziele, trochę gałki muszkatulowej, imbiru, ale zwyczajny prostacki kucharz zagotuje cebulę i zalewa ją czarną fryturą z łoju. Pana chciałbym doprawdy widzieć w jakiej porządnej kuchni oficerskiej. Bez inteligencji obejdzie się człowiek w fachu zwyczajnym i w życiu powszednim, ale w kuchni zaraz się ten brak daje we znaki. Wczoraj wieczorem w oficerskim kasynie w Budziejowicach podali nam cynaderki *à la madeira*. Niech Bóg będzie miłosierny temu, kto je przyrządził, albowiem musiał to być człowiek inteligentny. Słyszałem, że w tamtejszej kuchni oficerskiej jest naprawdę kucharz bardzo inteligentny, jakiś nauczyciel ze Skutcza. Takie same cynaderki *à la madeira* jadłem w oficerskim kasynie 64 *landwerregimentu*. Przyrządzili je tam na kminie, tak samo jak w zwyczajnych gospodach dodając pieprzu. A któż to tak przyrządza cynaderki? Czym był ten fuszerek w cywilu? Parobkiem od karmienia bydła w wielkim majątku.

Oberfeldkurat zamilkł na chwilę, a potem zaczął się rozwódzić nad zagadnieniami kulinarnymi Starego i Nowego Testamentu, nad tym, jak to ludzie dawniejsi bardzo dbali o to, aby pokarmy spożywane po nabożeństwach i uroczystościach kościelnych były smakowite i pożywne. Wreszcie wezwał wszystkich, aby zaśpiewali coś ładnego, a Szwejk wyrwał się jak zawsze nie bardzo szczęśliwie i śpiewał:

Idzie Maryna od Hodonina,
A za nią proboszcz z baryłką wina...

Ale pan oberfeldkurat się nie obraził.

— Żeby był pod ręką przynajmniej łyk araku, to moglibyśmy się obejść bez beczki wina — rzekł z uśmiechem zgoła przyjacielskim. — I tej Maryny też byśmy nie potrzebowali, bo tylko do grzechu zwodzi.

Kapral delikatnie sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął płąską flaszczykę z arakiem.

— Posłusznie melduję, panie oberfeldkurat — odezwał się głosem tak cichym, iż widać było, jaką ofiarę czyni na rzecz bliźniego-zwierzchnika. — Gdyby pan oberfeldkurat nie pogardził...

— Skądże miałbym pogardzać, mój chłopcze! — zawołał głosem rozradowanym pater. — Napiję się za naszą szczęśliwą podróż.

— Jezus Maria! — sapnął kapral widząc, że po łyku oberfeldkurata pozostało w butelce niewiele araku.

— Moi drodzy — rzekł oberfeldkurat uśmiechając się i mrugając znacząco do jednorocznego ochotnika — dobrze jest na świecie, a tu sobie jeszcze niektórzy urągają. Pan ich za to skarże.

Pater łyknął jeszcze raz araku i podając resztę Szwejkowi, rozkazał tonem komendy:

— Doróżnij, bracie!

— Wojna to wojna — rzekł Szwejk z uśmiechem do kaprała oddając mu pustą butelkę, co kapral skwitował takim dziwnym błyskiem oczu, jaki się widuje tylko u szaleńców.

— A teraz przed Wiedniem jeszcze troszeczkę podrzemię — rzekł kapelan — i życzę sobie, abym został przebudzony, jak tylko dojedziemy do Wiednia.

A wy — zwrócił się do Szwejka — pójdziecie do kuchni i przyniesiecie mi obiad. Powieście tam, że to dla pana oberfeldkurata Laciny. Kierujcie się tak, żeby wam dali podwójną porcję. Gdyby były knedle, to nie bierzcie od czubka, bo na tym się tylko traci. Następnie przyniesiecie mi z kuchni butelkę wina, weźmiecie też ze sobą menażkę i każecie sobie nalać do niej rumu.

Pater Lacina zaczął szukać czegoś po kieszeniach.

— Słuchajcie no — zwrócił się do kaprała — nie mam drobnych. Pożyczcie mi dwie korony. — Wziął pieniądze z ręki kaprała i podając je Szwejkowi mówił: — Macie tu za fatygę. Jak się nazywacie?

— Szwejk.

— Aha, więc macie tu, mój Szwejku, dwie korony za fatygę. Panie kapralu, proszę mi pożyczyć jeszcze dwie korony. Widzicie mój Szwejku, te drugie dwie korony dostaniecie, jeśli przyniesiecie solidny obiad i tamte drobiazgi. Powiedźcie tam jeszcze, że nie mam papierosów i cygar. Jeśli będzie fasunek czekolady to zawińcie podwójną porcję, a jeśli będą konserwy, to uważajcie, żebyście dostali wędzony ozór albo gęsią wątróbkę. Gdyby zaś fasowali ser szwajcarski, to pilnujcie, żeby wam nie dali z wierzchu, bo suchy. To samo z węgierskim salami. Broń Boże od końca, ale ze środka, żeby był miękki i wilgotny.

Oberfeldkurat wyciągnął się na ławie i po chwili usnął.

— Sądzę — rzekł jednoroczny ochotnik do kaprała, gdy kapelan chrapał już na całego — że jest pan zupełnie zadowolony z naszego miłego gościa. Wyjątkowo miły człowiek ten nasz podrzutek.

— Jest to podrzutek — wtrącił Szwejk — odstawiony, jak się mówi, od piersi, bo już pije z flaszczyki, jak to pan kapral widział na własne oczy.

Kapral przez chwilę zmagął się ze sobą, ale nagle, tracąc wszelką uniżoność, wybuchnął:

— Miły, bo miły!

— Podług tych drobnych, których mu zabrakło — mówił i Szwejk — przypomina mi pan oberfeldkurat niejakiego pana Mliczko, murarza z Dejvic, który też nigdy nie miał drobnych i zadłużył się aż po dziurki w nosie, a potem dostał się za oszustwo do mamra. Roztrwonił grube pieniądze, a drobnych nie miał.

— W 75 pułku — odezwał się jeden z szeregowców eskorty — kapitan przechrzął całą kasę pułkową. Było to przed wojną i musiał wystąpić z wojska, ale teraz znowuż jest

kapitanem. A jednak feldfebel, który skradł skarbowi sukno na naszywki — było tego sukna ze dwadzieścia sztuk — jest dzisiaj sztabfeldfeblem. Ale w Serbii został rozstrzelany jeden szeregowiec za to, że zjadł od razu konserwę, którą powinien był jeść przez trzy dni.

— To do rzeczy nie należy — oświadczył kapral — ale trzeba przyznać, że pożyczanie czterech koron od biednego kaprała na napiwek...

— Masz pan swoje dwie korony — rzekł Szwejk — nie chcę się z bogacić na pańskiej biedzie. A jeśli da mi i te drugie dwie korony, to ja panu także zwrócę, żebyś pan się nie popłakał. Pan powinien cieszyć się z tego, że pański zwierzchnik wojskowy pożyczą sobie od pana pieniądze na drobne wydatki. Pan jest wielki egoista. Chodzi tu o parę marnych koron, a co by to było dopiero, gdyby pan miał poświęcić życie za swojego zwierzchnika, gdyby on leżał ranny na linii nieprzyjacielskiej, a pan miałby go ocalić i odnieść w bezpieczne miejsce na własnych rękach, gdy tymczasem nieprzyjaciel strzelałby za panem szrapnelami, w ogóle czym się tylko da.

— Pan by w portki narobił ze strachu, taki fajal! — odciął się kapral.

— W *gefechcie* niejedyn narobi w portki — odezwał się znowu jeden z szeregowców. — Niedawno temu opowiadał nam pewien ranny kolega w Budziejowicach, że jak szli do ataku, to się zerznął trzy razy z rzędu. Naprzód, jak wyłazili z dekunków na przedpole, przed zasieki z drutu kolczastego, potem, gdy zaczęli forsować zasieki, a po raz trzeci, gdy doszło do walki na bagnety i Moskale biegli krzycząc „ura”. Potem zaczęli wiać nazad do rowów, za dekunki, i z całej tyraliery nie było ani jednego, żeby mu się taka rzecz nie przytrafiła. Jeden zabity, który leżał na dekunku nogami na dół, a któremu w czasie ataku szrapnel ściał gładziutko pół głowy, też musiał w tym ostatnim momencie zdrowo się zerznąć, bo ze spodni spływało toto do dekunków razem z krwią. A ta połówka jego głowy, razem z mózgiem, leżała akurat pod tym. Człowiek nawet nie spostrzeże, jak i co, a już się stało.

— Czasem znowuż — mówił Szwejk — zrobi się człowiekowi i w *gefechcie* słabo z obrzydzenia. Opowiadał nam w Pradze na Pohorzelcu pewien chory rekonwalescent spod Przemyśla, że tam pod fortecą doszło do walki na bagnety i że przeciwko niemu rozpędził się Moskal z bagnetem, chłop jak góra, ale z nosa spływała mu spora kropla, jak to się czasem trafia. Jak ten człowiek spojrział na ten zasmarkany nos, to mu się zrobiło tak słabo, że zaraz musiał lecieć na *Hilfsplatz*, gdzie uznali, że to jest człowiek chory na cholere, i wyprawili go do szpitala cholerycznego w Peszcie; tam rzeczywiście rozchorował się na cholere.

— Czy był to zwyczajny szeregowiec, czy kapral? — zapytał jednoroczny ochotnik.

— Kapral — odpowiedział Szwejk spokojnie.

— Taka rzecz mogłaby się przytrafić i jednorocznemu ochotnikowi — rzekł kapral z przyglupim uśmiechem i spojrział na swego dręczyciela z takim triumfem, jakby chciał rzec: „A widzisz, masz! Co teraz powiesz?”

Ale jednoroczny ochotnik nic nie odpowiedział i położył się na ławie.

Pociąg zbliżał się do Wiednia. Ci, co nie spali, przyglądali się z okien wagonu zasiekom z drutu kolczastego i umocnieniom biegnącym dokoła Wiednia, co na cały pułk musiało niezawodnie podziałać deprymująco.

Śpiew niemieckich żołnierzy z Gór Kasperskich, który odzywał się bezustannie przez całą drogę, urwał się nagle, jakby się zaczepił o zasieki z drutów kolczastych nad okopami dokoła Wiednia.

— Wszystko w porządku — rzekł Szwejk spoglądając na okopy — wszystko w najlepszym porządku, tylko że wiedeńczycy podczas wycieczek mogą tu sobie podrzeć spodnie. Tutaj trzeba chodzić bardzo ostrożnie.

Wiedeń jest w ogóle bardzo ważnym miastem — wywodził dalej. — W takiej na przykład schönbruńskiej menażerii ile to mają różnych dzikich zwierząt. Kiedy przed laty byłem w Wiedniu, to najbardziej lubiłem przypatrywać się małpom, ale jak jechała jaka osobistość z cesarskiego pałacu, to nikogo przez kordon nie puszczali. Razem ze mną był jeden krawiec z okręgu dziesiątego. Aresztowali go, bo koniecznie chciał widzieć te małpy.

— A czy był pan także w pałacu? — zapytał kapral.

— Bardzo tam ładnie — odpowiedział Szwejk. — Sam w pałacu nie byłem, ale opowiadał mi o tym jeden taki, co był w pałacu. Najładniejsza jest *burgwacha*. Każdy z tych wartowników musi podobno mieć dwa metry wysokości, a jak wysłuży, to dostaje trafikę. A księżniczek jest tam tyle jak śmiecia.

Przejechali przez jakąś stację, skąd leciały za pociągiem dźwięki hymnu austriackiego granego przez orkiestrę, która dostała się na tę stację widać przez pomyłkę. Dopiero po długiej chwili pociąg wjechał na tę stację, na której mieli się zatrzymać; dawano tu jeść i uroczyście ich witano.

Ale uroczyste powitania nie były już takie jak na początku wojny, kiedy to żołnierze w drodze na front chorowali z przejedzenia i kiedy na każdej stacji byli witani przez drużyny w długich białych sukienkach, o bardzo głupiutkim wyrazie twarzyczek i z nieodłącznymi bukietami w rękach. Te bukiety były wprost idiotyczne, ale jeszcze idiotyczniejsze były przemówienia różnych dam, których małżonkowie udają obecnie wielkich patriotów i republikanów.

Powitania w Wiedniu dokonał komitet składający się z trzech członkiń austriackiego Czerwonego Krzyża i z dwóch członkiń jakiegoś stowarzyszenia wojennego wiedeńskich pań i panien; asystował im z urzędu przedstawiciel magistratu wiedeńskiego i jakiś wojskowy.

Na wszystkich twarzach widać było znużenie. Pociągi wojskowe przejeżdżały dniami i nocą, wagony z rannymi przesuwają się co godzina, na stacjach przetaczano pociągi z jeńcami, a przy tym wszystkim musieli asystować przedstawiciele najróżniejszych organizacji i stowarzyszeń. Powtarzało się to dzień w dzień i pierwotny entuzjazm przemienił się w ziewanie. Ludzie ci pełnili swoją służbę po kolei, ale nawet częste zmiany nie mogły spędzić z ust i oczu wyrazu zmęczenia i nudy. Tacy właśnie ludzie zmęczeni witali pociąg z pułkiem budziejowickim.

Z wagonów bydlęcych wyglądali żołnierze okiem tępym i zmęczonym, jak skazańcy wiezieni na szubienicę.

Do tych żołnierzy podchodziły panie i częstowały ich piernikami z cukrowymi napisami: „*Sieg und Rache!*”, „*Gott strafe England!*”, „*Der Oesterreicher hat ein Vaterland. Er liebt's und hat auch Ursach fürs Vaterland zu kämpfen!*”.

Górale z Gór Kasperskich obżerali się piernikami, ale i z ich twarzy nie znikł ani na chwilę wyraz tępoty i beznadziejności.

Potem został wydany rozkaz, że żołnierze kompaniami udawać się mają do kuchni polowych za dworcem po pożywienie.

Za dworcem znajdowała się także kuchnia oficerska i do tej kuchni udał się Szwejk z polecenia oberfeldkurata, podczas gdy jednoroczny ochotnik czekał cierpliwie, aż zostanie nakarmiony. Dwaj szeregowcy eskorty poszli po jedzenie dla całego wagonu aresztanckiego.

Szwejk wykonał otrzymane zlecenie bardzo skrupulatnie, a wracając przez tor, ujrzał porucznika Lukasa spacerującego wzdłuż toru. Porucznik czekał także na obiad.

Jego sytuacja była bardzo niemiła, ponieważ on i porucznik Kirschner mieli jednego wspólnego służącego. Ten zacny służący troszczył się właściwie tylko o porucznika Kirschnera i z premedytacją sabotował Lukasa zawsze i wszędzie.

— Dla kogo niesiecie jedzenie, Szwejku? — zapytał nieszczęśliwy porucznik, gdy Szwejk poukładał na ziemi mnóstwo rzeczy, które wyludził z kuchni oficerskiej i niósł owinięte płaszczem.

Szwejk stropił się w pierwszej chwili, ale zaraz odzyskał równowagę ducha. Twarz jego zajaśniała spokojem i zadowoleniem.

— To dla pana oberlejtanta, posłusznie melduję. Tylko nie wiem, gdzie pan oberlejtant ma swój przedział, a także nie wiem, czy pan komendant pociągu nie będzie miał nic przeciwko temu, abym poszedł z panem. To jakaś świnią.

Porucznik Lukasz spojrział badawczo na Szwejka, ale ten z wyrazem jak największego zaufania mówił dalej:

— To naprawdę jakaś świnią, panie oberlejtant. Kiedy odbywał przegląd inspekcyjny naszego wagonu, meldowałem mu się, że już po jedenastej i że mam prawo przejść do wagonu bydlęcego albo do pana, a on mi na to, żeby sobie spokojnie siedział w wagonie aresztanckim, to przynajmniej w drodze nie narobię panu oberlejtantowi jakiego wstydu.

Szwejk miał minę męczennika niewinnie krzywdzonego.

— Jakbym ja panu oberlejtntantowi zrobił kiedykolwiek coś takiego, za co się trzeba wstydzić.

Porucznik Lukasz westchnął.

— Wstydu żadnego jeszcze panu nigdy nie narobiłem — wywodził Szwejk dalej — a jeśli się czasem nawet coś niecoś przytrafiło, to było zrządzeniem bożym i nieszczęśliwą przygodą, jak mawiał stary Jeniczek z Pelhrzimova, kiedy odbywał trzydziestą szóstą karę więzienną. Nigdy nie zrobiłem nic takiego rozmyślnie, panie oberlejtntant, zawsze chciałem zrobić coś zgrabnego, dobrego i nie ja temu jestem winien, jeśli obaj nie mieliśmy z tego profitu, ale raczej smutek i żal.

— No, nie lamentujcie tak bardzo, mój Szwejku — rzekł porucznik Lukasz głosem miękkiem, gdy obaj zbliżali się do wagonu sztabowego. — Ja wydam rozporządzenie, żebyście znowu byli przydzieleni do mnie.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtntant, że nie lamentuję. Tylko mi się tak żal zrobiło, że obaj jesteśmy najniešťczęśliwsi ludzie na tej całej wojnie i pod słońcem i obaj cierpimy niewinnie. Ciężki to los, gdy sobie pomyślę, że od maleńkości miałem serce dobre i życzliwe dla każdego.

— Uspokójcie się, Szwejku.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtntant, że gdyby to nie było naruszeniem subordynacji, to bym powiedział, że się w ogóle uspokoić nie mogę, ale ponieważ muszę słuchać rozkazów, więc melduję, że już jestem spokojny.

— No to włączcie do wagonu, Szwejku.

— Posłusznie melduję, że włączę, panie oberlejtntant.

*

Nad obozem wojskowym w Brucku panowała cisza nocna. W barakach dla szeregowców zimno było jak w psiarni i żołnierze drżeli z zimna, w barakach oficerskich było nieznośnie gorąco i trzeba było otwierać okna.

Koło poszczególnych obiektów, strzeżonych przez wartowników, słyħać było kroki wartujących żołnierzy, którzy chodzeniem pokonywali senność.

Opodal w Brucku nad Litawą jarzyły się okna c. i k. fabryki konserw mięsnych, w której to fabryce w dzień i w nocy przerabiano różne odpadki. Ponieważ powiewał wiatr z tamtej strony, więc na obóz walił się smród gnijących ochłapów, kopyt i gnatów, z których wygotowywano różne wojskowe rosoly.

Z opuszczonego pawiloniku, gdzie w czasach pokoju jakiś fotograf robił zdjęcia żołnierzom, trawiącym swoją młodość na ćwiczeniach w strzelaniu, można było dojrzeć na dole nad Litawą czerwone światło elektrycznej lampki, oświełającej bajzel „Pod Jasnym Kłosem”. Był to okrzyczany dom, który odwiedzinami swymi zaszczycił arcyksiążę Stefana podczas wielkich manewrów pod Soproniem w roku 1908. W domu tym zbierało się dzień w dzień towarzystwo oficerskie.

Był to najlepszy dom rozpusty, niedostępny dla szeregowców i jednorocznych ochotników.

Prości żołnierze i ochotnicy jednoroczni chodzili do „Domu Róż”, którego zielone światła były również widoczne z okien opuszczonego pawiloniku fotografa.

Był tu taki sam podział, jaki panował później na froncie, kiedy mocarstwo nie miało dla swoich żołnierzy już nic innego prócz przenośnych bajzli przy sztabach brygad, tak zwanych „puffów”.

Wszędzie więc można było znaleźć *k. u. k. Offizierspuff*, *k. u. k. Unteroffizierspuff* i *k. u. k. Mannschaftspuff*.

Bruck nad Litawą jarzył się światłem tak samo, jak na drugiej stronie rzeki jaśniała Kiraly Hida. W obu miastach, austriackim i węgierskim, grywały kapele cygańskie, jarzyły się okna kawiarni i restauracji, śpiewano i pito. Miejscowe mieszczuchy i urzędnicy przyprowadzali do kawiarni i restauracji swe żony i dorosłe córki, a cały Bruck nad Litawą razem z Kiraly Hidą nie był niczym innym, tylko jednym wielkim bajzlem.

W obozie, w jednym z oficerskich baraków, Szwejk oczekiwał w nocy powrotu swego porucznika, który wyszedł wieczorem do miasta, do teatru, i dotychczas nie wrócił,

choć godzina była już bardzo późna. Szwejk siedział na rozestłanym łóżku swego porucznika, a naprzeciwko niego na stole siedział służący majora Wenzla.

Major Wenzl powrócił znowu do służby w pułku, gdy w Serbii podczas walk nad Driną stwierdzona została jego całkowita nieudolność w dowodzeniu na froncie. Opowiadano sobie o tym, że kazał rozebrać i zniszczyć most pontonowy, kiedy pół swego batalionu miał jeszcze po drugiej stronie rzeki. Teraz został przydzielony do wojskowej strzelnicy w Kiraly Hidzie jako dowódca, a prócz tego spełniał w obozie obowiązki intendenta. Oficerowie szepotali między sobą, że major Wenzl porośnie na tej służbie w pierze. Pokoje Lukasa i Wenzla znajdowały się na jednym korytarzu.

Służący majora Wenzla, Mikulaszek, malutki, ospowaty chłopina, bujał nogami i wywodził:

— Dziwię się, że ta moja stara małpa jeszcze nie wraca. Chciałbym wiedzieć, gdzie się taki włóczy po nocach! Gdyby mi przynajmniej dał klucz od pokoju, to bym sobie leżał. I popić byłoby czego, bo wina jest pełen pokój.

— Podobno kradnie — rzekł Szwejk paląc w spokoju ducha papierosa swego pana, ponieważ zakazano mu palenia fajki w pokoju. — Ty musisz chyba wiedzieć o tym, skąd on bierze tyle wina.

— Chodzę tam, gdzie mi każe — głosem cieniutkim odpowiedział Mikulaszek. — Daje mi kartkę, więc idę i fasuję niby dla szpitala, a przynoszę do domu.

— A jakby ci kazał — pytał Szwejk — żebyś ukradł kasę pułkową, ukradłbyś? Tutaj siedzisz i pyskujesz, ale trzęsiesz się przed nim ze strachu.

Mikulaszek zamyślił się nad pytaniem Szwejka i odpowiedział:

— Co do kasy pułkowej, to musiałbym się zastanowić.

— Nad niczym nie wolno ci medytować, ty sieroto niemądra! — krzyknął na niego Szwejk, ale głos jego urwał się nagle, bo w tej właśnie chwili otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł porucznik Lukasz. Od pierwszego wejrzenia widać było, że musiał zdrowo pić, bo czapkę miał na głowie daszkiem do tyłu.

Mikulaszek tak się przeraził, że nawet nie zeskoczył ze stołu, ale zasalutował siedząc, zapomniawszy zupełnie, że przecież nie ma czapki na głowie.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że wszystko jest w porządku — półgębkiem meldował Szwejk stanąwszy na baczność według wszelkich prawideł przepisu i zapomniawszy jedynie wyjąć papierosa z ust.

Porucznik Lukasz nie zwrócił na to uwagi i podszedł prosto do Mikulaszka, który wytrzeszczonymi oczyma spoglądał na porucznika, śledząc każdy jego ruch. Salutował przy tym bez przerwy i nadal siedział na stole.

— Porucznik Lukasz — rzekł oficer podchodząc do Mikulaszka krokiem nie bardzo pewnym — a wy coście za jeden?

Mikulaszek milczał. Lukasz przysunął sobie krzesło przed siedzącego na stole, oniemiałego z wrażenia służącego, następnie usiadł sam i spoglądając wzwyż, zwrócił się do swego sługi:

— Szwejk, podajcie mi z walizki rewolwer służbowy.

Przez cały czas, gdy Szwejk szukał w walizie rewolweru, Mikulaszek milczał i okiem wystraszonego patrzył na porucznika. Jeśli w tej chwili uświadomił sobie, że siedzi na stole, to musiała go ogarnąć rozpacz tym większa, ponieważ stopy jego dotykały kolan siedzącego przed nim porucznika.

— Pytam się, jak wam na imię, człowieku! — wołał porucznik Lukasz.

Biedak milczał dalej. Opanowała go jakaś drętwość, jak później tłumaczył Szwejkowi, spowodowana przestraszeniem z nagłego przyjścia porucznika. Chciał zeskoczyć ze stołu, ale nie mógł, chciał odpowiedzieć, ale nie zdołał otworzyć ust, chciał przestać salutować, ale nie mógł poruszyć ręką.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant — odezwał się Szwejk — że rewolwer nie jest nabity.

— To go nabijcie, Szwejk.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że w domu nie mamy naboju, wobec czego trudno będzie zestrzelić go ze stołu. Pozwalam sobie zauważyć, że to jest Mikulaszek, służący pana majora Wenzla. On zawsze niemieje, jak tylko zobaczy którego z panów oficerów. I w ogóle wstydzi się mówić. Toto jest taka sierota niemądra, że się tak wyrażę.

Pan major Wenzl pozostawia toto zawsze na korytarzu, gdy wychodzi do miasta, więc biedaczysko szwenda się od jednego służącego do drugiego po całym baraku. Żeby jeszcze miało to powód do takiego przestrachu, ale on przecież nigdy nic złego nie zrobił.

Szwejk splunął; w głosie jego, jak i w tym, że cały czas mówił o Mikulaszku w rodzaju nijakim, wyrażała się cała pogarda wobec tchórzliwego służącego majora Wenzla, nie umiejącego nawet zachować się po wojskowemu.

— Pozwoli pan oberlejtant — mówił Szwejk dalej — że go powącham.

Szwejk ściągnął ze stołu zgłupiałego Mikulaszka i postawiwszy go na podłodze obwąchał jego spodnie.

— Jeszcze nie — zameldował — ale już się zaczyna. Czy pan oberlejtant nie każe go wyrzucić?

— Wyrzucicie go, Szwejku.

Szwejk wyprowadził drżącego Mikulaszka na korytarz, zamknął drzwi za sobą i rzekł:

— Uważaj, barania głowo, że ci w tej chwili uratowałem życie. Jak tylko przyjdzie ten twój major Wenzl, to mi za to chyłkiem wynieś butelkę wina. Mówię bez żartów. Ja ci naprawdę uratowałem życie. Jak mój oberlejtant się schla, to nie ma z nim gadania. Tylko ja umiem się z nim obchodzić i nikt inny.

— Bo ja...

— Co ty? Pierdziel jesteś, i tyle — rzekł wzgardliwie Szwejk. — Usiądź sobie tu na progu i czekaj na tego swojego majora Wenzla.

— Gdzie was diabli noszą tak długo? — rzekł porucznik Lukasz do wracającego Szwejka. — Muszę z wami porozmawiać. Nie stawajcie tak idiotycznie na baczność, ale siadajcie i rozmawiajcie ze mną po prostu, bez tego waszego „według rozkazu”. Więc stulcie gębę i uważajcie, jak się patrzy. Wiecie, gdzie w Kiraly Hidzie jest ulica Sopronńska? Tylko zostawcie to swoje „posłusznie melduję, panie oberlejtant, że nie wiem”, jak nie wiecie, to mówcie: nie wiem, i basta. Zapiszcie sobie na kawałku papieru: ulica Sopronńska nr 16. W domu pod tym numerem jest handel żelaza. Wiecie, co to jest handel żelaza? *Herrgott*, nie gadajcie wciąż: posłusznie melduję! Mówcie: wiem albo nie wiem. A więc wiecie, co to jest handel żelaza? No to dobrze, że wiecie. Ten handel jest własnością jakiegoś Madziara imieniem Kakonyi. Wiecie, co to *zacz Madziar*? No więc, *Himmelherrgott*, wiecie czy nie wiecie? Aha, wiecie. Nad tym sklepem na górze jest pierwsze piętro i na tym pierwszym piętrze on mieszka. Wiecie o tym? Nie wiecie? No to wam o tym mówię, żebyście wiedzieli, do stu tysięcy! Wystarcza wam to? No to dobrze, że wam to wystarcza. Gdyby wam to nie wystarczało, to kazałbym was wsadzić do paki. Już sobie zapisaliście, że ten kupiec nazywa się Kakonyi. Więc doskonale. Jutro rano około dziesiątej pójdziecie do Kiraly Hidy, odszukacie ten dom, o którym wam mówię, wejdziecie na pierwsze piętro i oddacie list ode mnie pani Kakonyi.

Porucznik Lukasz otworzył portfel i ziewając podał Szwejkowi białą kopertę z listem. Koperta nie była zaadresowana.

— Jest to rzecz ogromnie ważna, mój Szwejku — mówił porucznik dalej. — Ostrożność nigdy nie zawadzi i dlatego, jak widzicie, na kopercie nie ma adresu. Okazuję wam pełne zaufanie i oczekuję od was, że list wręczycie, jak się należy. Zanotujcie sobie jeszcze, że ta dama nazywa się Etelka, no więc zapiszcie sobie: pani Etelka Kakonyi. Jeszcze raz powtarzam wam, że list musicie wręczyć za wszelką cenę, oczywiście bardzo dyskretnie i musicie poczekać na odpowiedź, o tym już jest mowa w liście. Czego jeszcze chcecie?

— A gdybym, panie oberlejtant, odpowiedzi nie otrzymał, to co mam robić?

— To trzeba nalegać, żeby koniecznie była odpowiedź — mówił porucznik ziewając od ucha do ucha. — Ja teraz pójdę spać, bo jestem bardzo zmęczony. Dużo się piło. Sądzę, że każdy byłby zmęczony po takim wieczorze i po takiej nocy.

Porucznik Lukasz nie myślał z wieczora o tym, że zasiedzi się w mieście tak długo. Aby trochę się zrozerwać, ruszył do węgierskiego teatru w Kiraly Hidzie, gdzie dawano właśnie jakąś węgierską operetkę z tłustymi Żydówkami w rolach głównych, których jedyną zaletą było to, że w tańcu zadzierały nogi jak najwyżej, a nie miały na sobie ani trykotów, ani majtek, a dla większej atrakcji wygolone były jak Tatarki, z czego oczywiście galeria nie miała najmniejszego pożytku, ale co tym bardziej cieszyło oficerów artylerii siedzących na parterze, którzy dla zakosztowania tych wszystkich rozkoszy zabierali z sobą artyleryjskie lornetki.

Porucznika Lukasa nie bawiło wszakże to interesujące świństwo, ponieważ lornetka, którą sobie pożyczył, nie była achromatyczna, tak że zamiast ud widział w ruchu tylko jakieś sine płaszczyzny.

Podczas antraktu po pierwszym akcie zainteresowała go natomiast pewna pani, która była w towarzystwie jakiegoś pana w średnim wieku i ciągle domagała się od niego, aby ją odprowadził do garderoby i aby poszli do domu, bo na takie rzeczy patrzeć nie może. Wypowiadała to dość głośno po niemiecku, na co jej towarzysz odpowiadał po węgiersku:

— Tak jest, aniele, pójdziemy, masz rację. To naprawdę wstrętne.

— *Es ist ekelhaft* — mówiła zagniewana dama, gdy jej towarzysz podawał płaszcz.

Była wzburzona, jej oczy płonęły gniewem wobec tego bezwstydu. Postawę miała piękną, oczy duże i czarne. Spojrzała na porucznika Lukasa i jeszcze raz z naciskiem powtórzyła:

— *Ekelhaft, wirklich ekelhaft!*

To zdecydowało o króciutkiej przygodzie romantycznej.

Od garderobianej otrzymał informacje, że ci państwo nazywają się Kakonyi, że pan ma handel żelaza przy ulicy Sopronskiej nr 16.

— Pani Etelka mieszka z mężem na pierwszym piętrze — mówiła usłużna garderobiana z zapalem starej stręczycielki.

— Ona jest Niemką z Sopronia, on Madziar. Tutaj wszystko jest pomieszane.

Porucznik Lukasz kazał sobie podać płaszcz i wyszedł także na miasto. W winiarni „Arcyksiążę Albrecht” spotkał się z kilku kolegami z 91 pułku.

Mówił niewiele, ale tym więcej pił kombinując, co właściwie należałoby napisać do tej surowej, moralnej i pięknej pani, która stanowczo bardziej go pociągała niż wszystkie te skaczące małpy na scenie, jak wyrażali się o nich koledzy.

W bardzo dobrym nastroju udał się do małej kawiarni „Pod Krzyżem Świętego Stefana”, kazał przygotować sobie osobny pokój, wypędził z niego jakąś Rumunkę, która proponowała mu, że rozbierze się do naga i będzie mógł robić z nią, co mu się będzie podobało, zażądał papieru, atramentu i pióra i przy butelce koniaku zabrał się do pisania listu, który wydawał mu się najładniejszym ze wszystkich listów, jakie kiedykolwiek napisał.

„Wielce Szanowna Pani!

Byłem wczoraj w teatrze miejskim na przedstawieniu, które napelniło panią obrzydzeniem. Podczas całego pierwszego aktu obserwowałem Panią i Jej małżonka. Miałem wrażenie...”

Zawahał się przez przez chwilę, ale potem machnął ręką i rzekł do siebie:

— Co tam! Z jakiej racji taki drab ma mieć niewiastę takiej urody? Przecież wygląda przy niej jak ogolony pawian.

Pisał więc dalej:

„...że małżonek Pani z dużym zainteresowaniem przyglądał się ohydnie przedstawianej na scenie. Ohyda ta słusznie wzbudziła obrzydzenie w Szanownej Pani, ponieważ nie była to sztuka, ale wstrętne oddziaływanie na najintymniejsze popędy człowieka”.

Co za pierś ma ta kobieta — pomyślał porucznik Lukasz — ale wracajmy do listu.

„Wielce Szanowna Pani raczy mi wybaczyć, iż piszę do Niej, aczkolwiek nie jestem Jej znany. Będę szczery i powiem wszystko, co czuję. Widziałem w życiu wiele kobiet, ale żadna nie wywarła na mnie takiego wrażenia jak Pani, albowiem sąd Pani i pogląd na życie zgadza się najzupełniej z moim poglądem. Jestem przekonany, że małżonek Pani jest wielkim egoistą, który włóczy Panią razem z sobą...”

— Tak nie można — rzekł Lukasz do siebie i przekreślił „*schleppt mit*”, po czym pisał dalej:

„...dla własnej przyjemności zabiera Panią na przedstawienia, jakie odpowiadają jedynie upodobaniom jego. Lubię szczerłość i nie narzucam się Pani bynajmniej, ale pragnąłbym porozmawiać z Panią na osobności o czystej sztuce...”

W tutejszych hotelach się nie uda — pomyślał — trzeba ją będzie zaciągnąć do Wiednia. Każę się po prostu odkomenderować.

„Dlatego ośmielam się prosić Wielce Szanowną Panią o spotkanie, abyśmy się z sobą bliżej mogli poznać, czego z pewnością nie odmówi Pani temu, którego w czasie najbliższym oczekują trudy i udręki wojenne, a który w razie łaskawej zgody Pani w zgiełku bitew zachowa sobie najpiękniejsze wspomnienie o duszy, która zrozumiała mnie i odczuła tak, jak ja zrozumiałem i odczułem Ją. Decyzja Pani będzie dla mnie rozkazem, odpowiedź Jej stanie się dla mnie chwilą rozstrzygającą na całe życie”.

Podpisał się, dopił koniak, kazał sobie podać jeszcze butelkę i pijąc kieliszek za kieliszkiem, odczytywał swój list, zdanie po zdaniu. Wzruszył się nim aż do łez.

*

Była godzina dziewiąta, gdy Szwejk zbudził porucznika Lukaszka:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że pan się spóźni na służbę, a ja muszę już iść z pańskim listem do tej Kiraly Hidy. Budziłem pana już o siódmej, potem o pół do ósmej, potem o ósmej, gdy już wszyscy szli na ćwiczenia, ale pan się obracał zawsze na drugi bok. Panie oberlejtant... ja mówię, panie oberlejtant...

Porucznik Lukaszka mamrotał coś pod nosem i chciał się znowu obrócić na drugi bok, ale mu się to nie udało, ponieważ Szwejk trząsał nim niemiłosiernie i wrzeszczał na cały głos:

— Panie oberlejtant, ja idę z pańskim listem do Kiraly Hidy.

Porucznik ziewnął.

— Z listem? Aha, z moim listem. Ale to rzecz dyskretna, sekret między nami. Rozumiecie? *Abtreten!*

Porucznik owinął się znowu koldrą, z której wyluskał go Szwejk, i spał dalej, podczas gdy Szwejk wędrował do Kiraly Hidy.

Znalezienie ulicy Sopronskiej nr 16 nie byłoby takie trudne, gdyby Szwejk nie spotkał się przypadkiem ze starym saperem Vodiczką, przydzielonym do „sztajerów”, których koszary znajdowały się w głębi obozu. Vodiczka mieszkał przed laty w Pradze na Boisku, więc takiego spotkania nie można było puścić sobie płazem. Zaszli więc obaj starzy przyjaciele do szyneczku „Pod Czarnym Barankiem” w Brucku, gdzie była znana kelnerka Rużenka, Czeszka, kredytuująca wszystkim jednorocznym ochotnikom całego obozu.

Ostatnimi czasy saper Vodiczka, stary wyga i wyżeracz, wdzięczny był do niej, prowadził ewidencję wszystkich kompanii marszowych opuszczających obóz, chodził po jednorocznych ochotnikach, przypominał im długi i w ogóle troszczył się, aby w zgiełku wojennym żaden z nich nie odjechał nie zapłaciwszy Rużence, co jej się należało.

— Dokąd właściwie idziesz? — zapytał stary saper Vodiczka, gdy obaj popili doskonałego wina.

— To sekret — odpowiedział Szwejk — ale tobie, staremu koledze, powiem.

Opowiedział mu o wszystkim szczegółowo, po czym Vodiczka oświadczył, że jako stary saper nie może opuścić dobrego towarzysza i że pójdą oddać list razem.

Czas upływał im bardzo mile na rozmowie o dawnych dobrych czasach, a gdy po godzinie dwunastej wyszli spod „Czarnego Baranka”, wszystko na świecie wydawało im się ogromnie proste i łatwe.

Prócz tego byli święcie przekonani, że już nikogo na świecie się nie boją. Vodiczka przez całą drogę na ulicę Sopronską numer 16 przejawiał ogromną nienawiść dla Madziarów i bezustannie opowiadał, że bije się z nimi, gdziekolwiek ich napotka, i że biłby się jeszcze częściej, ale to i owo mu czasem przeszkodziło.

— Razu pewnego złapałem takiego łobuza madziarskiego za kark i trzymam... Było to w Pausdorfie, dokąd poszliśmy, my saperzy, na wino. Więc go trzymam za kark i chcę mu dać pochwą od bagnetu po jego baranim łbie, a było ciemno, bo zaraz, jak tylko się zaczęło, puściliśmy flaszeczkę w wiszącą lampę, a ten zaczyna na mnie wrzeszczeć:

„Antek, powiada, co ty? Przecież to ja, Purkrabek, z 16 landwery!”

O mały figiel byłbym się grubo pomylił. Ale wynagrodziliśmy to sobie na innych łobuzach madziarskich nad Jeziorem Nezyderskim, na które poszliśmy przed trzema tygodniami popatrzeć. W jakiejś wiosce stacjonuje honwedzki oddział karabinów maszynowych, a my weszliśmy przypadkowo do karczmy, gdzie te honwedy jak wściekle tańczyły swego czardasza. Rozdzierały pyski od jednego ucha do drugiego: „*Uram, uram, biró uram*” albo: „*Lájok, lánjok, lánjok a faluba*”. Siadamy tedy naprzeciwko nich i kładziemy sobie pochwę od bagnetów na stole. „My wam tu zaraz damy »*Lánjok*«, wy pieskie syny!” — powiadamy sobie, a niejaki Mejrtrzik, który miał łapy jak niedźwiedź, mrugnął na nas, że pójdzie potańczyć i zabierze któremu z tych drabów dziewczynę. A trzeba ci wiedzieć, że dziewczyny tam były paluszki lizać: hydziate takie, biedrzate, piersiste. A gdy się te łobuzy madziarskie do nich w tańcu przyciskały, to było widać, że piersi tych dziewczyn są twarde, pełne, solidne i że się im te karesy taneczne podobają, jednym słowem, umiały ocenić przyjemności tłoku. Więc ten Mejrtrzik skoczył żwawiućko i najładniejszą dziewczynkę zabiera bez ceremonii jakiemuś honwedowi. Ten na niego z pyskiem, Mejrtrzik dał mu zaraz porządnie w łeb, aż się Madziar nogami nakrył, a my za pochwę. Owinęliśmy rzemienie dokoła rąk, żeby nam bagnety nie powypadały, i rzuciliśmy się w wir tej zabawy, a ja objąłem komendę i wołam: „Winny niewinny, wal, bracie, po kolei!” Szło nam jak po maśle. Honwedy oknem w nogi, a my ich za nóżki i wciągamy nazad do sali. Kto nie był z naszych, dostał zdrowo. Przyplątał się tam niepotrzebnie ich starosta i żandarm, więc też oberwali. Karczmarz też dostał po łbie, bo zaczął po niemiecku uragać, że psujemy zabawę. A potem wylapywaliśmy po wsi jeszcze i tych, co się chcieli ukryć przed nami. Jednego ich *zugführera* znaleźliśmy w pewnym gospodarstwie na samym końcu wsi. Zaszył się głęboko w siano, ale na nic mu się to nie zdało, bo go zdradziła jego własna dziewczyna za to, że w karczmie tańczył z inną. Zapatrzyła się w naszego Mejrtrzika i zaprowadziła go potem w stronę Kiraly Hidy, gdzie pod lasem są suszarnie siana. Zawlekła go do jednej z takich suszarń i potem chciała od niego pięć koron, a on jej dał po gębie. Dogonił nas już koło samego obozu i zaczął opowiadać, jak to myślał zawsze, że Madziarki są ogniste, a ta flądra nic, leżała jak pień i ciągle tylko szwargotała. Jednym słowem, Madziary to hołota — zakończył swoje opowiadanie stary saper Vodiczka, na co mu Szwejk odpowiedział:

— Niektóry Madziar też nie winien, że Madziar.

— Jak to nie winien?! — irytował się Vodiczka. — Każdy winien, a ty nie gadaj głupstw! Życzyłbym ci, żebyś się dostał w takie opał jak ja, kiedyś tu był pierwszy dzień po przyjeździe na kursy. Jeszcze tego samego popołudnia spędzili nas jak stado baranów do kupy, a jakiś taki idiota zaczął rysować coś na tablicy i tłumaczyć nam, co to są blindaże, jak się robi podkopy i jak się jedno z drugim mierzy. I powiada, że kto jutro rano nie będzie miał w zeszycie takich rysunków, jak on nam tłumaczył, to pójdzie do paki i dostanie słupka. „Ciężka choroba, myślę sobie, zameldowałem się na te kursy, żeby się trochę zadekować, a tu mi każą robić malunczki w zeszycikach jak sztubaczкови jakiemu”. Wściekłość mnie taka ogarnęła, że usiedzieć nie mogłem i mdło mi się robiło, jak spojrzałem na tego bałwana, co nam te rzeczy tłumaczył. Aż mnie ręce świerzbiałały, żeby wszystko rozbić i rozmlócić na drzazgi z tej wściekłości. Nie czekałem wcale na kawę, prosto z baraku ruszyłem do Kiraly Hidy i w zapamiętaniu myślałem tylko o jednym, żeby wyszukać jaką spelunczkę zacisną, schlać się porządnie, zrobić piekło, dać komuś po pysku i po wyszumieniu tej złości iść spokojnie do domu. Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. Nad rzeką znalazłem rzeczywiście taki lokalik, jakiego było mi trzeba, zaciszny jak kapliczka, jakby stworzony do awantur. Siedziało tam tylko dwóch gości i rozmawiali z sobą po madziarsku, co mnie jeszcze bardziej rozżłościło. Toteż schlałem się prędzej, niż przypuszczałem, i po pijanemu nawet nie zauważyłem, że obok jest jeszcze jedna izdebka i że podczas gdy ja dokładałem starań, żeby się spać, do tej izdebki weszło z ośmiu huzarów, którzy rzucili się na mnie natychmiast, jak tylko tym dwóm gościom dałem po pysku. Te drańskie huzary tak ci mnie zmordowali i zgonili między ogrodami, że nie mogłem trafić

do domu i wróciłem dopiero nad ranem, a rano musiałem się zaraz meldować jako chory. Opowiedziałem, że wpadłem do dołu koło cegielni. Przez cały tydzień musieli mnie owijać w mokre prześcieradła, żeby mi się plecy nie obierały. Nie życz sobie, bratku, dostać się między takich łotrów. To nie ludzie, ale bydło.

— Kto mieczem wojuje, od miecza ginie — rzekł Szwejk. — Nie powinieneś dziwić się, że chłopcy się zapamiętały. Wino musieli zostawić na stole, aby ciebie gonić po ogrodach w ciemnościach nocnych. Powinni byli załatwić się z tobą na miejscu i dopiero potem wyrzucić cię z lokalu. I dla nich byłoby tak lepiej, i dla ciebie też, gdyby się z tobą byli rozprawili przy stole. Znałem szynkarza Paroubka w Libni. Pewnego razu upił się u niego jakiś druciarz jałowcówką i zaczął urągać, że wódka jest słaba i że szynkarz dolewa do niej wody, że gdyby on, druciarz, drutował sto lat i gdyby za cały zarobek kupił sobie takiej jałowcówki, i gdyby tę jałowcówkę wypił na raz, to jeszcze mógłby chodzić po linie i jego, niby tego Paroubka, nosić na rękę. Potem jeszcze dodał, że Paroubek jest huncwot i bestia nie byle jaka, więc Paroubek wyrzwał go w głowę tymi jego łapkami na myszy i zwojami drutu, wyrzucił go na ulicę i thukł go drągiem od ściągania rolet, a był taki rozszluszczony, że pędził tego druciarza aż do Domu Inwalidów w Karlinie, stamtąd na Žižkov, potem przez Žydowskie Piece do Maleszic, gdzie wreszcie o swego gościa drąg przetrzącił, tak że mógł powrócić do Libni. No tak, ale w gniewie zapomniał, że w szynku siedziało sporo gości, i nie pomyślał, że w jego nieobecności będą sobie gospodarować te draby według własnego uznania. I tak też było, o czym się przekonał, gdy wreszcie dotarł do swego szynku. Przed drzwiami, na które do połowy zapuszczono żaluzje, stali dwaj policjanci, którzy wstawili się okropnie, gdy w szynku robili porządek. Zapasy szynku były na poły wypite, na chodniku leżała pusta baryłka od rumu, a pod bufetem znalazł Paroubek dwóch schlanych gości, nie dostrzeżonych przez policję. Paroubek wyciągnął ich stamtąd, a ci chcieli mu zapłacić po dwa grajcarey, bo powiadali, że więcej żytniej nie wypili. Zapalczywość się nie oplaca. Tak samo jest na wojnie. Najprzód nieprzyjaciela bijemy i pędzimy przed sobą dniem i nocą, a potem trzeba wielkich sił, żeby jak najszybciej uciekać.

— Ja ich sobie dobrze zapamiętałem i gdyby mi który z tych drabów wszedł w drogę, to ja bym się z nim policzył. My, saperzy, jak się porządnie rozzłościmy, to jesteśmy dranie. Nie tak jak te „żelazne muchy”, ta landwera. Gdyśmy byli na froncie pod Przemyślem, to był u nas kapitan Jetzbacher, świnia, jakiej drugiej nie ma pod słońcem. Szykanował nas ten kapitan tak bezustannie, że jakiś Bitterlich z naszej kompanii, Niemiec, ale porządny człowiek, zastrzelił się z tego powodu. Więc powiedzieliśmy sobie tylko tyle, że jak się od strony rosyjskiej zacznie awantura, to i kapitana Jetzbachera jaka kula musi trafić. Tak też się stało: jak tylko Moskale zaczęli strzelać, posłaliśmy mu pięć kulek. Twarde miał gałgan życie jak kot i trzeba go było dobić jeszcze dwoma strzałami, żeby nam nie narobił jakiego bigosu; tylko zamruczał, ale tak jakoś wesoło, szpasownie.

Vodiczka roześmiał się.

— Takie rzeczy są na froncie normalne. Jeden mój kolega, który jest teraz u nas, opowiadał mi, że jak był jako piechur pod Białogrodem w *gefechcie*, to w taki sam sposób zakatrupili swego oberlejtanta, który też był pies niezgorszy, bo zastrzelił dwóch żołnierzy, którzy podczas marszu opadli z sił i dalej już się wlec nie mogli. Jak go wykończyli, to się jeszcze zebrał w sobie i zaczął gwizdać do odwrotu. Podobno okropnie to było śmieszne.

Prowadząc tak interesującą rozmowę, doszli wreszcie Szwejk i Vodiczka tam, gdzie na ulicy Soprońskiej pod numerem 16 znajdował się handel żelaza pana Kakonyi.

— Ty, bratku, lepiej poczekaj tu przed bramą — rzekł Szwejk do Vodiczki. — Wpadnę na górę, oddam list, poczekam na odpowiedź i za chwilę będę znowuż na dole.

— Ja miałbym cię opuścić? — zdziwił się Vodiczka. — Mówię ci jeszcze raz, że nie znasz Madziarów. Tutaj potrzebna jest wielka ostrożność. Ja go spiorę.

— Słuchaj, Vodiczko — rzekł Szwejk z wielką powagą — tu nie chodzi o Madziara, ale o jego żonę. Przecież opowiedziałem ci o wszystkim, kiedyśmy siedzieli u tej czeskiej kelnerki, że zanoszę list od swego oberlejtanta i że to jest sekret absolutny. Mój oberlejtant napominał mnie bardzo surowo, że o tym nie wolno pisać ani słówka przed nikim, a ta twoja kelnerka też mówiła, że oberlejtant ma rację i że to jest sprawa dyskretna i nikt nie powinien wiedzieć o tym, że pan oberlejtant pisuje listy do żony.

kobiety. Ty sam przyświadczałeś i kiwałeś głową. Wytłumaczyłem wam obojgu jak się należy, że ściśle wykonam rozkaz swego oberlejtanta, a ty się zawzięłeś i chcesz raptem iść razem ze mną na górę.

— Ty mnie jeszcze nie znasz, bracie Szwejk — odpowiedział również z wielką powagą stary saper Vodiczka. — Jak raz powiem, że z kimś idę, to tak samo, jakby inny złożył uroczystą przysięgę. We dwóch zawsze bezpieczniej.

— Ja ci to wyperswaduję, mój Vodiczko. Czy wiesz, gdzie jest ulica Neklana na Vyszehradzie? Więc tam miał warsztat ślusarz Vobornik. Był to człowiek sprawiedliwy i dnia pewnego, kiedy powrócił z pijatyki, przyprowadził sobie do domu wesołego kompana na nocleg. A potem musiał długo leżeć, a żona jego dzień w dzień, kiedy nakładała mu opatrunek na ranę na głowie, powtarzała te słowa: „Widzisz, Antosiu, żebyś był przyszedł sam, to byłabym trochę pouraęła i nie byłabym cię grzmotnęła w główkę gwichtem od wagi”. On zaś, gdy już odzyskał mowę i mógł odpowiadać, powtarzał: „Masz rację, matko, jak na drugi raz pójdę gdzie, to nie przyprowadzę z sobą nikogo”.

— Tego by jeszcze brakowało — rozżoślił się Vodiczka — żeby nam ten Madziar miał dać czymś w łeb. Złapię go za kark i zrzucę z piętra na dół tak elegancko, że polecą jak szrapnel. Z tymi łobuzami madziarskimi trzeba postępować ostro. Pieścić się z takimi nie warto.

— E, mój Vodiczko, przecież nawet tyle nie piłeś, żeby gadać takie rzeczy. Ja wypilem o dwie ćwiartki więcej niż ty. Pomyśl tylko dobrze, że nie możemy przecie wywołać jakiego skandalu. Ja za to odpowiadam. Przecie tu chodzi o kobietę.

— I kobieta może oberwać, jeśli o to chodzi. Mnie wszystko jedno. Mówię ci, że nie znasz jeszcze starego sapersa Vodiczki. Pewnego razu w Zabiechlicach na „Różanej Kępie” jedna taka maskara nie chciała ze mną tańczyć, że niby miałem spuchniętą twarz. Prawda, że twarz miałem spuchniętą, ponieważ akurat wracałem z pewnej zabawy tanecznej w Hostivarzu, ale takiej obrazy od tej dziewczki ścierpieć nie mogłem, więc powiadam: „Żeby mi szanowna panienska nie zazdrościła, to służę pani i ja”. I wlepiłem jej, co się należało, ale z takim szykiem, że przewróciła stół, przy którym siedziała z tatusiem, z mamusią, z dwoma braćmi. Kufle i wszystko poleciało na ziemię. Ale nie zląkłem się całej „Różanej Kępy”. Byli tam znajomi z Vrszovic i pomogli mi. Spraliśmy z pięć rodzin razem z dziećmi. Hałas było słycać chyba aż w Michli, a następnie cała ta awantura była opisana w gazetach, bo to była zabawa ogrodowa jakiegoś stowarzyszenia dobroczynności jakichś tam mieszczan. Więc widzisz, bracie, sprawa jest jasna. Jak mnie dopomogli dobrzy ludzie, tak i ja dopomogę tobie i każdemu koledze, gdy się zanosi na coś grubego. Rąb mnie, bracie, siekaj mnie, nie ruszę się od ciebie. Madziarów nie znasz. Nie możesz przecie uczynić mi tego, żebyś mnie od siebie odpędzał, skoro widzimy się po raz pierwszy od tylu lat, i jeszcze w takich okolicznościach.

— W takim razie pójdz ze mną — zdecydował Szwejk — ale musisz postępować bardzo ostrożnie, żebyśmy sobie nie nawarzyli jakiego piwa.

— Nie kłopotz się, kolego — szepnął Vodiczka wchodząc ze Szwejkiem na schody — jak ja go trzepnę...

I jeszcze ciszej dodał:

— Zobaczysz sam, że z takim łobuzem madziarskim damy sobie łatwo radę.

Gdyby w bramie tego domu był ktoś rozumiejący po czesku, to byłby usłyszał hasło Vodiczki: „Ty nie znasz Madziarów...” Było to streszczenie mądrości życiowej, którą zdobył Vodiczka w zacisznym szynczku nad Litawą, otoczonym ogrodami sławetnej Kiraly Hidy i górami, które żołnierze wspominać będą zawsze z przekleństwem i nienawiścią z powodu niezliczonych udręk i ćwiczeń przy zaprawianiu się do mordów i rzezi masowych przed wojną i podczas wojny.

*

Szwejk i Vodiczka stali przed drzwiami mieszkania pana Kakonyi. Zanim Szwejk nacisnął guzik dzwonka, rzekł do Vodiczki:

— Słyszałeś już zapewne, kolego, że ostrożność jest matką mądrości.

— Ja gwizdzę na ostrożność — odpowiedział Vodiczka. — Trzeba tak zrobić, żeby nawet nie miał czasu na otwarcie gęby.

— Tu nie chodzi o żadne otwarcie gęby, Vodiczko — rzekł Szwejk i zadzwonił, a Vodiczka dodał:

— *Eins, zwei* i mój Madziar zleci na łeb po schodach.

Drzwi się otworzyły i służąca zapytała ich po węgiersku, czego sobie życzą.

— *Nem tudom* — rzekł wzgardliwie Vodiczka. — Ucz się, panno, po czesku.

— *Verstehen Sie deutsch?* — zapytał Szwejk.

— *A pischen.*

— *Also sagen Sie der Frau, ich will die Frau sprechen, sagen Sie, dass ein Brief ist von einem Herr, draussen in Kong.*

— Dziwię się — rzekł Vodiczka wchodząc za Szwejkiem do przedpokoju — że z taką pindą rozmawiasz.

Stali w przedpokoju. Szwejk zamknął drzwi za sobą, rozejrzał się dokoła i rzekł:

— Mieszkanie to mają ładne i nawet dwa parasole na wieszaku wiszą, i ten obraz tego Pana Jezusa też niczego sobie.

Z pokoju, z którego słychać było szczerkanie łyżek i brzęk talerzy, wyszła znowu służąca i rzekła do Szwejka:

— *Frau ist gesagt, dass sie hat ka Zeit, wenn was ist, dass mir geben und sagen.*

— *Also* — rzekł uroczyście Szwejk — *der Frau ein Brief, aber halten Küschen.*

Podał jej list porucznika Lukaszka.

— *Ich* — dodał wskazując palcem na siebie — *Antwort warten hier im die Vorzimr?*

— Czemu nie siadasz? — zapytał Vodiczka, który usadowił się na krześle pod ścianą.

— Masz krzesło i siadaj. Nie stój jak jaki dziad. Nie poniżaj się przed tym Madziarem. Zobaczysz, że będziemy z nim mieli awanturę, ale ja go trzepnę.

Przez chwilę milczał, a potem zapytał:

— Gdzieżeś się nauczył po niemiecku?

— Sam z siebie — odpowiedział Szwejk. Znowu zapanowała cisza, aż raptem z pokoju, do którego służąca zaniósła list, doleciał wielki krzyk i hałas. Ktoś grzmotnął czymś ciężkim o ziemię, po czym słychać było wyraźnie tłuczenie szklanek i talerzy, pomieszane z wykrzykiwanymi słowami:

— *Baszom az anyát, baszom az istenet, baszom a Kristust Marját, baszom az atyadot, baszom a világót!*

Drzwi się rozwarły i do przedpokoju wpadł mężczyzna w kwiecie wieku z serwetką na szyi. Wymachiwał wściekle listem przyniesionym przez Szwejka.

Najbliżej drzwi siedział stary saper Vodiczka, rozniewany pan domu zwrócił się więc przede wszystkim do niego.

— *Was soll das heissen? Wo ist der verfluchte Kerl, welcher dieses Brief gebracht hat?*

— Powoli, mości panie — rzekł Vodiczka wstając z krzesła — nie wrzeszcz tak głośno, żebyś czasem nie wyleciał za drzwi, a jeśli chcesz wiedzieć, kto ten list przyniósł, to zwróć się grzecznie do kolegi Szwejka. Ale rozmawiaj z nim grzecznie, jeśli nie chcesz zlecieć po schodach.

Przyszła kolej na Szwejka, aby sam na sobie doświadczył bogactwa wymowy pana z serwetką na szyi, który wykrzykiwał piąte przez dziesiąte, że tego owego, że akurat jedli obiad.

— Właśnie słyszeliśmy, że państwo jedzą obiad — przyświadczył Szwejk łamaną niemczyzną i dodał po czesku: — Nie pomyśleliśmy o tym, że pora jest obiadowa i przerywamy państwu spożywanie posiłku.

— Nie poniżaj się — odezwał się Vodiczka.

Zagniewany pan gestykulował tak mocno, że serwetka trzymała się na szyi już tylko małym koniuszkiem. Łamaną niemczyzną wykrzykiwał dalej, że zrazu myślał, że ten list dotyczy jakichś kwater dla wojska w domu, który jest własnością jego żony.

— Tutaj umieściłoby się istotnie jeszcze sporo wojska — rzekł Szwejk — ale w tym liście chodziło o co innego, jak pan się niezawodnie sam przekonał.

Pan domu złapał się za głowę i zaczął głośno wykrzykiwać, że też był lejtnantem rezerwy, że i teraz chętnie służyłby w wojsku, ale ma chorobę nerkową. Za jego czasów oficerowie nie byli tacy swawolni, żeby zakłócać spokój w domach porządnym obywateli. Groził, że list pośle do dowództwa pułku, do Ministerstwa Wojny, opublikuje go w gazetach.

— Proszę pana — rzekł z wielkim dostojenstwem Szwejk — ten list napisałem ja. *Ich geschrieben, kein Oberleutnant*. Podpis tylko tak sobie sfalszowany. *Unterschrift, Name falsch*. Pańska żona bardzo mi się podoba. *Ich liebe Ihre Frau*. Ja jestem w pańskiej żonie zakochany po same uszy, jak mawiał poeta Vrchlicky. *Kapitales Frau*.

Wzburzony pan chciał się rzucić na Szwejka, który stał spokojnie i nie zdradzał strachu, ale stary saper Vodiczka, który bardzo uważnie śledził każdy ruch zagniewanego pana, podstawił mu nogę, wyrwał mu list z ręki, którym ten stale wymachiwał, wsunął go do kieszeni i zanim się pan Kakonyi zorientował, złapał go Vodiczka, zaniósł ku drzwiom, otworzył je wolną ręką, a po chwili słychać było, jak coś ciężkiego stacza się po schodach.

Wszystko stało się tak szybko, jak to się dzieje w bajce, gdy diabeł przychodzi sobie po duszę, która mu się zaprzedała.

W przedpokoju pozostała tylko serwetka zagniewanego pana. Szwejk podniósł ją, zapukał grzecznie do drzwi pokoju, z którego przed pięciu minutami wyszedł pan Kakonyi i z którego słychać było płacz kobiety.

— Oddaję pani serwetkę — rzekł Szwejk zwracając się bardzo uprzejmie do pani, która płakała na kanapie. — Żeby jej nie podeptali. Moje uszanowanie pani.

Trzasnął obcasami, zsalutował i wyszedł do sieni. Na schodach nie było żadnych śladów walki, bo wszystko zgodnie z przewidywaniem Vodiczki poszło bardzo gładko. Tylko na dole, koło bramy, znalazł Szwejk rozdarty biały kołnierzyk. Tutaj rozegrał się widać ostatni akt tragedii, gdy pan Kakonyi trzymał się bramy i rozpaczliwie się bronił, aby nie być wywleczonym na ulicę.

Natomiast na ulicy był ruch niezgorszy. Pana Kakonyi zaciągnięto do pobliskiej bramy, gdzie polewano go wodą, a na środku ulicy saper Vodiczka jak lew walczył z kilku honwedami-huzarami, którzy stanęli w obronie swego ziomka. Wywijał on bagnetem na pasie jak cepem. Walczył po mistrzowsku, ale nie walczył sam. Ramię przy ramieniu walczyło obok niego kilku żołnierzy czeskich z różnych pułków. Przechodzili akurat ulicą i pośpieszyli ziomkowi z pomocą.

Szwejk opowiadał później, że sam nie wie, jak się wplątał w tę całą awanturę; że nie miał bagnetu, więc opędzał się kijem, który mu się do rąk przyplątał, a był własnością jakiegoś wystraszonego świadka tej bijatyki.

Awantura trwała dość długo, ale nawet najpiękniejsze rzeczy mają swój koniec. Nadeszło wojsko z *bereitschaftu* i zabrało z sobą uczestników walki.

Szwejk maszerował obok Vodiczki ze swoim kijem, który przez komendanta *bereitschaftu* uznany został jako *corpus delicti*.

Szedł krokiem równym, trzymając kij na ramieniu niby karabin.

Stary saper Vodiczka przez cały czas milczał uparcie i dopiero gdy wchodzili na odwach, rzekł melancholijnie do Szwejka:

— A co, nie mówiłem ci, że Madziarów nie znasz?

IV. NOWE CIERPIENIA

Pułkownik Schröder z zadowoleniem spoglądał na bladą twarz porucznika Lukasa, który miał duże sine kręgi pod oczyma; porucznik, zakłopotany, nie patrzył w twarz swego zwierzchnika, ale ukradkiem, jakby studiował jakieś ważne zagadnienie, spoglądał na mapę dyslokacji wojsk w obozie. Mapa ta była jedyną ozdobą całej kancelarii pułkownika.

Przed pułkownikiem leżało na stole kilka gazet z artykułami zakreślonymi kolorowym ołówkiem. Pułkownik jeszcze raz spojrział na nie, a potem rzekł patrząc uważnie na porucznika Lukasa:

— Więc pan już wie o tym, że służący pański Szwejk jest w areszcie i że zostanie prawdopodobnie oddany pod sąd dywizyjny?

— Wiem, panie pułkowniku.

— Oczywiście, że to nie wszystko — z naciskiem rzekł pułkownik, pastwiąc się nad swoim podwładnym. — Na tym sprawa się nie skończy. Opinia publiczna jest wzburzona tym, co splota pański służący, ale do całej tej afery zostało wplątane także i pańskie nazwisko, panie poruczniku. Z dowództwa dywizji nadesłano nam już pewien materiał.

Mamy także kilka gazet, które pisały o wypadku. Może pan mi te artykuły przeczyta na głos.

Podał porucznikowi Lukaszowi gazety z zakreślonymi artykułami, a porucznik zaczął odczytywać jeden z nich głosem tak monotonnym, jakby z czytanki dla dzieci odczytywał zdanie: „Miód jest daleko pożywniejszy i strawniejszy od cukru”.

„Gdzie mamy gwarancję swej przyszłości?”

— Czy to jest „Pester Lloyd”, panie poruczniku? — zapytał pułkownik.

— Tak jest, panie pułkowniku — odpowiedział porucznik Lukasz i czytał dalej:

„Wojna wymaga współdziałania wszystkich obywateli monarchii austro-węgierskiej. Jeśli chcemy zapewnić sobie pokój i bezpieczeństwo, to wszystkie narody muszą wspomagać się wzajemnie, a gwarancja naszej przyszłości spoczywa właśnie w tym rzetelnym szacunku, jaki narody okazują sobie wzajemnie. Największe ofiary naszych dzielnych żołnierzy, posuwających się stale naprzód, byłyby daremne, gdyby nasze tyły, czyli organa odżywcze naszych sławnych wojsk, nie były należycie zjednoczone, gdyby za plecami naszych żołnierzy pojawiały się żywioły rozbijające jednolitość państwa, a przez swoją niegodziwą agitację obniżające wartość władzy państwowej. Żywioły takie musiałyby uniemożliwić ostatecznie współdziałanie obywateli i doprowadziłyby do zamieszek. W tej dziejowej chwili nie możemy spoglądać spokojnie na garść ludzi, którzy powodowani szowinizmem narodowym zakłócają zgodną pracę wszystkich narodów i przeszkadzają dziełu ukarania tych nędzników, którzy na państwo nasze napadli bez jakiegokolwiek powodu, z zamiarem odarcia go ze wszystkich dóbr kulturalnych. Nie podobna przemilczeć tych objawów chorobliwej nienawiści, która dąży tylko do zniweczenia jedności w duszach narodu. Już nieraz nadarzała się nam sposobność do zwracania uwagi w naszym piśmie na to, że władze wojskowe zmuszone były z całą surowością występować przeciwko tym jednostkom z czeskich pułków, które to jednostki, nie szanując chwalebnej tradycji owych pułków, krzewią po miastach i miasteczkach węgierskich nienawiść przeciwko całemu narodowi czeskiemu, który jako całość niczemu nie jest winien, albowiem zawsze stał niezachwianie na straży interesów tego państwa, o czym świadczy długi szereg znakomitych wodzów czeskich, że wspomnimy tu jedynie o sławnej pamięci marszałku Radetzkim i innych obrońcach mocarstwa austro-węgierskiego. Tym to świetlanym postaciom przeciwstawia się kilku łobuzów należących do czeskich szumowin społecznych. Korzystając z wojny światowej zgłosili się dobrowolnie do wojska, aby zakłócać jednomyślność narodów monarchii, kierując się przy tym swymi najniższymi popędami. Zwracaliśmy już uwagę na awantury pułku X w Debreczynie, którego postęпки były omawiane i potępione przez parlament w Budapeszcie, a którego sztandar pułkowy został później na froncie _____. Kto ma na sumieniu ten haniebny grzech? _____. Kto pędził czeskich żołnierzy _____. Co sobie myśli obca hołota w naszej węgierskiej ojczyźnie, najlepiej świadczy to, co się stało niedawno w Kirlay Hidzie, tej wyspie węgierskiej nad Litawą. Jakiej narodowości są żołnierze z pobliskiego obozu wojskowego w Brucku nad Litawą, którzy napadli i poturbowali tamtejszego obywatela i kupca pana Gyula Kakonyi? Uważamy za bezwzględny obowiązek odnośnych władz, aby wyświetliły tę sprawę i zwróciły się z zapytaniem do dowództwa wojskowego, które ze swej strony na pewno już zajęło się tą aferą, jaka rola w tym szczuciu przeciwko narodowi węgierskiemu przypada porucznikowi Lukaszowi, którego imię powtarzane jest w mieście w związku z tym, co się tam niedawno stało. Donosi nam o tym nasz korespondent miejscowy zebrawszy bogaty materiał dotyczący całej tej sprawy, która woła po prostu o pomstę do nieba. Czytelnicy »Pester Lloyd« na pewno z zaciekawieniem będą śledzić bieg tej sprawy; nie omieszkamy ich zapewnić, że wkrótce zaznajomimy ich bliżej z całym tym wydarzeniem, mającym tak

wyjątkowe znaczenie. Jednocześnie wszakże oczekujemy komunikatu urzędowego o zbrodni w Kiraly Hidzie, jakiej dopuszczono się na miejscowej ludności madziarskiej. Że sprawą tą zajmie się także parlament w Budapeszcie, o tym mówić nie trzeba. Czeskich żołnierzy, przejeżdżających przez Węgry na front, trzeba nauczyć szacunku dla naszych praw Korony Św. Stefana. Jeśli zaś istnieją jeszcze ludzie, którzy nie rozumieją znaczenia takich wybryków, jakie się zdarzają, to niechaj wiedzą, że w czasach wojny uczy się różnych awanturników poszanowania prawa kulą, stryczkiem, kryminałem i bagnetem. Gdzie nie ma dobrej woli, tam siła nauczy, jak trzeba się liczyć z interesami naszej wspólnej ojczyzny”.

— Kto jest podpisany pod tym artykułem, panie poruczniku?

— Bela Barabas, redaktor i poseł, panie pułkowniku.

— To znany drań, panie poruczniku. Ale zanim się ta rzecz dostała do „Pester Lloyd”, ten sam artykuł był już wydrukowany w „Pesti Hirlap”. A teraz niech mi pan przeczyta urzędowe tłumaczenie artykułu, który ukazał się w sopronskiej gazecie „Sopronyi Naplo”.

Lukasz odczytywał artykuł, w którym redaktor z jakimś osobliwym zamiłowaniem powtarzał takie zwroty, jak: przykazanie mądrości państwowej, porządek państwowy, ludzka nikczemność, podeptana godność ludzka, ucztą ludożerców, zmasakrowane społeczeństwo, banda mameluków, zakulisowe sprężyny itd. Z artykułu wynikało, że Węgrzy na własnej ziemi są najbardziej prześladowanym narodem, a napisany był takim tonem, jakby czescy żołnierze napadli autora, powalili go na ziemię, skakali po jego brzuchu, on zaś ryczał z oburzenia i bólu, a ktoś tam jego ryk stenografował. „O pewnych poważnych sprawach — wyrzekł »Sopronyi Naplo« tonem płaczącym — nie pisze się nic, chociaż nie wiadomo dlaczego. Każdy z nas wie, co to jest czeski żołnierz na Węgrzech i na froncie. Wszyscy doskonale wiemy, co Czesi potrafią, jakie czynniki tu działają i kto wszystko aranżuje. Czujność władz zwraca się, oczywiście, ku sprawom ważniejszym, ale dla tych ważniejszych rzeczy nie powinno się przeoczać rzeczy pomniejszych, nie można bowiem dopuścić, aby powtórzyło się to, co miało miejsce w tych dniach w Kiraly Hidzie. Nasz artykuł wczorajszy miał piętnaście skreśleń, toteż i dzisiaj ze względów technicznych nie możemy wypowiedzieć się obszernie i szczegółowo o tym, co się tam stało. Korespondent nasz, wysłany na miejsce, donosi nam, że władze zabrały się do śledztwa z wielką energią. Dziwi nas jedynie to, że niektórzy uczestnicy masakry w Kiraly Hidzie jeszcze nie zostali aresztowani. Dotyczy to osobliwie pewnego pana, który jak się dowiadujemy, jeszcze ciągle przebywa w obozie i bezkarnie afiszuje się w odznakach swego »papageirimentu«. Imię jego było wymienione onegdaj w »Pester Lloyd« i »Pester Naplo«. Jest to znany czeski szowinista Lukasz, o którego wybrykach podana będzie interpelacja przez posła naszego Gezę Savanyu, reprezentującego okręg Kiraly Hida”.

— Równie uprzejmie pisze o panu tygodnik wychodzący w Kiraly Hidzie — rzekł pułkownik Schröder do porucznika — a także gazety preszburskie. Ale nie będzie to pana interesowało, ponieważ wszystkie te artykuły pisane są na jedno kopyto. Z politycznego punktu widzenia da się to łatwo wytłumaczyć, ponieważ my, Austriacy, czy jesteście Niemcami, czy Czechami, w porównaniu z Madziarami stoimy jednak... Rozumie pan, panie poruczniku? Mamy tu do czynienia z pewną tendencją. Bardziej interesujący dla pana byłby artykuł „Komarneńskiej Gazety Wieczorowej”, w której mowa o tym, że chciał się pan dopuścić gwałtu na pani Kakonyi, i to w jadalni podczas obiadu i w obecności jej męża, któremu groził pan szablą, zmuszając go do zatykania żonie ust rącznikiem, żeby nie krzyczała. To jest niejako ostatnia o panu wiadomość, panie poruczniku.

Pułkownik uśmiechnął się i mówił dalej:

— Władze nie spełniły swego obowiązku. Cenzura prewencyjna tutejszych pism też jest w ręku Madziarów. Robią sobie z nami, co im się żywnie podoba. Oficer nasz nie ma ochrony przed taką cywilną redaktorską świnią madziarską. Dopiero na skutek naszego ostrego wystąpienia czy też telegramu naszego sądu dywizyjnego prokuratura w Budapeszcie wydała rozporządzenia, aby zaaresztowano niektórych ludzi w wyżej wymienionych redakcjach. Najwięcej nabroił redaktor „Komarneńskiej Gazety Wieczorowej”, ale do śmierci popamięta on swoją gazetkę! Ja zostałem upoważniony przez sąd dywizyjny, abym pana przesłuchał jako pański zwierzchnik. Przesłano mi też papiery dotyczące ca-

tego śledztwa. Wszystko byłoby się dobrze skończyło, gdyby nie ten pański nieszczęsny Szwejk. Razem z nim znajduje się niejaki saper Vodiczka, u którego po bijatyce znaleziono pański list napisany do pani Kakonyi. Otóż pański Szwejk twierdził przy badaniu, że to on sam ten list napisał, a kiedy kazano mu go przepisać, żeby można było porównać charakter pisma, Szwejk przepisał, ale potem zeżarł pański list. Z kancelarii pułku wysłano następnie do sądu dywizyjnego pańskie raporty dla porównania ich z rękopisem Szwejka i oto masz pan rezultat badania.

Pułkownik wyszukał w dokumentach jakiś papier i pokazał w nim porucznikowi miejsce podkreślone: „Oskarżony Szwejk odmówił napisania podyktowanych mu zdań, twierdząc, że przez noc zapomniał pisać”.

— W ogóle ja, panie poruczniku, nie przywiązuję do tego wszystkiego żadnej wagi i jest dla mnie obojętne, co tam na śledztwie wygaduje ten pański Szwejk czy saper Vodiczka. Szwejk i saper twierdzą, że chodziło jedynie o jakiś niewinny żarcik, na którym się nie poznano, i że sami zostali napadnięci przez cywilów, więc musieli się bronić dla ratowania honoru wojskowego. Przy śledztwie wyszło na jaw, że cały ten Szwejk to ładny numer. Na przykład na pytanie, dlaczego się nie przyznaje, odpowiedział do protokołu: „Ja, powiada, znalazłem się w takiej samej sytuacji, w jakiej znalazł się pewien służący malarza Panuszki z powodu jakichś obrazów Marii Panny. Kiedy, mu zarzucano sprzeniewierzenie tych obrazów, to także nie mógł odpowiedzieć nic innego, tylko to jedno: »Czy chcecie, żebym sobie wyrwał serce z piersi?«”. Oczywiście postarałem się, żeby na wszystkie te napastliwe i nikiemne artykuły tutejszych gazet dana była należyta odpowiedź w imieniu sądu dywizyjnego. Dzisiaj porozysła się te sprostowania i mam nadzieję, że w ten sposób uczyniłem wszystko, co było trzeba dla naprawienia tych świństw, których narobiły te dziennikarskie bestie cywilno-madziarskie.

Zdaje mi się, że stylizacja moja jest bardzo dobra:

„Sąd dywizyjny nr... i dowództwo pułku nr... oświadczają, że artykuł zamieszczony w piśmie miejscowym o rzekomych awanturach szeregowych pułku nr... w niczym nie odpowiada rzeczywistości i od pierwszego do ostatniego słowa jest zmyślony. Wdrożono śledztwo przeciwko tym dziennikom, które pozamieszczały owe kłamliwe wiadomości, i winowajcy będą surowo ukarani”.

Sąd dywizyjny — mówił pułkownik dalej — wypowiada się w liście do naszego pułku, iż zdaniem jego nie chodzi o nic innego, tylko o systematyczne podjudzanie przeciwko oddziałom wojskowym przybywającym z Przedlitawii do Zalitawii. Niech pan porówna z łaski swojej, ile wojska wysłaliśmy na front my, a ile oni. Powiem panu tylko tyle, że żołnierz czeski jest mi daleko miłszy niż ta hołota madziarska. Jak tylko wspomnę o pewnych rzeczach, to mnie zaraz wściekłość ogarnia. Pod Białogrodem ostrzeliwali Madziarzy nasz drugi marszbatalion, nasz marszbatalion nie wiedział, że strzelają te gałgany madziarskie, zaczął strzelać do deutschmeistrów na prawym skrzydle, a deutschmeistrzy też się nie zorientowali i zaczęli ostrzeliwać pułk bośniacki, który stał obok nich. Mówię panu, co to wtedy było! Ja byłem akurat w sztabie brygady na obiedzie, dnia poprzedniego mieliśmy na obiad tylko szynkę i zupę konserwową, więc tego dnia mieliśmy dostać porządny obiad: rosół z kurą, filet z ryżem i ciastka z szodonom. W wigilię tego dnia powiesiliśmy w miasteczku jakiegoś serbskiego handlarza wina, a nasi żołnierze znaleźli w jego piwnicy wino liczące sobie trzydzieści latek. Może pan sobie wyobrazić, jak cieszyliśmy się wszyscy, że będzie dobry obiad. Zjedliśmy rosół, zabieramy się do kury, gdy wtem padają pojedyncze strzały, a potem zaczyna się strzelanina na dobre. Zaś nasza artyleria, która pojęcia o tym nie miała, że to ostrzeliwują się nasze własne oddziały, zaczęła prażyć na nas ogniem i jeden granat padł tuż koło sztabu naszej brygady. Serbowie pomyśleli widać, że u nas wybuchnął bunt, i ze wszystkich stron zaczęli walić do nas, z czego się dało, a zarazem przeprawili się przez rzekę. Generał brygady wołają do telefonu; a wtem generał dywizji podniósł istne piekło krzycząc, co to za błazeństwa dzieją się na odcinku zajmowanym przez naszą brygadę, bo akurat dostał rozkaz ze sztabu armii, aby rozpocząć atak na pozycje serbskie o godzinie drugiej minut trzydzieści pięć w nocy od lewego skrzydła. „My, powiada, jesteśmy w rezerwie” — więc natychmiast kazał ogień wstrzymać. Ale to przecież śmieszne, gdy ktoś w takiej sytuacji chce „*Feuer einstellen*”. Centrala

telefoniczna brygady melduje, że nigdzie nie może się dodzwonić, tylko sztab 75 pułku melduje, że dostał rozkaz od sąsiedniej dywizji: „Ausharren!”, że nie może dogadać się z naszą dywizją, że Serbowie obsadzili wzgórze dwieście dwanaście, dwieście dwadzieścia sześć i trzysta dwadzieścia siedem, że żąda wysłania jednego batalionu jako łącznika i telefonicznego połączenia z naszą dywizją. Przerzucamy druty na dywizję, ale połączenie już było przerwane, ponieważ Serbowie dostali się na nasze tyły i od obu skrzydeł zamykali nas w trójkącie, w którym potem pozostało wszystko: piechota, artyleria i tabory z całą autokolumną, składą i szpital polowy. Przez dwa dni nie zsiadaliśmy z koni, a dowódca dywizji razem z dowódcą brygady dostali się do niewoli. A wszystko to zawinili Madziarowie przez ostrzeliwanie naszego drugiego marszbatalionu. Rzecz prosta, że całą winę zwalili na nasz pułk.

Pułkownik splunął.

— Sam pan się teraz przekonał, panie poruczniku, jak haniebnie wyzyskali pańską przygodę w Kiraly Hidzie.

Porucznik Lukasz zakaszłał nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Panie poruczniku — zwrócił się do niego pułkownik z kordialną poufałością — połóż pan rękę na sercu i mów pan rzetelnie: ile razy przespał się pan z panią Kakonyi?

Pułkownik Schröder był tego dnia w usposobieniu bardzo dobrym.

— Niech mi pan nie gada, że zaczynał pan dopiero korespondować. Kiedym był w pańskich latach i zostałem wysłany na kursy miernicze do Chebu, to przez trzy tygodnie nic innego nie robiłem, tylko spałem sobie z Węgierkami. Trzeba było widzieć mnie wtedy. Co dzień inna. Młode, starsze, panny, mężatki, jak się zdarzyło. Odbywałem ten kurs mierniczy tak rzetelnie, że gdy potem wróciłem do pułku, to ledwo nóżki za sobą powłóczyłem. Najwięcej wypompowała mnie żona pewnego adwokata. Pokazała mi, na co stać Węgierki. Nos mi pogryzła i przez całą noc oka mi zmrużyć nie dała.

Powiada, że zaczął korespondować — pułkownik poufale klepnął porucznika po ramieniu. — Znamy się na tym. Niech pan nic nie mówi, bo ja mam o całej sprawie swoje własne zdanie. Związał się pan z babiną, jej małżonek was wytropił, a ten idiotyczny Szwejk...

Ale co prawda, to prawda, panie poruczniku, ten Szwejk to jednak charakter, skoro tak dobrze spisał się z pańskim listem. Takiego człowieka szkoda trzymać w areszcie. Wychowanie wojskowe ma. Bardzo mi się ten chłop podoba. Koniecznie trzeba będzie śledztwo przeciw niemu przerwać i sprawie łeb ukreć. Pana sponiewierali w gazetach, więc obecność pańska jest tu zupełnie zbędna. W ciągu tygodnia wyprawiona zostanie kompania marszowa na front rosyjski. Jest pan najstarszym oficerem II kompanii, więc pojedzie pan jako jej dowódca. W brygadzie zostały poczynione odpowiednie zarządzenia. Niech pan powie feldfeblowi rachuby, żeby panu poszukał jakiego innego służącego zamiast Szwejka.

Porucznik Lukasz odpowiedział pułkownikowi wdzięcznym spojrzeniem, ale pułkownik mówił dalej:

— Szwejka przydzielam panu jako *Kompanie-Ordonnanz*.

Pułkownik wstał i podając rękę blademu z wrażenia porucznikowi rzekł:

— A więc wszystko jest w porządku. Życzę panu, aby się pan odznaczył na wschodnim froncie i w ogóle wszystkiego najlepszego. A jeśli kiedyś spotkamy się znowu, to niech pan nie unika naszego towarzystwa, jak to było w Budziejowicach.

Porucznik Lukasz, wracając do siebie, powtarzał sobie przez całą drogę:

— *Kompanie-Kommandant, Kompanie-Ordonnanz...*

Przed jego oczami co chwila wylaniała się postać Szwejka.

Gdy porucznik polecił feldfeblowi rachuby Vańkowi, aby mu wyszukał jakiegoś nowego służącego zamiast Szwejka, ten odpowiedział:

— Myślałem, że pan porucznik jest ze Szwejka zadowolony.

Gdy się dowiedział, że Szwejk został mianowany ordynansem kompanii, zawołał:

— Boże, bądź nam miłościwi!

*

W baraku sądu dywizyjnego o oknach zakratowanych aresztanci wstawali według przepisu o godzinie siódmej rano i sprząтали sienniki porożścielane w kurzu i brudzie na podłodze. Prycz tam nie było. Za przepierzeniem długiej sali aresztanci zgodnie z zarządzeniem układali koce i sienniki, a ci, co robotę skończyli, siedzieli na ławach wzdłuż ściany i wiskali się (tacy przeważnie przybywali z frontu) albo też opowiadali sobie różne przygody.

Szwejk i stary saper Vodiczka siedzieli razem z innymi żołnierzami z różnych pułków i formacji na ławie przy drzwiach.

— Spójrzcie no, chłopcy — rzekł Vodiczka — na tamtego łobuza madziarskiego, co stoi przy oknie, jak to się psubrat modli, żeby go nie skazali na grubą karę. Nie rozedrzyć by mu tak pyska od ucha do ucha.

— Daj mu spokój — odpowiedział Szwejk — bo to człowiek porządny i dostał się tu za to, że nie chciał służyć w wojsku. On jest przeciwnikiem wojny i należy do jakiejś sekty, a do paki dostał się za to, że się trzyma przykazania bożego i nikogo nie chce zabić. Pokażą mu oni przykazanie boże! Przed wojną był na Morawach niejaki Nemrava, który nawet flinty na ramię wziąć nie chciał, bo jak mówił, było to przeciwko jego zasadzie noszenia flinty na ramieniu. Wsadzili go do paki i potrzymani na chudym wikcie, a potem znowu poprowadzili go do przysięgi. A on na to, że przysięgać nie będzie, bo przysięgi też nie uznaje. I wytrzymał wszystkie szykany.

— Widać jakiś głupi człowiek — rzekł stary saper Vodiczka. — Mógł przysięgać, ile wlezie, i nasrać na całą przysięgę.

— Ja już trzy razy przysięgałem — mówił jakiś piechur — i już trzeci raz siedzę w pace za dezercję. Gdybym nie miał świadectwa lekarskiego, że przed piętnastu laty zatłukłem moją ciotkę w napadzie choroby umysłowej, to już trzy razy byłbym na froncie rozstrzelany. Ale nieboszeczka ciotka ratuje mnie jakoś za każdym razem i kto wie, może dostanę się ostatecznie zdrów i cały do domu.

— A za coś ty, kolego, zatłukł swoją ciotkę? — zapytał Szwejk,

— A za cóż się ludzi zatłukuje? — odpowiedział miły towarzysz. — Każdy może się łatwo domyślić, za to, że miała pieniądze. Miała baba pięć książeczek oszczędnościowych i akurat przesłali jej procenty, kiedy do niej przyszedł głodny i obdarty. Prócz niej nie miałem żywego ducha na całym bożym świecie. Przyszedłem do niej i proszę, żeby się nade mną zlitowała, a ta, ścierwo, posyła mnie do roboty, że, powiada, taki młody, krzepki i zdrowy człowiek. Powiedzieliśmy sobie parę słów, a ja tak tylko trąciłem ją parę razy pogrzebaczem w głowę i fizjonomię, tak jej jakoś obrobiłem tę gębę, że potem nie wiedziałem, czy to ciocia, czy nie ciocia. Siedziałem koło niej na ziemi i ciągle medytowałem: „Czy to ciocia, czy nie ciocia?” Nazajutrz znaleźli mnie koło cioci sąsiedzi. Potem siedziałem u wariatów na Słupach, a gdy przed wojną badała nas w Bohnicach komisja, zostałem uznany za wyleczonego i zaraz musiałem pójść do wojska i odslużować swoje zaległości.

Obok rozmawiających przeszedł żołnierz o bardzo smutnym wyrazie twarzy i z miotłą w ręku.

— To jakiś nauczyciel z ostatniej kompanii marszowej — rzekł strzelec siedzący obok Szwejka — będzie zamiatał swój ką. Ogromnie porządny człowiek. Siedzi tu za to, że napisał jakiś wierszyk.

Chodź tu, bracie profesorze! — zawołał na człowieka z miotłą, który wolno i z powagą zbliżył się do ławy. — Zadeklamuj nam ten wiersz o wszach.

Żołnierz z miotłą chrząknął i zadeklamował:

Wszystko zawszone. Front się wiszcze cały,
Od wszów się roi pod odzieżą.
W wygodnych łóżkach generały
Co dzień bieliznę mają świeżą.
Zawszeni wszyscy: młodzi, starzy,
Nad wszów przyszłością czuwa straż,
Bo już się z pruską wszką parzy
Nasz stary austriacki wszarz.

Smutny żołnierz z miotłą przysiadł się do towarzystwa i rzekł:

— To wszystko. I z powodu takiej drobnostki już cztery razy byłem przesłuchiwany przez pana audytora.

— Cała ta wszawa historia nie warta gadania — roztropnie rzekł Szwejk. — Chodzi jedynie o to, kogo sąd będzie uważał za starego wszarza austriackiego. Dobrze pan zrobił, że wtrącił pan słowo o parzeniu, bo od tego zbaranieją zupełnie. Trzeba im będzie wytłumaczyć, że wszarz to samiec wszy, bo inaczej nie wypłacie się pan z tej afery. Przecież nie pisał pan tego z zamiarem obrażenia kogokolwiek. Co do tego nie może być najmniejszej wątpliwości. Panu audytorowi trzeba powiedzieć, że pan to sobie pisał tylko tak, dla swojej prywatnej przyjemności, i że tak samo, jak samiec krowy nazywa się buhaj, tak samiec wszy nazywa się wszarz.

Nauczyciel westchnął:

— Kiedy ten pan audytor nie umie dobrze po czesku. Już mu tę sprawę tłumaczyłem w taki właśnie sposób, ale on mi dowodził, że samiec wszy nazywa się „wszyk”. Powiada do mnie ten pan audytor: „Ne fšaś, ale fsik. *Femininum, sie, gebildeter Kerl, ist »ten fės«, also masculinum ist »ta fsik«.* *Wir kennen uns're Pappenheimer*”.

— Jednym słowem — rzekł Szwejk — dobrze nie jest, ale nie trzeba tracić nadziei, jak mawiał Cygan Janeczek w Pilźnie, kiedy w roku 1879 zakładali mu stryczek na szyję za podwójne morderstwo. A miał rację, bo trzeba było odprowadzić go spod szubienicy z powrotem do więzienia, jako że akurat tego dnia najjaśniejszy pan miał urodziny i nie można było nikogo wieszać. Więc go powiesili dopiero nazajutrz, gdy już było po urodzinach, i miał chłopisko takie osobliwe szczęście, że następnego dnia po powieszeniu go przyszło ulaskawienie i miał być wznowiony proces, bo wszystko wskazywało na to, że to zrobił jakiś inny Janeczek. Więc go musieli wykopać z grobu na cmentarzu więziennym, zrehabilitować i przewieźć na katolicki cmentarz, po czym dopiero pokazało się, że Janeczek jest ewangelik, więc go przenieśli na cmentarz ewangelicki, a potem...

— Potem dostaniesz parę razy w pysk — odezwał się stary saper Vodiczka. — Żeby sobie zmyślać takie śmieszne kawały. My tu mamy zmartwienie, że nas czeka sąd dywizyjny, a ten sobie ze wszystkiego pokpiwa. Wczoraj, gdy nas prowadzili na badanie, zaczął mi tłumaczyć, co to jest róża jerychońska.

— Kiedy to nie moja wina — bronił się Szwejk. — Opowiadał o tym Maciej, służący malarza Panuszki, pewnej starej babie. Pytała go, jak wygląda róża jerychońska, więc on jej odpowiedział: „Weź pani suche łajno krowie, połóż je na talerzu i polej wodą, a ono wnet się pięknie zazieleni. To jest róża jerychońska”. Ja takich błazeństw nie zmyślałem. Jak się idzie na badanie, to trzeba sobie o czymś pogawędzić, a ja cię chciałem trochę pocieszyć, mój Vodiczko...

— Już ty pocieszysz kogo — rzekł Vodiczka i splunął wzgardliwie. — Człowiek się kłopotuje dniem i nocą, w jaki sposób wyostać się z tej bryndzy, żeby jak najprędzej można było wyrwać się na wolność i policzyć się z tymi łobuzami madziarskimi, a ten chce pocieszać człowieka jakimś krowim łajnem. Jakże się wezmę za tych łobuzów madziarskich, kiedy siedzę pod kluczem, i do tego wszystkiego jeszcze muszę udawać i zapewniać pana audytora, że się na Madziarów nie gniewam i źle im nie życzę? Pieskie życie, proszę państwa. Ale jak mi taki drab wpadnie w ręce, to go uduszę jak szczenię i pokażę im wszystkim „*istem ald meg a magyart!*” Porachuję się z nimi tak akuratnie, że o mnie jeszcze będą ludzie gadali.

— Nie martwmy się o nic — rzekł Szwejk. — Wszystko się ułoży jak najlepiej, tylko pamiętać trzeba o tym, że na sądzie nigdy nie należy mówić prawdy. Kto się da nabrać i przyzna się, to stracony. Z takiego głupca nigdy nic nie będzie. Jakem razu pewnego pracował w Morawskiej Ostrawie, to zdarzyła się tam taka rzecz: jakiś górnik sprzał inżyniera w cztery oczy, tak że nikt tego nie widział. Adwokat, który tego górnika bronił, doradzał mu bezustannie, żeby się wszystkiego wypierał, to mu się nic stać nie może, a znowuż prezes sądu w kółko swoje o tym, że przyznanie się jest okolicznością łagodzącą. Ale górnik nic, tylko w kółko powtarzał swoje, że się nie ma do czego przyznawać, więc został uniewinniony, ponieważ wykazał swoje alibi. Tego samego dnia był w Brnie.

— Jezus Maria! — rozsierdził się Vodiczka. — Ja tego nie wytrzymam. Nie rozumiem, po co on nam o tym wszystkim gada. Wczoraj było to samo na badaniu. Był tam jakiś człowieczek, a gdy się go audytor zapytał, czym jest w cywilu, odpowiedział:

„Dymam u Krzyża”. Przez pół godziny trzeba było z nim gadać, zanim wreszcie audytor dowiedział się, że ten pocziwiec obsługuje miechy u kowala Krzyża. A gdy go po chwili zapytali: „Więc w cywilu jesteście robotnikiem pomocniczym?”. A ten swoje: „Jakim tam robotnikiem! Dymam u Krzyża”.

Na korytarzu odezwały się kroki wartownika i wołanie: „*Zuwachs!*”

— Chwała Bogu, będzie nas więcej — ucieszył się Szwejk. — Może mają papierosa albo trochę tytoniu.

Drzwi się otworzyły i do środka został wepchnięty jednoroczny ochotnik, który siedział ze Szwejkiem w areszcie w Budziejowicach i został skazany na skrobanie kartofli w kuchni jakiejś kompanii.

— Niech będzie pochwalony... — rzekł przekraczając próg więzienia, na co Szwejk odpowiedział w imieniu wszystkich:

— Na wieki wieków, amen.

Jednoroczny ochotnik z zadowoleniem spojrzął na Szwejka, położył na ziemi koc, który ze sobą przyniósł, i przysiadł się na ławie do czeskiej kolonii. Zza cholewek buta wydostał mnóstwo papierosów i częstował nimi wszystkich. Potem wygrzebał z jakiegoś ukrycia draskę oraz kilka zapalek poprzecinanych wzdłuż na dwoje. Z wielką ostrożnością zapalił papierosa, podał wszystkim ognia i z wesołą obojętnością oświadczył:

— Jestem oskarżony o bunt.

— To nic osobliwego — rzekł Szwejk głosem łagodnym — zwyczajny szpas.

— Szpas i bujda — zgodził się jednoroczny ochotnik — bo przecież wojen nie wygrywa się sprawami sądowymi. Jeśli już koniecznie chcą się ze mną prawować, to niech się prawują. Na ogół wzięwszy, jeden proces sądowy mniej czy więcej nic w sytuacji zmienić nie może.

— A w jaki sposób pan się zbuntował? — zapytał saper Vodiczka spoglądając z uczuciem sympatii na jednorocznego ochotnika.

— Nie chciałem czyścić wychodków na odwachu — odpowiedział zapytany. — Więc zaprowadził mnie do obersta. A ten oberst to ładna świnią. Zaczął wrzeszczeć, że dostałem się do paki na podstawie *regimentsraportu* i że jestem zwyczajny aresztant, on zaś w ogóle dziwi się, że mnie święta ziemia nosi i że jeszcze nie przestała się obracać pomimo tej niesłychanej hańby, że w armii znalazł się człowiek z prawami jednorocznego ochotnika, mający możliwość zrobienia kariery oficerskiej, a jednak człowiek ten postępowaniem swoim może wzbudzić w swoich przełożonych tylko uczucie głębokiego obrzydzenia. Odpowiedziałem mu, że obracanie się ziemi nie może być przerwane, chociaż znalazł się na niej taki człowiek jak ja, że prawa przyrody są mocniejsze od naszywek jednorocznych ochotników i że pragnąłbym wiedzieć, kto może mnie przymusić do czyszczenia wychodków, których sam nie zanieczyściłem, aczkolwiek miałbym prawo i do tego po takiej świńskiej kuchni pułkowej, po zgniłej kapuście i ochłapach baraniny. Potem rzekłem jeszcze temu oberstowi, iż pogląd jego na to, czemu nosi mnie jeszcze święta ziemia, jest trochę dziwny, bo dla mnie jednego nie może przecie wybuchnąć trzęsienie ziemi. Pan oberst przez cały czas nic nie robił, tylko szczękał zębami jak kobyła, gdy ją ziębi w pysku zmarzła rzepa, a potem wrzasnął na mnie:

„Więc będziesz pan czyścił te wychodki czy nie będziesz?”

„Posłusznie melduję, że żadnych wychodków czyścić nie będę”.

„A ja mówię, że będziecie, *sie Einjühriger!*”

„Posłusznie melduję, że nie będę”.

„Do stu tysięcy diabłów, sto wychodków wyczyścicie, jak ja wam każę!”

„Posłusznie melduję, że nie będę czyścił ani stu, ani jednego”.

I tak sobie rozmawialiśmy w kółeczko: „Będziesz czyścił?” „Nie będę czyścił”. I tak te wychodki latały między nami tu i tam, jakby to były jakieś dziecięce zagadki naszej pisarki Pauliny Moudrej. Oberst latał po kancelarii jak wściekły, aż wreszcie usiadł i rzekł: „Niech pan się dobrze zastanowi, bo ja pana przekażę sądowi dywizyjnemu za bunt. Proszę sobie nie myśleć, że będzie pan pierwszym jednorocznym ochotnikiem, którego podczas tej wojny za bunt rozstrzelano. W Serbii powiesiliśmy dwóch jednorocznych ochotników z 10 kompanii, a jednego z kompanii 9 rozstrzelaliśmy jak jagnię. A za co? Za ich upór. Ci dwaj, których powiesiliśmy, nie chcieli przebić kobiety i chłopca pod Szabacem, a ochotnik z 9 kompanii został rozstrzelany za to, że nie chciał iść naprzód i tłumaczyć

się tym, że ma spuchnięte nogi i że jest płaskostopy. Więc będziesz pan czyścił wychodki czy nie?”

„Posłusznie melduję, że nie będę”.

Oberst spojrział na mnie i powiada:

„Słuchaj pan, czy pan aby nie słowianofil?”

„Posłusznie melduję, że nie jestem słowianofil”.

Zabrali mnie do paki i powiedzieli mi, że zostałem oskarżony o bunt.

— Najlepiej zrobisz, bratku — rzekł Szwejk — gdy zaczniesz teraz udawać idiotę. Jakem siedział na garnizonie, to był tam jeden sprytny człowiek, wykształcony i uczony, profesor szkoły handlowej. Dezerterował z frontu i za to miano mu wytoczyć jakiś bardzo uroczysty proces; dla postrachu innych chciano go skazać i powiesić, a on wykręcił się z tej hecy sianem, i to bardzo zgrabnie. Udawał po prostu dziedzicznie obciążonego, a gdy lekarz sztabowy zaczął go badać, to mój mądrała mu powiedział, że nie zdezerterował, ale że już od lat dziecińczy lubi podróżować i zawsze budzi się w nim pragnienie wędrówek w nieznanne kraje. Pewnego razu znalazł się w Hamburgu, innym razem w Londynie i sam nie wie, jak to się stało, że się dostał w tamte strony. Jego ojciec był alkoholikiem i zmarł śmiercią samobójczą przed jego narodzeniem, matka była prostytutką i też się upijała, aż wreszcie umarła na delirium. Młodsza siostra utopiła się, starsza rzuciła się pod pociąg, brat skoczył z kolejowego mostu na Vyszehradzie do Wełtawy, dziadek zamordował swoją żonę, oblał się naftą i podpalił, druga babka włączyła się z Cyganami i otruliła się w więzieniu zapalkami, jeden z bratanków był kilka razy karany za podpalenie i w więzieniu w Kartuzach przeciął sobie żyły kawałkiem szkła, siostrzenica ze strony ojcowskiej wyskoczyła w Wiedniu z okna szóstego piętra, on zaś sam jest bardzo zaniedbany w wychowaniu i do lat dziesięciu nie umiał mówić, ponieważ zdarzyło się, że gdy miał sześć miesięcy i gdy go na stole przewijali, oddalili się od niego, a kot ściągnął go ze stołu; padając na podłogę uderzył się mocno w głowę. Miewa też od czasu do czasu mocne bóle głowy i w takich chwilach sam nie wie, co robi. I właśnie w takiej chwili ruszył z frontu do Pragi i dopiero wówczas, gdy został aresztowany w gospodzie „U Fleków” przez żandarmerię wojskową, odzyskał przytomność. Trzeba było widzieć, z jaką paradą wypuścili go z paki i zwolnili z wojska! Siedziało razem z nim z pięciu chłopów, którzy także mieli być sądzeni za dezercję, więc na wszelki wypadek wypisali sobie wszystko pięknie i ładnie na papierku dla pamięci:

„Ojciec alkoholik.

Matka prostytutka.

I siostra (utopiona).

II siostra (pociąg).

Brat (z mostu).

Dziadek † żonę, nafta, ogień.

II babka (Cygany, zapalki) † itd.”

Gdy jeden z nich zaczął to wszystko wyliczać lekarzowi wojskowemu, to nie zdążył wymienić nawet bratanka, bo lekarz, który miał już trzeci taki przypadek z rzędu, przerwał mu: „Ach, ty gałganie, twoja siostrzenica ze strony ojca wyskoczyła w Wiedniu z okna szóstego piętra, jesteś okropnie zaniedbany w wychowaniu, więc przyda ci się więzienie poprawcze”. Odprowadzili bratka, w kij związali i zaraz skończyło się z zaniedbanym wychowaniem, z ojcem alkoholikiem i matką prostytutką. Wołał z dobrej woli pójść na front.

— Dzisiaj — rzekł jednoroczny ochotnik — już nikt w wojsku nie wierzy w dziedziczne obciążenie, bo gdyby ludzie jeszcze wierzyli w takie rzeczy, to wszystkie sztaby generalne wszystkich armii trzeba by pozamykać w domach wariatów.

W zamku okutych drzwi zazgrzytał klucz i na progu stanął profos.

— Piechur Szwejk i saper Vodiczka do pana audytora! — zawołał.

Obaj wywołani wstali, a Vodiczka rzekł do Szwejka:

— Widzisz, co te gałgany robią? Dzień w dzień badanie, a na wolność nie wypuszczają. Wołałbym, żeby nas lepiej skazali niż takie korowody. Wylegujemy się tu całymi dniami, a te łobuzy madziarskie latają sobie po świecie, jakby nigdy nic...

Po drodze na badanie, które odbywało się w kancelarii sądu dywizyjnego, umieszczonego w innym baraku, saper Vodiczka razem ze Szwejkiem zastanawiali się nad tym, kiedy właściwie staną przed jakimś porządnym sądem.

— Same przesłuchiwanie — irytował się Vodiczka — a rezultatu jak nie ma, tak nie ma. Pozapisują masy papieru, a człek się sądu nie doczeka. Zgnijemy za kratami. Powiedź szczerze, czy można żreć te polewki, jakie tu dają? Albo tę kapustę ze zmarzłymi kartoflami? Do stu diabłów, takiej idiotycznej wojny światowej jeszcze nigdy nie widziałem. Wyobrażałem to sobie całkiem inaczej.

— A ja jestem zupełnie zadowolony — rzekł Szwejk. — Przed laty, kiedy służyłem w wojsku, to nasz feldfebel Solpera mawiał, że w wojsku musi być porządek, i do słów swoich dodawał takie trzaśnięcie w zęby, że się potem o tym porządku wojskowym pamiętało do samej śmierci. Albo taki nieboszczyk oberlejtant Kvajser, gdy przeglądał karabiny, to nam tłumaczył, że każdy żołnierz musi okazywać jak największą brutalność, bo żołnierze to tylko bydło, które skarb państwa karmi, daje mu żreć, poi go kawą, nabija mu fajkę tytoniem i za to musi to bydelko służyć i milczeć.

Saper Vodiczka zamyślił się i po chwili mówił dalej:

— Jak cię zawoła ten audytor, to pamiętaj, Szwejku, żebyś się nie plątał w zeznaniach. Powtórz to, coś mówił poprzednio, żebyś mnie nie wyspał. Główna rzecz to to, że widziałeś, jak na mnie te łobuzy madziarskie napadły. Przecież wszystko to zrobiliśmy na wspólny rachunek.

— Nie bój się, Vodiczka — uspokajał go Szwejk. — Bądź spokojny i nie denerwuj się. Taki sąd dywizyjny to wielkie głupstwo. Trzeba ci było widzieć, jak zwięźle odbywały się takie sądy polowe przed laty. Służyłem razem z mną niejaki Heral, nauczyciel, i ten właśnie Heral opowiadał nam kiedyś, gdy wszyscy dostaliśmy koszarniaka, że w muzeum praskim jest książka, a w tej książce opisany jest sąd wojenny za Marii Teresy. Każdy pułk miał swojego kata, który uśmiercał żołnierzy swego pułku jednego za drugim i za to brał po terezjańskim talarze od sztuki. I widzisz, ten kat według zapisków tamtej książki zarobił sobie czasem i pięć talarów na dzień.

Naturalnie — dodał Szwejk z wielką powagą — że wtedy pułki były duże i wciąż je po wsiach uzupełniano.

— Jak byłem w Serbii — rzekł na to Vodiczka — to w brygadzie naszej byli tacy amatorzy, co wieszali Serbów za papierosy. Który żołnierz powiesił chłopca, to dostawał dziesięć papierosów „Sport”, za kobietę i dziecko po pięć. Później intendentura zaczęła oszczędzać i rozstrzeliwano Serbów partiami. Razem z mną służył pewien Cygan; przez długi czas nie wiedzieliśmy, dlaczego był tak często wzywany do kancelarii. Staliśmy wtedy nad Driną. Pewnej nocy, gdy go nie było, wpadło któremuś z nas do głowy, żeby pogrzebać w jego rzeczach, a ten drab miał trzy pełne pudełka po setce papierosów. Wrócił nad ranem do naszej stodoły, a my załatwiliśmy się z nim krótko. Powaliliśmy go na ziemię, a niejaki Bieloun uduślił go pasem. Ale miał ten Cygan życie mocne jak kot.

Stary saper Vodiczka splunął.

— W żaden sposób nie można go było uduścić. Zrobił już pod siebie, oczy wylażył mu na wierzch, ale ciągle jeszcze był żywy jak nie dorżnięty kogut. Więc trzeba było rozerwać go jak koguta. Dwaj trzymali go za nogi, dwaj złapali go za głowę i skręcili mu kark. Potem włożyliśmy mu na plecy jego tobolek razem z papierosami i wrzuciliśmy go do Driny. Kto by tam palił takie papierosy! Rano szukali go, dopytywali się o niego.

— Trzeba było meldować, że zdezerterował — roztropnie doradził Szwejk — że już od dawna się do tego przygotowywał, bo co dzień powtarzał, że zwieje.

— E, kto by tam był zwracał uwagę na takie drobnostki — odpowiedział Vodiczka. — Zrobiliśmy swoje, a o resztę nie kłopotaliśmy się. Tam w Serbii takie sprawy były bardzo łatwe, bo co dzień ktoś zniknął, a trupów nawet już z Driny nie wylawiali. Spuchnięte zwłoki Serba płynęły obok zwłok naszych żołnierzy na falach Driny do Dunaju, a było tego tyle, że niektórzy niedoświadczeni dostawali na ten widok gorączki.

— Trzeba im było dać chininy — rzekł Szwejk.

Weszli właśnie do baraku, w którym mieściły się kancelarie sądu dywizyjnego, i patrol zaprowadził ich natychmiast do kancelarii numer 8, gdzie za długim stołem, zawałonym mnóstwem papierów, siedział audytor Ruller.

Pod ręką miał jakiś tom kodeksu karnego, a na nim stała nie dopita szklanka herbaty. Po prawej stronie stołu stał krucyfiks z imitowanej kości słoniowej z zakurczonym Chrystusem, który rozpaczliwie spoglądał na postument swego krzyża zanieczyszczony popiołem i niedopałkami papierosów.

Audytor Ruller ku większemu cierpieniu Ukrzyżowanego strzepywał właśnie popiół z papierosa na postument krzyża, a drugą ręką podnosił szklankę z herbatą, przylepioną do okładki kodeksu.

Oderwawszy szklankę od kodeksu, nadal przewracał kartki w książce wypożyczonej z biblioteki kasyna oficerskiego.

Była to książka Fr. S. Krausego z obiecującym nagłówkiem: *Forschungen zur Entwicklungsgeschichte der geschlechtlichen Moral*.

Zapatrzywszy się na naiwne rysunki męskich i żeńskich genitaliów z dostosowanymi wierszykami, które odkrył uczony Fr. S. Kraus w wychodkach Dworca Zachodniego w Berlinie, audytor nie zwrócił uwagi na przybyłych.

Dopiero znaczący kaszel Vodiczki wyrwał go z głębokiej zadumy, która towarzyszyła obserwacji zdobyczy nauki.

— *Was geht los?* — zapytał przerzucając dalej kartki i szukając dalszego ciągu naiwnych rysuneków, szkiców i wierszyków.

— Posłusznie melduję, panie audytor — odpowiedział Szwejk — że kolega Vodiczka zaziębił się i teraz kaszle.

Audytor Ruller teraz dopiero spojrział na Szwejka i na Vodiczkę.

Starł się nadać swej twarzy wyraz surowości.

— Gdzieście się włóczyli, włóczęgi? — rzekł grzebiąc się w kupie papierów leżących na stole. — Kazałem wam stawić się o dziewiątej, a tymczasem niedaleko jedenasta.

— Jak stoisz, ty wole jeden! — krzyknął na Vodiczkę, który pozwolił sobie stanąć jakby na „spocznij”. Jak powiem: „*ruht!*” — to będziesz mógł robić z kulasami, co ci się będzie podobało.

— Posłusznie melduję, panie audytor — odezwał się Szwejk — że on ma reumatyzm.

— A ty stul lepiej pysk — rzekł audytor Ruller. — Jak się zapytam, to będziesz odpowiadał. Trzy razy byłeś u mnie na badaniu i sam diabeł wie, kiedy to się skończy. Gdzie mi się te papierzyska pozapodziały? Mam ja z wami, wy lotry skończone, krzyż Pański. Ale takie fatygowanie sądu nie wyjdzie wam na dobre.

Patrzcie, łajdaki, ile trzeba było napisać — rzekł wyjmując spośród kupy papierów duży fascykuł z napisem: „Schwejk & Woditschka”.

— Nie wyobrażajcie sobie, że będziecie tu piecuchowali w areszcie sądu dywizyjnego i wymigacie się na długi czas od frontu. Dla jakiejś głupiej bijatyki nie uwolnicie się od służby na froncie. Przez was, wy cymbały, musiałem telefonować aż do *armeegerichtu*.

Audytor westchnął.

— Nie rób takiej poważnej miny, Szwejk — mówił dalej — bo na froncie to ci się odechce bić z jakimiś honwedami. Dochodzenie przeciwko wam zostaje umorzone, każdy z was udaje się do swego oddziału, ukarani będziecie przy raporcie, a potem pójdziecie z kompanią marszową na front. Jeśli jeszcze raz wpadniecie mi w ręce, wy lotry, to zobaczycie, jak z wami zatańczę. Macie tu każdy swój dokument zwalniający i zachowujcie się przyzwoicie. Odprowadzić ich pod numer 2.

— Posłusznie melduję, panie audytor — rzekł Szwejk — że słowa pańskie bierzemy obaj do serca i że bardzo panu dziękujemy za pańską dobroć. Gdyby to było w cywilu, to pozwoliłbym sobie powiedzieć, że pan jest złoty człowiek. Zarazem obaj winniśmy prosić pana o przebaczenie, że pan musiał trudzić się dla nas tak bardzo. Nie zasługujemy na to wcale.

— No to idźcie już do wszystkich diabłów! — wrzasnął audytor na Szwejka. — Gdyby nie pan pułkownik Schröder, który wstawił się za wami, to nie wiem, jakby się ta sprawa dla was zakończyła.

Vodiczka odzyskał swój dawny humor dopiero na korytarzu, gdy patrol prowadził ich obu do kancelarii pod numer 2.

Żołnierz, który ich prowadził, bał się, że może przyjść za późno na obiad, więc przynaglał:

— Ruszajcie trochę żwawiej, moi kochani, bo wleciecie się jak muchy w smole.

Na to odpowiedział żołnierzowi Vodiczka, żeby stulił gębę i uważał za szczęście, że jest Czechem, bo gdyby był Węgrem, toby go rozdarł jak śledzia.

Ponieważ pisarze z kancelarii wojskowej poszli na obiad, więc żołnierz, który obu aresztantów prowadził, zmuszony był zaprowadzić ich z powrotem do więzienia dywizyjnego, przy czym nie obeszło się z jego strony bez przeklinania nienawistnej rasy pisarzy wojskowych.

— Koledzy znowu pozbierają mi z zupy wszystkie tłuszcze — zaczął lamentować — a zamiast mięsa dostanę jaki nędzny ochłap. Wczoraj eskortowałem też takich dwóch do obozu i ktoś zeżarł mi pół bochenka komiśniaku świeżo dla mnie fasowanego.

— Wy tu wszyscy przy sądzie dywizyjnym nie myślicie o niczym innym, tylko o żarcu — rzekł Vodiczka, który całkowicie odzyskał swój rezon.

Dowiedziawszy się o decyzji audytora co do Szwejka i Vodiczki, jednoroczny ochotnik rzekł:

— A więc kompania marszowa, przyjaciele! No to powiem wam słowami czasopisma czeskich turystów: „Dobrego wiatru!” Prace przygotowawcze do drogi już są poczynione, o wszystko postarała się wysoka administracja wojskowa; więc powinna wam się świetnie udać wycieczka do Galicji. Ruszajcie w świat z myślą wesołą i z sercem lekkim a radosnym. Umieście ocenić piękno krajobrazu ozdobionego rowami strzeleckimi. Piękne to i wysoce interesujące. Na dalekiej obczyźnie czuć się będziecie jak w okolicy dobrze wam znanej, czy może nawet jak w wiosce rodzinnej. Z uczuciem wzniosłym ruszycie w strony, o których już stary Humboldt pisał: „Na całym świecie nie widziałem nic wspanialszego nad tę pocziwą Galicję”. Obfite i cenne doświadczenia, zdobyte przez nasze sławne wojska przy odwoocie z Galicji w czasie pierwszego wypadu, będą dla naszych nowych wypraw wojennych nieoszacowanym źródłem wskazówek i nie pozostaną bez wpływu przy układaniu programu drugiej podróży w tamte strony. Walcie prosto przed siebie, do Rosji, i z uciechy wystrzelajcie wszystkie naboje w powietrze.

Przed odejściem Szwejka i Vodiczki do kancelarii podszedł ku nim niefortunny nauczyciel, który dostał się do więzienia za swoje uzdolnienie poetyckie, i odprowadziwszy obu na bok, szepnął im tajemniczo:

— Jak tylko dostaniecie się poza front do Rosji, nie zapomnijcie rzec na powitanie: „*Zdrawstwujcie, ruskije bratja, my bratja Czechy, my nie Austrijcy*”.

Wychodząc z baraku, Vodiczka, który chciał zmanifestować swoją nieprzejednaną nienawiść dla Madziarów i dać dowód, że więzienie w niczym nie zachwiało jego przekonania, nadepnął na nogę Węgrowi, który nie chciał służyć w wojsku, i wrzasnął:

— Obuj się, badyłu!

— Żeby był pisał — rzekł potem saper Vodiczka do Szwejka — żeby się był ozwał jednym słówkiem, to bym mu był jego madziarską jadaczkę rozdarł od ucha do ucha. A ten cymbał milczy i pozwala sobie deptać po nogach. *Herrgott*, Szwejku, wściec się można, że nie zostałem skazany. Przecież to wygląda tak samo, jakby sobie z nas kpili, że cała ta awantura z Madziarami gadania niewarta. A biliśmy się chyba zdrowo. Czy nie? Wszystkiemu ty jesteś winien, że nas nie skazali i że dali nam takie papiery, jakbyśmy się nawet porządnie pobić nie umieli. Co sobie tacy o nas myślą? Przecież zrobiliśmy całkiem przyzwoity konflikt.

— Mój kochany — rzekł pocziwy Szwejk — ja nie rozumiem twego frasunku z tego powodu, że sąd dywizyjny uznał nas za ludzi przyzwoitych, którym niczego zarzucić nie można. Oczywiście, że na badaniu wykręcałem się, jak mogłem, bo przed sądami zawsze trzeba kłamać, jak poucza adwokat Bass swoich klientów. Taki już jest obowiązek podsądnego. Gdy pan audytor pytał mnie, z jakiej racji wtargnęliśmy do mieszkania pana Kakonyi, odpowiedziałem mu rzetelnie: „Myślałem, proszę pana, że najlepiej poznamy się z panem Kakonyi, gdy go będziemy odwiedzali”. Pan audytor o nic więcej mnie nie pytał i miał już tego dość.

Zapamiętaj sobie, kolego — wywodził Szwejk dalej — że przed sądem wojskowym do niczego przyznawać się nie należy. Kiedym siedział w areszcie sądu garnizonowego, to jakiś żołnierzyna w sąsiednim *cymrze* przyznał się tam do czegoś. Inni tak się na niego o to rozniewali, że go sprali na kwaśne jabłko i nakazali mu wszystko odwołać.

— Żeby się dopuścił czegoś niehonorowego, to bym się nie przyznał — rzekł saper Vodiczka — ale tak, gdy się mnie ten smyk audytorski zapytał: „Biliście się?” — tom mu

rzetelnie odpowiedział: „Tak jest, biłem się”. „Sponiewieraliście kogo?” „Przypuszczam, że sponiewierałem”. „Czy zraniliście kogo przy tej sposobności?” „Staralem się, panie audytorze”. Niech wie, z kim ma do czynienia. I w tym właśnie cały wstyd, że nas pomimo wszystko uwolnili. Wygląda na to, że mi nie chcą wierzyć, iż na łbach tych łobuzów przetrąciłem bagnet, że narobiłem z nich makaronu, nabiłem guzów i sińców. Sam przecie widziałeś, jak w pewnej chwili rzuciło się na mnie trzech takich psu bratów madziarskich, a niebawem leżeli na ziemi, a ja deptałem po nich, ile weszło. A po tym wszystkim taki smarkaty audytor weźmie i przerwie dochodzenie, jakby chciał powiedzieć: „Nie gadaj i nie chwal się, bo i tak ci nic nie uwierzą, że się umiesz porządnie bić”. Jak się wojna skończy i nastaną czasy cywilne, to ja go sobie, offermę, poszukam i pokażę mu, czy się bić umiem, czy nie umiem. Potem przyjadę tutaj do Kiraly Hidy i zrobię takie piekło, jakiego jeszcze nie było. Do piwnicy będą się ludziska chowali, gdy się dowiedzą, że przyjechałem sprząć tych łapserdaków i łobuzów w Kiraly Hidzie.

*

W kancelarii wszystko załatwione zostało bardzo szybko. Jakiś feldfelbel z gębą jeszcze tłustą po obiedzie podał Szwejkowi i Vodiczce papiery z miną bardzo poważną i korzystając ze sposobności wygłosił do nich przemówienie, odwołując się do ich ducha żołnierskiego, a ponieważ był wasserpolakiem, więc przemówienie przeplatał różnymi zwrotami swego narzecza, jak np.: „małpy zielone”, „głupie rolmopsy”, „fujary nadziewane”, „świńskie ryje”, „prać was po waszych głupich mordach” itp.

Kiedy przyjaciele rozstawali się z sobą, ponieważ każdego odstawiono do jego oddziału, Szwejk rzekł:

— Jak się wojna skończy, to przyjdź do mnie w odwiedzin. Co wieczór od szóstej zastaniesz mnie „Pod Kielichem” na Boisku.

— Ma się wiedzieć, że przyjdę — odpowiedział Vodiczka. — A będzie tam jaka rozróbka?

— Awantury trafiają się tam bardzo często, a gdyby wypadło czekać przydługo, to sobie jakoś poradzimy.

Rozeszli się, a gdy dzieliło ich już kilkadziesiąt kroków, stary saper Vodiczka odwrócił się i zawołał:

— No to pamiętaj i postaraj się, żeby było wesoło, jak przyjdę do ciebie!

Na co Szwejk odpowiedział:

— Ale pamiętaj, żebyś przyszedł, jak tylko skończy się ta wojna!

Oddalali się od siebie coraz bardziej i dopiero po chwili odezwał się głos Vodiczki z któregoś baraku:

— Szwejku, Szwejku! Czy dobre mają piwo „Pod Kielichem”?

Niby echo odpowiedział z daleka głos Szwejka:

— Wielkopopovickie.

— Myślałem, że smichovskie! — wołał z dala saper Vodiczka.

— Są tam też fajne dziewczynki! — głośno krzyczał Szwejk.

— A więc po wojnie o szóstej wieczorem! — wołał z oddali Vodiczka.

— Przyjdź lepiej o pół do siódmej, bo mogę się czasem spóźnić! — doradzał Szwejk.

Potem jeszcze raz, ale już z bardzo daleka wołał Vodiczka:

— A o szóstej nie mógłbyś przyjść?

— No to przyjdę o szóstej! — słyszał Vodiczka odpowiedź oddalającego się kolegi.

Tak rozstał się dobry wojak Szwejk ze starym saperem Vodiczką. *Wenn die Leute auseinander gehen, da sagen sich auf Wiedersehen!*

V. Z BRUCKU NAD LITAWĄ KU SOKALOWI

Porucznik Lukasz biegł zdenerwowany po kancelarii II kompanii marszowej. Kancelaria ta była ciemną, obrzydliwą dziurą w baraku kompanii, oddzieloną od pomieszczenia żołnierzy przepierzeniem z desek. Był w tej kancelarii stół, dwa krzesła, bańka do nafty i prycza.

Przed porucznikiem stał feldfebel Vaniek, który tu w kancelarii układał zazwyczaj listy do wypłaty żołdu, prowadził rachunki kuchni dla szeregowców, był ministrem finansów kompanii, siedział tu przez cały boży dzień i tutaj też sypiał w nocy.

Przy drzwiach stał gruby szeregowiec, brodaty jak Madej. Był to Baloun, nowy pucybut porucznika, w cywilu młynarz z okolic Czeskiego Krumlova.

— Wybrał mi pan doprawdy znakomitego pucybuta — mówił porucznik Lukasz do feldfebela rachuby. — Dziękuję panu serdecznie za tę miłą niespodziankę. Zaraz pierwszego dnia, jak tylko posłałem go po obiad do kuchni oficerskiej, zeżarł mi połowę.

— Rozlało mi się — rzekł gruby olbrzym.

— No dobrze, rozlało ci się. Ale rozlać mogłeś tylko zupę albo sos, nie zaś frankfurcką pieczeń. Przecież przyniosłeś mi taki kawałek, co brudu za paznokciem. A gdzie podziłaś strudel?

— Strudel? Ja...

— Nie zapieraj się, boś go zeżarł.

Ostatnie słowa wymówił porucznik Lukasz z taką powagą i tak ostro, że Baloun mimo woli cofnął się o dwa kroki.

— Informowałem się w kuchni, co mieliśmy dzisiaj na obiad. Do zupy były na przykład kluseczki z wątróbki. Gdzie podziłaś te kluseczki? Powyciągałeś jedną po drugiej i zeżarłeś po drodze. Następnie była wołowina z ogórkiem. Coś z tym zrobił? Też zeżarłeś. Dwa platy pieczeni frankfurckiej, a tyś mi przyniósł pół kawałka. Były dwa kawałki strudla. Gdzieś go podział? Zeżarłeś wszystko, ty świnię nędzna, mizerna. Pytam się, gdzie zaprzepaściłeś strudel? A, w błoto ci wpadł? Ty draniu jeden! Może pokażesz mi miejsce, gdzie leży ten strudel w błocie? A, pies przyleciał jak na zawołanie, złapał go i uciekł z nim. Jezus Maria, przecież ja cię tak spiorę po pysku, że będziesz miał łeb jak szaflik! Jeszcze się ta swinia zapiera. Przecież cię widzieli. Wiesz, kto cię widział? Rechnungsfeldfebel Vaniek widział cię na własne oczy. Przyszedł do mnie i mówi: „Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że ta pańska swinia, Baloun, zje pański obiad”. Wyrzałem oknem, a ten zje mój obiad tak łapczywie, jakby przez cały tydzień nic nie jadł. Słuchajcie no, rechnungsfeldfebel, czy naprawdę nie mogłeś pan wyszukać dla mnie innego bydlaka, tylko akurat takiego?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że Baloun wydawał mi się z całej naszej kompanii marszowej najporządniejszym człowiekiem. Taki z niego niezguła, że nie może zapamiętać ani jednego chwytu, a jakby mu dać w rękę karabin, to jeszcze by się stało jakie nieszczęście. Podczas ostatniego ćwiczenia ślepymi nabojami o mały figiel byłby wystrzelił w oko sąsiadowi. Myślałem więc, że przyda się przynajmniej w takiej służbie.

— I będzie pożerał moje obiady — rzekł porucznik Lukasz — jakby mu nie wystarczyła jego własna porcja! Może masz jeszcze na coś apetyt?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że ciągle jestem głodny. Jeśli czasem zbywa komu kawałek chleba, to od niego kupuję ten chleb za papierosy, ale to wszystko mało. Ja mam już taką naturę. Czasem zdaje mi się, że już jestem syty, ale gdzie tam! Za chwilę po jedzeniu zaczyna mi kruczyć w brzuchu i mój drański żołądek znowuż domaga się żarcia. Bywa i tak, że mi się zdaje, że się przejadłem i że już by się w żołądku nic nie zmieściło, ale to się tylko tak zdaje. Jak tylko zobaczę, że ktoś je albo poczuje zapach jedzenia, to mi się w żołądku robi tak pusto, że aż się na płacz zbiera. Żołądek zaczyna domagać się swoich praw, a ja polykałbym w takiej chwili kamienie. Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że już prosiłem, żeby mi wydali podwójną porcję. W Budziejowicach zachodziłem z tego powodu do pułkowego doktora, a doktor zamiast mi pomóc, kazał mnie zabrać na trzy dni do lazaretu i dawać mi raz na dzień garnuszek czystej polewki. „Ja cię, powiada, ty kanalio, nauczę być głodnym! Jak mi tu przyjdiesz jeszcze raz, to wyjdiesz ode mnie jak tyczka chmielowa!” Mnie nie potrzeba, panie oberlejtant, jakichś dobrych rzeczy, bo nawet najzwyczajniejsze pobudzają mój apetyt, aż mi się śliny robią. Posłusznie melduję, panie oberlejtant, iż proszę grzecznie, żeby mi została przyznana druga porcja. Gdyby nie starczyło mięsa, to przynajmniej te dodatki, jak na przykład kartofle, kluski, trochę sosu... Tych rzeczy zawsze sporo zostaje.

— Dobrze. Wysłuchałem cierpliwie twoje zuchwalstwa, Balounie — odpowiedział porucznik Lukasz, a zwracając się do feldfebela, pytał: — Słyszał pan kiedy, panie rechnungsfeldfebel, aby żołnierz dawniejszy odważył się na taką zuchwałość jak ten drab?

Zeżarł mi obiad i jeszcze chce, żeby mu została przyznana podwójna porcja. Ale ja ci, Balounie, jeszcze pokażę, aż ci to bokiem wyjdzie!

Sie, Rechnungsfeldfebel — zwrócił się porucznik do Vańka — zaprowadź go do kaprała Weidenhofera, żeby go przywiązał do słupka dziś wieczorem na dwie godziny i to na dziedzińcu koło kuchni, jak będą wydawali gulasz. Niech go przywiąże do słupka porządnie wysoko, żeby stał na paluszkach i żeby widział, jak się ten gulasz będzie gotował. I niech pan wyda rozporządzenie, żeby Baloun był przywiązany do słupka i wówczas jeszcze, gdy gulasz będzie wydawany, żeby mu śliny z pyska leciały jak głodnej suce, przyczajonej koło wędliniarni. Kucharzowi powiedzieć, żeby jego porcję rozdał.

— Rozkaz, panie oberlejtant. Chodźcie, Balounie!

Gdy się oddalili, porucznik zatrzymał ich we drzwiach i spoglądając w twarz wystraszzonego Balouna, mówił głosem triumfującym:

— Ładnieś się urządził, Balounie. Smaczno! A jeśli jeszcze raz zrobisz mi coś podobnego, to bez miłosierdzia oddam cię pod sąd połowy.

Gdy Vaniek wrócił i oznajmił porucznikowi, że Baloun jest już przywiązany do słupka, Lukasz rzekł:

— Znasz mnie pan dobrze, że takich rzeczy robić nie lubię, ale nie ma rady. Po pierwsze, sam pan przyznasz, że gdy psu odbierają gnata, to warczy. Nie chcę mieć przy sobie takiego podłego draba, a po drugie, już sam fakt, że Baloun został przywiązany do słupka, wywrze wpływ moralny i psychologiczny na wszystkich szeregowców. Od chwili gdy się dowiedzieli, że jutro albo pojutrze pójdą na front, chłopiska nie słuchają i każdy robi, co mu się podoba.

Porucznik Lukasz miał minę człowieka bardzo przygnębionego i cichym głosem mówił dalej:

— Onegdaj podczas ćwiczeń nocnych mieliśmy manewrować przeciwko szkole jednorocznych ochotników za cukrownią. Pierwszy pluton, straż przednia, jeszcze względnie cicho szedł szosą, bo ja go sam prowadziłem, ale drugi, który miał iść na lewo i rozsyłać patrole pod cukrownię, spacerował, jakby wracał z majówki. Śpiewali i hałasowali, że chyba słychać było te hałasy aż w obozie. Następnie na prawym skrzydle trzeci pluton miał spenetrować teren pod lasem. Oddalony był od nas o dobre dziesięć minut i nawet z takiego oddalenia widać było, jak te gałgany palą papierosy: ognik przy ogniku żarzył się w ciemnościach nocy. Czwarty pluton miał być strażą tylną i diabli wiedzą, jak to się stało, że wynurzył się nagle przed nosem naszej straży przedniej, tak że był uważany za nieprzyjaciela, a ja musiałem cofać się przed własną strażą tylną, która na mnie nacierała. Taka jest ta kompania, którą odziedziczyłem. Co można z takich ludzi zrobić? Jak będą postępowali w prawdziwej bitwie?

Porucznik Lukasz składał ręce jak ciężko doświadczony męczennik, a koniec jego nosa zaostrzył się.

— Niech się pan tym wszystkim nie przejmuję, panie oberlejtant pocieszał go feldfebel Vaniek. — Nie warto sobie suszyć głowy takimi rzeczami. Służyłem już w trzech kompaniach marszowych, każdą rozbili nam razem z całym batalionem i musieliśmy formować się na nowo. I wszystkie kompanie marszowe były akurat takie same jak pańska, panie oberlejtant, ani jedna nie była lepsza. Najgorsza była 9: zawlokła z sobą do niewoli wszystkie szarże razem z dowódcą kompanii. Mnie uratowało tylko to, że byłem przy taborach pułkowych, gdzie fasowałem dla kompanii rum i wino, więc cała ta heca odbyła się beze mnie.

A czy nie słyszał pan, panie oberlejtant, że podczas tego ostatniego ćwiczenia nocnego, o którym pan właśnie mówił, szkoła jednorocznych ochotników, która miała okrążyć pańską kompanię, dostała się aż nad Jezioro Nezyderskie? Maszerowała sobie pięknie i ładnie wciąż za nosem, aż do samego rana, a forpocztę dostały się aż do przybrzeżnych bajor. I to jeszcze prowadził ich sam pan kapitan Sagner. Gdyby nie świt, to byliby dotarli może do samego Sopronia — mówił tajemniczo feldfebel rachuby, bo bardzo lubił podobne wypadki i miał je wszystkie w ewidencji.

Pewno pan już słyszał — rzekł jeszcze Vaniek mrugając poufale — że pan kapitan Sagner ma zostać naszym dowódcą batalionu. Wszyscy byli zrazu przekonani razem ze sztabfeldfeblem Hegnerem, że dowódcą batalionu będzie pan, ponieważ jest pan u nas

najstarszym oficerem, a potem przyszedł z dywizji do brygady jakiś papier z mianowaniem kapitana Sagnera.

Porucznik Lukasz zagryzł usta i zapalił papierosa. Wiedział o tym i był przekonany, iż dzieje mu się krzywda. Kapitan Sagner już dwa razy ubiegł go w awansie. Irytowało go to, ale nie rzekł nic, tylko machnął ręką.

— Ba, kapitan Sagner...

— Mnie to wcale nie cieszy — poufale rzekł feldfelbel rachuby. — Opowiadał nam sztabfeldfelbel Hegner, że na początku pan kapitan Sagner chciał się odznaczyć w Serbii, gdzieś w pobliżu Czarnej Góry, i pędził jedną kompanię swego batalionu za drugą na serbskie karabiny maszynowe, aczkolwiek nie zdało się to na nic, bo to nie była robota dla piechoty, ale dla artylerii, która jedynie mogła Serbów stamtąd wykurzyć. Z całego batalionu pozostało wszystkiego osiemdziesiąt chłopca. Pan kapitan Sagner sam dostał postrzał w rękę, a potem w szpitalu zaraził się jeszcze dezynterią i znowu pojawił się w pułku w Budziejowicach, a wczoraj wieczorem miał opowiadać w kasynie, że się cieszy, iż odchodzi na front, bo choćby cały batalion miał poświęcić, to jednak pokaże, co umie, i dostanie *signum laudis*. Za Serbię, powiada, dostał po nosie, ale teraz albo zginie z całym marszbatalionem, albo zostanie mianowany oberlejtantem. Ale batalion musi poznać wojnę na własnej skórze. Sądzę, panie oberlejtant, że takie ryzykanctwo musi obchodzić i nas. Niedawno opowiadał nam sztabfeldfelbel, że kapitan Sagner nie bardzo panu sprzyja i że naszą II kompanię wyśle do boju na pierwszy ogień i na miejsce najstraszniejsze.

Feldfelbel rachuby westchnął.

— Ja sądzą, że w takiej wojnie jak obecna, kiedy tyle jest wojska i taki długi front, więcej można osiągnąć porządnym manewrowaniem niż rozpaczliwymi atakami. Widziałem, jak było pod Dukłą z 10 kompanią. Wszystko odbyło się sprawnie i gładko. Przyszedł rozkaz: „*Nicht schiessen*” — więc nikt nie strzelał i czekaliśmy, aż Rosjanie podeszli do nas na krótką odległość. Bylibyśmy ich wzięli do niewoli bez wielkiego kłopotu, tylko że wtedy na lewym skrzydle mieliśmy idiotycznych landwerzystów, a ci dostali takiego pietra na widok zbliżających się Rosjan, że zaczęli dawać dęba i zjeżdżać ze zbocza po śniegu jak przy saneczkowaniu, a my dostaliśmy rozkaz przebiec się do brygady, bo Rosjanie przerwali lewe skrzydło. Byłem akurat wtedy w brygadzie, żeby mi tam podpisali *kompanieverpfllegungsbuch*, ponieważ nie mogłem znaleźć naszego taboru pułkowego, i wtedy zaczęli się do brygady zlatywać pierwsi szeregowcy z 10 kompanii. Do wieczora przyszło ich ze stu dwudziestu, reszta zaś zjechała po śniegu do Moskali jak w jakim toboganie. Tam była straszna sytuacja, bo Rosjanie mieli w Karpatach stanowiska u góry i na dole. A następnie, panie oberlejtant, pan kapitan Sagner...

— Daj mi pan spokój z panem kapitanem Sagnerem — rzekł porucznik Lukasz. — Ja to wszystko znam. Tylko nie myśl pan sobie, że jak będzie szturm i bitwa, to znów całkiem przypadkowo znajdzie się pan przy taborze pułkowym i będzie pan fasował rum i wino. Zwrócono mi już uwagę, że pan strasznie pije. Zresztą, kto spojrzy na pański czerwony nos, ten od razu widzi, z kim ma do czynienia.

— To z Karpat, panie oberlejtant, tam trzeba było pić. Menaż dostarczano nam zimny, okopy były w śniegu, nie wolno było niecić ognia, więc trzymał nas przy życiu tylko rum. I to jeszcze dzięki mojej zapobiegliwości, bo w innych kompaniach nie umieli postarać się o niego i ludzie marzli jak muchy. Za to w naszej kompanii wszyscy podostawali czerwone nosy od rumu, ale miało to także swoje ciemne strony, bo z batalionu przyszedł rozkaz, żeby na patrolowanie wychodzili tylko ci szeregowcy, którzy mają czerwone nosy.

— No, tym razem zima już za nami — rzekł z naciskiem porucznik.

— Rum jest żołnierzowi potrzebny w każdej porze roku tak samo jak wino. Wytwarza on, że tak powiem, dobry humor. Za pół miarki wina i ćwierć litra rumu ludzie biją się chętnie, z kim popadnie... Co za bydlę puka do drzwi? Nie widzi na drzwiach napisu: „*Nicht klopfen! Herein!*”

Porucznik odwrócił się na krześle ku drzwiom i zauważył, że otwierają się one powoli i ostrożnie. Równie cicho wkroczył do kancelarii II kompanii marszowej dobry wojak Szwejk salutując już ode drzwi. Prawdopodobnie salutował już wówczas, gdy na drzwiach odczytywał napis: „*Nicht klopfen*” — i stukał.

Jego salutowanie było jakby radosnym uzupełnieniem jego bezgranicznie zadowolonej, beztroskiej twarzy. Wyglądał jak grecki bóg złodziei w prozaicznym mundurze austriackiego piechura.

Porucznik Lukasz na chwilę przymknął oczy, jakby unikając spojrzenia dobrego wojaka Szwejka, który zdawał się nim ścisnąć i całować swego przełożonego.

Tak musiał niezawodnie spoglądać syn marnotrawny na ojca swego po powrocie do domu, gdy ojciec na jego przyjęcie obracał na rożnie tłustego barana.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że znowuż jestem — odezwał się od progu Szwejk z taką szczerą prostotą, że porucznik Lukasz oprzytomniał w jednej chwili. Gdy pułkownik Schröder powiedział mu, że Szwejk wróci do niego jako ordynans kompanii, Lukasz oddał w duchu chwilę spotkania ze swoim byłym służącym. Co dzień rano powtarzał sobie miłą obietnicę:

— On jeszcze dzisiaj nie przyjdzie, zbroi pewno coś takiego, że będą musieli go zatrzymać.

Wszystkie te kombinacje rozplynęły się jak dym w chwili, gdy Szwejk wszedł do kancelarii w sposób tak miły i prosty.

Szwejk spojrział następnie na feldfebla rachuby i z miłym uśmiechem podał mu papiery, które wyjął z kieszeni płaszcza.

— Posłusznie melduję, panie rechnungsfeldfel, że te papiery, które wydano mi w kancelarii pułku, mam oddać panu. To niby o żołd idzie i zapisanie mnie na *Verpflegung*.

Szwejk poruszał się w kancelarii i kompanii marszowej z taką ujmującą swobodą towarzyską, jakby był najmilszym kolegą feldfebla Vańka, który na tę poufalość zareagował prostymi słowy:

— Proszę położyć na stole.

— Zrobiłby pan bardzo dobrze, *Sie Rechnungsfeldwebel*, gdyby pan wyszedł i pozostawił mnie ze Szwejkami sam na sam — rzekł porucznik Lukasz.

Vanek wyszedł, ale przystanął za drzwiami, aby podsłuchiwać, co ci dwaj mają sobie do powiedzenia.

Zrazu nie słyszał nic, bo Szwejk i porucznik Lukasz milczeli. Obaj długo spoglądali na siebie i obserwowali się wzajemnie. Lukasz spoglądał na Szwejka, jakby go chciał zahipnotyzować, jak to czyni kogut, który spogląda na kurę przygotowując się do napadnięcia na nią.

Szwejk, jak zawsze, patrzył przed siebie spokojnie i obejmował porucznika spojrzeniem miękkim i tkliwym, jakby chciał powiedzieć:

„Więc znowuż jesteście razem, serdeńko słodkie. Teraz nic już nas nie rozłączy, gołąbku drogi”.

Gdy porucznik Lukasz milczał trochę przydługo, oczy Szwejka pełne tkliwego wyrzutu zdawały się mówić: „Powiedzże mi coś, miły mój, przemów do mnie!”

Porucznik Lukasz przerwał to męczące milczenie słowami, w które starał się włożyć jak najwięcej złośliwej ironii:

— Uprzejmie was witam, mój Szwejku. Dziękuję za odwiedzinę takiego wielce miłego gościa!

Ale nie utrzymał się w tym tonie. Złość dni minionych odezwała się w nim tak mocno, że pięścią huknął w stół z całej siły, aż kałamarz podskoczył, a atrament trysnął na listę żołdu i powalał ją. Porucznik rzucił się ku Szwejkowi, stanął tuż przed nim i wrzasnął:

— Ach, ty bydlę jedno! — i zaczął biegać po ciasnej kancelarii, a za każdym razem, gdy mijał Szwejka, splotwał.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant — rzekł Szwejk, gdy porucznik Lukasz nie przestawał chodzić i drzeć papierów, po które sięgał, gdy przechodził obok stołu — że list oddałem, jak się należy. Znalazłem szczęśliwie panią Kakonyi i muszę przyznać, że jest to kobieta bardzo ładna. Widziałem ją wprawdzie tylko przez chwilę, gdy płakała...

Porucznik Lukasz usiadł na pryczy podoficera rachuby i zawołał głosem zachrypłym:

— Kiedy się to wszystko skończy, do stu diabłów?

Szwejk mówił dalej, jakby nigdy nic:

— Potem spotkała mnie drobna przykrość, ale wszystko wzięłem na siebie. Co prawda, nie chcieli mi wierzyć, że my sobie pisujemy z tą panią, więc wolałem list połknąć, gdy się nadarzyła okazja, żeby ich wyprowadzić w pole. Potem sam już nie pamiętam,

w jaki sposób wplątałem się w jakąś nieznaczną awanturkę. Ale i z tego się wygrzebałem. Niewinność moja okazała się w całej pełni, zostałem odesłany do *regimentsraportu*, a dochodzenie śledcze przeciwko mnie zostało umorzone. W kancelarii pułkowej czekałem parę minut na pana obersta, który trochę pourągał i kazał mi, żebym się zaraz zameldował u pana jako ordynans kompanii i żebym panu powiedział, że ma pan zaraz przyjść do pana obersta w sprawie kompanii marszowej. Będzie już chyba pół godziny od tego czasu, ale pan oberst nie wiedział przecie, że mnie jeszcze raz zaciągną do kancelarii i że będę musiał siedzieć tam przeszło kwadrans, ponieważ miałem zatrzymany żołd za te wszystkie dni i mieli mi go wypłacić w pułku, a nie w kompanii, bo zapisany byłem jako *regimentsarrestant*. W ogóle wszystko tam jest poplątane i pomieszane tak bardzo, że można było zgłupieć z tego...

Porucznik Lukasz ubierał się szybko, słysząc, że już od pół godziny czeka na niego pułkownik Schröder, i rzekł:

— Znowu przysłużyliście mi się niezgorzej, mój Szwejku.

Słowa te brzmiały tak beznadziejnie i było w nich tyle rozpaczy, że Szwejk spróbował uspokoić porucznika słowem przyjacielskim, które rzucił za nim tonem jak najspokojniejszym:

— E, proszę pana, pan oberst poczeka, bo i tak nie ma nic do roboty.

W chwilę po odejściu porucznika do kancelarii wszedł feldfelbel rachuby Vaniek.

Szwejk siedział na krześle i podsyczał ogień w żelaznym piecyku i to w taki sposób, że kawałki węgla wrzucał przez otwarte drzwiczki do wnętrza. Piecyk dymił i śmierdział, a Szwejk dorzucał węgla dalej, nie zwracając uwagi na Vanika, który przez chwilę przyglądał się Szwejkowi, ale w końcu zamknął drzwiczki kopnięciem i wezwał Szwejka, żeby sobie poszedł.

— Panie rechnungsfeldfelbel — rzekł z dostojeństwem Szwejk — pozwalam sobie powiedzieć panu, że rozkazu pańskiego usłuchać nie mogę, chociaż poszedłbym sobie jak najchętniej nie tylko stąd, ale i z całego obozu, a nie mogę usłuchać pana dlatego, że ja podlegam władzy wyższej.

Milczał przez chwilę, a potem dodał z wielkim dostojeństwem:

— Mianowicie jestem tutaj ordynansem kompanii. Pan oberst Schröder przydzielił mnie do 11 kompanii marszowej do pana oberlejtanta, u którego byłem dawniej pucybutem. Za wrodzoną roztropność dostałem awans na ordynansa kompanii. Z panem oberlejtantem znam się już od bardzo dawna. A czym pan jest w cywilu, panie rechnungsfeldfelbel?

Feldfelbel rachuby Vaniek tak był zaskoczony tym poufałym sąsiedzkim tonem dobrego wojaka Szwejka, że zapomniawszy o własnej godności, którą lubił popisywać się wobec szeregowców, odpowiedział, jakby był podwładnym Szwejka:

— Ja jestem drogista Vaniek z Kralup.

— Ja też byłem kiedyś w terminie u drogisty — rzekł Szwejk — u niejakiego pana Kokoszki na Persztynie w Pradze. Był to wielki dziwak, a gdy razu pewnego przez pomyłkę podpałilem w jego składzie beczkę benzyny, tak że powstał z tego wielki pożar, wygnał mnie i żaden z drogistów już mnie do terminu przyjąć nie chciał. Z powodu takiej idiotycznej beczki benzyny nie mogłem dokończyć terminowania. Czy sprzedaje pan także ziółka dla bydła?

Vaniek pokręcił głową.

— U nas wyrabialiśmy ziółka dla bydła z poświęcanymi obrazkami. Bo nasz pan szef Kokoszka był człowiekiem bardzo pobożnym i wyczytał kiedyś w jakiejś książce, że święty Pelegrinus bardzo skutecznie pomaga, gdy bydło cierpi na wzdęcie. Więc w jakiejś drukarni na Smichovie kazał sobie nadrukować obrazków świętego Pelegrinusa i kazał je poświęcić w klasztorze emauskim za dwieście reńskich. A następnie dodawaliśmy te obrazki do owych ziółek dla bydła. Wsypywało się te ziółka do ciepłej wody, krowa sobie piła, a tymczasem odczytywało się bydłociu modlitewkę do świętego Pelegrinusa, która była wydrukowana na odwrotnej stronie obrazka. A tę modlitewkę ułożył nasz subiekt pan Tauchen. Było to tak: gdy obrazki świętego Pelegrinusa były już wydrukowane, okazało się, że potrzebna jest modlitewka do umieszczenia na drugiej stronie obrazka. Więc nasz stary pan Kokoszka wezwał pewnego wieczoru pana Tauchena i rzekł mu, żeby do

rano ułożył modlitewkę do tego obrazka i do tych ziółek i że na dziesiątą rano, jak przyjdzie do sklepu, modlitewka ta musi być już gotowa, bo trzeba odesłać ją do drukarni, bo krowy już czekają na tę modlitewkę. Rozkazał, i tyle! Albo ułoży modlitewkę i dostanie reńskiego z rączki do rączki, albo może sobie za dwa tygodnie iść, gdzie będzie chciał. Pan Tauchen pocił się nad tą modlitewką przez całą noc, a gdy rano przyszedł otwierać sklep, był jak z krzyża zdjęty, a nie miał nic napisanego. Zapomniał nawet, jak się ten święty od ziółek dla krów nazywa. Poratował go w tej biedzie nasz służący Ferdynand. Był to chłopak i do tańca, i do różańca. Gdy na strychu suszyliśmy rumianek, to zdejmował buty, laził po tym rumianku i uczył nas, jak trzeba robić, żeby się nogi nie pocily. Łapał na strychu gołębie, umiał otwierać biurka, w których były pieniądze, i jeszcze uczył nas robić różne kanty z towarem. Ja poznałem sobie do domu tyle różnych leków, że miałem aptekę lepszą niż w klasztorze Miłosiernych Braci. I ten Ferdynand poratował pana Tauchena. „Niech pan da, powiada do pana Tauchena, popatrzę, co i jak”. A pan Tauchen zaraz mu z wielkiej uciechy kazał przynieść piwa. Zanim przyniosłem piwo, już mój Ferdynand miał połowę modlitewki i czytał nam:

Z nieba przynoszę ziółka święte,
Ratuję nimi bydło wzdęte.
Krowa, wół, jałówka, cielę,
Niech pije Kokoszki ziele,
Które dobrze smakuje
I od wzdęcia ratuje...

Potem zaś, gdy się napił piwa i poprawił tinkturą amarą, wszystko poszło jak po maśle i za chwilę modlitewką była gotowa:

Święty Pelegrinus wynalazł te zioła,
Po dwa reńskie paczka, każdy kupić zdoła.
Chroń swe wierne bydło, Pelegrinie święty,
Z lubiącymi tve zioła woły i cielęty!
Niech i gospodarz będzie razem z bydłem zdrowy,
Święty Pelegrinusie, chroń nam nasze krowy!

Pan Kokoszka przyszedł niebawem i pan Tauchen poszedł za nim do kantorku, a gdy wyszedł po chwili, pokazywał nam dwa reńskie. Nie jeden, jak mu pan Kokoszka obiecał, ale dwa. I chciał jeden z nich dać Ferdynandowi, ale służącego opętał nagle szatan mamonny. Nie chciał reńskiego, ale powiada, albo wszystko, albo nic. Więc ten pan Tauchen nie dał mu nic i oba reńskie schował do kieszeni, a mnie zaciągnął do magazynu, dał mi po łbie i rzekł, że dostanę jeszcze lepiej, gdybym się odważył powiedzieć, że to nie on napisał tę modlitewkę. Nawet gdyby Ferdynand poszedł na skargę do naszego starego, to i tak mam mówić, że on kłamie. Tak mi rozkazał i musiałem na to przysiąc przed balonem estragonu. Ale nasz Ferdynand zaczął się mścić na tych ziółkach dla bydła. Mieszaliśmy te ziołka w wielkich skrzyniach na strychu, a Ferdynand zmiatał zewsząd mysie łajna i wsypywał do tych ziółek. Zbierał też na ulicach końskie łajno, suszył je w domu, tłukł w moździerz na proszek i dodawał to także do ziółek dla krów z obrazkiem świętego Pelegrinusa. Ale i tej zemsty było mu jeszcze mało. Siusiał czasem do tych skrzyń i nawet gorsze rzeczy robił i mieszał wszystko razem, tak że zioła te wyglądały jak kasza z otrębami...

Odezwał się dzwonek telefonu. Feldfebel złapał słuchawkę, ale po chwili odrzucił ją z wściekłością i rzekł:

— Muszę iść do kancelarii pułkowej. Jakiś gwałt. Nie podoba mi się to.

Szwejk znowu pozostał sam.

Po chwili znowu zabrzmiał dzwonek telefonu.

— Vaniek? — zamyślił się Szwejk. — Poszedł do kancelarii pułku. — Kto mówi? — zapytał. — Tutaj ordynans 11 kompanii marszowej. — W telefonie zabrzmiało: „Ordynans 12” — No to serwus, kolego. Jak się nazywam? Jestem Szwejk. A ty? Braun?

Czy to nie twój krewniak kapelusznik Braun przy ulicy Pobrzeżnej w Karlinie? Nie znasz go nawet... Ja też nie, tylko raz pewnego przejeżdżałem tramwajem i zauważyłem tę firmę. Co nowego? Ja nic nie wiem. Kiedy pojedziemy? Jeszcze z nikim o odjeździe nie rozmawiałem. Gdzież to mamy jechać?

— Z kompanią marszową na front, ty fujaro!

— Jeszcze o tym nie słyszałem.

— Ano, toś ładny ordynans. Nie wiesz, czy twój lejtnant...

— Przepraszam, jeśli mój, to oberlejtant...

— To wszystko jedno. Więc czy twój oberlejtant poszedł do obersta na konferencję?

— Oberst go wezwał.

— A widzisz. Mój też tam jest i z 13 kompanii też. Właśnie rozmawiałem z tamtym ordynansem przez telefon. Jakos mi się ten gwałt nie podoba. A nie widziałeś czasem, czy się muzykanty pakują?

— Ja o niczym nie wiem.

— Nie udawaj wołu. Wasz rechnungsfeldfelbel dostał już zawiadomienie o wagonach czy nie? Wiele u was szeregowców?

— Nie wiem.

— Ach, ty mało jedna! Zjem cię czy co? (Słysząc było głos mówiący do kogoś stojącego w pobliżu: „Weź, Franek, drugą słuchawkę, to zobaczysz, co to za mała ten ordynans 11 kompanii”). Halo, śpisz czy co? Odpowiadaj, gdy kolega pyta. Więc ty naprawdę o niczym nie wiesz? Nie udawaj i nie wypieraj się. Czy wasz rechnungsfeldfelbel nie mówił nic o fasowaniu konserw? Nie mówiłeś z nim o takich rzeczach? Ach, ty ofermo! Więc cię to nic nie obchodzi? (Słysząc śmiech). W ciemni cię widać mocno bili. Jeśli dowiesz się czego ciekawego, to zatelefonuj do nas do 12 kompanii marszowej. Mamusin synek z ciebie i fujara. Skąd jesteś?

— Z Pragi.

— No to powinieneś być trochę dowcipniejszy... I jeszcze jedno — kiedy poszedł wasz rechnungsfeldfelbel do kancelarii?

— Wezwali go przed chwilą.

— I trzeba cię dopiero mocno za język pociągnąć, żebyś powiedział o tym. Nasz także poszedł przed chwilą. Coś się na pewno szykuje. Z taborem nie rozmawiałeś?

— Nie rozmawiałem.

— Ach, Chryste Panie! I jeszcze powiada, że pochodzi z Pragi! I nic cię to wszystko nie obchodzi? Gdzie latasz całymi dniami?

— Dopiero przed godziną zostałem zwolniony z aresztu sądu dywizyjnego.

— A, to inna sprawa, kolego. W takim razie jeszcze dzisiaj przyjdę do ciebie, żeby się zapoznać. Oddzwoń dwa razy.

Szwejk chciał sobie zapalić fajkę, gdy wtem znowu odezwał się telefon.

„Całuj psa w nos z całym swoim telefonem — pomyślał Szwejk. — Akurat, będę głądził z byle kim”.

Ale telefon terkotał nieubłaganie dalej, tak że wreszcie stracił Szwejk cierpliwość. Sięgnął po słuchawkę i wrzasnął:

— Halo, kto tam? Tutaj ordynans Szwejk z 11 kompanii marszowej.

W odpowiedzi odezwał się głos porucznika Lukaszka:

— Co wy tam wszyscy robicie? Gdzie jest Vaniek? Zawołajcie mi go zaraz do telefonu!

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że niedawno telefonowali...

— Słuchajcie, mój Szwejk: nie mam czasu na żadne głądzenie. Wojskowe rozmowy telefoniczne to nie pogawędka okazyjna, jak na przykład, gdy się kogoś przez telefon zaprasza na obiad. Rozmowy telefoniczne muszą być krótkie i jasne. Przy takich rozmowach nie mówi się: „Posłusznie melduję, panie oberlejtant”. Nie potrzeba. Więc pytam się, Szwejk, czy macie pod ręką Wańka. Niech zaraz podejdzie do telefonu.

— Nie mam Wańka pod ręką, melduję posłusznie, panie oberlejtant. Przed chwilą został zawołany stąd, z kancelarii, będzie jaki kwadrans, do kancelarii pułku.

— Jak wrócę, to was nauczę moresu! Czy nie możecie wyrażać się treściwie? A teraz uważajcie dobrze, co będę mówił. Czy słyszycie dobrze? Żeby potem nie było żadnych wykrętów, że w telefonie był szum. Natychmiast, jak tylko zawieszicie słuchawkę...

Pauza, nowe dzwonięcie. Szwejk sięga po słuchawkę i wysłuchuje mnóstwo wyzwisk, którymi zasypuje go porucznik:

— Ach, ty bydlę, łotrze, łobuzie! Co ty robisz? Dlaczego przerywasz rozmowę?

— Pan mówił, posłusznie melduję, żebym powiesił słuchawkę.

— Za godzinę powrócę, a wtedy zobaczycie, co to jest udawać idiotę... Idźcie więc natychmiast do baraku, wyszukajcie jakiego plutonowego, na przykład Fuchsa, i powiedzcie mu, żeby natychmiast wziął dziesięciu szeregowców i żeby z nimi szedł do magazynu po konserwy. Powtórzcie, co ma zrobić?

— Ma iść do magazynu i fasować konserwy dla kompanii.

— Nareszcie przestaliście się bałwanić. Ja tymczasem zatelefonuję do Vańka do kancelarii pułkowej, żeby poszedł także do magazynu i przejął fasunek. Gdyby tymczasem powrócił do baraku, to niech wszystko rzuca i biegiem pędzi do magazynu. A teraz zawieście słuchawkę.

Szwejk przez dość długą chwilę daremnie szukał nie tylko plutonowego Fuchsa, ale i innych podoficerów. Byli w kuchni, ogryzali kości i bawili się widokiem Balouna przywiązanego do słupka. Stał mocno na ziemi na całych stopach, bo się nad nim zlitowali i pofolgowali mu trochę, ale przedstawiał widok interesujący z innej przyczyny. Jeden z kucharzy przyniósł mu żebro z mięsem i wsunął mu je w usta, a spętany olbrzym Baloun, nie mogąc manipulować rękoma, ostrożnie przesunął kość w ustach przy pomocy warg i zębów i ogryzał resztki mięsa z wyrazem dzikusa.

— Któż z was będzie tutaj plutonowy Fuchs? — zapytał Szwejk doszukawszy się wreszcie podoficerów.

Plutonowy Fuchs nawet nie odpowiedział widząc, że pyta o niego zwyczajny szeregowiec.

— Mówię po dobremu — powtórzył Szwejk — który z was jest plutonowy Fuchs? Czy długo jeszcze będę pytał?

Plutonowy Fuchs wstał i zaczął wymyślać na różne sposoby, że on nie żaden plutonowy, ale pan plutonowy, że się nie mówi: „Gdzie jest plutonowy?” Ale mówi się: „Posłusznie melduję, gdzie jest pan plutonowy?” Gdy w jego plutonie ktoś nie powie: „*Ich melde gehorsam*”, to dostaje w pysk.

— Nie tak prędko — rzekł z namaszczaniem Szwejk. — Rypaj pan w te pędy do baraku, bierz pan dziesięciu chłopów i leć pan z nimi *laufszrytem* do magazynu fasować konserwy.

Plutonowy Fuchs był tak zaskoczony, że zdobył się tylko na i pytanie:

— Co?

— Żadne „co” — odpowiedział Szwejk. — Ja jestem ordynans 11 kompanii marszowej i przed chwilą rozmawiałem przez telefon z panem oberlejtantem Lukaszem. A pan oberlejtant powiada: „*Laufszryt*, dziesięciu chłopów do magazynu”. Jeśli pan nie pójdziesz, panie plutonowy Fuchs, to zaraz pójde do telefonu. Pan oberlejtant życzy sobie, żebyś pan poszedł. Zresztą szkoda gadania, bo telefoniczne rozmowy wojskowe, jak mówi pan oberlejtant Lukasz, muszą być krótkie i jasne. Powiedziano: plutonowy Fuchs idzie, to plutonowy Fuchs idzie. Taki rozkaz to nie żadne gładzenie jak na przykład, gdy się kogo przez telefon zaprasza na obiad. W wojsku, osobliwie podczas wojny, każde spóźnienie to zbrodnia. Jeśli ten plutonowy Fuchs nie poleci natychmiast, to mi dajcie znać, a już ja z nim pogadam. Po plutonowym Fuchsie nawet śladu nie zostanie. Moi złoci, wy nie znacie pana oberlejtanta.

Szwejk okiem triumfatora rozejrzał się po szarżach. Jego przemówienie zaskoczyło wszystkich i przygnębiło.

Plutonowy Fuchs mruknął coś niezrozumiałego i szybko się oddalał, a Szwejk wołał za nim:

— Czy mogę zatelefonować do pana oberlejtanta, że wszystko w porządku?

— Zaraz będę z dziesięciu szeregowcami w magazynie! — zawołał w odpowiedzi Fuchs, a Szwejk, nie powiedziawszy już ani słowa, oddalał się od podoficerów zaskoczonych wystąpieniem Szwejka nie mniej od Fuchsa.

— Już się zaczyna — rzekł niski kapral Błazek. — Będziemy się pakowali.

Po powrocie do kancelarii Szwejk znowu nie mógł zapalić sobie fajki, bo wzywał go telefon. Znowu rozmawiał ze Szwejkem porucznik Lukasz.

— Gdzie wy latacie, Szwejku? Dzwonię już po raz trzeci i nikt się nie odzywa.

— Załatwiałem to, co mi pan rozkazał.

— Już poszli?

— Ma się wiedzieć, że poszli, ale nie wiem, czy już odeszli. Może polecieć jeszcze raz?

— Znaleźliście plutonowego Fuchsa?

— Znalazłem, panie oberlejtnant. Naprzód powiada; „Co?” I dopiero, jakem wyłożył, że rozmowy telefoniczne muszą być jasne i krótkie...

— Nie gładźcie, Szwejku... Czy Vaniek jeszcze nie wrócił?

— Nie wrócił, panie oberlejtnant.

— Nie wrzeszczcie tak głośno. Czy nie wiecie, gdzie może być ten zatracony Vaniek?

— Nie wiem, panie oberlejtnant, gdzie może być ten zatracony Vaniek.

— Był w kancelarii pułkowej, ale gdzieś poszedł. Przypuszczam, że niezawodnie będzie w kantynie. Idźcie więc, Szwejku, do kantyny i powiedzcie mu, żeby zaraz poszedł do magazynu. I jeszcze jedno: poszukajcie natychmiast kaprała Błażka i powiedzcie mu, żeby zaraz odwiązał tego Balouna, a Balouna przyslijcie do mnie. Powieście słuchawkę.

Szwejk energicznie zabrał się do rzeczy. Gdy znalazł kaprała Błażka i powtórzył mu rozkaz porucznika Lukasz, dotyczący odwiązania Balouna, kapral mruknął pod nosem:

— Jak mają pietra, to się robią grzeczni.

Szwejk chciał popatrzeć, jak będą odwiązywali Balouna; potem siedł z nim razem kawałek drogi w stronę kantyny, gdzie miał poszukać Vańka.

Baloun patrzył na Szwejka jak na swego wybawcę i obiecywał mu, że podzieli się z nim każdą przesyłką, jaką otrzyma z domu.

— U nas teraz będą bić wieprze — mówił Baloun melancholijnie. — Jaki salceson wolisz: szwabski czy włoski? Mów, bracie, szczerze, ja dzisiaj wieczorem będę pisał do domu. Moja świnia będzie miała chyba ze sto pięćdziesiąt kilo. Głowę ma jak buldog. Takie świnie są najlepsze. Takie świnie to nie jakieś tam zdechlaki. To dobra rasa, dobrze się tuczy. Ślonina będzie na osiem palców chyba. Jak byłem w domu, to sam robiłem kiszki i podgardlanki i obzerałem się do rozpuku. Łońskiego roku świnia ważyła sto sześćdziesiąt kilo.

Ale była to świnia, że proszę siadać — mówił jak w natchnieniu, mocno ściskając rękę Szwejka, gdy się z nim rozstawał. — Wychowałem ją na samych kartoflach i aż miło było patrzeć, jak jej sadła przybywa. Szynki nasoliłem, a taki płat pieczonego pekielflejszu z knedlami posypanymi skwarkami i z kapustą to takie papuniu, że tylko palce lizać. Jak po takim jedzeniu smakuje piwko! I takie zadowolenie ogarnia człowieka od stóp do głów... I wszystko to zabrała nam wojna.

Brodaty Baloun westchnął głęboko i pośpieszył do kancelarii pułkowej, podczas gdy Szwejk zwrócił kroki w stronę kantyny i poszedł dalej starą aleją wysokich lip.

Feldfelbel rachuby Vaniek siedział tymczasem jak najspokojniej w kantynie i opowiadał jakiemuś znajomemu sztabfeldfelblowi, ile to można było przed wojną zarobić na farbach-emaliach i cementowych zaprawach.

Sztabfeldfelbel był już prawie nieprzytomny. Przed południem przyjechał pewien obywatel ziemski z Pardubic, który miał syna w obozie, dał feldfelblowi porządną łapówkę i przez całe przedpołudnie częstował go w mieście.

A teraz siedział ten wyczestowany człowiek i poddawał się rozpaczy, że już nic mu nie smakuje. Nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, co do niego mówiono, a na wzmiankę o farbach-emaliach nie reagował wcale.

Zajęty był swoimi własnymi myślami i mamrotał coś o tym, że powinna być przeprowadzona miejscowa kolejka dojazdowa z Trzeboni do Pelhrzimova i z powrotem.

Gdy Szwejk wchodził do kantyny, Vaniek jeszcze raz usiłował wytłumaczyć sztabfeldfelblowi przy pomocy liczb, ile zarabiał się przed wojną na jednym kilogramie zaprawy cementowej dostarczanej do nowych budowli, ale sztabfeldfelbel odpowiedział mu całkiem od rzeczy:

— Umarł w drodze powrotnej i pozostawił tylko listy.

Ujrawszy Szwejka przypomniał sobie widać jakiegoś niemiłego sobie człowieka i zaczął Szwejka wyzywać od brzuchomówców. Szwejk podszedł do Vańka, który też już był podochocony, ale przy tym bardzo przyjemny i miły.

— Panie rechnungsfeldfelbel — meldował Szwejk — ma pan zaraz iść do magazynu, bo tam już czeka zugsfuhrer Fuchs z dziesięciu szeregowcami i będą fasować konserwy. Ma pan biec *laufschrjtem*. Pan oberlejtnant telefonował już dwa razy.

Vaniek parsknął śmiechem:

— Alboż ja głupi, kochanie moje? Sam sobie musiałbym dać w pysk, gdybym się przejmował takimi rzeczami, aniele. Na wszystko jest czas, nie pali się, dziecko złote. Jak pan oberlejtnant wyprawi tyle kompanii marszowych, ile ja wyprawiłem, to będzie mógł zabierać głos w tych sprawach i nie będzie nikogo dręczył *laufschrjtem*. Przecież w kancelarii pułkowej dostawałem już takie rozkazy, że jutro się jedzie, więc trzeba się pakować i fasować rzeczy potrzebne do drogi. I co ja zrobiłem? Poszedłem sobie ładnie i grzecznie na ćwiartkę wina. Siedzi mi się tu bardzo mile i ani myślę przejmować się czymkolwiek. Konserwy będą zawsze konserwami, fasunek fasunkiem. Ja znam magazyn lepiej niż pan oberlejtnant i wiem, co się na takich konferencjach pana obersta z panami oficerami wygaduje. Pan oberst wyobraża sobie w swojej fantazji, że w magazynie są konserwy. Magazyn naszego pułku nigdy żadnych konserw nie miał i otrzymywał je od przypadku do przypadku z magazynu brygady albo pożyczał je sobie od innych pułków, z którymi sąsiedował. Takiemu na przykład pułkowi beneszowskiemu winni jesteśmy przeszło trzysta konserw. Ha, ha. Niech sobie na konferencjach wygadują, co im się żywnie podoba, a my zachowujemy spokój. Gdy przylecą do magazynu, to już im tam magazynier sam wytłumaczy, że dostali bzika. Ani jedna kompania marszowa nie otrzymała konserw przy odjeździe.

Prawda, ty stara moczygębo? — zwrócił się do sztabfeldfelbla. Ale tamten zasypiał i dostawał lekkiego delirium, bo odpowiedział:

— Idąc trzymała nad sobą otwarty parasol.

— Najlepiej dać wszystkiemu święty spokój i nie robić gwałtu — doradzał feldfelbel Vaniek. — Jeśli w kancelarii pułkowej powiedzieli dzisiaj, że jutro pojedziemy, to takiemu gadaniu nie powinno wierzyć nawet małe dziecko. Czy możemy wyjechać bez wagonów? W mojej obecności telefonowali na dworzec, a tam nie ma ani jednego wolnego wagonu. Tak samo było z ostatnią kompanią marszową. Przez dwa dni staliśmy wtedy na stacji i czekaliśmy, aż się nad nami ktoś zmiłuje i pośle po nas pociąg. I nikt nie wiedział, dokąd pojedziemy. Nawet pułkownik nie wiedział. Byliśmy już w drodze, przejechaliśmy całe Węgry i ciągle nikt nie wiedział, czy pojedziemy do Serbii, czy na front rosyjski. Z każdej stacji porozumiewaliśmy się bezpośrednio ze sztabem dywizji. Byliśmy tylko taką sobie łatą do łatania dziur. Wsadzili nas wreszcie pod Duklę, tam dostaliśmy w skórę, aż się kurzyło, i musieliśmy się na nowo formować. Aby tylko żadnych gwałtów. Wszystko wyjaśni się z czasem i nie trzeba się śpieszyć. *Jawohl, nochamol*.

Wino mają tu dzisiaj nadzwyczajnie dobre — mówił Vaniek dalej, nie zwracając już uwagi na to, co mamrocze feldfelbel, który wywodził:

— *Glauben Sie mir, ich habe bisher wenig von meinem Leben gehabt. Ich wundere mich über diese Frage.*

— Też miałbym się przejmować odjazdem marszbatalionu. Przy pierwszej kompanii marszowej, której towarzyszyłem, wszystko było w porządeczku w dwie godziny. Przy innych kompaniach marszowych naszego ówczesnego batalionu przygotowywali się do drogi przez całe dwa dni. Ale u nas był dowódcą kompanii lejtnant Przenosił, chłop łebski. „Nie śpieszcie się tak bardzo” — rzekł do nas i wszystko poszło jak po maśle. Na dwie godziny przed odejściem pociągu zaczęliśmy dopiero pakowanie. Zrobisz pan bardzo dobrze, gdy się przysiądziesz...

— Nie mogę — odpowiedział ze straszliwym samozaparciem dobry wojak Szwejk. — Muszę wracać do kancelarii. Co by to było, gdyby tam kto telefonował...

— No to idź, złoty człowiecze, ale zapamiętaj sobie przez całe życie, że to nieładnie z twojej strony i że porządny ordynans kompanii nigdy nie powinien być tam, gdzie jest potrzebny. Nie bądź pan w służbie zbyt gorliwy, bo nie ma nic obrzydliwszego na tym świecie nad wystraszonego ordynansa kompanii, który chciałby całą wojnę zeżreć sam i nikomu nic z niej nie dać. Tak, duszo najmilejsza.

Ale Szwejk był już za drzwiami i spieszył do kancelarii swojej kompanii.

Vaniek pozostał sam, ponieważ stanowczo nie można było powiedzieć, aby mu sztabfeldfelbel dotrzymywał towarzystwa. Ten ostatni siedział na osobności, głaskał karafkę z ćwiartką wina i mamrotał dziwaczne rzeczy po czesku i niemiecku:

— Wiele razy przechodziłem już przez tę wieś, a nie miałem nawet pojęcia o tym, że jest ona na świecie. *In einem halben Jahre habe ich meine Staatsprüfung hinter mir und meinen Doktor gemacht.* Stała się ze mnie stara pokraka. Dziękuję ci, Łucjo. *Erscheinen sie in schön ausgestatten Bänden* — może tu jest ktoś taki, kto o tym jeszcze pamięta.

Feldfelbel rachuby z nudów wystukiwał jakiegoś marsza, ale nie nudził się zbyt długo, bo drzwi się otworzyły, wszedł Jurajda, kucharz z kuchni oficerskiej, i przysiadł się do Vańka.

— Dostaliśmy dzisiaj rozkaz — mówił szybko — żebyśmy poszli fasować koniak na drogę. Ponieważ nasza butla nie była pusta, więc musieliśmy ją opróżnić. Jesteśmy teraz troszkę zawiani. Szeregowcy kuchni pozwalali się jak kłody. Przeliczyłem się o kilka porcji, pan oberst się spóźnił i nie dostał nic. Więc robią dla niego omlecek. Ano szpas.

— Ładna awantura — rzekł Vaniek, który przy winie lubił używać obcych słów.

Kucharz Jurajda zabrał się do filozofowania, co odpowiadało jego zajęciu w cywilu. Wydawał on mianowicie przed wojną czasopismo i książki z serii „Tajemnice życia i śmierci”.

Po wojnie zadekował się w oficerskiej kuchni pułkowej i nieraz przypalił pieczeń, gdy zabrał się do czytania tłumaczeń staroindyjskich sutr *Pragnâ Paramitâ* (Mądrość objawiona).

Pułkownik Schröder lubił go jako osobliwość pułku, bo któraż kuchnia pułkowa mogła się pochwalić, że ma kucharza-okultystę, który zaglądając w głębię tajemnic życia i śmierci umiał przyrządzić tak świetną połówkę albo takie kapitalne *ragoût*, że pod Komorovem śmiertelnie ranny porucznik Dufek nie wołał nikogo, tylko Jurajdę.

— Tak jest — rzekł prosto z mostu Jurajda, który ledwo mógł usiedzieć na krześle, a roztaczał na dziesięć kroków dokoła siebie zapach rumu — gdy dla pana obersta nic już nie zostało i gdy widział tylko duszone kartofle, tedy wpadł w stan gaki. Czy pan wie, co to jest gaki? To stan głodnych duchów. Więc rzekłem do niego: „Czy ma pan oberst dość siły do przewyciężenia przeznaczeń losowych, chociaż nie starczyło dla pana cielęciny z nerką? W karmie jest widać pisane, że ma pan dostać na dzisiejszą kolację bajeczny omlet z siekaną i duszoną wątróbką cielęcą”.

Drogi przyjacielu — rzekł po chwili szeptem do feldfelbla rachuby i zrobił mimowolny ruch ręką, którym poprzewracał wszystkie stojące przed nim na stole szklanki.

— Jest byt i niebyt wszystkich zjawisk, kształtów i rzeczy — dodał zaszępiiony kucharz spoglądając na poprzewracane naczynia. — Kształt to niebyt, a niebyt to kształt. Niebyt nie różni się od kształtu, kształt nie różni się od niebytu. Co niebyt to kształt, co kształt to niebyt.

Kucharz-okultysta owinał się płaszczem milczenia, wsparł głowę na rękę i spoglądał na mokry, zalany stół.

Sztabfeldfelbel mamrotał dalej coś bez sensu:

— Zboże zniknęło z pola, zniknęło. *In dieser Stimmung erhielt er Einladung und ging zu ihr.* Zielone Świąta bywają wiosną.

Feldfelbel rachuby Vaniek bębnił palcami po stole, pił i od czasu do czasu myślał o tym, że na niego czeka dziesięciu szeregowców z plutonowym przy magazynie.

Na samo wspomnienie o tym roześmiał się i machnął ręką.

Gdy później powrócił do kancelarii II kompanii marszowej, zastał Szwejka siedzącego przy telefonie.

— Kształt to niebyt, a niebyt to kształt — rzekł i w ubraniu zwałił się na prycze. Usnął natychmiast.

Szwejk siedział dalej przy telefonie, ponieważ przed dwiema godzinami rozmawiał z nim porucznik Lukasz, że jeszcze ciągle jest na konferencji u pana pułkownika, a zapomniał mu powiedzieć, że może odejść od telefonu.

Następnie rozmawiał z nim przez telefon plutonowy Fuchs, który przez cały czas czekał razem z dziesięciu szeregowcami na przybycie feldfebla rachuby, ale czekał na próżno. Wreszcie zauważył, że skład jest zamknięty.

Wreszcie oddalił się dokądś, a szeregowcy jeden po drugim także się porozłazili.

Czasem zabawiał się Szwejk tym, że brał słuchawkę i przysłuchiwał się rozmowom. W kancelarii znajdował się telefon jakiegoś nowego systemu, który właśnie zaprowadzono w armii, a miał to do siebie, że na całej linii można było słyszeć prowadzone rozmowy.

Tabory kłóciły się z artylerią, saperzy odgrażali się poczcie polowej, strzelnica wojskowa warczała na oddział karabinów maszynowych.

A Szwejk wciąż siedział przy telefonie...

Konferencja u pułkownika trwała bardzo długo.

Pułkownik Schröder rozwijał najnowsze teorie służby polowej i osobliwy nacisk kładł na miotacze min.

Mówił ni w pięć, ni w dziewięć o tym, jakim był front przed dwoma miesiącami na południu i na wschodzie, o doniosłości dobrej łączności między poszczególnymi oddziałami, o gazach trujących, o ostrzeliwaniu aeroplanów nieprzyjacielskich, o zaopatrywaniu wojska w polu, a wreszcie przeszedł do wewnętrznych stosunków w wojsku.

Rozgadał się o stosunku oficerów do szeregowców i do podoficerów, o przechodzeniu na frontach do nieprzyjaciela i o tym, że pięćdziesiąt procent żołnierzy czeskich jest „*politisch verdächtig*”.

— *Jawohl, meine Herren, der Kramarsch, Scheiner und Klofatsch...*

Większość oficerów myślała przy tym wykładzie tylko o tym, kiedy właściwie ten dziadyga przestanie głądzić, ale pułkownik Schröder głądził dalej o nowych zadaniach nowych marszbatalionów, o poległych oficerach pułku, o zeppelinach, o hiszpańskich kozłach, o przysiędze.

Porucznik Lukasz przypomniał sobie w tej chwili, że kiedy cały batalion przysięgał, Szwejka nie było, bo akurat siedział w areszcie sądu dywizyjnego.

I wydała mu się ta cała rzecz śmieszna. Parsknął jakimś histerycznym śmiechem i zaraził nim kilku oficerów siedzących w pobliżu, czym zwrócił na siebie uwagę pułkownika, który właśnie przeszedł do omawiania doświadczeń nabytych przez armię niemiecką przy odwoocie w Ardenach. Ale poplątało mu się wszystko w głowie i zakończył swój wykład niespodziewanie:

— Moi panowie, to nie są rzeczy śmieszne.

Potem udali się wszyscy do kasyna oficerskiego, ponieważ pułkownika Schrödera odwołano do telefonu. Wzywał go sztab brygady.

Szwejk podrzemywał przy telefonie dalej, dopóki nie przebudził go dzwonek.

— Halo! — słyszał wołanie. — Tu kancelista pułku.

— Halo! — odpowiedział. — Tutaj kancelaria II kompanii marszowej.

— Nie gadaj dużo — mówił głos telefonującego — ale bierz ołówek i pisz. Przyjmij telefonogram.

— II kompania marszowa...

Po tych słowach nastąpiły jakieś zdania tak chaotycznie z sobą poplątane, że nie można było nic zrozumieć. Mówiły jednocześnie i 12, i 13 kompania marszowa, a treść telefonogramu zagubiła się zupełnie w tej panice dźwięków. Szwejk nie rozumiał ani słowa. Wreszcie chaos przycichł i Szwejk zrozumiał wezwanie:

— Halo! Halo! Więc teraz przeczytaj wszystko i nie zwracaj głowy.

— Co mam przeczytać?

— Co masz przeczytać, ty wole? Telefonogram.

— Jaki telefonogram?

— Do stu milionów diabłów, czyś ty głuchy?! Telefonogram, który ci dyktowałem, ty idioto.

— Ja nic nie słyszałem, bo na raz mówiło dużo głosów.

— Ach, ty mało jedna, czy myślisz, że będę się z tobą bawił? Więc przyjmujesz telefonogram czy nie? Masz ołówek i papier? Co? Jeszcze mam czekać, aż sobie poszukasz? I to się nazywa żołnierz. Więc słuchasz wreszcie czy nie słuchasz? Że już się przygotowujesz? No to i tak jeszcze dobrze. Tylko nie wdziejaj paradnego munduru. A teraz słuchaj uchem, a nie brzuchem. II kompania marszowa. Powtórz.

— 11 kompania marszowa.
 — Dowódca kompanii. Masz już? Powtórz.
 — Dowódca kompanii...
 — *Zur Besprechung morgen*. Napisałeś? Powtórz.
 — *Zur Besprechung morgen...*
 — *Um neun Uhr. Unterschrift*. Czy wiesz, ty małpo, co to znaczy *Unterschrift*? To jest podpis. Powtórz.
 — *Um neun Uhr. Unterschrift*. Wiesz, co to jest *Unterschrift*, ty małpo? To jest podpis.
 — Ach, ty idioto. A więc podpis: Oberst Schröder, bydlaku. Masz już? Powtórz.
 — Oberst Schröder, bydlaku.
 — Dobrze, ty wole. Kto przyjął telefonogram?
 — Ja.
 — *Himmelberrgott*. Co to znowu za jakieś ja?
 — Szwejk. I co jeszcze?
 — No, nareszcie. Więcej nic, ale powinieneś się nazywać nie Szwejk, ale krowa. Co słyhać u was?
 — Nic, wszystko po staremu.
 — I kontent jesteś, co? Podobno ktoś tam u was dostał dzisiaj słupka.
 — To tylko pucybut pana oberlejtanta, bo mu zeżarł obiad. Czy nie wiesz, kiedy pojedziemy?
 — Co za głupie pytanie. Przecież o tym nie wie nawet nasz dziadyga. Dobranoc. Pcheł u was dużo?
 Szwejk położył słuchawkę i zaczął budzić feldfebla rachuby Vańka, który bronił się jak wściekły, a gdy Szwejk zaczął nim potrząsać, dostał pięścią w nos. Potem Vaniek położył się na brzuchu i wierzył nogami dokoła siebie.
 Ale pomimo wszystko udało się Szwejkowi przebudzić go. Vaniek otworzył oczy, rzucił się na wznak i wystraszony zapytał, co się takiego stało.
 — Nic się takiego nie stało — odpowiedział Szwejk — tylko chciałem się pana poradzic w pewnej kwestii. Właśnie dostaliśmy telefonogram, że jutro rano o dziewiątej nasz oberlejtant Lukasz ma przyjść do pana obersta znowuż na konferencję. Teraz nie wiem, co mam zrobić? Czy iść do niego zaraz i powiedzieć mu o tym, czy też poczekać aż do rana? Długo się namyślałem, czy mam pana obudzić, gdy pan tak smacznie chrapał, ale potem pomyślałem, że było nie było, a poradzić się można...
 — Na miłość boską, człowieku, daj mi spać! — jęknął Vaniek ziewając jak lew. — Rano będzie aż nadto czasu i nie trzeba mnie budzić.
 Odwrócił się na bok i natychmiast zasnął.
 Szwejk usiadł znowu przy telefonie i zaczął podzrymywać. Obudził go telefon.
 — Halo, 11 kompania marszowa?
 — Tak jest, 11 kompania marszowa. Kto tam?
 — 13 kompania marszowa. Halo, która godzina u ciebie? Nie mogę się dodzwonić do centrali. Jakoś nie przychodzą.
 — Mój zegarek stoi.
 — Tak samo jak mój. Nie wiesz, kiedy pojedziemy? Czy nie rozmawiałeś z kancelarią pułkową?
 — Tam wiedzą akurat tyle, co i my, to znaczy gównno.
 — Niech panienka nie będzie ordynarna. Konserwy fasowalicie już? Od nas poszli po konserwy, ale nie przynieśli nic. Magazyn był zamknięty.
 — I nasi przyszli z pustymi rękoma.
 — No to na próżno robią panikę. A jak ci się zdaje, gdzie pojedziemy?
 — Do Rosji.
 — Prędzej chyba do Serbii. Ale to się pokaże dopiero w Budapeszcie. Jeśli skierują nas na prawo, to z tego będzie Serbia, a jeśli na lewo, to Rosja. Czy macie już chlebaki? Podobno teraz będzie podwyższony żołd. W karciecia grasz? No to przyjdź jutro. My tu lupimy w karty co wieczór. Ilu was tam jest przy telefonie? Sam? No to pluń na wszystko i idź spać. Jakieś dziwne u was panują porządki. Trafiło ci się jak ślepej kurze ziarno? Nareszcie przychodzą zluzować mnie. Dobranoc!

Szwejk usadowił się przy telefonie i niebawem słodko zasnął zapomniawszy zawiesić słuchawkę, skutkiem czego nikt mu nie mógł przeszkadzać w drzemce, chociaż telefonista kancelarii pułkowej wściekał się, że nie podobna się dodzwonić do kancelarii II kompanii marszowej, której trzeba było przekazać nowy telefonogram, że do jutra do godziny dwunastej ma być zestawiony spis wszystkich szeregowców, którzy nie byli poddani ochronnemu szczepieniu przeciw tyfusowi.

Porucznik Lukasz bawił się tymczasem jeszcze wciąż w kasynie oficerskiej z lekarzem wojskowym Szanclerem, który siedział okrakiem na krześle i rytmicznie walił kijem o bilardu o podłogę, wygłaszając jednocześnie takie zdania:

- Sułtan Saracenów Salah-Edin pierwszy uznał neutralność korpusu sanitarnego.
- Rannymi winny opiekować się obie strony.
- Należy dostarczyć im leków i opieki w zamian za zwrot kosztów ze strony drugiej.
- Należy udzielić zezwolenia na wysłanie do nich lekarza i jego pomocników za paszportami generalskimi.

— Rannych należy odsyłać do ich wojsk pod opieką i gwarancją generałów. Można ich też wymieniać. Ale mogą potem dalej służyć.

— Chorzy obu stron nie powinni być zabierani do niewoli i traceni, ale należy ich umieszczać w miejscach bezpiecznych i szpitalach. Wolno pozostawiać przy nich straż ich własnego wojska, która to straż, podobnie jak chorzy, ma prawo wrócić za paszportami generalskimi. To samo dotyczy także duchownych polowych, lekarzy, chirurgów, aptekarzy, pielęgniarzy chorych, pomocników i innych osób, wyznaczonych do obsługi chorych, których nie wolno brać do niewoli, ale właśnie w taki sposób mają być odsyłani z powrotem.

Doktor Szancler przy tym wykładzie złamał już dwa kije i ciągle jeszcze miał dużo do opowiadania o opiece nad rannymi podczas wojny. W dziwnym jego wykładzie ciągle powtarzały się słowa o jakichś paszportach generalskich.

Porucznik Lukasz dopił kawę i poszedł do siebie. Jego służący, brodaty olbrzym Baloun, smażył sobie właśnie w jakimś garnuszku kawałek salami, używając do tego spirytusowej maszynki porucznika Lukasz.

— Ośmielam się — wyjąkał Baloun — pozwalam sobie, posłusznie melduję...

Lukasz spojrzął na niego. W tej chwili Baloun wydał mu się wielkim dzieciakiem, stworzeniem naiwnym i porucznikowi zrobiło się nagle żal, że skazał na słupek tego człowieka, który cierpi tak wielki głód.

— Gotuj sobie, Balounie, gotuj — rzekł odpinając szablę — jutro każę ci przypisać drugą porcję chleba.

Porucznik był w nastroju bardzo sentymentalnym, więc usiadł i zaczął pisać list do cioci:

„Kochana Ciotuniu!

Właśnie otrzymałem rozkaz, abym był gotów do wymarszu na front razem ze swoją kompanią. Być może, iż ten list jest ostatni, z tych, jakie otrzymałaś ode mnie, bo wszędzie toczą się zaciekle walki, a straty nasze są duże. Dlatego trudno mi kończyć ten list zwykłym słowem: Do widzenia. Stosowniej jest napisać: Zostań z Bogiem!”

„Resztę dopiszę rano” — pomyślał porucznik i ułożył się do snu.

Baloun widząc, że porucznik zasnął na dobre, zaczął szukać i szperać po izbie jak jaki karaluch. Otworzył walizkę porucznika i nadgryzł tabliczkę czekolady, ale przestraszył się bardzo, gdy właściciel czekolady poruszył się przez sen. Szybko schował nadgryzioną czekoladę do walizki i przycichł.

Potem zakradł się ku stołowi i odczytał słowa Lukasz, pisane do ciotki.

Wzruszyło go osobliwie to ostatnie słowo: „Zostań z Bogiem”.

Położył się więc na sienniku przy drzwiach i zaczął wspominać swój dom rodzinny i bicie wieprzy.

Bardzo żywo przedstawiał mu się miły obraz nakłuwania salcesonu, żeby z niego wypuścić powietrze i żeby przy gotowaniu nie pękł.

Zasnął niebawem, kołysany wspomnieniem, jak to u sąsiada pękł duży szwabski salceson i rozgotował się cały.

Śniło mu się, że w domu ma do pomocy jakiegoś niezdarę rzeźnika i że przy nadzie-
waniu podgardlanek pękają flaki. Potem znowuż, że rzeźnik zapomniał narobić kiszek, że
gdzieś zapodziała się głowizna i że zabrakło zatyczek do podgardlanek. Wreszcie i przyśni-
ło mu się coś o sędzie polowym, ponieważ został przyłapany, gdy w kuchni przywłaszczał
sobie płat mięsa. We śnie widział samego siebie wiszącego na jakiejś wysokiej lipie w alei
obozu wojskowego w Brucku nad Litawą.

*

Budzący się poranek przyniósł z sobą ze wszystkich kuchni polowych zapach roz-
gotowanych konserw kawowych. Szwejk zbudził się ze snu, wstał, odruchowo zawiesił
sluchawkę, jakby właśnie skończył rozmowę telefoniczną i przechadzając się po kancela-
rii śpiewał.

Zaczął jakąś śpiewkę od środka i śpiewał o tym, jak żołnierz przebiera się za dziewczynę
i idzie do swej miłej do młyna. Tam młynarz układa go do snu przy swojej córce, ale
przedtem woła na żonę:

Dobrych rzeczy przynieś żywiej,
Niech dziewczyna się pożywi...

Młynarka karmi podłego chłopca, z czego powstaje tragedia rodzinna.

Młynarzostwo rano wstali,
Na drzwiach napis przeczytali:
„Wasza córka, wasza Anna,
Już od dzisiaj nie jest panna”.

Szwejk śpiewał tę piosenkę z takim uczuciem, że cała kancelaria ożywiła się nagle.
Zbudził się też feldfebel Vaniek i zapytał, która godzina.

— Właśnie odtrąbili pobudkę.

— Ale ja wstanę dopiero po kawie — zdecydował Vaniek, któremu nigdy się nie
śpieszyło. — Na pewno będą znowu robili piekło i będą nas niepotrzebnie szykanowali
różnymi gwałtami, jak wczoraj z tymi konserwami...

Vaniek ziewnął i pytał, czy wczoraj po powrocie do domu nie gadał za wiele.

— Troszkę pan gadał od rzeczy — rzekł Szwejk — ale niewiele. Ciągle pan coś
mamrotał o jakichś tam kształtach, że kształt to nie kształt, a to, co nie kształt, to też
jest kształt, a że znowu ten kształt to żaden kształt. Ale rychło zaczął pan chrapać, jakby
tartak huczał, i było po gadaniu.

Szwejk zamilkł, przeszedł się wzdłuż kancelarii aż do drzwi i z powrotem, stanął koło
pryczy feldfebela rachuby i rzekł:

— Co do mojej osoby, panie rechnungsfeldfebel, to jak pan zaczął mówić o tych
kształtach, to mi się przypomniał niejaki Zatkan, gazownik. Pracował w gazowni na Letnej
i zapalał, i gasił latarnie. Był to mąż od oświaty i chodził po wszystkich knajpach na
Letnej, ponieważ od chwili zapalenia latarń do chwili ich gaszenia upływa sporo czasu,
a bez towarzystwa człowiek się nudzi. Otóż ten gazownik nad ranem też wygadywał różne
takie rzeczy jak pan, tylko że on mówił o kościach do gry: „W kości się gra, gra nie ma
granic”. Słyszałem to na własne uszy, gdy razu pewnego jakiś pijany policjant zatrzymał
mnie za zanieczyszczanie ulicy i zamiast do komisariatu zaprowadził mnie przez pomyłkę
do gazowni.

Ale z tym Zatką rzecz skończyła się kiepsko — dodał Szwejk ciszej. — Zapisał się do
Marianańskiej Kongregacji, chodził razem z tercjarkami na kazania patra Jemelki do kościoła
Św. Ignacego na Placu Karola i razu pewnego, gdy misjonarze mieli tam rekolekcje,
zapomniał pogasić światło w swoim rejonie i latarnie paliły się bez przerwy przez trzy dni
i trzy noce.

Niedobrze jest — wywodził Szwejk — gdy człowiek ni z tego, ni z owego zacznie
raptem filozofować, bo zawsze z tego bywa *delirium tremens*. Przed laty przetransloko-
wali do nas służbowo jakiegoś majora Blühera z 75 pułku. Otóż ten major co miesiąc

zwolywał nas, kazał nam ustawiać się w czworobok i zastanawiał się z nami nad tym, co to jest zwierzchność wojskowa. Nie pijał on nic innego, tylko śliwovicę. „Każdy oficer, moi żołnierze — wykladał on zawsze na dziedzińcu koszar — jest sam przez się istotą najdoskonalszą, która ma sto razy więcej rozumu niż wy wszyscy razem. Nic doskonalszego od oficera wyobrazić sobie nie zdołacie, choćbyście rozmyślali przez całe życie. Każdy oficer jest istotą koniecznie potrzebną, podczas gdy wy, żołnierze, jesteście istotami tylko przypadkowymi. Istnieć możecie, ale niekoniecznie. Gdyby doszło do wojny, a wy poleglibyście za naszego najjaśniejszego pana, no to dobrze, nie byłoby to nic osobliwego, ale gdyby naprzód poległ wasz oficer, to dopiero zobaczylibyście, jak bardzo jesteście od niego zależni i co to za wielka strata. Oficer istnieć musi, a wasze istnienie jest właściwie tylko cieniem istnienia oficerskiego. Wywolicie się z nich i obyć się bez nich nie możecie. Bez waszej zwierzchności wojskowej taki żołnierz jeden czy drugi nie potrafi nawet porządnie pierdnąć. Dla was, żołnierze, oficer jest prawem moralnym, czy to rozumiecie czy nie, to wszystko jedno, a ponieważ każde prawo musi mieć swego prawodawcę, więc prawodawcą waszym jest właśnie oficer, względem którego musicie poczuwać się do wszelkiego obowiązku i wszelkiej powinności, spełniając wszystkie jego rozporządzenia, choćby się wam to i owo mogło nie podobać”.

Pewnego razu po wykładzie obchodził cały czworobok i każdego z nas pytał po kolei: „Co odczuwasz, gdy coś przeskrobiesz?”

Żołnierze odpowiadali bardzo głupio. Jedni mówili, że jeszcze nigdy nic nie przeskrobali, inni mówili, że po każdym przeskrobaniu mdli ich w żołądku, jeden powiedział, że wtedy już z daleka czuje koszarniaka itd. Wszystkich ich kazał major Blüher natychmiast odprowadzić na bok i nakazał, żeby po południu za karę robili ćwiczenia przysiadowe za to, że nie umieją powiedzieć, co odczuwają. Zanim przyszła kolej na mnie, przypomniałem sobie słowa ostatniego wykładu i gdy zbliżył się, rzekłem całkiem spokojnie:

„Posłusznie melduję, panie majorze, że gdy coś przeskrobię, to odczuwam zawsze jakiś niepokój, strach i wyrzuty sumienia. Ale gdy mam wychodne i gdy wracam do koszar w porze przepisanej i w porządku, wówczas opanowuje mnie jakiś błogi spokój, włazi na mnie wewnętrzne zadowolenie”.

Wszyscy się roześmiali, a major Blüher wrzasnął na mnie: „Pluskwy włożą na ciebie, drabie jeden, gdy gniesz na pryczy. Patrzcie go, łotra, jeszcze sobie żarty stroi!”

I przepisał mi takiego słupka, że proszę siadać.

— W wojsku inaczej być nie może — rzekł feldfelbel rachuby przeciągając się leniwie na pryczy. — Tak już jest od początku świata i będzie zawsze, że w wojsku tak czy owak, choćbyś był dobry jak anioł, zawsze musi wisieć nad tobą chmura i muszą bić pioruny. Bez tego nie byłoby dyscypliny.

— Całkiem słusznie — rzekł Szwajk. — Nie zapomnę nigdy o tym, jak wsadzili rekruta Pecha do paki. Lejtnant tej kompanii, niejaki Moc, zebrał rekrutów i każdego z nich pytał, skąd pochodzi.

„Wy rekruty żółtodziobe — przemawiał do nich — musicie się nauczyć odpowiadać jasno, dokładnie, jakby biczem strzelał. Więc zaczynamy. Skąd pochodzicie, Pechu?” Pech był człowiekiem inteligentnym, więc odpowiedział: „Dolny Bousov, Unter-Bautzen, dwieście sześćdziesiąt siedem domów, tysiąc dziewięćset trzydzieści sześć mieszkańców narodowości czeskiej, powiat Jiczin, obwód Sobotka, byłe dobra rycerskie Kost, parafialny kościół Św. Katarzyny z czternastego stulecia, odnowiony przez hrabiego Wacława Kazimierza Netolickiego, szkoła, poczta, telegraf, stacja czeskiej kolei handlowej, cukrownia, młyn z tartakiem, pustelnia Valcha, sześć jarmarków dorocznych...” Ale lejtnant nie czekał, co będzie dalej, rzucił się na rekruta Pecha i zaczął go prać po gębie raz za razem, krzycząc: „Masz jeden jarmark doroczny, drugi, trzeci, czwarty, piąty, szósty”. A Pech, chociaż i rekrut, zameldował się do *batalionsraportu*. W kancelarii był wtedy taki wesoły pisarz, który napisał, że Pech melduje się do raportu z powodu jarmarków dorocznych w Dolnym Bousovie. Dowódcą batalionu był major Rohell. „Also, was gibst?” — zapytał Pecha, a ten odpowiedział: „Posłusznie melduję, panie major, że w Dolnym Bousovie jest sześć jarmarków dorocznych”. Więc major Rohell zaryczał na niego, zatusował i kazał go natychmiast zaprowadzić do lazaretu wojskowego na oddział dla wariatów. Od tego czasu Pech był najgorszym żołnierzem i z paki nie wychodził.

— Wychowanie żołnierzy jest sprawą trudną — rzekł feldfel Vaniek. — Żołnierz, który w wojsku nie był karany, to nie żołnierz. Może to było dobre w czasach pokojowych, że niektórzy żołnierze odbywali służbę bez kary, a potem miał taki wszędzie pierwszeństwo, gdy się starał o posadę rządową. Ale teraz się pokazuje, że ci najgorsi żołnierze, którzy w czasach pokojowych ciągle siedzieli w pace, są na wojnie najlepszymi żołnierzami. Przypominam sobie szeregowca Sylvanusa z 8 kompanii marszowej. Walila się na niego kara za karą, i jeszcze jaka kara! Nie zawahał się skraść koledze ostatniego grosza, a jak przyszło do bitwy, to pierwszy poprzerywał zaskieki z drutu, wziął do niewoli trzech chłopca, a jednego w drodze zastrzelił, bo jak mówił, nie miał do niego zaufania. Dostał wielki medal srebrny, przyszyli mu dwie gwiazdki i gdyby go później nie powiesili pod Duklą, to już dawno byłby plutonowym. Ale go powiesić musieli, bo po jakiejś bitwie zgłosił się wprawdzie na ochotnika na zwiad, ale inny jakiś patrol widział go, jak mój Sylvanus obdzierał trupy. Znaleźli przy nim osiem zegarków i sporo pierścionków. Więc go w sztabie brygady powiesili.

— Pokazuje się z tego — rzekł bardzo roztropnie Szwejk — że każdy żołnierz musi własnymi siłami dosługiwać się stanowiska.

Zadzwoił telefon. Feldfel rachuby podszedł do słuchawki. Porucznik Lukasz pytał, co się stało z konserwami. Słychać było jakieś ostre wyrzuty.

— Naprawdę nie ma, panie oberlejtant! — wołał Vaniek. — Skąd by się miały wziąć, kiedy to jest tylko fantazja intendenty. Całkiem niepotrzebnie wysyłało się tam tych ludzi. Ja chciałem do pana telefonować... Proszę?... Że w kantynie byłem? Kto to mówił? Ten okultysta kucharz z kuchni oficerskiej? Pozwoliłem sobie zajść tam na chwilę. Wie pan, jak ten okultysta nazwał tę panikę z powodu owych konserw? „Grozą nienarodzonego”. Bynajmniej, panie oberlejtant. Jestem zupełnie trzeźwy. Szwejk? Jest w kancelarii. Czy każe go pan zawołać? Szwejk, do telefonu — rzekł feldfel rachuby i ciszej dodał: — Gdyby się pytał, w jakim stanie wróciłem, to powiedz pan, że w porządku.

Szwejk stanął przy telefonie i meldował:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, Szwejk.

— Słuchajcie no, Szwejku, jak jest z tymi konserwami? Czy to w porządku?

— Nie ma konserw, panie oberlejtant. Ani śladu konserw.

— Życzyłbym sobie, Szwejku, żebyście się co dzień rano meldowali u mnie, dopóki jesteśmy w obozie. Po wyjeździe będziecie stale przy mnie. Co robiliście w nocy?

— Siedziałem przez całą noc przy telefonie.

— Co nowego?

— To i owo, panie oberlejtant.

— Tylko nie zaczynajcie się bałwanić, mój Szwejku. Czy przyszedł skąd jaki meldunek?

— Przyszedł meldunek, ale dopiero na godzinę dziewiątą. Nie chciałem niepokoić pana oberlejtanta, gdzieżbym śmiał.

— Więc mówcie, do stu diabłów, co jest nowego i co ma być na dziewiątą?

— Telefonogram, panie oberlejtant.

— Nie rozumiem. Co to ma być?

— Ja to sobie zapisałem, panie oberlejtant: „Przyjmijcie telefonogram. Kto jest przy telefonie? Masz już? Czytaj, czy tak jakoś”.

— Ach, wy idioto, Szwejk, z wami nie podobna dojść do ładu. Mówcie, co za treść tego telefonogramu, bo jak nie, to wpadnę do was i dam po łbie tak, że... Więc co?

— Jakiś *besprechung*, panie oberlejtant, dzisiaj rano u pana obersta, o dziewiątej. Chciałem pana budzić w nocy, ale to sobie rozmyślił.

— Byłbym was nauczył budzić mnie w nocy z powodu byle jakiego głupstwa, na które dość jest czasu rano. Znowu konferencja! *Der Teufel soll das alles buserieren!* Połóżcie słuchawkę i zawołajcie do telefonu Vańka.

Feldfel rachuby Vaniek podszedł do telefonu.

— *Rechnungsfeldfel Vaniek, Herr Oberleutnant.*

— Poszukaj mi pan natychmiast innego pucybuta. Ten łotr Baloun zeżarł do rana wszystką czekoladę. Słupka? Nie. Nie. Lepiej go przydzielimy do sanitariuszy. Chłop jak góra, więc będzie mógł dźwigać rannych. Poślę go natychmiast do pana. Niech pan

to załatwi w kancelarii pułku i natychmiast wróci do kompanii. Jak pan sądzi, kiedy pojedziemy?

— Nic pilnego, panie oberlejtant. Jak mieliśmy odjeżdżać z 9 kompanią marszową, to przez całe cztery dni wodzili nas za nos. Z 8 było to samo. Tylko z 10 było lepiej: byliśmy *felddienstfleck*, w południe dostaliśmy rozkaz, a wieczorem już byliśmy w drodze, ale za to wozili nas potem po całych Węgrzech i nie wiedzieli, jaką dziurę i w której części frontu nami załatać.

Przez cały ten czas, gdy porucznik Lukasz był dowódcą 11 kompanii marszowej, znajdował się w stanie, który można by nazwać synkretyzmem: próbował wyrównywać sprzeczności pojęciowe przy pomocy ustępstw dochodzących aż do pomieszania poglądów.

Odpowiedział więc Vańkowi:

— Może pan ma rację. Tak już jest na świecie. Więc pan sądzi, że dzisiaj jeszcze nie pojedziemy. O dziewiątej mamy konferencję u pana obersta... Aha, czy wie pan już o tym, że pan jest *dienstführer*? Mówię tylko tak mimochodem. Niech pan sprawdzi... Co by można sprawdzić? Niech pan sprawdzi spis szarż z uwzględnieniem terminu służby... Następnie zapasy kompanii. Narodowość? Dobrze, można i narodowość... Ale głównie, niech mi pan przyśle nowego pucybuta... Co ma dzisiaj robić z szeregowcami fenrych Pleschner? *Vorbereitung zum Abmarsch*. Rachunki? Przyjadę i podpiszę po jedzeniu. Nikogo nie puszczać do miasta. Do kantyny w obozie? Po obiedzie na godzinkę... Niech pan zawoła Szwejka!...

— Szwejku, pozostaniecie tymczasem przy telefonie.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że jeszcze kawy nie piłem.

— To przynieście sobie kawę i siedźcie w kancelarii przy telefonie, dopóki was nie zawołam. Czy wiecie, co to znaczy ordynans kompanii?

— To taki, co lata, panie oberlejtant.

— Więc żebyście mi byli na miejscu, jak was zawołam. Przypomnijcie jeszcze raz Vańkowi, żeby dla mnie wyszukał nowego pucybuta. Halo, Szwejku, gdzie jesteście?

— Jestem, panie oberlejtant. Akurat przynieśli kawę.

— Halo, Szwejku!

— Słucham, panie oberlejtant. Kawa zupełnie zimna.

— Wy wiecie, Szwejku, co to jest pucybut. Więc przypatrzcie się dobrze temu nowemu i powiedzcie mi, co on *zacz*. Zawieście słuchawkę.

Vaniek popijał czarną kawę, do której dolewał po trosze rumu z butelki z napisem „Tinte” (ostrożność nie zawadzi), spoglądał na Szwejka, potem rzekł:

— Ten nasz oberlejtant niepotrzebnie się drze tak głośno, słyszałem każde jego słowo. Wy się z panem oberlejtantem musicie bardzo dobrze znać. Co, Szwejku?

— My zawsze ręka w rękę — odpowiedział Szwejk. — Jedna ręka drugą myje. Dużośmy już z sobą przeżyli. Ile to razy chcieli nas gwałtem rozdzielić, ale myśmy się z sobą znowu zesłi. On mi zawsze i we wszystkim okazywał tyle zaufania, że aż się nieraz sam dziwiłem. Więc pan sam słyszał, że mam panu przypomnieć o tym nowym pucybutcie i że mam go obejrzyć i wypowiedzieć się, co o nim sądzę. Dla pana oberlejtanta pucybut pucybutowi nierówny.

*

Pułkownik Schröder, zwołując wszystkich swoich oficerów na konferencję, zabrał się do rzeczy z wielką miłością, pragnąc wygadać się za wszystkie czasy. Prócz tego trzeba było powziąć jakąś decyzję co do jednorocznego ochotnika Marka, który nie chciał czyścić wychodków i za bunt został odesłany przez pułkownika Schrödera do sądu dywizyjnego.

Wczoraj wrócił z aresztu sądu dywizyjnego na odwach, gdzie trzymany był pod strażą. Jednocześnie kancelaria pułkowa otrzymała papier o treści niesłychanie powikłanej, ale wyjaśniającej bądź co bądź, że w danym wypadku nie chodzi o bunt, ponieważ jednorocznicy nie są obowiązani czyścić wychodków. Tym niemniej zachodzi jednak przypadek *subordinationsverletzung*, które to wykroczenie może być zrównoważone przez porządne zachowanie się wobec nieprzyjaciela. Z tego powodu jednoroczny ochotnik

Marek zostaje odesłany z powrotem do pułku, a śledztwo co do naruszenia karnośći zostaje odłożone do końca wojny, lecz zostanie wznowione przy najbliższym wykroczeniu, jakiego mógłby się dopuścić jednoroczny ochotnik Marek.

Była jeszcze jedna sprawa. Razem z jednorocznym ochotnikiem odesłany został z sądu dywizyjnego na odwach samozwańczy plutonowy Teveles; niedawno pojawił się on w pułku, do którego został odesłany ze szpitala w Zagrzebiu. Miał wielki medal srebrny, dystynkcje jednorocznego ochotnika i trzy gwiazdki. Opowiadał o czynach bohaterskich z 6 kompanii marszowej w Serbii i wywodził, że z całej tej kompanii pozostał tylko on jeden. Śledztwo ustaliło, że na początku wojny jakiś Teveles odszedł rzeczywiście z 6 kompanią na front, ale nie miał praw jednorocznego ochotnika. Zażądano informacji od brygady, do której 6 kompania marszowa była przydzielona, gdy drugiego grudnia tysiąc dziewięćset cztertnastego roku uciekła z Białogrodu, i stwierdzono, że w spisie proponowanych do odznaczenia lub odznaczonych medalami srebrnymi żadnego Tevelesa nie ma. Co zaś do tego, czy szeregowiec Teveles podczas kompanii białogrodzkiej został awansowany na plutonowego, tego nie można było stwierdzić, ponieważ cała 6 kompania marszowa zginęła koło cerkwi Św. Sawy w Białogrodzie razem ze wszystkimi oficerami. Przed sądem dywizyjnym Teveles bronił się, że naprawdę był mu obiecany medal srebrny i że dlatego kupił go sobie od jakiegoś Bośniaka. Co do odznak jednorocznego ochotnika, to przyszył je sobie po pijanemu, a nosił je dlatego, że był stale pijany mając organizm osłabiony dyzenterią.

Gdy konferencja się rozpoczęła, pułkownik Schröder oświadczył przed rozpatrzeniem tych dwóch przypadków, że trzeba, aby panowie oficerowie częściej się naradzali, zanim nadejdzie chwila odjazdu, chwila już niedaleka. Z brygady dowiedział się, że tam oczekują rozkazów dywizji. Niech więc szeregowcy będą w pogotowiu, a dowódcy kompanii niech pilnują, żeby nikogo nie brakło. Potem powtarzał jeszcze raz to wszystko, co mówił wczoraj. Znowu dał przegląd wydarzeń wojennych i dodał, że trzeba uniknąć wszystkiego, co mogłoby obniżyć siłę bojową i przedsiębiorczość wojska.

Na stole przed nim leżała mapa frontu z chorągiewkami na szpileczkach, ale chorągiewki były porozrzucane, a fronty poprzesuwane. Chorągiewki i szpileczki leżały na stole i pod stołem.

Całą widownię wojny sponiewierał w nocy kocur, którego chowali pisarze kancelarii pułkowej. Ten kocur ulżył sobie na austriacko-węgierskim froncie, a chcąc ślady swej bytności na mapie zagrzebać, porozrzucił łapami chorągiewki i rozmazał łajno po wszystkich pozycjach, zasikał fronty i *brückenköpfe* i zapaskudził wszystkie korpusy armii.

Pułkownik Schröder był bardzo krótkowzroczny.

Oficerowie kompanii marszowych z wielkim zainteresowaniem spoglądali na niego, gdy palec jego zbliżał się do kupek pozostawionych na mapie przez kocura.

— Stąd, panowie, ku Sokalowi nad Bugiem — rzekł pułkownik Schröder proroczo i posuwał palcem na pamięć w stronę Karpat, przy czym palec jego wjechał w jedną z tych kupek, którymi kocur uplastyczył mapę frontów.

— *Was ist das, meine Herren?* — zapytał zdziwiony, gdy nagle coś przylepiło mu się do palca.

— *Wahrscheinlich Katzendreck, Herr Oberst* — jeden za wszystkich wyjaśnił sytuację kapitan Sagner uśmiechając się bardzo uprzejmie.

Pułkownik Schröder wpadł do sąsiedniej kancelarii, skąd słyhać było istny potok złorzeczeń i straszliwą groźbę, że wszystkim każe pozlizywać te kupki po kocurze.

Przesłuchanie było krótkie. Stwierdzono, że kocura przed dwoma tygodniami przetaszczył do kancelarii najmłodszy pisarz Zwiebelfisch. Po takim stwierdzeniu kazano Zwiebelfischowi spakować swoje manatki, a starszy pisarz zaprowadził go na odwach, gdzie aresztant będzie siedział aż do dalszych rozporządzeń pana pułkownika.

Na tym zakończyła się właściwie cała konferencja. Gdy pułkownik Schröder powrócił do oficerów cały czerwony ze złości nie pamiętał już, że ma jeszcze do omówienia sprawę jednorocznika Marka i samozwańczego plutonowego Tevelesa.

— Proszę panów oficerów — rzekł zwięźle — aby byli gotowi i oczekiwali dalszych moich rozkazów i instrukcyj.

W ten sposób jednorocznik i Teveles pozostali nadal na odwachu, a gdy przybył do nich Zwiebelfisch, mogli zagrać sobie w mariasza i dokuczać strażnikom co chwila, aby im wyląpali pchły z sienników.

Potem wsadzili do paki jeszcze frajtra Peroutkę z 13 kompanii marszowej, który zginął raptem, gdy wczoraj rozeszła się po obozie wiadomość, że wojsko odchodzi na pozycje, i dopiero rano został znaleziony przez patrol „Pod Białą Różą” w Brucku. Tłumaczył się, że przed odjazdem pragnął obejrzeć dokładnie znaną oranżerię hrabiego Harracha pod Bruckiem i że w drodze powrotnej zbłądził i dopiero nad ranem bardzo zmęczony dotarł „Pod Białą Różę”. (Tymczasem przespał się z Różą z „Pod Białej Róży”).

*

Sytuacja wciąż jeszcze była niejasna. Nikt nie wiedział, czy się pojedzie, czy nie pojedzie. Szwejk, obsługujący telefon w kancelarii 11 kompanii marszowej, wysłuchiwał mnóstwo poglądów pesymistycznych i optymistycznych. 12 kompania marszowa telefonowała, jakoby ktoś w kancelarii słyszał, że jeszcze będą ćwiczenia w strzelaniu do figur ruchomych i że na front odjedzie się dopiero po połowych ćwiczeniach w strzelaniu. Tych optymistycznych poglądów nie podzielała 13 kompania marszowa, która telefonowała, że właśnie powrócił kapral Havlik z miasta i od jakiegoś kolejarza dowiedział się, że wagony już stoją na stacji.

Vaniek wyrwał słuchawkę z rąk Szwejka i krzychał rozszłoszczony, że kolejarze figę wiedzą, bo on był dopiero co w kancelarii pułkowej.

Szwejk wysiadywał przy telefonie z prawdziwym zamilowaniem i na wszystkie pytania odpowiadał zawsze jednakowo, że jeszcze nic pewnego nie wiadomo.

Tak samo odpowiedział na pytanie porucznika Lukaszka, który pytał:

— Co tam u was nowego?

— Jeszcze nie ma nic pewnego, panie oberlejtnant — stereotypowo odpowiedział Szwejk.

— Ach, ty fuजारo! Zawieś słuchawkę!

Potem otrzymał kilka telefonogramów z szeregiem zwykłych nieporozumień. Najpierw przyszedł telefonogram, którego nie można było podyktować mu w nocy, ponieważ nie zawiesił słuchawki i spał. Chodziło w nim o żołnierzy szczepionych i nieszczepionych.

Potem przyszedł telefonogram, również spóźniony, dotyczący konserw, co też już zostało wczoraj wyjaśnione.

Następnie telefonogram do wszystkich batalionów, kompanij i części pułku:

„Kopia telefonogramu brygady nr 75692. Rozkaz brygady nr 172. — Przy wykazach gospodarczych kuchni polowych należy przy wymienianiu produktów spożywczych trzymać się takiego porządku: 1. mięso, 2. konserwy, 3. jarzyny świeże, 4. jarzyny suszone, 5. ryż, 6. makaron, 7. kasza i kaszka, 8. kartofle, zamiast poprzedniego porządku: 4. jarzyny suszone, 5. jarzyny świeże”.

Gdy Szwejk przeczytał ten telefonogram feldfeblowi rachuby, ten oświadczył uroczyście, że takie telefonogramy rzuca się do wychodka.

— Wymyślił to sobie jakiś idiota ze sztabu armii i zaraz rozsyłają takie głupstwa po wszystkich dywizjach, brygadach i pułkach.

Następnie przyjął Szwejk jeszcze jeden telefonogram, który był tak szybko dyktowany, że Szwejk zdążył zapisać na kartce tylko poszczególne wyrazy, co wyglądało jak jaki szyfr sekretny:

„In der Folge genauer erlaubt gewesen oder das selbst einem hingegen immerhin eingevolet werden”.

— To wszystko są głupstwa — rzekł Vaniek, gdy Szwejk dziwił się ogromnie, że mu się napisała taka osobliwa rzecz, i gdy odczytywał ją sobie trzy razy z rzędu. — Oczywiście, głupstwa — mówił Vaniek — ale diabli ich wiedzą, może to jaki szyfr, tylko że my w kompanii nie jesteśmy przygotowani do odczytywania szyfrów. Można to w kąć cisnąć.

— I ja tak myślę — rzekł Szwejk. — Gdybym zameldował panu oberlejtntantowi, że ma *in der Folge genauer erlaubt gewesen oder das selbst einem hingegen immerhin eingebolet werden*, toby się jeszcze raz obraził.

Bywają ludzie tacy obraźliwi, że aż strach — mówił Szwejk dalej, oddając się znowu wspomnieniom. — Pewnego razu jechałem tramwajem z Vysoczan do Pragi, a w Libni przysiadł się do nas niejaki Novotny. Jak tylko go poznałem, podszedłem do niego i wdałem się z nim w rozmowę, że obaj jesteśmy z Dražova. A ten na mnie z pyskiem, żebym mu dał spokój, bo mnie nie zna. Zacząłem mu tłumaczyć, żeby sobie przypomniał, że jako mały chłopczyk chadzałem do niego z matką, której na imię było Antonina, a ojcu Prokop i był ekonomem. Nawet wtedy nie chciał słyszeć o tym, że się znamy. Więc przypominałem mu jeszcze inne szczegóły, że w Dražovie byli dwaj Novotni: Antoni i Józef. I że on jest właśnie tym Józefem, bo mi o nim z Dražova pisali, że postrzelił żonę, gdy go strofowała za pijaństwo. I widzi pan ten człowiek podniósł na mnie rękę. Uchyliłem się szczęśliwie, a ten grzmotnął pięścią w szybę i zbił ją. Tę dużą na przedniej platformie przed motorowym. Więc nam kazali wysiąść i zaprowadzili nas do komisariatu, gdzie się pokazało, że ten pan był dlatego taki obraźliwy, bo wcale się nie nazywał Józef Novotny, ale Edward Doubrava i pochodził z Montgomery w Ameryce, a do Czech przyjechał tylko tak sobie, żeby odwiedzić krewnych.

Dzwonek telefonu przerwał opowiadanie Szwejka i jakiś zachrypnięty głos z oddziału karabinów maszynowych pytał znów, czy się jedzie, czy nie. Podobno rano ma być konferencja u pana obersta.

We drzwiach ukazał się błąd jak płótno kadet Biegler, największy idiota kompanii, ponieważ w szkole jednorocznych ochotników usiłował wyróżniać się swoimi wiadomościami. Skinął na Vaňka, żeby z nim wyszedł na korytarz, i tam prowadził z nim długą rozmowę.

Po powrocie do kancelarii Vaniek uśmiechnął się pogardliwie.

— Co za mała! — rzekł do Szwejka. — Ładne okazy zebrały się w naszej kompanii. Był także na konferencji i pod koniec rozkazał pan oberst, żeby wszyscy plutonowi zrobili *gwerwizytę* i żeby byli surowi. I teraz przychodzi mi się pytać, czy ma dać Žlabkowi słupka za to, że ten wyczyścił karabin naftą.

Vaniek się rozczłócił.

— O takie idiotyczne rzeczy się mnie pyta, gdy sam wie, że ruszamy na front. Pan oberlejtntant dobrze się namedytował wczoraj nad tym słupkiem, na który skazał swego pucybuta. Więc rzekłem temu smykowi, żeby się trochę zastanowił, czy to dobrze robić z szeregowców zwierzęta.

— Kiedy już mowa o tym pucybutcie — rzekł Szwejk — to może już pan zbębnił jakiego odpowiedniego dla pana oberlejtntanta.

— Pijcie tran — odpowiedział Vaniek. — Na wszystko jest dość czasu. Zresztą ja sądzę, że pan oberlejtntant przyzwyczaił się do Balouna. Od czasu do czasu coś mu tam zeżre, wielkie mi rzeczy! Na froncie rzecz się wyrówna, bo tam często będzie tak, że ani jeden, ani drugi nie będą mieli co żreć. Jak powiem, że Baloun ma zostać u pana oberlejtntanta, to zostanie. Moja w tym głowa, a pan oberlejtntant nie ma się wtrącać do nie swoich rzeczy. I nie trzeba się śpieszyć.

Vaniek wyciągnął się na pryczy i rzekł:

— Opowiedz mi pan, panie Szwejk, jaką anegdotę z życia wojskowego.

— Opowiedzieć zawsze można — odparł Szwejk — ale obawiam się, że znowu ktoś tam będzie dzwonił.

— To zdejm pan słuchawkę albo wyłącz pan kontakt.

— Dobrze — rzekł Szwejk zdejmując słuchawkę. — Opowiem panu coś, co pasuje do naszej sytuacji, tylko że wtedy zamiast prawdziwej wojny były tylko manewry i była taka sama panika jak tutaj, ponieważ nikt nie wiedział, kiedy wyruszymy z koszar. Razem ze mną służył jakiś Szic z Porzeczca, człowiek porządny, ale pobożny i bojący się. Wyobrażał sobie, że manewry to coś okropnego, że ludzie podczas manewrów padają z pragnienia i że podczas marszów sanitariusze zbierają tych biedaków jak ułęgałki. Więc pił na zapas, a gdyśmy wyruszyli z koszar i dotarli do Mniszki, mówił: „Wiecie, chłopcy, ja tego nie wytrzymam. Chyba że się Bóg sam zmiłuje nade mną”. Potem przybyliśmy do Horzovic i mieliśmy tam dwa dni odpoczynku, ponieważ stała się pomyłka, bo szliśmy naprzód

tak szybko, że razem z pułkami, które szły na naszych skrzydłach, bylibyśmy zagarnęli do niewoli cały sztab nieprzyjacielski i byłby z tego wielki wstyd, jako że nasz korpus miał przegrać, a nieprzyjaciel wygrać, bo w korpusie nieprzyjacielskim był jakiś smarkaty arcyksiążę. I wtedy ten Szcic zrobił taką rzecz: kiedyśmy obozowali, zabrał się i poszedł do wsi za Horzovicami, żeby sobie tam coś kupić, i koło południa wracał do obozu. Gorąco było, a mój Szcic wypił niezgorzej, więc patrzy, przy drodze stoi słup, na słupie kapliczka, a w kapliczce za szkłem malutki posążek świętego Jana Nepomucena. Odmówił pacierz przed świętym Janem Nepomucenem i powiada: „Gorąco ci, he? Powinieneś się napić. Stoisz tu na słońcu i pocisz się zdrowo”. Potrzęsął manierką, napił się sam i powiada: „Zostawiłem ci tu łyk, święty Janie Nepomucenie”. Ale żal mu było, więc wypił wszystko i dla świętego nie pozostało nic. „Jezus Maria, powiada, święty Janie Nepomucenie, musisz mi teraz wybaczyć, ja ci to wynagrodzę. Zabiorę cię z sobą do obozu i napoję cię tak świetnie, że się na nogach nie utrzymasz”. I mój zacny Szcic przez współczucie dla świętego Jana Nepomucena zbil szkło kapliczki, wyjął posążek świętego, wsadził go sobie pod bluzę i zaniósł do obozu. Potem ten święty Jan sypiał z nim na słomie, Szcic nosił go z sobą w tornistrze i miał wielkie szczęście w kartach. Gdzie tylko obozowaliśmy, wszędzie wygrywał, aż przybyliśmy w Pracheńskie, obozowaliśmy w Drahenicach i tam Szcic wszystko przegrał. Gdyśmy rano wyruszali w pole, to na gruszy przy drodze wisiał święty Jan powieszony. To jest anegdota z życia wojskowego. A teraz znowuż zawiesimy słuchawkę.

I telefon znowu dostawał ataków nerwowych dając dowód, że harmonia pokoju i spokoju w obozie została zakłócona.

W tym samym czasie porucznik Lukasz studiował w swoim pokoju szyfry doręczone mu ze sztabu pułku. Do szyfrów dołączona była instrukcja, jak należy je odczytywać, oraz szyfr sekretny o marszrucie kompanii na pograniczu Galicji (etap pierwszy):

7217 — 1238 — 475 — 2121 — 35 = Moson.

8922 — 375 — 7282 = Rab.

4432 — 1238 — 7217 — 35 — 8922 — 35 = Komarn.

7282 — 9299 — 310 — 375 — 7881 — 298 — 475 — 7979 = Budapeszt.

Odczytując te szyfry porucznik Lukasz westchnął:

— *Der Teufel soll das buserieren.*

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/hasek-przygody-dobrego-wojaka-szwejka-t-i-ii>

Tekst opracowany na podstawie: Jaroslav Hašek, *Przygody dobrego wojaka Szejka podczas wojny światowej*, tom I i II, tłum. Paweł Hulka-Laskowski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1955.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska. Publikacja sfinansowana ze środków pozostałych ze zbiorów, które nie zakończyły się sukcesem.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Anna Potrzebowska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0295-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.